

CZY NA PEWNO TY DECYDUJESZ
O SWOIM ŻYCIU?

APLI KACJA

LAUREN MILLER

Feeria
young

SPISEK POTĘŻNYCH
TWÓRCÓW OPROGRAMOWANIA

LAUREN MILLER

**APLI
KACJA**

Przekład:

Jarosław Irzykowski

**Feeria
young**

Spis treści

Tytuł oryginału: Free to Fall

Copyright © 2014 by Lauren Miller

Tłumaczenie: Jarosław Irzykowski Opieka redakcyjna: Maria Zalasa Redakcja: Elżbieta Derelkowska Korekta: Grzegorz Krzymianowski Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Copyright for the Polish translation © Wydawnictwo JK, 2015

ISBN 978-83-7229-528-6

Wydanie I, Łódź 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

Wydawnictwo JK,
ul. Krokusowa 1-3
92-101 Łódź
tel. 42 676 49 69
fax 42 646 49 69 w. 44

www.wydawnictwofeeria.pl

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

*Pamięci
mojej
babci Bei,
u której
na
pewno
zdiagnozowano
by AZP.*

ROZDZIAŁ 1

Przyszło w zwykłej białej kopercie, co jednocześnie podkreślało i umniejszało znaczenie jej zawartości. Podkreślało – gdyż decyzję wydrukowano tuszem na grubym papierze czerpanym, trochę więc tak, jakby wyryto ją w kamieniu. Umniejszało – ponieważ nic w tym zwyczajnym prostokącie nie sugerowało, że kryje on w sobie wiadomość, mającą odmienić życie. Tę kopertę przysłano w kwietniu, miesiąc po moich szesnastych urodzinach, w jakiejś zwyczajnej pod innymi względami środowe popołudnie. Dziewiętnaście i pół godziny później koperta miała na sobie efektowną plamę po kawie i wciąż pozostawała nierozcięta.

– Weź przeczytaj – powiedział Beck zza swojego aparatu.

Gdy, przytrzymując spust, wycelował obiektyw w stronę skośnego szklanego dachu, usłyszałam raptowny terkot migawki. Był czwartek, przerwa obiadowa, a my jak zawsze przeczekiwaliśmy ją w saloniku biblioteki publicznej, który w niczym nie przypominał ani saloniku, ani biblioteki, prędeż skrzyżowanie szklarni ze stalową klatką. Dochodziło już piętnaście po pierwszej, co oznaczało, że zapewne znów spóźnimy się na piątą lekcję, ale żadnemu z nas się nie spieszyło. Beck chciał porobić więcej zdjęć, ja byłam zbyt rozkojarzona, by myśleć o fakultecie z psychologii.

– I tak wiem, co napisali – odparłam, obracając w rękach kopertę. – Jest cienka ¹. Nie dostałam się.

– Tym bardziej trzeba otworzyć.

Beck skierował aparat ku dziewczynie za kasą stoiska z kawą. Obiektyw się wydłużył, bo robił zbliżenie jej twarzy. Mój najlepszy przyjaciel miał lekką obsesję na punkcie tej dziewczyny, mimo że jej najwyraźniej nie interesował patykowaty i trochę namolny nastolatek.

– Skoro wiem, co napisali, to nie ma takiej potrzeby – powiedziałam zirytowana.

– Poważnie? – spytał Beck, wreszcie patrząc mi w oczy.

Wzruszyłam ramionami. Wy szarpnął mi kopertę z ręki i rozerwał.

– Hej! – krzyknęłam, sięgając po nią.

Beck już rozkładał list. Wpadł z niego na podłogę znaczek do wpięcia w klapę, wielkości guzika. Patrzyłam, jak toczy się kilkanaście centymetrów, a potem przewraca. *Po co mieliby wysłać znaczek, skoro nie...*

– Szanowna Pani Vaughn – usłyszałam głos Becka – z przyjemnością informujemy, że została Pani przyjęta do Akademii Theden, rocznik 2032. Bla, bla, bla, reszta się nie liczy, bo SIĘ DOSTAŁAŚ!

– Ćśśś – syknęła kobieta z naprzeciwka, o twarzy wykrzywionej złością. Wskazała swój tablet. – Jesteśmy w bibliotece.

Beck nie patrząc na nią, skierował obiektyw w jej stronę i zwolnił migawkę.

– Przestań! – warknęła.

Sięgnęłam po znaczek. Był okrągły i złoty; i wyglądał jak coś, co mógłby nosić mój dziadek. Z drugiej strony, nigdy nie poznałam moich dziadków, nie mogę więc uchodzić za znawczynię ich gustów. Schowałam znaczek do kieszeni zakietu, dla pewności zaciskając na nim palce. Beck wciąż pstrykał foty.

– Przepraszam za mojego kolegę – połajałam się przed kobietą, podając Beckowi jego torbę. – Nie wziął dziś swoich leków.

– Najszersza prawda – przyznał z powagą Beck

Złapałam go za ramię i pociągnęłam do wyjścia.

Dopiero kiedy byliśmy na zewnątrz i staliśmy pod zadaszeniem na Piątej Alei, czując na twarzach podmuchy zimnej deszczowej mgiełki, dotarło do mnie: dostałam się, a to znaczyło, że tam idę. Proces rekrutacji do Theden był rygorystyczny, za to uczęszczanie nie wiązało się z wydatkami. Jeśli już przyznali ci miejsce na roku, sami troszczyli się o całą resztę. O przejazd, zakwaterowanie, czesne, wyżywienie. Wszystko to opłacane z wynoszącego trzydzieści miliardów dolarów funduszu Theden.

– Daj mi go – powiedziałam, zabierając list Beckowi. Musiałam to sama zobaczyć.

– Wiedziałem, że się dostaniesz.

– Akurat.

– Rory, od ósmej klasy chodzisz na kursy do college’u. Edytujesz hasła w Panoptikonie [2](#), bo wkurzają cię nieścisłości historyczne.

– Raz tak zrobiłam!

Beck uniósł brew.

– Zlinkowane strony liczą się za jeden wpis – zaprotestowałam.

– Nieważne. Mówię tylko, że jeśli jest gdzieś jakiś pewniak do szkoły dla bystrzaków, to przede wszystkim ty.

Theden jednak oznaczało o wiele więcej niż tylko szkołę dla bystrzaków. Dwuletni program przygotowawczy – jedyny taki w całym kraju – gwarantował absolwentom dostanie się z marszu do wybranego przez nich college’u, a zaraz potem pracę na szczeblu kierowniczym. Wystarczyło ukończyć szkołę. Co, jak czytałam, było nie lada wyczynem. I to nawet dla tych, którym udało

się do niej dostać. Cała szkoła, mająca tylko dwustu osiemdziesięciu ośmiu uczniów, zajmowała dwadzieścia cztery hektary w małej miejscinie w zachodnim Massachusetts. Tę broszurę znalazłam praktycznie na pamięć. „Uczeń Theden winien mieć niezachwianą pewność, że nasz program stworzony jest dla osoby takiej jak on – głosiła pierwsza strona – ale i rozsądną świadomość, iż sam nie jest w stanie obiektywnie ocenić swoich zdolności. Dlatego uczeń Theden chętnie podporządkowuje się rygorowi naszego procesu aplikacyjnego”. Rygor to było właściwe słowo. Cztery eseje po tysiąc słów z limitem czasu, test na inteligencję, dwa badania u psychologa, rekomendacje od trojga nauczycieli i jedna do bólu pokrętna rozmowa kwalifikacyjna z członkiem komisji rekrutacyjnej. Ciężka sprawa, ale przecież dostanie się tam było jak złota przepustka do życia. Gdyby egzaminy nie były darmowe, nie mogłabym się ubiegać o przyjęcie, ale że były – zrobiłam to bez skrępowania, nie mówiąc o tym nikomu poza tatą i Beckiem. Nie miałam „niezachwianej pewności”, że pasuję do Theden, jedynie drażniące poczucie, że może akurat.

– Twój parasol – przypomniałam Beckowi, gdy wyszedł na deszcz.

– E tam! Daj spokój. I tak był rozwalony.

– Beck, nie możesz tak po prostu zostawić parasola.

– Czemu nie? Czy posiadanie parasola za cztery dolary, z dwoma złamanymi drutami jest absolutną koniecznością? – Odchylił głowę i wystawił język – Zresztą, nie jestem pewien, czy to, czym pluje ta chmura, liczy się jako deszcz.

– Jesteś za leniwy, by tam wrócić.

Beck wyjął swój handheld, zregenerowane Gemini 4.

– Lux, czy ja teraz jestem leniwy?

– Nie wiem – odrzekł Lux głosem Becka.

Ta aplikacja do podejmowania decyzji weszła na rynek z fabrycznie zainstalowanym głosem, nikt jednak z niego nie korzystał. O wiele bardziej czadersko było słuchać własnego.

– Wiem, że twój parasol jest zlokalizowany u wylotu Czwartej Alei. Przy twojej średniej prędkości chodu odzyskanie go zajęłoby w przybliżeniu dwie minuty i dwadzieścia sekund. Chciałbyś pójść tam teraz?

– Nie – powiedział radośnie Becki schowawszy gemini, wyszedł na deszcz.

– Ja przyniosę – mruknęłam.

Wsunęłam list do kieszeni i pognałam w dół Madison Avenue. Nie ruszyło mnie specjalnie to, że Beck zostawił parasol. Rzecz w tym, że skoro Lux wiedział, jak tani był ten parasol, jak blisko byliśmy szkoły i jak bardzo się spóźnimy na piątą lekcję, a jednak zasugerował, że Beck powinien zawrócić i go przynieść – mogło to być naprawdę ważne.

Rzecz jasna, ten przypał nie zaczął na mnie, a w czterdzieści pięć sekund, bo tyle zajęł mi

powrót po jego parasol, mżawka ustała. Pomyślałam, czy nie pobiec za nim, ale na nogach miałam tomsy o gównianej przyczepności, a nie chciałam zrujnować radości z Theden wyłożeniem się na chodniku. Wetknęłam więc w uszy słuchaweczki i wystukałam swoją playlistę, zostawiając Luxowi wybór tracków.

Złapałam Becka kilka przecznic od szkoły, stał na chodniku, szczerząc się do obrazu na wizjerze. Podsunął mi aparat, żebym też zobaczyła. To była kobieta, najwyraźniej bezdomna, o zapadniętych oczach. Patrzyła prosto w obiektyw. *Nie chcę twoich pieniędzy*, mówił napis na jej kartonie. *Tylko na mnie spójrz, żebym wiedziała, że istnieję*. Te słowa i jej wygląd już same w sobie poruszały, nie przez to jednak zdjęcie było tak przejmujące. Także przez ludzi w tle, przechodniów, z oczyma wlepionymi w telefony, spieszących gdzieś na lunch, w ogóle niedostrzegających kobiety z napisem.

– Chwilę później przegonił ją gliniarz – powiedział Beck. Szturchnął mnie łokciem, przechodząc do puenty: – Warto było odpuścić sobie ten parasol, nie?

– Niska cena za takie zdjęcie – przyznałam.

– Mógłbym zrobić całą serię takich fotografii – oznajmił podekscytowany, gdy przyspieszaliśmy kroku. Byliśmy już dwie minuty spóźnieni na zajęcia. Wyjęłam gemini, żeby sprawdzić przewidywany czas przybycia. Dziewięćdziesiąt dwie sekundy na dojście na kampus, kolejne trzydzieści trzy, żebym dotarła na fakultet.

Patrzyłam jeszcze na wyświetlacz, kiedy usłyszałam, jak Beck mówi:

– Chodzi mi o to, że nietrudno byłoby znaleźć ludzi ignorowanych przez bandę idiotów z handheldami.

Jak na zawołanie, potknęłam się o wystający kawałek chodnika. Obrzucił mnie zdziwionym spojrzeniem.

– Serio? Musisz śledzić swoje kroki z dokładnością do milisekundy? Dojdziemy, kiedy dojdziemy, Rory. Albo nie.

Beck miał bardzo ambiwalentny stosunek do swojego handheldu. Naturalnie, używał go, ale tylko do dzwonienia i pisania. Mnie natomiast gemini służyło do wszystkiego. Mój kalendarz, moje plany, mój profil na Forum, playlisty i książki – wszystko to pragnęłam mieć pod ręką, zawsze. Potrzebny był mi też, oczywiście, Lux, dzięki któremu moje życie szło gładko. Radziłam się tej aplikacji co najmniej tysiąc razy na dzień. W co powinnam się ubrać? Gdzie usiąść? Kogo zaprosić na połowinki? Wszystkie decyzje, które wydawały się ważne, i pewnie całe mnóstwo nieistotnych. Z wyjątkiem Theden. Nie zapytałam Luxa, czy powinnam tam zdawać, bo za bardzo się bałam, że zaprzeczy.

Po powrocie do szkoły rozdzieliliśmy się i poszłam na fakultet. Idąc, przewijałam listę aktualności, dlatego Hershey Clements zauważyłam dopiero, kiedy niemal na nią wpadłam.

– Ty jesteś Rory, tak?

Stała pod moją klasą, ciemne włosy miała ściągnięte i skręcone w jeden z tych artystycznych węzłów, które ogląda się w pismach kobiecych, lecz nigdy nie udaje się ich odtworzyć. Używała cieni do powiek, ale zero maskary, na ustach – ciemnoróżowy błyszczak. Akurat tyle makijażu, żeby nieśmielić, nie kryjąc przy tym faktu, że właściwie to się go nie potrzebuje. Była olśniewająca. I naturalnie opalona. Rodzice Hershey na wiosenne ferie zabrali ją do Dubaju (o czym wiedziałam, bo choć w realu nigdy nawet nie rozmawiałyśmy, z niewyjaśnionych przyczyn zaprzyjaźniła się ze mną na Forum, skazując na znoszenie bezustannych aktualizacji jej statusu, kiedy bawiła za granicą) i wróciła w miniony poniedziałek z tatuażem z henny wokół kostki i karmelowym połyskiem na skórze, przypominając całej reszcie, jakie jesteśmy blade, biedne i nieobyte.

– Hm, cześć – odpowiedziałam.

Przyglądała mi się badawczo, a raczej mierzyła wzrokiem. Czego chciała? Czegoś chcieć musiała. Hershey Clements nie czekałaby na mnie na korytarzu, gdyby nie miała w tym interesu. Dziewczyny takie jak ona nie rozmawiały z takimi jak ja. U Roosevelta była szkolną gwiazdą, czego ja o sobie nie mogłam powiedzieć. Nie to, że byłam jakimś tam wyrzutkiem czy kimś w tym guście, ale mając za najlepszego przyjaciela chłopaka typu „jestem za bardzo cool, żeby być cool” i zero rzeczy wistych przyjaciółek (śmierć mamy i brak siostr sprawiły, że moje więzi z kobietami przestały istnieć), nie pretendowałam do tytułu królowej szkoły. A już to całe „nie jestem pewna, czy cię znam” było totalną żenadą. Znała mnie. Od szóstej klasy, rok w rok spotykałyśmy się na co najmniej dwóch zajęciach.

– Przyznam, że to był mały szok, kiedy zobaczyłam twoje nazwisko – powiedziała.

Hę?

– To znaczy, wiem, że się wymądrzałaś i w ogóle, ale sądziłam, że to przez to, że masz jakby obsesję na punkcie nauki i całego tego kitu.

Pogubiłam się, więc Hershey mogła coś jeszcze dodać.

– Widziałam, że dostałaś się do Theden – oznajmiła, przewracając oczami, jakbym była niełapiącą jej aluzji idiotką.

– Widziałaś?

Otworzyłam list dopiero dwadzieścia minut temu i nigdzie jeszcze o nim nie napisałam. Czyżby Beck wstawił to na Forum?

– No! Apka aktualizuje się codziennie. Po tygodniu od wysłania listu umieszczają twoje nazwisko na liście przyjętych.

– Jaka apka?

Hershey ciężko westchnęła, jakby męczyła ją interakcja z takim imbecylem. Z tylnej

kieszonki dżinsowej miniowy wyciągnęła handheld.

– Aplikacja Theden – wyjaśniła, stukając w ikonkę drzewa, odpowiadającą wzorowi na znaczku w mojej kieszeni.

Podsunęła mi telefon, żeby sama zobaczyła.

– Czekaj, czemu ty masz...?

Po wewnętrznej stronie jej przegubu coś błysnęło złotem. Znaczek Theden. Wpięła go w mankiet kaszmirowego sweterka.

Nagle zrozumiałam. Spojrzałam jej w oczy.

– Też się dostałaś.

– Daruj sobie to zdziwienie – odparła.

– Nie jestem zdziwiona – skłamałam.

– Nieważne. W porządku. I tak mi się zdaje, że to babcia kupiła mi wjazd. Tak się dostał mój tato. Ej, pokaż mi swój telefon.

Sięgnęła mi za plecy, wyjęła gemini z kieszeni moich dżinsów. Przytknęła guzik udostępniania do swojego.

– I już – powiedziała, oddając mi telefon. – Masz mój numer. Powinnyśmy się teraz przyjaźnić.

Już brała za pewnik, że chcę być jej przyjaciółką. Potem obróciła się na pięcie, otworzyła drzwi i wkroczyła do klasy.

1. W Ameryce list informujący kandydata o przyjęciu bądź nieprzyjęciu na uczelnię czy do innej prestiżowej szkoły jest z reguły stosunkowo gruby, gdy decyzja jest pozytywna (zawiera od razu różne formularze i informatory), natomiast cienki, jeśli tylko powiadamia o odrzuceniu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza). [\[wróć\]](#)
2. Nazwa tego następcy Wikipedii może stanowić nawiązanie do idealnego więzienia, wymyślonego przez Jeremy'ego Bentham^a (1748-1832), angielskiego prawnika i filozofa utylitarystę. Konstrukcja Panoptikonu miała pozwalać strażnikom na pełną swobodę w obserwowaniu nieświadomych tego więźniów, stąd zapewne skojarzenia ze swobodnym dostępem do haseł w sieciowej encyklopedii. To również, wg Michela Foucaulta, symbol permanentnej inwigilacji. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 2

Na sierpień czekałam całą wieczność. Czasem wydawało mi się, że nigdy nie nadejdzie, że czas zwalnia i w końcu się zatrzyma. Co gorsza, tak zazwyczaj pogodny tato stał się przesadnie melancholijny i sentymentalny; wpatrywał się we mnie nad stołem nakrytym do kolacji jak tatuś z ckiwej telenoweli. Macoszka nie była lepsza.

Na szczęście oboje pracowali na pełny etat, tato na swojej najnowszej budowie, a przybrana matka w sklepie z czekoladą w Beacon Hill, całe dni więc miałam dla siebie. Niemal każde popołudnie spędzałam z Beckiem, towarzysząc mu przy wszelkich zadaniach fotograficznych wyznaczanych przez aktualnego mentora. Beck uczestniczył w krajowym programie szkoleń, w ramach którego po dwóch letnich praktykach w wybranej dziedzinie miał pójść do pracy od razu po szkole, zastępując college dwuletnim stażem, subsydiowanym przez państwo. Otrzymawszy końcowe tego lata zadanie – udokumentowanie jednego dnia z życia jakiegoś mieszkańca Nickelsville, ostatniego namiotowiska spod Seattle – Beck wręcz pękał z radości.

Był to wieczór przed moim wyjazdem i mieliśmy za sobą cały dzień pośród plandek w kolorze fuksji. Dochodziła siódma, a Beck zrobił już tysiące zdjęć swojego bohatera, niejakiego Ala, którego lewa noga kończyła się tuż nad kolanem. Zaczynało się zmierzchać, nie czułam się więc tak swobodnie jak w ciągu dnia. Wyciszyłam Luxa, ale na wyświetlaczu wciąż migotało: ZNAJDŹ BEZPIECZNIEJSZĄ OKOLICĘ.

– Chyba miałaś zrobić dzień z życia? – spytałam cicho Becka. – Nie noc z życia? Powinniśmy już wracać.

– Podczas złotej godziny 1? – Beck miał aparat przy oku i robił serię fotek, jak Al rozpala małe ognisko w wiadrze koło swego namiotu. – Rory, przyjrzyj się niebu. To mokry sen fotografa.

Skrzywiłam się.

– Fuj!

– Wracaj, jeśli musisz – powiedział, nadal schowany za obiektywem. – Wiem, że idziesz na kolację kolację z ojcem.

Miałam wyjechać wczesnym rankiem i tato zaprosił mnie do pizzerii Serious Pie na pożegnalną kolację tylko we dwoje. Powiedziałam mu, że lepiej byłoby zabrać jeszcze przybraną matkę, uparł się jednak, że pójdziemy sami, zapewniając, że nie poczuje się urażona. Szczerze w to wątpiłam, cieszyło mnie jednak, że w ostatni wieczór przed wyjazdem będę go mieć tylko dla siebie. Kari do taty świetnie pasowała, ale moje relacje z nią były gorsze niż z nim, rzec można, żadne.

– Nie chcę zostawiać cię tu samego – powiedziała Beckowi jeszcze ciszej niż przedtem.

– Nic mi nie będzie – odpowiedział, wreszcie opuszczając aparat i spoglądając na mnie. – Za jakieś pół godziny i tak się ściemni. No i jest jeszcze ten tam. – Wskazał umundurowanego policjanta siedzącego w samochodzie po drugiej stronie ulicy.

– Okej – zgodziłam się, wciąż niepewna. Takich jak my Lux nie bez powodu trzymał z dala od podobnych okolic (o ile osiedle dla bezdomnych można nazwać „okolicą”). – Ale choć odpał Luxa. Lepiej się poczuję, wiedząc, że jest włączony.

– Nie – odparł przemiło Beck, znów podnosząc do oczu aparat.

Westchnęłam, wiedząc, że tego sporu nie wygram. Nie warto było nawet prosić.

Taki właśnie był Beck. Nieufny wobec techniki. Lubił zawierzać instynktowi, kierować się przeczuciem. Mówił, że właśnie to czyni z niego artystę. Ja jednak wiedziałam swoje. To, czemu Beck ufał, nie miało nic wspólnego z przeczuciem. Kierował się Zwątpieniem.

Byliśmy jeszcze dziećmi, gdy zaczął słyżeć ten głos. Wielu z nas go słyszało. Szept w głowie, który nas pouczał, dodawał pewności i przekonywał do wiary w niemożliwe, ponaglał, by iść w przeciwną stronę, niż wskazywał rozum. Ten „wewnętrzny głos” nie był zjawiskiem nowym – towarzyszył ludziom od zawsze – ale neurobiologia rozpracowała go dopiero niedawno. Przez całe stulecia ludzie uważali, że jest dobry, że to przejaw intuicji. Niektórzy nawet nazywali go „głosem bożym”. Teraz już wiedzieliśmy, że ten „wewnętrzny szept” to nic innego jak spięcie w obwodach mózgu, coś związane z „przycinaniem synaps” i rozwojem płatu czołowego. Przemianowanie go na Zwątpienie było elementem strategii marketingowej, częścią wielkiej kampanii służb publicznych, sponsorowanej przez przedsiębiorstwo farmaceutyczne, które wyprodukowało tłumiającą go pigułkę. Ta nazwa miała przypominać ludziom, czym ten głos naprawdę jest. Że to wróg rozsądku. W przypadku dzieci nie budził niepokoju, był efektem ubocznym kluczowej fazy rozwoju mózgu, ustępującym, jak tylko osiągnęło się wiek umożliwiający jego ignorowanie. U dorosłych natomiast stanowił objaw choroby neurologicznej, która, nieleczona, uniemożliwiała podejmowanie racjonalnych decyzji.

Według mnie – kampania marketingowa zrobiła swoje. Ludzie, zgodnie z oczekiwaniami, wystraszyli się. Byłam wówczas w piątej klasie i jeszcze słyszałam ten głos. Odkąd zaczęliśmy się uczyć technik tłumienia – zagłuszania Zwątpienia hałasem i rozrywką, kierowania mózgu ku innym myślom, takich tam sposobów – docierało do mnie jednak coraz rzadziej, aż w końcu na dobre umilkł. Tak było z większością dzieciaków. Wyrastały z niego jak z jąkania lub lęku przed ciemnością.

Czasem jednak działo się inaczej i wówczas dostawało się etykietkę „nadkreatywny” oraz niską dawkę leków przeciwpsychotycznych, dopóki głos nie przestał być słyszalny. No, chyba że się było Beckiem i odmawiało przyjęcia zarówno etykietki, jak i tego farmaceutycznego antidotum.

Wtedy Zwątpienie trzymało się mocno, a nawet ni stąd, ni zowąd pobrzękiwało tak, że pozornie racjonalny mózg przeczył sobie, żeby tylko spełnić jego życzenie. Martwiłam się o Becka, o przyszłość, jaka go czeka, jeśli uznają go za przypadek nieuleczalny, ale i znałam jego upór. Beckowi nie sposób było przemówić do rozumu. A już na pewno nie wtedy, gdy robił zdjęcia.

– Hej, zaczęłaś sekundę – usłyszałam go, ruszając na przystanek autobusowy po drugiej stronie ulicy. Kiedy się odwróciłam, szukał czegoś w kieszeni.

– To prezent na drogę – powiedział, wyjmując plastikowe pudełeczko z zatraskiwanym wieczkiem.

Rozpoznałam zdobiące je charakterystyczne G. Logo Gnosis. Miałam małego fioła na punkcie Gnosis i gadżetów tej firmy, które nie dość, że były markowe, stylowe i pod względem technicznym niedoścignione, to jeszcze wykonywano je z materiałów z odzysku i były całkowicie biodegradowalne.

– To żelowe słuchawki, o których marzyłaś – wyjaśnił Beck, gdy z cichym trzaskiem otworzyłam pudełeczko. Wgapiałam się w te słuchawki od miesiący, nie mogąc samej siebie przekonać do zmarnowania stu dolarów na ten sprzęt.

– I nie mów, że nie powinienem tyle wydawać, bo nie wydałem – dodał, zanim zdążyłam zaprotestować. – To część łupu z sesji modowej, przy której w zeszłym tygodniu pomagałem.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– Najlepszy prezent, jaki w życiu dostałam – wyznałam, uściskawszy go.

– Teraz możesz mieć jeszcze większą jazdę na punkcie playlist – drażnił się ze mną. Sam też jarał się muzyką, choć nie do tego stopnia co ja.

– I lepiej cię będę słyszeć, jak do mnie zadzwonisz – stwierdziłam, wtykając prezenty w uszy. Słuchawki spływały w głąb kanalików usznych jak stopiony wosk. Już prawie ich nie czułam.

– Zakładając, że nie będziesz zbyt zajęta, żeby odpowiedzieć – skontrolował Beck.

– Hej, dla ciebie zawsze znajdę czas.

Uśmiechnął się.

– Nie daj się, Ro – powiedział jeszcze, obejmując mnie. – I pamiętaj, jeśli wylecisz, zawsze możesz wrócić i zostać moją asystentką.

– Och, dzięki. – Szturchnęłam go łokciem w brzuch. – A już się bałam, że się za tobą stęsknię.

Kiedy spotkał się wzrokiem, w oczach miał smutek.

– Ro, mnie też będzie cię brakowało.

Uwiesiłam mu się na szyi i mocno przytuliłam, a potem znów ruszyłam na przystanek, mruganiem tłumiąc łzy.

– Wykrzuś to wreszcie – powiedziałam do taty. – Wyraźnie szykujesz jakąś mowę z okazji opuszczenia gniazda rodzinnego przez córkę. No to jej wysłuchajmy.

Właśnie wykończyliśmy ostatni kawałek pizzy z kielbasą i koprem włoskim i teraz przeglądałam menu pod kątem deserów, medytując nad piwem korzennym z lodami, które Lux niewątpliwie zaraz by mi odradził. Po drugiej stronie stołu tato, wyraźnie czymś zdenerwowany, miał czerwoną serwetkę. Przygotowałam się na długą i cłkiwą przemowę o zbyt szybkim dorastaniu. Sięgnęłam po coś, co leżało obok niego.

– To od twojej matki – usłyszałam, gdy kładł przed mną małe pudełeczko i jeszcze mniejszą kopertę. Jak tylko zobaczyłam prezent, desery poszły w zapomnienie.

Jedyną rzeczą, jaką miałam po mamie, był koc. Według taty pracowała nad nim codziennie przez cały okres ciąży, zdeterminowana, by skończyć go przed porodem. Za wzór, ręcznie wyhaftowany różową nicią, wzięła prostokąt Fibonacciego – serię różnej wielkości kwadratów uporządkowanych według określonego ciągu matematycznego, a zarazem współtworzących prostokąt. Kwadraty te połączone były żółtymi ćwiartkami okręgów, wyszytymi jeszcze cieńszą nicią i zbiegającymi się w złotą spiralę, wykraczającą poza boki prostokąta. Na obu krańcach spirali widniały maleńkie pomarańczowe krzyżyki wyznaczające początek i koniec. Dziwny to był wzór na koc dla małej dziewczynki, z drugiej strony jednak nigdy nie tęskniłam za kwiatkami lub motylkami. Może moja matka to przewidziała? Może jakoś przeczuła, że jej córeczka przedłoży nad nie strukturę, przewidywalność i matematyczną kompletność wzorów Fibonacciego?

Nigdy jej o to nie zapytałam, ponieważ zmarła, ledwie się urodziłam, na dwa dni przed jej dziewiętnastymi urodzinami. Byłam wcześniakiem i wystąpiły komplikacje, więc lekarze musieli wykonać cesarskie cięcie i chyba doszło do zakrzepicy żyły w nodze, a skrzep dostał się do płuc. „Zatorowość płucna”, takie sformułowanie widniało na akcie zgonu, który jako dziewięcioletka znalazłam w pudełku w szafie taty, gdy w Wigilię szukałam prezentów.

Popatrzyłam na pudełko, a potem na niego.

– Co to znaczy, że od mamy?

– Prosiła, żebyś mi to dała. – Tarmosił brodę, wyraźnie czuł się niezręcznie.

– Kiedy powiedziała, że masz mi to wręczyć? – Chodziło mi o to, kiedy wystąpiła z tą prośbą, tato jednak zrozumiał inaczej.

– W dniu twojego wyjazdu do Theden – powiedział, ważąc słowa.

– Co? Nie rozumiem. Skąd mogłaby wiedzieć, że ja...?

– Też tam poszła, Rory.

– Czekaj, co takiego? Mama była w Theden? – Gapiłam się osłupiała, gdy przytakiwał. – Przecież chodziliście do tej samej szkoły. Pobraliście się w dniu, w którym ją ukończyliście. Zawsze mówiłeś...

– Wiem, kochanie. Tego pragnęła twoja mama. Nie chciała, żebyś wiedziała o Theden, dopóki sama nie zdecydujesz, że tam pójdziesz.

– A co z tym czymś w pudełku?

– Gdybyś tam nie poszła, miałem je zniszczyć, taksamo tę kopertę.

Siadłam wyprostowana, ze wzrokiem wbitym w pudełko. Było jasnoniebieskie z białą pokrywką i nie wyglądało na nowe. Jeden z rogów był wgnieciony i karton w kilku miejscach się strzępił. Koperta, niewiele większa od wizytówki, przypominała te dołączane do bukietów.

– Co w nim jest? – zapytałam.

– Nie wiem – odpowiedział tato. – Prosiła, żebym nie otwierał, więc tego nie zrobiłem. Dwa dni po twoich narodzinach trafiły do skrytki w banku Northwest.

Najpierw sięgnęłam po kopertę. Z przodu była czysta, lecz kiedy ją podniosłam, zobaczyłam na odwróconej stronie pismo. Było tam moje imię, niebieskim atramentem, dokładnie w miejscu zaklejenia. Rozpoznałam pismo mamy dzięki wizytówce, którą przypięła do koca, przechowywanego teraz w zapinanej na zamek szaszetce w moim stoliku nocnym. *Aurora*. Nie znosiłam mojego imienia, tych twardych r, jednak napisane pętlistym pismem mamy wydawało się kobiece i delikatne, tak odmienne od jego drukowanej postaci. Zwilżyłam językiem palec, a potem przycisnęłam go do wierzchołka pochylonego A. Atrament nieco się rozpuścił, bo kiedy cofnęłam rękę, na skórze pozostała bladoniebieska plamka. Aż niemożliwe, że był to ten sam niebieski kolor, który znajdował się w piórze mojej matki, w piórze, które one trzymała w ręku i którym pisała, gdy była jeszcze tak pełna życia. Poczułam, jak w kącikach oczu zbierają mi się łzy, i przegnałam je mruganiem.

Atramentowe litery w miejscu zaklejenia koperty przypominają zapieczętowanie jej woskiem. Można stwierdzić, czy była otwierana, bo górne części liter niedokładnie zbiegają się wówczas z dolnymi. Tu litery były nienaruszone. Czy mama umieściła moje imię właśnie tam, żeby dać mi do zrozumienia, że słowa w kopercie przeznaczone są tylko dla mnie? Na myśl o tym serce mi nieco zatrzępotało.

– Otworzyś ją? – zapytał tato.

Uświadomiłam sobie, że jest nie mniej ode mnie ciekaw zawartości. Wsunęłam kopertę do torebki.

– Nie teraz – odpowiedziałam i sięgnęłam po pudełko. Teraz otworzę prezent; kopertę zachowam, by rozkoszować się nią na osobności.

Pudełko okazało się lżejsze, niż się spodziewałam, a kiedy podniosłam je ze stołu, zagrzechotało, jakby jego zawartość zsunęła się na bok. Nabrałam tchu i podniosłam pokrywkę. W środku był prostokątny wisiołek na srebrnym łańcuszku. Gdy wyjmowałam go z pudełka, tato się uśmiechnął.

– Tak myślałem, że to może być właśnie to – powiedział. – Nie miała go na sobie, kiedy u... – Coś trochę go zdławiło, wbił wzrok w blat stołu. – Kiedy się rodziłaś. Zawsze byłem ciekaw, co

z nim zrobiła.

– To jej? – spytałam.

Potwierdził skinieniem.

– Przywiozła go z Theden – dodał.

Zważyłam wisiorek w dłoni, wpatrując się w wryty na nim dziwny symbol. Przypominał trochę haczyk na ryby, a pod nim widniała trzynastka. Rok, w którym ukończyła szkołę.

– Co oznacza? – zapytałam.

Tato wzruszył ramionami.

– Zawsze miałem wrażenie, że coś związanego ze szkołą – oznajmił. – Twoja mama nigdy tego nie wyjawiała. Ale cenila ten nasz jynik. Chyba nie widziałem, żeby go kiedykolwiek zdejmowała.

Odłożyłam wisior do pudełka.

– Nic nie rozumiem, tato. Dlaczego mama prosiła, żebyś mnie okłamywał?

Zbyt długo się wahał. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek odpowie.

– W Theden coś się stało z twoją mamą – powiedział wreszcie. – Wróciła jakaś inna.

– Jak to inna?

– Przede wszystkim ta Aviana, z którą dorastałem, była ambitna. Nie chorobliwie. Po prostu miała wielkie marzenia, rozumiesz? Kiedy dostała się do Theden, myślałem, że o to właśnie chodziło. Że pójdzie tam i już nie wróci. I to było okiej. Kochałem ją. Chciałem, żeby była szczęśliwa.

– I była? – spytałam. – Szczęśliwa?

– Tak myślałem. Miała tych wszystkich nowych przyjaciół i wciąż rozprawiała o wykładach. Kiedy w drugim roku nie przyjechała do domu na święta, pogodziłem się z faktem, że pewnie już jej nie zobaczę. Twoi dziadkowie nie żyli, nie bardzo więc miała do czego wracać. – Na jego czole pojawiły się zmarszczki. – A jednak wtedy, mniej więcej na tydzień przed zakończeniem nauki, pojawiła się u mnie w domu i powiedziała, że rzuciła szkołę. Stwierdziła, że zmieniła zdanie na temat college'u. Nie chciała się już uczyć. Powiedziała, że pragnie zamiast tego założyć rodzinę. Potem poprosiła, żebym się z nią ożenił.

Nie spuszczałam z niego wzroku. To w niczym nie przypominało historii miłosnej, której wysłuchiwałam, dorastając. O szkolnej parze, która w dniu zakończenia nauki uciekła do gmachu sądu hrabstwa Kings, a miesiąc miodowy spędziła pod namiotem. Tamta wersja miała jakiś sens. Ta tutaj – żadnego. Tato rozumiał, o czym myślę.

– Twoja matka była impulsywna – odpowiedział. – Nieodparcie impulsywna. A ja nie byłem w stanie jej odmówić.

Uśmiechnął się i skinął na kelnera. Nie udzielił odpowiedzi, której poszukiwałam. Wyjaśnił może, dlaczego ożenił się jako osiemnastolatek, ale nie zdradził mi, czemu chciała tego moja

matka, ani – co było jeszcze ważniejsze – czemu porzuciła najbardziej prestiżową szkołę w kraju, i to pod sam koniec nauki. Dlaczego miałyby rezygnować z przyszłości w imię czegoś, co mogło zacząć?

– I to wszystko? To już cała historia?

Tato chyba się wahał, jakby nie chciał potwierdzić, ale i nie mógł z czystym sumieniem zaprzeczyć.

– Twoja mama nie przypominała nikogo, kogo znałem – powiedział w końcu. – Miała w sobie... klasę. Wewnętrzny spokój. Nawet kiedy jeszcze byliśmy dziećmi. Niczym nie przejmowała się tak bardzo, jak my wszyscy. Tak jakby była na to odporna.

Umilkł, a mnie przez głowę przemknęła myśl, że tej cechy po niej nie odziedziczyłam. Kiedy znów podjął wątek, w oczach miał smutek.

– Tego dnia, gdy pojawiła się u mnie w domu, wydawała się... wstrząśnięta. Ale gdy o to zapytałem, zamknęła się w sobie.

– O co mogło chodzić? – chciałam wiedzieć.

– Sam po tysiąc kroć zadawałem sobie to pytanie – wyznał tato. – Żałując, że nie naciskałem na nią mocniej, by się tego dowiedzieć. Myślałem jednak, że starczy mi czasu. Nie przypuszczałem, że...

To niewypowiedziane słowo zawisło między nami. Nie przypuszczał, że ona umrze. A przecież umarła, zaledwie osiem miesięcy później.

– Coś się jednak stało – powiedziałam. – Coś musiało się stać.

Tato skinął głową.

– Coś musiało się stać – powtórzył.

1. W fotografii pora dnia po wschodzie lub przed zachodem słońca, gdy emituje ono charakterystyczne żółtawe światło. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 3

Orzeszki czy precelki?

– Precelki.

Hershey wyciągnęła po nie rękę, nie podnosząc wzroku. Lot już trwał, a my siedziałyśmy ramię w ramię w pierwszej klasie (dziękuję, Theden!) i czekałam, aż ona zaśnie, żeby wreszcie mogła otworzyć liścik od mamy. Niestety, moją towarzyszkę podróży całkowicie pochłonęło jedno z wielu pism plotkarskich ściągniętych przez nią na tablet.

Ja tej nocy nie spałam, wciąż myśląc o małej prostokątnej kopercie, o tym, co zawiera i czy da odpowiedzi, które rozwieją cholerną burzę pytań w mojej głowie.

– A pan? Orzeszki czy precelki? – Stewardessa odwróciła się do pasażera po drugiej stronie przejścia.

– Orzeszki – wy mamrotał tamten, i stewardessa nachyliła się nad wózkiem.

– Och, przepraszam, czy nie wybrałby pan jednak precelków? – Pasażer, Hershey i stewardessa zgodnie utkwili we mnie wzrok – Mam uczulenie na orzeszki – wyjaśniłam.

– Na liście pasażerów nie ma informacji o uczuleniu – zarzuciła mi stewardessa. – Cindy! – krzyknęła w głąb przejścia. – Masz na liście jakąś alergię?

Cindy sprawdziła swój tablet i przybiegła do nas, potykając się przy tym o nogę pasażera i o mało nie padając na twarz. Usłyszałam parsknięcie Hershey.

– Aurora Vaughn, 3B. Orzeszki ziemne.

Wyraz twarzy obsługującej nas stewardessy przestawił się z oskarżycielskiego na piąty stopień alarmu pożarowego. Zaczęła wyrywać pobliskim pasażerom paczki z orzeszkami.

– Przepraszam – powiedziałam do sąsiada z drugiej strony przejścia.

– Co by się stało, gdybyś jakiegos zjadła? – zapytała Hershey, gdy stewardessa wręczyła mi torebkę precelków.

– Nie jestem pewna – przyznałam. – Jako trzylatka bardzo źle zareagowałam na krakersa z masłem orzechowym. Pani z pogotowia musiała użyć EpiPenu ¹.

– Świrujesz przez to? – docięła dalej Hershey. – Skoro wiesz, że tylko jakiś tam wybór przekąski dzieli cię od śmierci?

Popatrzyłam na nią. *Mówi poważnie? Kto palnąłby coś takiego?*

– Nie – stwierdziłam, sięgając po słuchawkę. – Nawet o tym nie myślę.

Nie musiałam. Lux analizował skład pokarmów, śledził reakcje alergiczne i dolegliwości na tle żywieniowym u innych konsumentów tego samego jedzenia i uprzedzał, że w pobliżu jest ktoś

uczulony na to, co akurat jem, albo że jedzą coś, co może mi zaszkodzić. Uważać musiałam tylko w zamkniętych przestrzeniach, bez dostępu do Sieci. Słowem, w samolotach. Włożyłam słuchawki i podkręciłam głośność.

Po kilku minutach Hershey odpięła pas bezpieczeństwa i wstała.

– Muszę siku – oznajmiła i rzuciwszy mi na kolana swój tablet, przycisnęła się ku przejściu.

Jak tylko poszła, wyciągnęłam słuchawki i sięgnęłam do torebki po kopertę. Uważając, by nie uszkodzić papieru, wsunęłam paznokciec pod kłapkę i delikatnie ją podważyłam.

Wewnątrz znajdował się arkusik cieniutkiego papieru welinowego, jakiego dziś już się nie produkuje. Mózg policzył napisane odręcznie wersy szybciej, niż zrobiło to serce, serce zaś, ledwie się z nim zrównało, poczuło, że mu ciężko. Były tylko trzy.

*Bom ich wolnymi stworzył i wolni zostaną,
Mimo niewolę grzechu przez siebie obraną,
Inaczej musiałbym ich zmienić w ich przyrodzie* ².

Odwrociłam arkusik, lecz druga strona była czysta. Tyle w kwestii odpowiedzi na moje pytania. Doszła jeszcze setka nowych.

– Co to takiego? – Nie zauważyłam, że Hershey już wróciła.

– Nic – powiedziałam szybko, próbując schować arkusik w torebce. Hershey jednak mi go wyrwała. Przebiegła oczyma słowa.

– Dziwaczne – oświadczyła, oddając mi kartkę, gdy usadowiła się w fotelu. – Z czego to cytat?

– Nie wiem – przyznałam. – To od mojej mamy. – Od razu pożałowałam, że to powiedziałam.

Nie miałam ochoty rozmawiać o mamie z Hershey.

– Przyszła z listem?

Potrząsnęłam głową przecząco. Sama stanowiła list. Odruchowo dotknęłam wisiorka na szyi. Zaskakująco mi ciężki.

Przez ramię zobaczyłam, że Hershey otwiera swoją wyszukiwarkę GoSearch.

– Przeczytaj to jeszcze raz – poleciła.

– Bom ich wolnymi stworzył... – powtórzyłam i umilkłam, zastanawiając się nad przeczytanymi właśnie słowami, podczas gdy Hershey je wpisywała. *Kto kogo stworzył wolnym?*

– Mimo niewolę grzechu, przez siebie obraną...

– To z *Raju utraconego* – przerwała mi Hershey. – Księga trzecia, wiersze od sto dwudziestego czwartego do sto dwudziestego szóstego.

– To jakaś sztuka? – Słyszałam o *Raju utraconym*, ale nic bliższego.

– Poemat – odpowiedziała Hershey. – Superdługi i supernudny poemat wydany w 1667 roku. – Przebiegła wzrokiem telst na ekranie. – O rany, zastrzelcie mnie. To ma być angielski?

– Kto go napisał?

– John Milton – powiedziała, stukając paznokciem kciuka w zdjęcie autora, żeby je powiększyć. Obejrzała dokładniej jego powieki. – Człowiek desperacko potrzebujący blefaroplastyki.

Hershey, już znudzona, znów doklikała się do swoich pisemek. Ja na tablicie znalazłam w Panoptikonie wpis o *Raju utraconym* i zaczęłam czytać. *Poemat ten, zaliczany do arcydzieł literatury anglojęzycznej, reinterpretuje biblijną opowieść o wygnaniu Adama i Ewy z rajskiego ogrodu.* Stuknęłam w link do pełnego tekstu poematu i oczy mi się zaszkliły niemal równie szybko, jak wcześniej Hershey. Żadna z książek, które czytaliśmy w szkole, nie przypominała tego tutaj. Program szkolny skupiał się na literaturze współczesnej, na powieściach napisanych w przeciągu minionych dwudziestu lat. Czy takie rzeczy czytało się w Theden? Paniczny lęk odebrał mi oddech. Co będzie, jeśli nie dam rady?

Zamknęłam oczy i oparłam się o zagłówek. *Boże, proszę, niech nie zawiodę.*

Nie zawiedziesz.

Aż mną rzuciło. Ostatni raz słyszałam Zwątpienie latem przed siódmą klasą. Wciąż pamiętałam, co się wtedy ze mną działo; to poczucie spokoju, które na mnie spływało, ilekroć głos przemówił. Teraz doświadczyłam czegoś zupełnie odmiennego. Byłam roztrzęsiona, niespokojna i jakich tam jeszcze określić można użyć, żeby powiedzieć, że nie jest ze mną okej. Zwątpienie mogło dotyczyć ludzi niezrównoważonych, artystów i dzieciaków. Jak jednoznacznie wynikało z wymagań pakietu aplikacyjnego, na pewno nie uczniów Theden. Oceniająca mnie psycholog co najmniej trzy razy pytała, kiedy ostatnio słyszałam ten głos, a odpuściła dopiero, gdy zadowolona ją odpowiedź, że ponad trzy lata temu. Gdyby członkowie komisji rekrutacyjnej wiedzieli, co przed chwilą usłyszałam, mój pobyt w Theden skończyłby się jeszcze przed jego rozpoczęciem. To, między innymi, wyróżniało moją nową szkołę. Nie wystarczyło być bystrzakiem. Musiałeś być „odporny psychicznie”. Uodporniony na obłąd.

To tylko nerwy, powiedziałam sobie. Całe tłumy idealnie zdrowych dorosłych w chwili stresu słyszały Zwątpienie. Niestety, powtarzanie sobie tego tylko potęgowało mój niepokój.

– Powinnyśmy zamówić pasujące do siebie koldry – powiedziała Hershey. Uporała się już z magazynami i przewijała teraz katalog Anthropologie. – Inaczej skończymy w tym całym koszmarnym miszmaszu udającym eklektyczny wystrój klasycznej akademickiej sypialni. Co sądzisz o tej?

Nadal nie pojmowałam, jak to się stało, że zamieszkały razem. Według naszych pakietów akceptacyjnych doboru współlokatorów dokonywał program komputerowy, dopasowujący uczniów w oparciu o ich osobowości i zainteresowania. Jako że Hershey i mnie kompletnie nic nie łączyło, uznałam, że program działa wadliwie.

Zmrużyłam oczy i spróbowałam skupić się na neonowym tureckim wzorze na jej ekranie. Był

okropny.

– Może warto zacząć, aż zobaczymy, jak wygląda nasz pokój? – zasugerowałam.

Hershey popatrzyła na mnie z politowaniem.

– Nie każę ci za to płacić, jeśli to cię martwi.

– Nie o to chodzi – powiedziałam spokojnie. – Po prostu wolałabym coś, przez co nie będę mieć wrażenia, że ktoś potraktował mi oczy wybielaczem.

– To może wziąć stary džins z odzysku i pozszywać jutą?

Zignorowałam jej złośliwość i znów zajęłam się tabletem.

Wciąż miałam na ekranie *Raj utracony*, toteż przewinęłam go do początku i zaczęłam przedzierać się przez tekst, zmuszając się do czytania wszystkich słów. Nic do mnie nie docierało, ale byłam chociaż czymś zajęta aż do końca lotu. Tej sztuczki nauczyłam się w podstawówce. Dopóki mózg pracuje, Zwątpienie nie przemówi.

Wyładowaliśmy w Bostonie kwadrans przed czasem. Gdybyśmy się pospieszyły, mogłybyśmy jeszcze złapać wcześniejszy autobus na kampus, o ile nie będzie trzeba czekać na walizy. Kiedy gnałyśmy na stanowisko odbioru bagażu, odpaliłam monitorowanie podróży i śledziłam wędrówkę naszych walizek z samolotowej ładowni na karuzelę. Przyszły trzydzieści sekund po nas.

Moja kłódeczka w kształcie serduszka była rozwalona, bo ktoś sprawdzający bagaż nie raczył zadać sobie trudu sięgnięcia po wiszący obok kluczyk. Nie zamykałabym walizki, ale zamek błyskawiczny był skrzywiony i ząbki się rozchodziły. Przez tę szparę wyłaził teraz rękaw koszulki, brudny po spotkaniu z pasem taśmociągu. Lux radziła, bym użyła drucika w osłonce, wybrałam jednak kłódeczkę. Dostałam ją od Becka na trzy naste urodziny, wraz z pamiątkiem w stylu retro. Notesik nie doczekał się żadnego wpisu, za to kłódeczkę w kształcie serca wprost uwielbiałam. Westchnęłam więc i schowałam jej resztki do kieszeni, podczas gdy Hershey mocowała się ze swoją gigantyczną walizą od Louisa Vuittona, usiłując ją ściągnąć z karuzeli. Dostało mi się za zlekceważenie Luxa.

– Wahadłowiec czternasta trzydzieści na kampus Akademii Theden odchodzi za trzy minuty – oznajmiły chórem nasze handheldy. Pobieglyśmy na punkt zborny. Kierowca już na nas machał.

– Najwyższy czas – powiedział, gdy wsiadałyśmy, po czym zaznaczył nasze nazwiska na swym tablecie.

Hershey natychmiast wyjęła gemini, żeby wysłać na Forum aktualizację statusu. Wiedziałam, że Beck czeka na wiadomość ode mnie, ale zbyt dużo myśli kotłowało mi się w głowie, bym mogła sformułować w miarę sensowny wpis. Rozejrzałam się po ludziach z mojej nowej klasy. Nic w nich nie krzychało, że są specjalnie utalentowani. Zwykła grupa szesnastolatków z handheldami w łapkach. Poczulałam się rozczarowana. Tak się zamartwiałam, że nie będę miała

z czym do nich wystartować, że nie wzięłam pod uwagę gorszej alternatywy.

Przez większą część naszej dwugodzinnej jazdy na kampus Hershey siedziałam na Forum. Ja włożyłam słuchawki i spoglądałam w okno, słuchając na okrągło Same Day Yesterday i patrząc, jak budynków coraz bardziej ubywa i w końcu ustępują miejsca drzewom oraz skałom. Drogę wyznaczały wielkie bryły granitu, jakbyśmy przecinali środek góry, zaś tak niezwykle złotej poświaty słonecznej w życiu nie widziałam. Poza masztami sieci – udającymi drzewa, lecz zbyt doskonale dopracowanymi, by mogły kogokolwiek zwieść – nie widziało się tu oznak nowoczesności, z których słychać parki przyrodnicze Seattle. Zero ułatwień na ścieżkach. Zero tramwajów napędzanych energią słoneczną. Wydawało się, że czas odpuścił sobie te ostępy lub przystał na to, że jest niekonsekwentny. Z policzkiem przyciśniętym do szyby, pozwalałam obrazom rozjeżdżać się i rozmywać. Gdy zjeżdżaliśmy w dolinę rzeki Connecticut, już spałam.

– Rory – Hershey szturchnęła mnie łokciem. – Jesteśmy na miejscu.

Natychmiast otworzyłam oczy. Autobus wjechał właśnie na kampus. Odwróciłam się, żeby zobaczyć, jak brama z kutego żelaza zamyka się za nami, odcinając nas od reszty świata. Było to bardziej na pokaz niż dla bezpieczeństwa; kamienne mury przy bramie kończyły się już po kilku metrach. Ale i tak wyglądało to imponująco: gładkie kamienne kolumny i żelazna brama pod wysokim łukiem ozdobionym spiralnymi ornamentami. A na środku tego łuku godło Theden, wizerunek drzewa, identyczny z tym na znaczku, wpiętym teraz w język mojego trampka.

Podjazd był długi, wyłożony czymś gładkim i szarym, co na pewno nie było asfaltem. Górujące nad nim wiązy, rosnące po obu stronach drogi, tworzyły wysoko nad nią zielony baldachim. Dalej wznosiły się stoki porośnięte lasem tak gęstym, że aż ginęło w nim światło.

Droga skręciła w lewo i właśnie wtedy ją zobaczyłam: Akademię Theden. Tuzin budynków z czerwonej cegły okalających wciąż jeszcze niewidoczny wewnętrzny dziedziniec. Wiedziałam z Panoptikonu, że były to oryginalne budowle wzniesione przez założycieli Theden w 1781 roku i że architekturę akademii uznawano za jeden z najlepszych przykładów stylu federalnego. Nie miałam za to pojęcia, jak wielkie wrażenie robi to wszystko na mnie, gdy tylko minimy zakręt i – podobnie jak wcześniej budynki – pojawiają się Appalachy, góry spowite lasem niczym jakimś kokonem.

– Łał – szepnęła Hershey, nietypowo zapominając o zblazowaniu.

Milczałyśmy, gdy autobus zjeżdżał na rozległy parking, oznaczony napisem KADRA, i zaparkował na drugiego za rzędem beemek. Przy miejscach parkingowych, umieszczone na grubych słupkach z kutego żelaza, znajdowały się grawerowane tabliczki z brązu. – To dziekan Atwater – powiedziała Hershey, wskazując na wysokiego, siwowłosego mężczyznę zamasyście idącego przez parking z rękami spoczywającymi swobodnie w kieszeniach odprasowanych spodni khaki. – Znam go ze zdjęć taty.

Nasz kierowca zgasił silnik, gdy dziekan Atwater wszedł do autobusu. Miał w sobie coś z dobrodusznego dziadka, a zarazem z wymagającego przełożonego prywatnej szkoły. Witając nas szerokim uśmiechem, przyglądał się otaczającym go twarzom. Na mojej jego wzrok zastygł na kilka sekund, a w oczach mu coś błysnęło, jakby mnie rozpoznał. Serce mi забиło. Czyżby znał moją mamę? Wiedziałałam, że bardzo ją przypominam. Choć całkowicie różniłyśmy się karnacją, obie miałyśmy niemalże kręcone włosy, piegi na policzkach, twarze w kształcie serca i migdałowe oczy. Tato mówił, że jestem od niej wyższa, na podstawie zdjęć nie sposób jednak było tego potwierdzić. Do niego tak bardzo byłam niepodobna, że macoszka zażartowała kiedyś, iż jestem klonem swojej mamy. Ale tato zaraz wsiadł na nią, że brak jej wrażliwości i nie powinna już nigdy tak mówić.

– Oto jesteście! – ogłosił dziekan Atwater, rytmicznie unosząc pięść. Wokół mnie eksplodowały wiwaty i gwizdy aprobaty. Roześmiał się. – Od dnia, w którym otrzymaliście listy akceptacyjne, na pewno każdemu z was dłużył się czas. Mogę was zapewnić, że teraz przyspieszy. Ani się obejrzyicie, a będziecie kończyć szkołę i zadawać sobie pytanie, gdzie się podziały ostatnie dwa lata. – Uśmiechnął się. – Lub, tak jak w moim przypadku, ostatnie dwadzieścia pięć.

Dwadzieścia pięć lat. On musiał znać moją mamę. Dotknęłam jej wisiorka, czując pod opuszkami palców wyryty na nim ornament.

– Starszorocznicy w zeszłym tygodniu wrócili na kampus – kontynuował dziekan. – Wszyscy więc spotkamy się dziś o szóstej w rotundzie, na zebraniu inauguracyjnym, po którym nastąpi nasza doroczna uroczysta kolacja powitalna. Do tej godziny będziecie mieć czas dla siebie. Informacje na temat przydziału pokojów znajdziecie pod zakładką „zakwaterowanie” w waszej aplikacji Theden. Tam też znajdziecie listę ważnych na tym kampusie numerów telefonicznych – sekretariatu, mojego biura, infolinii pomocy psychologicznej... – *Infolinii pomocy psychologicznej.* – Jeszcze wasze klucze do kampusu. Nasze zamki powiązaliśmy z waszymi handheldami – wyjaśnił. – Klucz, który otrzymaliście, zapewni dostęp do głównych wejść

wszystkich domów akademickich i przypisanych wam pokojów. – Wszyscy wokół mnie łapali za telefony. – Sugeruję, byście najbliższe kilka godzin poświęcili na zapoznanie się ze sobą nawzajem i z naszym kampusem. Ja spotkam się z wami wszystkimi o szóstej. – Lekko nam pomachał i opuścił autobus.

– Tato powiedział mi, że tak tu będzie – szepnęła Hershey, wylogowując się z Forum i stukając w ikonkę Theden na pulpicie. Dzieciaki wokół nas sprawdzały swoje kwatery i podeksycytowane rozmawiały. Nikt jeszcze nie wstawał.

– To znaczy jak? – zapytałam.

– Totalna swoboda. Superpóźne zamykanie drzwi na noc, żadnych inspekcji w pokojach, żadnych obowiązkowych ubiorów. Zasadniczo, żadnych regulaminów. Można robić prawie

wszystko, co się zamarzy.

– Serio?

Prywatne szkoły słynęły z regulaminów. Spodziewałam się nawet, że w Theden będą szczególnie surowe.

– Aha. „Przywilej roztropności” czy inna ściema.

Oparła się o mnie i podniosła gemini, by pstryknąć nam slit focję.

– Ideał – stwierdziła, ledwie ją obejrzała, po czym pospiesznie umieściła zdjęcie na Forum.

Moje gemini zabręczało.

Zdjęcie „ze współspaczką, PNZ ³” zostało dodane do twojej osi czasu przez @HersheyClements.

To zdjęcie było okropne. Czoło mi się świeciło, grzywka rozjechała się dokładnie pośrodku, a mój uśmiech bardziej przypominał grymas. Skoro jednak już zostało wysłane, nie sposób było go usunąć ani mnie z niego odznaczyć.

– Uroczko – wy mamrotalam, zbierając swoje rzeczy. Mój handheld znów się rozbrzyczał.

@BeckAmbrose: *miałem koszmarny sen, że przejechałaś 5000 km, żeby się stać „współspaczką PNZ” HC.*

Hershey usłyszana, że się śmieję.

– Masz coś śmiesznego? – spytała.

– Nie – skłamałam, wrzucając handheld do torby. – Chodźmy, współspaczkę – dodałam, lekko ją popychając. – Poszukajmy naszego pokoju.

Wszyscy uczniowie Theden, cała dwustuosiemdziesięcioosobowa ekipa, mieszkali w tym samym budynku, Domu Ateńskim, zajmującej północny kraniec kampusu budowli w kształcie litery V. Mój pokój znajdował się na piętrze skrzydła dla dziewcząt i bardziej kojarzył się z wypasionym hotelem niż z akademikiem. Były w nim dwa podwójne łóżka, dopasowane do nich mahoniowe biurka oraz szafki, dwie szafy ścienne i elektroniczny kominek. Zabrakło natomiast widocznej instalacji świetlnej. Kiedy niczego takiego nie znalazłam na suficie, rozejrzałam się za lampami bocznymi. Światło w pokoju musiało się skądś brać, tym bardziej że nie było tu okien. Nie doszukałam się jednak ani jednego źródła tego światła.

Hershey podniosła małego czarnego pilota leżącego na wybranym przez nią łóżku. Identyczny był w moim, z trzema rzędami guzików na froncie i charakterystycznym logo Gnosis z tyłu. Hershey zaczęła od góry i ruszyła do samego dołu, nie pomijając żadnego guzika. W pokoju najpierw robiło się jaśniej, potem ściemniało aż do stanu, gdy kompletną ciemność łagodziła

tylko ciepłą bursztynową poświatą ściana z drzwiami. Hershey promieniała.

– Tapety PHOLED [4!](#)

Nacisnęła inny guzik i ściana zmieniła się w ekran telewizyjny. Następny – i oto patrzyłyśmy na pulpity jej gemini. Po kolejnym ekran podzielił się na dwa.

– Włącz swoją stronę – powiedziała, wskazując pilota na moim łóżku. – Guzik z napisem LINK. Ledwie go przycisnęłam, obok jej pulpitu wyskoczył ten z mojego gemini.

Słyszałam, że Gnosis opracowało tapetę wykorzystującą PHOLED – technologię wyświetlania obrazu stosowaną w większości ich urządzeń – ale nie przypuszczałam, że już ją wprowadziło na rynek. Podeszłam do tapety i dotknęłam jej koniuszkami palców. Była gładka i chłodna, a gdy cofnęłam rękę, pozostały na niej nikłe ślady opuszków. Starłam je rękawem T-shirta.

Hershey rzuciła pilota na łóżko.

– Chodźmy się przejść. Mam ochotę na kawę.

– Dobry plan. W jadalni mają całodzienne stoisko z przekąskami. Widziałam na nim...

– Lamerskie – oznajmiła Hershey. – Jesteśmy o dziesięć minut spaceru od miasteczka. Osiem, jeśli wybierzemy nieautoryzowany szlak turystyczny, co właśnie zrobimy.

Wyjęła z torby tubkę błyszcząca i puderniczkę z lusterkiem. Przejechała tubką po wargach, po czym zmysłowo wydeła usta.

– Rusz się – ponagliła, zatrzasnąwszy puderniczkę. – Idziemy.

„Nieautoryzowany szlak turystyczny” wymagał przejścia przez prywatny cmentarz na wschód od kampusu, prawidłowo oznakowany ostrzeżeniami TEREN PRYWATNY – ZAKAZ WSTĘPU. Mimo popołudniowego słońca miałam dreszcze. Za duże były te omszałe nagrobki podniszczone upływem stuleci. Przez wilgotną duchotę dygotałam.

– Jak dalej? – zapytałam niecierpliwie, pragnąc się stąd wy dostać.

Ktokolwiek był właścicielem tego terenu, nie bez powodu wywiesił zakaz wstępu. Wagę tego ostrzeżenia potwierdzał ustawiony na samym środku cmentarza ogromny posąg: bardzo gniewnie wyglądający anioł wskazujący wyjście długim kamiennym palcem.

– Nie wiem – odpowiedziała Hershey, zezując na gemini. – Rozłączyło się.

– Możemy zawrócić? Wolałabym unikać aresztowania pierwszego dnia. – Starłam się wyglądać na zirytowaną, nie na wystraszoną, choć w rzeczywistości odczuwałam i jedno, i drugie.

Hershey przewróciła oczami.

– Spoko. Po drugiej stronie tego lasu jest parkmiejski. – Przyjrzała się drzewom. – Tak sądzę.

Uniosła gemini, szulając zasięgu.

– Tyle w temacie „wszechobecnej sieci” – powiedziała.

– To żaden skrót, skoro błądzimy – zaproponowałam.

– Rany, Rory, wyluzuj. Trzymaj! – Sięgnęła do torby, wyjęła dwie zabrane z samolotu buteleczki baileysa i rzuciła mi jedną. – To pomoże.

Zdjęła nakrętkę z drugiej i wypila wszystko duszkiem.

– Uch. – Wzdrygnęła się, wycierając usta grzbietem dłoni. – Nie cierpię baileysa. Niestety, wódki nie udało mi się dosięgnąć.

– Nie będę tego piła – stwierdziłam, oddając jej butelkę. – Do zebrania została godzina.

Hershey westchnęła.

– Słuchaj, Rory. Nie sugeruję przecież, żebyś nawalona szła na egzamin. To nasz pierwszy dzień tutaj i nie czeka nas nic poza wysłuchiowaniem kupy pełnych samozachwyty mów nie do zapamiętania, o tym, jacy to jesteśmy wielcy, jak wielka jest akademia Theden i o ile więksi będziemy, jak ją ukończymy. Mamy obowiązek żyć pełnią życia i wysysać z niego całą kwintesencję⁵. Nikt za nas tego nie zrobi.

Ponownie wyciągnęła buteleczkę, lekko nią wymachując, dopóki jej nie wzięłam. Nie jestem pewna, czemu to zrobiłam; może zaszokowana tym, że Hershey tak użyła pojęcia „obowiązek”, a może tym, że od niechcienia zacytowała Thoreau? A może – po prostu – jej słowa poruszyły we mnie jakąś strunę. Zdawałam do Theden, bo chciałam zmienić swe życie, a na razie udało mi się zmienić jedynie miejsce pobytu. To nie wystarczało.

Odkręciłam nakrętkę i upiłam łyżeczk Hershey, szeroko uśmiechnięta, pokazała swoją pustą butelkę.

– Wysysać z życia całą kwintesencję – przypomniała.

– I doprawiać irlandzką śmietanką. – Przepiłam do niej.

Było nam do śmiechu, ale gdy się stuknęłyśmy, mój wzrok padł na epitafium na pobliskim nagrobku i ten śmiech stanął mi w gardle.

Bądźcie trzeźwi! Czuwajcie!

Przeciwnik wasz, diabeł, jak lew ryczący krąży

szukając kogo pożreć. – I P 5,8⁶.

Włos mi się zjeżył na głowie. Znów przytknęłam buteleczkę do ust, ale tym razem tylko udawałam, że piję. Hershey już się odwróciła i zmierzała ku drzewom, więc szybko wylałam resztę w trawę i podbiegłam do niej.

– To dokąd idziemy? – zapytałam, dotrzymując jej kroku.

– Do Café Paradiso – odpowiedziała. – To nad rzeką. Był tam młyn czy coś w ten deseń.

Wyjęłam gemini, żeby sprawdzić opinie na Forum, ale zasięgu nadal nie było.

– Cała ta okolica to martwa strefa – stwierdziłam.

Idąca obok Hershey zachichotała.

– Pasuje tutaj, nie?

Przerzuciła torbę nad ogrodzeniem z porzewiałego drutu, dzielącym nas od drzew, i zaczęła się wspinać.

– Auć! – Pęknięty drut przebił skraj jej sukienki i zadrapało udo.

– W porządku?

– Nic się nie stało. – Przeszła przez płot i zeskoczyła. – Wchodzisz?

Też się wspierałam, starając się uniknąć tamtego drutu. Za ogrodzeniem był wzgórek porośnięty dość gęstym laskiem. Hershey wspierała się na trawiasty stoki zniknęła wśród drzew.

– Widzę domy – zawołała. – To już blisko.

Poszłam w jej ślady, ślizgając się nieco w sandałach. Na górze było o kilka stopni chłodniej, gęste listowie nie dopuszczało słońca. Kilka kroków dalej doleciał do mnie gdzieś z przodu huk rzeki.

Café Paradiso mieściła się w drewnianym budynku na rogu Main i State, pomalowanym strażacką czerwień i oddalonym od innych. Znowu miałam zasięg, sprawdziłam więc tę kawiarnię na Forum. Jej rating wynosił półtorej gwiazdki.

– Kilka przecznic dalej jest inna kawiarnia – powiedziałam, przesuwając stronę ku River City Beans, docenionej przez „Berkshire Gazette” za „Najlepszą kawę w Dolinie”. Nie byłam snobką, ale przecież mieszkałam w wielkim Seattle. – Ma o wiele lepsze recenzje.

– Tak, to właśnie ją Lux polecał – powiedziała Hershey, krocząc w stronę Paradiso.

Westchnęłam i poszłam w jej ślady.

Gdy wchodziliśmy do środka, nad drzwiami zadźwięczał dzwonek. Wnętrze było dwupoziomowe, z barem na parterze i przestrzenią do siedzenia na poddaszu, z widokiem na rzekę. Jak na lokal o tysiącach złych recenzji było tu okropnie tłoczno. Nie widziałam ani jednego wolnego stolika. Gdy podeszliśmy do baru, zrozumiałam dlaczego. Nad kasą przybity był laminowany napis: JEŚLI NAS LUBISZ, WYSTAW NAM NA FORUM JAK NAJPAKUDNIEJSZĄ OPINIĘ. POKAŻ JĄ NAM, A TWÓJ NASTĘPNY NAPÓJ BĘDZIE NA NASZ KOSZT.

– Nie dajcie się nabrać – usłyszałam męski głos. – Chyba że lubicie gównianą kawę.

Podniosłam wzrok. Gość za barem był mniej więcej w moim wieku i mógłby nawet uchodzić za ciacho, gdyby nie tatuaże pokrywające mu odsłonięte ramiona i wyglądające zza trójkątnego wycięcia T-shirta. Generalnie nie mam nic przeciwko tatuażom – Beck ma za lewym uchem koreański ideogram *hanja* – od tego gościa jednak aż krzyczało: „Mój wszechobecny Body Art czyni mnie uosobieniem kontrkultury i przez to jestem bardziej *cool* od was wszystkich”. Irokez na głowie też mu nie pomagał.

– Sprowadzono mnie tu wbrew mej woli – powiedziałam, a chłopak się uśmiechnął. Oczywiście,

utkwione teraz w moich, miał ciemnobrązowe, prawie czarne, o źrenicach błyszczących jak mokra farba.

– Niech zgadnę, – pierwszy rok akademii? – W jego tonie było coś z lekceważenia, jakby przynależność do Theden źle o nas świadczyła.

– Ja jestem Hershey, a to Rory – przedstawiła nas Hershey, podchodząc do baru. – Może kiedyś pokażesz nam okolicę?

Chłopaknie zareagował.

– Czaderskie dziary – zagruchała, dotykając palcami jego przedramienia. Miał tam wytatuowane wersy jakichś tekstów, każdy innym charakterem pisma. Wyglądały na fragmenty wierszy lub cytaty z książek. Litera jednak były małe, a skoro w żadnym wypadku nie zamierzałam się nachylać, by przyjrzeć się im z bliska, trudno byłoby mi to potwierdzić.

– A ty jak masz na imię? – zapytała Hershey.

– North.

Wciąż nie odrywał ode mnie oczu. Krążyły dynamicznie tu i tam, jak to zwykle oczy, kiedy coś studiują. Lub – jak w tym przypadku – kogoś. Poczułam, że policzki mi płoną. Odchrząknęłam i przeniosłam wzrok na wypisane kredą menu za jego plecami. Stojąca obok mnie Hershey wyjęła gemini.

– Nie mów, że dasz temu czemuś zamówić coś dla ciebie – powiedział, wreszcie patrząc już nie na mnie, a na Hershey.

– W życiu – odpowiedziała.

Przewinęła do końca listę rekomendacji Luxa.

– Wezmę kokosowe latte – ogłosiła. – Lux zapewnia, że je zniehawidzę.

Pojęłam, że to jej patent. Robić to, co odradza Lux.

– Eksperymentuję – dodała i uśmiechnęła się. North słumił śmiech. Odwrócił się do mnie.

– A co z tobą? – zapytał. Jakby się ze mną drażnił. – Też lubisz eksperymentować?

Zarumieniłam się i zniehawidziłam się za to.

– Dla mnie waniliowe cappuccino – powiedziałam, z przyzwyczajenia zerkaając na telefon, choć i bez niego wiedziałam, czego chciałby dla mnie Lux. Chciał zawsze tego samego.

– Okej, po pierwsze, gorzej nie mogłaś zamówić – stwierdził North. – Sami palimy swoje ziarna i wszystkie są jednordne, jeśli więc masz ochotę na kawę, nie zabijaj jej wanilią. Po drugie, jeżeli lubisz słodkości, nasze korzenne matcha latte będzie o wiele lepszym wyborem.

– Dla mnie waniliowe cappuccino – powtórzyłam. – Nie lubię herbaty.

North wzruszył ramionami.

– Twój wybór – powiedział, nabijając nasze zamówienia. Zapłaciliśmy, skanując nasze handheldy, i przeszliśmy na drugi koniec baru, by tam zacząć na napoje.

– Nie ma bata, będę z nim kręcić – szepnęła Hershey, jak ty lko wyszłyśmy poza zasięg słuchu Northa.

– Iii...

Skrzywiłam się, w środku jednak poczułam zazdrość. Nie żebym miała chęć kręcić z tym zachwyconym sobą wytatuowanym baristą, ale dlatego że dla takich dziewczyn jak Hershey było to możliwe. Zerknęłam na Northa, który spieniał dla nas mleko. Używany przez niego ekspres wyglądał na antyk. Trudno byłoby o bardziej hałaśliwą i mniej efektywną metodę robienia cappuccino.

– Jedno kokosowe latte i jedno waniliowe cappuccino – ogłosił North, stawiając na barze dwa papierowe kubki.

Z jego twarzy nie można było nic wyczytać, ale zabawnie krzywił usta, jakby wgryzał się od środka w policzki, by powstrzymać uśmiech. Ja uśmiechnęłam się uprzejmie i sięgnęłam po kubek, na którym czarnym markerem nakreślono WC. Zero drukowanych naklejek na napoje. Czułam się jak przeniesiona w czasie. Hershey wypila łyki aż nią wstrząsnęło.

– Uch. Ohy da. – Obdarzyła Northa uśmiechem. – Idealna.

– Miło, że nie smakuje – odparł, potem spojrzął na mnie. – A twoja okej?

– Na pewno jest świetna – powiedziałam i odrobinę łyknęłam.

Jak ty lko dotknęłam tego językiem, wiedziałam, co zrobił. Ogniste dźgnięcie cayenne splecione z imbirzem. Przyrządził mi tamtą matcha. Nie żartowałam; nie lubię herbaty. I nienawidzę imbiru. To tutaj jednak w niczym nie przypominało żadnej herbaty, jaką zdarzyło mi się pić, a imbir, zmieszany z całą resztą składników, sprawiał, że czegoś lepszego chyba nie spotkałam. Dopiero po kolejnym łyku uświadomiłam sobie, że North mnie obserwuje. Za późno było, żeby udawać, że mi nie smakuje. Mimo to nie mogłam się zgodzić na to „a nie mówiłem?” widoczne na jego twarzy.

– I jak? – ponaglił.

– To naprawdę badziewne cappuccino – palnęłam.

North parsknęła śmiechem, od którego rozpromieniła mu się cała twarz.

– Żeby była jasność, fakt, że to piję, jeszcze nie dowodzi twojej racji – oświadczyłam.

– Mojej racji?

Przewróciłam oczami.

– Że nie powinnam pozwalać handheldowi decydować za mnie. Sądziłeś, że umknie mi ten niezbyt subtelny podtekst?

– Dziewczynie z Akademii? Tak nisko bym cię nie ocenił. – Nie byłam pewna, czy drwi, czy jest szczerzy. Wyczuwałam po trosze jedno i drugie.

– Nawet bez Luxa nigdy bym tego nie zamówiła – zaznaczyłam. – Nie znoszę dwóch

z czterech składników.

– Składników jest siedem. I co, jeśli dwóch z nich tak nie znosisz? Fakt, że nie cierpię sosu rosyjskiego, nie pozbawia mnie frajdy z dobrej kanapki Reubena ⁷. Przy okazji, nasza to sam zachwył.

– To teraz rozmawiamy o kanapkach?

North przycisnął guzik na ekspresie i na moment tak buchnęło gorącym powietrzem, że jeden z kosmyków zjechał mi na twarz. Odgarnęłam go ze złością. Coś w tym chłopaku wytrącało mnie z równowagi, a ja takiego stanu nie trawiłam. Czełam, aż coś powie, lecz tylko stał, patrząc na mnie, a w oczach migały mu iskielki.

– A morał tej historii to... – odpowiedziałam mu.

– Nie zamawiaj nic spoza menu – dokończył. Chciałam coś jeszcze powiedzieć, ale się odwrócił i poszedł w stronę kasy.

– Jaktam flirt?

Drgnęłam. Całkiem zapomniałam o Hershey.

– Nie flirtowałam z nim – obruszyłam się, zerkając przez ramię, czy North tego nie usłyszał. Zajmował się już następnym klientem.

– Skoro tak mówisz. Możemy już iść? Chcę się jeszcze przebrać przed zebraniem.

Zamierzałam przy pomnieć, że ten mały wypad to jej pomysł, ale była już w połowie drogi do drzwi.

1. Jednorazowa [ampułko-strzykawka](#) ze środkiem pobudzającym, stosowana w celu domięśniowego podania roztworu w przypadku wystąpienia wstrząsu anafilaktycznego, np. reakcji alergicznej. [\[wróć\]](#)
2. Wszystkie cytaty z *Raju utraconego* pochodzą z XVIII-wiecznego przekładu autorstwa Jacka Idziego Przybylskiego. Za wydaniem: *Miliona Ray utracony. Książ dwanaście. Z angielskiego przekładania Jacka Przybylskiego; w Krakowie, 1791, w drukarni Antoniego Grębla.* [\[wróć\]](#)
3. Popularny skrót, oznaczający „przyjaciółki na zawsze”. [\[wróć\]](#)
4. Technologia oparta na fosforescencyjnych diodach organicznych (PHOLED – Phosphorescent Organic Light Emitting Diode), w której przykładane do materiału organicznego napięcie zamieniane jest w światło przez substancje fosforescencyjne. [\[wróć\]](#)
5. Henry David Thoreau, *Walden czyli życie w lesie*, przeł. Halina Ciepłińska. [\[wróć\]](#)
6. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań – Warszawa 1971, Wydawnictwo Pallotinum. [\[wróć\]](#)
7. Grillowana kanapka z chleba żytniego z konserwową wołowiną, serem szwajcarskim, kapustą i sosem rosyjskim. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 4

W naszym pokoju Hershey przebrała się w minisukienkę koloru złamanej bieli i całkiem płaskie brązowe pantofle, włosy zaś szesała gładko w niski koński ogon. Przy niej, w mojej granatowej sukience na ramiączkach i espadrylach, wyglądałam na dwunastolatkę. Usilnie walczyłam z narastającym rozczarowaniem, ścisnąjącym mnie jak obręczą. Że też ze wszystkich możliwych współlokatorów musieli mi wybrać właśnie ją.

Zdążyłyśmy do auditorium na kilka minut przed planowanym początkiem zebrania. Podczas gdy Hershey szła odebrać nasze identyfikatory, ja stałam przy wejściu, przyglądając się wszystkiemu. Zdjęcia, które oglądałam, nie oddawały należycie wyglądu tej sali. Sufit pomalowany tak, by przypominał letnie niebo, wznosił się dość stromą kopułą. W posadzkę z polerowanego marmuru wstawiono logo Theden.

Obok mnie pojawił się tyczkowaty blondas w bawełnianych spodniach i granatowym blezerze. Włosy miał gładko przyczesane, z przedziałkiem pośrodku, a na stopach pensówki ¹. Oczywiście, z monetami.

– Cześć – powiedział, wyciągając rękę. – Jestem Liam.

Choć przez taki styl ucznia prywatnej szkółki w rodzinnych stronach pewnie lądował na towarzyskim marginesie, tutaj wydał mi się osobą popularną. Może przez sposób bycia lub uśmiech świadczący o pewności siebie. A może przez fakt, że ludzie witali go po imieniu, a przechodząc, poklepywali po plecach.

– A ja Rory – odpowiedziałam, speszona i tym, że zwrócił na mnie uwagę, i podaniem ręki. Z żadnym z moich rówieśników jeszcze się tak nie witalam. Ani też nie przebywałam nigdy w sali takiej jak ta tutaj. Skóra dłoni Liama była szorstka, wyczułam też odciski, za to paznokcie miał starannie przycięte i wypolerowane do połysku, jakby po manicurze. Cały jego wygląd opierał się na tym zderzeniu szorstkości z ogładą. Ubrany był jak na jacht, ale na linii włosów miał bliznę, a pod prawym okiem niebieskawo-żółte pozostałości po sińcu. Uznałam, że to obrażenia sportowca, bo wpiął w blezer znaczki drużyn waterpolo i rugby.

– I co sądzisz o Theden, tak na szybko? – zapytał. – Odrobinę surrealistyczne, prawda?

– Totalnie – odpowiedziałam, z miejsca rozluźniona.

– Łatwiej się przyzwyczaić, niż myślisz – stwierdził Liam i się uśmiechnął. – Wychowałem się na południu Bostonu. Niecałe sto sześćdziesiąt kilometrów stąd, a wydaje się, że świat drogi.

Na południu Bostonu? Spodziewałam się raczej, że wymieni Nantucket, Martha's Vineyard czy jakąś inną wyłęgarnię i hodowlę bogatych dzieciaków.

– Nie jesteś tu przez tradycję rodzinną?

– W żadnym razie. Jeśli istnieje przeciwieństwo tradycji rodzinnej, ja nim jestem. A ty?

– Moja mama tu chodziła – powiedziałam, czując się jak oszustka.

Mówiłam prawdę, ale nie taką, jak mu się zdawało. Z tym miejscem wiązała mnie jedynie kobieta, której nigdy nie poznałam i która, z niezrozumiałych dla mnie przyczyn, nie chciała, żebym wiedziała, iż tu chodziła.

Hershey zakradła się od tyłu i wsunęła mi rękę pod ramię.

– Kim jest twój przyjaciel? – spytała, lustrując Liama od stóp do głów.

– Jestem Liam – oznajmił. Wyciągając rękę, przyjrzał się jej nogom.

– Hershey – zrewanżowała się, nie zważając na to powitanie. Odwróciła się do mnie.

– Powinnyśmy wchodzić – powiedziała. – Nie chcę siedzieć z tyłu.

– Jeśli chcecie, możecie siedzieć ze mną – zaproponował Liam. – Mam miejsca na samym przedzie.

– Świetnie. – Hershey błysnęła plastikowym uśmiechem. – Prowadź.

– Co to za koleś? – szepnęła, gdy szliśmy do audytorium. – Takiego nudziarz, na jakiego wygląda?

– Jest miły – syknęłam.

– Możemy przejść tędy – powiedział Liam, jak tylko weszliśmy na salę.

Rotunda robiła wrażenie, ale to tutaj zapierało dech w piersiach. Siedmiokątną salę oświetlały kryształowe żyrandole, a marmurowe ściany ze wszystkich stron obramowane były licznymi rządami złotych piszczałek. Czytałam, że było ich tu przeszło czternaście tysięcy, co pozwalało zaliczyć Organy Theden do największych na świecie, a były też jedynymi tej wielkości, które wciąż działały.

Kiedy wykręcałam głowę, żeby ogarnąć to wszystko, zeszliśmy skrajnym lewym przejściem prawie na sam dół, do drugiego rzędu, wydzielonego pomarańczową taśmą i napisem ZAREZERWOWANE DLA CZŁONKÓW RADY UCZNIOWSKIEJ. Liam podniósł taśmę i skinął w kierunku foteli.

– Pewien jesteś, że będzie okej, jak tu usiądziemy? – zapytałam.

– Korzyść z bycia starostą – stwierdził, mnąc w rękach powiadomienie o rezerwacji.

Rząd przed nami zajmowała kadra uczelni. Kiedy siadałyśmy, jakaś kobieta na jego końcu odwróciła głowę. Miała całkowicie czarną skórę i stylowe afro, takie, na które mogą sobie pozwolić tylko osoby wyjątkowo atrakcyjne. Była uderzająco piękna, o mocno zaznaczonych kościach policzkowych i głęboko osadzonych czarnych oczach, które przyciągnęły moje spojrzenie i nie odpuszczały. Uśmiechnęłam się do niej. Nie odpowiedziała tym samym.

– W samą porę – rzekł Liam.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że dziekan Atwater wchodzi na mównicę. Nie czekał, aż sala

się uciszy, od razu zaczął przemowę.

– Jesteście tutaj, ponieważ macie dwie cechy, których nie mają inni wasi rówieśnicy – oznajmił, a jego słowa odbijały się od wyłożonych pizsczałkami ścian. – Przymioty znane starożytnym Grekom jako ethos i egkrateia. – Te greckie terminy wypowiedział z naciskiem. – Charakter i siłę woli. Tutaj zaprzęgniecie te przymioty do pracy nad poszukiwaniem czegoś jeszcze szlachetniejszego. Tym czymś jest sophia. Mądrość. – Przytrzymał się mównicy, lekko pochylony. – Mądrość jednak nie jest dla ludzi wątego serca. Nie wszyscy z was przejdą nasz program. Nie wszystkim jest to pisane.

Spojrzałam na swoje ręce; niepokój, który czułam w samolocie, powracał z impetem. Moja matka nie miała w sobie tego, co trzeba. Może i ja nie mam. Byłam córką kobiety, która porzuciła szkołę, i budowlańca. Czemu sobie uroiłam, że dam radę?

– Wiem, co teraz myślicie – powiedział dziekan Atwater, jakby czytał mi w myślach. Ale patrzył gdzieś dalej, w środek tłum. – Rozważacie, czy ten program jest dla was. Kwestionujecie nasze decyzje, dzięki którym się tu znaleźliście. Czy komisja rekrutacyjna mogła się pomylić? – Przez zebranych przeszedł nerwowy śmiech. Dziekan Atwater ciepło się uśmiechnął. – Pozwólcie, że o jednym was zapewnię, uczniowie. – Patrzył dokładnie na mnie. – Nie trafiliście tutaj przez przypadek

To miało nam dodać otuchy, mnie jednak nie pomagało.

Dziekan znów przeniósł wzrok gdzieś indziej.

– Przejdźmy do kilku spraw organizacyjnych. Każde z was zostało przypisane do jednej z dwunastu mniejszych sekcji. Członkowie każdej sekcji mają do dyspozycji opiekuna z ramienia kadry i codziennie spotykać się będą na intensywnym kursie logicznego myślenia, o którym więcej dowiecie się jutro. Wasze przydziały do sekcji pojawią się wraz z planem zajęć pod zakładką „edukacja” w aplikacji Theden. – Podniósł się szum, bo ludzie zaczęli grzebać w torbach i kieszeniach w poszukiwaniu handheldów. – Powiedziałem, że się pojawią – przypomniał dziekan Atwater z wyrozumiałym uśmiechem. – Kiedy zwolnimy was na kolację. Przedtem mamy jeszcze jedno obwieszczenie. Powitajcie, proszę, przewodniczącego samorządu uczniowskiego, Liama Stone’a.

Gdy Liam dołączył do dziekana Atwatera na mównicy, salę przepełniły entuzjastyczne gwizdy i okłaski.

– W imieniu rady uczniowskiej – zagrzmiał głos Liama za sprawą mikrofonu – z radością ogłaszam, że wyznaczaliśmy datę naszej dorocznej Maskarady. Zaznaczcie sobie w kalendarzach siódmy września. – Sala buchnęła głośnieymi owacjami. – Do waszej wiadomości, pierwszorocznicy: Maskarada to galowy bal dobroczynny dla wszystkich absolwentów i uczniów. Zgodnie z tradycją sklep w miasteczku zapewnia smokingi i suknie, wszyscy też dostaniemy

maski. Właściwie, co jako drugi rok możemy potwierdzić, pojęcie „maski” jest nieco mylące – stwierdził ze śmiechem. – To raczej olbrzymie głowy z masy papierowej, przeważnie przeszło trzysetnie i warte tyle, że nie byłoby na nie stać waszych rodziców. Inni mi słowy, ludzie, niech to będzie wieczór bez wygłupów.

Dziekan Atwater, śmiejąc się pod nosem, znów przejął mikrofon. Spojrzał na Liama.

– Coś jeszcze, Liam?

– Nie, panie dziekanie.

– A zatem – dziekan Atwater klasnął w dłonie – weźmy się do jedzenia!

Tej nocy sen przyszedł łatwo, zarówno z uwagi na zmęczenie fizyczne, jak i przez to, że tak się objadłam homarem i befsztykiem, że krew całkiem spłynęła mi z głowy do żołądka, pozabawiając mnie ostatnich resztek energii umysłowej. Odplynęłam, ze srebrnym wisiorkiem między palcem wskazującym i kciukiem, ciekawa, czy dziewiętnaście lat temu na powitalnej wieczerzy też zaserwowano danie łączące owoce morza i mięso i czy moja mama czuła się wtedy tak nieswojo, jak ja dzisiaj. A gdy później raptownie się obudziłam, rękę nadal miałam wciśniętą w obojczyk, tak że ciężko mi było oddychać. Miałam koszmarny sen – gdzieś biegłam lub przed kimś uciekałam. Ale szczegóły zatary mi się w pamięci, ledwie oczy oswoiły się z ciemnością. Nasłuchiwałam oddechu Hershey, niespokojna, czy nie obudziłam jej krzykiem. W pokoju jednak panowała cisza. Wsunęłam rękę pod poduszkę, szukając mojego gemini, i aż zmrzyłam oczy, gdy na ekranie wyświetliła się 3:03. Wciąż jeszcze roztrzęsiona snem, którego nie mogłam sobie przypomnieć, podreptałam na palcach do łazienki po odrobinę wody, zamieniając handheld w latarkę. Przechodząc obok łóżka współlokatorki, uświadomiłam sobie, że nie muszę się skradać. Nie było tam Hershey.

Czym prędzej wysłałam jej wiadomość: *Gdzie jesteś??*

Niemal natychmiast zaświecił jej handheld. Zostawiła go na stoliku nocnym. Skasowałam jej ten tekst.

Jeszcze przez jakiś czas nie spałam, głowiąc się, dokąd poszła. To głupie, ale trochę mnie gryzło, że nie zaproponowała mi, żebyśmy wybrały się razem. Nie żebym poszła, ale zawsze. Kiedy po godzinie wciąż jej nie było, zaczęłam się martwić. *Nie jesteś stróżem współlokatorki swojej*, powiedziałam jednaksobie, zmuszając się do snu.

Jeszcze nie było nawet całkiem jasno, kiedy znów się obudziłam, wyrwana ze snu przez wrzaskliwy refren piosenki grupy This Is August Jones. Budzik Hershey. Usiłowała znaleźć gemini, macając na oślep, ale zamiast tego zrzuciła je z stolika.

– Sorki – wymamrotała, potem nakryła głowę poduszką i momentalnie znów zasnęła.

Jej budzik nadal szalał. Ulgę, którą odczułam, wiedząc, że nie leży martwa gdzieś w lesie,

całkowicie przyćmiło potężne wkurzenie wywołane narażeniem moich bębenków na boleśnie badziewną muzykę pop o piątej czterdzieści pięć rano.

– Hershey! – warknęłam.

– Dobra – zamruczała.

Przejechała ręką po podłodze w poszukiwaniu gemini. Wyłączenie go zajęło jej kolejne trzydzieści sekund. Zanim to zrobiła, obie byłyśmy już całkowicie rozbudzone. Przetoczyłam się na bok. Widziałam, jak przed snem myje twarz, teraz jednak zobaczyłam wokół jej oczu smugi maskary.

– Piąta czterdzieści pięć? Poważnie? – Hershey przetarła oczy. – Mogłam zapomnieć, że mój telefon sam dostosił się do różnicy czasu.

Wybuchnęłam śmiechem.

– Byłam zmęczona, kiedy go nastawiałam – powiedziała zirytowana.

Spodziewałam się przemowy, chęłpienia się nocną eskapadą czy chociaż aluzji do tego, że się wymknęła, ale odwróciła się ode mnie, twarzą do przeciwległej ściany.

– Jak spałaś? – zapytałam, dając jej kolejną szansę. Nie skorzystała z niej.

– Świetnie – odpowiedziała. Jej gemini znów się zaświeciło, bo odpaliła Forum.

Przez chwilę przyglądałam się plecom mojej współlokatorki, zastanawiając się, jakie jeszcze tajemnice skrywa i dlaczego.

1. Wsuwane półbuty zawdzięczające nazwę studentom elitarnych szkół amerykańskich, którzy mają zwyczaj wsuwać pod zewnętrzny pasek butów jednego centa (zwanego też pensem) na szczęście. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 5

Mała grupka czekała już pod drzwiami na pierwsze zajęcia. Tuż obok była informacja: URZĄDZENIA ELEKTRONICZNE NALEŻY ZOSTAWIĆ NA ZEWNĄTRZ. ŻADNYCH WYJĄTKÓW, a pod nią znajdowała się półeczka. Sądziłam, że nikt dobrowolnie nie rozstałby się z telefonem, ale kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam, że żaden z uczniów nie gapi się w wyświetlacz. Wszyscy wpatrzni byli w głąb klasy, dla mnie jeszcze niewidocznej. Podeszłam więc i zajrzałam do środka.

Tak nowoczesnie urządzonej sali jeszcze nie widziałam. Na wszystkich ścianach były ekrany, a zamiast ławek znalazło się tutaj dwanaście jajowatych mebli, trochę przypominających kuszetki w luksusowych samolotach rejsowych, tyle że tamte robiono z szarego plastiku, a te tutaj wykonano z czegoś poły skiwskiego i przezrzystego, na oko jakby wilgotnego.

– Chociaż nie ma dzwoniaków, i tak możecie mieć spóźnienie – stwierdziła nasza nauczycielka, wychodząc nam na spotkanie.

Właśnie na tę kobietę zwróciłam uwagę na wczorajszym zebraniu. Widząc na planie dr E. Tarsus, wyobraziłam sobie mężczyznę, starszego pana rasy białej, o siwych włosach i w okularach o grubych szklach. Ta kobieta była więc całkowitym przeciwieństwem moich oczekiwań. Stojąc nieruchomo, ze względu na idealną sylwetkę i szerokie ramiona przypominała orlicę. Kiedy się poruszała – jak w tej chwili, idąc ku ścianie frontowej, bez zbędnych ruchów – kojarzyła się z dzikim kotem z dżungli. Pod ubraniem wyraźnie rysowały się ostre kształty jej ramion i bioder.

Prowadziła Praktyki Platonijskie, bo taką oficjalną nazwę nosił intensywny kurs logicznego myślenia, wspomniany przez dziekana Atwatera na zebraniu, jedyne zajęcia, które według planu miały odbywać się codziennie. Była też moją opiekunką, chciałam więc zrobić na niej jak najlepsze wrażenie.

Kiedy już weszliśmy do klasy, tłocząc się i generalnie czując się dość niepewnie (*mamy stanąć przy kapsułach? wejść do nich?*), doktor Tarsus podeszła do ściany, a choć do pisania użyła palca wskazującego, słowa rzeczywiście się tam pojawiły. Ściana zmieniła się natychmiast w staromodną tablicę, zapisaną kredą. Wiedziałam oczywiście, że to nie żadna tablica, tylko udający ją prostokąt interaktywnej tapety, ale faktura była tak realistyczna, że przez ułamek sekundy trudno mi było pojąć, jak to jest możliwe. „Najważniejszy w każdym działaniu jest początek¹”, napisała nienagannym charakterem pisma: „Platon, *Państwo*, księga druga”.

– Wybierzcie sobie – powiedziała, odwracając się do nas. Wskazała jajowate kuszetki.

Podeszłam do jednej ze środkowych.

– Powinniście na środku waszego ekranu zobaczyć mały kwadrat – mówiła doktor Tarsus, gdy siadałam w metalowym fotelu mojej kapsuły. Czulałam, jak dopasowuje się pode mną i z tyłu, wysuwając o kilkanaście centymetrów i dopasowując do kształtu kręgosłupa.

– Przyciśnijcie go mocno kciukiem – instruowała. – Wasz terminal się uaktywni.

Ekran, o którym mówiła, był podłużny i zaokrąglony jak dziób samolotu. Kiedy nacisnęłam kciukiem kwadracik, kapsuła zasunęła się, zamykając mnie w środku. W ciągu kilku sekund zarówno powierzchnia, której dotknęłam, jak i otaczające mnie ściany stały się zupełnie przezroczyste, jakby szklane. Widziałam przed sobą innych uczniów, siedzących rzędem naprzeciwko mnie pod równie przezroczystymi osłonami. Doktor Tarsus usadowiła się na stołku z przodu sali.

Wstała i krążąc po klasie zaczęła mówić:

– Jak wyjaśnił wczoraj dziekan Atwater, ten program jest wyjątkowy pod względem kontekstu. Owszem, jesteście tu, by zdobywać wiedzę. Uczyć się, kto, co, gdzie i dlaczego w literaturze, historii, matematyce, psychologii i naukach ścisłych. Jesteście tu jednak także po to, by zdobyć coś o wiele cenniejszego od wiedzy i znacznie trudniejszego do opanowania.

Umilkła, żeby wzmocnić efekt.

– *Phronesis* – powiedziała po chwili. – Rozwagę. Praktyczną mądrość. Umiejętność dobrego życia.

Przekonała mnie ta idea. Praktyczna mądrość. Tego mi było trzeba. Przekonania, że dokonuję najlepszych możliwych wyborów bez konsultacji z aplikacją w moim handheldzie. Zdana na siebie zawsze wahałam się i kluczyłam, rozpatrując swoje decyzje jeszcze przed ich podjęciem. To z tego powodu nigdy nie znosiłam sportu. I ogrodnictwa. I sztuki. To z tego powodu posługiwałam się Luxem za każdym razem, gdy musiałam dokonać wyboru, od błahego po znaczący. Brakowało mi pewności, że jestem na właściwej ścieżce, że idę ku czemuś ważnemu.

Wiedziałam, co powiedziałyby Beck. Że „mądry geniusz” to oksymoron. Że najwięksi sportowcy, najbardziej utalentowani artyści i najwybitniejsi myśliciele kierowali się nosem. Czy nie to właśnie proponowała doktor Tarsus? Nos, któremu mogłabym zaufać.

Nie zastępuj prawdy kłamstwem.

Cała zeszytniałam, uświadomiwszy sobie ten głos. Usłyszeć go raz to nic. Ślepy traf. Oto jednak wrócił, po niespełna dwudziestu czterech godzinach, zagadkowy i niepokojący, i nawet głośniejszy niż dzień przedtem. Gdzieś we mnie zaczął się rodzić strach. Czemu tak się dzieje?

Opanuj się, nauczyłam samą siebie. Zwątpienie to jeszcze nie powód, żeby panikować, o ile umie się je wyłączyć, inaczej niż tamto francuskie dziewczę z czasów średniowiecza, które spłonęło przez nie na stosie. Nie raz to słyszałam. Można się z nim gładko uporać. Jeśli je

zignoruję, jakuczono mnie w dzieciństwie, w końcu da mi spokój, jak dawało tak długo.

Doktor Tarsus wciąż mówiła. Zaczęłam powtarzać sobie w duchu jej słowa, żeby zagłuszyć Zwątpienie, nadal odbijające się echem w mojej głowie.

– Filozofowie starożytnej Grecji, a zwłaszcza Arystoteles, rozumieli, że *phronesis* nie zdobywa się w próżni – wyjaśniała. – Ani na przykład w klasie. Wierzyli, że *phronesis* trzeba sobie wypracować poprzez własne doświadczenia.

Wyjęła z kieszeni spódnicy miniaturowego pilota i napisała coś na jego ekranie. Ściany naszych kapsuł natychmiast straciły przejrzystość. Zrozumiałam teraz, że kapsuła jest dźwiękoszczelna, a głos nauczycielki dochodzi przez głośniczki nade mną.

– Symulacje, jakie teraz wykonamy, dostarczą wam takich doświadczeń – powiedziała, a mój ekran się włączył.

Z ulgą zwróciłam uwagę na coś innego i mocno skupiłam się na widocznym obrazie. To było Nob Hill w San Francisco, zdjęcie z poziomu ziemi. Nigdy tam nie byłam, ale dzięki filmom i telewizji rozpoznałam stromy stok i linię tramwajową. Obraz się zmienił i pojęłam, że to nie fotografia, a film wideo nakręcony z punktu widzenia pieszego czekającego z kilkoma innymi osobami na przystanku tramwajowym. Kamera musiała być na okularach operatora lub umocowana między jego oczami, bo widziałam to samo co on, kiedy się rozglądał, zerkał na swój handheld, a nawet gdy przykucał, żeby zawiązać sznurowadło w butcie – męskim converse one star.

– Nasze symulacje różnią się formatem, ale zasada, według której jako klasa wchodzimy w interakcję, generalnie pozostaje ta sama – kontynuowała doktor Tarsus. – Kabin, w których przebywacie, są wyposażone w technologię audio, tak zaprojektowaną, by ułatwiała nam dyskusję. Wy, oczywiście, wszyscy mnie słyszycie. Ja mogę rozmawiać naraz tylko z jednym z was. System audio w kabinach jest tak skonfigurowany, żeby nagrywać wasze odpowiedzi i emitować je przez głośniki w kolejności, w jakiej zostały odebrane, bym z kolei ja mogła na nie odpowiedzieć lub nie, jeśli uznam to za stosowne. Nie musicie czekać na wywołanie do odpowiedzi, nie ma też obaw, że będziecie sobie wzajemnie przerywać. Mówcie, gdy będziecie mieli coś do powiedzenia. Jeżeli dyskusja zejdzie na manowce, zacznę kierować pytania do konkretnych uczniów i w takim przypadku to odpowiedzi innych uczniów będą rejestrowane, a ich odtworzenie opóźniane, aż odpowie osoba wywołana przeze mnie.

Przerwała, a ja wyobraziłam sobie, że rozgląda się po sali. Czy od jej strony ścianki też były nieprzejrzyste, czy może nas widziała? Na wszelki wypadek przywołałam na twarz miły uśmiech.

– Są pytania? – zapytała.

Potrząsnęłam przecząco głową, ze wzrokiem przykuty do ekranu. Była tam rodzina z trójką dzieci, w tym jednym w wózku, którego kółko utknęło na torach tramwajowych.

– Doskonale – powiedziała doktor Tarsus. – Zacznijmy.

Obrazowi natychmiast zaczął towarzyszyć dźwięk. Słyszałam teraz uliczny gwar, warkot samochodów, młot pneumatyczny walący w asfalt gdzieś w pobliżu. I płacz niemowlęcia. Dziecka w wózku tkwiącym na torach. Rodzice jeszcze nie uwolnili kółka i chyba mieli problem z wydostaniem dziecka. Tuż obok mnie otyły mężczyzna w bermudach i T-shircie gmerał przy pasku. W oddali zadzwonił tramwaj. Doktor Tarsus określiła to jako symulację, przyjąłem więc, że wszystkie szczegóły są ważne i na każdy zwracałam uwagę. Na czym jednak polegał ten test?

Znów zabrzmiał dzwonek tramwaju, tym razem głośniejszy. O wiele bliżej. Odruchowo odwróciłam głowę w kierunku tego dźwięku, a kiedy to zrobiłam, widok się zmienił. Zamrugałam. Czyżbym kontrolowała kamerę? Odwróciłam głowę w przeciwną stronę i kamera podążyła za moim wzrokiem. Poczulałam na potylicy dotyk zagłówka i pojęłam, że musi być wyposażony w czujniki ruchu. Już zaczynałam przebierać nogami – ciekawa, czy skłonię kamerzystę do marszu – gdy po raz trzeci usłyszałam dzwonek, tym razem tak głośny, że głowa sama szarpnęła mi się w prawo. Tramwaj już wjechał na stoki i teraz toczył się w dół. Ku niemowlakowi w wózku.

Doładnie wtedy obraz zamarł i z głośniczków dobiegł głos doktor Tarsus.

– Oto fakty. Kółko wózka, który widzicie, zablokowało się w szynie w taki sposób, że nie da się go wyjąć bez rozmontowania całego wózka, co przy użyciu odpowiednich narzędzi zajęłoby cztery i pół minuty. W tramwaju zjeżdżającym w jego stronę właśnie nastąpiła awaria hamulców. Jeśli nie uda się go zatrzymać, uderzy w wózek za czterdzieści dwie sekundy, jadąc z prędkością dziewięćdziesięciu siedmiu kilometrów na godzinę. Niemowlę w wózku jest przypięte pasem, którego klamra się zaklinowała – mówiła tonem obojętnym, niemal ze zdudzeniem, jakby przedstawiała prognozę pogody. – Jeżeli tramwaj uderzy w wózek, kąt tego uderzenia sprawi, że wagon wypadnie z szyn, zabijając co najmniej pięciu pasażerów, w tym dwoje dzieci, oraz dwóch przechodniów. Niemowlę i jego rodzice, którzy odmówią odejścia od dziecka, też poniosą śmierć, podobnie jak pozostała dwójka dzieci, które zmiażdży przewracający się wagon. Jedyнным sposobem uniknięcia takiego rozwoju wydarzeń jest wykojenie tramwaju, zanim osiągnie on prędkość sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Obecna jego prędkość wynosi czterdzieści osiem kilometrów na godzinę.

Oczy rozszerzyły mi się z przerażenia. Wiedziałam, że to, co oglądamy, nie jest rzeczywiste, lecz nie miało to znaczenia. Ten scenariusz kojarzył mi się z komputerowymi quizami z moralności, jakie Beck pasjami rozwiązywał. Tyle że wtedy nie słyszało się płaczu dziecka, o które toczyła się gra, ani nie widziało rozpacz na twarzach rodziców.

– Mężczyzna obok ciebie waży dwieście dwadzieścia kilogramów – kontynuowała doktor Tarsus. – Jest niewidomy i głuchoniemy. Ty, student trzeciego roku medycyny, jesteś jego opiekunem, pójdzie więc tam, doład go poprowadzisz. Jeśli w ciągu najbliższych dziesięciu sekund

wejdzie na tory, tramwaj uderzy w niego z prędkością pięćdziesięciu dwóch kilometrów na godzinę i zatrzyma się, zanim dojedzie do wózka. W obliczu stojących przed tobą wyborów; co jest najroztropniejsze?

Chwilę później mój ekran ożył i znów mogłam działać. Odwróciłam się w prawo i naprzeciwko miałam teraz grubasa, wyraźnie czekającego na jakiś mój sygnał. Tramwaj znowu zadzwonił. Przeniosłam wzrok na rodziców, gorączkowo szarpących wózek. Czy udałoby się ich przekonać, żeby odsunęli się od torów? Rzut oka na ich wykrzywione desperacją i panicznym lękiem twarze i miałam odpowiedź. Nie było sensu próbować. Przyjrzałam się uważnie okolicy w poszukiwaniu innej opcji. Po drugiej stronie torów znajdowało się stoisko z hot dogami, a za nim sprzedawca w pasiastym kapeluszu. Stoisko było na kółkach. Czy ważyło tyle, co grubas? Nie miałam pojęcia, ale wydało mi się to wątpliwe. Gwałtownie odwróciłam głowę ku wózkowi. Pomogę im go odblokować? Poruszyłam nogami, jakbym biegła w miejscu, momentalnie wprawiając kamerę w ruch. Pognałam. Chwilę później byłam już przy nich.

Kółko zakleszczyło się w szczelinie koło stalowej szyny. Zamiast je wyciągnąć, spróbowałam popchnąć. Kółko przetoczyło się, przesuając wózek o kilkanaście centymetrów.

– Pchajcie wózek w tę stronę! – zawołałam, na chwilę zapominając, że krzyczę do ludzi wygenerowanych przez komputer. Jak mieliby mnie usłyszeć? Wyglądało jednak na to, że usłyszeli. Natychmiast się wyprostowali i zaczęli pchać wózek w dół torów. Popędziłam do stoiska z hot dogami. Ważyło mniej od grubasa, nie powstrzymałoby więc tramwaju równie szybko, ale mogłoby go choć spowolnić i może, gdyby rodzice zdążyli dostatecznie daleko zepchnąć wózek, wagon zatrzymałby się, zanim do nich dotrze. Musiałam spróbować. Nie mogłam wysłać głuchoniemego ślepcę pod nadjeżdżający tramwaj.

– Pomóż mi przepchnąć ten wózek! – krzyknęłam do sprzedawcy.

– W życiu! – wrzasnął. Złapałam rączkę wózka i szarpnęłam. Ani drgnął.

Cholera. Według licznika u dołu mojego ekranu upłynęło już dwadzieścia jeden sekund. Tramwaj się zbliżał. Trzeba było coś zrobić. I to szybko.

Obróciłam się wkoło, wypatrując czegoś, co mogłabym wepchnąć pod tramwaj, lecz niczego takiego nie było. Tylko tłuszczoch i wózek

I ja.

Gdy licznik zbliżał się do czterdziestki, pobiegłam na środek torów i zacisnęłam powieki, nastawiając się na uderzenie. Żadnego, oczywiście, nie odczułam. Tylko dźwięk brzęczka i symulacja dobiegła końca. Otworzyłam jedno oko. Na ekranie widniał napis: LICZBA ZGONÓW: 2. Moje „zwłoki” leżały pod tramwajem, zmiażdżone i zakrwawione. Ojciec dziecka też zginął, przygnieciony zderzakiem wagonu. Kiedy okazało się, że moje ciało to za mało, żeby zatrzymać tramwaj, próbował mi pomóc. Jego żona, niemowlak i pozostała dwójka żyli. Tak

samo jak grubas, który stał przy torach, obojętny na wszystko.

Ekran poczerśniał, a potem pojawiła się na nim lista. Lista uczniów naszej klasy, całej dwunastki, uszeregowana według liczby zgonów. Siedem osób poradziło sobie lepiej niż ja, zaliczając tylko jeden. Grubasa. Ich oceny wieńczyły krzywą, spychając moją gdzieś na środek. Inni wcale nie interweniowali i tramwaj, zgodnie z zapowiedzią Tarsus, zabił całą rodzinę. Rozluźniłam pięści i rozprostowałam plecy. Miejsce na środku krzywej miało swoje zalety. Nie rzucałam się w oczy. Ściany kapsuły znów stały się przezroczyste i mogłam widzieć Tarsus pod przednią ścianą sali.

– Jak przy wszystkich symulacjach, które rozpatrzemy na tych zajęciach – doleciał do mnie przez głośniczki jej głos – celem ćwiczenia było to, co ekonomiści i znawcy nauk społecznych nazywają „skutkiem pozytywnym netto”. Ci z was, którzy poświęcili grubasa, ten rezultat osiągnęli. Spośród postaci uczestniczących w tym scenariuszu on miał najniższy poziom użyteczności. Niewidomy, głuchoniemy i z nadwagą, w bardzo niewielkim stopniu przyczynił się do społecznego dobrobytu. Zatrzymanie tramwaju przy pomocy tego człowieka było więc działaniem roztropnym. Z dostępnych dla was opcji tylko ta jedna powodowała „skutek pozytywny netto”.

– Dlaczego był „pozytywny netto”? – zapytał ktoś. – To znaczy, hm, była to najlepsza opcja z dostępnych, ale jednak zginął człowiek.

– Celne stwierdzenie – przyznała Tarsus. – Zginął człowiek. Tyle tylko, że ten osobnik był dla społeczeństwa ciężarem. Wydatkiem w ramach ubezpieczeń społecznych. Jego śmierć stanowiła więc zysk dla społeczeństwa jako całości.

Aż mną rzuciło. Śmierć tego biedaka miała być zyskiem tylko dlatego, że był niepełnosprawny i miał nadwagę?

– Ta symulacja oparta została na starym hipotetycznym problemie etycznym, zwanym adekwatnie „dylematem tramwaju”². Posługuję się nią co roku na pierwszych zajęciach i za każdym razem moi uczniowie zasadniczo dzielą się na dwie grupy – jedni poświęcają grubasa, drudzy nic nie robią. – Umilkła i spojrzała dokładnie na moją kapsułę. – W tym roku jednakże jedno z was okazało się kreatywne.

Kreatywne, nie brzmi źle, powiedziałam sobie. Kreatywne to...

– Rory – powiedziała, a ja cała zeszywniałam. Tyle w temacie niewyróżniania się. – Ty spróbowałaś zatrzymać tramwaj własnym ciałem. Ze wszystkich w tym scenariuszu ty miałaś najwyższą wartość użytkową, a zaraz po tobie ojciec tego dziecka, prominentny przedsiębiorca, którego również zabiłaś. – Jej ton ociekał jadem. Skuliłam się w kapsule. – Masz kompleks bohatera?

Uznałam to pytanie za retoryczne, chwilę więc trwało, zanim pojęłam, że oczekuje ode mnie

odpowiedzi.

– Och, n-nie... – zająknęłam się. – Ja ty lko...

– Bohaterstwo to utajony narcyzm – stwierdziła, przerywając mi w pół słowa. – Narcyzów zaś nie stać na obiektywizm, którego wymaga roztropność. Jeśli więc chcesz dowiedzieć, że jesteś warta przebywania tutaj, sugeruję, żebyś czym prędzej poskromiła samozachwyty.

Odwrociła wzrok od mojej kapsuły i przeszła dalej. Przez resztę zajęć nawet nie spojrzała w moją stronę. *Warta przebywania tutaj*. Zdrowo mi przywaliła.

Żeby zdążyć na następne zajęcia, musiałam się przebić przez kampus. Kiedy weszłam, nauczyciel stał na krześle, borykając się ze sznurem papierowych lampionów, który zawiesił pod sufitem. Jego sala wyglądała tak, jak powinna wyglądać klasa, z rzędami metalowych ławek i pojedynczym ekranem na przedniej ścianie. O tym, że nie jesteśmy już w szkole publicznej, przypominały jedynie stanowiska dla handheldów, wbudowane w prawy górny róg każdego biurka. Ulokowałam tam gemini. Moje nazwisko, wyświetlone na ekranie na liście obecności, z czerwonego zmieniło się w zielone.

– Witajcie na psychologii poznawczej – powiedział nauczyciel, gdy wszyscy usiedliśmy. – Jestem pan Rudman. Wy, ludzie, możecie jednak nazywać mnie Rudd.

Był młody, wyglądał mi na dwudziestokilkulatka, a w hipsterskich okularach w rogowej oprawie i trampkach ani trochę nie onieśmiał tak, jak doktor Tarsus. Był fajny, w stylu maniaków technicznych z Seattle. Starsza, bardziej jajogłowa wersja gościa, z którym miałam do czynienia w swoich stronach. Ta swojskość rozbrajała. Trochę się nawet rozluźniłam.

– Na naszych zajęciach przyjrzymy się temu, jak ludzie odczuwają, zapamiętują, myślą, mówią i rozwiązują problemy – wyjaśnił Rudd. – Zbadamy pracę mózgu, jego ograniczenia i to, jak spotęgowanie tych ograniczeń może doprowadzić do psychozy.

Wcisnął guzik na swoim handheldzie i na ścianie za nim wyświetlił się formularz. Lewą kolumnę stanowiła lista dwudziestu czterech zaburzeń umysłowych, w porządku alfabetycznym, od ADHD po trichotillomanię. Prawa kolumna była pusta. Zerknęłam na biurko i zobaczyłam, że na gemini wyświetlił się ten sam obraz.

– Wybór tematów do waszej pierwszej pracy zaliczeniowej – oznajmił Rudd. – Do oddania w ciągu pięciu tygodni. Po prostu wpiszcie swoje nazwisko obok zaburzenia, które chcielibyście zbadać, i kliknijcie „potwierdź”. I bez obaw; jeśli nie możecie się zdecydować lub jest wam wszystko jedno, u dołu waszych ekranów jest klawisz autoselekcji, który umożliwi zdanie się na Luxa. – Jeszcze raz kliknęłam w ekran i lista tematów pozieleniała. – Szczęśliwych wyborów.

Studiowanie listy zaczęłam od góry. W oko wpadł mi trzeci temat: „Akratyczne Zaburzenie Parakazyjne (AZP)”.

Wybierz je.

Głos był kategoryczny, wprost cichy krzyk Drugi raz w ciągu dwóch godzin. Wszystko we mnie stężało, a w głowie nieustającym refrenem zatętniły słowa rymowanki, którą śpiewałam jako dziecko: *I ty, dziewczynko, też, Zwątpienia strzeż się, strzeż.*

Czoło na linii włosów pokryło mi się potem. Nie słyszałam tego głosu od jedenastych urodzin, a teraz, w ciągu niespełna doby, już trzykrotnie. Mocno potrząsnęłam głową, żeby się w niej przejaśniło. *Nie rób z tego wielkiego halo. Niech Lux sam zdecyduje i będzie po sprawie.*

Kliknęłam klawisz autoselekcji i moje nazwisko, teraz szare, pojawiło się przy „Klaustrofobii”. Pozostało mi tylko wcisnąć „potwierdź”. Wróciłam szybko spojrzeniem do tematu numer trzy. Miejsce obokniego wciąż jeszcze było puste.

Wybierz je.

Jak na ironię, Zwątpienie namawiało mnie, bym wybrała Zwątpienie. O nie właśnie chodziło w AZP. Tym terminem medycznym określano dorosłych słuchających przysłowiowego „wewnętrznego głosu”. Poznałam go kiedyś dzięki rodzicom Becka. Tej właśnie diagnozy desperacko pragnęli nigdy nie usłyszeć.

Kiedy byliśmy dziećmi, rodzice Becka często żartowali z głosu, który on słyszał, pytając, co Zwątpienie chciałoby na kolację, czy Zwątpieniu smakują lody czekoladowe albo czy Zwątpienie życzy sobie kruche ciasteczko do mleka, na co Beck zawsze cierpliwie odpowiadał, że Zwątpienie jest duchem, a duchy nie jedzą, bo nie mają ciała. Kiedy dorosliśmy i wszyscy inni nauczyli się ignorować ten głos, jego rodzicom nie było już do śmiechu. Zaprowadzili Becka do psychiatry, który zapisał lek przeciwpsychotyczny Evox i zalecił absorbowanie umysłu poprzez zapieprz przy zajęciach pozalekcyjnych oraz dłuższe interaktywne przesiadywanie w sieci. Beck zignorował jego rady i głos dalej przemawiał. Rodzicom mówił, że już go nie słyszy i mogą dać mu spokój, ale ja widziałam, że się martwią. Za mało jednak wiedziałam o tym schorzeniu, żeby zrozumieć dlaczego. Teraz zapragnęłam dowiedzieć się więcej. Tym bardziej że znowu słyszałam ten głos.

Mój palec wisiał nad klawiszem „Potwierdź”, a nazwisko, wciąż szare, widniało obok „Klaustrofobii”. Co sprawiało, że mój wybór AZP jako tematu pracy zaliczeniowej należało uznać za nierozumny? Niewątpliwie bowiem należało, bo tak właśnie działało Zwątpienie: krałdo człowiekowi myśli, dopóki nie odrzucił wszystkiego, co zdrowy rozum przedstawiał mu jako słuszne. Zaciękawiona, przewinęłam rekomendacje Luxa, żeby się przekonać, na którym miejscu umieścił AZP.

Najniżej, jak by było to możliwe.

– Trzydzieści sekund – oznajmił Rudd. Lista szybko się zapełniała.

Wybierz je.

Nie słucham Zwątpienia, powiedziałam sobie. Chronię siebie przed nim. W końcu wiedza to

potęga. I zanim ponownie to przemyślałam, wpisałam swoje nazwisko przy temacie numer trzy, po czym kliknęłam potwierdzenie.

1. Przełożył Władysław Witwicki. [\[wróć\]](#)
2. Klasyczny już eksperyment myślowy z zakresu etyki, zaprezentowany w 1967 r. przez Philippę Foot i będący potem przedmiotem licznych analiz. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 6

Głupcowi pisane jest powtarzać historię. Mądry człowiek ma dość rozumu, by tego unikać. Mój pan od historii, żyłasty siwowłosy siedemdziesięcioparolatek, omawiał plan zajęć w tym semestrze, ale słuchałam go jednym uchem. Podczas gdy wszyscy inni posłusznie przelopywali się przez sylabus, ja siedziałam w Panoptikonie, z zamętami w głowie, niezdolna do sformułowania ani jednej spójnej myśli. Wpis o AZP czytałam już wcześniej, teraz jednak nabierał nowego znaczenia.

Akratyczne Zaburzenie Paraluzyjne: (gr. *akrasia*, „nieopanowanie”, *pará* + *acusia*, „obok słuchu”) – **zaburzenie umysłowe** charakteryzujące się uporczywymi **aracjonalnymi omamami słuchowymi** objawiającymi się jako pojedynczy głos. Głos ten, potocznie nazywany „Zwątpieniem”, znany jest większości zdrowych dzieci w wieku dojrzewania i może mieć związek z gwałtownym rozwojem **synaps** w **korze przedczołowej** w początkach okresu dojrzewania. Późniejsza obecność tego głosu wskazuje natomiast na predyspozycje do **Akratycznego Zaburzenia Parakuzyjnego**, czyli **AZP**. Diagnozę stawia się w oparciu o zaobserwowane zachowanie oraz historię pacjenta. Mimo iż konkretna przyczyna zaburzenia pozostaje nieznana, do czynników zwiększających ryzyko jej wystąpienia zalicza się **dziedziczność AZP**, przedłużające się okresy **znacznego stresu**, **rozchwianie emocjonalne** oraz **rozłąkę z bliskimi**. Wcześniej rozpoznanemu AZP można **przeciwdziałać** przy pomocy **leków przeciwpsychotycznych**. Bez opieki farmaceutycznej mózg dotknięty akrazją czeka szybka **degeneracja**, a w efekcie zachowania **autodestrukcyjne** oraz **demencja**.

Kątem oka spostrzegłam nauczyciela.

– Jakież pytania? – rzucił, patrząc właśnie na mnie.

Zaprzeczyłam nieznacznym ruchem głowy. Przestał na to i ruszył dalej. Zamknęłam Panoptikon i rozłożyłam sylabus, ale nijak nie mogłam się skoncentrować. Wzrok mi się mącił i na czytanej stronie raz po raz widziałam słowa *predyspozycje*, *degeneracja* i *demencja*.

Od tak dawna bałam się o zdrowie psychiczne Becka. A może powinno mnie niepokoić moje własne? W pół godziny po tym, jak postanowiłam ignorować głos, zrobiłam dokładnie to, do czego mnie nakłaniał. *Nie posłuchałam głosu*, upomniałam sama siebie. *Miałam absolutnie racjonalny powód, żeby jako temat pracy wybrać AZP*. Nieważne, sam fakt, że w ogóle słyszałam ten głos, kompletnie mnie rozstroił. Myśli tłukły mi się w głowie jak w pułapce bez wyjścia. Trzecia lekcja

przeszła jako mętliskłów, które do mnie nie docierały. Musiałam wziąć się w garść, i to szybko.

Nie byłam głodna, ale i tak poszłam na obiad, w ślad za grupką dziewczyn, z którymi miałam historię i które chyba znały się z obozu letniego. Ktoś otworzył okna stołówki i dolatujący stamtąd gwar odbijał się od murów wokół dziedzińca.

Ledwie weszłam, zamachała na mnie Hershey. Stała przy barze sałatkowym, ładując na talerz z ciemnego metalu kopiastrą porcją sałaty. Sądząc po uśmiechu malującym się na jej twarzy, poranny kiepski nastrój minął.

– Mam jazdę na punkcie tych talerzy – powiedziała, gdy podeszłam.

Sięgnęłam po jeden. Był tak zimny, że aż szczypał w palce. Kiedy obracałam go w dłoniach, głowiąc się, z czego został zrobiony, zauważyłam wytrawione na jego powierzchni grube i połyskliwe G. Gnosis nie ograniczyła się do ufundowania gadżetów w klasach; wyposażyla też stołówkę.

– Czad – stwierdziłam obojętnie. Po takim poranku, jaki miałam za sobą, ciężko było zachwycać się talerzem.

Hershey od sałaty przeniosła się do ogórków. Poszłam za nią, mechanicznie przerzucając dodatki na talerz. Wszystko w barze sałatkowym było radosne, kolorowe i świeże, organiczne, co potwierdzał certyfikat, pochodzące z pobliskiej farmy, ale nadal nie czułam głodu. Zwątpienie odebrało mi apetyt.

– Jak my ślisz, jest singlem? – zapytała Hershey. Zza gorących dań wyłonił się Rudd.

– To nauczyciel.

– Ale nie mój – odparła Hershey, szturchając mnie biodrem. – I nie nosi obrączki.

Poruszyła znacząco brwiami i skierowała się ku makaronom, ja zaś rozejrzałam się, gdzie by tu usiąść. U siebie nigdy nie korzystałam ze stołówki. My z Beckiem zawsze spędzaliśmy przerwy poza kampusem, wyłamując się z hierarchii społecznej. Stojąc teraz z tacą, przypomniałam sobie dlaczego. Sterczałam samotnie, przestępując z nogi na nogę. Nie było wolnych stolików.

– No, chodź – powiedziała Hershey, przechodząc za mną z tacą.

Miałyśmy stolik przy oknie, z dwiema dziewczynami z sekcji Hershey, Rachel i Isabel. We trzy więc obgadywały resztę ich nowych znajomych oraz gust opiekunki, podczas gdy ja zabierałam się do sałatki.

– Uch, niezła jesteś – odezwała się do mnie Isabel. Była jasną blondynką i nosiła okulary, które, na bank, kosztowały więcej niż cała moja garderoba.

– Ja nie trzymam diety – wyjaśniła, wsłazując swoją tacę z na w pół zjedzonym cheeseburgerem, prawie przywalonym stertą frytek i górą makaronu z serem. – Ważę sześć i pół kilo więcej, niż zaleca Lux. Wiem, że powinno mnie to ruszyć i zmotywować, żeby coś zrobić, ale widzisz, trochę mi to wisi. Lubię siebie taką, jaka jestem. Lubię też smak frytek – Przyjrzała

się mojej sałatce. – Założę się, że ty nawet nie musiałaś pytać Luxa. Dlatego jesteś, jaka jesteś, połowa mnie.

Już miałam jej powiedzieć, że właściwie to nie znoszę sałatek, kiedy usłyszałam mamrotanie Hershey:

– Ratunku, chyba zasypiam.

– Cześć, dziewczyno. – To Liam, serdecznie uśmiechnięty, wpałował się na puste miejsce obok mnie. – Jak tam pierwszy dzień w szkole?

– Ekstra – odpowiedziała Hershey, starając się, żeby zabrzmiało w tym i zdumienie, i sarkazm.

Liam i tak chyba ich nie zauważył.

– Liam, tłumaczysz młodym damom, co i jak?

Słyszac głos dziekana, Liam natychmiast się wyprostował, a choć nadal siedział, zrobił się jakby wyższy. Zza naszych pleców wyłonił się dziekan Atwater. Hershey uśmiechnęła się ironicznie. Najwyraźniej widziała go nadchodzącego, wołała jednak nic nie mówić.

– Jak tylko potrafię – odparł swobodnie Liam ze wzrokiem utkwionym w Hershey.

– Ta dama raczej nie potrzebuje twojej pomocy – stwierdził dziekan Atwater.

Zerknęłam na Hershey, oczekując jakiegoś zgrabnego komentarza, ona jednak tylko gapiała się na mnie. Podobnie jak tamte dziewczyny. Podniosłam oczy na dziekana Atwatera. On również patrzył na mnie.

– Jesteś naszą jedyną tegoroczną Heptą – powiedział, gdy spotkaliśmy się wzrokiem.

Hepta. W grece to przedrostek odnoszący się do liczby siedem. Sprawdziłam to, gdy zobaczyłam go w swoim liście akceptacyjnym, w rubryce „kwalifikacja akademicka”. Oznaczał, że mam wrodzone predyspozycje do wszystkich siedmiu sztuk wyzwolonych. Założyłam wówczas, że w Theden to normalka.

– Na naszym roku nie ma ani jednej – oznajmił Liam, nawet nie próbując ukryć zaskoczenia.

– Na wcześniejszym też nie było – dodał dziekan Atwater. – Co czyni Rory kimś wyjątkowym.

Położył mi rękę na ramieniu. Oczy Hershey zwięzły się w szparki.

– Och – westchnęłam, nie wiedząc, co powiedzieć.

Nic po sobie nie dawałam poznać, ale w środku pękałam z dumy. Kimś wyjątkowym. Tutaj. W Theden. Dziekan Atwater uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Dawne dzieje cię nie zniechęciły. To godne pochwały.

Poklepał mnie po ramieniu i poszedł.

– Łał – powiedziała Isabel, patrząc na mnie zza granatowych oprawek – Mój starszy brat był tylko Helsą, a tato robił z tego wielką sprawę.

Obie dziewczyny dotąd mnie ignorowały, teraz jednak wpatrywały się we mnie z mieszaniną podziwu i szacunku. Spojrzenie Hershey było uważniejsze. Skupiła się na odniesieniu do dawnych

dziejów, próbując je rozgryźć.

Podobnie jak ja.

– No, większość dzieciaków w Theden to Penty – powiedział Liam z cieniem niezauważalnej wcześniej złości w głosie. – Z predyspozycjami do pięciu. – Sądząc z jego zachowania, sam był Hekszą. Z predyspozycjami do sześciu sztuk

Przy stoliku na dłuższą chwilę zapadła cisza. Wszyscy wciąż jeszcze wpatrywali się we mnie.

Potem Hershey odsunęła krzesło i wstała.

– Widzimy się później – rzuciła, następnie odwróciła się i wyszła dumnym krokiem. Liam odprowadził ją wzrokiem.

Druga dziewczyna, Rachel, też patrząc na oddalającą się Hershey, przewróciła oczami.

– Zazdrość, to takie dziecinne – powiedziała. – Ja, na przykład, myślę, że to czad, że jesteś Heptą.

Jej uśmiech wydawał się szczery, zrewanżowałam się więc tym samym.

– Dzięki – odpowiedziałam. – Nie jestem pewna, czy rozumiem, co to znaczy, czy raczej, czemu to...

– Znaczy, że jesteś do tego zrodzona – przerwał mi Liam.

– Do czego zrodzona? – spytałam.

Popatrzył na mnie, jakby to było oczywiste.

– Do wielkości – wyjaśnił.

Wyszłam ze stołówki, jeszcze mocniej zdecydowana na ucieszenie Zwątpienia. Skoro byłam Heptą, mój mózg niewątpliwie był zdolny uporać się z tym drobnym zaburzeniem synaptycznym, które sprawiało, że je słyszę.

– Potrzebuję kofeiny – powiedziałam Luxowi, idąc po ostatnich zajęciach przez dziedziniec. Fakt, że było to pierwszy dzień w szkole, nie powstrzymał nauczycieli od zasypania nas pracami domowymi.

– Stoisko z kawą w stołówce otwarte jest do dziewiątej – usłyszałam w odpowiedzi.

Na ekran natychmiast wskoczyły rekomendacje, z waniliowym cappuccino na szczycie listy. Tyle tylko, że kolejka do stoiska z kawą sięgała już schodów prowadzących do stołówki. Wsunęłam telefon do torebki i nawet tam ruszyłam, ale się zatrzymałam. Tyle samo, ile czekanie na napój, zajęłoby mi wypad do miasteczka i z powrotem. Co więcej, uniknęłabym pogaduszek z okupującymi koniec kolejki idealnie miły mi, ale i boleśnie rozmownymi dziewczynami z mojej grupy z historii.

Obrałam kurs na River City Beans, dzień wcześniej polecana przez Lux. Naprawdę to naszała mnie ochota na mieszanekę matchy, którą piłam w Paradiso, nie było jednak mowy, żebym miała się tam pokazać dzień po dniu. Ani usaty sfakcjonować Northa tym, że zamawiam jego napar.

Tym razem darowałam sobie cementarz, wybierając wędrówkę ulicą, przez spokojne osiedle mieszkaniowe i drewnianą kładkę na zwięzieniu rzeki. Zerwał się wiatr, szarpał drzewa, a ja dygotałam, żałując, że nie zabrałam swetra. Kiedy skręciłam w Main Street, słońce zniknęło za sinoczną chmurą. Kilka innych sunęło nad górami, zaciemniając niebo. W Seattle, choć ciągle padało, takich burzowych chmur nie widywaliśmy.

Oglądając się przez ramię na chmury, sięgnęłam po klamkę drzwi do River City Beans i nacisnęłam. Drzwi ani drgnęły.

W PONIEDZIAŁKI NIECZYNNE – informował napis w oknie.

Tyle jeśli chodziło o wiarę we wczorajszą poradę.

Przez chwilę rozważałam powrót na kampus przed nadejściem burzy, kiedy jednak niebo rozświetliła błyskawica, rozmyśliłam się. Paradiso było tylko dwie przecznice dalej i nawet stąd widziałam, że palą się tam światła. Będzie można przeczeakać.

Jak tylko otworzyłam drzwi, zobaczyłam Northa działającego przy ekspresie. Na brzęk dzwonka podniósł wzrok. Wbiłam oczy w podłogę, czując się głupio, że przyszedłam tu sama.

– Hej – zawołał North. – Nie wtrzy małaś?

Kiedy podniosłam głowę i napotkałam jego spojrzenie, uśmiechnął się. Cała jego twarz nabrała nowego wyrazu. W oczach miał tylko uśmiech i ani śladu wczorajszej ironii.

– Tak jakby – odpowiedziałam, akurat gdy gdzieś za mną przetoczył się grzmot. Zadrżałam i weszłam głębiej.

– Waniliowe cappuccino? – zażartował North, już sięgając po pojemnik z matchą. W uchu miał słuchawkę, połączoną przewodem z białym urządzeniem wielkości zapalek książkowych, które zaczepił o szlufkę džinsów. Widziałam na zdjęciach stare odtwarzacze MP3, doszedłam więc do wniosku, że to jeden z nich.

– Czego słuchasz? – spytałam.

– Cardamon's Couch – odrzekł, przebijając się przez syki spieniacza. – To miejscowa kapela. – Wyjął z ucha słuchawkę i podał mi ją. Musiałam nieco nachylić się nad barem, żeby sięgnęła mi do ucha. – Na mandolinie gra mój przyjaciel Nick. Gitara hawajska to jego brat.

Chwilę zajęło, nim połapałam się w tej piosence, jej nietypowej strukturze melodycznej i dotkliwie dołującej tonacji. Potem jednak wszystko naraz się zestroiło: przejmujące słowa, zapadająca w pamięć melodia, niskie brzmienie gitary hawajskiej i rozgorączkowana mandolina. Były też inne dźwięki, odgłosy trudne do określenia, niepokojące dudnienie, brzęki i kwilenia. Zakryłam słuchawkę dłonią i zamknęłam oczy, zatapiając się w tej muzyce. Kiedy refren dobiegł końca, zwróciłam słuchawkę Northowi.

– Są niesamowici – powiedziałam, wyjmując handheld i wklepując ich nazwę. – Mówisz, Cardamon's Couch? Umieszczę ich na swojej playlistce.

Na ekran wskoczyła strona profilowa zespołu. Nie mieli ani rankingów użytkowników, ani siedmiocyfrowej sprzedaży.

– Aha – mruknęłam, przechodząc do najoczywistszego wyjaśnienia ich małej popularności. – Są nowi.

North potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Trzeci album.

Przewinęłam niżej i zobaczyłam, że się nie mylił. Pierwszy wydali cztery lata wcześniej.

– Nie łapię – przyznałam zdumiona. – Czemu nikt ich nie słucha? Różnią się od innych, ale nie tak bardzo. I o wiele bliżej im do tego, co lubię, niż większości rekomendacji Luxa.

– Luxowi wisi, co lubisz – wytknął North. – Obchodzi go, co kupisz.

– Nie na jedno wychodzi?

– Rzadko. Ciągłe kupujesz nie takie rzeczy, jakie lubisz. Nie uświadamiasz sobie tego, bo jesteś zbyt zajęta przekonaniem siebie, że właśnie to uwielbiasz, tylko po to, żeby uzasadnić kupno. Hej, potrafisz pstrykać?

Nastawiłam się na kolejny wykład o szkodliwym wpływie tej aplikacji na życie codzienne, tym pytaniem zbił mnie więc z tropu.

– Co?

– Potrafisz pstrykać? – powtórzył. – Palcami.

Pokazał jak

– Chyba wszyscy potrafią?

– Zdziwiłabyś się – stwierdził, wlewając mleko sojowe do metalowego dzbanka. Ruchem głowy wskazał moją dłoń. – Posłuchajmy.

– Ma to jakiś sens?

– Owszem – potwierdził. – No już, pstryknij.

Pstryknęłam. Szeroko się uśmiechnął.

– To się nazywa doskonale pstryknięcie – powiedział. Włączył dyszę parową.

– Czemu właściwie tak cię interesuje, jak pstrykam? – zapytałam, przytykając handheld do skanera kasy, żeby zapłacić za napój. Nie piknęło, spróbowałam więc raz jeszcze, lekko machając moim gemini przed sensorem. Nadal nie piknęło.

– Ja stawiam – oznajmił North, znów przebijając się przez syk pary. – To znaczy, o ile weźmiesz na wynos.

– Łapówka, żeby mi sobie poszła?

Wcisnął przy cisku syzenie ustało.

– Nie. Łapówka, żebyś poszła ze mną.

Zrobiło mi się lekko niewyraźnie.

– Dokąd?

Spojrzał w bok, na okno wykuszowe. Ogolona na łyso dziewczyna w firmowym T-shircie Paradiso uwijała się przy korbie, by je zamknąć, a za szybą groźnie mignęła błyskawica.

– Zobaczysz – powiedział tajemniczo, precyzyjnym okrężnym ruchem wlewając do kubka spienione mleko.

Kilkoma kolejnymi ruchami nadgarstka nakreślił na pianie idealny liść. Przeniosłam wzrok na jego przedramię, na wytatuowane tam słowa. Pod tym kątem czytelny był tylko jeden wers. *Kto jest ten trzeci, który zawsze wędruje przy tobie?* Żadnej adnotacji więcej, niczego, co by wskazywało, czy sam to wymyślił, czy skądś przepisał.

– To T. S. Eliot ¹ – wyjaśnił North. Aż mną zatrzęsło.

– Skąd wiedziałeś...

– Jest wytatuowane na przedramieniu – powiedział, podając mi kubek – Po to, żeby czytano. Ale nie teraz, bo musimy iść. – Wcisnął na kubek pokrywkę.

– Zbiera się na deszcz – zauważyłam.

– To powinniśmy lecieć – stwierdził, szarpnięciem rozwiązując fartuch.

Za barem pojawiła się dziewczyna, którą wcześniej widziałam przy oknie. North przekazał jej fartuch.

– Lepiej się pospieszcie – powiedziała do niego. – W górach już pada.

– W samą porę.

Oczy aż błyszczały mu z podekscytowania.

– Zaczekaj tu – polecił mi. – Zaraz wracam.

Nie czekając na moją reakcję, zniknął w kuchni.

– Skąd znasz Northa? – spytała tamta dziewczyna, gdy tylko poszedł.

– Nie znam – odpowiedziałam. – A wiesz może, dokąd poszedł?

– Masz klucz od dolnej szafki?

North już wrócił, z plecakiem na jednym ramieniu i bluzą z kapturem przerzuconą przez drugie. Dziewczyna skinęła głową, po czym z kółka kluczy wypięła jeden i rzuciła mu. Złapał bez trudu.

– Daj mi swoją torbę – powiedział do mnie.

Potrząsnęłam głową przecząco.

– Nie mogę. Muszę się jeszcze pouczyć.

– Za niecałą godzinę wracamy – oświadczył, zdejmując mi torbę z ramienia. – Będzie jej tu dobrze. – Wyjmując z bocznej kieszeni torby gemini, zerknęłam na wyświetlacz. – Chyba że nie możesz obejść się bez swojej smyczy...

Popatrzył na mnie, unosząc brwi: kuśił. Już miałam mu powiedzieć, że nie wybieram się tam,

gdzie mu się marzy, i nic mnie nie obchodzi, czy wyjdę na sztyniarę. Nie dał mi dojść do słowa.

– Idę do chłopaków z Cardamon's Couch na nagrania – wyjaśnił ciszej. – I potrzeba nam kogoś, kto umie pstrykać. Miała to robić jedna nasza znajoma, ale wezwali ją do roboty. Nagralibyśmy bez tego, ale akurat się zjawiłaś, a że pstrykasz super... – Na zewnątrz głośno uderzył piorun. North przeniósł wzrok na okno.

– Wiesz, jeśli nie chcesz iść, nie ma sprawy – dodał, zakładając wolny pasek plecaka na drugie ramię. – Fakt, prawie się nie znamy. I tak muszę iść, więc...

Nawet nie próbował mnie namawiać.

Obejrzałam się z wahaniem na ciemniejące niebo. Miał rację, prawie go nie znałam. I czekało mnie odrabianie lekcji. Ale ta piosenka, którą mi puścił, była naprawdę dobra. No i byłam ciekawa. Kapeli. I jego.

Spojrzałam mu w oczy.

– Ile płacą za to pstrykanie?

Uśmiechnął się szeroko.

– Dożywołnio matcha gratis.

Wręczyłam mu torbę, potem spojrzałam na dziewczynę z ogoloną głową.

– Wiem, że pewnie jesteś mu winna lojalność, ale jeśli za półtorej godziny nie wrócę, daj znać na policję.

1. *Ziemia Jałowa*, przeł. Czesław Miłosz. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 7

Nad doliną wisiał dach z ciężkich chmur burzowych. Przy każdym grzmocie spodziewałam się z nich ulewy, wciąż jednak jeszcze nie padało.

– Dokąd idziemy? – zawołałam do Northa, gdy weszliśmy w las, przekrzykując szum drzew.

Z nerwów miałam w żołądku gulę. Nie przepadałam za spontanicznością. Ani za niespodziankami.

– Na cmentarz – odpowiedział, zatrzymując się, by pomóc mi zejść ze stoku.

– Na cmentarz?

– Wyjaśnię, kiedy już będziemy w środku – powiedział, wyjmując mi z rąk kubek. Zeszłam bokiem ze wzgórza, starając się nie pośliznąć, i zaczęłam na niego przy drucianym płocie, przez który dzień wcześniej przełaziłyśmy z Hershey. North kucnął obok mnie i sięgnąwszy pod odchylony róg siatki, postawił mój kubek po drugiej stronie. Sądząc po tym, jak wygnieciona była tam trawa, nie pierwszy raz to robił.

– W środku? – powtórzyłam. – W środku czego?

Wskazał nieduży budynek w centralnym punkcie cmentarza. Był wbudowany w stok wzgórza, tak że jego dach zarósł trawą, a wejście widziałam tylko częściowo. Dokładnie przed nim rosła jabłoń, taka jak ta na znaczniku wpiętym w mój but, zasadzona na kwadratowym spłachetku trawy wielkością równym temu budynkowi i ze wszy stkich stron otoczony m kamiennym chodnikiem.

– Lada chwila będzie lać, jeśli więc nie chcesz zmoknąć...

Splótł palce obu dłoni, tworząc stopień, i ruchem głowy wskazał moją nogę. Oparłam rękę na jego ramieniu i się wspięłam.

Zaczęło padać akurat, jak North znalazł się po wewnętrznej stronie płotu.

– Lecimy – powiedział, łapiąc mnie za wolną rękę. Pognaliśmy na przełaj do tamtego wejścia, omijając nagrobki. Powietrze pachniało mokrym kamieniem. Gdy przemykaliśmy obok posągu gniewnego anioła na środku cmentarza, nie odrywałam wzroku od ziemi, by uniknąć jego srogiego spojrzenia.

Oboje już się śmialiśmy, kiedy North otwierał kratę w wejściu do budynku i wchodziliśmy do wąskiego przedsionka. North, z uwagi na plecak, nie mógł stać tuż przy ścianie, nasze piersi dzieliło więc tylko jakieś ćwierć metra. Czułam, że elektrykuje mnie ta bliskość.

– Co dalej? – zapytałam tak swobodnie, jakby było dla mnie normalną przebywanie w ciasnych, na wpół zamkniętych pomieszczeniach, z chłopakami, których ledwie znałam.

Odgarnęłam włosy z oczu, ale jeden kosmyk znów spadł. North wyciągnął rękę i zanim wsunął mi go za ucho, delikatnie skręcił w palcach. Kiedy musnął mój policzek, poczułam w dolnej

wardze mrowienie. Zagryłam ją, upominając samą siebie, że to nikt znajomy.

– No, to wchodzimy – oznajmił. Napał na granitowy mur tuż koło nas, ten zaś ustąpił, a potem szybko przesunął się w bok

Oślupiałam.

– Jakty to...?

– System dźwigni i wielokrążków – wyjaśnił North, kiwając ręką, bym weszła za nim. – Kamień nie tyle się przesuwa, co zsuwa.

Wewnątrz było ciemno nawet przy otwartych drzwiach, stąpałam więc ostrożnie, żeby na nic nie wpaść. Ku memu zaskoczeniu powietrze tutaj nie było ani ciężkie, ani zatęchłe, wręcz pachniało świeżo, jakby właśnie posprzątano. Usłyszałam jakiś stuk i zgrzyt zamka błyskawicznego. Chwilę później zrobiło się jasno.

Plecak Northa leżał otwarty na marmurowym sarkofagu na środku krypty, obok reflektora LED. Jej ściany i posadzkę też wyłożono marmurem, a sufit pokryto listkami złota. Pomieszczenie było większe, niż się spodziewałam, prawie tak duże jak moja sypialnia, i puste, jeśli nie liczyć sarkofagu i niskiej półeczki wzdłuż ścian. Zapewne ławy dla żałobników.

– To jakieś mauzoleum – zauważyłam.

– Nic dziwnego, że przyjeśli cię do akademii – zażartował North.

Zaczął opróżniać plecak Cienki srebrny laptop. Malutki czarny mikrofon, nie większy od guzika.

Dwie puszki po kawie. Zardzewiały gruby łańcuch. Plastikowy woreczek z monetami.

Na zewnątrz deszcz walał w wysuszoną ziemię.

Wykonałam kolejne podejście.

– Nagrywacie muzykę w miejscu czyjegoś spoczynku?

Uniósł brew.

– Miejsce spoczynku. Zręczne wykorzystanie terminu ze słownika frazeologicznego, Rory.

Pierwszy raz wymówił moje imię. Spodobało mi się, jak zabrzmiało w jego ustach. Jego r było trochę rozciągnięte, lecz nie wydawało się wymuszone. Tak je po prostu wymawiał.

Na zewnątrz zrobiło się teraz trochę głośno i kamienne drzwi znów się odsunęły. Deszcz wpędził trzech osobników przemoczonych do suchej nitki. Śmiali się i przekinali równocześnie.

– Rory, poznaj Nicka, Adama i Brenta – powiedział North, kolejno ich wskazując. – Inaczej Cardamon's Couch. Ludzie, poznajcie naszą pstrykaczkę.

– Hej – powiedzieli chórem, składając swoje instrumenty na marmurowej posadzce.

– Kurde blade, ale leje – pożalił się Brent, potrząsając mokłą głową. Wyglądał na młodszego nie tylko od pozostałej dwójki, ale nawet ode mnie, a jego rude kędziory miały dokładnie ten sam odcień co włosy Nicka.

– Mówiłem, chłopaki, żebyście się zbierali, jaktylko zagrzmie – upomniał ich North.

– No ale ten tutaj geniusz powiedział, że to ma być trzask pioruna, a nie jakiś rumor – odparł Nick, waląc Adama w ramię.

– Gdyby nie pewność, że będzie padać, nie chciałoby mi się tutaj tarabanić – bronił się Adam, uwalniając się od mokrej kurtki. Rzucił ją na sarkofag. Wyładowała tam z plaśnięciem. Aż się wzдрыgnęłam.

– Bez obaw, nikogo tu nie pochowano – zapewnił mnie.

– Skąd wiesz? – zapytałam.

– North go otworzył.

Wybałuszyłam oczy.

– Otworzyłeś go?

North wzruszył ramionami.

– Uznałem, że skoro nie jest zapieczętowany, nikt w nim nie leży. Wielko jest dość lekkie – powiedział, unosząc je trochę. – Mowy nie ma, żeby to był marmur.

– Po co więc stawiać tu sarkofag, jeśli nikogo się w nim nie chowa?

– Dobre pytanie – stwierdził Nick, rozpinając futerał mandoliny. – To będzie jeszcze lepsze: po co stawiać na cmentarzu budynek z tak doskonałą akustyką?

– Aha. To dlatego przychodzicie tutaj grać.

– Jest lepiej niż w studiu nagrań – przyznał Adam, mocując się z leżącym przed nim dużym prostokątnym pudłem. – I to za darmo.

– A czemu musi być deszcz? – spytałam.

– Maskuje hałas – wyjaśnił North. – Poza tym tylko wówczas możemy być pewni, że nikogo tu nie ma. To prywatny cmentarz, praktycznie więc jesteśmy tu intruzami. Na szczęście – uśmiechnął się szeroko – tylko wariat wybierałby się na cmentarz podczas burzy.

Wiedziałam, że powinnam się obawiać przyłapania – może nawet aresztowania – i skutków tego dla mojej przyszłości w Theden, ale przekonywałam samą siebie, że prawdopodobieństwo takiego obrotu sprawy jest znikome. Błyskawice i grzmoty dzieliły sekundy, co oznaczało, że burza szaleje właśnie nad nami, a deszcz walił tak mocno, jakbyśmy byli pod wodospadem. North miał rację: nikt o zdrowych zmysłach nie wyprawiliby się tutaj teraz. Obawy o konsekwencje mogłam zostawić na później.

Nick zaczął stroić mandolinę. Instrument musiał mieć co najmniej sto lat, ale był w idealnym stanie, różanego forniru nie szpeciła żadna rysa. Śledziłam jego palce, bez wysiłku tańczące na strunach, gdy do gry włączyli się inni. Adam na bongosie, Brent na kontrabasie. Nawet przy takim riffowaniu byli niesamowici.

– Okej – powiedział North, ustawiając laptop i mikrofon na posadzce pośrodku utworzonego przez nas niewielkiego kręgu. – Od czego chcesz zacząć? – zapytał Nicka.

– Łańcuch w małej puszcze – odparł Nick – Z pstryknięciem na piątym taktie.

North spojrział na mnie.

– Po prostu licz w myślach – poradził. – Raz, dwa, trzy, cztery, *pstryk*. I tak w kółko. –

Kiwnęłam głową, nagle przerażona, że to schrzanię.

Chłopacy majstrowali przy instrumentach, a North zabrał z wieka sarkofagu łańcuch i puszkę, po czym klęknął przy laptopie.

– „Brak miejsc” – oznajmił Nick, gdy wszyscy byli już gotowi, tamci zaś kiwnęli głowami. –

Raz, dwa, trzy...

I wszyscy zaczęli grać. Byłam pod takim wrażeniem nagłego szaleństwa ich palców i całych dłoni, że o mało nie zapomniałam o pstrykaniu, na szczęście North na czas porozumiał się ze mną wzrokiem. On sam to opuszczał łańcuch do puszkę, to go z niej wyciągał. Zamknęłam oczy, żeby skupić się na pstrykaniu i momentalnie dałam się ponieść muzyce. Pstryknięcia przychodziły instynktownie, nawet nie musiałam liczyć.

Zagrali trzy piosenki i w dwóch z nich pstrykałam. North to grzechotał monetami w puszkach, to łańcuchem na marmurze, a każda z tych kombinacji stawała się samodzielnym instrumentem, wkomponowującym się w całość. Coś we mnie zadrgało i zatętniło, kiedy słuchałam ostatniego utworu, już bez pstrykania, spod opuszczonych rzęs obserwując twarz Northa. Ta muzyka była lepsza niż cała moja playlista. Nie mogłam pojąć, że takich gości jeszcze nikt nie namierzył.

– Finisz – ogłosił North, kiedy przestali grać. Troszkę mi było żal. Nie chciałam, żeby się skończyło.

Chłopaki powiedzieli „cześć” i zmyli się równie szybko, jak przyszli, zostawiając Northa i mnie samych.

– To jesteś ich akustykiem? – zapytałam, gdy North chował laptop w przedniej kieszeni plecaka.

– W zasadzie tak. Przedtem nagrywali w studiu w Bostonie, ale wychodziło drogo, a efekt końcowy nie odbiegał zbyt od osiąganego tutaj. Kupiłem więc jakieś programy do obróbki dźwięku i kilka mikrofonów i sam się za to wziąłem.

– A wydajesz się taki antytechniczny.

Roześmiał się.

– Antytechniczny? W życiu. Antyzdolny do rezygnacji z autonomii na rzecz prostokątnego pudełka pięć na dziesięć centymetrów? Oczywiście.

– W ogóle go nie używasz?

– Handheldu? – Przez chwilę się wahał, potem potrząsnął głową. – Nie sposób używać gemini, nie korzystając z jego interfejsu.

– A jesteś taki cięty na gemini, ponieważ...?

– Ponieważ wiem, jak działa – stwierdził i zgasił reflektor.

Deszcz ustał, ale słońce się nie pokazało. Czułam, że tłumiony dotąd niepokój daje o sobie znać rozdygotaniem mięśni. Zerwałam się na równe nogi.

– Muszę wracać – powiedziałam szybko, kierując się do wyjścia. – Nie miałam pojęcia, że jest tak późno.

– Przecież nie wiesz, jak późno jest – zauważył North.

– Racja, dziękuję – powiedziałam z irytacją, pośliznąwszy się lekko na mokrej trawie, jak tylko wyszłam. North podtrzymał mnie, chwytając za łokieć – i odczułam to całym ciałem.

– Muszę na krótko wpaść w jedno miejsce – powiedział, kiedy ruszyliśmy w stronę plotu. Zniżył i głos, i głowę, poruszał się szybko i cicho.

Ta jego ostrożność tylko potęgowała narastający we mnie strach. *O czym ja myślałam, przychodząc tutaj?* Tak łatwo byłoby mnie przyłapać. Nie mówiąc o górze prac domowych, które zawałiłam. I to pierwszego dnia w nowej szkole. Załomotała mi w głowie mowa powitalna dziekana. *Mądrość nie jest jednak dla ludzi wąskiego serca*, powiedział wtedy. *Nie wszyscy z was przejdą nasz program. Nie wszystkim jest to pisane.*

– Skoczmy tam? – spytał nagle North.

– Co?

– Zapytałem, czy chciałabyś pójść ze mną po twardej dysk. Sklep jest tylko jedną przecnicę od Paradiso. Pełen czad, mają sporo starego...

Przerwałam mu w pół słowa.

– Muszę wracać. Chcę zabrać swoje rzeczy i wrócić na kampus.

– Słowik więc wraca do klatki – zauważył North.

– Ciężko nazwać Theden klatką – skontrolowałam.

– Nie o twojej szkole mówiłem. – Ułożył kciuk i palec wskazujący w prostokąt, a potem szarpnął się ku niemu, jakby przyciągany przez magnes lub smycz.

Przewróciłam oczami, odrzucając też jego pomoc, gdy przeleziłam przez płot, trzymając w zębach pusty kubek. Pełniący drut lekko zadrapał mi skórę na przedramieniu, ale nie zareagowałam. Chłopak przeskoczył bez trudu, swobodnie lądując po drugiej stronie. W mieście go wyprzedziłam, spiesząc się, żeby sprawdzić telefon. Dopóki nikt mnie nie szukał, wszystko prawdopodobnie grało.

– Cóż, dzięki, że ze mną poszłaś – powiedział North, gdy dochodziliśmy do drzwi Paradiso. – Odprowadziłbym cię na kampus, ale...

– Nic mi nie będzie – zapewniłam go szybko.

Przez sekundę czy dwie staliśmy tam jak kołki, przyglądając się sobie w półmroku, North z plecakiem i kciukami zatknięty mi za szlufki paska, ja trzymająca oburącz pusty kubek. W głowie

mi wrzeszczało, żeby wracać na kampus, lecz stopy jakby wzrosły mi w ziemię. Potem North się uśmiechnął i chciał coś powiedzieć, nie dałam mu jednak dojść do słowa.

– Prawdopodobnie przez jakiś czas nie zdołam się wyrwać – oznajmiłam. – W szkole wiele się szykuje i na tym będę się musiała skupić. Theden to poważna sprawa. – Musiałam sobie o tym przypomnieć, ale ledwie wymówiłam te słowa, uświadomiłam sobie, na jaką jęzdę wyszłam. – Przepraszam – dodałam szybko. – Chodziło mi o to, że...

– Nie wiem, czy mówiłam, żebyśmy się gdzieś znów wyrwali – odpowiedział nieco ironicznie. Czuałam, jak się rumienię. – Ale dzięki, że mi to powiedziałaś.

Odwrócił się i ruszył w dół ulicy, pogwizdując.

W naszej sypialni Hershey siedziała na moim biurku, czekając na mnie.

– Gdzie byłaś? – zażądała odpowiedzi.

– W bibliotece.

Wybierając takie alibi, niczym nie ryzykowałam, bo tam na pewno Hershey nie zajrzała. Już pod drodze postanowiłam, że nie powiem jej, gdzie byłam. Ona miała swoje tajemnice. Czemu ja miałabym sobie ich odmówić? Rzucając torbę na podłogę koło biurka, kątem oka zauważyłam w niej na wpół zmiętą serwetkę z widocznym logo Café Paradiso. Ruchem nogi wepchnęłam torbę pod biurko.

– A czemu pytasz? – spytałam jak najobojętniej. – Szukałaś mnie?

– Tylko od dwóch godzin – odpowiedziała Hershey, wciąż świdrując mnie wzrokiem. – Nie było cię widać na Forum.

– Telefon był ustawiony na zastrzeżony – wyjaśniłam zgodnie z prawdą, wzruszając ramionami. North go przełączył przed zamknięciem w szafce.

– Ale byłoby miło, gdybyś wysłała mi wiadomość – powiedziała Hershey tonem sugerującym, że przesłuchanie dobiegł końca. – Niepokoiłam się o ciebie.

Schowałam się w garderobie, żeby nie widziała mojej miny. Wydało mi się nader wątpliwe, żeby zainteresowanie mojej współlokatorki miejscem mojego pobytu miało cokolwiek wspólnego z troską o mnie. Prędkiej gryzła ją, że coś przegapiła. Zamieniłam zabłocone buty na czystą parę, a wilgotny sweter na marynarkę.

– Sorki – powiedziałam, zamykając garderobę. – Następnym razem wyślę.

Tej obietnicy mogłam dotrzymać, bo następnym razem adres @biblioteka nie będzie kłamstwem. Jeśli nie chcę skończyć, rzucając szkołę jak moja mama, będę musiała wziąć się do roboty. Już się zaczęłam zastanawiać, na ile zarwę noc, żeby odrobić lekcje opóźnione przez mój mały wypad na cmentarz.

– Gotowa na jedzenie? – zapytałam Hershey. Kolację wydawano od szóstej, a było już dziesięć po.

– Chciałabym być tak zdyscyplinowana – powiedziała, biorąc mnie pod rękę, gdy wchodziłyśmy do stołówki. – Tak ciężko pracujesz.

Powstrzymałam się od zrobienia kolejnej miny, bo tym razem Hershey by ją zobaczyła. Ciekawa byłam, kiedy wyciągnie tę sprawę z Heptą i wyglądało na to, że właśnie zrobiła wstęp. Zminimalizuje jej znaczenie poprzez wyolbrzymianie mojego wysiłku. Wybrała jednak inną drogę, niż się spodziewałam.

– Dajesz sobie radę ze stresem? – spytała. – Ta presja, oczekiwania. Założę się, że w przypadku kogoś takiego jak ty groźba załamania nerwowego jest ze dwa razy większa.

Z miejsca wróciłam myślą do głosu, który znów zaczęłam słyszeć.

– Kogoś takiego jak ja?

– No wiesz. – Hershey machnęła ręką. – Ambitniaki. W ciągłym stresie.

– Nie jestem na skraju załamania nerwowego – stwierdziłam stanowczo. – Wybacz, że cię rozczarowałam.

– Spokojnie, Rory – odparła Hershey z nieco sztucznym śmiechem, przytrzymując mnie za łokieć. – To miał być komplement. Jesteś jak gwiazda rocka. Byłam ciekawa, czy to do ciebie dociera.

– Jeszcze nie – odpowiedziałam dość ostrym tonem.

Doszłyśmy do klatki schodowej, uwolniłam więc łokieć od uścisku Hershey i wysunąwszy się przed nią, ruszyłam w dół schodów. Dolny korytarz był bardziej zatłoczony od naszego, do stołówki płynęła rzeka dziewczyn z drugiego roku. Włączyłam się w jej nurt, przyspieszając kroku, by trochę się oddalić od Hershey.

Dziewczyny przede mną szły grupką, oglądając na handheldzie jednej z nich klip wideo. Ekran pozostawał poza moim zasięgiem, dźwięk jednak był słyszalny i natychmiast rozpoznałam głos. Należał bowiem do Griffina Payne'a, naczelnego Gnosis, człowieka o głosie niemal równie wszechobecnym, jak jego twarz.

– Najwięksi szczęściarze spośród naszych beta testerów swoje Gemini Gold otrzymają w przyszłym tygodniu – ogłaszał. – Do sprzedaży zaś aparat ten trafi dokładnie za sześć tygodni.

Szum wokół swojego nowego handheldu Gnosis robiła już od przeszło roku, dotąd jednak nie antenowała jego premiery. Po to właśnie był ten wideoklip. Gnosis, stroniąc od kupowania reklam i czasu antenowego, rozpowszechniała informacje o swoich nowościach za pośrednictwem reklam wirusowych.

– A jeżeli w waszych oczach nie zapłonęła jeszcze zazdrość – tu Griffin odczekał chwilę, dla większego efektu – przedstawiam go wam: oto Gemini Gold.

Wszystkie dziewczyny przede mną zareagowały.

– Ooooh, cudneńko – powiedziała jedna.

Dziewczyzna obok niej skrzywiła się.

– Żartujesz, prawda? To sama tandeta. – Zza jej ramienia dostrzegłam złoty kwadracik, nie większy od zapalek

– Ja jestem z Amy – oznajmiła trzecia. – Podoba mi się.

– Może to metafora – zasugerowała ostatnia. – Symbolizm zakamuflowany w estetyce.

Tamte trzy zwróciły głowy w jej stronę. Nosiła źle dopasowane džinsy i w ogóle była o wiele mniej odpicowana od nich, a za sprawą okrągłych okularów i fryzury na pazia wyglądała na krzyżówkę sowy z molem książkowym. Mimo to wydawały się ją szanować.

– Nora zaraz zrobi z tego dysertację – zażartowała dziewczyna na drugim końcu grupy, więcej w tym było jednak zazdrości niż drwiny. Uświadomiłam sobie, czym Theden różniło się od innych szkół. Tutaj w cenie była inteligencja.

– Metafora czego? – zapytała Amy.

– Ślepego uwielbienia – wyjaśniła Nora, której zaczął nagle pasować ten sowy wygląd. – Z opowieści o złotym cielcu. – Reszta wyraźnie nie załapała, o co chodzi. – Kojarzycie Pismo Święte? Czytałyśmy Księgę Rodzaju w zeszłym roku, na literaturze dawnej.

– Hej, o każdej porze modlić się będę przed ołtarzem mojego gemini – zakpiła Amy. – Bo w Luxa wierzę.

– Jak ostatnio sprawdzałam, Lux nie zsyła plag za nieposłuszeństwo – zawtórowała jej pierwsza dziewczyna. – I to się liczy.

Myślałam, że Nora odpowie, rozwinie temat, bo byłam pewna, że ma więcej do powiedzenia, ale doszliśmy do stolówki i gdy tłum zaczął się wlewać w podwójne drzwi, zostałam w tyle. Kiedy powoli się przez nie przepychaliśmy, zerknęłam, co u Becka. Mapa Forum pokazywała, że jest w aptece Bartell Drugs, przy Fourth Avenue. Ostatnie info od niego było prawie na samej górze moich wiadomości, pochodziło sprzed jedenastu sekund.

@BeckAmbrose: czy trzeba pytać? #ależtak #mikołajistnieje

Pod spodem był zrzut z jego skrzynki wiadomości odebranych. Zamazał wszystkie posty poza jednym.

@Gnosis: Gratulacje, @BeckAmbrose. Zostałeś losowo wybrany do udziału w beta teście nowego Gemini Gold! Żeby potwierdzić, odpowiedz „tak”

– Żarty sobie robisz – powiedziałam pod nosem. Żeby koleś, który kiedyś pozwolił koniowi odlać się na swoje gemini (celowo, żeby strzelić fotę), miał dostać ten nowy model kilka miesięcy przed nami wszystkimi, to zakrawało na jakąś ironię losu.

Zaraz do niego zadzwoniłam. Odebrał po pierwszym dzwonku.

– Już zazdrościsz – powiedział cały zachwycony.

– To niesprawiedliwe – poskarżyłam się. – Byłabym o wiele lepszą beta testerką.

– W żadnym razie – odparł Beck – Jesteś za mało bezstronna.

Chyba miał rację.

– To kiedy go dostaniesz? – spytałam.

– Chyba że w przyszłym tygodniu – powiedział. – Muszę najpierw podpisać z setką formularzy o informacjach niejawnych. Ta cała sprawa to coś jak prezent od Willy’ego Wonki¹. Skoro tyle szumu wokół tego sprzętu, lepiej niech też robi za mnie pranie. Hej, zaczęła chwilkę. – Usłyszałam strzępy przytłumionej rozmowy, a potem Beck wrócił. – Hej, Ro, później się z tobą zdzwonię. Stoję w kolejce do szczepienia i jakiś dziadek się wpycha. Muszę mu pokazać, kto tu rządzi.

– Powodzenia – powiedziałam ze śmiechem.

– O jeżu kółczasty, niech ten gość robi ze mną brzydkie rzeczy.

To była Hershey. Stała tuż za mną, z Griffinem Payne’em na wyświetlaczu. Prezentował zalety złotego maleństwa przyczepionego do paska na jego przegubie jak stary zegarek

– Fuuuj – rzuciłam, krzywiąc się. – Mógłby być twoim ojcem!

– Tylko trochę – odpowiedziała, mijając mnie w drzwiach stołówki.

– Rory! – zawołała Rachel z kolejki. Stała tam z Isabel, która odwróciła się i do nas zamachała.

Kiedy dołączyliśmy do nich w tej kolejce, poczułam coś, czego dotąd nie zaznałam w stołówkach i przez czego brak wraz z Beckiem od nich stroniliśmy.

Poczułam, że jestem u siebie.

1. Bohater powieści dla dzieci Roalda Dahla *Charlie i fabryka czekolady* (1964, polskie wydanie 2005), właściciel tajemniczej fabryki smakołyków, do której wstęp zapewniają jedynie złote bilety, ukrywane w opakowaniach czekolady, wielkie i zazwyczaj nieosiągalne marzenie każdego dziecka. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 8

Mogę cię o coś spytać?

– Jasne – odpowiedziałam, nie podnosząc wzroku.

Hershey i ja siedziałyśmy na łóżkach w naszym pokoju zajęte odrabianiem lekcji. Przynajmniej teoretycznie. Ja gapiłam się w podręcznik do historii, rozpamiętując związany z dzisiejszym popołudniem widok pewnej twarzy w migotliwym świetle reflektorka. Hershey oglądała telewizję.

– Kiedy dziekan podszedł dzisiaj do naszego stolika, powiedział, że nie odstraszyły cię dawne dzieje. O co mu chodziło?

Nie oderwałam wzroku od ekranu.

– Pojęcia nie mam – stwierdziłam i przekręciłam się na brzuch, dalej od niej.

Zabrzączał mój handheld leżący obok mnie na łóżku. Sięgnęłam po niego, wdzięczna za tę ingerencję. Dostałam tekst z nieznanego numeru, bez żadnej treści, jedynie z małym symbolem spinacza oznaczającym załącznik. Stuknęłam w niego i ekran wypełnił się bielą. Chwilę później coś tam zamigotało na czerwono.

Wyraźnie już widziałam symbol π i to jak okrążył ekran, by zatrzymać się w lewym dolnym rogu. Potem napłynęły tuziny innych greckich liter, rozdziły się w maleńkich czerwonych rozbłyskach, wzajemnie siebie okrążyły, by w końcu zastygnąć jako cztery linijki.

η παρουσία σας ζητείται
κάτω από την αριστερή πτέρυγα,
του Αρχαγγέλου σε δέκα.
Ελάτε μόνοι και κανείς δεν λένε

Pojawiło się moje nazwisko, a greka pod nim przeistoczyła się w angielszczyznę.

Aurora Aviano Vaughn,

Uprasza się o Twoją obecność pod lewym skrzydłem

Archanioła Michała dziś wieczór, o jedenastej.

Wybór należy do ciebie. Przyjdź sama. Nikomu nie mów

Te słowa niemal natychmiast zniknęły i ekran pociemniał. Gdy w niego stuknęłam, znalazłam się z powrotem w wiadomościach odebranych. Ta od nieznanego nadawcy zniknęła, razem z załącznikiem. Włos mi się zjeżył na głowie.

Idź tam.

To załatwiało sprawę. Ten głos naprawdę miał świra, nauka nie kłamała. Wzmianka o lewym skrzydle archaniola musiała się odnosić do pomnika na cmentarzu. Jasne, akurat się wybiore samotnie na cmentarz, i to o jedenastej. W godzinę po zamknięciu domu. Na dodatek nie wiedząc, kto mnie zaprasza.

Idź tam.

Włożyłam słuchawki. Jeśli się nie zamknie, utopię go.

A jednak im później się robiło, tym bardziej się wahałam. Ktoś, kto wysłał tę wiadomość, dokładnie wiedział, jak się nazywam. To eliminowało forumowych stalkerów i nieznanomych, bo na Forum istniałam tylko jako Rory, poza tym nikt – nawet tato – nie nazywał mnie Aurorą. Litery greckiego alfabetu, oficjalny język. To musiało mieć związek ze szkołą. W broszurze na temat kampusu czytałam o elitarnych klubach z Theden, uznałam jednak, że przyjmują tylko tych z tradycją rodzinną. Ale przecież ja taką tradycję miałam. I byłam jedyną Heptą na moim roku. Co więcej, w tej wiadomości nie było nic z groźby. Żadnego żądania. Jedyne zaproszenie. *Wybór należy do ciebie.*

Złapałam za handheld, żeby zapytać Luxa, zaraz jednak przypomniałam sobie otrzymane instrukcje. Nikomu nie mów. Czy dotyczyło to też apk w telefonie? Wydawało się wątpliwe, że nadawca wiadomości dowie się o moich konsultacjach z Luxem. Z drugiej strony, ten, kto ją przysłał, również w jakiś sposób zdalnie ją wymazał. Może więc by się dowiedział? Może to był test?

Istniał tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać.

– Jestem zmęczona – oznajmiłam, ściągając z kółka narzutę. Żeby się wymknąć z pokoju, nie tłumacząc się Hershey, musiałam skłonić ją, żeby zasnęła.

– Jeszcze jesteś ubrana – wytknęła mi Hershey.

– No. Czasem taksy piam. – Wśliznęłam się pod kołdrę i zajęłam się światłem. – Dobrej nocy.

– Dobrej – odpowiedziała Hershey. Nie przerywając oglądania telewizji. Zamknęłam oczy i czekałam. Na pewno była zmęczona. Zeszłej nocy prawie nie spała.

Zanim wyłączyła telewizję, upłynęła chyba cała wieczność. Później Hershey poszła do łazienki umyć zęby. Zerknęłam ukradkiem na handheld. Była dziesiąta dwadzieścia dziewięć. Miałam więc niespełna pół godziny na to, by tam dotrzeć, a nie całkiem byłam pewna, dołąd powinnam iść. Kiedy zakręciła wodę, wsunęłam gemini pod kołdrę i zaczęłam oddychać głębiej. Po dłuższej chwili w pokoju zapanowała ciemność. Leżałam i nasłuchiwałam. W końcu oddech

Hershey stał się miarowy. Zasnęła.

Najciszej jak potrafiłam, zsunęłam się z łóżka, złapałam buty i pokonałam drzwi.

Przed żelazną bramą cmentarza znalazłam się o dziesiątej pięćdziesiąt osiem. Nastawiłam się na ponowną przeprawę przez płot, ale ku memu zdziwieniu brama była uchylona. Ktokolwiek to zorganizował, miał klucz.

Na cmentarzu było pusto i ciemno. Nie mogłam polegać nawet na księżycu, niebo było czarne, jeśli nie liczyć rozsypanych tu i ówdzie migotliwych, ale i nieprzydatnych teraz gwiazd. Wyjęłam z kieszeni handheld i włączyłam latarkę. Nie miałam najmniejszej ochoty potknąć się i wyłożyć plackiem na czyimś grobie. Dotarwszy na miejsce spotkania, sprawdziłam czas. U góry ekranu mrugały słowa BRAK ZASIĘGU. Trochę mi dech zaparło. Co ja wyprawiam? W godzinę po zamknięciu domu akademickiego, w pierwszym dniu zajęć, stoję po raz kolejny na środku cmentarza, odpowiadając na zagadkowe anonimowe zaproszenie. Podniosłam wzrok na anioła, zmuszając się, by mu się przyjrzeć. Kiedy pierwszy raz go zobaczyłam, wydało mi się, że rękę kieruje ku wejściu, teraz jednak widziałam, że wskazuje niebo. Czemu wyglądał na tak rozgniewanego? Czy anioły nie powinny wyglądać... anielsko?

– Auroro Aviano Vaughn – dobiegło z mroku, aż włosy zjeżyły mi się na karku. Głos był nienaturalny, mechaniczny, lecz niewątpliwie męski. Ktokolwiek to był, korzystał z aplikacji zniesztalającej.

Powoli się odwróciłam, zmuszając się do zachowania spokoju w obliczu posiadacza tego głosu. Oddalony był co najmniej o dziesięć metrów, mogłam więc jeszcze rzucić się do ucieczki. Stojącą przede mną postać całkowicie zakrywała czarna szata z kapturem. Kaptur spadał nieznanemu na twarz, skrywając zarówno ją, jak i handheld służący za mikrofon, a kiedy się zbliżał, szata dotykała ziemi. Zatrzymał się niespełna dwa metry ode mnie i wyciągnął rękę. W dłoni osłoniętej długą aksamitną rękawicą trzymał opaskę z takiego samego materiału. Oczekiwał, że pozwolę zasłonić sobie oczy? Odbiło mu?

– Jeżeli chcesz skorzystać z naszego zaproszenia, musisz ją włożyć – powiedział brzęczącym głosem.

Zbliżył się o krok i spod szaty wyjrzał czubek białego trampka. Też go zauważył i szurnął nogą, by go ukryć, o coś się jednak potknął i zaklął pod nosem. Zachichotałam, nie czując już lęku. Nie był to przecież gość z zaświatów. Miałam przed sobą faceta w przebraniu, używającego aplikacji zniesztalającej głos. Tak jak myślałam, cała ta historia najprawdopodobniej stanowiła część rytuału związanego z klubowymi otrzęsinami.

– Olej – powiedziałam i odwróciłam się, żeby mógł mi zawiązać opaskę. Aksamit miękko dotknął mojej skóry, zapachem przypominając paczuli.

– Otwórz usta – polecił człowiek w kapturze.

– Dlaczego? – spytałam, a właściwie zaczęłam pytać, gdy poczułam muśnięcie aksamitu na wargach i smak wiśni na języku. Włożył mi coś w usta. Wydawało się, że cienki kwadracik plastiku, kiedy jednak spróbowałam wypchnąć go językiem, zaraz się rozpuścił.

– Co to było? – usiłowałam zapytać, ale nie byłam w stanie złożyć słów. W jednej chwili świat spowija czerń.

Jak tylko doszłam do siebie, po prostu zmartwiałam. Siedziałam prosto na czymś twardym, jakbym cały czas była przytomna, na kamiennych stopniach okalających – jak wkrótce pojęłam – rozległą okrągłą arenę. Przypominała mi Odeon Heroda Attyka ze zdjęć w książce do historii. Jak długo byłam nieprzytomna? Wiedziałam, że nigdzie w pobliżu kampusu nie ma areny tej wielkości. Nabrałam głęboko tchu, próbując się pozbierać, i zaskoczyło mnie, jak zimne jest to powietrze, noc bowiem należała do ciepłych. Poczułam na głowie coś ciężkiego i sięgnęłam tam ręką. To był kaptur aksamitnej szaty, takiej jak ta, którą nosił mój porywacz. Szata zakrywała dłonie aż po końce palców i leżała w fałdach wokół nog.

W dole nagle rozbłysło światło, gdyż na obrzeżach centralnej części amfiteatru zapłonął ustawiony w kształt litery „U” ciąg pochodni, migotliwą poświatą ledwie sięgając dolnych rzędów stopni. Ta budowla była naprawdę ogromna. Spojrzałam w niebo, ale go nie znalazłam. Jedyne mrok przypominający próżnię.

Popatrzyłam w lewo i wypatrzyłam tam kilka sylwetek, również w szatach z kapturem, siedzących tu i ówdzie na stopniach. Zerknęłam w prawo i dojrzałam jeszcze pięć osób. Siedziały nieruchomo, jedynie ich głowy obracały się jak moja, mierząc wzrokiem tę olbrzymią przestrzeń. Nagle się poderwałam, bo od kamieni echem odbił się donośny dźwięk gongu. Nie sposób było stwierdzić, skąd pochodził ten metaliczny brzęk, który zalał całą arenę. Kiedy gong zabrzmiał ponownie, dojrzałam w dole jakiś ruch. Spod areny na jej środek wychodziły jakieś postacie. Okryte były szatami, miejsce kapturów jednak zajmowały dziwaczne głowy. Wymyślne konstrukcje z masy papierowej, opierające się na ramionach, przybrane kawałkami prawdziwego futra, skórą i piórami, pasowały do przedstawionego przez Liama opisu masek na Maskaradę.

Czułam, jak moje płuca z ulgą wciągają zimne powietrze. Skoro ci ludzie nosili szkolne maski, nie trafiłam w ręce obłąkanych morderców. Tak jak sądziłam, coś ich łączyło z Theden, a to oznaczało, że wszystko gra. Czując, że puls mi się uspokaja, obserwowałam postacie krążące wokół sceny jak w dziwnym bezgłośnym tańcu. Wtedy rozległ się głos. Wydał mi się kobiecy, pewności jednak nie miałam, był bowiem zniekształcony jak głos tamtego człowieka w kapturze. Dobiegał z głośników za mną i nade mną i niósł się echem.

– Każ, wszyscy stąd pospiesz – ogłosił – i przez różne igraszkę miłą cię ucieszą.

Postacie w maskach zwierząt, jak jeden mąż, opadły na kolana, bo pojawiły się dwie nowe

sylwetki. Ich maski przedstawiające ludzi – mężczyznę i kobietę – przypominały starożytne greckie rzeźby o ostrych rysach i niewidzących oczach. Wychyliłam się, żeby lepiej to wszystko zobaczyć, gdy nagle przemówił inny głos, niższy i bardziej niesamowity od poprzedniego.

– Nie wszystko im jest wolno! – zagrział, a gong zadźwięczał po raz trzeci i wysłała nowa postać. Czarną szatę miała jak pozostałe, za to maskę dwa razy większą i z pięć razy bardziej złowieszcą. Przedstawiała gigantyczną głowę węża o niepokojąco realistycznych łuskach. – Ten zakaz surowy, żeby mógł w poniżeniu utrzymać ich głowy.

Czy była to kwestia z jakiejś sztuki¹? Wąz tak ją wypowiedział, że uznałam to za możliwe.

Kiedy ten gad zmierzał ku podestowi na środku sceny, kobieta i mężczyzna na znak szacunku pochyliłi głowy o nieruchomych twarzach. Gdy już tam wszedł, rozpostarł szeroko ręce, a szata załopotiała jak smocze skrzydła.

– Witajcie – powiedział, patrząc teraz na nas. – Radzi jesteśmy, że przyślicie.

Zaciekawiło mnie, czy ten głos rzeczywiście należy do postaci w masce węża, czy jedynie tak mieliśmy to odbierać. Głos bowiem jeszcze nie ucichł, a wąż obracał się powoli, jak tancerka na starej pozytywce. Z tyłu jego maska rozszerzała się w gadzi kaptur, jak u kobry szykującej się do ataku, ale i biegła w dół zrogowaciałym smoczym ogonem, by wreszcie rozłożyć się półkolistnie na deskach podestu. Nawet z tak dużej odległości widziałam, jak misterny jest jej wzór wykonany z całych warstw fakturowanej masy papierowej, na której listkami złota wyróżniono ostre zarysy najdrobniejszych nawet łusek.

– Są tacy, którzy otrzymawszy dziś zaproszenie, zanedbali byli przestraszeni lub zaślepieni, żeby z niego skorzystać. Wy, którzy przyślicie, poczuliście się wezwani, może nie wiedząc czemu lub jakim sposobem, żeby do nas dołączyć. Grecy nazywali to *nous*. Intuicją. Cechuje ona nielicznych. Wasza obecność tutaj sugeruje, że wy ją macie.

Aż mnie skrzyknęło. Przecież nie sprowadziła mnie tu intuicja, ale Zwątpienie. Moje oczy całkiem przywykły już do migotliwego światła, toteż szybko przyjrzałam się całemu kręgowi, licząc osoby siedzące na stopniach. Było ich czternaście. Poczulałam ukłucie zazdrości. Oni mieli prawo czuć się powołani, mnie pogoniło jakieś urojenie.

– Teraz trzeba dokonać kolejnego wyboru – głos przerwał ciszę. – Przyjęliście zaproszenie, by wiedzieć więcej, i chociaż całej prawdy jeszcze przez czas jakiś nie zdołacie poznać, jedno możemy wam powiedzieć: ocenia się wasze szanse na członkostwo w uświęconym związku umysłów szczególnie zdolnych. Najbliższe tygodnie stanowią próbę.

Serce znów mi dziko zabiło, już nie ze strachu, ale z podniecenia. Te maski, pochodnie, archaiczny język. To nie jakiś tam szczeniacki klub. Tu chodziło o prawdziwe tajne stowarzyszenie.

Głos ponownie ucichł, a postacie na scenie podniosły się z kolan. Ludzie zostali po obu stronach

węża, zwierzęta zaś wspinały się na stopnie. Postać z głową lwa była dokładnie pode mną, oczy za pomalowaną siatką jakby szukały mojego wzroku.

– Nadszedł czas wyboru – przemówił znów tamten niski głos.

Lew zatrzymał się na stopniu poniżej mojego i patrząc mi w oczy, wyciągnął osłonięte rękawicami dłonie. Trzymał w nich dwie wielkoformatowe karty do gry.

– Jeżeli wciąż chcecie ubiegać się o przyjęcie, wybierzcie kartę po prawej – grzniał dalej ów głos. – I nikomu o tym nie mówcie. Odezwiemy się do was, gdy nadejdzie pora.

Nachyliłam się, żeby lepiej widzieć. Na dłoni lwa leżała nieco wyblakła, lecz kunsztowna, ręcznie malowana miniatura: nad kulą ziemską, okoloną teksturowanym zielonym wieńcem, unosiła się naga kobieta z różdżkami w szeroko rozpostartych rękach. Niżej widniały różnorakie zwierzęta z podniesionymi ku niej łbami, uderzająco podobnymi do oglądanych dzisiaj masek. Głos mówił dalej:

– Jeśli jednak nie odpowiada wam dalsze podleganie ocenie predyspozycji, wybierzcie kartę po lewej. Nie będzie żadnych pytań.

Przeniosłam wzrok na drugą dłoń lwa. Na tej karcie było mniej do oglądania, tylko jedna postać, nastolatek w kapeluszu z piórami. Mógł się kojarzyć z jakimś średniowiecznym wędrownym kramarzem, z sakwą na ramieniu i ciernistą białą różą w garści.

Wybierasz dzisiaj, komu będziesz służyć.

Po raz pierwszy nie załamało mnie, że je słyszę. Trochę nawet podniosło na duchu. Słowa węża coś we mnie rozpały. Chciałam okazać się tą, za którą uważali mnie ci ludzie.

Kiedy kandydaci zastanawiali się nad wyborem, arena całkiem ucichła. Choć nie widziałam oczu lwa, czułam, że mnie obserwuje.

– Nie spieszcie się – pouczył nas wąż. Nie musiałam korzystać z tej rady. Sięgnęłam po kartę po prawej.

Lew nieznacznie kiwnął łbem, potem szybko cofnął lewą rękę i druga karta znikła w fałdach szaty. Prawą chwycił mnie za łokieć i odwrócił tak że stałam do niego tyłem, po czym opuszkami palców uderzył mnie w wargi. Otworzyłam usta i znów poczułam na języku ten cieniutki płatek.

– Wiedziałem, że cię przyjmą – szepnął jeszcze lew. Tym razem nie skorzystał z aplikacji zniekształcającej i natychmiast rozpoznałam jego głos. To był Liam.

Świadomość odzyskałam nagle, w jednej chwili. *Liam!* Lwem był Liam. Wydawało mi się to wielkim odkryciem, choć oczywiście on sam dał się rozpoznać. Chciał, żeby to wiedziała.

Byłam znów w swoim pokoju, siedziałam na łóżku, nadal w butach. Szata z kapturem zniknęła, za to w prawej dłoni trzymałam sztywną kartę z cienkiej tekturki. Spojrzałam szybko na łóżko Hershey. Było puste. Znów się wymknęła, a może też była na tamtej arenie?

Popatrzyłam na kartę w moich rękach. W mroku ledwie ją widziałam. Bezszelestnie

rozsznurowałam buty i wsunęłam się pod koc od mamy, chowając się pod nim jak pod pałatką. Jeśli usłyszę otwieranie drzwi, udam, że śpię.

Przysunęłam gemini do karty. W odróżnieniu od tamtych dwóch, które wcześniej podsuwał mi Liam, na tej nie było kolorowych malunków. Widniała tutaj tylko litera Z, wydrukowana lśniącym czarnym tuszem, a pod nią liczba trzydzieści dwa. Rok ukończenia przeze mnie szkoły podstawowej. Gdy przesuwałam palcami po tym czarnym tuszu, serce mi łomotało. Chociaż symbol i liczba były inne, kompozycja niczym nie różniła się od tej na srebrnym wisiorku mamy.

Czyżby ona również należała do tego tajnego stowarzyszenia?

Wpisanie do GoSearch hasła „tajne stowarzyszenie w Theden” nie przyniosło żadnych rezultatów. Trudno uwierzyć, ale słowa te nie budziły nie tylko bliższych, ale i dalszych skojarzeń. Próba ze „starodawnym związkiem w Theden” też nic nie dała. Gdy usunęłam odniesienie do Theden, trafień miałam miliony. Strony poświęcone teoriom spiskowym na temat Iluminatów, masonerii czy Czaszek i Kości z Yale, nieoficjalne spisy dawnych członków, a nawet strony fanowskie na Forum. Wystarczyło jednak zawęzić kryteria wyszukiwania, a zostawałam z niczym. Czymkolwiek był ów „uświęcony związek”, pozostawał on w najgłębszym cieniu. Złapałam się na tym, że uśmiecham się do mojego ekranu. Prawdziwe tajne stowarzyszenie. Czy mógł być większy czad?

Zacząłam pisać tekst do Becka, szybko go jednak usunęłam. Było mało prawdopodobne, żeby widzieli moją pocztę, mimo to wolałam nie ryzykować.

– Przyjmijcie mnie, proszę – szepnęłam w mrok zaciskając dłoń na wisioru jak na talizmanie szczęścia. Potem zacisnęłam powieki, spróbowałam zmusić się do snu. Znadto naładowana, żeby się rozluźnić, zaczęłam przewijać sobie w myślach ciąg Fibonacciego. Mój ulubiony patent na sen. Odmiana liczenia baranów, charakterystyczna dla maniaaka matematyki. Robiłam tak od lat, ilekroć byłam zmęczona, a nie potrafiłam wyłączyć myślenia. 0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55, 89, 144, 233, 377, 610, 987, 1597... W którymś momencie mój mózg się poddał i zasnąłam.

1. Wszystkie kwestie pochodziły z *Raju utraconego*. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 9

Nie usłyszałam, kiedy Hershey wróciła, ale gdy obudziłam się rankiem, była już w łóżku. Gdy wychodziłam spod prysznic, jeszcze spała, na śniadanie poszłam więc sama. W stołówce zobaczyłam Liama przy gofrownicy. Udawał, że mnie nie widzi, choć oczywiście było inaczej.

– Cześć – powiedział swobodnie, gdy stanęłam obok niego, żeby nalać na rowkowane ceramiczne płyty rzadkie ciasto.

– Pytania aż się cisną na usta.

– Na wszystkie znajdziesz odpowiedź – powiedział cicho, smarując parującego gofra masłem.

– Jeśli cię przyjmą.

– Mówiłeś przecież, że wiedziałeś, że tak się stanie. Teraz mówisz, że może jednaknie?

– Mówię, że będziesz oceniana – odrzekł. – Jak wszyscy kandydaci. I dopóki cię rada nie przeświecili...

– Rada?

Liam się skrzywił.

– Zapomnij, że to usłyszałaś. Słuchaj, Rory, ja wiem, że to jest ekscytujące i pogmatwane i wiele trzeba, żeby się w tym połapać. Przechodziłem to rok temu. Wiem dokładnie, co czujesz. Musisz jednak uszanować ten tryb. A mnie nie wolno złamać ślubów.

– Powiesz przynajmniej, jak mnie wybrano? Czy dlatego, że jestem Heptą?

– To nie jedyny powód – odpowiedział Liam. – Ale dlatego dostałaś zetę.

– To Z na karcie?

Liam kiwnął głową twierdząco.

– Każdemu kandydatowi zostaje przypisana litera greckiego alfabetu – wyjaśnił, oglądając się, czy nie ma jeszcze kogoś w zasięgu słuchu. – Wartość numeryczna zety wynosi siedem, dlatego zawsze dają ją Heptom. Jeżeli cię przyjmą, stanie się twoim imieniem w stowarzyszeniu – dodał, sięgając po butelkę syropu klonowego. – Ta litera oraz twój szkolny rocznik W ten sposób członkostwo staje się całkowicie anonimowe.

Greckiego alfabetu nie znałam na tyle dobrze, aby rozpoznać literę na wisiorku mamy, ale łatwo byłoby to sprawdzić.

– A jaką ty masz? – spytałam.

Spochmurniał.

– O tym nie wolno mi z tobą rozmawiać, Rory. I tak za dużo powiedziałem.

– Ta tajemniczość naprawdę jest konieczna? – jęknęłam. – A co z ludźmi, którzy tej nocy wybrali lewą kartę? Wiedzą o stowarzyszeniu i nie mają powodu trzymać tego dla siebie.

– Z jedną osobą – sprostował Liam. – Jeden taki się znalazł.

Ruchem głowy wskazał chłopaka siedzącego dwa stoły dalej. Kojarzyłam go z zajęć komputerowych.

– Tabletką, którą kładliśmy wam na język nazywa się ZIP – wyjaśnił, zniżając głos. – Hamuje w mózgu enzym umożliwiający zapamiętywanie. Gdybyśmy drugą dawkę dali ci silniejszą, po twoich wspomnieniach z grobowca śladu by nie było.

– To właśnie dostał? – zapytałam, wciąż obserwując tego chłopaka. Ładował sobie do ust owsiankę z puszką w oczach, jakby jeszcze się nie obudził.

Kąciuki ust Liama podjechały do góry w nieco szelmowskim uśmiechu.

– Razem z maleńką dawką rohypnolu.

– Daliście mu pigułkę gwałtu?

Liam przewrócił oczami.

– Nic z tych rzeczy. To był towar na receptę, i to tylko tyle, żeby strzępki swoich wspomnień uznał za sen.

Wyciągnął gemini, na którym świeciła nowa wiadomość.

– Muszę lecieć – powiedział. – Możemy porozmawiać później. Ale nie o tym – uprzedził. – Mówię serio, Rory. Starczy tych pytań.

– Dobra – zgodziłam się. – A możesz mi przy najmniej powiedzieć, czy Hershey też tam była? Ostatnie pytanie, obiecuję.

– Hershey? – Zaśmiał się cokolwiek złośliwie. – Nie, Hershey z całą pewnością tam nie było.

– Zachowałeś się tak, jakby samo pytanie było niedorzeczne – dogryzałam mu, gdy odchodził.

Nawet się nie obejrzał.

– Bo takie było.

W tym samym tygodniu ułożyłam plan i obiecałam sobie trzymać się go aż do egzaminów. Codziennie po ostatnich zajęciach będę wpadać do stołówki na waniliowe cappuccino, a potem chodzić do biblioteki odrabiać lekcje. Miało mnie to uchronić nie tylko przed narobieniem sobie tyłów, ale przede wszystkim przed powrotem do Paradiso i spotkaniem z Northem, bo właśnie to marzyło mi się co popołudnie, o czwartej, kiedy nachodziła mnie chęć na matcha latte i zaczynałam racjonalizować sobie potrzebę szybkiego spacerku do miasteczka. Nie po to, żeby ujrzeć Northa, zapewniałam siebie. Pewnie nawet dziś nie pracuje. I codziennie też musiałam upominać siebie, że dobrze wiem, o co chodzi, i odrzucać ten pomysł. Skoro zamierzałam ukończyć Theden, na tych właśnie planach musiałam się skupić. Nie mogłam sobie pozwolić na rozpraszanie uwagi, i to jeszcze za sprawą miejscowego koleśka, który i tak nie zrozumie, czemu

takimi zależało na edukacji.

Najwyraźniej jednak do mojego mózgu ten przekaz nie dotarł. Tego ranka omawialiśmy na ćwiczeniach zagrożenia płynące z rozproszenia uwagi, a ja na wół odpłynęłam, zastanawiając się, czy North ma tatuaże gdzieś jeszcze, poza ramionami.

No, po prostu rewelacja.

Dobrze, że choć Zwątpienie wreszcie się zamknęło. Nie słyszałam go do poniedziałkowego wieczoru. Nie miałam też żadnych wieści od stowarzyszenia – czymkolwiek było to ich „ocenianie”, najwidoczniej jeszcze się nie zaczęło. To akurat było korzystne, bo i tak ledwie sypiałam. Nie dość, że dostawaliśmy tyle prac domowych, że mogły wypełnić wszystkie wolne godziny, to jeszcze na ten pierwszy tydzień zaplanowano szereg wydarzeń i „usilnie nas zapraszano” do udziału w nich. W środę było ognisko dla pierwszoroczników i pieczenie pianek cukrowych. W czwartek pierwsze szkolne spotkanie przedmeczowe, a dzisiaj targi sekcji sportowych. Dwie pierwsze imprezy zaliczyłam, ostatnią sobie odpuściłam. Generalnie byłam za integracją z innymi, ale na myśl o regularnym uczęszczaniu na treningi softballa lub ultimate frisbee miałam ochotę pułknąć się w łeb gumowym młotkiem.

– Trzeba by dziś skoczyć na tajszczyznę – powiedziała Hershey, gdy odnosiłyśmy tace po obiedzie.

Jak zwykle były z nami Isabel i Rachel. Nasza czwórka siadywała już razem do każdego posiłku, razem też trzymałyśmy się w świetlicy. Izzy miała niską samoocenę, była bystra, i borykała się z nadwagą. Rachel niczego się nie bała, miała poczucie humoru i swoje zdanie na każdy temat. Obie bardzo lubiłam. Ich konta bankowe plasowały je jednak gdzieś w sferach Hershey, zdecydowanie poza moim zasięgiem. Po spotkaniu przedmeczowym skoczyłyśmy na pizzę, a we wtorek wzięłyśmy na wynos coś indyjskiego. W obu przypadkach zamawiała Hershey – pizzę z białymi truflami i dwudziestoczołkowatą dosę ¹, potrawy absurdalnie drogie – i za każdym dzieliłyśmy się kosztami. Nie musiałam radzić się Luxa, by wiedzieć, że nie stać mnie na podtrzymanie tej tradycji.

– Pychota – oznajmiła Isabel. – Jestem za.

– Ja też – zawtórowała Rachel.

Hershey zerknęła na mnie pytająco.

– Koniecznie – potwierdziłam, tłumiąc westchnienie.

Wiedziałam, że mogłabym poprosić Hershey, żeby za mnie zapłaciła – zaproponowała to, gdy brałyśmy na wynos – jednak nie zamierzałam. Tłumaczyłam sobie, że nie byłoby fair tak ją wykorzystywać, prawda jednak była taka, że nie chciałam przypominać dziewczynom, jak bardzo się od nich różnię. A różniło mnie od nich to, że nie jestem bogata.

To było aż dziwne w szkole, która wszystkim swoim uczniom zapewniała bezpłatny wjazd

i przynależność do społeczno-ekonomicznej mniejszości. Prawie wszyscy w Theden pochodzili z bogatych rodzin. I nie były to raczej dzieciaki nowobogackich lekarzy i prawników. Za uczniami z mojej klasy stały poważne pieniądze; gromadzone przez pokolenia, czekały w funduszach powierniczych na ich osiemnastkę. Korciło więc, żeby zakładać, że to pieniądze zapewniły im wstęp – tak widziała to Hershey – dopóki nie usłyszało się, jak się wypowiadają. Byli wyjątkowo, wręcz boleśnie inteligentni.

Kiedy po południu wróciłam do pokoju, Hershey nie było, rzuciłam więc torbę i wyszłam. Na chodniku rozstawiono stoliki, a z głośników grzmiała na cały plac muzyka. Dzieciaki w szkolnych T-shirtach podsuwały innym formularze zapisów i rozdawały cukierki.

Trzymając się z dala od tego zamieszania, wyjęłam telefon i wyszłam poza dziedziniec, w kierunku boisk. Od śniadania nie zaglądałam do nowych wiadomości, sporo więc było do nadrobienia. O 13:53 Beck przysłał ślit focję, na której stał obok oprawionego w ramy zdjęcia łodzi przepływającej pod mostem Ballarda, z podpisem; *myślałem, że jestem w salonie sztuki, ale najwyraźniej nie*. Stuknęłam w klawisz komentarza i napisałam: *ooch, pasowałoby idealnie do mojej szafy*.

Beck nie spieszył się z odpowiedzią, dalej więc przewijałam pocztę, przeglądając wpisy, aż nagle zrobiło się chłodniej i ekran mi przygasł. Podniosłam głowę i zobaczyłam nad sobą rdzawy baldachim. Zawędrowałam do lasu. Gdy się już zorientowałam, gdzie jestem, dotarł do mnie szelest liści i odległy szum wody w rzece, a kiedy bardziej nadstawiłam uszu, gwar na dziedzińcu szkolnym. Wyszłam z wiadomości, przełączając się na moją najnowszą playlistę, zmniejszając przedtem głośność na tyle, by słyszeć jeszcze szum drzew.

Trzymając się z dala od komentarza, poszłam wzdłuż płotu, ku boiskom do gry w polo i stajniom, w których drużyna trzymała konie. Na małym boisku trenowała akurat żeńska ekipa hokeja na trawie, przysiadłam więc na wzgórzu, żeby popatrzeć. Gdybym nie odrywała oczu od piłki przeskakującej między łaskami, mogłabym prawie nie myśleć o Norcie.

Akurat gdy gwizdek ogłosił koniec treningu, gemini zabręczało. Słońce już zaczynało schodzić za widnokrąg, zabierając ze sobą popołudniowe ciepło. Wkrótce miało się zrobić ciemno.

@Hershey Clements: *co robisz?*

Oglądam trening hokeja, odpisałam. Nie dodałam: *unikając ciebie i myślenia o Norcie*.

@Hershey Clements: *dupa w troki i wracaj. idziemy na kolację. Buziaki*

– Sześćdziesiąt sekund i już nas nie ma – ogłosiła, ledwie weszłam w drzwi. – Musimy zjeść wcześniej, bo Izzy chce przed snem przetrawić.

Następnego dnia miały być przymiarki przed Maskaradą, Izzy więc przez cały tydzień pilnowała diety, żeby wbić się w mniejszy rozmiar. Według Luxa wciąż miała trzy kilo dwadzieścia ponad zalecaną wagę, co wydawało mi się wariactwem. Była przy kości, ale nie gruba, i z wąską talią. Miałam własne powody, żeby się obawiać jutrzejszej przymiarki. Z uwagi na zero cycków, krótkie nogi i figurę przypominającą linią nie należałam do dziewczyn dobrze wyglądających w stroju oficjalnym. Rok wcześniej, na balu pożegnalmym, wyglądałam na przebraną czwartoklasistkę. Pewnie dlatego nie znalazł się dla mnie partner.

– Spotkam się z wami na mieście, dziewczyny – powiedziałam, przepychając się obok Hershey do pokoju. – Muszę jeszcze wziąć prysznic.

Westchnęła, jakbym zrujnowała cały wieczór.

– Przymiarka Izzy jest wyznaczona na dziewiątą – powiedziała. – Co oznacza, że musimy skończyć jeść o ósmej czterdzieści pięć, żeby miała pełne dwanaście godzin na odgrubienie.

– Cóż, poczułyśmy się zniesmaczone i pragniemy wziąć prysznic – odparłam. – Albo więc na mnie zaczekasz, albo spotkam się z wami na miejscu. – Wiedziałam, że nie zechce czekać.

– Jak chcesz – oznajmiła, wyrywając mi z ręki gemini. – To będzie Thaiphon przy Drake Street.

Z nieprawdopodobną szybkością dodała tę restaurację do mojego terminarza i przypięła jej lokalizację do mapy.

– Masz. – Oddała mi handheld i wyszła dumnym krokiem.

Zmieniłam status lokalizacji na prywatny, potem wzięłam szybki prysznic i włożyłam moją jedyną parę stosunkowo drogich džinsów (pożegnalmny prezent od przybranej mamy) oraz jedwabny T-shirt, który wyszukałam w ulubionym lumpexie w Seattle. Koszulka była dość głęboko wycięta, przewiesiłam więc wisiorek mamy na dłuższy łańcuszek, żeby zwisał niżej, nie pozwalając, bym świeciła moim zdecydowanie nieseksownym stanikiem, ilekroć się nachylę. Przekonałam się, że Hershey bluzę z kapturem traktuje jak sweter, więc też tak spróbowałam, zostawiając ją rozpiętą, za to z zapiętymi mankietami i schowanym pod spód kapturem. Dwadzieścia minut i dwa teksty od zniecierpliwionej Hershey później byłam już w drodze. Słońce schowało się za górami, wybrałam więc spacer ulicą, przez imponującą bramę kampusu, potem skręt na Academy Drive, a dalej prosty kurs na zachodni skraj miasteczka.

Restauracja znajdowała się przecnicę za Café Paradiso, jeśli więc nie planowałam jakiegos szalonego obejścia tej kawiarni zaulkiem na zapleczu, musiałam przeparać przed jej wejściem. Kiedy się zbliżałam do otwartych na oścież drzwi, miałam motylki w brzuchu.

– Nie bądź śmieszna – upomniałam siebie bezgłośnie.

Mimo to, przechodząc przed kawiarnią, głowę cały czas miałam opuszczoną, udając zaabsorbowaną jakimś tekstem. W rzeczy wistości zapisywałam notatnik stwierdzeniem: *śmieszna*

śmieszna śmieszna.

– Hej.

Zakrzusila się gumą i jeszcze się potknęłam o coś nieistniejącego. North przytrzymał mnie za łokieć, a moje gemini poleciało na chodnik, trochę podskakując na gumowych osłonkach rogów. Guma przylepiła się do cementu.

– Ostrożnie – powiedział. Schylił się po mój handheld. Gdy zobaczyłam, że zerka na wyświetlacz, żar oblał mi policzki.

– Sądzę, że lepiej pasuje urocza – stwierdził, podając mi urządzenie. Pachniał mydłem w kostce i herbatą earl grey. – Czaderska bluza.

– Idę na kolację – wypaliłam.

Moje powieki zamieniły się w migawkę aparatu, mrug, mrug, mrug, mrug, mrug. Ten jego zapach, jego bliskość, wszystko to wzięło się jakby znikąd. Trzeba było chwili, żebym ochłonęła. Wsadziłam ręce w kieszenie i postarałam się wyglądać na zblazowaną.

– Do Thaiphooona. – Wskazałam szyld, jakby mi nie wierzył. – Chyba powinnam już...

Słowo „iść”, które miało zaraz potem nastąpić, utknęło mi w gardle, ledwie spotkaliśmy się wzrokiem. Znowu to samo. Poczucie bliskości. Jakbym znała go lepiej, niż było faktycznie.

– Naprawdę marzy ci się teraz maleńka porcja wegańskiego tajskiego zarcia za wygórowaną cenę? – zapytał.

– Czuję, że masz lepszy pomysł – powiedziałam z przekąsem. Uśmiechnął się.

– Mam. Przerośniętą, absolutnie amerykańską kanapkę z klopsikami po obniżonej cenie.

– Chłopak, który pije matcha i słodzi stewią, jada kanapki z klopsikami?

– Pasjami – potwierdził North. – A z uwagi na sceptycyzm malujący ci się na twarzy przyjęcie tego zaproszenia to twój obowiązek – Wyjął mi z dłoni gemini. – Jakie masz hasło?

– Nie podam ci swojego hasła!

– To sama je wprowadź. – Zwrócił mi telefon.

– I czemu ja to robię? – spytałam, wklepując kolejne cyfry.

– Niezbędne zabezpieczenie – wyjaśnił, gdy podawałam mu gemini. – Nie chcemy, żeby reszta twoich forumowych wielbicieli poznały najlepiej strzeżony sekret Theden. Giovanni mógłby podnieść nam ceny.

Zamrugał ze zdziwienia.

– Twój handheld już miał włączony tryb prywatny.

– Czemu tak cię to dziwi?

– Bo jesteś Forumowiczką – odpowiedział. – Wyłącznym celem tej platformy jest ułatwianie snucia nieustającej opowieści o twoim jakże ważnym życiu. Co sobie pomyślą twoi wielbiciele, jeśli nie będą stale wiedzieć, gdzie przebywasz? Jak zachowasz wiarygodność?

Skrzywiłam się.

– Zawsze jesteś taki cyniczny?

– Zawsze. – Gemini wróciło do mnie. – Dlaczego włączyłaś prywatny?

– Współlokatorka mnie męczyła. A czemu twój laptop jest taki ogromniasty? – Wskazałam jego listonoszkę. Komputer był tak wielki, że nie dało się jej zamknąć.

– Bo to antyk – wyjaśnił. – Niosę go właśnie do naprawy, kilka przecznic dalej. Masz coś przeciwko temu, że zajrzemy tam, zanim pójdziemy na kanapki?

Już wysłałam Hershey wiadomość: *Źle się czuję. :(Opuuszczam sobie kolację.*

– Do współlokatorki? – spytał North, ruchem głowy pokazując telefon. Potwierdziłam.

– Dziewczyna, z którą byłam, gdy się poznaliśmy – powiedziałam, wyłączając wibracje przed schowaniem gemini do tylnej kieszeni. Wolałam oszczędzić mojemu tyłkowi nawałnicy wiadomości, jaka zaraz się rozpęta.

– Pamiętam ją. Ciężko taką zapomnieć. – North patrzył w drugą stronę, poprawiając pasek torby, nie widziałam więc jego twarzy. – Chodźmy – dodał. – Serwis zamykają o siódmej.

Kiwnęłam głową, nagle zakłopotana. Mnie się nie zapamiętywało. Byłam dziewczyną, która ginie w tłumie, łatwą do zapomnienia.

Serwis komputerowy schował się w bocznej uliczce, z wejściem ukrytym za niewyróżniającym się niczym ceglany murem, i wbrew moim oczekiwaniom nie miał w sobie nic z bajeranckiego sklepu z elektroniką. Był ciasny i zavalony przestarzałymi gadżetami i rozmaitymi ustrojstwami, a nawet jakąś przypadkową biżuterią, która pewnie była na sprzedaż, choć nie miała metekz ceną.

– Hej, NP – powiedziała dziewczyna zza lady, odrywając wzrok od trzymanego przed sobą gemini. Była w moim wieku, może młodsza, i po punkowemu ładna, z żarówiastoróżową fryzurą w stylu bob i platynowym kolczykiem w nosie.

– Noelle, to jest Rory – odezwał się North. – Chodzi do Akademii. Rory, poznaj Noelle. To zakład jej dziadka.

– Cześć – powiedziała.

– Łał, chodzisz do Theden? – upewniła się Noelle. – Dla mnie bomba. Właśnie złożyłam podanie. Jakies rady?

– Wciąż się dziwię, że mnie przyjęli – przyznałam. – Na pewno też się dostaniesz – dodałam, bo tak wypadało, w duchu jednak się zastanawiałam, jak ktoś od oceny psychologicznej przyjmie to, że zdecydowała się na różowe włosy i przekłucie nosa. Nikt w Theden tak się nie nosił.

– To co z nim jest nie tak? – zapytała Northa, biorąc od niego niezgrabny srebrny laptop.

Moją uwagę przyciągnął błysk światła odbitego od złotego medalionu zamkniętego w szklanej gablocie. Medalion miał kształt gołębia i zawias po lewej. Rolę ptasiego oczka pełnił maleńki

blękitny kamyczek, a skrzydło ozdobione było srebrem. Wydawał się bardzo nie na miejscu pośród innych, masywniejszych przedmiotów, tak delikatny i kobiecy w zestawieniu ze stertą złotych zegarków i konsol wideo z szarego plastiku.

– Twardy dysk się usmażył – powiedział North. Wciąż nie odrywałam oczu od medalionu. – Wywaliłbym ten sprzęt, ale jakoś mam do niego słabość. Jak myślisz, Ivan go naprawi?

– Wszystko naprawi. – Noelle wsunęła laptop do usztywnionej torby z zamkiem błyskawicznym i zaczęła wypisywać potwierdzenie przyjęcia. Dane kontaktowe Northa знаła na pamięć.

– Potrzebujesz sprzętu zastępczego? – spytała, obracając ekran dotykowy w stronę Northa, żeby złożył podpis. – Nie, czekaj, masz przecież siedem innych komputerów.

– Aktualnie dziewięć – oznajmił North z uśmiechem.

Trzeba było chwili, żeby to do mnie dotarło.

– Masz dziewięć komputerów? Kolekcjonujesz je czy co? – zapytałam.

– Stare komputery to jakby moje hobby – powiedział North, zarzucając torbę na ramię. – Dasz znać, kiedy będzie gotowy? – zapytał Noelle.

– Pewnie – potwierdziła, sięgając po gemini.

– Powodzenia w przyjęciu do Theden – rzuciłam na pożegnanie.

– Dzięki – odpowiedziała, myślami będąc już przy handheldzie. North otworzył mi drzwi i wysłał na uliczkę.

– A teraz... – powiedział, dołączywszy do mnie na chodniku – ...kolacja. – Wskazał na zieloną markizę nad sąsiednim wejściem. Łuszczącymi się białymi literami wypisano tam GIOVANNI.

Spodziewałam się baru szybkiej obsługi, ale Giovanni było klasyczną restauracją z stolikami o białych obrusach. W kuchni urzędował sam pan Giovanni. Powitał Northa niedźwiedzim uściskiem, znacząc tył jego T-shirta plamą sosu pomidorowego, po czym zabrał się do pracy nad naszymi kanapkami, które – jak wyjaśnił North – wykraczały poza tutejsze menu. Jako dzieciak często bywał u Giovanniego, ten zaś zauważył, że North nigdy nie zjadał jego spaghetti. Zamiast tego wydlubował z makaronu klopsiki, wkładał je między dwie kromki chleba czosnkowego i całość oblewał sosem marinara. Pewnego dnia Giovanni sam podał chłopcu ten ulubiony specjał i od tamtej pory już zawsze go dla niego przyrządzał.

– To tutaj dorastałeś? – zapytałam, gdy już wyszliśmy z kanapkami w torbie pod pachą Northa.

– W Bostonie – odpowiedział, prowadząc mnie wąską uliczką na tyłach Main Street. – Ale często tu bywaliśmy u ciotki. To do niej należy Paradiso – wyjaśnił. – Choć rzadko tam ostatnio bywa.

– A twoi rodzice...?

– Mój tato nadal siedzi w Bostonie – powiedział. – Próbuje udawać, że jego jedyny syn nie

rzucił szkołę. Mama umarła, kiedy miałem trzy lata.

Nagle to nabrało sensu. To poczucie bliskości. On też stracił mamę. Przy całej tej technologii w służbie zapobiegania wypadkom i leczenia chorób, my, niemający mam, stanowiliśmy rzadki gatunek. U Roosevelta byłam jedynym dzieckiem bez matki, w Theden zapewne też. Chciałam powiedzieć Northowi, że w tym jesteśmy podobni, ale słowa utknęły mi w gardle.

– Dlaczego rzuciłeś szkołę? – zapytałam w zamian.

Popatrzył na mnie.

– Szkoła to nie dla mnie.

– I dlatego teraz parzysz kawę?

Oczy mu przygasły.

– Wybacz, że nie dorastam do twoich standardów.

– Nie o to mi chodziło – powiedziałam szybko, zawstydzona. – Standardy nie mają tu nic do rzeczy. Nawet ich nie mam.

– Taką dziewczyna jak ty powinna trzymać się standardów. – Wrócił mu ten ironiczny uśmiech. – I to wysokich. – Zatrzymał się przy tylnym wejściu do Paradiso. Obok były drugie drzwi, już nie przeszkłone, ale metalowe.

– O ile, oczywiście, rzeźzone standardy nie powstrzymają cię przed spożyciem kolacji w towarzystwie starszego od ciebie i utrzymującego się teraz z parzenia kawy niedosłego absolwenta szkoły powszechnej w jego pustym mieszkaniu – dodał North, otwierając metalowe drzwi.

W głowie kołatała mi się wzmianka o „pustym mieszkaniu”.

– A ile on właściwie ma lat? – zapytałam, gdy go mijałam, starając się nie wyjść na spłoszoną czy nawet totalnie wystraszoną tym pomysłem.

Za drzwiami była klatka schodowa. North zamknął za nami drzwi, na dwa zamki.

– Osiemnaście – odpowiedział, wchodząc na schody. Szłam za nim na miękkich nogach. Nigdy jeszcze nie byłam w sypialni chłopaka – chyba że u Becka, ale on się nie liczył.

Na piętrze były kolejne drzwi, z dzwonkiem obok klamki i dwiema zasuwkami we framudze. North otworzył je, do każdej z zasuwek używając innego klucza, a do zamka pod klamką trzeciego. *O co chodziło z tymi wszystkimi zamkami?*

I bez Luxa wiedziałam, że tu nie pasuję. Powinnam być teraz, jeśli już nie z Hershey i dziewczynami w Thaiphonie, to przynajmniej z koleżankami z klasy w jadalni na kampusie, i zającąc się pieczonym labraksem, dyskutować o teorii strun lub o Jane Austen. Tyle tylko, że powinność nie miała tu nic do rzeczy, gdy z robiąc to, co należało, pozbawiłabym się tego tutaj.

– Ty przodem – powiedział North, otwierając drzwi na oścież.

1. Danie z południa Indii, naleśnik ryżowy z soczewicą, pokryty jadalną złotą farbą. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 10

Drzwi wejściowe otwierały się na salon, który w zasadzie nie był pokojem, a jedynie przestrzenią z kozetką, stoliczkiem i przeładowanym książkami regałem wciśniętym między małą kuchnię i jeszcze mniejszy kąt sypialny.

– Mieszkaś sam? – zapytałam, wchodząc za Northem do kuchni. Doszłam do tego wniosku, widząc jedno podwójne łóżko.

Skinał twierdząco głową, rozpakowując kanapki.

– To mieszkanie przyszło w ramach dzierżawy Paradiso. Kiedy zacząłem mówić o wyrowadzeniu się stąd na dobre, ciotka zaproponowała mi mieszkanie za darmo.

Odgryził kęs kanapki. Sos marinara ściekł mu na podbródek. Przyjrzałam się swojej, marząc o nożu i widelcu.

– Po prostu weź się za nią – powiedział North. – Nie da się nie upaść. Ale jak już spróbujesz, przestaniesz cię to obchodzić.

Miał rację. Poszczególne składniki nie robiły większego wrażenia, ale zestawione razem stanowiły jejku-jakie-to-pyszne-nie-możesz-nie-spróbować. Na moment zamarzyło mi się, żeby Lux był na chodzie, bo mogłabym dodać tę kanapkę do ulubionych. Z drugiej strony, ani klopsikowa kanapka Giovanniego, ani matcha latte Northa nie figurowały w niczym menu, toteż ich profili smakowych nie można byłoby zestawić z historią mojej konsumpcji ani umiejscowić w hierarchii upodobań.

– Masz ochotę na jakiś film? – spytał North, z uwagi na klopsik niewyraźnie.

Szybko otarłam łąciki ust.

– Masz odtwarzacz?

– Nie GoBox, ale laptop z odtwarzaczem DVD i trochę płytek – Wskazał na najniższą półkę regału, wypełnioną plastikowymi pudełkami w roli książek – Wybierz jakiś.

Podeszłam tam i przyjrzałam się tytułom. *Rudy, Rocky, Byki z Durham, Mistrzowski rzut*¹.

– Same stare filmy o sporcie – zauważyłam.

– Och, kryją w sobie znacznie więcej – odparł North. – Widziałaś któryś z nich?

Potrząsnęłam głową przecząco.

– Który jest twoim ulubionym?

North zastanawiał się przez chwilę, potem się uśmiechnął.

– Usiądź – polecił. – Włączę go. Nie chcę, żebyś wiedziała, co będzie, zanim się zacznie.

Podszedł do półki, pierwszy chwycił płytę, potem niósł ją odwróconą, żeby nie zobaczyła

tytułu.

Wyjęłam z kieszeni handheld, żeby sprawdzić godzinę. Miałam sześć tekstów od Hershey, ostatni sprzed trzech minut, i to wypisany wielkimi literami.

@HersheyClements: *GDZIE JESTEŚ?!?!*

Szybko sprawdziłam jej lokalizację. Skrzyżowanie Drake i Main. Była nadal w restauracji.

– Znowu twoja współlokatorka? – zainteresował się North.

– Aha. Piszę jej, że jestem w bibliotece, da mi więc spokój.

– Nie kłam. Przynajmniej nie w wiadomościach. Po prostu nie odpowiadaj.

– Nie dowie się, że skłamałam – powiedziała mu. – Przetawiałam tryb na prywatny.

– To bez znaczenia. Twoja lokalizacja ukryta jest przed światem zewnętrznym, ale gemini i tak zna twoje koordynaty GPS. I loguje się nawet wtedy, kiedy Lux jest wyłączony.

– Skąd wiesz?

– Bo tak stoi w warunkach umowy.

– Przeczytałeś umowę?

North uniósł brwi, zdziwiony.

– A ty nie?

– No co ty? Nikt nie czyta umów.

Potrząsnął głową.

– Chyba łapiesz, że to porąbane? Pozwalasz Luxowi na podejmowanie za ciebie decyzji, a nawet nie wiesz, na jakich zasadach to robi?

Nie dałam się w to wciągnąć.

– Okej, powiedzmy, że masz rację...

– Bo mam.

– I Lux wie, gdzie teraz jestem. Czemu to, czy skłamię, jest takie ważne?

– Dlatego że Lux posługuje się algorytmem wycinającym – odpowiedział North. – Oznacza to, że ma zaprogramowane wykrywanie schematów w zdarzeniach w oparciu o wąskie wyimki z doświadczeń użytkownika. Powiedzmy, że zostałaś przez Lux rozpoznana jako osoba, która kłamie, kiedy ma poczucie winy albo kiedy stara się nie urazić czyichś uczuć, albo też kiedy robi coś, czego, jak wie, robić nie powinna, nie wiem, powiedzmy, przesaduje u jakiegoś starszego koleśka. – Dojrzałam cię uśmiechu. – Jeżeli teraz skłamiesz, Lux zbierze wszelkie możliwe dane na temat tej sytuacji, łącznie z koordynatami lokalizacji, i w przyszłości będzie ci odradzał podobne sytuacje. A tego ja na przykład bardzo bym nie chciał.

Trąciło mi to jakąś paranoidalną teorią spiskową, prawdą jednak było, że nie miałam pojęcia, na jakiej zasadzie działa Lux. Ilekroć wyskakiwało mi okienko z prywatnym powiadomieniem czy

też z aktualizacją warunków umowy, po prostu klikałam „akceptuj”.

Położyłam gemini na stoliczku, ekranem do dołu, i obejrzałam się na Northa.

– To oglądamy ten film czy co?

– No i co powiesz? – zapytał North, gdy zaczęły się napisy końcowe.

– Był... interesujący – powiedziałam.

– Czyli cię wkurzył.

– Nie! Podobał mi się. Tylko... nie jestem pewna, co powinnam odczuwać, i tyle. Ten głos w głowie Raya to miało być Zwątpienie, tak? Czyli powinniśmy mu współczuć?

North jakby się zaśmiał.

– Powinnaś czuć się poruszona. Zainspirowana.

Aż mnie skrzyknęło. Rzecz właśnie w tym, że historia była inspirująca. Główny bohater, usłyszawszy w sobie głos mówiący: „Jeśli to wybudujesz, oni przybędą”, postanowił na swoim polu kukurydzy wybudować boisko do baseballa, a wszyscy nieżyjący już baseballiści pojawili się tam, żeby zagrać ². Nie dość, że zbytnio logiczne to nie było (czemu ci wszyscy baseballiści snuli się, szukając jakiegoś miejsca do gry?), to jeszcze mega zirytowało mnie oczekiwanie, że kupię to, iż facet od razu pojął, czego chciał ten głos. Zdanie było zagadkowe i totalnie niekonkretne, a Ray jakś wiedział, że „Jeśli to wybudujesz, oni przybędą” oznaczało: „Wybuduj boisko do baseballa na swoim polu kukurydzy”. Okęj. Mogłabym sobie wyobrazić, jak do tego doszedł.

– To było takie... nieprawdopodobne – powiedziałam ostrożnie, nie chcąc totalnie się czepiać ulubionego filmu Northa.

– Kto tak uważa?

Popatrzyłam na niego.

– Ja przecież! Głos w głowie kazał mu zbudować boisko do baseballa. Na polu kukurydzy.

– I zobacz, co się stało – odparł North. – Uratował swoją farmę. Pojednał się z ojcem. Dał ludziom radość. Pomyśl, jakby się to skończyło, gdyby nie posłuchał.

Już zaczęłam tłumaczyć, że utrata farmy to jednak mniej niż postradanie rozumu, umilkłam jednak, widząc, że North zerka na drewniany zegar z kukułką wiszący na ścianie. Była już za kwadrans dziewiąta.

– Powinnam się zbierać – powiedziałam szybko, zanim on to zasugerował, i wstałam. – Dzięki za kanapkę. I za film.

– Powinniśmy to kiedyś powtórzyć – stwierdził North, odprowadzając mnie do drzwi. – Teraz już wiem, że bardziej pasowałby ci *Rocky*. Nie ma tam żadnych zjaw ani bezcielesnych głosów. Jedynie upór i nawalanka.

– Idealne – powiedziałam i wyszłam za próg, na klatkę. Spodziewałam się, że pójdzie za mną, ale odwróciwszy się, zobaczyłam, że cofnął się w głąb mieszkania, chowając za otwartymi drzwiami. Przełknęłam to rozczarowanie.

– Cześć – rzuciłam, lekko pomachawszy, zanim znów się odwróciłam.

– Hej, Rory?

– Tak?

Boże, dzięki – to właśnie przemknęło mi przez głowę, gdy robiłam piruet w jego stronę. Może gdy już się pocałujemy, wreszcie przestanę o tym myśleć? Serce mi waliło, gdy podnosiłam wzrok wchodząc w rolę dziewczyny, która zna się na całowaniu. Bo właściwie to się nie znałam: chłopaka miałam jedynie w dziewiątej klasie i równie dobrze mogłabym wtedy całować się z rybą, oboje z zamkniętymi ustami i zaciśniętymi wargami.

– Nie wspominaj Hershey, że byliśmy dziś razem, dobra?

Żal ścisnął mi serce. Rzeczywiście, ciężko mu było ją zapomnieć, skoro pamiętał nawet jej imię. Byłam pewna, że go nie przypomniałam.

– Dobrze. – W moim głosie zabrakło życia.

– To nic osobistego, ja tylko...

– W porządku. – Błysnęłam uśmiechem. – Kumam.

Zanim zrobiło się jeszcze bardziej niezręcznie, odwróciłam się i zbiegłam ze schodów. Gdy byłam w połowie drogi, usłyszałam trzask drzwi.

On ma swoje życie, przekonywałam sama siebie, wracając na kampus.

– Albo kompletnie krępuje go, że mógłby być z tobą kojarzony – powiedziałam pod nosem.

Już na dziedzińcu przyjrzałam się oknom, szukając swojego. Światło się paliło. Hershey jeszcze nie zasnęła. Z westchnieniem sięgnęłam po gemini, żeby otworzyć drzwi wejściowe. Na ekranie była nowa wiadomość.

NUMER ZASTRZEŻONY

Człowiek zbudował prostopadłościenny dom.

Wszystkie okna wychodziły na południe.

Jakiego koloru był niedźwiedź?

Jaktylko otworzyłam tę wiadomość, przyszła następna.

Masz trzydzieści sekund na odpowiedź.

Serce natychmiast mi zabiło. To było od stowarzyszenia; musiało być od nich. Element procesu oceny. Tyle tylko, że to pytanie nie miało sensu ³. Co mogło łączyć kształt domu

zbudowanego przez tego człowieka z kolorem niedźwiedzia, którego widział? Poczułam, że zaczynam panikować. Czy pytanie było podchwytliwe? Skąd miałabym wiedzieć, jakiego koloru był ten niedźwiedź, skoro nie znałam jego gatunku, a tego przecież wiedzieć nie mogłam, skoro nie wiedziałam, gdzie...

Nagle zaskoczyłam. *Wszystkie okna wychodziły na południe.* Dom stał na Biegunie Północnym. Niedźwiedź był niedźwiedziem polarnym. Temu człowiekowi musiał się wydawać biały. Szybko wysłałam odpowiedź. Chwilę później otrzymałam kolejną wiadomość.

Dobra robota, Zeta.

Mimo woli gwizdnęłam przez zęby, oddychając z ulgą. Jedna próba zaliczona. Ile takich jeszcze mnie czeka?

Wciąż rozdygotana od nadmiaru adrenaliny, poszłam do świetlicy na coś do picia. Na sofach grupa drugoroczników grała w scrabble, usiadłam więc przy jednym z długich stołów. Godzinę później jeszcze tam siedziałam, przy filiżance wystygłego rumianku, pochylona nad ekranem, przekopując się przez najtrudniejsze zagadki słowne, jakie udało mi się znaleźć. Kiedy stowarzyszenie znów się odezwie, będę gotowa.

Obudziło mnie stukanie palca w ekran oraz szelest towarzyszący przewracaniu e-stron. Hershey siedziała po turecku na swoim łóżku, kartkując „Vogue’a” na tablecie. Gdy o północy wreszcie dotarłam do pokoju, spała, co oszczędziło mi inkwizytorskiego przesłuchania. A raczej przesunęło je na tę właśnie chwilę.

– Jeśli nie chciałaś iść z nami, mogłaś od razu to powiedzieć – rzuciła, jak tylko uniosłam powieki.

– Zahaczyłam o bibliotekę publiczną i tam utknęłam – wyjaśniłam, przecierając oczy.

Wprawdzie nigdy nie byłam w tamtym czerwonym budynku, ale czytałam, że w piątki i soboty biblioteka otwarta jest do jedenastej, a biorąc pod uwagę opinię Hershey na mój temat, nietrudno byłoby jej uwierzyć, że tam postanowiłam spędzić piątkowy wieczór.

Hershey świetnie znała się na ludziach, byłam więc w pełni przygotowana na to, że wykpi moją bajkę. Ona jednak tylko westchnęła.

– Martwię się o ciebie, Rory. Za ciężko pracujesz.

W porównaniu z tobą wszystkich to dotyczy, skontrolowałam w myślach. Odkąd przebywałyśmy na kampusie, noga Hershey jeszcze nie postała w bibliotece i nie widziałam też, żeby moja współlokatorka się uczyła. Odrzuciła na bok tablet.

– Ale ja to rozumiem – powiedziała. – Po prostu stęskniłam się za tobą.

Wymiękłam. Czemu byłam wobec niej tak krytyczna? Pewnie, że miała swoje wady

i czasami mówiła takie rzeczy, że człowiek miał ochotę się pochłastać, ale taka już była. Usilnie jednak starała się ze mną zaprzyjaźnić, a ja traktowałam ją jak śmiecia.

– Powinnyśmy niedługo wychodzić – oznajmiła Hershey, zeskakując z łóżka. – Nie chcemy się spóźnić na przymiarę.

Do miasteczka poszłyśmy ulicą. Hershey szła szybko, wyciągnęłam więc handheld, żeby się upewnić co do czasu wizyty. Obie byłyśmy zapisane na dziesiątą, a była dopiero 9:45. W tym tempie przyszłybyśmy dziesięć minut za wcześnie.

Pracownia mieściła się przy południowym krańcu Main Street, co było o tyle dobre, że nie musiałyśmy po drodze mijać Paradiso. Jeszcze nie zdecydowałam, jak potraktuję to Northowe tylko-nie-mów-o-nas-Hershey, na pewno jednak nie marzyło mi się paradowanie z nią w tamtych okolicach już następnego dnia. Pomyślałby, że robię to celowo, żeby coś zmanifestować.

– Twój punkt docelowy zlokalizowany jest na lewo od ciebie – ogłosił Lux, gdy znalazłyśmy się przed sklepem o drzwiach z matowym szkłem. Przez okno wystawowe widziałam całe rzędy kolorowych sukien osłoniętych workami z przezroczystej folii, a także dziewczynę z mojej sekcji stojącą na podeście krawieckim. Druga czekała nieopodal na krześle. – Twoje spotkanie nastąpi za jedenaście minut.

– Ideał – stwierdziła Hershey. – Mamy czas na kawę.

Ruszyła w dół ulicy, w kierunku Paradiso.

– Czemu by nie sprawdzić River City Beans? – zasugerowałam, dogoniwszy ją. Od paradowania z Hershey w pobliżu tamtej kawiarni gorsze byłoby jedynie wejście z nią do środka.

– Bo Paradiso jest już tutaj – oznajmiła. Podeszła do okna kawiarni i uśmiechnęła się. – On zresztą też.

Hershey otworzyła drzwi i wkroczyła do wnętrza. North na dźwięk dzwonka podniósł głowę, spytując się ze mną wzrokiem. Przez chwilę wytrzymał moje spojrzenie, potem przeniósł oczy na Hershey. Zero uśmiechu, żadnego powitania, a w jego oczach ani na jotę tego, że mnie poznał. Musiałam walczyć z rozczarowaniem.

– Cześć, Rory – powiedział jakiś żeński głos. To była ta dziewczyna z ogoloną głową, którą poznałam wtedy, gdy North zabierał mnie na cmentarz. Nie przedstawiłyśmy się sobie, więc musiał jej powiedzieć, jak się nazywam.

Nachyliłam się do niej tak, żeby North zniknął mi z pola widzenia. Skoro zamierzał mnie ignorować, z chęcią odpowiadałam tym samym.

– Dostanę średniowaniłowe cappuccino? – spytałam ją. – Potrójne.

– A dla ciebie? – To pytanie skierowała do Hershey.

– Zwykłą czarną – odpowiedziała moja współlokatorka. – Dużą.

Spodziewałam się, że uwaga Hershey znów skupi się na Norcie – jej komentarz przy drzwiach zasugerował mi, że po to tu przyśliśmy – ale się przeliczyłam.

– Skąd ją znasz? – zapytała, gdy dziewczyna poszła przyrzadzić nam kawę.

– Zjrzałam tu wczoraj, po drodze do biblioteki – powiedziałam niedbale. I dodałam jakby od niechcienia i najobojętniej, jak tylko potrafiłam: – A to nie ten facet, którego uznałaś za takie ciacho?

– Nie za ciacho – sprostowała Hershey. – Za w miarę seksownego. I to tylko dlatego, że byłam dobita zmianą stref czasowych, zmęczona i ciężkomyśląca.

Zerknęła przez ramię na Northa. Kątem oka widziałam, jak myje w zlewie pojemniki po mleku.

– Przy okazji – podniosła głos, jakby to, co teraz powie, zamierzała obwieścić. – Mówiłam ci już, że się z kimś spotykałam?

To wyjaśniło jej nocne wypady. Postarałam się wyglądać na zaskoczoną.

– Naprawdę?

Hershey dramatycznie pokiwała głową.

– Mógłby być z tego skandal – powiedziała. – Dlatego trzymamy to w sekrecie. Ale chemia jest intensywna.

Znów spojrzała na Northa. Wyraźnie po to, żeby sprawdzić, czy usłyszał. Nie patrzył na nas, ale wiedziałam, że tak Wszyscy w kawiarni usłyszeli. Oto gorąca laska, podnosząc głos, oznajmia, że się z kimś spiknęła. Ludzie zwracają uwagę na takie rzeczy.

– Czy on chodzi do Theden? – zapytałam.

Hershey obdarzyła mnie tajemniczym uśmiechem.

– Twoje spotkanie nastąpi za dwie minuty – oznajmił Lux, kiedy dziewczyna z ogoloną głową postawiła nasze kawy na barze.

Upiłam łyk swojej i uśmiechnęłam się.

– Pycha. O wiele lepsza od tej matchy, którą ostatnio tu piłam.

To było dziecinne i nawet nie bardzo kłśliwe, ale nie mogłam się oprzeć. Zobaczyłam, że Hershey, sięgając po kawę, znów zerka na Northa.

– Naprawdę się z kimś spotykaasz? – zapytałam Hershey, gdy już wyszliśmy z kawiarni.

– Określenie „spotykać się” traktuję swobodnie – powiedziała, biorąc mnie pod rękę. – Trafniej byłoby powiedzieć, że spotykamy się w rozmaitych i niekonwencjonalnych miejscach.

Byłam zaintrygowana i lekko zniesmaczona. O jak bardzo niekonwencjonalnych miejscach była tu mowa? Mimowolnie moje myśli powędrowały do snu, o którym przez cały ranek starałam się zapomnieć. North i ja na posadzce mauzoleum, w deszczu. Z miejsca się wkurzyłam, a im bardziej myślałam o tym, jak mnie właśnie potraktował, tym mocniej

wpadałam w złość. Taki robi się słodziutki, gdy jesteśmy sami, a w obecności Hershey udaje, że mnie nie zna? Boże, jakie to było oczywiste. I obrzydliwe. Nie chciał, żebym wyjawiała Hershey, że się spotkałiśmy, bo starał się nie blokować sobie innych opcji. Najbardziej zła byłam jednak na siebie, za to, że zgodziłam się dochować tajemnicy. Powinnam była powiedzieć: *Mam lepszy pomysł, dupku; w ogóle się nie spotykajmy.*

– To która ma być?

Głos właścicielki pracowni przerwał przemowę typu za-kogo-ty-się-uważasz, którą w myślach raczyłam Northa. Przymierzyłam już sześć sukienek, pięć wybranych przez Luxa i jedną wytypowaną przez Hershey, suknie dla celebrytek, a nie dla niewydarzonych szesnastek z wystającymi kolanami i tragiczną figurą, ale wciąż jeszcze nie mogłam się zdecydować. Hershey już wybrała, pierwszą przymierzoną sukienkę: sięgającą podłogi czerwoną tubę z głębokim dekoltem i rozcięciem pod samo udo. Kiedy wyszła w niej z przymierzalni, myślałam, że właścicielka pracowni dostanie zawału.

– Hm – mruknęłam po raz chyba dziewięćsetny. Sukienka, którą miałam na sobie, była śliczna. Czarna, bez ramiączek i prosta. Już chciałam powiedzieć, że właśnie tę biorę, kiedy wtrąciła się Hershey.

– Weźmie tę od Diora – powiedziała, wskazując na suknię balową z zielonej tafty, wiszącą na wieszaku obok mnie. To była ta, którą ona mi wybrała i na którą ja sama nigdy bym się nie zdecydowała – w mocnym kolorze, szeroka, na sztywnej halce i z błyszczącymi kamieniami na gorsie. Ale ponieważ dobrze leżała i w tym kolorze wyglądałam zdecydowanie mniej ziemście niż zwykle, kiwnęłam głową na znak akceptacji.

Kiedy wciągałam dzinsy, gemini zabrzęczało.

Nowa wiadomość na Forum!

@KatePribulsky: *sorki za przedtem. wyjaśnię potem. przyjdiesz wieczorem?*

Nazwisko nic mi nie mówiło, powiększyłam więc zdjęcie profilowe. Ogolona głowa, kółczyk w nosie. To była dziewczyna, która pracowała z Northem. A ponieważ ona nie miała najmniejszego powodu mnie przeproszać, wiadomość musiała pochodzić od niego.

Ku memu wielkiemu oburzeniu serce na tę myśl zabiło mi mocniej. Żalosne.

Wystukałam *dziś nie mogę*, a potem zablokowałam @KatePribulsky dostęp do mojego konta.

1. *Rudy* (1993), reż. D. Anspaugh; *Rocky* (1976), reż. J. G. Avildsen; *Byki z Durham* (1988), reż. R. Shelton; *Mistrzowski rzut* (1986), reż. D. Anspaugh. [\[wróć\]](#)
2. *Pole marzeń* (1986), reż. D. Anspaugh, z Kevinem Costnerem w roli głównej. Jak widać z przypisów, reżyser wyspecjalizował się w filmach o tematyce sportowej. [\[wróć\]](#)
3. Prawdopodobnie jednak miała, gdyż zagadka stanowiła przeróbkę podobnej, wymyślonej podobno przez Alberta Einsteina. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 11

Wnastępny piątek po szczególnie brutalnym poturbowaniu podczas Praktyk, wsunęłam się na swoje miejsce na poznawczej i głośno odetchnęłam. Nie dość, że jutro czekała mnie Maskarada, to jeszcze miałam dwa dni spokoju od Bestii. Czyli od dr Tarsus.

Codzienne zajęcia z nią nadal stanowiły pięćdziesiąt pięć minut czystego piekła. Nie była to kwestia przedmiotu, chociaż go nie cierpiałam, ani formuły ćwiczeń. Chodziło o nią samą. Ilekroć próbowałam wziąć udział w zajęciach, dostawałam za to łomot. Moje komentarze były „krótkowzroczne” albo „błędne”, albo też „żałośnie poniżej poziomu”. Kiedy siedziałam cicho, grzmiała na mnie za brak aktywności. Nie sposób było wygrać.

Zadokowałam gemini i wyjęłam tablet, by go zsynchronizować. Przerabialiśmy budowę fizyczną mózgu i dzisiaj mieliśmy się zająć płatem czołowym. Ekran na przedniej ścianie klasy był jednak wciąż jeszcze ciemny. Rudd chodził pośród nas z handheldem, zatrzymując się przy każdym biurku. Dowcipny i przystępny Kyle Rudman był przeciwieństwem Tarsus i zdecydowanie moim ulubionym nauczycielem.

– Czy mieliśmy zacząć rozdział trzeci? – spytał ktoś z paniką w głosie.

– Nie – odpowiedział Rudd, podchodząc do mojego biurka. – Mamy jeszcze dwa dni na rozdział drugi. Robimy sobie zatem przerwę, żeby porozmawiać o waszych projektach badawczych. – Sięgnął po mój handheld. – Hej, Rory. Ty masz AZP, tak?

Zrobiło mi się sucho w ustach. Rozumiałam, że pyta o temat pracy, ale tak to powiedział, że aż przeszły mnie ciarki. Głosu nie słyszałam od tamtej chwili na arenie, ale nie przestawałam o nim myśleć. Miałam poważne wątpliwości co do wyboru tematu pracy, żałując, że jednak nie zaufałam Luxowi. Ilekroć zaczynałam czytać artykuł na ten temat, popularny czy też naukowy, powracało dojmujące poczucie niepewności. Łapałam się na kwestionowaniu nauki, na próbach znalezienia luk w tych badaniach – nawiasem mówiąc, o wiele mniej rozstrzygających, niż mi wpojono. Istniał szereg teorii na temat tego, jak eliminacja połączeń synaptycznych w płacie czołowym może powodować złudzenia słuchowe, brak było jednak rzeczowych dowodów, nad czym każdy znany mi podręcznik – czy też naukowiec – gładko się prześlizgiwał. Bywały chwile, gdy nabierałam pewności, że Zwątpienie kryje w sobie więcej, niż dopuścili badacze. Czy to dlatego Lux zniechęcał mnie do pisania pracy o AZP? Czyżby ta apka jakoś wiedziała, jak na to zareaguję? To samo w sobie już było niepokojące. Właściwie wszystkie źródła, które znalazłam, mówiły o istnieniu ludzi bardziej predysponowanych do słyszenia tego głosu niż do jego blokowania. Czyżby m byłą jedną z takich osób?

– Rory?

– Ach, tak – odezwała się. – AZP.

Rudd wcisnął guzik na swoim handheldzie i na moim ekranie pojawiła się nowa ikonka. Była czerwona, z literami DZP na środku i małym symbolem zamka w prawym górnym rogu.

– Wszyscy otrzymaliście ograniczony dostęp do bazy rejestrów medycznych Departamentu Zdrowia Publicznego – oznajmił Rudd, wróciwszy na środek sali. – Wasze loginy powiązane z wybranymi przez was tematami, umożliwiając przeglądanie dokumentacji medycznej pacjentów, którzy cierpieli na badane przez was zaburzenia umysłowe.

Podniósł z biurka swój tablet i stuknął w ikonkę DZP. Aplikacja włączyła ekran na ścianie frontowej.

– Wiem, co niektórzy z was myślą – stwierdził ze śmiertelną powagą, logując się. – Macie nadzieję, że to oznacza, iż będziecie mogli na dobre wykazać, że wasz wrogiel¹ to patentowany czubek. Niestety, dostęp macie tylko do niezujących wariatów, a ta akurat baza i tak jest anonimowa, co oznacza, że jedyne informacje, jakie uzyskacie, to płeć, pochodzenie etniczne oraz daty urodzenia i zgonu. – Tak udał rozczarowanego, że wszystkich nas rozbawił.

Po wejściu do bazy danych udzielił nam zaleceń, jak szukać na podstawie diagnozy i jak filtrować uzyskane rezultaty.

– Rzecz w tym, że musicie zabawić się w detektywów. Szukać śladów wpływu badanej patologii na samopoczucie pacjenta, znajdować schematy i zjawiska zbieżne u innych pacjentów i analizować trajektorie wiodące od diagnozy do zgonu. Jakie są punkty zwrotne? Jak można usprawnić opiekę medyczną, żeby zapewnić cierpiącym na wybrane przez was zaburzenia lepszą jakość życia?

Przekonanie się, jak Zwątpienie zniszczyło ludziom życie, na pewno pomogłoby stłumić mój wewnętrzny sceptycyzm. Kupiłam to.

Kiedy zeszałam na obiad, dziewczyny były już w stołówce. Izzy stała przy barze sałatkowym, studiując swój ekran.

– Mówi tylko, że ogórki – powiedziała, kiedy podeszłam. – Czy to oznacza, że mogę wziąć, ile chcę?

Popatrzyła na mnie w oczekiwaniu na odpowiedź. Powierzyła Luxowi pomoc w układaniu diety przed Maskaradą i była już tylko ćwierć kilo od celu.

– Chyba tak

– Świetnie – stwierdziła, ładując sobie na talerz cały pojemnik

Chwyciłam tacę i przesunęłam się wzdłuż lady. Sprawdzalam skład chińskiej sałatki z kurczakiem, kiedy poczułam, że ktoś przy stanął koło mnie.

– Idziesz jutro na mecz? – usłyszałam Liama.

– Hm... – Zażyczyłam, że chodzi mu o piłkę wodną, ale nawet mi przez myśl nie przeszło, żeby wybierać się na mecz. Wszystkie wydarzenia sportowe, w których przyszło mi w życiu uczestniczyć, mogłabym policzyć na palcach jednej ręki.

Liam zobaczył wyraz mojej twarzy i wybuchnął śmiechem.

– Zakładam, że to znaczy nie.

– Raczej nie przepadam za sportem – powiedziałam tonem przeprosin.

– Skoro więc odpowiedziałaś przecząco na pierwsze pytanie, nie wolno ci powtórzyć tego przy drugim.

– Nooo...? – rzuciłam, obserwując go niby to podejrzliwie.

– Bądź moją partnerką na balu.

Dotarło do mnie słowo bal, ale przez chwilę nie bardzo wiedziałam, o czym mówi.

– Czekaj, chodzi o Maskaradę?

– A szyluje się jeszcze jakiś, o którym nie wiem? – zażartował.

Przez dłuższą chwilę stałam tam jak kołek, zbyt oszołomiona, żeby odpowiedzieć cokolwiek. Liam mnie zaprasza? Nie mam zbyt niskiej samooceny, ale faceci tacy jak Liam z zasady nie lecieli na takie dziewczyny jak ja. Z drugiej strony, moje doświadczenie z facetami takimi jak Liam uznać należało za znikome. Spojrzałam za jego plecy i zobaczyłam Hershey obserwującą nas spod stoiska z zupami.

– Jasne – powiedziałam w końcu. – Pójdę z tobą.

Liam uśmiechnął się szeroko.

– Fantastycznie. Spotkam się jutro.

Jak tylko odszedł, przywędrowała Hershey.

– O co chodziło? – zapytała, stawiając tacę obok mojej i sięgając po metalowe szczytce.

– Liam zaprosił mnie na bal – wypaliłam.

– No, proszę – powiedziała, szturchając mnie biodrem. – Zamierzasz z nim kręcić?

– Nie! On mnie tylko zaprosił. Jeszcze nie mam do tego głowy.

– No to użyj tej swojej głowy – Hershey nie ustępowała. – Powiedz, wyobrażasz sobie, że będziesz z nim kręcić, tak czy nie?

Jak mogłabym kręcić z Liamem, skoro ilekroć słyszałam o kręceniu z kimś, do głowy od razu wskakiwał mi North?

– Sądzę, że mogę – przyznałam. – Może.

– Czyli go lubisz.

– Myślę, że to miły facet – spreyczołam.

– Rory, nie myl wyrachowania z serdecznością – powiedziała, szcękając mi przed nosem szczypcami jak paszczą krokodyla. Potem się roześmiała i pchnęła swoją tacę wzdłuż lady.

Wielka Rotunda przez cały tydzień była niedostępna i kiedy w sobotni wieczór przekroczyłam jej drzwi, zrozumiałam dlaczego. Ascetyczne marmury tej sali skryły się za wymyślnymi dekoracjami wydającymi się wprost wyrastać ze ścian, a nie je przesłaniać.

– W głowie mi się nie mieści, jak cudownie wyglądasz – powiedział Liam, przytrzymując drzwi, a jego głos zadudnił we wnętrzu lwiej maski.

– To ta sukienka – odpowiedziałam. I fakt, że twarz mam całkowicie zasłoniętą, gotowa byłam dodać.

Maski, owinięte całym mnóstwem bibułki, dostarczono nam do pokojów w czwartek wieczorem. Ledwie zobaczyłam maskę Hershey oraz swoją, stwierdziłam, że miałam rację. To były dokładnie te maski, które widziałam tamtej nocy na arenie. Z bliska wydawały się nawet jeszcze efektowniejsze niż wtedy. Mnie przypadł w udziale maska pawia, o wydłużonym dziobie, pokrytym gładkim żółtym lakierem, z fakturowanymi białymi paskami nad i pod oczami, w dotyku przypominającymi skórę, a także z jakąś setką maleńkich zakrzywionych piórek na koronie. Wachlarzowaty czub z opalizujących niebiesko-zielonych piór stanowił odrębny element połączony sztywnym drutem z wysadzonym klejnotami grzebieniem do wpięcia we włosy. W zestawieniu z moją szmaragdową suknią wyglądało to doskonale. Maską jaguara, która przypadła Hershey, była mniej imponująca, lecz równie piękna, pokryta czarnym, pozornie wilgotnym futrem, które wyglądało tak, jakby rzeczywiście należało do tego wielkiego kota rodem z dżungli. Trudno było uwierzyć, że te przebrania liczą sobie niemal trzy sta lat. Wyjąwszy kilka kłpek mechanicznego futra i jedno zgięte pióro, maski były w doskonałym stanie.

– To ta dziewczyna w sukience – sprostował Liam. Znów włożył swój lwi łeb, mnie zaś w pełnym świetle uderzyło, jak bardzo realistycznie wyglądał, od gęstej grzywy barwy karmelu po wąsaty trójkątny nos i zwróconą kącikami w dół czarną paszczę.

– Lepiej mogłabyś wyglądać tylko wtedy – dodał, lekko ściskając moją dłoń – gdyby ta maska nie zasłaniała twojej urody.

Zabrzmiało to tandetnie, ale chyba mówił szczerze, więc nawet się rozpromieniłam. Nie każdy potrafiłby to dostrzec.

– Oho – odezwał się Liam. Właściwie było to raczej mruknięcie, które wysnęło mu się mimo woli. Choć trudno mi było powiedzieć, na co patrzył, skoro nie widziałam jego oczu; nie ulegało jednak wątpliwości, co wywołało taką reakcję.

Kilka metrów od nas, obok dymiącego wulkanu, stała Hershey. Była pogrążona w rozmowie z człowiekiem z głową brunatnego niedźwiedzia. Chmura suchego lodu kłębiła się wokół niej, poruszając skraj jej czerwonej sukienki. Znając Hershey, zapewne właśnie po to wybrała to miejsce. Nagie ramiona oplotła sznurówkami z czarnej skóry, u góry przyciemniwszy maźnięciami kohl'a do oczu, żeby zatrzeć granicę między maską a skórą. *Oho* było więc

uzasadnione.

– O, patrz, tam stoi Hershey – zauważyłam, jakbyśmy oboje z Liamem nie gapili się na nią od dziesięciu sekund.

Widziałam, że położyła dłoń na przedramieniu niedźwiedzia, a tamten ją strząsnął. Kto się krył pod tą maską? W jego postawie było coś znajomego, ale nie mogłam go z nikim skojarzyć. Czy to był ten jej tajemniczy chłopak? Jeżeli tak, najwyraźniej źle się działo w krainie amatorów. Mowa jego ciała jasno dawała do zrozumienia, że nie leży mu ta rozmowa. Ruszyłam w ich kierunku, ale Liam złapał mnie za rękę.

– Zatańczmy – powiedział, wchodząc mi w pole widzenia. Znowu mnie zadziwiła wiarygodność jego maski, aż po wachlarze lwich wąsów.

– No, dobra – przystałam na to, niepewna, czy to możliwe w tej sukience... i na takich obcasach. Mocniej chwyciłam rękę Liama, żeby nie stracić równowagi, gdy prowadził mnie na środek parkietu.

– Widzę cię tam w środku – oświadczył Liam, obejmując mnie w talii. – Twoje nieprzeniknione błękitne oczy wpatrują się we mnie badawczo.

– Wpatrują się badawczo?

W rzeczywistości nazbyt byłam pochłonięta niezdarnymi próbami spowolnienia tańca z gigantyczną maską na głowie, żeby cokolwiek badać, ale przecież nie musiał o tym wiedzieć.

– Robiłaś to, kiedy się poznaliśmy – potwierdził Liam. – Starałem się być słodki i szarmancki, a z twoich oczu nic nie można było wyczytać. Cały czas myślałem: *Czy ta dziewczyna mnie lubi, czy nie?* Od tamtej pory wciąż zadaję sobie to pytanie.

Przystanął, jakby w oczekiwaniu na odpowiedź. Spłoszyłam się. Co miałam powiedzieć? Lubiłam go, w powszechnym rozumieniu tego słowa. Jeśli jednak chodziło mu o coś innego? Dopóki Hershey nie zaczęła mnie wczoraj wypytywać, nawet nie brałam tego pod uwagę.

– Czego tu nie lubić? – powiedziałam lekko. – Ja...

– Wiesz, wiele mamy wspólnego – stwierdził, wchodząc mi w słowo. – Oboje tkwiliśmy w klatkach przeciętności. Twoja była w Seattle, moja w Bostonie. I oto jesteśmy tutaj. W drodze ku czemuś o wiele lepszemu.

Zjeżyłam się. Owszem, bywało, że czułam się tam jak nie u siebie. Czasem marzyłam, by stamtąd zwiać. Ale nie była to klatka, a mojego życia z tatą i Kari nie nazwałabym przeciętnym. A resztą, kto dał Liamowi prawo oceniania innych?

Wyчуł moją reakcję.

– Nie to chciałem powiedzieć – zastrzegł się szybko. – Chodziło mi tylko o to, że świetnie byśmy do siebie pasowali. – Nieco mocniej chwycił mnie za biodra. – O ile, oczywiście, ze mną wytrzymasz.

Przez malowaną siatkę w lwiej paszczy zobaczyłam, że ze skrępowania żuje dolną wargę, i pojęłam, że ta pewność siebie to taki sam pozór jak jego pensówki i postawiony kółnierzyk. Znamiona osoby, w jaką usilnie starał się zmienić. Za tą maską krył się dzieciak z parszywej okolicy, wdzwiewający ciuchy kogoś innego. Złagodniałam.

– Hm... – zaczęłam się droczyć. – Czy to wymaga uczęszczania na zawody sportowe? Bo nie wiem, czy tyle zniosę.

– Myślę, że dojdziemy do porozumienia – odpowiedział ze śmiechem.

– Mam pomysł – zaproponowałam lekko. – Przyjdę popatrzeć, jak się rzucasz w wodzie, jeśli sypniesz wszy stłkami i tajemnicami stowarzyszenia, które skrywasz.

– Tego nie mogę zrobić – powiedział, zniżając głos. – Dopóki cię nie przyjmą.

– Ooch, „dopóki”, a nie „jeśli”? Czy to oznacza, że awansowałam z „o ile” na „kiedy”?

Liam nachylił się tak bardzo, że nasze maski się zetknęły, osłona jego ust wparła się w siatkę na moim uchu.

– Jesteś Heptą – przypomniał. Jego ręce ciążyły na moich biodrach. – Przegrać możesz tylko ze sobą.

– Nie ma ciśnienia – zażartowałam. Usta miałam jednak skierowane w inną stronę, więc tego nie usłyszał.

– Chodź – powiedział, puszczając moje biodra i biorąc mnie za rękę.

– Dokąd idziemy? – zapytałam, kiedy prowadził mnie przez tłum.

W rotundzie więcej teraz było absolwentów niż aktualnych uczniów. Absolwentów łatwo było rozpoznać, niosli bowiem maski, które wręczano im przy wejściu, o wiele mniejsze i nowsze, zakrywające tylko oczy. Zauważyłam faceta z niedźwiedzim łbem, rozmawiającego z grupą niedawnych wychowanków akademii, nigdzie natomiast nie widziałam Hershey.

– Hej! Stone! Rusz tu swój tyłek!

To kłedzy Liama z drużyny piłki wodnej wołali go do siebie. Spławił ich machnięciem ręki i skierował się ku schodom prowadzącym na galeryjkę rotundy. Zamiast iść na górę, wszedł ze mną za schody. Stała tam staroświecka budka telefoniczna, taka z harmonijkowymi drzwiami. Liam otworzył ją, odwrócił się do mnie i jednym płynnym ruchem zdjął mi maskę, po czym szarpnięciem pozbył się swojej.

– Co robisz? – zapytałam.

– To – odpowiedział i wciągnął mnie do tej wąskiej budki. Zachwiałam się na obcasach, lecz Liam złapał mnie, delikatnie przyciskając wargi do moich ust. Drzwi harmonijkowe zatrzasnęły się za nami, jeszcze bardziej mnie w niego wpychając.

Zignorowałam ból w piersi towarzyszący temu pocałunkowi. Wołałam teraz nie myśleć o Norcie. Wołałabym go sobie nie wyobrażać w tej jego koszulce, pomazanej sosem

pomidorowym, na wysiedzianej łozetce, otoczonego przestarzałą elektroniką i książkami o miękkich okładkach i pozaginanych rogach. Z irokezem, wytatuowanego i totalnie zachwycającego. Liam był miły i niegłupi i nie wstydził się, że go ze mną kojarzą. I to się liczyło.

Oparłam dłoń o jego pierś i również go pocałowałam. Ledwie jednak poczułam na wargach jego język, odsunęłam się.

– Powinniśmy wracać na bal – powiedziałam, mocując się z drzwiami z tyłu.

Zaczął protestować, ale już je otworzyłam.

– Tam się zobaczymy – oznajmiłam, unikając jego spojrzenia. – Muszę bieć do łazienki.

Poczułam, że wyciąga rękę, byłam jednak już prawie za drzwiami.

– Rory.

Nie pytaj, proszę, dlaczego. Nie chcę cię okłamać, a nie mogłabym powiedzieć prawdy. Nie mogę ci powiedzieć, że przez cały czas, jak się całowaliśmy, marzyłam, żebyś był kimś innym.

– Hm?

– Twoja maska – powiedział i podał mi ją. Wciąż jeszcze stał w budce i musiał przytrzymać drzwi, żeby się nie zatrzęsnęły, rozdzielając nas.

– Dzięki – rzuciłam wesoło. – Widzimy się za chwilę.

Nie miałam pojęcia, gdzie szukać damskiej toalety, poszłam jednak na główną salę zdecydowanym krokiem, jakbym wiedziała, dokąd idę. Ponieważ nie rzuciła mi się w oczy, pospiesznie ruszyłam ku schodom po drugiej stronie rotundy, na galeryjkę nad nimi. *Co ja robię? Ukrywam się?*

Na schodach stał jakiś mężczyzna, strasznie umięśniony i ubrany w czerń jak pracownik ochrony. Kiedy go zobaczyłam, zawahałam się, oczekując, że zakaze mi tam wchodzić. On jednak tylko mi się przyjrzał i odsunął się na bok, robiąc przejście. Po wejściu na pięterko zbliżyłam się do poręczy i zacisnęłam na niej dłoń. Pożłota chłodziła mi skórę. Zobaczyłam w dole Liama i odruchowo cofnęłam się w cień.

– Nie przyjdzie im do głowy patrzeć w górę – odezwał się za mną jakiś głos. Oparty o marmurową kolumnę stał tam Griffin Payne – ten Griffin Payne, naczelny Gnosis – z lśniącym gemini gold w dłoni. Maskę, czarną i pierzastą, z zakrzywionym dziobem, odsunął na czoło i uśmiechał się przyjaźnie. – Co rok tu wchodzę i zawsze mnie to zdumiewa: nawet nie zerkną.

– Przestroili ich pan na patrzenie w dół – stwierdziłam, ruchem głowy wskazując gold w jego rękę. Maska trochę się zakolebała, uderzając mnie w obojczyk

Zaśmiał się.

– Chyba tak rzeczywiście jest. – Zbliżył się do mnie i wyciągnął rękę. – Tak przy okazji, jestem Griffin. – Jakby ktoś w Ameryce mógł tego nie wiedzieć.

– Rory – przedstawiłam się, przed podaniem dłoni, wycierając ją w suknię i marząc, żeby pot nie zostawił plam.

Gdy się witaliśmy, rzucił mi się w oczy jego pierścień. Był masywny jak szkolny sygnet, tyle że w miejscu kamienia widniały cztery symbole, arabskie lub może hebrajskie. Pomyślałam o greckiej literze na moim wisiorku, te jednak były zupełnie inne.

– Można tu przy wyknąć do zabawy w Boga – powiedział Griffin, podchodząc do poręczy. – Do cichego osądzania wszystkich w dole. Weźmy, na przykład, tego gościa. – Wskazał jednego z kumpli Liama, chłopaka w masce orki, który postarał się, żeby jego kudłata czupryna wyłaźła przez jej nozdrza. – Będzie tego żałował. Teraz uważa, że to odjazdowe, kiedyś jednak spojrzy na fotografię klasową i zada sobie pytanie, co mu strzeliło wtedy do głowy.

Zachichotałam.

– To nie jest tylko domysł – zapewnił mnie Griffin. – Wiem to po sobie. Jeżeli kiedyś potrzeba ci będzie napadu śmiechu aż do rozpuku, wystarczy, że wybierzesz się na trzecie piętro Domu Adamsa. Pięćdziesiąta pierwsza fotka w dolnym rzędzie. Ja to ten koleś z białym afro. Nie wygląda pięknie.

Znów się śmiałam. W telewizji Griffin wydawał się taki... zasadniczy. Prywatnie jednak był wyluzowany i dowcipny.

– W którym roku pan skoń... – Przerwał mi odgłos kroków.

– Tu jesteś! – huknęła czyjś głos.

I Griffin, i ja odwróciliśmy się. Twarz przybyłego skrywała maska bielika, głos go jednak zdemaskował. To był dziekan Atwater.

– Znowu się chowasz? – zapytał dziekan, wielkimi krokami zbliżając się do nas, a jego głos znów zadudnił wewnątrz maski.

– Jak widać, niezbyt dobrze – odparł Griffin. Dziekan Atwater się roześmiał, a potem odwrócił do mnie. Jego oczy stanowiły koncentryczne koła, wewnątrz lśniące i czarne, na zewnątrz białe, i choć wiedziałam, że od jego strony są przejrzyste, ja widziałam tylko ciemne plamy. Ani śladu człowieka za nimi.

– Cudownie dziś wyglądasz, Rory. Zachęcałbym cię jednak, żebyś czas spędzała na balu, a nie nad nim. – Powiedział to lekko, ale czuło się przyganę.

– Tak, oczywiście – potwierdziłam szybko. – Już schodziłam na dół.

Odwróciłam się do Griffina.

– Bardzo miło było mi pana poznać, panie Payne. – Przedstawił mi się jako Griffin, dziwnie jednak byłoby taksę zwracać do niego przy dziekanie.

Griffin się uśmiechnął.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Niezgrabnie pomachałam im na do widzenia, po czym ruszyłam w stronę schodów, oburącz podtrzymując suknię, żeby się o nią nie potknąć.

– Rory! – zawołał jeszcze Griffin. Odwróciłam się.

– Miej nas na uwadze, kiedy nadejdzie czas staży – powiedział. – Będę wypatrywał twojego zgłoszenia.

Kiwnęłam ochoczo głową.

– Zgłoszę się – zawołałam. – Dziękuję!

Wróciłam na schody, rozpromieniona. Staż w Gnosis mógł oznaczać bardzo dobry wstęp do pracy w Gnosis.

Na ostatnim stopniu przystanąłam, żeby przyjrzeć się sali. Liam wciąż stał z kolegami i chyba nawet mnie nie szukał. Nie wypatrzyłam ani Hershey, ani gościa w masce niedźwiedzia. Wyjęłam z kopertówki telefon i podniosłam do ust.

– Powinam się spotykać z Liamem Stone'em? – zapytałam Luxa.

– Bylibyście dobrze dopasowani – usłyszałam w odpowiedzi.

Znow przytknęłam telefon do ust, żeby zapytać też o Northa, lecz uświadomiłam sobie, że nie mogę. North nie używał Luxa, nie istniał więc również jego profil, który apka mogłaby przeanalizować. W kwestii oceny naszej zgodności musiałam polegać na sobie.

Za moimi plecami zrobił się mały szum, gdyż Griffin – z ochroniarzem w czerni u boku – i dziekan Atwater właśnie schodzili. Zeszłam na bok, żeby zrobić im przejście, i ponownie wyciągnęłam gemini. Griffin zajął pierwsze miejsce w zeszłorocznym rankingu „Czterdziestki przed czterdziestką” magazynu „Forbes”, wiedziałam więc, że ma trzydzieści kilka lat, to zaś oznaczało co najmniej maleńką szansę, że był na roku z moją mamą. Wyjaśnienia tego miał mi udzielić Panoptikon.

*W wieku szesnastu lat Payne został przyjęty do **Akademii Theden**, ekskluzywnej szkoły prywatnej w hrabstwie Berkshire, w zachodnim Massachusetts. Akademię ukończył w 2013 roku i tego samego lata rozpoczął staż w departamencie badań i rozwoju w Gnosis. Do Gnosis powrócił na stanowisko dyrektora pracowni projektowej po ukończeniu **Harvard College** w roku 2017.*

2013. Był na jednym roku z mamą.

Wymknęłam się z rotundy bocznymi drzwiami i poszłam prosto do Domu Adamsa. Ku memu zaskoczeniu główne wejście było otwarte. W budynku jednak było ciemno jak w grobie, jeśli nie liczyć zielonkawej poświaty czujników bezpieczeństwa. Pomagając sobie latarką w telefonie, wspięłam się po schodach na trzecie piętro.

Ściany opasywał ciąg fotografii klasowych kolejnych roczników Theden. Tych oficjalnych,

wykonanych w czerni i bieli i zaopatrzonych w tabliczki przywołujące rocznik. Zatrzymałam się przy pierwszej. Zdjęcie było ziarniste, a uczniowie bardziej konserwatywni w ubiorze niż my dzisiaj, ale pod wszelkimi innymi względami tak właśnie mogłaby wyglądać pamiątkowa fotografia mojego rocznika: uśmiechnięte, ubrane galowo nastolatki, ustawione rzędami na stopniach przed Wielką Rotundą. ROCZNIK 1954, głosiła tabliczka pod spodem. Przesuwałam się w głąb holu, odliczając fotografie. Lata wciąż się zmieniały. Nie było w tym żadnego określonego porządku.

Rocznik Griffina znalazłam dokładnie tam, gdzie powiedział, pięćdziesiąte pierwsze zdjęcie w dolnym rzędzie. Stał w środku grupy, szeroko uśmiechnięty, a włosy tak mu sterczały, jakby wsadził palce do staroświeckiego gniazda elektrycznego. Przesunęłam światło latarki w dół ramki, szukając tabliczki z rocznikiem.

ROCZNIK 2013.

Moje światełko dziko skakało teraz z boku na bok w poszukiwaniu mojej mamy, zanadto bowiem się niecierpliwiłam, żeby skanować rzędy jeden po drugim. Wszyscy uczniowie mieli krótkie rękawy, co oznaczało, że zdjęcie zrobiono na początku jesieni lub późną wiosną. W drugim z tych przypadków mamy już by nie było.

Mój wzrok przyciągnęła moja własna twarz. Zobaczyłam ją tuż obok Griffina, na samym środku fotografii, w ostatnim miejscu, któremu się przyjrzałam. Twarz, oczywiście, należała do niej, a nie do mnie, komuś postronnemu jednak trudno byłoby wychwytać różnice. Miałam jej oczy, kości policzkowe, taki sam kształt nosa. Widziałam więc swoje rysy w połączeniu z wyższą, smuklejszą sylwetką. Różniłyśmy się wprawdzie karnacją – ona miała kasztanowe włosy, wpadające w czerwień, i skórę oliwkową, brąz moich włosów był bardzo ciemny, za to cera jasna – ale na czarno-białym zdjęciu nie było tego widać. Widziałam też swoją własną twarz, odbitą w dzielącej nas szybie, umalowaną kosmetykami do makijażu od Hershey i o wiele mniej moją od tej na starej przeciwieź fotografii. Zbliżywszy się jeszcze, przycisnęłam dłoń do szyby, nie przejmując się odciskami palców, bardziej bowiem pragnęłam nawiązać więź z dziewczyną znajdującą się po drugiej stronie.

Stałam tam dłuższą chwilę, usiłując wczuć się w moment, który uchwyciło to zdjęcie. Moja mama wśród kolegów z roku, swobodnie uśmiechnięta. W jej oczach nie było niepewności, żadnego śladu tego, co miało nastąpić. Jeżeli Theden było dla niej zmaganiem, ta fotografia tego nie pokazywała.

Moje gemini rozbłyśło w ciemności.

@LiamStone: *gdzie jesteś?*

Głośno westchnęłam. Nie mogłam wечно kryć się w mroku tego korytarza. Pstryknęłam zdjęciu klasowemu kilka fotek moim gemini, niestety, błyski wbudowanej w nie lampy zawsze odbijały się w szkłe. Bez lampy jednak fotografii w ogóle nie widziałam. Najlepsze, co mogłam zrobić, to przysunąć handheld jak najbliżej mamy, trzymając go pod kątem. W efekcie uzyskałam jej zbliżenie. Na ekran wyskoczyła niebieska ikona Forum: *Dodać zdjęcie na ścianę?*

Palec zawisł nad ekranem. Wszystko wysyłałam na Forum. Tego zdjęcia jednaknie dałoby się podsumować jakimś związłym podpisem. Stuknęłam w słowo NIE i okienko zniknęło. Zamiast tego zadzwoniłam do Becka, jedynej osoby – poza moim tatą – która bez dodatkowych wyjaśnień zrozumie, ile dla mnie oznaczało odnalezienie tej fotografii.

– Hej – powiedział, odebrawszy po drugim dzwonku. – Nie powinnaś przypadkiem być na tej swojej bajeranckiej potańcówce?

– Jestem – potwierdziłam. – Tyle że właśnie odkryłam to zdjęcie mamy i...

– Prześlij mi je – powiedział.

Usłyszałam przechodzące przez telefon brzęknięcie, a więc moja wiadomość wyświetliła się na jego ekranie. Po swojej stronie też na nią patrzyłam.

– Łał – westchnął. – Wygląda zupełnie jak ty.

– Zauważyłam.

– Wyśłaś ją twojemu tacie?

– Jeszcze nie – powiedziałam, choć w istocie wcale nie byłam pewna, czy powinnam. Wiedziałam, jak trudno mu oglądać jej zdjęcia. – Prawdopodobnie zrobię to po imprezie.

– Cieszę się, że je znalazłaś – wyznał Beck.

– Ja też.

Niespiesznie wracałam do Rotundy, tym razem przez trawnik, gdzie przy każdym kroku obcasy zapadały mi się w miękką ziemię, pogrążona w myślach o tej dziewczynie z fotografii. Stanowiła dla mnie kompletną zagadkę. Mimo iż kiedyś także przechodziła przez ten sam dziedziniec, miałam wrażenie, że żyła w innym świecie. Może łączące nas podobieństwo sprowadzało się tylko do twarzy? Liam zamachał do mnie, jak tylko weszłam do rotundy. Stał z grupą członków kadry w najrozmaitszych gadzich maskach. Rozejrzałam się za węzłem, ale go nie wypatrzyłam.

Udając, że nie widzę Liama, poszukałam wzrokiem Griffina. Jego łatwo było znaleźć: otoczony przez grupkę starszych wiekiem absolwentów po drugiej stronie sali, coś mówił, żywo gestykulując. Wylałałam słowo *imperium*.

– Hej – zawołał Liam, podchodząc do mnie. – Gdzie byłaś?

– Szukałam Hershey – skłamałam. – Widziałeś ją?

– Od jakiegoś czasu nie – odpowiedział. – Zatańczymy? Wyciągnął do mnie rękę, a ja w myślach już przyjmowałam jego propozycję. Zatańczyć z nim, spróbować się rozzerwać.

W tym momencie spojrzałam na wyciągniętą ku mnie dłoń. Jak bardzo się różniła od tej, która mnie podtrzymała, gdy w zeszłym tygodniu potknęłam się na chodniku. Tamta była splekana, poplamiona, poznaczona zaschniętymi fusami od kawy, z obgryzionymi paznokciami. A kiedy chwyciła mnie za ramię, odczułam to całym ciałem.

– Muszę iść – powiedziałam nagle.

– Dokąd? – zapytał Liam, wyraźnie zdezorientowany.

– Po prostu muszę iść.

Liam powiedział jeszcze coś, czego nie usłyszałam. Byłam już przy drzwiach. Wiedziałam, że powinnam nadal być wściekła na Northa za to, jak mnie potraktował w obecności Hershey. I byłam. Tak wściekła, że rozkwasiłabym mu nos. Gniew jednak nie mógł stłumić nagłej potrzeby, by się z nim zobaczyć.

Zahaczyłam o akademik, żeby pozbyć się maski i wziąć kurtkę, przez moment też zaniepokojona, czy nie zastanę tam Hershey, urzniętej w trupa lub wymiotującej. Nasz pokój był jednak pusty. Czując, że zaczyna opuszczać mnie pewność siebie, przełopałam się przez szuflady Hershey w poszukiwaniu jej zapasu alkoholu z samolotu. Albo już się z nim uporała, albo dobrze go ukryła, znalazłam bowiem tylko na wpół opróżnioną buteleczkę likieru Kahlúa. Osuszyłam ją do końca, trochę przepłukałam usta płynem i wyszłam.

Było późno, ciemno i chłodno, a ja urwałam się z najważniejszej imprezy w tym semestrze. Nic mnie to jednak nie obchodziło. Chciałam zobaczyć Northa. I odkład dopuściłam do siebie myśl, że tego chcę, naprawdę tego pragnęłam. Czulałam to na swojej skórze, w głębi gardła, pod żebrami. Idąc, układałam sobie, co powiem. Będę swobodna. Zazartuję, że nie wyobrażam sobie życia bez obejrzenia filmu *Rocky*. Potem on przeprosi za swoje zachowanie w ostatni weekend, obiecując, że to się nigdy nie powtórzy. Całe spotkanie rozwinęło mi się w głowie tak gładko, że byłam autentycznie zaskoczona, kiedy zajrzawszy przez okno kawiarni, nie zobaczyłam go w środku.

Niewiele myśląc, poszłam dalej. Dookoła budynku, przez drzwi i po schodach, na piętro Northa, gdzie bez chwili wahania załomotałam kostkami palców w zimny metal drzwi. Nie mogłam się doczekać ich otwarcia.

Dopóki się nie otworzyły.

Cały zapal i rozsadzające mnie podniecenie poszły w diabły, ledwie zobaczyłam wyraz twarzy Northa.

– Co tu robisz? – zapytał, zniżając głos i wchodząc w szczelinę między drzwiami a framugą.

– Ja, hm...

Zawstydzona, opuściłam oczy. Na podłodze była paczka, owinięta brunatnym papierem, zaadresowana do Norvina Pascala. Zauważyłam, że kiedy North również ją spostrzegł, schylił się

szybko, żeby podnieść. Przeniosłam wzrok w miejsce, które przed chwilą sobą zasłaniał i wtedy moją uwagę przyciągnął błysk czerwieni w głębi pokoju.

Na kozetce leżała sukienka Hershey.

North się podniósł, znów przesłaniając mi ten widok

– Powinnaś już iść – powiedział cicho.

Ogłupiała, kiwnęłam głową. *Co robi sukienka Hershey na twojej kanapie?* – wrzeszczało mi w środku. Rozum już to wiedział. Zdążył sobie wszystko poukładać. To dlatego North nie chciał, żebym komukolwiek mówiła, że się spotkaliśmy. Dlatego Hershey uparła się tamtego ranka, by wpaść do Paradiso, a North zachował się tak dziwnie, gdy to zrobiliśmy. To on był tym facetem, z którym kręciła Hershey. To był ten sekretny, skandalizujący flirt.

– Mogę to wyjaśnić – odezwał się jeszcze ciszej.

– Nie trzeba – ucięłam, bo złość paliła mnie w gardle. – Rozumiem.

Chciałam się obrócić na pięcie i wymaszerować, ale schody i moje szpilki stanowiłyby groźną kombinację. Zwyczajnie się więc odwróciłam i ostrożnie zesłam, modląc się, żeby nie widział, jak się trzęsę. Chwilę później usłyszałam trzask zamkniętych drzwi.

1. Ang. *frenemy* (*friend + enemy*). Pojęcie odnoszące się do kogoś, kto uchodząc za przyjaciela, w istocie jest wrogiem, albo do przyjaciela będącego jednocześnie rywalem w jakiejś dziedzinie. W druku pojawiło się w USA w 1953 r., w odniesieniu do zimnowojennych relacji z Rosjanami. Autorstwo polskiego odpowiednika przypisuje się jednemu z dziennikarzy „Gazety Wyborczej”. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 12

Pociągnęłam długi łyk kawy przemyconej za regały, teraz już letniej. W naszej bibliotece do głównej czytelni można było wносить napoje, ja jednak chciałam dziś pobyć sama, dlatego siedziałam przy biurku między regałami, jedząc płatki śniadaniowe z plastikowego woreczka, pijąc słabą stołówkową kawę i walcząc ze łzami.

Znowu spróbowałam skupić się na ekranie, ale oczy paliły mnie ze zmęczenia. Poprzedniej nocy zasnęłam szybko, praktycznie zaraz po tym, jak wbiegłam do pokoju, obudziłam się jednak po północy, kiedy wkradła się Hershey, i nie spałam jeszcze wtedy, gdy niedługo przed pierwszą zaczęła ściągać do swoich sypialni cała reszta. Potem senność całkowicie mi przeszła. Godziny się wlokły, a ja patrzyłam w sufit, aż wreszcie o szóstej wstałam i przyszedłam tutaj. Wyjąwszy szybki wypad do stołówki po jej otwarciu o ósmej, siedziałam na tym krześle cały dzień, usiłując zajmować się pracą z poznawczej, a przede wszystkim myśląc o Norcie. Czułam się jak idiotka. Dwa razy gdzieś wyskoczyliśmy, w obu przypadkach byliśmy sami i za każdym razem dbał, żeby było to kompletnie platoniczne. Nie miałam o co się na niego wściekać. Wyraźnie przecież dawał mi to do zrozumienia.

Dzypi! Na ekranie pojawiło się okienko: *Z uwagi na brak aktywności zostaniesz wylogowana za sześćdziesiąt sekund.*

Westchnęłam i stuknęłam w ekran. Od jak dawna gapiłam się w te same wyniki wyszukiwania? Przepatrywałam dokumentację medyczną pacjentów z parakuzją akratyczną, szukając subtelnych powiązań między nimi, ale znajdowałam wyłącznie te niezbyt subtelne. W kółko powtarzało się to samo. Osoba, dotąd zdrowa, zaczyna nagle słyszeć w swej głowie głos. Stopniowo podporządkowuje się jego poleceniom. Podejmuje coraz bardziej irracjonalne, szkodzące jej samej działania. Niespodziewanie rzuca pracę, rozdaje cały swój majątek lub zaprasza na obiad byłych kryminalistów. Członkowie rodziny zaczynają się o nią obawiać i interweniuja. Osoba broni się przed leczeniem. Jej życie się rozpada.

Potem następuje jedno z dwojga: albo zatroskany członek rodziny zmusza tę osobę do poddania się terapii, albo znika ona z powierzchni ziemi. Nie było jasne, dokąd trafiali ludzie z tej drugiej kategorii, ale wpisy w ich dokumentacji nagle się urywały. Nie było już corocznych badań kontrolnych, badań specjalistycznych, rutynowych szczepień. Bez tego nie mieli szans na zatrudnienie, nie wiedli więc normalnego, produktywnego życia. Przypomniały mi się zdjęcia zrobione przez Becka tamtego dnia w miasteczku namiotowym, podobizny mężczyzn z obłądem w oczach i kobiet, które miały w nich pustkę. Czy wcześniej usłyszeli Zwątpienie? Czy to ono

sprowadziło ich poza skraj przepaści?

Handheld rozbrzęczał się, przekazując wiadomość.

@HersheyClements: *gdzie jesteś? umieram z głodu. spotkamy się w stoł.?*

Nie zastanawiając się, wpisałam odpowiedź: *już jadłam. uczę się.*

Nie byłam zła na Hershey. Nie miałabym prawa. Nie wiedziała, że się spotykałam z Northem. Nie mogłabym też jednak udawać, że nic się nie stało. Wołałam więc jej unikać, przynajmniej na razie.

Handheld znowu zabrzęczał.

@NathanKrinsky: *Przyjdź do kawiarni. Proszę. Musisz coś zobaczyć.*

Zdjęcie profilowe należało do kolejnego współpracownika Northa, faceta, którego widziałam, jak zmywał podłogę.

Serce mi zatrzępotało i zienawidziłam siebie za to. Nie, nie pójdę do kawiarni. Ani dzisiaj, ani nigdy. Zaczęłam już wystukiwać odpowiedź, ale się rozmyśliłam. Zamiast tego, zablokowałam @NathanKrinsky dostęp i zakopałam handheld w torbie.

Na nieszczęście, mój mózg nie miał funkcji blokowania. Nie potrafiłam przestać odtwarzać sobie tych okropnych, paraliżujących chwil, wyrazu twarzy Northa, kiedy mnie zobaczył, widoku sukienki Hershey na jego koczecie, gdy schylił się po paczkę. A skoro już przy tym jestem, wydawało się – przynajmniej przez chwilę – że bardziej przejęty jest paczką niż moją obecnością. Dlaczego?

Odtworzyłam w myślach obraz tej brunatnej paczki. Zaadresowana do Norvina Pascala, na adres Northa. *Czy naprawdę miał na imię Norvin?* Chciałam go o to zapytać, kiedy otworzył drzwi, ale wyraz jego twarzy odebrał mi głos.

Gdy poszukałam tego nazwiska na Forum, wyskoczyła tylko jedna strona. Widok zdjęcia profilowego odebrał mi dech. Nawet bez powiększania wiedziałam, że to North.

Nie wierząc własnym oczom, przeleciałam przez jego profil. Po co to całe gadanie o Forum jako o „niewidzialnej klatce”? To była ściema. Cały czas tam był. I ciągle aktualizował swój status.

@NorvinPascal: *Kiedy ludzie mówią, że mają za sobą świat drogi, zawsze myślę: To przed sobą macie świat tani? I zastanawiam się, jak je odróżniają. #irokez#szczęśliwiec*

Mało się nie porzygałam na mój ekran.

Wraz z kolejnym wkurzającym dzwonkiem ponownie wyskoczyła przypominajka DZP,

blokując widok na stronę Northa i wyrywając mnie z ośpienia. Miałam przed sobą robotę. To się liczyło. Tamta obłuda nie.

Stuknęłam w ekran, utrzymując zalogowanie, a potem wróciłam na początek listy, żeby przypomnieć sobie, na co patrzę. Postanowiłam zacząć od rozpoznania środowiskowych uwarunkowań tego zaburzenia i w związku z tym zawęziłam wyniki do kobiet z Wybrzeża Północno-Zachodniego. Zamierzałam posortować je według wieku. Stukając w przedział „18–24”, niechcący trafiłam w klawisz „Sortuj według daty”. Wyniki natychmiast ułożyły się według dat zgonów, zaczynając od najstarszych zapisów. Zaczęłam je więc przewijać, pomijając statystyki i zastanawiając się, czy otworzyć którąś z tych starszych spraw, czy też powrócić do nowszych, kiedy jedna szczególnie rzuciła mi się w oczy.

Data urodzenia: 13 kwietnia 1995

Płeć: żeńska

Data zgonu: 21 marca 2014

W pierwszej chwili to data urodzenia przykuła moją uwagę. Urodziny mojej mamy. Co roku czciliśmy je z tatą tortem i lodami w niedrogiej restauracji w Belltown, dołąd zabrał ją na ich pierwszą randkę. Jednak to data zgonu zjeżyła mi włosy na karku. Ten dzień również upamiętnialiśmy tortem. Moje urodziny.

Serce mi waliło, gdy klikałam w link do pełnej dokumentacji. Zjeżdżałam na dół strony tak szybko, że słowa na ekranie się zlewały. Ostatni wpis był z 21 marca 2014. Kliknęłam w niego i aż mi dech zaparło. Oznaczony był logo Medycznego Centrum Uniwersytetu Waszyngtońskiego, szpitala, w którym przyszedłam na świat. Gdy przewijałam tę notatkę, oczy wychwytywały słowa i zdania, a umysł usilnie starał się nadać im sens.

Pacjentka przyjęta z silnymi skurczami porodowymi po dwudziestu dwóch godzinach porodu aktywnego w warunkach domowych. Ultrasonografia wykazała zespół przejrzałości płodu oraz ostre małowodzie. Pacjentka w wyniku nieplanowanego cesarskiego cięcia urodziła noworodka płci żeńskiej o wadze 3,2 kg. Natychmiast po wykonaniu zabiegu pacjentka zaczęła wykazywać oznaki niewydolności oddechowej i straciła przytomność. Badanie tomograficzne wykazało rozległy zator prawego płuca. Zgon pacjentki stwierdzono o 16:05. Przyczyna zgonu: zatorowość płucna.

Myślenie mi się zacięło i w kółko czytałam to jedno sformułowanie: *zatorowość płucna*. Dokumentacja medyczna dotyczyła mojej mamy. Na pewno jej. Daty urodzenia i zgonu, poród przez cesarskie cięcie w szpitalu Uniwersytetu Waszyngtońskiego, ta właśnie przychylna śmierci. Wszystko się zgadzało. Tyle tylko, że ta pacjentka miała AZP.

Mój umysł, normalnie tak praktyczny, odmawiał przyjęcia wyłożonych przed nim dowodów. Musiała istnieć jakaś inna osiemnastolatka, która w tym samym szpitalu w dniu moich narodzin wydała na świat dziecko przez nieplanowane cesarskie cięcie, a potem umarła z powodu zatorowości płucnej. Albo może do dokumentacji mamy przez pomyłkę wpisano zdiagnozowane u kogoś innego AZP i to dlatego znalazła się dzisiaj w moich wynikach wyszukiwania.

Albo moja mama była obłąkana.

Wszystkie obawy co do mojego własnego zdrowia psychicznego okazały się w jednej chwili uzasadnione. Z badań wiedziałam, że jeśli mama miała AZP, prawdopodobieństwo rozwinięcia się tego zaburzenia u mnie było trzy razy większe od przeciętnego. Całą odczuwaną obawę wobec Zwątpienia ujrzałam nagle w innym świetle. Nie miała nic wspólnego ze zdrowym sceptycyzmem. To była neuroza. Ludzie z AZP sami siebie nie uważają za chorych.

Czując, jak tętni mi w uszach, wróciłam na początek dokumentacji mamy i kliknęłam pierwszy wpis. Zmuszając się do powolnego czytania, metodycznie przebijałam się przez wszystko, poczynwszy od informacji o jej narodzinach w 1995 roku, poprzez pierwsze coroczne badania kontrolne i wizyty związane z chorobami, zwichnięcie nogi w kostce w wieku siedmiu lat, nastawianie złamanej w łokciu ręki, gdy miała lat dziewięć, wycięcie wyrostka w wieku lat czternastu. Normalnie, jak u dzieciaków. Żadnych wzmianek o głosach, zaburzeniach umysłowych czy jakichkolwiek problemach psychicznych. Zaczęłam się uspokajać. Może jej dokumentację rzeczywiście błędnie zaklasyfikowano, tak jak myślałam. Może wcale nie miała AZP.

W połowie wpisu datowanego na kwiecień 2013 zobaczyłam słowa eliminujące wszelkie wątpliwości co do tego, z czyją dokumentacją mam do czynienia. Ośrodek Zdrowia Akademii Theden. Dalsze akapity stanowiły przygnębiającą charakterystykę bardzo nie zrównoważonej młodej kobiety o krok od rozstania się ze szkołą. To była ocena psychologiczna, dokonana przez kogoś, kto podpisał się jako dr K. Hildebrand, i opatrzona u dołu ostrożną diagnozą: *Zachowania symptomatyczne dla ostrej parakuzji akratycznej i zaburzeń osobowości*. Kolejny wpis, sygnowany przez tego samego lekarza, powstał dwa tygodnie później i podsumowywał wyniki przeszło tuzina badań neurologicznych i psychiatrycznych, potwierdzając pierwotną diagnozę. U dołu widniała opinia lekarza: *Nieuleczalne. Zalecana hospitalizacja*.

Następny stanowił link do „Decyzji o skreśleniu z listy uczniów” z 1 maja 2013. *Uczennica nie spełnia wymagań psychologicznych, umożliwiających edukację*. Dokument ten podpisali doktor Hildebrand i dziekan Atwater.

Moja mama nie rzuciła Theden. Wywalili ją.

Z zamętem w głowie przesłałam do ostatniego wpisu w dokumentacji mamy, raportu z dnia, w którym zmarła, i przeczytałam go jeszcze uważniej. Wiele napotkanych tam terminów

medycznych nic mi nie mówiło, byłam jednak w stanie odtworzyć przebieg zdarzeń na podstawie tego, co wiedziałam od taty. Bóle porodowe u mamy zaczęły się z prawie trzytygodniowym wyprzedzeniem i wystąpiły powikłania. Konieczne było cesarskie cięcie. W nodze powstał zakrzep, który przewędrował do płuc i ją zabił.

Gdy okienko wyskoczyło ponownie, przesunęłam palec na górną część tabletu i wcisnęłam klawisz „Drukuj ekran”, zachowując obraz w moich zdjęciach, a potem kliknęłam go, by się przyjrzeć. I kiedy tak wpatrywałam się w niego, nawet nie mrugając, obraz w końcu się rozmył. Całe długie minuty, może nawet godzinę, siedziałam bez ruchu, nic właściwie nie myśląc, jedynie się gapiąc. Po ponownym powrocie okienka pozwoliłam, żeby system mnie wylogował.

ROZDZIAŁ 13

A zatem jutro – powiedział Liam tuż przy moim ramieniu.

Nie odrywałam oczu od tabletu. Jedynie noc dzieliła mnie od drugiego dnia testów śródsesemestralnych. Główna czytelnia w bibliotece była nabita do granic możliwości. Chcąc mieć odrobinę samotności, celowo wybrałam stolik w rogu, niestety, ten obok mnie zajęła drużyna na piłkę wodną i krzesło Liama znajdowało się tuż za moim. Właśnie się odchylił, balansując na dwóch nogach mebla i obracając w palcach pióro. W ciągu ostatniego miesiąca prosił mnie o to przynajmniej dwadzieścia razy i za każdym razem uprzejmie go spławiałam. Komuś innemu powiedziałabym prosto z mostu, żeby dał sobie spokój, on jednak był członkiem stowarzyszenia i mógł mieć wpływ na jego decyzje. Pewnie było to wredne i wyrachowane, ale nie mogłam pozwolić, żeby przez niego mnie odrzucono. Przesłano mi jeszcze osiem zagadek, ostatnią poprzedniej nocy, i wszystkie osiem rozwiązałam.

– Rory – po głosie poznałam, że się uśmiecha – jestem skłonny cię błagać.

– Jutro nie mogę – ucięłam.

– To w sobotę.

– Porozmawiajmy o tym po testach – powiedziałam. O ileż byłoby łatwiej, gdyby wreszcie zrozumiał i odpuścił. Z jakiegoś powodu jednak obstawał przy namawianiu mnie na randkę.

Rozważyłam przeniesienie się między regały, ale przyszłam bez marynarki. Na zewnątrz się oziębiło, a wśród regałów należało się spodziewać lodówki. Trzaski z kominka na środku czytelni sprawiały, że było w niej przytulnie i ta przytulność była wręcz kojąca. A ja właśnie czegoś takiego potrzebowałam, gdyż byłam o krok od potężnego ataku paniki na myśl o drugim dniu egzaminów. Pierwszy poświęcono na przedmioty spod znaku lewej półkuli mózgowej – analizę matematyczną, informatykę i chiński. Jutro zapowiadało się tysiącokrotnie gorzej: literatura, historia, poznavcza i test, którego bałam się najbardziej, z Praktyk Platońskich. Przerazało mnie, że nie sposób się do niego przygotować. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. Nikt nie miał. Ten egzamin z roku na rok podlegał dramatycznym zmianom, drugorocznicy więc nie mogli nam w niczym pomóc.

Jeden z koleśków Liama od piłki wodnej powiedział szeptem coś, zdaniem pozostałych, zabawnego i cały stolik gruchnął śmiechem. Nafaszerowani kofeiną i cukrem, robili się coraz hałaśliwsi, a we mnie narastało zdenerwowanie i przekonanie, że nie jestem przygotowana do jutrzejszych testów. Spędziłam w bibliotece ostatnie czternaście wieczorów, opuszczając ją dobrze po północy, mimo iż Lux uporczywie domagał się ode mnie co najmniej ośmiogodzinnego snu.

Kątem oka zauważyłam Izzy, która właśnie weszła do czytelni i wypatrywała wolnego miejsca przy stolikach. Chwilę później zniemiała w moją stronę. Czym prędzej zaczęłam się zbierać. W ciągu tych dwóch tygodni kilka razy się z nią uczyłam i za każdym razem więcej w tym było pogaduch niż nauki.

– O nie, już wychodzisz?

Lekko się wzdrygnęłam, niby to zaskoczona. Nie znosiłam takiego udawania, ale testy śródsesjonalne bardzo się liczyły w ogólnej ocenie i jeśli chciałam na nich dobrze wypaść, nie mogłam spędzić reszty wieczoru na gadaniu o filmach, makijażu czy wartości kalorycznej batoników granola z automatu ze słodyczami.

– Hej – powiedziałam. – Tak będziemy się uczyć z Hershey w pokoju.

W duchu aż się skrzywiłam. Dalece odbiegało to od prawdy. Hershey i ja nigdy się razem nie uczyłyśmy i z całą pewnością nie miałyśmy takich planów na ten wieczór. Pragnąc złagodzić to kłamstwo, dodałam do niego coś prawdziwego:

– Ona nie znosi biblioteki.

– Hershey się uczy? – wtrącił się Liam. Jego kumple zarechotali.

– Na razie, ludzie – powiedziałam i wyszłam.

Na zewnątrz panował ziąb i zaczynało kropić. Puściłam się biegiem, a krople deszczu kąsały mnie w twarz. Kiedy dotarłam do naszego pokoju, byłam już zdyszana. Hershey siedziała przy swoim biurku, schylona nad tabletem. Zakładałam, że się uczy, dopóki nie usłyszałam jej łkania.

– Hershey?

Nie zareagowała. Nie byłam nawet pewna, czy mnie słyszy. Rzuciłam torbę na łóżko i podeszłam do niej. Naprawdę płakała, to zaciskając dłonie w pięści, to rozprostowując palce. Dotknęłam jej ramienia i wtedy podniosła wzrok. Twarz miała opuchniętą i czerwona.

– Co się stało?

– Ja nie zdaj – powiedziała przez łzy. Strasznie chrypiała. – Dzisiaj to była katastrofa, a jutro... Rory, ja nawet nic nie przeczytałam. Kompletnie nic. Myślałam... Boże, nie wiem, co sobie myślałam. Pewnie, że się znowu wywinę, jak zawsze dotychczas.

Potrząsnęła głową.

– Na pewno zdasz – zapewniłam ją niezbyt przekonująco, bo tego należało się spodziewać po przyjaciółce, którą przecież byłam, niezależnie od złożoności łączących nas relacji.

– Uważasz, że na to zasługuję? – powiedziała. Jej oczy znów wypełniły się łzami. – Babcia mnie nienawidzi – szepnęła. – I moi rodzice. O Boże, moi rodzice.

Wcisnęła twarz w dłonie i powiedziała coś jeszcze, ale nie dało się tego zrozumieć.

Pomóż jej.

Odkąd wiedziałam o chorobie mamy, żyłam w stresie, że znów usłyszę Zwiątpienie, przerażona

tym, co to dla mnie oznacza. Teraz, choć się odezwało, wcale się nie bałam. Byłam wkurzona. Jeszcze zanim ten głos przemówił, postanowiłam pomóc Hershey. Teraz wychodziło na to, że jeśli to zrobię, posłucham Zwątpienia.

Popatrzyłam na Hershey. Była ode mnie wyższa o kilkanaście centymetrów, ale siedząc przy biurku wyglądała na małą: była skulona i rozrzęsiona.

To nie ma nic wspólnego z tobą. dogry złam temu głosowi, jakby mógł mnie słyszeć, po czym położyłam rękę na ramieniu Hershey.

– Pomogę ci się uczyć – oznajmiłam.

Moja współlokatorka opuściła ręce i spojrzała na mnie zaskoczona, mrugając opuchniętymi oczyma.

– A co z twoimi egzaminami?

Obie z Hershey zdawałyśmy według różnych planów, co oznaczało, że drugiego dnia będzie miała testy, które ja już przeszłam. Żaden przedmiot się nie pokrywał.

Wzruszyłam ramionami.

– Dam sobie radę – powiedziałam i spróbowałam w to uwierzyć.

Owszem, Hershey sama się w to wpuściła i może nawet zasługiwała na to, żeby oblać, nie zamierzałam jednak do tego dopuścić.

Złapała mnie za rękę i ucisnęła.

– Dziękuję. – W oczach pełnych łez pojawiły się wdzięczność i nadzieja.

Zacząłyśmy od informatyki, mocnej strony Hershey, potem przeszłyśmy do analizy, w której to ja byłam mocna. Hershey rzeczywiście była nieprzygotowana, tak jak mówiła, ale szybko się uczyła i wszystko w lot łapała. Materiału do przerobienia było jednak całe mnóstwo i w miarę upływu nocy coraz bardziej nam to doskwierało.

O wpół do czwartej zeszyłyśmy do świetlicy, pod automat z kawą. Był tam też Liam, przygotowywał się do ustnego z historii. Pochyliłam się tak, żeby go nie widzieć i nie odrywając oczu od ekranu, odpałam Lux. Przetawiałam planowany czas pójścia spać z północy na czwartą po południu, wybrałam filtry „energia” i „kondycja”, po czym przytknęłam do automatu sensor telefonu. Najpierw pojawił się papierowy kubek, potem strumień parującej czarnej cieczy.

– Co wybrałaś? – zacięwała się Hershey.

– Nie mam pojęcia – odpowiedziałam, zdejmując kubek z tacy. – Zdałam się na Luxa. – Upiłam łyk. Ciecz była gęsta i mocna. – Smakuje jak red-eye ¹. Ze stewią zamiast cukru.

– Gotowe.

Hershey wpisała swoje zamówienie i przyłożyła gemini do automatu. Spadł drugi kubek. Gdy czekałyśmy, aż się napelni, nadal stałam tyłem do Liama.

Zobaczyłam, że Hershey zerka to na niego, to na mnie.

– Coś jest nie tak między wami? – zapytała. – Bardzo szybko go usadziłaś.

– Mnie i Liamowi dobrze się układa – zaproponowałam. – Zaprzyjaźniliśmy się.

– Skoro tak uważasz – powiedziała, sięgając po kawę. – Wydaje mi się jednak, że czegoś mi nie mówisz.

Zobaczyłam w myślach sukienkę Hershey przewieszoną przez kozetkę Northa i policzki zaczęły mnie piec. Owszem, czegoś jej nie powiedziałam, nie miało to jednak nic wspólnego z Liamem.

– Powinnyśmy wracać do nauki. – Nałożyłam na kubek pokrywkę i skierowałam się w stronę drzwi.

– Hej, Rory?

– Tak? – Odwróciłam się.

Hershey patrzyła w głąb kubka, oczy chowając pod osłoną swych ciemnych włosów.

– Czemu to robisz?

– Czemu co robię?

– Czemu mi pomagasz?

– Ponieważ jesteś moją przyjaciółką – odpowiedziałam bez namysłu.

Hershey chwyciła mnie za rękę i uściśnęła. Łamiącym się głosem wyszeptała coś w odpowiedzi. Zbyt cicho, żebym usłyszała, ale nie chciałam prosić jej o powtórzenie. Odtwarzałam sobie jednak tę chwilę, gdy przekopywałyśmy się przez różniczki i spisy chińskich słówek. To brzmiało jak *Przepraszam*.

W ogóle nie spałyśmy. O siódmej rano jeszcze nad tym wszystkim siedziałyśmy, mogłam jednak stwierdzić, że Hershey przestała panikować. Była przygotowana. Może nie na ocenę celującą, ale powinna zdać. Ja natomiast miałam przechlapane. Nie żebym się w ogóle nie przygotowywała do tych dwudniowych egzaminów, ale liczyłam też na zryw ostatniej nocy. Nie mówiąc już o sześciu godzinach solidnego snu. I oto, na godzinę przed pierwszym testem, mdliło mnie po późnonocnej kawie, a oczy miałam tak zmęczone, jakbym je wypłukała w wybielaczu i wywiesiła, żeby wyschły na pustynnym wietrze. Poryczałabym się, gdybym nie była zbyt odwodniona, żeby się spodziewać łez.

Wzięłam prysznic i włożyłam dzianinową sukienkę w nadziei, że ten strój trochę doda mi animuszu, a że nie starczyło mi energii na wysuszenie włosów, zwinęłam je w węzeł i upięłam. Hershey, coś sobie nucąc, nakładała na policzki puder brązujący, sińce pod oczami zamaskowawszy przy pomocy korektora.

– Jestem prawie gotowa – oznajmiła, łapiąc w lustrze moje spojrzenie. – Co powiesz na szybkie śniadanie?

Wiedziałam, że warto byłoby coś zjeść, ale sobie tego nie wyobrażałam. Żołądek z nerwów zawiązał mi się w supeł i nie miałam najmniejszej chęci czegoś do niego pakować.

– Myślę, że się wstrzymam – powiedziałam. – Zjem coś po egzaminie z Praktyk

Który zaczyna się za dwadzieścia dwie minuty, wrzeszczało mi w głowie. Zarzuciłam torbę na ramię i ruszyłam do drzwi.

– Tak przy okazji – odezwała się gdzieś za mną Hershey – wiem, czemu mi pomogłaś.

Odwrociłam się.

– O co ci chodzi?

– To przez Zwątpienie. – Mówiła cicho, mnie jednak wydało się to krzykiem.

Skamieniałam. *Skąd mogłaby to wiedzieć?* Druga myśl była praktyczniejsza. *Nie zajmuj pozycji obronnej.*

– Zwątpienie? – powtórzyłam, siląc się na kąpiący uśmiešek. Aż zabołały mnie mięśnie twarzy.

– Uważasz, że słyszę Zwątpienie?

– O ile wiem, twoja mama słyszała – odpowiedziała z wielką pewnością w głosie.

Cofnęłam się o krok

– Słucham?

– Wiem, że twoja mama słyszała Zwątpienie.

Wpatrywałam się w nią przez dłuższą chwilę.

– Kto ci to powiedział?

– Nikt – zapewniła szybko. – Sama się domyśliłam.

Kłamie, przemknęło mi przez głowę. Nie było możliwości, żeby doszła do czegoś na temat mojej mamy. Kto więc jej o tym powiedział? Kto jeszcze wiedział?

Chyba uświadomiła sobie teraz, że nie wszystko przebiega tak, jak zaplanowała. No ale Hershey raczej nie należała do osób skłonnych dokładnie obmyślić tego typu sprawy przed wcieleniem ich w czyn.

– Wiesz, nikomu tego nie powiem...

– Nie będziemy teraz o tym rozmawiać – ucięłam, odwracając się. – Muszę lecieć.

Powodzenia na testach.

Otworzyłam i wyszłam na korytarz, pozwalając, by stare mahoniowe drzwi same się za mną zamknęły. Na chwilę przed ich zatrzaśnięciem zerknęłam za siebie i uchwyciłam spojrzenie Hershey.

– Ja go nie słyszę – oświadczyłam najbardziej przekonująco, jak potrafiłam.

Drzwi się zamknęły, zanim zdążyła odpowiedzieć, ale przecież nie musiała. Po jej twarzy widziałam, że mi nie uwierzyła.

– Dzisiaj zabawicie się w Boga – dotarły do mnie słowa Tarsus.

W ogóle nie mogłam się skupić, wciąż odtwarzając w myślach niedawną rozmowę z Hershey.

Mówiąc o zabawie w Boga, Tarsus zwróciła moją uwagę.

Na ekranie mojej kapsuły pojawił się nieruchomy obraz ogromnej drewnianej platformy unoszącej się na roziskrzonym turkusowym morzu. Na wyspie za nią ciągnęły się zielone wzgórza, a plażę pokrywał piękny biały piasek, w niczym nieprzypominający szarobrunatnego piachu z wybrzeży Waszyngtonu. Wystające ponad wodę pionowo wbite bale łączyły plażę z oddaloną o jakieś sto metrów platformą, takim pływającym dokiem. Był on pusty, jeśli nie liczyć piramidy drewnianych skrzyń piętrzących się jedna na drugiej.

– Za sześćdziesiąt sekund dok na waszych ekranach zapełni się świętującymi – powiedział głos doktor Tarsus w głośnikach. – Wyspa obchodzi dzisiaj Dzień Niepodległości i tubylcy oraz turyści zgromadzą się tu na pokazie fajerwerków. Pojemność doku wynosi dwieście pięćdziesiąt osób. W momencie odpalenia fajerwerków będzie ich tam trzy razy tyle.

Obraz na ekranie zmienił się w zbliżenie i teraz lepiej widziałam skrzynie.

– Te oto dwanaście skrzyń wypełniono przeszło dwiema tonami sztucznych ogni stosowanych podczas pokazów. Wszystkie fajerwerki są „przepisowe”, co oznacza, że każdy z nich został przed złożeniem w skrzyni zaopatrzony w spłonkę elektryczną. Za trzy naście minut jedna z tych spłonek eksploduje, wyzwalając reakcję łańcuchową, która zniszczy doki i zabije wszystkich znajdujących się tam ludzi.

– Do każdego z was należy decyzja, kto z nich ma przeżyć, a kto umrze – dodała Tarsus, gdy na platformie w ułamku sekundy zaroilo się od ludzi. Tak była zatłoczona, że nie widziałam skrawka wolnej przestrzeni. – Używając dłoni, możecie robić pojedynczym osobom zbliżenia, a jeśli dwukrotnie stukniecie w nie palcem, uzyskacie kluczowe dane na ich temat. Skąd pochodzą, w jakim są wieku, z czego żyją. Te informacje powinny wam ułatwić podejmowanie decyzji. Jak zawsze wasze oceny zależeć będą od efektu społecznego netto – będą tym wyższe, im mniej zginie osób wysoce wartościowych.

Skalałam wzrokiem po platformie, starając się ogarnąć ją całą. Wydawało się, że są tam ludzie wszystkich ras, o najróżniejszych drogach życiowych. Widziałam też pewne tropy ułatwiające zorientowanie się, gdzie zacząć. Drogie okulary słoneczne, designerskie letnie kapelusze. Turyści. Niewątpliwie najwyżej wycenieni ludzie na tym doku. Poczulałam ucisk w żołądku. Nie chciałam tego robić.

– Będziecie w stanie przemieszczać poszczególne osoby tylko pojedynczo – powiedziała Tarsus. – Żeby kogoś przemieścić, należy po prostu przyciskać palcem jego sylwetkę, aż zacznie migotać, a potem przesunąć ten palec tam, gdzie chcecie ją umieścić. Natychmiast po ewakuowaniu jednej osoby będziecie mogli przejść do następnej.

Gdy na ekranie pojawił się licznik czasu pokazujący, że zostało jeszcze trzynaście minut i dziesięć sekund, serce zaczęło mi walić.

– I jeszcze jedno – oznajmiła Tarsus. – Obrażenia i zgony, które spowodujecie, zaowocują znacznym obniżeniem oceny. Lepiej, gdy ktoś zginie w eksplozji, niż miałyby stracić życie z waszej ręki. Powodzenia. Możecie zaczynać.

Jak zwykle włączył się dźwięk i zegar ruszył.

Pospiesz się, powiedziała sobie. *Musisz się spieszyć*. Tymczasem jednak znieruchomiałam ze wzrokiem wbitym w grupę tubylczych dzieci na środku doku. Była ich co najmniej setka, bosych, z kwiecistymi przepaskami na włosach i biodrach, uradowanych perspektywą fajerwerków, o głosach wybijających się ponad całą resztę. Stuknęłam dwukrotnie jedno z nich.

Mężczyzna. Lat 8. Pochodzenie indofidżyjskie. IQ 75. Niewykwalifikowany.

Ucisk w żołądku się wzmógł. Ten dzieciak był tak słodki, z szerokim bezzębnym uśmiechem. Dość się jednak już nauczyłam, żeby wiedzieć, że jego wartość użytkowa była niska. Taką wartość miały wszystkie osoby, rzeczy, działania i skutki działań. Liczby ujemne lub dodatnie, oddające ich wpływ netto na społeczeństwo. Tak jak ojciec z symulacji, którą robiliśmy podczas pierwszych zajęć – przedsiębiorca i doktor filozofii, któremu pozwoliłam umrzeć – pewni ludzie mieli wyższą wartość od innych i żeby dobrze wypaść na egzaminie, ich przede wszystkim musiałam ewakuować. Dopiero potem, gdyby starczyło czasu, mogłam ratować te dzieci.

Chciałabym uratować wszystkich.

Udałoby się jakoś zidentyfikować wadliwy fajerwerk, zanim wybuchnie? Nie. Tarsus powiedziała, że w skrzyniach są przeszło dwie tony materiałów wybuchowych. Zresztą, nie wiedziałabym nawet, czego szukać. Rzuciłam okiem na licznik. Zostało mi dwanaście minut i trzydzieści sekund oraz ponad siedemset pięćdziesiąt osób do zabrania z doku. *Pospiesz się*, powiedziała sobie ponownie.

Kiedy jednak podniosłam rękę nad ekran, jedno słowo sprawiło, że zamarłam.

Zaczekaj.

Zareagowałam.

– Zaczekaj?

Zakryłam usta dłonią. Nie chciałam tego głośno powiedzieć. Nasze kapsuły podłączone były do kamer i głośników, które Tarsus na pewno miała teraz pod kontrolą. *Zaczekaj?* – powtórzyłam, tym razem w myślach. Głos się znów odezwał.

Zaczekaj.

Ta rada, tak wyraźnie i jednoznacznie bezsensowna, pchnęła mnie do działania. Należało postępować dokładnie wbrew zaleceniom Zwątpienia. Musiałam się cholernie spieszyć.

Przechesując tłum, stuknęłam dwukrotnie w młodzieniaszka z roleksem na przegubie.

Mężczyzna. Lat 29. Amerykanin. Pochodzenie norweskie. IQ 156. Szczebel kierowniczy w funduszu hedgingowym.

Wiedziałabym, jak przeprowadzić analizę, wciąż jednak miałam opory przed koniecznym wartościowaniem. *Po prostu usuń go z platformy*, powiedziałam sobie. Przy cisłałam palcem jego głowę, aż zaczął migotać, i zaczęłam przesuwając go w stronę pomostu. Nie, wodą będzie szybciej. Ruchem nadgarstka wrzuciłam go do oceanu. Ledwie to zrobiłam, zaczął płynąć do brzegu.

Podniesiona na duchu tym postępem, przeniosłam palec na dziewczynę w pobliżu. Nie miałam czasu na sprawdzanie jej statusu. Musiałam pierwszym spojrzeniem ocenić jej wartość. Nie było to precyzyjne, ale tyle się nauczyliśmy na ćwiczeniach, że wiedzieliśmy, na co patrzeć. Jak ich szacować. Ta dziewczyna nosiła okulary od Chanel i dopasowaną płócienną sukienkę na ramiączkach, a na palcu miała wielki diament. Po tym, jak uśmiechała się do tubylczych dzieci, zaklasyfikowałam ją jako filantropkę z lepszych sfer, kogoś mającego szansę zrobić wiele dobrego. Prędko przeniosłam ją nad wodę i popłynęła do brzegu.

Poruszałam się coraz żwawiej, bez dłuższego zastanowienia wrzucając ludzi do wody, najszybciej jak mogłam. Przez siedem minut uratowałam dwieście dziewięćdziesiąt osiem osób. Numer dwieście dziewięćdziesiąt dziewięć spowodował zwłokę. To był mężczyzna po trzydzieście w gofrowanych szortach w kotwiczki. Mimo że wyglądał na kogoś z jachtu, znalazłszy się w wodzie, zaraz zaczął bezwładnie wymachiwać rękami i szybko zniknął pod powierzchnią. Licznik zgonów przeskoczył mi z 0 na 1.

Cholera. Nie pomyślałam o nieumiejących pływać. Czując, że wpadam w panikę, natychmiast ją zagłuszyłam. Prawdopodobieństwo, że ktoś wypoczywający na tropikalnej wyspie nie umie pływać, musiało być znikome. Nie mogłam sobie pozwolić na zmianę strategii. Uwijałam się, jak najszybciej ewakuując ludzi do wody. Na sześćdziesiąt sekund przed końcem wyznaczonego czasu miałam sześćset osób usuniętych z dołu, a straciłam tylko tę jedną.

Gdy zostało już tylko dziesięć sekund, przypomniałam o sobie ucisk w żołądku. Nie uratowałam ani jednego z tubylczych dzieciaków i ani jednej młodzieńkiej nauczycielki. *Może wybuchu nie będzie*, myślałam sobie w tych ostatnich sekundach. Możliwe, że Zwątpienie miało rację. Być może cała ta symulacja była swoistą sztuczką, którą jakoś mieliśmy rozgryźć i zignorować podane nam instrukcje. Właśnie na to liczyłam, gdy licznik zbliżał się do zera.

A jednak, gdy do końca brakowało dwóch sekund, skrzynie zajęły się ogniem. Trzeba było jeszcze pełnej sekundy, żeby dołączył do tego dźwięk. Najpierw trzaskanie, później *pach pach pach*. I gdy wybuchały fajerwerki, wszędzie pełno było dymu, czarnego, potem szarego, z rozbłyskami ognia. Platforma zniknęła w kłębach tego dymu, ludzie niestety nie. Wylatywali w górę jak szmaciane lalki, a powietrze aż drżało od ich krzyków. Zamknęłam oczy, nie mogąc na to patrzeć, i otworzyłam je dopiero, kiedy wszystko ucichło. Powinnam była zwlekać z ich otwarciem jeszcze dłużej. Widok był o wiele straszniejszy od samej eksplozji. Kończyny i kadłuby unoszące się pośród zwęglonego drewna. Płonące ciała na wodzie.

Dławiło mnie w gardle i czułam smak żółci. *To nie dzieje się naprawdę*, upewniałam siebie. Ale i tak spuściłam oczy, nie chcąc już tego widzieć.

– Rory, gratulacje – usłyszałam w głośnikach doktor Tarsus. – Z liczbą zaledwie stu osiemdziesięciu ośmiu zgonów uzyskałaś najlepszy wynik – Podniosłam wzrok na ekran i zobaczyłam tam listę uczniów. Moje nazwisko było na samej górze. Liczba zgonów przy następnym blisko dwukrotnie przewyższała moją. – Wy wszyscy pozostali sprawdzaliście status każdej ratowanej osoby. Rory, polegając na swym racjonalnym instynkcie, osiągnęła o wiele lepszy rezultat.

Doktor Tarsus nigdy nie powiedziała mi nic miłego.

Z tej dumy kącik ust aż podjechały mi do góry. Zrobiłam to. Uzyskałam najwyższą w klasie ocenę i jednocześnie uporałam się ze Zwątpieniem. No, może z tym *uporałam się lekko* przesadziłam, ale wreszcie odpowiedziałam sobie na pytanie dręczące mnie, odkąd pierwszy raz usłyszałam ten głos. *Czy mu zaufać?* Rozum zawsze zaprzeczał, ale wątpliwości pozostawały. Teraz już wiedziałam. Gdybym podczas tej symulacji poszła za radą Zwątpienia, oblałabym egzamin. I gdyby to działo się naprawdę, zginęłoby blisko osiemset osób, zamiast stu osiemdziesięciu ośmiu.

Sto osiemdziesiąt osiem osób postradało życie. Mój dobry nastrój od razu prysnął, a ja znalazłam się na powrót na tym doku, pośród rozradowanych dzieciaków skazanych na śmierć.

To nie działo się naprawdę, powtarzałam sobie znowu, przepychając się przez podwójne drzwi Domu Hamiltona na jasne październikowe słońce. To tylko musiało wydawać się rzeczywiste, żeby spowodować reaktywną aktywność nerwową, której tłumienia mieliśmy się nauczyć. Mimo to nie mogłam przestać myśleć o dzieciach, które zostawiłam. O ich śmiechu, z jakim garnęły się do nauczycielek, o ochach i achach, z jakimi czekały na pokaz na niebie. To ich ciała wylatywały w powietrze, gdy skrzyń nie eksplodowały. Ich krzyki nasilały się, a potem gasły, gdy popalone zwłoki ginęły pod powierzchnią wody.

Wiedziałam, że w takiej sytuacji ofiar nie dałoby się uniknąć. Nie dałoby się odnaleźć wadliwego fajerwerku ani wypchnąć ciężkich skrzyń, nie było na to nawet czasu. Trzeba było się pogodzić z tym, że dok wybuchnie. Jedyłą zmienną stanowiło to, ile osób będzie na nim przebywać, gdy do tego dojdzie. Nie była to jednak, oczywiście, wyłącznie gra w numerki – doktor Tarsus jasno to nam uzmysłowiła. Program komputerowy wycenił uczestników wydarzenia, szeregując według znaczenia. Najlepszy wynik uzyskałam nie dzięki temu, że pozostawiłam na platformie najmniej ludzi, ale dlatego że uznano ich za mniej wartościowych od tych, których z niej zabrałam.

– To popieprzona koncepcja – powiedziała do Liama podczas obiadu. Przy siadł się do nas bez zaproszenia, zajmując miejsce Izzy. Jako dyslektyczka otrzymała więcej czasu na egzaminie. –

Ludziom przypisuje się wartości? Jakby czyjeś życie liczyło się bardziej niż inne?

– Bo tak jest. I musisz się z tym zgodzić.

Popatrzyłam mu w oczy.

– Nie, nie muszę. I się nie zgadzam.

– Okej – powiedział, prostując się na krześle. – Pociąg wypełniony słazanymi za morderstwo pędzi naprzeciw autobusowi pełnemu noblistów. Możesz albo wykoleić ten pociąg, albo zepchnąć autobus do jaru. Jeśli nic nie zrobisz, wszyscy zginą. – Wpakował do ust kawałek kalafiora i spojrzał na mnie. – Wybieraj.

Hershey oderwała wzrok od tabletu. Od początku przerwy obiadowej powtarzała analizę matematyczną, ledwie tknąwszy swoją pomidorową.

– Ja oszczędziłabym morderców.

Szczęka mi opadła. Wiedziałam, że powiedziała tak jedynie po to, żeby zwrócić na siebie uwagę, ale mimo wszystko.

– Ludzie, wy oboje jesteście chorzy.

Hershey chyba jednak to przemyślała.

– W świecie Liama morderców się zabija, bo przypisuje się im ujemną wartość użytkową. Może jednak należy spojrzeć na to inaczej. Można uratować tych morderców ze względu na wartość ich odkupienia.

Liam uniósł brwi.

– Wartość czego?

Hershey przygryzła wargę, zastanawiając się.

– Wiedzą, że są mordercami, tak? Nie spodziewają się wybawienia. Są przekonani, że ten, kto decyduje, postawi na noblistów. Jeśli więc stanie się inaczej... Nie wiem. – Wydawała się skępowana. – Może to ich zmieni i może inni ludzie o ujemnej wartości użytkowej na samą wieść o tym też się zmieniają. Może znajdą przez to odkupienie. I może efekt netto dla społeczeństwa okaże się tu większy, niż gdyby uratowało się tych dobrych.

– Albo może pozabijają więcej ludzi, jak to mordercy – stwierdził Liam, jakby koncepcja Hershey była szczytem głupoty.

– Dureń jesteś – ucięła Hershey. Potem zwróciła się do mnie: – A co ty sądzisz?

– Sądzę, że całe założenie jest błędne. Przede wszystkim scenariusz jest całkowicie nierealistyczny. Czemu, na przykład, wszyscy ci mordercy są w pociągu? Dokąd jadą? I czemu tam jest autobus pełen noblistów? No proszę was, naprawdę? Siedzą sobie w autobusie? Utknęli na torach?

– To, że scenariusz jest nieprawdopodobny, nie wyklucza jego użyteczności jako hipotezy – odparł Liam. – Chodzi o pokazanie toku rozumowania poprzez możliwe rezultaty.

– Ale ja nie panuję nad tymi rezultatami – zaproponowałam. – I nigdy panować nie będę. Sam pomyśl, że mogę siedzieć gdzieś w jakimś pokoju, nad guzikiem, który pozwoli mi decydować, kto przeżyje, a kto umrze...

– Ludzie stale podejmują tego typu decyzje – stwierdził Liam.

– Naprawdę? To gdzie są ci naciskacze guzików? Chętnie kogoś poznam – powiedziałam sarkastycznie.

Liam się zaśmiał, a potem posłał mi protekcyjne spojrzenie.

– Ta hipoteza z twojego egzaminu, ci ludzie na doku. Gdzie to się stało w realu?

– Co?

– Tarsus opiera swoje symulacje na prawdziwych wydarzeniach – wyjaśnił. – To jej mocny patent na to, żeby były tak użyteczne.

Gdy to mówił, przypominałam sobie, że Tarsus opowiadała o tym na pierwszych zajęciach. Całkiem zapomniałam. Gdzieś w głowie wciąż słyszałam krzyki tych dzieciaków rozrywanych przez wybuch. Czy naprawdę spotkało to jakieś dzieci? Żołądek mi się kurczył i rozkurczał, jak dłoń raz po raz zaciskająca się w pięść. Czemu tak pochopnie je porzuciłam? Co z tego, że ich wartość użytkowa była najniższa na doku? To były tylko dzieci.

Uwolnienie się od wizji eksplodującego doku wymagało trochę mordęgi, ale udało mi się to na tyle szybko, że zdołałam podejść do obu ostatnich testów. Około 16:30 miałam wrażenie, że mózg mi się zlasował.

– Twoje zdrowie! – zawołała Hershey z butelką musującego cydru w ręku, ledwie otworzyłam drzwi. – Za uratowanie mi tyłka.

Uśmiechnęłam się i weszłam do środka.

– Wygląda na to, że zaliczyłaś?

– Raz A i dwa razy B – oświadczyła z dumą. – O ile wczoraj nie zawałam totalnie literatury, mam złoto.

Nalała mi trochę cydru, stuknęłyśmy się kubkami i wypiliśmy.

– Żadnego zajumanego szampana? – dogryzałam jej.

– Nowy rozdział w życiu – odpowiedziała, napełniając sobie kubek – Od tej pory zwijam jedynie napoje bezalkoholowe.

Chichotałyśmy sobie więc i sączyłyśmy nasz cydr.

– Powaga. Dziękuję. – Kiedy na mnie patrzyła, oczy jej błyszczały. – Nie zasłużyłam na twoją pomoc.

– Hersh, nie o to...

Podniosła rękę, przerywając mi.

– Nie zasłużyłam. I gdybym była na twoim miejscu, pewnie dopuściłabym, żebyś oblała.

I nie mów, że nie, tylko uwierz, tak by było. Dlatego teraz jestem ci coś winna i zrobię, co trzeba, żeby ci to wynagrodzić. Okej? – Jej oczy patrzyły szczerze, prawie błagalnie, jakby było dla niej ważne, czy na to przystanę.

Zgodziłam się.

Odpowiedziała uśmiechem.

– Dobra. Zaczynam od zadbania o twój makijaż. – Odstawiła butelkę na biurko i wskazała mi krzesło. – Siadaj.

1. Mieszanka espresso z kawą z ekspresu przelewowego. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 14

W Village Pizza było pełno ludzi, kiedy tam weszliśmy. Rachel i Izzy przyszły wcześniej i załapały się na łóżę przy oknie. Zrzuciłyśmy wierzchnie ciuchy i wcisnęłyśmy się koło nich.

– Tydzień niemyślenia uznajemy za otwarty – ogłosiła Izzy. – Zdajemy się więc na autozamawianie.

– Nie ma sporu – powiedziała Hershey, wręczając Rachel gemini. – Mózg i tak mi się zawiesił. Rachel przyłożyła handheldy do ściennego skanera i po chwili na ekranie pojawiło się nasze zamówienie.

– Jest tu ktoś niezły? – zapytała Hershey, wyciągając szyję, by przyjrzeć się zatłoczonej sali.

– E tam. – Rachel wruszyła ramionami, bez większego zainteresowania. – Głównie miejscowi.

– Jest tutaj twój chłopak – oznajmiła Hershey.

Myślałam, że mówi do Izzy, ale to na mnie patrzyła. Podążyłam za jej wzrokiem. North stał przy stoisku dla biorących na wynos. Płacił gotówką za dużą pizzę. Czym prędzej odwróciłam wzrok.

– Miałaś na myśli swojego chłopaka – sprostowałam, starając się, żeby to lekko zabrzmiało.

Rachel odwróciła się, żeby popatrzeć.

– To jest ten facet?

Hershey skrzywiła się.

– To absolutnie nie jest ten facet. Za to ciągnie go do Rory. Szkoda, że nie widziałyście, jak z nią flirtuje.

Zaczynała mnie brać złość. Nie miałam chęci iść z Hershey na noże, skoro już dobrze się dogadywałyśmy, tego udawania było jednak za wiele.

– Jeżeli wolisz nie mówić, z kim kręcisz, twoja sprawa – stwierdziłam stanowczo. – Proszę tylko, nie wciskaj takiej ciemnoty, żeby to przykryć.

Hershey zamrugła, zaskoczona.

– Czekał no, uważasz, że ja kręcę z Northem?

Wydawała się tak zdumiona, że zwątpiłam.

– A nie?

– Nie! – odpowiedziała.

To co robiłaś w jego mieszkaniu, bez sukienki? O mało nie walnęłam tego bez ogródek Nie

chciałam jednak ujawniać, że o tym wiem, ani wyjaśniać, czemu przyszłam do niego tamtej nocy. Nie w obecności Rachel i Izzy.

– Dwa hanseny, lemoniada i dietetyczna Z cola – powiedziała kelnerka, podając nam napoje. Zamiast położyć moją serwetkę na stole, podała mi ją, złożoną na pół. Zauważyłam, że w środku jest coś napisane.

Muszę z tobą porozmawiać. To ważne. – N. P.

Szybko zmięłam serwetkę i wsunęłam do kieszeni. Dziewczyny, pogrążone w dyskusji o listach składników na puszkach z ich napojami, nic nie zauważyły. Ja swoją puszkę obracałam w dłoniach, zastanawiając się, co też North tak bardzo chciał mi powiedzieć. Jeżeli naprawdę było to tak ważne, to czemu nie podszedł, żeby powiedzieć mi to osobiście, bez podsyłania zagadkowych liścików na serwetkach? Chodziło, oczywiście, o Hershey. W co on pogrywał? I w co pogrywała ona? Zadumana, przyglądałam się jej przez stół, gdy we cztery pałaszowałyśmy ekstraduzą pizzę deep-dish ¹, ignorując sugestie Luxa, byśmy ograniczyły się do dwóch kawalków każda.

Rachel i Izzy wybierały się jeszcze na ciastka z jakimiś chłopakami z klubu dyskusyjnego, ja jednak byłam zbyt obżarta i nazbyt zmęczona, żeby marzyć o czymś innym niż sen, najlepiej półtoradniowy.

– Lećcie same – powiedziałam, gdy skanowałyśmy handheldy, dzieląc się rachunkiem. – Ja idę do łóżka.

– Wracam z tobą – stwierdziła Hershey. Kiedy przyszła moja kolej na płacenie, odsunęła mój telefon i podsunęła swój. – Cała przyjemność po mojej stronie.

Gdy na ulicy poszłyśmy w swoje strony, Hershey wzięła mnie pod rękę. Jak na sygnał obie idealnie zgodnie ziewnęłyśmy, a potem ogarnęło nas charakterystyczne dla przemęczenia z lekką maniackie chichotanie.

– Taka jestem zmęczona, że prawie nóg nie czuję – odezwała się Hershey, gdy wciąż pod rękę przeszłyśmy przez ulicę, by przebyć na przełaj park

– A mnie się wydaje, że już teraz śpię – wyznałam.

Znowu trochę pochichotałyśmy, po czym zapadło kojące milczenie. Już miałam zapytać ją o Northa, kiedy Hershey odchrząknęła.

– Możemy porozmawiać o głosie? – zapytała.

Zesztywniałam. Hershey musiała to wyczuć, bo nie czekała na odpowiedź.

– Nigdy go nie słyszałam – powiedziała, zanim zareagowałam. – Nawet kiedy byłam mała. Zazdrościłam dzieciakom, które miały z nim do czynienia.

– Dlaczego?

Chyba się zamyśliła.

– O ile pamiętam, miałam wrażenie, że czegoś mi brakuje. Wszyscy wokół mówili, że coś nimi „kieruje”, że ich „prowadzi”. To wydawało się takie... wygodne. Nie musieć rozważać skutków ani samemu decydować. Dostawać odpowiedzi bez rozwiązywania testu.

Śmiać mi się chciało z tych absurdów. Wygodne? Akurat. Kierowanie się Zwątpieniem oznaczało całkowite odstawienie siebie na bok. Już jako dziecko to rozumiałam. Głos szeptał, żebym się nie martwiła, chociaż rozsądek mówił, że powinnam. Namawiał mnie, żeby zwolnić, kiedy akurat się spieszyłam; żebym była miła, gdy pałałam złością; żeby słuchać, gdy rozpaczliwie chciałam, by to mnie słuchano. „Prowadzenie” było tu jedynie eufemizmem zastępującym ostre reprimendy, korygowanie i perswazję.

– Ale oczywiście te odpowiedzi są złe – powiedziała nagle Hershey. – Na pewno takie są, prawda? Bo skoro to jest Zwątpienie, to musi być irracjonalne, a więc...

Przerwałam jej.

– Nie, nie irracjonalne. Jest aracyjny.

To było najbardziej zaskakujące odkrycie, jakiego dokonałam podczas moich badań nad AZP – jeśli nie liczyć odkrycia, że moja mama na nie cierpiała. Nazywano je czasem „irracjonalnym przeczuciem”, dowody empiryczne wskazywały jednak na to, że ten głos był o wiele mniej przewidywalny.

– Aracyjny?

– Ani nie racjonalne, ani nie irracjonalne – wyjaśniłam. – Jak się zdaje, całkiem spoza krainy rozumu.

Zastanowiła się nad tym.

– Czy to niesamowite uczucie, kiedy tak do ciebie mówi? – spytała potem.

– Ciężko mi sobie przypomnieć – skłamałam. – To było tak dawno temu.

– Rory – mówiła spokojnie, ale i tonem przygany – wiem, że nadal go słyszysz. Opowiedz mi o tym. Nikomu nie powiem.

Przyjrzałam się jej z wahaniem. Nikomu nie zamierzałam mówić o tym głosie, ani mojemu tacie, ani nawet Beckowi. I oto miałabym się wywewnętrznić przed Hershey, dziewczyną obstawiającą przy własnych sekretach, o której dość trudno byłoby powiedzieć, że budzi zaufanie. Pod żadnym względem nie był to dobry pomysł. Powinnam była zapytać ją, skąd wie coś, do czego ja sama przed sobą ledwie się przyznaję, ale za bardzo zastanawiałam się nad odpowiedzią, by myśleć o pytaniu.

– Powiedział ci, żebyś pomogła mi w nauce, prawda? – naciskała Hershey.

Już zaczynałam kręcić głową przecząco, ale Hershey nie dała za wygraną.

– To jedyne wytłumaczenie. Bo czemu miałabyś to robić? Przecież nie podbiłam cię jakąś

przejmującą i łzawą historią? Zawaliłam szkołę. Zasłużyłam na to, żeby wyjechać.

– Nie, nie zasłużyłaś – powiedziałam bardziej dla siebie niż dla niej.

– Rory, daj spokój – rzuciła, odwracając się tak, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Głos rzeczywiście mówił, żebyś ci pomogła – przyznałam w końcu. – Ale nie dlatego to zrobiłam. Pomogłam ci, ponieważ jesteś moją przyjaciółką.

I to była prawda. W tej samej chwili uderzyło mnie coś, co powinno niepokoić – mój rozum i Zwiążenie nadawały na tej samej fali.

Hershey nagle się rozplakała. Odruchowo wzięłam ją za rękę. Zostawiła ją w mojej dłoni i dalej płakała.

– Hersh, to naprawdę nie było nic wielkiego – powiedziałam cicho. – Potrzebowałaś pomocy, to pomogłam. Nic na tym nie ucierpiałam. Testy dobrze mi poszły.

– Nie rozumiesz – stwierdziła, potrząsając głową.

– To mnie oświeć. O co chodzi?

Znów pokręciła głową.

– Nie mogę – szepnęła. – Znienawidziłybyś mnie.

Na chwilę zapomniałam, że nie wie nic o mnie i Norcie. A tak bardzo się broniła przed wyjawieniem tego, że kręciła z facetem, którego polubiłam. Ulatwiłam jej tę sprawę.

– Hershey, ja już wiem.

Wbiła we mnie wzrok

– Co?

– Nie mam na myśli szczegółów, ale wiem, że do czegoś doszło. Byłam tamtej nocy pod jego mieszkaniem. Widziałam twoją sukienkę na łozetce.

W jej oczach pojawiło się zakłopotanie.

– Co?

– Ty i North – powiedziałam. – W noc Maskarady.

Wreszcie do niej dotarło.

– To dlatego myślałaś, że kręcimy ze sobą!

– Jeśli nie kręcicie, to skąd u niego twoja sukienka?

– Bo na nią nahaftowałam – odpowiedziała. – Poszłam do Paradiso, myśląc, że kawa mnie otrzeźwi. Fuj, nawet na samą myśl o tym zbiera mi się na rzygi. – Skrzywiła się. – North tylko pożyczł mi ciuchy i dał torbę na sukienkę. To wszystko. Naprawdę.

Uwierzyłam jej, choć sensu to zbytnio nie miało. Jeśli sprawa rzeczywiście była tak niewinna, to czemu North zwyczajnie mi tego nie powiedział, gdy pojawiłam się pod jego drzwiami? Zamiast tego wydawał się tak ostrożny, wręcz zaniepokojony, że Hershey dowie się, iż przyszłam. *Mogę to wyjaśnić*, powiedział wtedy. To czemu nie wyjaśnił? Zmięta serwetka ciążyła mi

w kieszeni jak ołów.

– A on wie, że go lubisz? – zapytała.

– Nie lubię – zaprzeczyłam szybko.

– Jasne. Skoro tak mówisz. Ale on, mając ciebie, byłby szczęściarzem. – Znow wsunęła rękę pod moje ramię i oparła na nim głowę. – Przepraszam, że taka okropna ze mnie przyjaciółka – powiedziała po chwili.

– Nie jesteś taka zła – stwierdziłam, lekko przyciskając jej rękę. Liczyłam, że się roześmieje lub zażartuje, nic takiego jednak nie zrobiła. Całkiem się potem wyciszyła.

Szłyśmy tak aż na kampus, ja obejmowałam ją ramieniem, ona trzymała głowę na moim barku. *Nigdy kogoś takiego nie miałam*, pomyślałam sobie. Posiadanie PeeNZeta płci męskiej wiązało się z licznymi zaletami – mniej dramatów, mniej plotek, więcej filmów akcji – brakowało mi jednak siostrzanej więzi, jaką dawała przyjaźń z dziewczyną. Komfortu jednakowości. Zazdrościłam dziewczynom swobody w kontaktach z innymi, sposobu, w jaki zajmowały tę samą przestrzeń, dotykając wzajemnie swoich włosów i twarzy, łapiąc się za ręce i obejmując w pasie. Przy chłopaku konieczny był margines. Dystans. Nie można było trzymać się za ręce, siedzieć u tego drugiego na kolanach, chodzić pod rękę. O ile, oczywiście, nie było się kimś więcej niż parą przyjaciół. Becka i mnie jednak to nie dotyczyło. Dźgnęło mnie nagle, że z tym moim najlepszym przyjacielem od bardzo dawna nie rozmawiałam. Killakrotnie posyłał mi wiadomości, ale nie odpowiadał, gdy dzwoniłam. Fakt, że to do niego pasowało – przecież nie nosił telefonu – ale i tak bolało.

Na dziedzińcu wpadłyśmy na dwie dziewczyny z mojej grupy na kapsuły, Danę i Maureen. Niosły torby kinowego popcornu i ogromne pudełka cukierków.

– Na czym byłyście, dziewczyny? – zapytałam, gdy się z nimi zrównałyśmy.

– *Cukierkowy miecz 4*. – Dana skrzywiła się niemilosiernie. – Beznadzieja.

– Posłuży jako przestroga przed pytaniem Luxa, czy wydać dwadzieścia trzy dolary na czwartą odsłonę franczyzy o dziewczynie, która cukierkiem pokonuje zło – dorzuciła Maureen. – Z drugiej strony, w tym kinie do wyboru pozostawał tylko film wojenny. Po teście z ćwiczeń nie zniosłabym kolejnych wybuchów. – Wzdrygnęła się.

Czułam, jak mój uśmiech gaśnie. Wypad z Hershey pozwolił mi zapomnieć o teście śródsesemestralnym, ta wzmianka jednak znow przywołała straszliwe obrazy. Świętowanie z okazji zaliczenia tak bardzo mnie pochłonęło, że zapomniałam o wyszukaniu informacji o takim wypadku w świecie rzeczy wistym. Czy Liam miał rację? Czy scenariusz oparty został na czymś z życia wziętym? Sama myśl o tym wywoływała skurcze żołądka.

Do poszukiwań przystąpiłam, gdy już byłyśmy w pokoju.

– Chcesz obejrzeć *Wydział śledczy*? – zapytała Hershey ze swojego łóżka. Ja wyciągnęłam się

na moim i właśnie wpisy wałam do wyszukiwarki *dok eksplozja wadliwy fajerwerk wyspa*, więc nie podniosłam wzroku.

– Jasne.

– Co robisz? – zacięła się Hershey. Kątem oka widziałam, że zapuszcza żurawia w mój ekran.

– Próbuję znaleźć tę historię, którą Tarsus wykorzystwała na dzisiejszym egzaminie.

– O ludziach na doku?

Zerknęłam na nią i kiwnęłam głową na potwierdzenie.

Hershey patrzyła na mnie, jakbym powiedziała, że obetnę sobie paznokcie zardzewiałymi nożyczkami.

– Dlaczego?

– Po prostu... chyba chcę wiedzieć, co się tam naprawdę wydarzyło.

Prawda, którą ledwie sama sobie uświadamiałam i do której na pewno nie przyznałabym się Hershey, była jednak taka, że szukałam rozgrzeszenia. Gdyby się okazało, że w wersji rzeczywiście zginęło więcej osób niż w mojej symulacji, w jakiś dziwny i pokrętny sposób przyniosłoby mi to ulgę. Wiedząc, że części tych ludzi zapewniłam lepszy los od tego, który przyniosło im życie, może zdołałabym się uwolnić od poczucia winy wobec tych, których nie uratowałam.

– To chyba kiepski pomysł – oświadczyła Hershey, wymierzając handheld w tapetę. – Zdarzają się na świecie parszywe sprawy. To jednak nie powód, żeby je rozpamiętywać. – Znalazła ostatni odcinek *Wydziału śledczego* i wcisnęła odtwarzanie.

– Ja nie rozpamiętuję – wymamrotałam, przeglądając pierwszą stronę wyników wyszukiwania.

Gdy nie znalazłam tam niczego choćby z grubsza przypominającego nasze zadanie egzaminacyjne, towarzyszące mi cały czas napięcie zaczęło ustępować. Tak było do chwili, gdy przeszłam na następną stronę i zobaczyłam obraz identyczny z tym, który oglądałam w klasie. Te same zielone wzgórza w oddali, ten sam pomost wiodący na identyczną białą plażę, te same słężynie, fajerwerki i załoczony dok Oczywiście, było to zdjęcie zrobione przed wybuchem, kiedy platforma była jeszcze nienaruszona. Ale na pewno tego samego dnia. Dwukrotnie stuknęłam to zdjęcie i przeczytałam podpis: *OBCHODY DNIA NIEPODLEGŁOŚCI FIDŻI, 10 PAŹDZIERNIKA 2030.*

Niespełna tydzień temu. Zdjęcie nie było powiązane z żadnym artykułem, zaczęłam więc nowe wyszukiwanie, tym razem wzbogacone o datę. Najważniejszą informacją była ta z następnego dnia, zatytułowana: *Wypadek na doku skraca święto wyzwolenia Fidżi.* Stuknęłam w ekran, by otworzyć tę stronę. Zanim zrozumiałam, co się stało, pierwszy akapit musiałam

przeczytać aż trzy razy.

Tylko przypadek sprawił, że w niedzielę platforma dźwigająca licznych przedstawicieli miejscowej ludności i turystów goszczących na Fidzi zawałiła się, strącając uczestników święta w wody Południowego Pacyfiku na kilka chwil przed wybuchem zgromadzonych tam fajerwerków. Biorąc pod uwagę, że w festiwalu z okazji rocznicy wyzwolenia Fidzi uczestniczyło na tej wyspie przeszło osiemset osób, można przyjąć, że obciążenie doku tuż przed jego zawaleniem prawie trzykrotnie przekraczało dozwoloną normę.

– Chwała Bogu, że zlekceważyli przepisy – skomentował to potem John Smith, amerykański turysta spędzający tam miesiąc miodowy. – Gdyby dok się nie zawałił, wszyscy byśmy na nim stali w momencie wybuchu fajerwerków.

Drewniane skrzynie zawierające ponad dwie tony sztucznych ogni zapaliły się jednak już pod powierzchnią wody, pozbawiając życia jedynie setki ryb tropikalnych, natomiast żadnych ludzi.

Nie do uwierzenia. W realu dok rozleciał się jeszcze przed pożarem fajerwerków. Ewakuując więc ponad połowę ludzi, zapobiegłam jego zawaleniu, ale tym samym zagwarantowałam wybuch. Ulga, którą powinnam odczuwać na myśl o tym, że naprawdę nikt nie zginął, całkowicie zniknęła wobec paralizującego szacunku dla głosu, który wiedział, jakich ocalić.

Zwątpienie miało rację.

Gdybym nic nie zrobiła – jedynie zaczęła – wszyscy na doku by przeżyli. Tylko skąd głos mógł o tym wiedzieć? Zwątpienie nie należało przecież do jakieś zewnętrznej wszechwiedzącej mocy. Było złudzeniem słuchowym wytwarzanym przez mój mózg. Ale skoro tylko do tego się sprowadzało, jak mogło mi powiedzieć coś, o czym nie wiedziałam? Nie mogłam bowiem przewidzieć, że platforma się zawałi.

Gapiłam się w ekran, aż ściemniał, a w głowie kipiło mi od emocji. Co powinnam teraz zrobić?

Sięgnęłam po wisiorek, ścisnęłam go w palcach. Czy moja matka też przez to przechodziła, rozstrzygała taki sam wewnętrzny spór? W końcu opowiedziała się za głosem i wiadomo, jak na tym wyszła. Ze zdiagnozowaniem nieuleczalnej choroby i bezpowrotnym biletem do Seattle.

– Znalazłaś? – usłyszałam pytanie Hershey.

– Jeszcze przed wybuchem dok się zawałił – powiedziałam, rzucając tablet na jej łóżko.

Przejrzała artykuł i odrzuciła mi tablet z powrotem.

– To chyba dobra wiadomość?

Nie odpowiedziałam, więc mi się przyjrzała.

– O co chodzi?

Jeszcze się wahałam. Na tyle długo, że ponowiła pytanie.

– Rory. O co chodzi?

– Podczas tego egzaminu usłyszałam Zwątpienie – powiedziałam wreszcie, od razu tego załując.

Musiałam jednak z kimś się tym podzielić, a Becka nie było pod ręką. Nie odpowiedział też na jedną z wysłanych do niego wiadomości, mój mózg nie był jednak w stanie zająć się teraz analizowaniem tego faktu. Hershey nie zareagowała. Podniosła jedynie pilota, żeby zastopować film.

– Okej – powiedziała. – I...?

– I polecilo mi zacząć.

– Zaczęć?

– Mieliliśmy uratować jak najwięcej ludzi – wyjaśniałam pospiesznie, przyciszonym głosem, choć byłyśmy same. – I nie wiedziałam, co robić. Pełno tam było tych małych dzieci... Jakby mnie zamurowało. A potem zaczęłam panikować, bo test miał limit czasowy, a my nie wiedzieliśmy dokładnie, kiedy dok wybuchnie, jedynie tyle, że to nastąpi.

– Uch, mocny miałaś ten egzamin. Nasz był taki słaby. Ale mów dalej.

– Rzecz w tym, że myślałam, że muszę się spieszyć. Wszyscy tak myśleli. Jak inaczej mieliśmy zabrać tych ludzi z doku, zanim eksploduje? I wtedy ten głos powiedział, żeby nic nie robiła. Kazał zacząć. Co było bez sensu. Chyba że...

– Że dok zawaliłyby się przed wybuchem – dokończyła Hershey. – Uratowałybyś ich wszystkich. – Ze świstem wypuściła powietrze przez zęby. – I nie ma możliwości, żeby twój mózg jakoś sam do tego doszedł?

– Nie.

Hershey chyba się zamyśliła.

– Jeśli więc to było Zwątpienie, to...

– To wiedziało coś, czego ja nie wiedziałam – powiedziałam. – A to jest niemożliwe. Naukowo i empirycznie niemożliwe.

– Fakt. Masz rację. Czyli wychodzi na to, że miałaś farta. – Podpuszczała mnie, dobrze wiedząc, że w to nie uwierzę.

Przetoczyłam się na plecy i spojrzałam w sufit.

– Uważasz za możliwe, że Zwątpienie nie jest tak źle, jak się uważa?

Hershey milczała. Ponownie na nią spojrzałam. Też leżała na wznak, wpatrzona w sufit.

– Mamy przecież naukę – powiedziała wreszcie, bez typowego dla niej przekonania. – Badania, które dowodzą, że Zwątpienie nie jest racjonalne. – Przekręciła głowę, spotykając się ze mną wzrokiem. – Prawda?

Owszem, były takie badania. Większość znałam z opracowań. Jak jednak wykazałam w mojej

pracy, żadnego nie można było nazwać kompletnym. Najślawniejsze stanowiło porównanie życiowych osiągnięć ludzi podobnych do mojej mamy i takich jak Hershey – zadeklarowanych zwolenników Zwątpienia z tymi, którzy twierdzili, że nigdy nie mieli z nim do czynienia – zakończone konkluzją, że drugiej z tych grup powiodło się znacznie lepiej pod względem poczucia szczęścia, stabilności i dobrobytu. Zapewniło chwytny nagłówek, o samym Zwątpieniu jednak powiedziało niewiele.

– Mnie chyba nie do końca to przekonuje – odpowiedziałam po dłuższej chwili. – Ale i przeraża, bo prawdopodobnie tak właśnie zaczęło się u mojej mamy, i proszę, jak na tym wyszła.

– Jak na tym wyszła? – zapytała Hershey.

– Właściwie to nie wiem – przyznałam. – Wiem, że zaczęła słyszeć Zwątpienie i z tego powodu poszła do psychiatry. Wydaje się, że jej się pogorszyło: słabsze wyniki i tak dalej, a lekarz chciał zamknąć sprawę. I ją wylali.

– Łał – powiedziała Hershey. – To grubo.

Przetoczyłam się na bok, w jej stronę.

– Proszę, nie mów o tym nikomu. Ani o mojej mamie, ani o tym, co dzisiaj usłyszałam.

– Nie powiem – zapewniła. – Obiecuję.

W oczy mi jednaknie spojrzała.

1. Pizza, pieczona w głębokim naczyniu, z dodatkiem mąki kukurydzianej, na cieście bardzo grubym, ale puszystym i delikatnym. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 15

Hershey poświęciła weekend na odrabianie lekcji, zdobywając się nawet na pierwszą w tym semestrze wizytę w bibliotece. W sobotę po południu znalazłam ją w opustoszałej czytelni, śpiącą na tablicie nad zaślinionym teraz zagadnieniem z analizy matematycznej. Skuliłam się w jednym z foteli przy płonącym kominku i dając jej pospać, przebiejałam się przez zadane lektury.

Wciąż jednak odpływałam myślami w stronę Northa.

Chciałabym uwierzyć w opowieść Hershey o tym, co się wydarzyło, ale ta historia kompletnie nie trzymała się kupy. Jeśli North był niewinny, czemu widząc mnie pod swoimi drzwiami, od razu nie powiedział, co jest grane?

Zastanawiałam się nad tym i rozważałam swój następny ruch jeszcze we wtorek rano, siedząc na ćwiczeniach i jednym uchem słuchając wykładu doktor Tarsus o rozwadze. Za oknem naszej klasy nad gór nadciągały chmury burzowe.

– I choć daleka jestem od sugerowania, że to takie proste – mówiła Tarsus – uważam ten wzór za pouczający.

Nakreśliła go palcem na ścianie frontowej i zaraz się tam pojawił pod postacią równania napisanego zieloną kredą.

$$Ro = K/n * R * I$$

– Rozwaga, Ro , jest funkcją n , liczby faktów poznawalnych, K , liczby faktów już znanych, R , inherentnej dla aktora zdolności rozumowania oraz I , zaangażowania aktora w działanie. – Tu Tarsus umilkła i zrejzrzała się po klasie. – Jakież pytania?

– Może pani podać jakiś przykład? – spytała Dana, a jej głos odbił się nieznacznym echem w głośnikach przy zagłówku mojej kapsuły.

– Oczywiście – odpowiedziała nauczycielka, odwracając się znów do ściany. – Posłuchmy się historycznym...

– Czegoś tutaj brakuje – wypaliłam. Wzrok Tarsus zaraz skoczył ku mnie. Zakryłam usta dłonią.

– Przepraszam – powiedziałam szybko. – Ja nie chciałam...

– Oczywiście, Rory, zaraz mnie oświecisz – stwierdziła, krzyżując ręce na piersi. – Co pominęłam?

– Fakty niepoznawalne – powiedziałam z trudem, żałując, że się odezwałam.

Odpowiedź wydawała mi się oczywista, Tarsus jednak patrzyła na mnie tak, jakbym coś

wybełkotała.

– Wydaje mi się, że nie zrozumiałaś – oświadczyła głosem ociekającym protekcyjnością. – Zmienna *n* oznacza wszystkie fakty, które aktor mógłby znać. – Stuknęła paznokciem w tę literę. – *K* natomiast oznacza liczbę faktów, które aktor już zna. A zatem wszelkie „nieznane” fakty zaliczane są do...

Ponownie jej przerwałam, tym razem celowo. Ten ton naprawdę mnie rozdrażnił. Miałam najwyższą ocenę z tych zajęć, a przemawiała do mnie jak do jakiejś idiotki. Co więcej, czułam się tak pewna swego, jak rzadko. Nie było w tym buty, wiedziałam po prostu, o co mi chodzi.

– Nie chodzi o nieznane – sprostowałam. – O niepoznawalne. Czynniki, których aktor nie pojmie wyłącznie rozumowo.

Tarsus na moment spochmurniała, potem jej wargi wykrzywił kwaśny uśmiech.

– Jako że wolałabym uniknąć marnowania czasu lekcyjnego na bezużyteczne igraszki, sugeruję, żebyśmy tę dyskusję kontynuowały po zajęciach. – I nie czekając na odpowiedź, przeszła do dalszej części zajęć.

Kiedy już dała klasie wolne, zamasyżuję podszłam do jej biurka, na tyle rozeźlona, że stać mnie było na śmiałość. Tarsus przyjrzała mi się, unosząc brwi.

– Wydajesz się zaniepokojona – stwierdziła.

– Nie jestem zaniepokojona – zapewniłam. – Jedynie zdezorientowana. Przeczytawszy w sylabusie „aktywność na zajęciach pożądana”, pomyślałam, że chce pani usłyszeć, co mamy do powiedzenia.

Uśmiechnęła się.

– Chodzi więc o to, że twoje uczucia zostały urażone?

– Nie, moje uczucia nie zostały urażone – powiedziałam, pilnując, by głos mi się nie łamał. – Chciałabym po prostu zrozumieć, czemu pani mnie tak sztywno uciszyła.

– Ponieważ wiedziałam, dokąd ta wymiana zdań zmierza, i próbowałam ci pomóc, Rory. „Fakty niepoznawalne”? Znasz porzekadło „Nie skleisz rozbitego jajka”?

Przekrzywiła głowę, przypatrując mi się badawczo, a w jej czarnych oczach było nawet więcej z orlicy niż zwykle.

– O jakim jajku tu rozmawiamy?

– Rory, nie ulega wątpliwości, że jesteś bystra – powiedziała z przekonaniem. – Jednak twoje dzisiejsze wypowiedzi podczas zajęć były bardzo niepokojące. Ktoś w twojej sytuacji powinien bardziej uważać na to, co mówi.

– W mojej sytuacji? – zapytałam, choć nie ulegało wątpliwości, o co jej chodzi. Tarsus nie bawiła się w długie wywody.

– Wiesz, co oznacza przymiotnik *akratyczny*, prawda? – spytała. – Pochodzi od greckiego

określenia oznaczającego kogoś, kto działa wbrew swojej zdrowej ocenie. I chociaż bardzo dobrze spisujesz się na tych zajęciach, zwróciłam na ciebie uwagę podczas naszego piątkowego egzaminu. Wymówiłaś głośno słowo *zaczekaj*, jakbyś z kimś rozmawiała. O kogo mogło ci chodzić?

Śmiałość, którą jeszcze przed chwilą odczuwałam, przysła i tylko serce tłukło mi się w piersiach.

– O nikogo – powiedziałam szybko. – Z nikim nie rozmawiałam.

Tarsus znów przechyliła głowę.

– Jesteś tego pewna?

Wiedziałam, że powinnam się stamtąd wynieść, zanim wszystko pogorszę, coś mnie jednak gryzło i nie zamierzałam odejść bez odpowiedzi.

– Co by się stało, gdybym zaczęła? – zapytałam, głosem już lekko drżącym. – Gdybym nikogo nie zabierała z doku?

Tarsus nie wahała się ani chwili.

– Nie zdałabyś egzaminu.

– Ale w rzeczywistości ten dok..

– Zawalił się. Tak, wiem. Rozsądek jednak podpowiada nam, że z przeciążonego doku trzeba ewakuować ludzi, żeby zapobiec jego zawaleniu, nie zaś trzymać ich tam po to, żeby się zawalił.

– Uważnie mi się przyglądała. – Gdybyś więc pozostawiła tych wszystkich ludzi na doku, wiedząc, że skrzynie eksplodują, musiałabym przyjąć, że nastąpiło jedno z dwojga: albo sparaliżowała cię niezdolność do podjęcia decyzji, albo zaślepił jakiś irracjonalny impuls. Obie możliwości stanowiłyby podstawę do oceny negatywnej.

– Próbowała więc mnie pani podpuścić – powiedziałam.

Uśmiech Tarsus stał się lodowaty.

– Podpuścić? To zakrawa na paranoję. Może posłużyłaby ci wizyta w szkolnym ośrodku zdrowia? Jeśli chcesz, wypiszę ci skierowanie.

Przełknęłam ślinę, choć gardło miałam jak z papieru ściernego.

– Co zrobiłam, że pani mnie tak bardzo nienawidzi?

Tarsus tylko się roześmiała.

– Rory, za mało mnie obchodzisz, żebym miała cię nienawidzić. – Odwróciła się, a ostatnie słowo znów musiało należeć do niej. – Proszę, zamknij drzwi, wychodząc.

Jakoś udało mi się przetrwać historię, nie było jednak szans, bym przełknęła obiad. Przebrałam się więc w dres i ruszyłam pobiegać po lesie, żeby trzask liści kruszących się pod trampkami zagłuszył kałofoniczny zgiełk w mojej głowie. Kiedy zaliczałam trzecią rundkę wokół cementarza, zaczęło kropić. Bez namysłu przeszłam przez płot i puściłam się pędem do mauzoleum, przeskakując groby, by szybciej tam dotrzeć. Ciszę wokół burzyły jedynie rytmiczne uderzenia

deszczu o suche liście. Dopiero kiedy precyzyjnie się przez żelazną bramę mauzoleum, usłyszałam muzykę.

Już przyłożyłam zaciśnięte palce do granitu, żeby zastukać, zaraz jednak wydało mi się to odrobinę śmieszne, nie mogłam też liczyć na to, że mnie usłyszą. Nabrałam więc tchu i napałam całym ciałem na kamienny mur, tak jakrobił to przedtem North. Kamień ustąpił.

Spodziewałam się całej kapeli, odrobinę mnie więc zaskoczyło, że zobaczyłam jedynie Northa. Siedział na posadzce, oparty o marmurowy sarkofag, z laptopem na kolanach, podczas gdy głośniki grzmiały.

– Rory – powiedział, gdy weszłam do grobowca. W jego głosie zaskoczenie mieszało się z ulgą. Odstawił komputer i poderwał się z miejsca.

– Dostałam twój list – oznajmiłam.

– Skąd wiedziałas, że tu jestem?

Zbliżał się do mnie powoli, nie spuszczaając z oczu mojej twarzy, jakby się bał, że mogę zniknąć.

– Nie wiedziałam – przyznałam. I trochę ciszej: – Miałam nadzieję, że tu będziesz.

Przestępowałam niepewnie z nogi na nogę.

– Powiedziałeś, że możesz to wyjaśnić.

Kiwnął głową twierdząco.

– Mogę. Lepiej jednak będzie, jeśli najpierw usiądziesz.

Skinął ręką w kierunku ławy dla żałobników za naszymi plecami.

Żołądek podjechał mi do gardła.

– Okej – zgodziłam się i usiadłam.

Siadł obok, pod takim kątem, że niemal stykaliśmy się kolanami.

– Tyle razy próbowałam się z tobą skontaktować – powiedział, opierając się na łokciach. Włosy miał mokre od deszczu. – Niezależnie z czyjego konta pisałem, blokowałaś mnie. Myślałem nawet o zakradnięciu się na kampus, ale szkoła rok temu załatwiła mi zakaz zbliżania się i...

– Czekaj, co takiego?

Wyglądał na zawstydzonego.

– Włamałiśmy się z chłopakami do jednego budynku, żeby ponagrywać. Do tego z organami i złotą kopułą.

– Włamałiście się do Wielkiej Rotundy? Nie wiedzieliście, że może mieć alarm?

– Alarm wyłączyłem. Przyłapali nas, bo zbiornik wybuchł.

– Zbiornik?

– Posłużyliśmy się dużym zbiornikiem sprężonego powietrza, żeby zagrać na tych piszczałkach jak na ksylofonie – wyjaśnił. – A raczej zamierzaliśmy się posłużyć. Wybuchł przy pierwszej

próbie spuszczenia powietrza.

– Kurde blade. Aresztowali was?

– Tylko mnie – powiedział North. – Reszcie chłopaków kazałem wiać. – Zobaczył wyraz mojej twarzy. – Wydawać się może, że to gruba sprawa, ale nie miałem jeszcze siedemnastki, więc trafiłem przed sąd dla nieletnich, gdzie przystali na ugodę, że to wykroczenie, które zniknie z mojej kartoteki, gdy skończę osiemnaście lat. – Spochmurniał. – Szkoła jednak osobno mnie zaskarżyła i dostałem ten zakaz. Muszę się trzymać co najmniej piętnaście metrów od granic jej terenu.

Lekko się uśmiechnął.

– Nie twierdzą, że nie nie byłąbyś warta odsiadki – stwierdził, trącając moje kolana swoim. I znów spowaźniał. – Ale wpis do rejestru skazanych zniszczyłby mi karierę.

Karierę? Wybrał dziwne słowo, jak na gościa żyjącego z parzenia kawy.

Nieco nerwowo nabrał tchu.

– Pewnych rzeczy o mnie nie wiesz, Rory – oznajmił, a ja poczułam gęsią skórkę na ramionach.

Odsunęłam się nieco na tej ławie, podciągając kolana do piersi.

– I chcę ci o nich opowiedzieć. Tylko że...

Umilkł. Jego oczy wpatrywały się w moje, raz po raz wędrując to w jedną, to w drugą stronę, jak wskaźnik głośności na decybelomierzu, a jedna ze stóp drgała niespokojnie, niczym młot pneumatyczny.

– Tylko że co?

Spuścił oczy gdzieś na kolana.

– Tego, co powiem, dotychczas nikomu nie mówiłem. Dosłownie nikomu. Chodzi o to, że... – Znów podniósł wzrok – Rory, mogę ci ufać?

– Oczywiście – zapewniłam i sięgnęłam po jego rękę. Dotyk sprawił, że oboje lekko drgnęliśmy, ale tym razem już się nie odsuwałam, a on odwrócił dłoń, by dotknąć jej wnętrzem mojej. Serce waliło mi jak młot.

– Przede wszystkim – zaczął – nigdy nie było niczego między mną a Hershey. To, co widziałas tamtej nocy, nie oznaczało tego, o czym wtedy myślałaś.

Potwierdziłam skinieniem głowy.

– Hershey opowiedziała mi, co się stało.

– Ach, tak. Wątpię, czy opowiedziała ci wszystko. – Głos miał ponury.

– To dopowiedz resztę.

– To było tego dnia, kiedy się poznaliśmy i zrobiłem ci matchę. Wieczorem Hershey wróciła. Dość późno, jak już zamykaliśmy. Myśle, że była podpita.

Tamtej nocy, po wieczery powitalnej, Hershey się wymknęła. I rzeczywiście piła. Baileysy z samolotu i co się trafiło.

– Czego chciała? – spytałam, choć właściwie wiedziałam. Wyraźnie to zasugerowała tamtego popołudnia, na pierwszym zetknięciu z Northem.

– No cóż, dała mi do zrozumienia, że jest gotowa na niezobowiązujący związek – odpowiedział North. – Uprzejmie odmówiłem.

Nie mogłam się powstrzymać. Roześmiałam się.

– Jakto przyjęła?

– Nie za dobrze – powiedział ze śmiechem. Na chwilę zrobiło się trochę lżej. – Powiedziała, cytując: „Długo się będzie szło z powrotem”.

– Niemożliwe!

– Ależ możliwe. To właśnie powiedziała. – North pokręcił głową z niedowierzaniem. – Muszę przyznać jej punkty za poczucie własnej wartości. – Nieznacznie wzruszył ramionami. – Pewnie nie powinno mnie to ruszyć, ale niefajnie się czułem, że ledwie dałem jej kosza, startując do ciebie. To dlatego prosiłem, żebyś jej nic o nas nie mówiła. Nie chciałem dołować jej tym, że szaleję za tobą.

– Szalejesz za mną? – Postarałam się, żeby zabrzmiało to żartobliwie, ale tak zakręciło mi się w głowie, że mało nie upadłam.

– Za chwilę do tego dojdziemy – zapowiedział, ściskając mi rękę. – Najpierw muszę dokończyć.

Kiwnęłam głową.

– Okej. Do rzeczy. W noc waszej potańcówki przysłała do Paradiso na ławę, nawalona, a potem cała się obhaftowała. Pobrudziła sobie nawet ręce i bardzo się przejęła, że załatwiła też sukienkę. Powiedziałem jej więc, że może się ogarnąć u mnie i przespać tam kilka godzin.

– Jak miło – zauważyłam.

– Była przecież twoją współlokatorką. I jak mi się zdawało, przyjaciółką.

Tak wymówił to *jak mi się zdawało*, że poczułam ciężar w żołądku. Do czego zmierzał?

Zanim podjął temat, wziął głęboki oddech.

– Kiedy była pod prysznicem, wyjąłem jej telefon, żeby puścić ci wiadomość. Niedawno go używała, więc jeszcze był odblokowany. Gdy kliknąłem w panel wiadomości, zobaczyłem tam jedną wychodzącą, na zastrzeżony numer, do której załącznikiem był dokument z twoim nazwiskiem.

Cofnęłam rękę.

– Jak to dokument z moim nazwiskiem?

– Jako nazwę pliku. No, w zasadzie to nie było nazwisko, lecz numer twojego ubezpieczenia, ale

go rozpoznałem.

– Czekaj, co takiego? Znasz numer mojego ubezpieczenia?

North ponownie nabrał tchu.

– Tak Do tego też za chwilę dojdę. Najpierw musisz się dowiedzieć, co było w tym dokumencie.

– Otworzyłeś go?

Przytaknął.

– Już po raz piąty wysyłała go pod ten sam zastrzeżony numer i za każdym razem ten plik był większy. Miałem więc złe przeczucia. I się nie pomyliłem.

Niedobrze mi się zrobiło.

– Co chcesz powiedzieć?

– To był log – wyjaśnił. – Rodzaj dziennika, z datami i godzinami, na temat wszystkiego, co robiłaś. Rozmowy, które z tobą odbyła. – Mówił coraz szybciej, tonem bardziej nagłym. – Były też odniesienia do plików audio, których nie znalazłem w załącznikach, toteż gdy jeszcze brała prysznic, zrobiłem sobie obraz jej gemini. Przyszła akurat, kiedy zaczynałem, i wiedziałem, że jeśli Hershey cię usłyszy, to mnie przyłapie.

Wyciągnęłam ręce, żeby go przystopować.

– Co znaczy, że zrobiłeś obraz jej gemini?

– Skopiowałem jego zawartość – wyjaśnił. – Żebym mógł przejrzeć po jej wyjściu.

– Nie rozumiem. Jak?

North zawahał się, a jego oczy znów zaczęły błędzić tu i tam.

– Jestem hakermem – oświadczył wreszcie, uważnie śledząc moją reakcję. – Z tego właśnie żyję.

– Hakermem – powtórzyłam. Na pewno nie tego się spodziewałam. – To znaczy, że płacą ci za włamywanie się do cudzych handheldów?

– Między innymi. Rory, posłuchaj, nawet nie będę próbował ci tego uzasadniać. Wiem, że to nielegalne...

– Bardzo nielegalne. – Nie chciałam wypaść jak zołza, ale tak wyszło. Trochę się na tej lawce odsunął ode mnie.

– Owszem – przyznał, ostrożniejszy niż przedtem. – Bardzo nielegalne. Dlatego klienci dużo płacą za moje usługi i dlatego nikt poza tobą nie wie, czym się naprawdę zajmuję.

– To znaczy czym, tak dokładnie? – zapytałam.

– Większość mojej pracy dotyczy przywracania wizerunku publicznego – powiedział. – Ktoś robi coś krępującego, zdjęcia trafiają do Sieci i z uwagi na absurdalne podejście do ochrony prywatności obowiązujące na Forum, skoro raz się tam pokazały, nie sposób ich usunąć. Nawet

jak się je schowa i przestaną być widoczne na osi czasu, nadal tam będą. To samo dotyczy wpisów na ścianie i aktualizacji statusu. Mają zapewnione życie wieczne. – North wzruszył ramionami. – Dlatego ludzie mi płacą za ich usuwanie.

– Bogaci ludzie.

– Bardzo bogaci ludzie. Mający wiele do stracenia. Ludzie, którzy potrzebują moich usług, ale wolą nie wiedzieć o moim istnieniu.

– Stąd twój profil na Forum...

– Jest tam na wypadek, gdyby ktoś zaczął grzebać. Imię i nazwisko się zgadzają, cała reszta nie. Wszystkie zameldowania, aktualizacje statusu, obecność na czacie – to same fałszywki. – Przyrunął się i wziął mnie za rękę. – Ukrywałem to przed tobą, bo nie chciałem, żebyś myślała, że jestem kimś takim. Z tobą chciałem być prawdziwy. Chciałem być sobą, po prostu.

Jego oddech pachniał kawą i miętówkami. Właśnie wtedy go pocałowałam, nachyliwszy się tak szybko, że przydepnęłam mu stopy, a do tego, jeszcze zanim zetknęły się nasze wargi, zderzyliśmy się zębami.

Chwilę później się rozłączyliśmy, oboje bez tchu, on z zaskoczenia, ja zachłśniełam się tym, na co właśnie się zdobyłam.

– Przyznaję, że cię okłamałem, i dostaję coś takiego? Częściej powinienem coś przed tobą ukrywać – zażartował.

Walnęłam go w ramię.

– Nie, nie powinienes. Dostajesz jednorazową przepustkę i tyle.

– Przyjmuję – powiedział i się uśmiechnął. Zaraz jednak zmarszczył czoło i moja beztroška radość wyparowała.

– Muszę zobaczyć ten plik – oświadczyłam.

– Owszem, musisz – North wyciągnął z kieszeni topornego iPhone'a. Był prawie dwa razy większy od mojego gemini. Stuknął ikonkę chmury na ekranie.

– Czekaj, w jaki sposób masz dostęp? – zapytałam.

– Zamiast Li-Fi ², używam Wi-Fi. To taka stara infrastruktura komunikacyjna sprzed czasów, gdy VLC zastąpiło łączność komórkową. Jako że dużo tutaj bywam, zainstalowałem na dachu punkt dostępu. – Napisał na ekranie kilka słów, a potem podał mi telefon. Milczał, kiedy czytałam.

Pod koniec pierwszej strony myślałam, że się porzygam. Ten log, jak nazwał go North, zawierał wszystko, co mówiłam i robiłam od naszego przyjazdu na kampus, i wszystkie wpisy były tak sformułowane, żeby przedstawić mnie jako niezrównoważoną. Miałam „paranoję”, że doktor Tarsus mnie nienawidzi, „obsesję” na punkcie Luxa, „unikalem” rozmów o przeszłości mojej matki, a jej wisiorzek mnie „absorbował”. W połowie drugiej strony przestałam czytać i zamknęłam oczy.

North przy sunął się tak, że siedział obok mnie, i objął mnie ramieniem.

– Przychodzi ci na myśl, komu to podsyłała?

Potrząsnęłam głową w rozterce. Może komuś z tajnego stowarzyszenia? Czyżby to była część ich systemu oceny? Wydawało się prawdopodobne, że mogą wypytywać współlokatorów o możliwe brudy. Ale czemu moja współlokatorka tak zawzięcie wpychała mnie pod walec drogowy?

Miałam jeszcze zamknięte oczy, kiedy North pocałował mnie w poznaczony łzami policzek. Nos miał zimny i jego dotyk sprawił, że mimo wszystko się uśmiechnęłam.

– Powinam już iść – powiedziałam z ociąganiem, oddając mu telefon. – Po południu mam zajęcia, a muszę jeszcze pogadać z Hershey.

– Zamierzasz jej powiedzieć, czego się dowiedziałeś?

– Muszę. Ale bez obaw, o tobie nie wspomnę – zapewniłam go.

– Wspominaj, ile tylko zechcesz – powiedział, wstając. – Powiedz, że zobaczyłem ten log na jej telefonie i otworzyłem go. Nie może się tylko dowiedzieć, jak zdobyłem całą resztę.

Podał mi ręce i pociągnął na równe nogi. Wpadłam na niego całym ciałem i odczułam to aż w kręgosłupie.

– Dziękuję – powiedziałam, odrobinę się cofając, żeby stworzyć między nami jakiś dystans. Gdybym dłużej przebywała tak blisko niego, straciłabym szanse na przejście na następny rok – Za znalezienie tego pliku i za pokazanie mi go.

– Nie ma za co – odparł i otworzył drzwi mauzoleum. Potem przyciągnął mnie do siebie i całował w deszczu, obsypując tyśiącem powolnych pocałunków.

Kiedy wróciłam po ostatnich zajęciach, Hershey, rozwalona na swoim łóżku, robiła pracę domową.

– Hej – powiedziała, cała w uśmiechach. – Jak minął dzień?

Dosłownie skręciło mnie w środku.

– Wiem, co zrobiłaś – wyrzuciłam z siebie głosem tak zduszonym przez napięcie, jakby należał do dziewczynki z szóstej klasy.

Uśmiech Hershey zgasł.

– Co?!

– Czytałam, co o mnie wypisywałaś.

Pobladła.

– Rory... O, Boże, mogę to wyjaśnić.

– Dobrze – powiedziałam lodowatym tonem. – Zrób to, proszę.

Hershey nerwowo nabrała tchu.

– W dniu, w którym dostałam się do Theden, zadzwoniła do mnie doktor Tarsus. Myślałam, że

chce mi po prostu pogratulować przyjęcia. Ona jednak powiedziała, że potrzebuje mojej pomocy. Że przyjęto też inną dziewczynę z mojej szkoły, ona jednak uważa, że komisja kwalifikacyjna popełniła błąd, i chce, żebym pomogła jej to udowodnić.

Doktor Tarsus. Oparłam się o blat biurka, żeby utrzymać równowagę. A zatem nie chodziło o tajne stowarzyszenie. Było gorzej, o wiele gorzej.

Hershey, wyłamując sobie palce, mówiła dalej:

– Powiedziała, że nie powinni byli cię dopuścić ze względu na twoją mamę. Dlatego że była „akraticzką”. – Łzy spływające po jej policzkach ryły kanaliki w pudrze brązującym. –

Powiedziała, że możemy wymusić twoje wydalenie, przedstawiając komitetowi wykonawczemu dowody na twoje niezrównoważenie, i że nie mogę nikomu o tym mówić, dopóki nie uporządkuje argumentów. Powiedziała, że zapewni mi dostęp do ciebie i że mam tylko prowadzić log oraz nagrywać niektóre rozmowy. – Hershey mocno i gniewnie potrząsnęła głową. – Powinnam była jej powiedzieć, żeby się odpier...

Przerwałam. To jej *powinnam była* nic już nie znaczyło.

– Czyli już wie, że słyszysz Zwątpienie – powiedziałam ze smutkiem. – Nagrałaś naszą piątkową rozmowę. To dlatego ciągle podpytywałaś mnie o głos.

– Nie – zapewniła stanowczo Hershey. – Nie. Odkład tamtej czwartkowej nocy mi pomogłaś, nic nie napisałam ani nie nagrałam i więcej tego nie zrobię.

Zbliżyła się i chciała wziąć mnie za ręce, ale gwałtownie jecofnęłam.

– Rory – powiedziała. – Tak mi przykro, że to robiłam.

– A czemu robiłaś?

– Chyba mi schlebiało, że prosisz mnie o pomoc. – Wyglądała na zawstydzoną. – A kiedy już się z tym oswoiłam, to za bardzo byłam o ciebie zazdrosna, żeby to przerwać.

– Oczekujesz, że uwierzę, że robiłaś to z zazdrości o mnie? – Zaśmiałam się gorzko. – Ty naprawdę masz mnie za idiotkę.

– Oczywiście, że byłam o ciebie zazdrosna, Rory. Byłaś diabelną Heptą i co gorsza, nawet nie miałaś o tym pojęcia. Wszystko tak łatwo ci przychodziło. Tak ci zazdrościłam, że aż mnie zatykało.

– Kpisz sobie. Łatwo? Zasuwałaś jak osioł, żeby się tu dostać, a od tamtej pory tyram jeszcze ze dwa razy ciężiej. A ty to wszystko mi odebrałaś. – Coś uwięzło mi w gardle. Zacisnęłam usta, żeby się nie poryczeć.

Hershey położyła mi dłonie na ramionach.

– Rory, posłuchaj. Ja to naprawię. Powiem jej, że nie będę tego robić. Potem pójde do dziekana. Obiecuję ci, że nie dopuszczę, żeby cię zawiesiła...

– Jeszcze nie rozumiałaś? – wyrzuciłam z siebie, mając jej dosyć. – Za późno na to. Już

dostarczyłaś jej sznur.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam.

1. Tu, w znany m np. z psychologii rozumieniu, uczestnik zdarzenia, „podmiot hipotezy”. [\[wróć\]](#)
2. Li-Fi (*Light fidelity*), technologia mogąca stanowić alternatywę dla Wi-Fi, wykorzystująca zakresy światła widzialnego do transmisji danych. Połączenie takie mogłoby być znacznie tańsze i efektywniejsze od tradycyjnego bezprzewodowego dostępu do sieci. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 16

Sześć minut później byłam pod Paradiso, ciężko dysząc po biegu. Czułam, że włosy przylepiły mi się do czoła, i wyobrażałam sobie, na jaką wariatkę wyglądam. W spodniach dresowych, bez kurtki przy temperaturze dziesięciu stopni, z czerwonym nosem i oczyma w obramowaniu wczorajszej maskary. Absolutnie nie tak chciałyby się pokazać Northowi. Było jednak za późno, już mnie zobaczył.

Opuścił klienta przy ladzie, żeby przywitać mnie już przy drzwiach.

– Hej – powiedział cicho. – Jak poszło?

– Jedna z moich profesorek wciągnęła ją w... – Urwałam, bo dostrzegłam profesorkę od literatury przyglądającą mi się znad stoiska z dodatkami.

North podążył za moim wzrokiem i jeszcze bardziej zniżył głos.

– Może pójdziesz na górę, do mieszkania? – zapytał, wciskając mi w dłoń klucze. – Zrywam się stąd o piątej.

Wysunęłam gemini z tylnej kieszeni, żeby sprawdzić czas. Była czwarta trzydzieści.

– Okej – potwierdziłam, zaciskając palce na kluczach. Nauczycielka już nie patrzyła na mnie, wolałam jednak zachować ostrożność. Możliwe, że pośród członków kadry nie tylko Tarsus marzyła o tym, żeby mnie wywalić. Co więcej, North niekoniecznie zasługiwał na tytuł dżentelmena roku. To, że jesteśmy widywani razem, żadnemu z nas raczej nie służyło.

Ńnąc się po schodach do mieszkania Northa, wcisnęłam klawisz prywatności. Nie chciałam, żeby Hershey mnie tutaj znalazła. Nie miałam ochoty wysłuchiwać jej przeprosin, trochę w obawie, że mogłabym jej wybaczyć.

Szybko weszłam do środka i zamknęłam za sobą drzwi. Uwolniwszy się od butów, podeszłam bosą do regału Northa.

Przesuwałam palcem po przełamanych od używania grzbietach książek, skanując tytuły. Było tu kilka takich, o których słyszałam, i masa nieznanych. Część, opatrzona kodem kreskowym i osłonięta plastikiem, pochodziła ze zbiorów bibliotecznych z czasów, zanim przeszły one wyłącznie na postać elektroniczną. Inne były sfatygowane i nosiły ślady wody. Na najwyższej półce stały książki w twardej oprawie, z postrzępionym płótnem. Tytuły na ich grzbietach były złożone, a nie zwyczajnie wydrukowane jak w przypadku większości tomów.

Książka na końcu wepchnięta była nieco głębiej od pozostałych, sięgnęłam więc po nią, żeby wyrównać szereg. Aż drgnęłam, gdy zobaczyłam tytuł: *Raj utracony* Johna Milтона.

Złapałam się na tym, że mamrocze słowa z odręcznej notki, zostawionej mi przez mamę.

Nawet sobie nie uświadamiałam, że zapadły mi w pamięć. *Bom ich wolnymi stworzył i wolni zostaną, mimo niewolę grzechu przez siebie obroną; inaczej musiałbym ich zmienić w ich przyrodzie.* Zdjęłam tę książkę z półki i obróciłam w rękach. Stronice były nierówne i pozółkłe, a krawędzie płóciennej oprawy wytarte. Ostrożnie otworzyłam na stronie tytułowej. Papier był suchy i poznaczony wielkimi plamami.

Raj utracony

poemat w dwunastu księgach

autorstwa Johna Milтона

Siódme wydanie, zdobione sztychami

Wydrukowane w Londynie, w roku 1705

Nigdy nie widziałam tak starej książki. Wczesne wydania były superrzadkie. I drogie. Tknęło mnie jednak, że może niekoniecznie dla kogoś takiego jak North. Ileż musieli mu płacić ci bogaci ludzie za wy mazywanie ich nadużyć? Wyobrażałam sobie, że ogromnie wiele. Musnęłam stronicę opuszkami, nie chcąc uszkodzić delikatnego papieru. Zaczęłam przewracać strony, jedną po drugiej, nie tyle szukając tego cytatu, co chłonąc księgę jako całość, jej niesamowitą wielkość. Kiedy doszłam do strony trzeciej, zatrzymałam się. Zamiast słów, widniała tam akwarela. Pod nią przeczytać można było taki oto podpis:

LECZ GO STARŁA W POTYCZCE WSZYSTKOWŁADNA SIŁA
I TRZASNĄWSZY PIORUNEM W GŁOWĘ, STRĄCIŁA
Z NADPOWIETRZNEGO STROPU

To był wyjątek z widniejącego wcześniej tekstu i dzięki obrazowi mogłam pojąć jego sens. Bóg wypędzał anioła z nieba. Dalej przewracałam strony w poszukiwaniu kolejnych obrazków. Było ich wiele, co jeden to dziwniejszy, a jednocześnie dziwnie znajomy. Kiedy doszłam do Księgi Siódmej, zrozumiałam dlaczego. Podpis pod ilustracją głosił:

Bóg rzekł:

Niech Ziemia wszelkie żywych dusz rodzaje,

Dziki, bydło, owady i czołgi, wydaje,

Zwierzęta ziemskie wszelkie, wedle swego rodu.

To pochodziło z opisu stworzenia Ziemi. Na środku stronicy widniał lew o łbie dokładnie takim samym jak maska, którą Liam nosił podczas Maskarady, a wokół niego stadko innych zwierząt stojących w rzędzie, krótkorogich i o długich porożach, łaciatych i pręgowanych, ale zawsze

zaskakująco znajomych. Przewróciłam stronę, szukając Adama i Ewy. Na początku tego semestru czytaliśmy urywki Księgi Rodzaju, stąd wiedziałam, że to oni zostali stworzeni w następnej kolejności. Właściwie nie potrzebowałam dalszego potwierdzenia, ale i tak je otrzymałam. Twarze Adama i Ewy, które zobaczyłam dwie strony dalej, odpowiadały maskom ludzi oddających pokłon wężowi tamtej nocy na arenie.

Uniosłam oczy w niemej podzięce. To odkrycie wydało mi się nieprzypadkowe, jakby doprowadzono mnie tutaj, do tej właśnie chwili, po to, żebym odkryła te ilustracje i dokonała pewnego powiązania. Zarówno list, który pozostawiła mi mama, jak i maski, którymi posługiwało się tajne stowarzyszenie, brały się z tej książki. Jej stronicie musiały kryć jeszcze więcej. Może trop wiodący do tego, co mama usiłowała mi przekazać. Przycisnęłam książkę do piersi i zapragnęłam go znaleźć.

Wtedy rozległo się ciche pukanie.

– To ja – dobiegł zza drzwi głos Northa. Wpuszczając go, wciąż trzymałam tę książkę.

– Miłośniczka Miltona? – zapytał, wskazawszy ją ruchem głowy.

– Chyba bym się nadawała – odpowiedziałam. – Powiem ci, gdy ją przeczytam.

– Chcesz pożytyć mój egzemplarz?

Spojrzałam na niego zaskoczona.

– Mogę? Wydaje się drogi.

Roześmiał się, sięgając za moje plecy, żeby zamknąć drzwi.

– Był drogi. Zakładam jednak, że nie zamierzasz wykorzystywać go jako podstawki pod drinki. Oczywiście, że możesz pożytyć. Książki są po to, żeby je czytać. W wersji papierowej.

– Jakie to staroświeckie – podpuściłam go. North zrzucił swoją listonoszkę i zaniósł do kuchni brunatną papierową torbę. Gdy ją otworzył, mój żołądek burknął niecierpliwie.

– Szylna czy indyk? – zapytał North.

– Indyk – odpowiedziałam, wskazując na jedyny tu stółek barowy, gdy North pchnął moje zamówienie wzdłuż kuchennej lady. To była sprasowana kanapka panini, z serem wyciekającym spomiędzy chrupkich ciemnych tostów.

Wgryzłam się w nią. Była jeszcze pysniejsza, niż się zapowiadała. Zanim przełknęłam pierwszy kęs, łapczywie odgryzałam drugi. North złapał mnie za przegub i go obrócił.

– Tak się zastanawiam. Akurat tutaj pasowałoby: *Łakomie polykając bez powściągliwości* – zażartował, udając, że wypisuje te słowa na mojej skórze.

Poczułam, że się rumienię, i przyśpieszyłam przełykanie.

– Nie jadłam obiadu! – oświadczyłam pomiędzy kęsami.

– To wers z *Raju utraconego* – powiedział ze śmiechem. – Opisujący moment, gdy Ewa spożyła owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego.

– Znasz go na tyle dobrze, że cytujesz z pamięci?

– Cóż, ten szczególnie wers zapamiętałem, gdyż ciotka umieściła go na plecach pierwszej koszulki Paradiso, jaką zaprojektowała – odpowiedział North. – Nazwa Café Paradiso stanowi bowiem odwołanie do Milтона. I do Università del caffè we Włoszech, gdzie uczyła się robić kawę.

– *Bom ich wolnymi stworzył i wolni zostaną, mimo niewolę grzechu przez siebie obraną; inaczej musiałbym ich zmienić w ich przyrodzie* – wyrecytowałam. – Księga trzecia, wiersze od sto dwudziestego czwartego do sto dwudziestego szóstego.

Brwi Northa podjechały w górę na znak zdumienia.

– Robi wrażenie, zwłaszcza u dziewczyny, która nie czytała książki.

– Wiesz, o co w tym chodzi? – spytałam.

– Tak sądzę – powiedział. – Wydaje się, że Bóg mówi tu o ludzkiej wolnej woli. O tym, że czyniąc człowieka wolnym, dopuścił możliwość upadku.

– Upadku – powtórzyłam. – Upadku z czego?

– Dla Szatana był to dosłowny upadek z niebios do piekła. Dla człowieka stanowiło go wygnanie z Raju. – Przeszedł na koniec książki, do ostatniej ilustracji. Anioł, uderzająco podobny do tego z pomnika na cmentarzu, wyprowadzał Adama i Ewę poza bramy Edenu. Podpis głosił:

WRESZCIE SIĘ, RĘKĘ KŁADĄC DO RĘKI, POBRALI
I Z WOLNA DRŻĄCE NOGI STAWIAJĄC, JAK MOGĄ,
PRZEZ EDEN W ŚWIAT NIEZNANY IDĄ PUSTĄ DROGĄ.

– W obu przypadkach stworzenia usiłowały dorównać stwórcy i same się przez to zniewoliły – tłumaczył North tonem zupełnie nauczycielskim i przeuroczym. – To właśnie Milton zawarł w określeniu „mimo niewolę grzechu przez siebie obraną”. Przynajmniej...

– Niewolę jakiego grzechu? – zapytałam, za bardzo zaciekawiona, żeby czuć się głupio.

– Na pewno własnej dumy – stwierdził. – Oraz zaślepienia. Uwierzywszy w kłamstwa węża, Adam i Ewa zmienili światopogląd. Od tamtej pory widzieli świat inaczej. Nie potrafili już dostrzec, jaki naprawdę jest. Tym oto sposobem zapoczątkowali nieustający ciąg fatalnych decyzji – dokończył z uśmiechem.

– A nie powinniśmy być w stanie tego przełamać? – spytałam. – Przecież Bóg dał człowiekowi rozum, tak?

– Adamowi i Ewie rozum niewiele przyniósł dobrego – zauważył North.

– Tyle tylko, że oni nie wiedzieli tego, co my wiemy – odparłam. – Od tamtej pory dokonaliśmy niesamowitego postępu. A skoro społeczeństwo wciąż się rozwija, i nauka też, zdołamy chyba w końcu znów zobaczyć świat takim, jaki naprawdę jest.

– Można tak na to spojrzeć – przyznał.

– A jak ty to widzisz?

North się zawahał.

– Spotkałaś się kiedyś z pojęciem *noumenu*? – zapytał. – To z greki. Od słowa *nous*, zasadniczo oznaczającego intuicję.

Nous. Właśnie to słowo wąż przywołał na arenie. Przeszedł mnie dziwny dreszcz, prawie jak przy *déjà vu*.

– *Nous* obilo mi się o uszy – zauważyłam. – A co to jest *noumen*?

– To rodzaj wiedzy uzyskiwanej bez udziału zmysłów – odpowiedział North. – Prawd istniejących poza światem dostrzegalnym. Nauka ob staje przy tym, że *noumen* to urojenie, bo poza dostrzegalnym światem nie ma niczego więcej. Mam wrażenie, że do tego samego doszli Adam i Ewa, gdy zjedli ów owoc. Założyli, że wiedzą już wszystko. Nie mieli pojęcia, jak mało pojmują.

Nie mieli pojęcia, jak mało pojmują. Ten sam błąd popełniłam podczas egzaminu z Praktyk. Założyłam, że wiem już wszystko. Natychmiast zapragnęłam opowiedzieć o tym Northowi.

– Wszyscy uczniowie Theden muszą zaliczyć coś, co nazywa się u nas Praktykami Platońskimi – zaczęłam. – Chodzi o usprawnienie naszej zdolności praktycznego myślenia poprzez symulację różnych doświadczeń. To chyba coś jak wirtualna rzeczywistość. Siedzimy wewnątrz niewielkich kapsuł, a ich scenariusze odtwarzane są w trójwymiarze na umieszczonych wokół nas ekranach.

– Mocne – stwierdził i przyśiadł na stołku koło mnie. – I co to za scenariusze?

– Zwykle mamy do dyspozycji grupkę aktorów, których postępowaniem możemy manipulować, i te nasze wybory podlegają później ocenie. W piątek, na teście śródsesemestralnym, musieliśmy wybrać, kogo ewakuować z zatłoczonego doku mającego wybuchnąć.

– A jaki to ma cel? – spytał North.

– Wpływ pozytywny netto – odpowiedziałam. – Na społeczeństwo jako całość. Ten, kto uzyska najlepszy wynik w odniesieniu do reszty klasy, wyznacza krzywą.

North pokiwiał głową, jakby dostrzegł w tym najgłębszy sens.

– Bawicie się więc w Luxa.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Co takiego?

– To jest właśnie to, co opisałaś. Dokładnie tak działa Lux – wyjaśnił North. – Manipuluje poszczególne miłośniczkami, żeby użyć wpływu netto na całą zbiorowość.

– Skąd wiesz tyle o Luksie? Z hakowania?

– Owszem, wiele o Luksie dowiedziałem się dzięki hakowaniu, to jednak co właśnie

powiedziałem, zawdzięczam przeczytaniu umowy. Z którą ty, sądząc po wyrazie twojej twarzy, wciąż jeszcze się nie zapoznałaś.

– Naprawdę jest w niej to wszystko?

– Spisane tajemniczą, ciężką do rozszyfrowania terminologią prawniczą.

– Jak on więc działa, tak dokładnie?

– Cóż, Gnosis, oczywiście, nie upublicznia jego algorytmu i nie mogę się do niego dostać, bo tkwi gdzieś na ich serwerze. Przyuszczalnie jednak opracowali oni własną wersję funkcji wpływu pozytywnego netto. Dane o użytkowniku magazynują w tak zwanych macierzach SWOT¹. To takie tabele o czterech polach, w których skatalogowano wszystkie jego mocne i słabe strony, szan...

– Szanse i zagrożenia – dokończyłam. Brwi Northa podjechały w górę ze zdziwienia.

– Tak się nam przedstawia to na ćwiczeniach – wytłumaczyłam. – Myślałam, że SWOT to jakiś wynalazek naszej profesorki.

– Nie, to pojęcie już od dłuższego czasu znane w biznesie – stwierdził North. – Jednak w Gnosis wynieśli je na całkiem nowy poziom. Używają go do promowania równowagi. Rozumiesz, to ich określenie na bezproblemowe życie. Powinnaś przyjrzeć się choć kilku profilom użytkowników. Poziom uszczegółowienia jest tam obłędny. I chyba musi być, żeby Lux działał tak, jak działa. Wszelkie rekomendacje podsuwane przez Luxa pochodzą z tych kratak

– Muszę zobaczyć moje.

North już zaczął kręcić głową.

– Pokaż mi, proszę. Nikomu nie powiem.

Ni stąd, ni zowąd przyszła mi na myśl chwila, gdy wybierałam temat pracy z poznawczej. Czemu Lux upchnął AZP na szarym końcu listy rekomendacji? Dokumentacja medyczna mamy zawierała tę diagnozę, Lux więc wiedział, że dziedziczą skłonność do tego zaburzenia. Czy nie powinno się znaleźć na szczycie?

North jeszcze przez chwilę się wahał, potem westchnął.

– Okej – powiedział wreszcie. Zwinął celofan po swojej kanapce w kulę i wrzucił do spalacza śmieci pod zlewem. – Ale tylko dlatego, że powiedziałaś proszę.

Spodziewałam się, że podniesie z kuchennego stołu tablet, on jednak obszedł wyspę i zbliżył się do szafy przy łóżku.

– Idziesz? – zawołał, po czym zniknął w jej wnętrzu. Zeskoczyłam ze stołka i pospieszyłam za nim. North stał przed zasłaniającym całą ściankę plakatem Five O’Clock Flood, najprawdopodobniej najgorszej kapeli w dziejach świata.

– No, masz plakat Five O’Clock Flood – zauważyłam. – W swojej szafie. Nie jestem pewna, dokąd to może prowadzić.

– Och, Norvin jest wielkim fanem F.O.F. – oświadczył North ze śmiertelną powagą. Przykucnął, żeby wyciągnąć pinezki z dolnych rogów plakatu, ten zaś natychmiast się podwinął jak okienna roleta. Zamiast plakatu widziałam teraz wąskie drzwi z zamkiem dotykowym.

– Witaj w moim biurze – powiedział, podnosząc się. Schował pinezki i przyłożył kciuk do zamka. Krótki sygnał obwieścił dezaktywację.

– Supernowoczesność.

– Nie do końca – powiedział North, otwierając drzwi. – Szafa była ogromna, przedzieliłem ją więc tanią ścianką z włókna szklanego. Gdyby ktoś się uparł, wybiłby ją pięścią. Hej, zajmij się drzwiami szafy, dobrze? Zamknij je.

Zamknęłam te drzwi i przekręciłam klamkę, a potem weszłam za Northem do jego kryjówki. Była mała, mieściła niewiele więcej niż biurko, ergonomiczne krzesło i dwa ekrany ściennie. W przeciwległym rogu zobaczyłam też kolumnę starych laptopów, każdy na osobnej wąskiej półeczce. North podsunął mi krzesło, potem sięgnął do leżącej na biurku klawiatury.

– Używasz klawiatury – zauważyłam ze zdziwieniem.

– Owszem. Gdy trzeba pisać szybko, touchpady są beznadziejne.

Wcisnęłam klawisz „enter” i włączyły się ekrany ściennie. Sięgnął po czarną mysz obok klawiatury. Wielka i pękata, na pewno nie była czymś, czego spodziewałabym się u hakera. North zobaczył mój wzrok i się uśmiechnął.

– Cóż mogę powiedzieć? Jestem staroświecki.

Przysunęłam krzesło bliżej ekranu, przejęta, że zobaczę hakera w akcji. North jednak tylko kliknął jakiś folder na pulpicie i wybrał pierwszy plik na liście.

– Przygotowana?

– Czekaj, masz mój profil na pulpicie? W takim razie ty już...

North chyba się spieszył.

– Ściągnąłem go tego dnia, gdy cię poznałem.

– Często tak śledzisz?

– Wiem, to może wyglądać na psycholstwo...

– Wyglądać?

– Nie dałaś mi wyboru! – zaprotestował. – Nie sposób było cię rozgryźć. A świetnie znam się na rozgryzaniu.

– Aleś skromny prześladowca – skontrolowałam. Z uśmiechem. – Sama radość.

Mój uśmiech przygasł, gdy North otworzył dokument. Zgodnie z zapowiedzią składał się z czterech ćwiartek wypełnionych listami wpisów tak małych, że do ich odczytania potrzebna byłaby lupa.

– Na ile się zorientowałem, wpisy w każdej z kategorii są uszeregowane tak, że im wyżej coś

jest, tym mocniej wpływa na algorytm. Choć na pewno nie brakuje niuansów, z grubsza wygląda na to, że aplikację zaprojektowano tak, aby – uwzględniając ich mocne i słabe strony – odciągała ludzi od zagrożeń, a sterowała w kierunku szans. Gdyby więc, przykładowo, jakaś szansa miała się wiązać z ujawnieniem wysoko notowanej słabości, przeszłaby prawdopodobnie z listy szans na listę zagrożeń. Mówię z sensem?

– Nie wiem – przyznałam. – Właściwie to nie mogę się skupić na tym, co mówisz, bo próbuję odczytać listę zagrożeń. Możemy ją powiększyć?

North kliknął ćwiartkę T, otwierając nowy dokument. Wyglądał jak arkusz kalkulacyjny. Na górze widniał mój numer ubezpieczenia społecznego i data urodzenia. Niżej ciągnęła się lista. Utkwiłam wzrok w pierwszym wpisie: *Poznanie grupy krwi*.

– Nie rozumiem – powiedziałam powoli, wpatrzona w ekran. – Wiem, jaką mam grupę krwi. A plus.

Wskazał następny wpis na liście zagrożeń.

– Wiesz, co to jest?

Chodziło mu o ciąg dziewięciu cyfr w układzie 3/2/4, wyraźnie numer czy jego ubezpieczenia: 033-75-9595.

Potrząsnęłam głową przecząco.

– Nie rozumiem – powiedziałam znowu. – To jakaś osoba, którą rozpoznano jako „zagrożenie” dla mnie?

– Nie jedna osoba – sprostował North. – Pół tuzina.

Zwrócił moją uwagę na pięć kolejnych pozycji na liście. Same numery ubezpieczeń. Kanapka, którą zjadłam, zrobiła się ciężka jak ołów.

– Co to za ludzie? – spytałam. – Można się jakoś dowiedzieć?

– Bez ksywek z Forum nie. Gnosis tak koduje dane, że nie da się szukać po profilach użytkowników. To diabelne dziwactwo, którego jeszcze nie zdołałem złamać. Mogę przeglądać przypadkowe profile, nie dobiore się jednak do któregoś konkretnego, nie znając ksywki użytkownika.

– Okej. To przenieś je na listę szans.

North zaczął już kręcić głową.

– Rory...

Weszłam mu w słowo.

– Nie dokończyłam ci pewnej opowieści. O teście śródsesemestralnym.

– Chodzi o dok

– Celem było ewakuowanie możliwie jak największej liczby ludzi „o wysokiej wartości”, zanim wybuchną wielkie skrzynie z fajerwerkami. Kiedy zegar ruszył, zamarłam. Tam były

małe dzieci, miejscowe, i choć wiedziałam, że wy ceniono je bardzo nisko, nie mogłam pogodzić się ze skazaniem ich na śmierć. I wtedy nagle usłyszałam głos. Mówiący, żebym zaczęła. Żebym nikogo nie ewakuowała. Takgo przynajmniej wtedy odczytałam.

– Ten głos...?

– To było Zwątpienie – stwierdziłam kategorycznie. Nie chciałam owijać w bawełnę. – To było Zwątpienie i ja je zignorowałam, gdyż miałam do wykonania coś racjonalnego. Potem jednak odkryłam, że ta symulacja oparta była na czymś, co w zeszłym tygodniu wydarzyło się na Fidzi. Tyle tylko, że w rzeczy wistości doknie wybuchł, bo był nadmiernie obciążony. Zwalił się do wody tuż przed eksplozją fajerwerków. Gdybym więc zaczęła, nikt by nie zginął.

North na przetrwanie tego potrzebował dłuższej chwili.

– Nie rozumiem, co to ma wspólnego z twoim profilem w Luksie – wyznał wreszcie.

– Nie po raz pierwszy słyszałam ten głos – powiedziałam. – Zaczęło się, kiedy leciałam tutaj, w samolocie. Obawiałam się Theden, a głos zapewnił mnie, że nie zawiodę. Następnego dnia usłyszałam go ponownie. Dwukrotnie. Pierwszy raz na ćwiczeniach, drugi, gdy wybierałam temat pracy z psychologii poznawczej. Zwątpienie powiedziało, żebym wybrała Akratyczne Zaburzenie Parakluzyczne. AZP. Tym terminem medycznym określa się ludzi słyszących Zwątpienie. To długa historia, ale gdybym tamtego dnia nie posłuchała Zwątpienia, a zamiast tego zawierzyła Luxowi, nie dowiedziałabym się, że to zaburzenie miała moja mama.

– Miała – powtórzył North. Zobaczyłam coś w jego oczach. Może nie nadzieję, ale coś podobnego. To samo *Twoja też*, które mnie do niego zbliżyło, gdy powiedział, że jego mama nie żyje.

– Umarła przy moich narodzinach – powiedziałam. Czując, że głos mi się łamie, parlałam dalej. Dopóki mówiłam, nie groziło mi, że się rozplaczę. – Miała dziewiętnaście lat. Tu właśnie chodziła, gdy zdiagnozowano u niej AZP. Do Theden. Z tego powodu ją wywalono. I Lux chyba musiał o tym wiedzieć, prawda? Miał to w jej dokumentacji medycznej. Czemu więc próbował odwieść mnie od pisania pracy o AZP? Co jeszcze Lux postanowił przede mną ukrywać?

– Lux nie może niczego postanowić, Rory – zaprotestował North. – Lux to aplikacja działająca według algorytmu napisanego przez programistów, po tym jak biznesmeni podszywający się pod specjalistów od nauk społecznych zdecydowali, że „zoptymalizują” społeczeństwo, sprawiając, by żyło mu się bardziej bezproblemowo.

– Niech będzie, tylko ten algorytm ustalił, że istnieje sześcioro ludzi zdolnych w jakiś sposób zmienić moje życie w chaos. To niesamowite, North. Naprawdę przeraźliwie niesamowite. Kim są ci ludzie i co ma do tego czegoś moja grupa krwi? Na moim miejscu nie chciałbyś się dowiedzieć?

– Jasne, ale...

Złapałam go za ramię.

– Zrób to więc. Przesuń je na listę szans. Lux jest tak zaprogramowany, żeby kierować człowieka w stronę jego szans, prawda? Jeśli więc ci ludzie są na szczycie listy, to...

Przykrył moją dłoń swoją.

– Nie mogę, Rory. – Westchnął. – Nie to, że nie chcę. Naprawdę nie mogę. To, o czym mówisz, wymagałoby dostępu do części serwerowej Luxa, dostania się za firewall Gnosis. To niemożliwe, nawet dla mnie. Uwierz mi, próbowałem.

Pałace łzy napłynęły mi do oczu. Odwróciłam się od niego.

– Czyli właściwie jestem bezsilna.

– Daleko ci do bezsilności, Rory. – Poczulałam na mojej talii jego dłonie. – Masz przewodnika o wiele lepszego niż Lux.

Odwróciłam się do niego gwałtownie.

– Mówisz, że mam zaufać Zwątpieniu? – W moim głosie było niedowierzenie. Oskarżenie.

– To właśnie mówię – powiedział cicho.

– Ty... Ty też je słyszysz?

Przytaknął, przyglądając mi się badawczo.

– Nie codziennie. Od czasu do czasu. Polecilo mi z tobą porozmawiać.

– Byłeś z tym u lekarza?

North się skrzywił.

– Żeby mogli otepić mnie lekami przeciwpsychotycznymi? Nie, dziękuję. Mojemu mózgowi jest z tym dobrze. – To samo zawsze słyszałam od Becka.

– A co, jeśli jesteśmy... chorzy? – Łatwiej było powiedzieć *chorzy* niż *obląkani*.

– Czujesz się chora? – spytał North.

– No nie. Ale czytałam podsumowania badań i...

– O czyich badaniach tutaj mówimy? – zapytał drwiąco. – Naukowców przez duże N? Tych samych geniuszy, którzy kiedyś zapewniali, że Ziemia to środek wszechświata?

– Okej, to o co w takim razie chodzi? Jeśli ten głos nie jest urojeniem, to skąd się bierze?

– Nie wiem – przyznał. – Od jakiejś siły wyższej? Kiedyś uważano go za głos Boży.

– To przecież obłąd – zaprotestowałam, zaraz się jednak skrzywiłam, widząc wyraz twarzy Northa. – Nie o taki obłąd chodzi. Czemu jednak Bóg miałby obdarzać nas umiejętnością rozumowania, a potem nakłaniać, byśmy z niej nie korzystali?

– Racjonalne myślenie przekonało Ewę, że zjedzenie zakazanego owocu to dobry pomysł – rzucił zaczepnie North.

– A jeżeli Zwątpienie to ten drugi głos? – skontrolowałam. – Należący do węża?

North popatrzył na mnie.

– Naprawdę w to wierzysz?

Uporządkowałam sobie wszystko, co wiedziałam o tym głosie w mojej głowie. Kiedy się odzywał i co mówił. Pomyślałam o dzieciaczkach na doku, o tych maluchach, które głos próbował pomóc mi uratować.

– Nie, raczej nie. Nadal jednak nie jestem w pełni przekonana, że mogę mu ufać. Przynajmniej nie zawsze.

North obrócił rękę i wskazał jeden ze swoich tatuaży. Napisane tam było zwykłymi wielkimi literami: *Jest mężem chwiejnym, niestałym we wszystkich swych drogach*. Dotknęłam tych słów opuszkami palców. Mówiły prawdę. Chwiejna, taka właśnie się czułam. Nie psychicznie, ale gdzieś w środku, u podstaw siebie.

– To z Pisma Świętego – powiedział North. – Z Listu świętego Jakuba [2](#).

Medycyna miała określenie na taką chwiejność. *Dipsycho*s. Wpisywało się w patologiczne stany związane z paralizującą akratyczną. „Człowiek o dwóch duszach”, taki źródłosłów podawał mój podręcznik Toczący się w mózgu bój Rozumu ze Zwątpieniem.

– Chodzi o to, że nie sposób uniknąć spierających się głosów – usłyszałam Northa. – Czy to w głowie, czy w otaczającym cię świecie. Nie można stracić życia na rozdarcie między nimi.

Podniosłam na niego wzrok

– Mówisz, że mam wybrać.

– Do niczego cię nie powinienem namawiać – stwierdził North, sięgając tuż przy mnie, żeby wyłączyć komputer. – Ale jeśli sama nie zdecydujesz, świat wybierze za ciebie.

1. Analiza SWOT, istotny element planowania strategicznego, polega na posegregowaniu ważnych dla sprawy informacji podzielonych na cztery grupy (od których wzięła swoją nazwę): S (*Strengths*) – mocne strony; W (*Weaknesses*) – słabe strony; O (*Opportunities*) – szanse; T (*Threats*) – zagrożenia. [\[wróć\]](#)
2. Jk 1, 8. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań – Warszawa 1971, Wydawnictwo Pallotinum. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 17

Wracając na kampus, zadzwoniłam do taty, ale byli właśnie razem z Kari w pubie Mulleady's na nocy quizów i z powodu gwaru w tle prawie go nie słyszałam, rozmowa nie trwała więc długo. Nie byłam zresztą pewna, jak powinnam ją poprowadzić. Chciałam zapytać o moją grupę krwi, przekonać się, czy podsunie jakiś trop mogący wyjaśnić, dlaczego zwieńczyła ona opracowaną dla mnie przez Luxa listę zagrożeń, lecz przecież nie mogłam wyjawić mu, czemu pytam ani co pokazał mi North, ani czemu jestem przez to taka roztrzęsiona.

Potem spróbowałam dodzwonić się do Becka, ale nie odbierał.

Kiedy wróciłam do pokoju, Hershey nie było. Minęła już dziesiąta, zagrzebałam się więc w łóżku i spróbowałam się odprężyć. W głowie mi wirowało i świszczało, a całe ciało bolało z napięcia, którego nie potrafiłam się pozbyć. Raz po raz słyszałam głos Northa: *Jeśli sama nie zdecydujesz, świat wybierze za ciebie*. Przypominało mi to coś, co tamtej nocy na arenie powiedziało mi Zwątpienie. *Wybierasz dzisiaj, komu będziesz służyć*. Jednak nie potrafiłam. Wciąż się zastanawiałam i wahałam pomiędzy zaufaniem temu głosowi a pragnieniem, żeby dał mi spokój.

– Nie chcę być chwiejna – powiedziałam w stronę sufitu.

Potem odczekałam swoje, licząc może na odpowiedź. Żadna nie nadeszła, przetoczyłam się więc na brzuch, zażenowana, że się jej spodziewałam, i wsunęłam rękę pod poduszkę. Robiąc to, wy czułam pod palcami papier. Arkusik papieru komputerowego, kilkakrotnie złożony. Jak jakiś list.

Rozłożyłam ten papier, przyświecając sobie ekranem. Najpierw zobaczyłam tytuł: *Raport postępów ucznia*, niżej kolumny ocen, wreszcie nazwisko. Aviana Grace Jacobs. To był odpis arkusza ocen mojej mamy z Theden, oznaczony u góry adnotacją TEST ŚRÓDSEMESTRALNY, WIOSNA 2013. Jak u licha, dostał się pod moją poduszkę?

Studiowałam go teraz uważniej, ocena po ocenie. A, A, A, A, A. Same A. Jak to było możliwe? Dwa tygodnie przed widniejącą na tym odpisie datą psychiatra uznał jej osiągnięcia akademickie za „fatalne”. Tym ocenom jednak do fatalnych było ogromnie daleko, zasługiwały wręcz na miano doskonałych. To nie miało sensu. Co próbował osiągnąć ten, kto mi to podłożył? Zaniepokojona do reszty, z powrotem złożyłam arkusik i wsunęłam pod poduszkę.

– Pogubiłam się – szepnęłam w ciemność, zaciskając dłoń na wisioruku. – Czego jeszcze nie widzę?

Czas płynął. Może nawet godzinami. Byłam zbyt zmęczona, by to sprawdzić. Obolałe, znużone ciało toczyło bój z umysłem, walczyło o sen. W głowie jednak bez ustanku mi wirowało, nie

mogłam zasnąć. W którymś momencie naciągnęłam na ramiona koc od mamy i spróbowałam sobie wyobrazić, że biegnę po spiralnej żółtej drodze wyznaczonej haftem krzyżykowym, galopuję ku jej środkowi, a w głowie tętnią mi kolejne liczby ciągu Fibonacciego. 0, 1, 1, 2, 3, 5, 8, 13, 21, 34, 55, 89, 144, 233, 377, 610, 987, 1597. Pod powiekami kwadraty na kocu zmieniły się w kamienne mury, spirala zaś w oświetloną drogę pośród mroku. W szlak, którym zmierzałam do środka, jakby wiedząc, że znajdę tam coś ważnego.

Wziąwszy ostatni zakręt, zobaczyłam matkę. Miała na sobie ten sam zielony sweter co na fotografii starszego rocznika, a kasztanowe włosy spadały jej swobodnie na ramiona, tak jak często bywało u mnie. Na mój widok się uśmiechnęła, szeroko rozkładając ręce.

– Mamo – zawołałam, pędząc ku niej. Otoczyłam rękami jej kark, wtuliłam twarz w szyję.

– Nie daj się zwieść – szepnęła mi we włosy. – Gdzie jest kłamstwo, tam jest prawda.

– Co za kłamstwo?

Kiedy nie odpowiedziała, odchyliłam głowę, by spojrzeć jej w twarz, oczy jednak miała nieruchome i puste. Trupie.

Odkroczyłam z jękiem, widząc ze zgrozą, że z ust, oczu i uszu mojej matki wysuwają się okryte liśćmi gałązki, jakby rozrastało się w niej drzewo, całkiem ją zawłaszczając. Rzuciłam się do ucieczki, nagle jednak wszędzie wokół pojawiły się mury, zamykając mnie wraz z napierającym na mnie pniem, coraz bardziej wypełniającym i tak ciasną przestrzeń, miażdżącym mnie na kamiennym murze.

Wyrwałam się z tego snu złodowaciała, z twarzą zlaną potem.

Była 3:33. Łóżko Hershey wciąż stało puste.

Choć oddech jeszcze mi się rwał po tym śnie, poszłam do łazienki ochlapać twarz ciepłą wodą. Nie pomogło. Stałam bez ruchu, choć rozdygotana w środku, i mrużąc oczy wpatrywałam się w blade odbicie w lustrze, o ciemnych włosach klejących się do czoła. Wyglądałam tragicznie. Może Tarsus miała rację; może dopadał mnie stres. Może znajdowałam się już na skraju załamania nerwowego. Sen o tym, jak matka ulega rozkładowi, trudno byłoby uznać za oznakę zdrowia.

Zakręciłam kran, potem zgasilałam światło. Jak tylko w pokoju zrobiło się ciemno, zaświecił mój tablet.

Nie daj się zwieść, szepnął głos.

Czując, że skóra mi cierpnie, podeszłam do stoliczka nocnego. Na ekranie otwarte było okno logowania do zasobów Departamentu Zdrowia Publicznego. Tyle tylko, że z tej aplikacji DZP nie korzystałam, odkąd oddałam pracę zaliczeniową. Od dwóch tygodni.

Choć włosy stawały mi dęba, kliknęłam nazwę użytkownika, błagając w duchu, by moje uprawnienia do dostępu pozostawały jeszcze w mocy. Na widok strony startowej odczułam

w sercu ulgę.

Wpisałam do wyszukiwarki numer ubezpieczenia mamy i odczekałam swoje.

Brak elementów pasujących do wyszukiwania.

Sprawdziłam numer, który wpisałam. Nie było pomyłek. Spróbowałam ponownie.

Brak elementów pasujących do wyszukiwania.

Znów się pociliam. Wyglądało na to, że cały ten plik zniknął.

Lub został wykasowany.

– Tak się zaczęła paranoja – szepnęłam.

Przez ten mój sen nie tylko byłam rozrzucona, ale i stałam się nadmiernie podejrzliwa, choć właściwie nie było powodów. Dokumentacja mamy należała do najstarszych, na jakie natrafiłam. Prawdopodobnie przeniesiono ją gdzieś, żeby zwolnić odrobinę pamięci. A ja, jak idiotka, nie pomyślałam nawet, żeby ją sobie skopiować. Ale przecież zrobiłam zdjęcie. Zrzut ostatniej strony, wpis z dnia śmierci mamy. Wprawdzie to nie cała dokumentacja, zawsze jednak coś. Czym prędzej dałam to zdjęcie na ekran.

Tym razem powoli, wręcz metodycznie, wczytywałam się w kolejne zdania, zdecydowana zrozumieć sens każdego słowa: *Ultrasonografia wykazała zespół przejrzałości płodu oraz ostre małowodzie*. Wycięłam to zdanie i w całości wkleiłam do GoSearch. Na pierwszym miejscu pojawił się link do artykułu w „American Journal of Obstetrics”, zatytułowanego *Opieka nad ciężką przenoszoną*.

Przejrzałam jego abstrakt. *Pojęcie zespół przejrzałości płodu odnosi się do płodu, któremu po wyliczonym terminie porodu uniemożliwiono dalszy rozwój w macicy*.

To nie miało sensu. Rodzice pobrali się 11 czerwca. Ja urodziłam się dokładnie trzydzieści sześć tygodni później, na miesiąc przed wyliczonym terminem. Czując w głębi gardła słono-kwaśny niesmak, wróciłam do zrzutu z ekranu i przeskanowałam go w poszukiwaniu potwierdzenia przewidywanej daty porodu mamy lub liczby tygodni, jaką miała za sobą. Niczego takiego nie było.

Potem wzrok mój padł na miniaturkę zdjęcia USG wykonanego po przyjęciu mamy do szpitala. Powiększyłam je, rozsuwając palce. Ledwie to zrobiłam, dech mi odebrało.

GA: 43t6d.

W dziewiątej klasie jako przedmiot do wyboru wzięłam anatomię, a w naszym podręczniku do niej cały rozdział poświęcono rozwojowi płodu, wraz z podobnymi do tego tutaj zdjęciami USG.

Poznałam wszystkie skróty. CRL oznaczało długość ciemieniowo-siedzeniową. ABO miało coś wspólnego z grupą krwi. GA natomiast określało wiek ciążowy. Jeżeli płód na tym zdjęciu, w momencie jego wykonania, miał czterdzieści trzy tygodnie i sześć dni, w żaden sposób nie mogłam zostać poczęta w noc poślubną moich rodziców. Mama już od siedmiu tygodni była w ciąży.

Nie daj się zwieść, powiedział wcześniej głos.

Niespodziewanie wrócił mi na myśl wpis znajdujący się najwyżej na liście zagrożeń według Luxa. *Poznanie grupy krwi.*

Wzrok skoczył na margines zdjęcia USG.

ABO matki: A+

ABO płodu: AB+

Grupę krwi się dziedziczyło. To kolejny fakt, który poznałam na anatomii. Znając grupy krwi dziecka i jednego z rodziców, można było określić grupę drugiego. Wiedziałam zaś, że mój tato miał tę samą grupę krwi co mama, A plus. Jako że był krwiodawcą, widniała na karcie, którą nosił w portfelu. W przypadku potomka osób z grupą A plus istniały tylko dwie możliwości: grupa A lub grupa 0. Według tego zdjęcia USG miałam całkiem inną.

Tato nie był moim tatą. Na pewno nie.

Wyłączyłam ekran, pragnąc przetrwać to w ciemności. W szklanej tafli wciąż odbijały się białka moich oczu, podkreślone srebrnym światłem lampy przenikającym przez szczelinę między żaluzją a parapetem. Nigdy przedtem nie przyszło mi do głowy, że może nie być moim tatą. Ani razu, przez całe szesnaście i pół roku, nawet po powtarzanych po raz milionowy kawale o mleczarzu. A jednak teraz, gdy tak siedziałam po ciemku, dopuściwszy do siebie tę myśl, miałam wrażenie, jakbym od zawsze o tym wiedziała. Wierzyć mi się nie chciało, że nic wcześniej nie zauważyłam. W ogóle nie byliśmy do siebie podobni. „Wrodziłam się w mamę” – powtarzałam, nie zastanawiając się nawet nad o wiele ciemniejszym odcieniem moich włosów, niebieskimi oczami czy też faktem, że mojego dołka w brodzie żadne z rodziców nie miało.

Palilo mnie w piersi, jakby ktoś ją przestrzelił z armaty. Biedny tato. Rozumiałam teraz, czemu mamie mogło zależeć na takim opóźnieniu porodu; tato musiał nabrać przeświadczenia, że dziecko zostało poczęte później. Inaczej nigdy by nie uwierzył, że jest jego.

Oparłam głowę o blat, czując jego chłód na skórze. Kto był moim prawdziwym ojcem? Czy wiedział o moim istnieniu, czy jego mama też okłamała?

Kiedy ekran się zaświecił po nadejściu nowej wiadomości, było po szóstej. Przesiedziałam więc po ciemku całe godziny, wystrzeliwując myśli jak maszyna treningowa piłki tenisowe. Dopóki myślałam, niczego nie odczuwałam, a tego odczuwać szczególnie nie chciałam.

Wiadomość przyszła z zastrzeżonego numeru, zaopatrzona w załącznik. Kolejne zadanie ze stowarzyszenia. Tym razem jednak nie była to zagadka tekstowa.



Masz za zadanie połączyć te dziewięć punktów. Musisz używać linii prostych, ciągłych.

Po rozpoczęciu nie wolno odrywać palca od ekranu. Nie może też poruszać się po liniach już nakreślonych.

Ilu najmniej linii potrzeba, żeby ukończyć to zadanie?

Na odpowiedź masz dwie minuty.

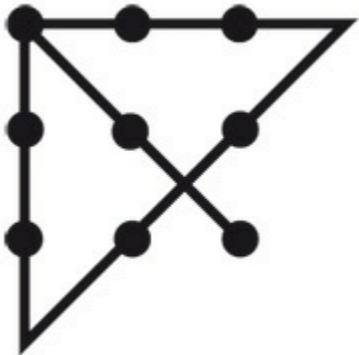
Sprawa wydawała się prosta. Pięć linii. Tyle było trzeba, żeby połączyć wszystkie punkty. To jednak wydawało się za łatwe. Dotąd zagadki stowarzyszenia bywały trudniejsze. Mimo to, kombinując na rozmaite sposoby, nie mogłam zejść poniżej pięciu.

Nie masz oczu, żeby widzieć?

Cała się spięłam, nie tyle jednak z niepokoju, że znów słyszę ten głos, co ze złości, że mówi coś tak bezużytecznego.

– Żeby co widzieć? – krzyknęłam w stronę ekranu, gdy licznik czasu przekroczył minutę.

I nagle, w mgnieniu oka, nie wiadomo skąd, przyszło mi do głowy rozwiązanie. Wszystkie moje linie znajdowały się w obszarze wyznaczonym przez punkty. Gdybym go poszerzyła, wystarczyłyby cztery.



Mając do końca jeszcze dwadzieścia sekund, uderzyłam w klawisz z czwórką i wcisnęłam wysyłanie, a potem z zapartym tchem czekałam na odpowiedź.

Dobra robota, Zeta.

Wciąż trzymając w ręku gemini, zamknęłam oczy i poddałam się otępiającej mgłę. Zasnęłam, już bez snów.

ROZDZIAŁ 18

Przespałam śniadanie i ledwo zdążyłam na Praktyki. Myślałam, że po kilku dodatkowych godzinach snu poczuję się lepiej, ale obudziłam się rozdygotana i obolała. Na szczęście Hershey albo nie wróciła, albo wyszła z pokoju, nie budząc mnie, przynajmniej więc nie musiałam się jeszcze i z nią borykać.

Na Praktykach pracowaliśmy w zespołach, co było niezłe, bo sama nie nadawałabym się do niczego. W głowie mi pulsowało, a oczodoły tak paliły, jakby emitowano przez nie żar. W mózgu natomiast zapętlili się wrzask *Mój tato nie jest moim tatą! Mój tato nie jest moim tatą!*

– Rory, możesz jeszcze chwilę zostać? – zwróciła się do mnie pod koniec zajęć doktor Tarsus. Zrobiła z tego pytanie, tak jakby m mogła odmówić.

– Oczywiście – potwierdziłam, zbliżając się do jej biurka, gdy inni wychodzili.

– Nienawidzę przynosić złych wieści – oznajmiła Tarsus, kiedy zostałyśmy same. – Ponieważ jednak jestem waszą opiekunką, uznałam, że powinnaś dowiedzieć się o tym ode mnie. – Oczami jak czarne koraliki przyszpiliła mój wzrok – Hershey Clements już się u nas nie uczy.

Znaczenie tych słów do mnie nie dotarło.

– Co takiego?

Tarsus uważnie mi się przyglądała.

– Wczesnym rankiem zabrano ją do ośrodka zdrowia na badanie psychiatryczne. Lekarze kilka godzin temu zarekomendowali skreślenie jej z listy uczniów.

Patrzyłam na nią osłupiała.

– Co jej jest?

Tarsus wyduła wargi.

– Szczegółami, oczywiście, nie mogę się z tobą podzielić, Rory. Wygląda jednak na to, że presja naszego rygorystycznego programu akademickiego sprawiła, że Hershey się cokolwiek... pogubiła.

Moją czujność wzbudziło właśnie to słowo. Gdyby użyła innego określenia, może nawet bym jej uwierzyła. Ale Hershey nie była w stanie się „pogubić”.

– Decyzja, że nie ma jej już z nami na kampusie, podjęta została w interesie nas wszystkich, także w twoim, możesz mi wierzyć. Przez wzgląd na prywatność Hershey, proszę cię, żebyś na tym poprzestała.

Uwierzyć jej? Nigdy w życiu.

– Gdzie teraz jest? – spytałam. – Chciałabym z nią porozmawiać.

– Usilnie radzę, żebyś całą energię skupiła na swoich perspektywach, sprawy Hershey pozostawiając jej samej.

Jak to możliwe, że ta kobieta wszystko potrafi zamienić w groźbę?

Byłam przekonana, że teraz się odwróci, jak zawsze, gdy powiedziała mi, co chciała, ona jednak wyciągnęła rękę do mojego wisiora, żeby go sobie obejrzeć. Zdusiłam w sobie przemożną chęć odsunięcia się poza jej zasięg, wiedząc, jakby to odebrała.

– Litera Pitagorasa – powiedziała, podnosząc wzrok ku moim oczom.

Uśmiechnęłam się nijako, by nie poczuła satysfakcji na widok tego, jak zareagowałam.

– Tak?

– Ipsylon – wyjaśniła, puszczając wreszcie wisiora – Pitagoras widział w nim symbol wyboru między ścieżką cnót a ścieżką przywar. Jedna wiedzie do szczęścia, druga do samozagłady. – Przekrzywiła głowę, leciutko unosząc kąciki ust. – Odpowiedni wybór dla kogoś takiego jak ty.

– Mam zajęcia – powiedziałam raptownie. – Zobaczymy się jutro.

Chociaż marzyło mi się, żeby wybiec z sali, zmusiłam się do spokojnego wyjścia aż na dziedziniec. Ledwie dotknęłam trawy, puściłam się pędem, gnając w stronę lasu.

Do Paradiso przybiegłam bez tchu, czując, że w głowie mi się kręci, a moje oczy przykleiły się do wnętrza czaszki.

– Wyglądasz okropnie – stwierdził North, jak tylko mnie zobaczył i wyszedł zza lady, żeby się przywitać.

– Wielkie dzięki.

Przyłożył mi dłoń do czoła.

– Masz gorączkę.

– Nie mam. – Odepchnęłam jego rękę i przyłożyłam w jej miejsce swoją. – Nawet nie czuję tego gorąca.

– To dlatego, że rękę masz równie ciepłą, jak czoło, geniuszko.

Trąciłam go pięścią w ramię i się roześmiałam.

– To co tu robisz? – spytał. – Nie masz zajęć?

– Hershey wylali ze szkoły.

Zamurowało go.

– Co?

– Skreślona z listy uczniów „ze względów psychicznych”. To oczywiście totalny kit. Tarsus pozbyła się jej, bo Hershey się postawiła.

– A kto to jest Tarsus?

– Profesorka, dla której Hershey łapowała. Przekonana, że nie nadaje się do Theden ze

względu na moją mamę. Hershey powiedziała mi, że powiadomi Tarsus, że nie będzie tego więcej robić. Myślę, że właśnie to ją załatwiło.

North nie wyglądał na przekonanego.

– Ta Tarsus naprawdę miałyby dość władzy, żeby Hershey, ot tak sobie, wywalić? Wydawaloby się, że potrzeba całego postępowania, podpisów lekarzy, takich tam spraw.

– Dlatego muszę zobaczyć arkusz oceny psychiatrycznej Hershey – wyjaśniłam. – Możesz mi go z... – Ugryzłam się w język, zanim powiedziałam „zhałkować” i zniżyłam głos: – Pomożesz mi go zdobyć?

– Postaram się – obiecał. – Była w ośrodku zdrowia na kampusie?

Przytaknęłam.

Obejrzał się za siebie.

– Chyba muszę wracać do pracy – powiedział tonem przeprosin. – Kate złapała grype, więc mamy braki personalne. O czwartej jednak kończę i wtedy zajmę się sprawą Hershey. Chcesz przyjść po ostatnich zajęciach, żebyśmy zrobili to razem?

– Byłoby wspaniale – odpowiedziałam, wyjmując handheld, żeby sprawdzić czas. – Powinam już iść. Pięć minut temu zaczęły się zajęcia z analizy.

– Zjrzyj przedtem do apteki i kupisz coś na tę swoją gorączkę? To zajmie dwie minuty. Sam dałbym ci coś, ale Kate wieczorem wyчыściła naszą apteczkę.

– Martwisz się o mnie – stwierdziłam i się uśmiechnęłam.

– Skąd. To czysty egoizm. Nie chcę się zarazić, gdy cię pocałuję.

Znów walnęłam go w ramię. Złapał moją pięść i podniósł do ust.

– Zobaczymy się później – powiedział, po czym tyłem przetruchtał w kierunku kasy, jakby nie chciał mnie spuścić z oczu. – Kup sobie jakieś leki – przykazał, wskazując mi drzwi.

– Tak jest. – Leciutko zasalutowałam.

Apteka była tuż za rogiem, zjrzałam więc do niej po buteleczkę tylenolu i powerade. Przy okienku ustawiła się już kolejka do szczepienia przeciw grypie. Kurde! Też się jeszcze nie zaszczepiłam. Tato przysłał mi tekst z przypomnieniem, ale wyleciało mi to z głowy, głównie dlatego, że nigdy przedtem nie musiałam sobie jej tym zaprzętać. U Roosevelta szkolna pielęgniarka wjeżdżała z całym wózkiem na samym początku sezonu grypowego. Widziałam nawet w „Theden Herald” jakąś wzmiankę o klinice przeciwgrypowej na kampusie, ale oczywiście nie raczyłam jej odwiedzić. I teraz za to płaciłam.

– Wygląda na to, że Lux się czasem przydaje – szepnęłam, stojąc w tej absurdalnej kolejce po to, żeby zapłacić. Gdybym, jak to normalnie robiłam, zsynchronizowała tę aplikację z moim kalendarzem, Lux sam by mi przypomniał, że nadeszła pora na szczepienie.

Łyknęłam cztery tylenole i walnęłam sobie powerade, a potem cisnęłam pustą butelkę do

pojemnika na trawniku. Wpadła do środka, nie zaczepiając o metalową obręcz. W duchu usłyszałam Becka wykonującego wrzask typu „tłum szaleje” i uśmiechnęłam się.

W Seattle dochodziła siódma, Beck zawsze kończył szkołę o 6:45. Skręciłam w uliczkę wiodącą do lasu i wystukałam jego numer, godząc się z faktem, że na analizę nie dotrę. Jedno odpuszczenie sobie zajęć nie mogło mnie zabić. Zresztą, przecież się rozchorowałam.

Beck odebrał po trzecim dzwonku.

– Odkryłem najdoskonalsze śniadanie, jakie można wynaleźć.

– Tobie też siemka – powiedziałam, czując, że jak ty tylko usłyszałam jego głos, pokłady mego niepokój u zaczęły napływać.

– Frittata z białek. Smakuje jak omlet, ale – głos stał się nieco przytłumiony, gdy Beck wziął gryza – można ją jeść rękami. W drodze do szkoły.

– Rewelacja – przyznałam. – Hej, czemu nie oddzwaniałeś?

– Byłaś zajęta – odparł Beck pomiędzy kolejnymi kęsami.

– Skąd wiesz? Nie dzwoniłeś.

– Gdybym to zrobił, usłyszałbym pocztę głosową, a to byłoby niesatysfakcjonujące. – Przez osiem lat naszej przyjaźni nie słyszałam, żeby Beck użył słowa *niesatysfakcjonujące*.

– Słucham?

– Poleciłem Luxowi zadbać o oddzwonienie. Skoro do tej pory nie oddzwoniliśmy, zakładam, że czas był na to nie najlepszy.

Pomyślałabym, że żartuje, ale zabrakło puenty.

– Ty używasz Luxa?

– Rozumiem. Twój świat zachwiał się w posadach. Umowa dla beta testerów wymaga jednak, żebyśmy stosowali wszystkie zainstalowane apki. W goldzie Lux jest jeszcze bardziej zintegrowany z systemem operacyjnym, trudno więc nawet tego uniknąć. Nie żebym tego chciał. Jak mogłem się bez niego obejść? Trochę nawet jestem wściekły na ciebie, że wcześniej mnie nie namówiłaś na korzystanie z niego.

To już musiał być żart. Posunęłam się nawet do obietnicy Beckowi, że jeśli będzie korzystał z Luxa choć przez tydzień, wysprzątam mu szafkę, a i tak mnie splawił.

– Czekaj, używasz go i polubiłeś?

– Czego tu nie lubić? Moje życie stało się dobrze naoliwioną maszynką. Od miesiąca nie spóźniłem się do szkoły. Na wszystkich zajęciach jestem dzień do przodu i nie jem już tego gówna po obiedzie. – Beck codziennie pozwalał sobie na kanapkę z szynką i serem przy stoisku z kawą, chociaż zdecydowanie nie tolerował laktozy. – To niesamowite. Działam na sto osiemdziesiąt pięć procent. I nawet już nie muszę myśleć.

I nawet już nie muszę myśleć. Nigdy mnie dotąd nie niepokoiło, jak mało do myślenia mają

użytkownicy Luxa. Jak mało chce im się myśleć. W końcu to dlatego korzystaliśmy z tej aplikacji. Odwaliała za nas całą robotę. Ale właściwie kiedy podejmowanie decyzji stało się harową? Zadygotałam i skuliłam się, przyciskając gołe ręce do boków.

– Ej, Beck – weszłam mu w słowo. – Muszę... Muszę ci coś powiedzieć. Chodzi o mojego tatę.
– Nerwowo zaczerpnęłam tchu.

– Koniecznie chcę to usłyszeć, Ror, ale za dwie minuty mam trygo i Lux brzęczy, żebym się pospieszył. Pogadamy później?

– Jasne – zapewniłam go, starając się ukryć rozczarowanie. Kliknęło i się rozłączyłam.

Potem zadzwoniłam do Hershey. Połączenie od razu przeszło na skrzynkę głosową, zalogowałam się więc na Forum, żeby sprawdzić, gdzie jest. *W pierwszej klasie nawet łazienki mają lepsze*, głosiła najnowsza aktualizacja statusu Hershey, przesłana dziesięć minut temu z Nebraski. Puściłam jej wiadomość. *Zadzwoń, jak wylądujesz.*

Gdy szłam po schodach do naszego pokoju, w akademiku panowała cisza. Do naszego pokoju? Już nie był „nasz”, mimo że wszystko tu wyglądało tak samo jak przedtem, wszędzie nawet były rzeczy Hershey. I od razu ponura rzeczywistość minionych dwudziestu czterech godzin zwała się na mnie jak ogromny głaz. Tato – mężczyzna, który nauczył mnie jeździć na rowerze i na moje dziewiąte urodziny włożył diadem, bo powiedziałam mu, że wstęp mają jedynie księżniczki – właściwie nie był moim tatą. Moja mama wyleciała ze szkoły, bo zaszła w ciążę. I okazała się kłamczuchą. Opiekunka mojego roku uparła się mnie załatwić. Współlokatorka mnie zdradziła, co samo w sobie było okropne, a potem za próbę naprawienia tego została wyrzucona ze szkoły, a to było po dziesięciokroć okropniejsze. I jakby tego było mało, nabawiłam się paskudnej grypy.

Łzy, które powstrzymywałam, wylały się potężnym, bolesnym szlochem. Wcisnęłam twarz w poduszkę, pozwalając sobie na krzyk. Gdy zdarłam gardło do żywego, siadłam prosto, otarłam oczy rękawem swetra i postanowiłam, że koniec z płaczem. Chciałam prawdy i prawdę poznałam. Przynajmniej częściowo. A jeśli miałam poznać resztę, nie mogłam już się cofnąć.

– Już słucham – powiedziałam głosowi. Odpowiedziała mi tylko cisza. Przybrałam więc pozycję embrionalną i zaraz zasnąłam.

Gapiłam się na niego w osłupieniu.

– Jakto w ogóle nie trafiła do ośrodka zdrowia?

Po dwugodzinnej drzemce i jeszcze dwóch tylenolach siedziałam zawinięta w koc na kozetce Northa, podczas gdy obok mnie działał na laptopie. Udało mu się włamać do bazy danych pacjentów ośrodka, a jako że w teczce Hershey nie znalazł wyników badania psychiatrycznego, zajął się tropieniem GPS-a jej gmini.

– Całą noc była w waszym akademiku – odpowiedział North, wskazując na log GPS-a na

swoim ekranie. – Wyszła wcześniej rano i poszła do budynku przy High Street, a stamtąd prosto na lotnisko, niespełna trzydzieści minut później.

– Ale w nocy nie było jej w naszym pokoju – poinformowałam. – Chyba że jakoś weszła, kiedy spałam. – Zastanowiłam się nad tym i potrząsnęłam głową. – Jej łóżko rano było pościelone.

– To może zostawiła tam telefon i wpadła po niego, zanim się obudziła? – zasugerował North.

Tego nie można było wykluczyć. Ilekroć Hershey wymyślała się na spotkanie ze swym tajemniczym facetem, zawsze zostawiała telefon.

– Okej, to dokąd poszła potem?

North sięgnął po leżący na stoliku tablet.

– To nawet nie wymaga hakarki. Wszystko jest w domenie publicznej.

Odpalił wyszukiwarkę nieruchomości i wpisał adres z ekranu komputerowego.

– Oho! – zawołał, gdy pojawiły się wyniki wyszukiwania. Podał mi tablet.

Moje oczy od razu znalazły słowo *właściciel*, a potem zrobiły się wielkie, gdy zobaczyłam nazwisko. Tarsus.

– Poszła się jej postawić – powiedziałam. – Tak jak myślałam. Ale w jej teczce nie ma odnotowanej rejestracji w ośrodku zdrowia ani wyników badań?

– Nie ma. Spod tego adresu poszła prosto na lotnisko Logana.

– Tarsus więc ślamała.

– Po tym, co opowiedziałas mi o tej kobiecie, jesteś zdziwiona?

Miał rację.

– Jak więc Tarsus zmusiła ją do wyjazdu?

To nie miało sensu. Hershey nie rzuciłaby Theden dobrowolnie, nie po tym, jak przetrwała testy śródsemestralne i postanowiła się skupić na nauce. Przypomniałam sobie jej zalaną łzami twarz tamtej nocy, przed drugim dniem egzaminów. Nie, ona by nie odeszła bez walki. Co takiego Tarsus na nią miała?

– Uch – warknęłam, niemal trzęsąc się z bezsilności. – Ile razy mi się zdaje, że już dochodzę do prawdy, przekonuję się, że mam tyle, co nic. – Odrzuciłam koc i wstałam. Natychmiast zakręciło mi się w głowie i musiałam się przytrzymać poręczы kosełki. – Czemu ta kobieta tak mnie nienawidzi?

– Myślisz, że to wszystko się ze sobą wiąże? – spytał North. – Twoja mama, ta cała Tarsus, dane z twojego profilu w Luksie?

Jeszcze mu nie opowiedziałam, jak doszłam do tego, że mój tato nie jest moim tatą. Ta rana była jednak zbyt świeża, żeby utrwalac ją przy pomocy słów.

– Nie wiem – przyznałam. – Chciałabym, żeby dało się jakoś dowiedzieć, do kogo należą te

numery ubezpieczenia.

– Spróbuję wejść do bazy danych Administracji Ubezpieczeń Społecznych – zaproponował North.

– Wydawało mi się, że już próbowałeś.

– Nie bezpośrednio do AUS. W tych sprawach, którymi się zajmuję, sami klienci dają mi dostęp do swoich numerów ubezpieczenia. Staram się nie wchodzić tam, gdzie nie muszę. To zwiększa ryzyko namierzenia.

– Nie chcę, żebyś dla mnie czy kłówek ryzykował – powiedziałam szybko.

– Dobrze więc, że nie robisz tego dla ciebie – stwierdził. Otworzył na tablecie stronę Administracji Ubezpieczeń Społecznych.

– Dasz radę stąd to zrobić? – spytałam.

– Nie, to tylko dla orientacji – wyjaśnił, przewijając ją palcem do dołu. – Widzisz to G? Oznacza, że używają firewalla od Gnosis.

– A to źle?

– Będzie trudniej. Może się jednak da. Kilka dni mi to zajmie.

Położył tablet na stoliku, potem sięgnął po moją rękę. Ledwie jego skóra dotknęła mojej, zerwał się na równe nogi.

– Rory, ty chyba płoniesz. – Położył mi dłoń na czole. – Kiedy ostatnio coś brałaś?

– Godzinę temu. Brałaś już spray przeciw grypowy? Prawdopodobnie cię zarażam.

– Ja się nie szczepię – oznajmił. – Mam nadludzki system odpornościowy. Nic mi nie będzie. Ty natomiast mnie martwisz. Potrzebujesz leków.

– Dobrze się czuję.

Prawda jednak była taka, że nie czułam się dobrze. Czułam się okropnie.

– Rory, jeśli chcesz walczyć ze złymi mocami, musisz być silna – oświadczył z absolutną powagą. Roześmiałam się.

– A ja z nimi walczę?

– Nie wykluczam tego – powiedział i pomógł mi wstać.

ROZDZIAŁ 19

W końcu poszliśmy do szkolnego ośrodka zdrowia. Powiedziałam Northowi, że spokojnie mogę iść sama, on jednak tylko przewrócił oczami i włożył kurtkę.

W poczekalni było pusto.

– Wygląda na to, że ktoś tu ma grypę – powiedziała pielęgniarka z rejestracji, cmoknąwszy z dezaprobatą, gdy tylko przeszliśmy przez drzwi automatyczne.

– Takie to oczywiste?

– Przecież masz taką minę, jakby walnęła w ciebie ciężarówka – odpowiedziała. – Uczennica?

Przytaknęłam.

– Przyłóż tu swój handheld – pouczyła, wskazując czujnik na blacie. Gdy to robiłam, na ekranie pojawił się nowy tekst.

– Usiądź w poczekalni – poleciła jeszcze.

– Mhm – mruknęłam ze wzrokiem wlepionym w ekran.

Jestem początkiem każdego końca

i końcem wieku i człowieka.

Jestem podstawą kreacji

i otaczam każdy kącik.

Czym jestem?

To była zagadka i przeczytałam ją ponownie, człapiąc do poczekalni, gdzie North przeglądał numer magazynu „Wired” na jednym z zamontowanych tam tabletów.

– Wszystko gra? – zapytał.

– Mhm.

Usiadłam na skraju siedzenia obok niego i przeczytałam po raz trzeci: *Jestem początkiem każdego końca i końcem wieku i człowieka. Jestem podstawą kreacji i otaczam każdy zakątek.* Na moim czole pojawiły się krople potu. Nic nie kojarzyłam.

– To musi być jakiś żywiol – mamrotałam. – Powietrze... Czy to powietrze? Ale jak powietrze może być początkiem każdego końca? Bóg. To jest Bóg. To musi być Bóg.

– Rory, co ty mówisz? – Spojrzałam na Northa. Wpatrywał się we mnie. – Bełkoczesz.

– Staram się rozwiązać zagadkę.

– Zagadkę?

– Tak

– Dlaczego?

– Dlatego.

– Okej. No, co to za zagadka?

– Chyba nie mogę ci powiedzieć. To byłoby oszustwo.

Uderzyło mnie nagle, że z tym zadaniem nie powiązano żadnych reguł. Może najzupełniej dopuszczalne było poproszenie kogoś o pomoc lub poszukanie odpowiedzi w GoSearch. Jakos jednak wydało mi się to wątpliwe. Nie miałam natomiast wątpliwości, że stowarzyszenie dowiedziałyby się o tym, tak czy inaczej.

– Oszustwo? To coś na ocenę?

– W pewnym sensie – odpowiedziałam. Była to w pewnym sensie prawda. – To z klubu, do którego usiłuję się dostać. Zajęcia pozaszkolne.

– Jakiego typu to klub?

– Po prostu klub, okej? – ucięłam. – I żeby się tam dostać, muszę rozwiązać tę zagadkę, więc daj mi, proszę, pomyśleć.

Ponownie wyjęłam handheld, licząc na to, że może widok słów podsunie mi jakiś trop.

– Myślę, że to Bóg – powtórzyłam, próbując samą siebie przekonać, że mam słuszość. Jednak to *końcem wieku i człowieka* wciąż mi nie pasowało.

North przechylił się i zajrzał mi w ekran.

– To litera k. – Znów usiadł prosto. – Myślisz, że przyjąłby mnie do swego klubu?

Kolejny raz przeczytałam zagadkę. Miał rację.

Prędko napisałam odpowiedź i wcisnęłam wysyłanie. Otrzymałszy standardową informację, całkiem się rozluźniłam. Oparłam głowę o ścianę za mną i zamknęłam oczy. Wszystko mnie bolało.

– Czemu tak strasznie zależy ci na tym klubie?

– Moja mama w nim była – wyjaśniłam.

– Aurora Vaughn? – zawołała pielęgniarka.

– Będę tu, kiedy wyjdiesz – zapewnił mnie North, gdy się podnosiłam.

– Naprawdę nie musisz czekać.

– Akurat. Zobaczmy się, gdy wyjdiesz.

Czekając na lekarza, wyświetliłam sobie zdjęcie, które zrobiłam fotografii mojej mamy w noc Maskarady. Nie oglądałam go od tamtej pory. Wpatrywałam się teraz w jej oczy, na zdjęciu prawie czarne, jakby kryły w sobie odpowiedzi, których tak potrzebowałam. Kim właściwie była Aviana Jacobs?

Jeszcze przyglądałam się zdjęciu, kiedy otworzyły się drzwi gabinetu.

– Proszę – usłyszałam głos lekarza, gdy już miałam odłożyć telefon. I właśnie wtedy mój

wzrok padł na coś na samym skraju ramki, czego przedtem nie zauważyłam.

Mama trzymała kogoś za rękę.

– Jestem doktor Ryland. Co cię spro...?

– Chwileczkę – przerwałam mu, powiększając zdjęcie. To była ręka chłopaka, ta i był na niej pierścień, który już kiedyś widziałam. Cztery symbole, wygrawerowane w srebrze. I nagle sobie przypomniałam, kto stał obok niej na tym zdjęciu.

Griffin Payne. Ten Griffin Payne. Griffin Payne, naczelny Gnosis.

Jasna. Cholera.

Roztrzęsiona, weszłam do GoSearch i wpisałam jego nazwisko, dodając „osiemnastolatek”. Otworzyło się zdjęcie z dyplomu Griffina. Uważnie przyjrzałam się chłopakowi, którym wówczas był. Oczy koloru wody morskiej. Włosy niemal barwy hebanu. Wyraźny dołek w brodzie. Wszystko to każdego ranka oglądałam w lustrze.

Lepszego dowodu nie potrzebowałam. Teraz już wiedziałam.

Moim ojcem był Griffin Payne.

Wbiłam tył głowy w oparcie, czując, jakmi się w niej kręci.

– Dobrze się czujesz? – zapytał lekarz.

Aż cała drgnęłam. Zapomniałam o jego obecności.

– Nie – powiedziałam szczerze. Zdecydowanie nie czułam się dobrze.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedziałam do Northa dwadzieścia minut później, po powrocie do poczekalni. Wstał na powitanie, niezdarnie podając mi płaszcz.

– Okej – zgodził się. – Co powiedział lekarz?

– Grypa. – Wręczyłam mu torebkę antywirusów, otrzymaną od pielęgniarki, za to płaszcz zabrałam. – Potrzebuję dostępu do Griffina Payne’a.

– Hm, okej. A przez dostęp rozumiesz...?

– Muszę z nim porozmawiać. Na osobności.

North wyciągnął rękę i przyłożył mi do czoła.

– Nie mam już gorączki – warknęłam, odsuwając się od niego. – Dali mi aspirynę, żeby ją zbić.

– Musisz porozmawiać z Griffinem Payne’em – powtórzył North. – Na osobności.

– Tak – Zasunęłam zamek płaszcza. – Bezpośrednio.

– Masz świadomość, że mówisz o Griffinie Payne’u? Większe szanse miałybyś na spotkanie z prezydentem.

– Już się poznaliśmy. Na imprezie w Theden. Jest miły.

Wyminięłam Northa, kierując się ku drzwiom automatycznym. Na wieczornym niebie nisko wisiały chmury rozjarzone niesamowitą zielonkawą poświatą.

– Na pewno jest uroczy – stwierdził North, idąc w moje ślady. – To jednak nie znaczy, że zechce się spotkać z uczennicą.

Zatrzymałam się przy krawężniku, żeby mógł mnie dogonić. Ulica była opustoszała. Gdy zrównał się ze mną, zszedł z krawężnika, żeby nasze oczy były na jednym poziomie.

– Rory, co się dzieje? Idziesz do lekarza i po wyjściu od niego ogłaszasz, że musisz się spotkać w cztery oczy z naczelnym największej firmy technologicznej świata.

– To mój ojciec – powiedziałam cicho. Na twarzy Northa pojawił się szok, porównywalny do mojego.

– Nie rozumiem. Od kiedy?

– Wydaje mi się, że od tej chwili sprzed siedemnastu lat, gdy uprawiał seks z moją mamą – powiedziałam oschle. – Przepraszam – dodałam prędko. – Po prostu... jeszcze się z tym osuwajam.

– Ale jak się dowiedziałas? Wychowywałaś się przecież z tatą, tak? Pamiętam, jak o nim mówiłaś.

Potwierdziłam skinieniem głowy i nerwowo nabrałam tchu.

– Miesiąc temu, przygotowując pracę na zajęcia z psychologii, znalazłam w bazie danych Departamentu Zdrowia Publicznego dokumentację medyczną mojej mamy. Zeszłej nocy do niej wróciłam. Okazało się, że urodziłam się prawie miesiąc po przewidywanym terminie, a nie trzy tygodnie przed nim, jak zawsze myślałam, a to oznacza, że moja mama była w ciąży, gdy opuszczała Theden.

– Ta sprawa z grupą krwi – powiedział North. – Myślisz, że to oznacza, że twój tato nie jest twoim tatą.

– Nie myślę. Wiem. – Głos mi drżał. Nie chciałam się rozplakać. – W dokumentacji mamy było zdjęcie USG. Ona miała grupę A plus, a ja mam AB plus. Mój tato – człowiek, którego uważałam za mojego tatę – też ma A plus.

North wypuścił powietrze.

– Czemu nic nie mówiłaś?

– Nie wiedziałam jak – wyznałam. – Ciężko obarczyć czymś takim kogoś, kogo się ledwie zna.

– Znasz mnie lepiej niż ledwie, Rory – powiedział, biorąc mnie za ręce. – A ja radzę sobie z ciężarami.

Tylko kiwnęłam głową, nie ryzykując powiedzenia czegoś.

– Dlaczego więc myślisz, że twoim prawdziwym ojcem jest Griffin Payne? – spytał North.

– Trzyma go za rękę. Na szkolnej fotografii. Trzyma Griffina za rękę.

– To jeszcze nie świadczy...

– Przyjrzyj mu się – powiedziałam, podsuwając mu pod nos telefon. Na ekranie wciąż

widniało dyplomowe zdjęcie Griffina. – Potem popatrz na mnie.

– Jest pewne podobieństwo – przyznał. – Bezwzględnie jest. – Wypuścił powietrze, przesuwając dłońmi tam i z powrotem wzdłuż irokeza. – Łał.

Przez chwilę oboje milczeliśmy.

– Cóż, cofam to, co wcześniej powiedziałem – oświadczył wreszcie. – Łatwo ci będzie się z nim zobaczyć. Wystarczy, że powiesz, kim jesteś.

– Nie mogę – powiedziałam. – Jeśli mam się dowiedzieć, co naprawdę się stało przed siedemnastu laty, nie może się niczego spodziewać. Nie zamierzam mu pozwolić, żeby mnie okłamał.

– Zakładasz, że spróbuje?

– Nie zaryzykuję. To musi być bezpośrednio – oświadczyłam stanowczo. – I musi być zaskoczenia. Chcę widzieć jego twarz.

– Myślisz, że to z jego powodu twoja mama rzuciła szkołę?

– Nie rzuciła – przypomniałam mu. – Została wydalona.

– Czy ciąża mogła mieć z tym coś wspólnego?

– Może. Jednak w jej dokumentacji medycznej nie było nic o ciąży. Ani wyników badań, ani wzmianki o dziecku w żadnym z wywiadów psychiatrycznych. Jeżeli wiedziała, że jest w ciąży, zataiła to przed lekarzem.

– Możesz pokazać mi tę dokumentację?

Potrząsnęłam głową przecząco.

– Już nie mam do niej dostępu. Został mi tylko zrzut ostatniej strony.

– Zobaczę, czy mnie się uda ją ściągnąć – zaproponował. – Znasz numer ubezpieczenia społecznego twojej mamy?

– Owszem, ale jej teczkę usunięto z systemu. Nie znajdziesz jej.

– *Au contraire* ¹ – odparł North. – Do usuniętych plików nawet łatwiej się dostać. Przed ostatecznym skasowaniem z serwera prawie zawsze trafiają na kilka tygodni do kosza. To zabezpieczenie przed przypadkowym usunięciem. A ponieważ kosze są ukryte przed użytkownikami, firmy uważają, że nie muszą ich chronić.

– Możemy teraz to zrobić? – spytałam.

– Jasne. Może to zająć kilka godzin, ale jesteś u mnie mile widziana. Choćbyś miała zostać na noc. – W jego oczach pojawił się błysk – Zabawiłbym się w doktora.

– Nie mogę przenoćować – powiedziałam, choć jego mieszkanie było jedynym miejscem, w którym chciałabym się znaleźć. – Powinnam raczej wracać do akademika – dodałam niechętnie. – W weekendy dom zamykają o dziesiątej. – Teraz, kiedy dokładnie wiedziałam, do czego zdolna jest Tarsus, musiałam być wzorową uczennicą. – Mogę zajrzeć jutro?

– Oczywiście – zapewnił. – Pracuję na wcześniejszej zmianie, najpierw więc zajdź do kawiarni. Podaj mi tylko pełne nazwisko twojej mamy i numer jej ubezpieczenia społecznego, to zobaczę, co jeszcze dziś da się zrobić.

Złapałam go za rękę i splotłam nasze palce.

– Dziękuję.

Podniósł moją dłoń do ust i pocałował koniuszki palców.

– Będzie okej. Wiesz o tym, prawda? Wszystko sobie ułożysz.

– Pewnie.

Oczy mi się zaszkłodziły, bo nie udało mi się dłużej powstrzymać łez. Zamrugałam, ale było już za późno. Spływały po policzkach.

– A niech to – wymamrotałam. Tyle z mojego postanowienia, że się nie rozpłaczę. Wytarłam oczy.

North, w którego wzroku zapłonęła pewność siebie, o jakiej mogłam tylko pomarzyć, palcem uniósł mi podbródek i choć pewnie rozsiewał wirusy, śmierdziałam jak szpital i od dwunastu godzin nie myłam zębów, pocałował mnie tak, że na chwilę zapomniałam o wszystkim poza tym, że już nie jestem sama.

1. Fr. Przeciwnie. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 20

Na wszelki wypadek nastawiłam budzik, choć byłam pewna, że nie uda mi się spać na tyle dobrze, żeby go potrzebować, i mądrze zrobiłam, bo nie wiem, czy bez niego obudziłabym się przed południem. Spałam tamtej nocy mocno i bez żadnych snów, a ocknęłam się w tej samej pozycji, w której leżałam przed zaśnięciem. Miałam wrażenie, że usta wypchano mi wacikami, ale poza tym czułam się całkiem dobrze. No, przynajmniej lepiej. Przyłożyłam handheld do głowy, żeby sprawdzić, czy mam gorączkę.

– Twoja temperatura pozostaje w prawidłowym przedziale – odpowiedział mi Lux. Nie słyszałam jego głosu od ponad tygodnia. A bywało przecież, że rozmawiałam z Luxem więcej niż z kimkolwiek innym.

Najwyraźniej te czasy już przeminęły. Konsultowałam się z Luxem tak nieregularnie, że przeoczyłam podrzucenie brudnych ubrań do kampusowej pralni na piątkowe pranie. Nie miałam nic czystego. Po trwającym ułamek sekundy wahaniu pod drzwiami szafy Hershey włożyłam jej elastyczne aksamitne spodnie, o wiele za długie, ale świetnie wyglądające po wetknięciu w buty, oraz jeden z czterech szarych kaszmirowych swetrów, które znalazłam upchane na półce.

Kiedy wyszłam na dziedziniec, zobaczyłam Izzy sączącą kawę z papierowego kubka i czytającą coś z tabletu, choć policzki miała czerwone od zimna. Nie włożyła kurtki.

– Hej – powiedziałam, podchodząc do niej. – Co robisz?

– Próbuję przeryć jeszcze trzy rozdziały przed literaturą. Mamy dzisiaj quiz z pierwszej połowy *Atlasa zbuntowanego* ¹.

Podniosła na mnie zmęczone oczy.

– W pokoju zasypanałam – wyjaśniła. – Pomyślałam, że ziąb przywróci mnie do pionu.

Palnęłam się dłonią w usta. Chodziłyśmy na te zajęcia razem. Zapomniałam o quizie. Izzy zobaczyła moją minę.

– Też jeszcze nie skończyłaś?

– Nawet nie zaczęłam.

Izzy przesunęła się na ławce.

– Miejsce dla jeszcze jednej osoby – powiedziała. – Mamy godzinę do ćwiczeń i całą przerwę obiadową. Jeśli się sprężysz, skończysz.

– Teraz nie mogę – oznajmiłam. – Muszę się z kimś spotkać.

Musiałam się dowiedzieć, czy North odkrył coś na temat mojej mamy. Quizem zajęłabym się później.

– Ooo, facet? – Izzy odłożyła tablet i obejrzała mnie sobie. – To dlatego wyglądasz tak ładnie?

– W pewnym sensie.

– W pewnym sensie facet czy w pewnym sensie wyglądasz ładnie?

– Właściwie nie mogę o tym mówić – stwierdziłam. A ponieważ zabrzmiało to zagadkowo,

dodałam: – Jeszcze nikomu o nas nie mówimy.

– Co jest z tobą i Hershey, i waszy mi tajemniczy mi chłopakami? – Izzy zrobiła kwaśną minę. –

Powiesz mi przynajmniej, gdzie takiego znaleźć? A przy okazji, gdzie się podziewa Hershey? Od jakiego czasu jej nie widzę.

– Ona, hm, wyjechała ze szkoły.

Izzy zmarszczyła brwi z zakłopotania.

– Jakto wyjechała ze szkoły? Czemu?

– Zrobiła sobie trochę wolnego – powiedziałam ogólnikowo, by nie wyjawić zbyt wiele. –

Naprawdę nie znam szczegółów. Zobaczmy się później, okej?

I zanim zdążyła odpowiedzieć, poszłam sobie, sadząc wielkie kroki, żeby w chwili, gdy zada kolejne pytanie, być poza zasięgiem jej głosu.

North, widząc mnie przez okno Paradiso, zamachał, żebym weszła. Po jego twarzy poznałam, że mu się udało. Wskazał stolik w rogu.

– Za pięć minut mam przerwę – zawołał. – Chcesz coś?

– Kawę – odpowiedziałam. – I jedno z tych. – Pokazałam mu największą drożdżówkę, którą mieli w gablocie.

Kilka minut później North dosiadł się do mojego stolika.

– Znalazłeś jej teczkę – stwierdziłam, odrywając kawałek drożdżówki.

Miękka i słodka, rozplywała się w ustach. Od lat nie jadłam drożdżówki. Dzięki Luxowi moje śniadaniowe wybory ograniczały się do owsianki z migdałami i jajecznicy z białek z tostem. Góra cukru, masła i mąki pszennej, mająca z osiemset kalorii, nie wchodziła w zakres racjonalnych propozycji śniadaniowych. Oderwałam kolejny kawałek

– Znalazłem. I miałeś rację: nie było żadnej wzmianki o ciąży. Ale dostałem się do metadanych tych wpisów psychiatrycznych. Rory, do czerwca w teczce twojej matki jeszcze ich nie było.

– Nie rozumiem. Skreślona z listy uczniów została w maju.

– Owszem, według decyzji o skreśleniu, którą do teczki dodano w cały miesiąc po jej domniemanym zatwierdzeniu.

– Co chcesz powiedzieć?

– Sam nie wiem. Może tę zwiłkę da się jakoś racjonalnie wytłumaczyć. Może jej lekarz nie znosił papierkowej roboty. – Zawahał się. – Albo może ktoś usiłował zrobić z niej wariatkę.

Wbiłam w niego wzrok, zapominając o drożdżówce na moim talerzu.

– Kto taki?

– Nie mam pojęcia – przyznał North. – Ale może Griffin wie.

– Wy kombinowałeś, jak się do niego dostać?

– Okazało się, że w ten piątek wieczorem jest bankiet z okazji premiery rynkowej Gemini Gold.

Griffin zagra na nim pierwsze skrzypce.

– Bilety muszą kosztować tysiące dolarów.

– Gorzej. W ogóle nie są na sprzedaż – Uśmiechnął się. – Dobrze, że jesteśmy na liście zaproszonych.

1. Powieść amerykańskiej pisarki i filozof Ayn Rand, wydana w 1957 r., stanowiąca manifest stworzonej przez nią filozofii obiektywizmu. Przekład polski ukazał się w 2008 r. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 21

A jeśli ktoś zapyta, jak zdobyliśmy zaproszenie?

– Nikt nie zapyta – zapewnił mnie North. – To ogromna sala. Zginiemy w tłumie.

Kątem oka uchwyciłam swoje odbicie w barwionej szybie pociągu i prawie się nie poznałam. Noelle, dziewczyna z serwisu komputerowego, pożyczyła mi sukienkę ze zjazdu absolwentów, czarną typu bustier, sięgającą do połowy łydki i zdecydowanie nieodpowiednią na szkolną potańcówkę, a Kate zrobiła makijaż, ukrywając konstelacje ciemnych piegów na moim nosie pod podkładem w sprayu oraz podkreślając oczy cieniem koloru węgla drzewnego. Włosy zrobiłam sama, decydując się na rozpuszczone i faliste, na wypadek gdybym musiała się za nimi ukryć.

North jeszcze bardziej się zakamufłował. Irokeza gładko przyczesał, a tatuaże ukrył pod rękawami szarej marynarki w jodełkę. W tym garniturze i ray-banach w szklretowej oprawie, z wpiętym w ucho klipsem z bluetoothem, wyglądał jak uczeń prywatnej szkoły wybierający się na bal. Dokładnie taką rolę dziś odgrywał.

Siedział teraz nad handheldem, sprawdzając na mapie nasze położenie. Plan był napięty: mieliśmy dotrzeć do Bostonu, dostać się na bankiet, jakoś zdybać Griffina na osobności, potem wrócić do pociągu i na kampus przed północą, czyli porą zamknięcia biblioteki. Zostawiłam w niej gemini, ukryte w jednej z czytelni, z włączoną usługą lokalizacji. North stworzył program, który – dwukrotnie w ciągu sześciu godzin zaplanowanych na nasz wypad – miał automatycznie zaktualizować mój status na wypadek, gdyby ktoś mnie szukał. Wprawdzie nie pomogłoby mi to, gdyby ten ktoś, szukając mnie, zaszedł do biblioteki, ale do tego czasu pozwalało się ukryć przed namierzeniem. Reguły Theden odnośnie opuszczania kampusu były bowiem pobłażliwe, o ile pozostawało się w pobliżu. Bez pisemnego zezwolenia od dziekana nie wolno nam było się oddalać od bram szkoły na więcej niż dziesięć kilometrów. Gdyby mnie dziś przyłapali, czekałoby mnie skreślenie z listy uczniów.

Żeby ukoić cyklon nerwów szalejący mi w brzuchu, przypatrywałam się Northowi, utrwalając w pamięci każdy szczegół jego twarzy. Nawet w ostrym świetle kolejowych jarzeniówek był przystojny. I to, jak teraz dostrzegłam, przystojny w klasycznym sensie tego słowa. Skórę miał barwy cynamonu, kąciki oczu lekko skierowane ku dołowi, nos prosty i mocną szczękę, zaś całą jego twarz cechowała piękna symetria.

Odwrócił się i przyłapał mnie na pogładactwie.

– Wyglądasz naprawdę pięknie – powiedział, dotykając palcem koniuszka mojego nosa. – Brakuje mi jednactwoich piegów.

Odchyliłam głowę i pocałowałam jego dłoń. Jego palec przesunął się po mojej szyi i tropiąc zarys obojczyka, dotarł do prawego ramienia. Zahaczył o wąskie ramiączko sukienki, o milimetr je uniósł, delikatnie nad nim przeszedł i powędrował w dół ramienia. Przez skórę przeszedł mi prąd.

– Sam nieźle wyglądasz – stwierdziłam, nie całkiem panując nad głosem.

Wciąż czułam ścieżkę, którą nakreślił jego palec, i nietrudno mi było sobie wyobrazić, jak zsuwa ramiączka i rozpina tył sukienki. Przed Northem tylko raz się całowałam, a już sobie wyobrażałam siebie półnągą w jego ramionach. Podejrzewałam, że to akurat wstrząsnęłoby i Luxem, i tamtym głosem w mojej głowie, nie zamierzałam jednak u któregośkolwiek z nich szukać teraz porady. Mocno chwyciłam krawędź swojego plastikowego krzeselka i pouczyłam siebie, dokąd podobne myśli doprowadziły moją mamę.

– Powrotne mamy dziewiąta piętnaście i dziesiąta pięć – oznajmił North. – Jeśli wybierzemy ten późniejszy, nie dostaniemy się na stację w Theden przed jedenastą pięćdziesiąt.

– Będzie za mało czasu – powiedziałam, choć w rzeczywistości nie miałam pojęcia, czy przejazd motorem Northa z głównego dworca w Theden na kampus na pewno zajmie więcej niż dziesięć minut. Korzystanie z Luxa od tak wielu lat całkowicie pozbawiło mnie umiejętności kalkulowania czasu podróży. To Lux mówił mi, kiedy mam wyjść, kórędy pójść i o której będę u celu. Ja takim szczegółom poświęcałam mało uwagi, ufając, że Lux i tak doprowadzi mnie do punktu przeznaczenia. Co zresztą zawsze następowało.

– Będzie prawie na styk – zauważył North – ale damy radę, jeśli będzie trzeba. Powinniśmy jednak nastawić się przede wszystkim na dziewiątą piętnaście. – Zerknął na handheld. – Na następnej stacji wysiadamy.

Serce zaczęło mi walić. Co dziwne, samym wejściem na bankiet przejmowałam się bardziej niż konfrontacją z jego sławnym gospodarzem. Nie nastawiałam się na to, że moja pułapka na pewno zadziała, wiedziałam za to, że Griffin niewątpliwie uwierzy, gdy powiem mu, kim jestem. Nawet tak ubrana i z całym tym makijażem niesamowicie przypominałam mamę.

– Gotowa jesteś? – spytał North, gdy pociąg wjeżdżał na Back Bay Station. Przytaknęłam. Musiałam być gotowa. A z Northem u boku pewnie i byłam. Gdy wychodziliśmy na peron, wsunął dłoń w moją i trzymał tak, gdy przechodziliśmy przez budynek dworca na postój taksówek

– Copley Square – poinformował taksówkarza. – Pod Bibliotekę Publiczną.

Kierowca coś stęknął i ruszyliśmy. Od biblioteki, w której miał się odbyć bankiet, stację dzielił tylko kilometr. Dałoby się przejść, gdyby nie moje dziesięciocentymetrowe obcasy. Przejazdka taksówką niewiele dała mi czasu na to, by się pozbierać. Po dwóch minutach od zajęcia w niej miejsca trzeba już było wysiadać.

Zajechaliliśmy pod potężny kamienny gmach o arkadowych oknach, zajmujący całą przecnicę. Wyglądał bardziej na pałac niż na bibliotekę i w niczym nie przypominał budowli ze szkła i betonu, w której u nas w Seattle mieściła się Biblioteka Centralna. Pasowało tu więc, że był oświetlony niczym jakiś zamek ciepłym żółtym światłem reflektorów skierowanych na jego kamienną fasadę. Nad światłami i rzędem łukowatych okien widniał napis GOLD, wyświetlony w trójwymiarze. Był i czerwony dywan na schodach wejściowych, i aksamitny sznur, i tłumy fotografów oblegające podjazd. Dziwne jednak było to miejsce jak na bankiet z okazji premiery nowego osiągnięcia techniki, zwłaszcza że Gnosis podważyła znaczenie bibliotek publicznych, wprowadzając darmowe wypożyczenie e-booków. Żaden z tych starych budynków nie przechowywał już książek – przynajmniej tych papierowych. Stały się one wielkimi terminalami tabletowymi z rzędami stołów z wmontowanymi ekranami oraz z salami mediów publicznych, gdzie można było surfować po Sieci i oglądać telewizję.

Z drżeniem rąk pchnęłam drzwiczki taksówki i wysiadłam na chodnik

– Trzymaj – powiedział cicho North, wyjmując z kieszeni drugi handheld i wsuwając go do małej torebki wiszącej mi na ramieniu. – Kiedy przeskanują go przy drzwiach, pojawi się nazwisko, które dodałem do listy gości. Jessica Sizemore. To studentka Harvardu. Jej tato jest akcjonariuszem.

– A co, jeśli ona się zjawi? – syknęłam. Dochodziliśmy na skraj tłumy czelającego na wpuszczenie.

– Nie zjawi się. Dzień po rozesłaniu zaproszeń nie przesłała potwierdzenia przybycia, a według Forum nadal przebywa na kampusie. – Objął mnie ramieniem. – Tylko zachowuj się naturalnie. Jak już będziemy w środku, reszta przestanie się liczyć.

Oparłam się o jego ramię, starając się rozluźnić. Z łatwością zginęliśmy pośród tłoczących się wokół nas dobrze ubranych dwudziestokilkulatków, zaabsorbowanych ekranami telefonów w oczekiwaniu na wejście.

Kiedy weszliśmy na czerwony dywan, dziewczyna sprawdzająca zaproszenia uśmiechnęła się.

– Witajcie w świecie przyszłości – powiedziała, sięgając po nasze handheldy. Wstrzymałam oddech, gdy je skanowała. – Bawcie się dobrze.

Oddała handheldy i uniosła aksamitny sznur.

Weszliśmy.

Główna ceremonia odbywała się pod gołym niebem, na wewnętrznym dziedzińcu, zamienionym przez Gnosis w metaliczny ogród. Fontanna w jego centrum, podświetlona spod powierzchni wody, zdawała się tryskać płynnym złotem. Kelnerzy w czarnych krawatach krążyli z lśniącymi złotem tacami szampana, a na otaczających nas kamiennych murach wyświetlano

niezliczone ilości małych złotych G. Były też wysokie stoły, zbudowane z błyszczących złotem klocków Lego i stojące kandelabry z jasnozłotych monet.

– Łał – westchnęłam, chłonąc ten widok.

North zdjął z tacy kóregoś kelnera dwie szampanki i wręczył mi jedną.

– Rekwizyty – powiedział.

Kolejny kelner niósł coś jakby okrągłe ciasteczka z tuńczykiem ahi i „lukrem” z awokado.

Sięgnęłam po jedno.

– Przekąska – stwierdziłam, w gryzając się w nie. – Jeju, to jest niesamowite. Musisz spróbować.

– Skup się, Jessica Sizemore, skup się. Mamy godzinę na odszukanie twojego ojca. – A jednak zanim kelner odszedł, North złapał za ciasteczko z tuńczykiem i całe wpakował do ust.

Teraz, gdy już znaleźliśmy się po drugiej stronie aksamitnego sznura, byłam spokojniejsza. Nikt na nas nie zwracał uwagi i łatwo było poruszać się po obrzeżach przyjęcia, pod otaczającymi dziedzińcem arkadami, dyskretnie wypatrując Griffina. Gdy przesuwaliśmy się wzdłuż wschodniej ściany, idąc na tyle wolno, by nie zwracać na siebie uwagi, pozwoliłam sobie na chwilę udawania, że nie wkradliśmy się na ten bankiet, a zostaliśmy na niego zaproszeni, jak wszyscy inni. Uderzyło mnie, że nie taka to znowu mrzonka. Już nie. Dyplom Theden zapewniał dostęp do takich właśnie wydarzeń. Do podobnych przyjęć, do takich ludzi. Trzymając się wyznaczonej drogi, miałabym to wszystko bez oszukiwania. Tu byłoby moje miejsce.

Szłam między Northem a ścianą, mijając południowo-wschodni róg dziedzińca, i nagle ją zobaczyłam. Piękną ciemnoskórą kobietę w białym damskim garniturze stojącą koło fontanny. Między nami nie było nikogo innego. Gdyby odwróciła się odrobinę w lewo i podniosła wzrok, zauważyłaby mnie.

North usłyszał mój zduszony oddech.

– Co jest? – spytał cicho, odwracając się do mnie.

– Pocałuj mnie – szepnęłam. – Natychmiast.

Nie musiałam dwa razy prosić. Kładąc mi ręce na biodrach, delikatnie pchnął mnie na ścianę, aż w zetknięciu z jej gładką powierzchnią brzęknęła moja kryształowa szampanka. Owinęłam wolną rękę wokół jego karku, napierając całym ciałem, jakbym mogła się w niego wtopić, i zamknęłam oczy, ledwie jego wargi dotknęły moich. Zauważyła mnie? Wydawało się, że nie, ale pewności nie miałam. Łokcie Northa opierały się teraz o ścianę, po obu stronach mojej głowy, co jakoś nie przeszkadzało mu w trzymaniu kieliszka tak, by nie uronić nawet kropli, kiedy mnie całował. Na chwilę zatraciłam się w tym doznaniu, nie myśląc, za to odczuwając wszystko, od trzepotania w piersi po prąd w okolicach brzucha i mrowienie w języku, ilekroć dotykał go koniuszkiem swojego. Potem jednak w mózgu wyświetliła mi się z impetem twarz Tarsus i cała

stężałam. North wy czuł to i się cofnął.

– Czuję, że ten pocałunek miał służyć czemuś więcej poza urzeczywistnieniem chyba pięciu moich snów – powiedział, ledwie odsunąwszy twarz.

– Ona tu jest – szepnęłam. – Doktor Tarsus.

– Szlag! Widziała cię?

– Nie sądzę – uspokoiłam go. – Zasłoniłeś mnie. – Wciąż jeszcze miałam rękę na karku Northa, gładziłam więc kciukiem jego ucho, dbając, by nie wychodząc zza niego, przesuwając się wzdłuż ściany za kolumnę.

– Gdzie teraz jest? – Przechylił się leciutko w lewo, jakby ocierając się nosem o moją szyję, żeby móc sobie obejrzeć dziedziniec. Nadciągnął tłum nowych gości, oddzielających nas teraz od fontanny i blokujących widok na nią.

– Już jej nie widzę – oznajmiłam. – Była przy fontannie.

– Co ona tu robi?

– Nie mam pojęcia. Gnosis to wielkie źródło finansowania Theden, może o to powiązanie chodzi? – Mimo to dziwnie było widzieć ją tutaj, na bankiecie na cześć kultowej nowinki technicznej. Dziwnie, a dla nas pechowo.

– Mamy wyjść?

– Nie – zaprzeczyłam. – To najlepsza okazja na zbliżenie się do Griffina. Jesteśmy już tak blisko, nie odpuszczę sobie. Musimy się tylko upewnić, że ona nas nie zobaczy. – Czuję rosnącą we mnie śmiałość. Wrażenie to było mi obce, nie należało jednak do niemiłych. Nigdy dotąd nie odczuwałam takiej pewności. O ile, oczywiście, nie polegałam na Luksie.

North podał mi dłoń.

– Jeśli będzie trzeba jeszcze kilku takich pocałunków, myślę, że jakoś dam radę. – Zerknął na zegarek – Do mowy Griffina mamy jeszcze godzinę, zapewne jest gdzieś wśród ludzi. Problem w tym, jak zostać z nim sam na sam, gdy już go znajdziemy.

– Jak tylko mnie zobaczy, problem zniknie – zapewniłam go.

Wyszło nawet łatwiej, niż się spodziewałam. Gdy przechodziliśmy przez tłum, ja z głową pochyloną, by nikt mnie nie rozpoznał, prawie wpadliśmy na Griffina rozmawiającego z grupką kobiet w drogich sukniach koktajlowych. North szturchnął mnie łokciem, podniosłam więc głowę – i oto był, niecały metr ode mnie, zupełnie jakby został nagle wklejony w to miejsce. Pierwsze do głowy przyszło mi zaraz pytanie: *Jakim cudem dwojgu tak olśniewających ludzi przytrafił się taki potomek jak ja?* Drugą myślą było: *Uśmiecha się, lecz w oczach ma smutek.*

Otworzyłam usta, żeby się odezwać, ale nie musiałam. Griffin już się we mnie wpatrywał, z lekko otwartymi ustami.

– Panie wybaczą – powiedział do kobiet, wchodząc w słowo jednej z nich i nadal nie

spuszczając ze mnie wzroku. Przeszedł przez nie, jakby już nie istniały. Odwróciły głowy, by też mi się przyjrzeć.

– Wydaje mi się, że znał pan moją matkę – wybąkałam. – Av...

– Ty jesteś jej córką – powiedział, a potem jakby się zaśmiał, ale jakoś tak chrapliwie. – No, oczywiście. Przez sekundę myślałem... Ale przecież nie mogłabyś być nią...

Spojrzał gdzieś za mnie, potem wrócił wzrokiem na spotkanie z moim.

– Jest... jest gdzieś tu twoja matka? – W jego głosie była tak nieklamana nadzieja, że mój uwiązł w gardle. Potrząsnęłam więc tyłko głową.

– Rory musi z panem pomówić – odezwał się North. Griffin patrzył na Northa, jakby dopiero go zobaczył. North wyciągnął rękę.

– Gavin West – powiedział, przedstawiając się przybranym nazwiskiem. Uzgodniliśmy wcześniej, że ja wybranego dla mnie nie użyję.

Griffin przywitał się z nim, ale patrzył znów na mnie. Uśmiech miał przyjazny, w oczach natomiast jeszcze większy smutek, niemal tęsknotę.

– Rory. Czy my się już znamy? Wiem, że twarz bym zapamiętała, ale ten twój głos! Mam wrażenie, że go znam. Podobnie jaktwoje imię.

– Poznaliśmy się na maskaradzie w Theden – wyjaśniłam. – Na galerii.

– Dziewczyna w masce pawia – powiedział Griffin, a ja potwierdziłam. – Miło mi ponownie cię spotkać, Rory.

– Wzajemnie – odpowiedziałam. Ze zdenerwowania trudno mi było zdobyć się na uśmiech. Griffin chyba to zauważył. Spojrzał na Northa, potem na mnie.

– W środku jest spokojnie – oznajmił. – Może tam porozmawiamy?

Wyszliśmy za nim, bocznymi drzwiami, do małej kawiarenki. Stoliki były tam przykryte krzesłami, a wejście zastawiała tabliczka z zakazem, ale Griffin wyminał ją i zdjął dwa krzesła.

– A ja tam zaczęłam – powiedział North, wskazując ławeczkę przy schodach.

Skłinałam głową i przyjrzałam się Griffinowi. Na jego twarzy ciekawość zmagala się z zakłopotaniem. Należało coś powiedzieć, zanim przyjdzie jego obstawa. *Proszę, niech tego nie spieprzę* – modliłam się w myślach. Nie zamierzałam zaskakiwać go tym, czego się dowiedziałam, nawet nie mogłabym, skoro zależało mi na prawdzie, ale nie miałam też czasu na podchody. Jego wystąpienie zaplanowane było na ósmą, a była już siódma dwadzieścia pięć.

– Dziękuję, że zgodziłeś się ze mną porozmawiać – zaczęłam. – Mam mnóstwo pytań i nikogo, kto by potrafił na nie odpowiedzieć.

– Chodzi o twoją mamę – stwierdził nagle Griffin. – Coś jej się stało. – Nie zaakcentował szczególnie końca tego zdania, bo nie było pytaniem.

Ostrożnie przytaknęłam.

– Umarła przy moich narodzinach.

Na chwilę ukrył twarz w dłoniach, a kiedy je opuścił, po raz pierwszy wyglądał na swoje lata. W łącikach oczu zauważyłam cieniutkie zmarszczki rozchodzące się promieniście. Tuż przy tych smutnych oczach kurze łapki, znakironii i poczucia humoru.

– A twój tato?

Przyglądałam mu się. *Próbuje sprawdzić, ile wiem, czy naprawdę nie ma pojęcia, że jestem jego dzieckiem?*

– Mój tato?

– Wiesz, chodzi mi o to, czy jest na tamtym zdjęciu? Jest tutaj? – Griffin czuł się niezręcznie, jakbyśmy wchodzili na niepewny grunt.

– Nigdy nie poznałam swojego ojca.

Wyglądało na to, że nie zaskoczyłam Griffina, właściwie nawet w jego oczach mignęło coś na kształt ulgi. A zatem wiedział. Spróbował sprawdzić, czy ja wiem. Zacisnęłam zęby. Wzburzenie w niczym by mi nie pomogło. Zepchnięcie go na pozycję obronną byłoby najszybszą drogą do zamknięcia mu ust.

Postarałam się mówić swobodnie.

– Wiem, że czeka cię wygłoszenie mowy i masa innych spraw, nie chcę więc zabierać ci za dużo czasu, miałam jednak nadzieję, że mi powiesz, co działo się między tobą a moją mamą.

Griffin westchnął.

– Nie rozmawiałem o twojej mamie od piętnastu lat. – Szarpnął się za krawat. – Nawet dłużej. Odkąd odeszła.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął handheld. Lśniący metalik wielkości pudełka zapalek Gemini Gold. Stuknął w ekran, żeby go włączyć. Była 7:35.

– Za piętnaście muszę być w pokoju prób. To nie jest opowieść na dziesięć minut, ale postaram się w nich zmieścić.

Przypiął swojego golda do metalowego paska na przegubie i przeczesał dłońmi włosy. Miały dokładnie ten sam odcień co moje, brąz tak ciemny, że wydawał się czarny, tyle że były proste, podczas gdy ja miałam falujące. W odróżnieniu od mojego taty, którego włosy koloru słomy naznaczone były siwizną, u Griffina nie widziało się nawet jej śladu.

– Poznaliśmy się z twoją mamą na pierwszym roku w Theden – zaczął, a oczy pierwszy raz tego wieczoru mu pojaśniały. – Zakochałem się w niej od pierwszej naszej rozmowy: byliśmy razem na ćwiczeniach i tamtego dnia siedziała obok mnie. Wtedy jeszcze nie było kapsuł, tylko biurka z wejściami na dokowanie laptopów i ona nie mogła uruchomić swojego. Zajęcia prowadził okropny stary zrzęda, pan Siegler, i Aviana bała się, że nawrzeszczałby na nią, gdyby poprosiła go o pomoc. Pomogłem jej więc i w ciągu pięciu sekund się zakochałem.

Serce mi mocniej zabiło. Łatwo było wyobrazić sobie tę chwilę, mamę zagubioną i całą w nerwach, jak ja pierwszego dnia, oraz Griffina, uosobienie pewności siebie i uroku. Tak był początek czegoś, co mogło pójść tysiącem różnych dróg do tysiąca szczęśliwych finałów. Doprowadziło nas jednak tutaj.

– Nawet sobie nie wyobrażałem, że mógłbym do niej startować – mówił dalej Griffin. – Była totalnie nie z mojej ligi. Nawet IQ miałem za niskie na Theden. Rodzina musiała pociągnąć za sznurki, żebym się dostał. – Wzrok mu spochmurniał. – Moi rodzice nie lubili Aviany – wyjaśnił. – Ojczym jej nienawdził.

– Dlaczego?

– Była... inna. Nie grała w tę grę co wszyscy.

– Jaka to gra?

– Ambicjonalna wspinaczka po szczeblach – odrzekł Griffin. – Jestem przekonany, że teraz jest tak samo. Cały ten wyścig i rywalizacja, walka o pierwsze miejsca. Aviany to nie obchodziło. A jednak to jej miał przypaść zaszczyt wygłoszenia mowy pożegnalnej.

– Nie rozumiem. Mamę wyrzucono z Theden. Jak mogłaby...?

– Wyrzucono? Avianę? – Griffin wybuchnął śmiechem. – Była pupilką kampusu. – Spojrzał na mnie zaciękawiony. – Kto ci powiedział, że ją wyrzucono?

– Widziałam zawiadomienie o skreśleniu jej z listy uczniów – powiedziałam powoli. – W jej dokumentacji medycznej.

– Cóż, mogę cię zapewnić, że Aviany nie wywalono ze szkoły – odparł Griffin. Wyraźnie się zasepił. – Zdała egzaminy końcowe, a potem uciekła.

– Dlaczego?

– Dojdę do tego – zapewnił. – Pozwól jednak, że najpierw wyjaśnię, z czym musiała się zmierzyć. Nie tłumaczyło to jej postępowania, ale wiem, że wpłynęło na nią bardziej, niż dała po sobie poznać.

– Chodzi o twoją rodzinę?

Przytaknął.

– Byli w stosunku do niej okropni. I tym agresywniejsi, im bardziej zbliżaliśmy się do siebie. Grozili, że wycofają mój fundusz powierniczy, że nie zapłacą za szkołę. Nie ruszało mnie to. Coś innego było wtedy ważniejsze. Poprosiłem Avianę o rękę. A ojczymowi powiedziałem, że fundusz powierniczy może sobie wsadzić.

– Byliście z mamą zaręczeni?

Griffin chyba się zawahał.

– Łączyło nas coś więcej niż zaręczyny – powiedział w końcu. – Rory, twoja mama i ja wzięliśmy ślub.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Co?

– Pobraliśmy się na tydzień przed zakończeniem roku – rzekł cicho. – W sądzie w Albany. Na kolejne dwa dni zaszyliśmy się w chatynce w Kanadzie, kompletnie odcięci od reszty świata. Tylko my dwoje i kominek – Zarumienił się trochę, jakby zapomniał o mojej obecności. – Cały tamten weekend spędziliśmy na układaniu planów. Aviana chciała jak najbardziej się oddalić od mojej rodziny, ja zaś pragnąłem ją uszczęśliwić. Theden miało bardzo dobrą opinię w Anglii, postanowiliśmy więc przenieść się do Londynu, złożyć papiery do Oksfordu i Cambridge, tam się urządzić. Miałem trochę oszczędności i uznaliśmy, że to pozwoli nam przetrwać, aż znajdziemy pracę. Zgodnie z planem, mieliśmy wyjechać tuż po zakończeniu szkoły.

– Ale wtedy zaszła w ciążę – dokończyłam. Gorzko to zabrzmiało, ale nic nie mogłam na to poradzić. Nie w porządku było, że za sprawą czegoś, co jego samego obciążało winą nie mniej niż ją, zmienił swoje oczekiwania. Że już inaczej to odczuwał. Pragnął życia z nią, póki mieli być tylko we dwoje. Dziecko nie mieściło się w tym układzie.

Sposępniał jeszcze bardziej.

– To nie było „wtedy” – powiedział. – Już kiedy się pobieraliśmy, była w ciąży. Stąd wiedziałem, że nie przeze mnie.

Poczułam w głowie pustkę.

– Słucham?!

Griffin się zawahał.

– Nie chcę ci jej pokazywać w paskudnym świetle, Rory. Byliśmy oboje naprawdę młodzi. Rzec można, dzieciaki. Nie mam jej za złe, że mnie okłamała. Już nie.

Potrząsnęłam głową.

– Nie rozumiem. W jaki sposób cię okłamała?

– My z Avianą nigdy... Mówiła, że pragnie zacząć, aż się pobierzemy. – Coś mu zagrało w gardle. – Wydaje się, że ta reguła nie odnosiła się do innych facetów.

– Zdradziła cię?

Potwierdził.

– Kiedy w wiosenne ferie wyjechałem do Nantucket. Dowiedziałem się o tym rankiem w dniu ukończenia szkoły. Ktoś przysłał mi mailem kopię wyników jej testu ciążowego. Na teście widniała data czternastego kwietnia. Na długo przedtem, nim my... – Zawiesił głos, w oczach miał teraz pustkę. – I właśnie w tamtej chwili, gdy miałem przed sobą, czarno na białym, wyniki jej testu, wszystko mi się poukładało. Głos, którym się kierowałem i który mnie do niej doprowadził, nie był żadną wyższą mocą wiodącą mnie przez życie. Po prostu tak dał mi się we znaki dysonans poznawczy. Mój umysł czuł, że nie powinienem z nią być, emocje jednak nie

mogły się z tym pogodzić i stworzyły fikcyjny byt, głos wiedzący coś, czego ja nie wiedziałem.

– Zapatrzył się w sufit. – Okłamujemy samych siebie lepiej, niż się większości z nas wydaje.

O tyle rzeczy chciałam go zapytać – o to, co powiedziała mama, gdy dał jej to do zrozumienia, i czemu nie próbował jej odszukać – te pytania jednak ugrzęzły mi w gardle. Griffin zaś mówił dalej.

– Ta firma wiele zawdzięcza twojej mamie – powiedział nagle, wspierając to ruchem ręki w stronę okna, za którym w najlepsze trwał bankiet. – Gdyby nie odeszła, nie pracowałbym dla nich.

– Dlaczego nie?

– Twoja mama, cóż, była bardzo antygnostowska – wyjaśnił Griffin. – Nie potrafiłem tego zrozumieć. Byli wtedy zaledwie małym technologicznym start-upem. Aviana jednak z jakiegoś powodu wzięła ich na celownik i stanowczo żądała, żeby nic mnie z nimi nie łączyło. W poniedziałek po pożegnaniu ze szkołą pojechałem do ich siedziby i oświadczyłem, że będę pracował za darmo.

– I od tamtej pory się ich trzy masz?

Przytaknął.

– To zabawne, jak się w życiu układa. Tamtego lata, gdy zaczynałem w Gnosis, właśnie ruszali z projektem badawczo-rozwojowym dotyczącym aplikacji ułatwiającej podejmowanie decyzji. Aplikacji, która uchroni ludzi takich jak ja przed okłamywaniem siebie. Głosu, któremu będziemy mogli zaufać. Postanowiłem wówczas, że moją karierę poświęcę tej aplikacji. Im więcej ludzi będzie z niej korzystać, tym mniej skończy ze złamanym sercem.

Moje myśli skoczyły ku chłopakowi stojącemu o trzy metry na lewo ode mnie. Czy rzeczywiście warto było unikać narażenia serca na ból, skoro unikało się też jego przeciwności, gdy serce rozsadza radość?

– Panie Payne... – dopadł nas zniemacka czyjś głos. Należał do olbrzyma w czarnym garniturze i ze słuchawką w uchu. Rozpoznałam w nim faceta, którego minęłam na schodach podczas Maskarady. Ochroniarza Griffina. – Jest już za kwadrans.

Griffin skinął mu głową i odwrócił się do mnie.

– Muszę wygłosić mowę – powiedział. Zabrzmiało to jak przeprosiny.

– Nie była w ciąży, kiedy braliście ślub – wypaliłam. Nie miałam wyboru. – Ktokolwiek przesłał ci wyniki testu, chciał, żebyś uznał, że była, choć tak nie było.

Griffin cały stęzał, jakby stanął nad przepaścią.

– Co takiego?

– Urodziłam się dwudziestego pierwszego marca – powiedziałam. – Gdyby była w ciąży wtedy, kiedy tak sądziłeś, termin mojego przyjścia na świat wypadłby na początku grudnia. Tak

jednak nie było. Miałam przyjść na świat w lutym, a urodziłam się w marcu. Z opóźnieniem liczącym trzy tygodnie i pięć dni. – Słowa zaczynały mi się plątać, ale mówiłam dalej w obawie, że kiedy przestanę, pójdzie sobie. – Widziałam jej ostatnie zdjęcie USG. Reszta to prosta matematyka. Zszła w ciążę w waszą noc poślubną. – Griffin zaczął kręcić głową. Złapałam go za rękę. – Przyjrzyj się moim oczom. I moim dłoniom. – Wyciągnęłam rękę. – I mojemu podbródkowi! Dołkowi w brodzie. Jest taki jak u ciebie. Nasze włosy też są tego samego koloru. I...

Widziałam, że Griffin już nie słucha. Wyglądał na załamane go. Podniosłam się cicho, raptownie, puszcżając jego rękę. Minęła dłuższa chwila, nim coś powiedział. Kiedy przemówił, głos miał chrapliwy, jak po krzyku.

– Chcesz powiedzieć, że jestem... – Nie dokończył. Wydawało się, że nie byłby w stanie.

– Moim ojcem – powiedziałam cicho.

Griffin niespodziewanie się rozplakał. Cofnęłam się o krok, zaskoczona nieskrępowaniem jego reakcji i jej gwałtownością. Wycierał oczy grzbietami dłoni.

– Cały ten czas myślałem, że mnie zdradziła – powiedział niewyraźnie. – Zwątpienie, ono mi ciągle powtarzało, żebym jej zaufał, że mam ją odnaleźć. Miesiącami nie chciało się zamknąć. Myślałem... Myślałem, że wariuję. Nie mogłem go uciszyć. Aż nagle, pewnego dnia, się zamknęło. – Tarł już oczy pięściami, jakby chciał zetrzeć z nich całą rozpacz. – Wszystko, co od tamtej pory zrobiłem...

– Panie Payne – przy pomniął o sobie mężczyzna w czerni.

– Jeszcze minutę, Jason.

Ani na chwilę nie odrywał ode mnie wzroku.

– Jeśli ja byłem ojcem, to czemu odeszła? – zapytał. – Miała wygłosić mowę na pożegnanie. Od tygodni nad nią pracowała. Ale kiedy tamtego ranka poszedłem do jej pokoju w akademiku, żeby rozmówić się w sprawie tego maila, już jej nie zastałem. To nie ma sensu.

– Wiesz może, czy mama tamtej wiosny była u psychiatry?

– U psychiatry? Po co? Z powodu Zwątpienia? – Potrząsnął głową. – Twoja mama nigdy by nie poszła z tym do lekarza. Czyżby ktoś ci powiedział, że tak postąpiła?

– To temat na dłuższą opowieść – powiedziałam. – Sądzę jednak, że ktoś mógłby chciał ją dopaść. Nie wiem kto ani dlaczego. Miałam nadzieję, że u ciebie uzyskam część odpowiedzi.

– Niestety, jestem prawie tak samo w kropce jak ty – wyznał. – Może jednak razem do czegoś dojdziemy. Możemy porozmawiać po przemówieniu? Jak długo tu będziesz?

Przygładził włosy i przetarł skórę pod oczami, doprowadzając się do ładu.

– Nie powinnam była opuszczać kampusu – przyznałam się. – Muszę więc wrócić pociągiem dziewiątą piętnaście.

– Zaalatwię ci samochód – powiedział. – Jeśli wyjedziesz o dziesiątej, zdąży sz. A przemówienie nie potrwa długo. Odwołał bym je, żeby dalej z tobą rozmawiać, ale polec i na żywo, a jest kilka rzeczy, które muszę powiedzieć, zanim sprawa zajdzie jeszcze dalej.

Jaka sprawa? – gotowa byłam zapytać, jednak człowiek w czerni był już u boku Griffina.

– Zaczekasz więc?

– Pewnie – obiecałam.

Mój ojciec się uśmiechnął i z jego oczu na chwilę zniknął cały smutek

– Tak się cieszę, że się spotkaliśmy, Rory – powiedział, biorąc mnie za rękę.

– Co oznaczają te symbole? – spytałam, wskazując pierścien i.

– *Timshel* – odpowiedział Griffin. – To po hebrajsku. Steinbeck przywołał je w *Na wschód od Edenu*¹. Tłumaczy się jako „Możesz”. W tym sensie, że wszyscy mamy wybór. Możemy czynić dobro, żyć dobrze.

– *Timshel* – powtórzyłam. – Podoba mi się ta idea.

– Mnie też – oznajmił Griffin. Przyjrzał się pierścieniowi, jakby oglądał go po raz pierwszy. – Zamówiła go dla mnie, na moje osiemnaste urodziny, twoja mama. Kiedy odeszła, zachowałem go na pamiątkę błędu, który popełniłem, ufając czemuś innemu niż ja sam. – Zapatrzył się w sufit, może szukając tego czegoś. – Chyba niewiele zrozumiałem.

– Panie Payne, przekaz na żywo pójdzie za pięć minut. – To znów był Jason, mówił nagłym tonem. Z jego słuchawki dobiegało elektrostatyczne brzęczenie. – Muszą wpiąć panu mikrofon.

Przez okno widziałam, że tłum utworzył przy fontannie półkole, kierując się w stronę podium przy południowym krańcu dziedzińca, z którego Griffin miał wygłosić swoją mowę. Na ścianie za nią zamocowano cienki jak papier ekran pokazujący teraz najnowszą telewizyjną reklamę Golda.

– Odszukałam cię, jak tytko będzie po wszystkich – dotarło do mnie zapewnienie Griffina.

I zaraz zniknął, najpierw za drzwiami, potem wchłonięty przez gwarny tłum na zewnątrz. Kilka chwil później pojawił się przy mnie North.

– Jak poszło?

– Nigdy się nie dowiedział, że to jego dziecko – opowiadałam, wychodząc za nim na dziedzińiec. – Dostał jakiś mail z wynikami testu ciążowego, wykonanego jakoby na dwa miesiące przed pierwszą wspólną nocą jego i mamy, pomyślał więc, że mama go oszukała. Kiedy chciał z nią o tym porozmawiać, jej już nie było. – Zagryzłam wargę. – Czemu komuś zależało na tym, żeby go przekonać, że nie on jest ojcem?

– Nie mam pojęcia. Sądzisz, że jedna i ta sama osoba wysłała mu ten mail i namieszała w dokumentacji medycznej twojej mamy?

– Tak przy puszcza m, choć brzmi to dziwnie, prawda? Rozumiem podesyłanie fałszywego testu z wynikami, ale zaglą danie do tej dokumentacji nie pasowałoby do Griffina. Po co więc ktoś

zadał sobie tyle trudu?

– Rory?

Odwrociłam się błyskawicznie, zaskoczona tak znajomym głosem. Zaledwie kilka metrów dalej stał Beck w ciemnoniebieskim garniturze, który choć leżał na nim doskonale, wyglądał absurdalnie. Pasowałby prędzej do Liama, stanowił natomiast absolutne przeciwieństwo wszystkiego, w czym dotąd widywałam mojego najlepszego przyjaciela.

– Co ty tutaj robisz? – zażądałam odpowiedzi, pędząc, żeby go uściskać, i o mało się przy tym nie wyłożyłam przez te swoje obcasy. – Kolejna korzyść z beta testowania?

Chwycałam go pod łokcie i zmierzałam wzrokiem. Wyglądał dobrze. Pyszcze, z którymi wiecznie walczyły, zniknęły, a ramiona nabrały masy, jakby nad nimi popracował.

– Och, jeszcze bardziej czadersko – stwierdził Beck, zerkając na Northa, a potem znów na mnie, żeby przypomnieć, że ich sobie nie przedstawiłam. – Moje fotogramy zdobią ścianę w jednej z tutejszych sal wystawowych. Są częścią prezentacji młodych artystów sponsorowanych przez Gnosis. Pojadą stąd do bostońskiego Muzeum Sztuk Pięknych.

– Nie gadaj! Niesamowite!

– No, to piękna sprawa. Gnosis zwiozło tu wszystkich artystów. Jutro wieczorem w muzeum będzie kolejna impreza.

– Kurde blade. – Szturchnęłam go w ramię. – Czemu nic nie mówiłeś?

– Tak się złożyło. A czemu ty tu jesteś? Wycieczka szkolna?

– Coś w ten deseń – powiedziałam. Zebrana w ciągu ostatnich tygodni wiedza o głosie, o mamie i, od niedawna, o moim prawdziwym tacie domagała się ujawnienia. Czemu jeszcze nie podzieliłam się nią z Beckiem? Coś mnie zakłuło pod żebrami. Próbowалам. Kilkakrotnie.

Beck popatrzył na Northa.

– Prawdopodobnie sami powinniśmy się sobie przedstawić, bo Rory wyraźnie nie pali się do tego.

North się roześmiał.

– Pomyśl chyba niezły. Jestem North.

Cofnęłam się, by mogli podać sobie ręce, i zauważyłam, że Beck swojego golda nosił na przegubie, przypiętego do brązowego skózanego paska. O wiele za szpanerskiego, jak na jego gust. Z drugiej strony, byliśmy na bankiecie, na który przybył tu na czyjś koszt, a to był zapewne jego patent na elegancję.

– Beck to mój najlepszy przyjaciel – poinformowałam Northa. – Z rodzinnych stron.

Odwrociłam się do Becka.

– To gdzie one są? Muszę je zobaczyć!

– Są w środku – odpowiedział Beck – Niech się tylko upewnię, czy mamy na to czas.

Podniósł rękę na wysokość ust.

– Lux, czy starczy nam czasu na wizytę na wystawie, zanim zacznie się przemówienie?

Miałam wrażenie, że oglądam kogoś obcego. Beck mówił mi, że korzysta już z Luxa, ale żeby pytać go o coś tak absurdalnego? Nie trzeba mu było apki, by wiedzieć, że mamy jeszcze czas. A jednak niespokojnie czekał na odpowiedź Luxa, wpatrując się z dziwnym półuśmiechem w małą ekran.

– Prezentacja ulegnie opóźnieniu – powiedział w końcu Lux głosem tak podobnym do głosu Becka, że w pierwszej chwili nie byłam pewna, który z nich się odezwał. W starszym modelu Gemini Lux przemawiał głosem metalicznym, umiarkowanie podobnym do głosu posiadacza telefonu. W tej wersji były nie do odróżnienia.

– Masz dostatecznie dużo czasu, aby zwiedzić wystawę – kontynuował Lux. – Powiadomię cię, kiedy nastąpi pora powrotu na dziedziniec.

– Dzięki – powiedział do handheldu Beck. Obciągnął rękaw i uśmiechnął się do nas. – Idziemy?

Ruszyłam za nim, ale jeszcze się zatrzymałam, żeby najpierw ogarnąć wzrokiem dziedziniec. Tym razem Tarsus rzuciła się w oczy: błysk rozjarzonej bieli w mgławicy ciemnych barw. Na szczęście stała po drugiej stronie fontanny, tyłem do nas. Z tego, jak kiwała głową, wnosiłam, że z zapalem spiera się z kimś stojącym przed nią.

– Idziesz? – spytał Beck

– Mhm – potwierdziłam, ostatni raz zerkając na Tarsus. Na tyle się przesunęła, że mogłam dojrzeć człowieka, z którym rozmawiała. Zauważyłam, że położyła rękę na jego przedramieniu, on zaś zaraz ją strząsnął, twarz mając wykrzywioną gniewem.

Człowiekiem tym był Griffin.

– Nie – jęknęłam. – North, on rozmawia z doktor Tarsus. – Na mój żołądek zvaliła się lawina lęku. – Jeśli jej powie, że tu jestem...

– Nie panikuj – szepnęła North, kierując mnie w stronę sali, do której zmierzał Beck – Mogą rozmawiać o czymkolwiek

Gdy wchodziliśmy do wnętrza, popatrzyłam jeszcze przez ramię na miejsce, gdzie stała Tarsus z Griffinem. Oddalał się od niej wielkimi krokami, w kierunku mównicy. Ona zajmowała się swoim handheldem, goldem, jak u Becka przypiętym na przegubie. Błysnął w przyćmionym świetle. Uznałam za dobry znak, że nie rozgląda się za mną. Może rzeczywiście rozmawiali o czymś innym. Może Griffin nic o mnie nie wspomniał. Możliwe też, że właśnie dzwoniła do dziekana, żeby na mnie donieść.

– Moje są na lewej ścianie – usłyszałam Becka. Znajdowaliśmy się w przylegającej do dziedzińca sali, którą Gnosis zamieniła w szybką galerię sztuki o tymczasowych ścianach z białego włókna szklanego. Wisiały w niej obrazy reprezentujące większość technik

artystycznych, od akwareli po grafiki cyfrowe, ale fotogramy widziałam tylko trzy. Same żaglówki.

– Czekał, gdzie są twoje? – spytałam, obracając się, żeby zobaczyć resztę sali.

– Właśnie tutaj – odparł Beck – Patrysz na nie.

Chwycił mnie za ramiona i odwrócił w stronę łódek

– Ale tam są jachty – stwierdziłam. Spojrzałam na Northa, żeby nie patrzeć na Becka. Nie, nie były to okropne zdjęcia; po prostu tego typu fotografii człowiek spodziewa się prędkiej w poczekalni u lekarza lub w westybulu sieciowego hotelu. Komercyjnych. Ładnych. Nudnych.

– To teraz moja specjalność – oznajmił Beck bez zażenowania. – Łodzie i mosty. Uświadomiłem sobie, że moje wcześniejsze prace były zbyt depresyjne, by się mogły sprzedawać.

Usta miałam otwarte, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Prace Becka były wymowne, mocne i dosadne. Czasem trudno się było z nimi pogodzić, ale właśnie o to chodziło.

– Zbyt depresyjne?

– Rory, nawet artyści muszą coś jeść, niestety – rzekł Beck pojednawczo. Stojący obok mnie North odchrząknął.

– Moim zdaniem są piękne – powiedział do Becka, podchodząc, by się im przyjrzeć z bliska. – Przez ten wysoki połysk to prawdziwy pop. – Miał rację, ale trudno było to uznać za komplement. Widoczki wyglądały sztucznie, jak masowo produkowane wygaszacze ekranu. – Wszystkie zrobiłeś w Seattle?

– No – potwierdził Beck – W ciągu trzech kolejnych dni. W Goldzie zainstalowana jest aplikacja fotograficzna zlinkowana z Luxem. Wpisujesz tylko, jakiego typu zdjęcie chcesz zrobić, a Lux ci wskazuje, gdzie w mieście je zrobisz i o jakiej porze. Cały trud bierze na siebie.

– Gdzie się podziało: „Lux myśli jak komputer, nie jak artysta”? – zapytałam, zmuszając się, by na niego spojrzeć.

– Każdy artysta potrzebuje jakichś przyborów – odpowiedział Beck – Lux jest jednym z moich.

– A Związek? – spytałam cicho. Kątem oka zauważyłam ruch głowy Northa.

– Wreszcie się uciszyło – ogłosił Beck, jakby się z tego cieszył.

Niemal mnie skrzyknęło.

– Bierzesz exoxę.

– Gdzie tam. Dalej uważam, że to świństwo może usmażyć mózg. Zwyczajnie posłuchałem rady Luxa i powiedziałem temu głosowi, że już go nie potrzebuję. Niedługo potem przestał się odzywać.

Ta odpowiedź nie mieściła mi się w głowie. Zupełnie jakbym wchodziła w interakcję z jakąś

alternatywną wersją mojego najlepszego przyjaciela. Wpatrywałam się w te jego fotogramy, jeszcze bardziej ich nienawidząc i marząc, bym mogła je zderzeć ze ściany i cisnąć do tamtej fontanny.

– Proszę się udać na dziedziniec – dotarł do mnie głos Becka. Oczywiście, nie tyle samego Becka, co jego elektronicznego pomagiera. Musiałam wziąć się w garść, żeby nie zerwać mu tego golda i nie walnąć nim o ścianę.

– Powinniśmy już iść – powiedział prawdziwy Beck North wziął mnie za rękę.

I właśnie wtedy usłyszeliśmy świdrujący dźwięk nieco przypominający stukanie nożem w szybę, tyle że znacznie głośniejszy i dobiegający z głośników nad naszymi głowami. Sygnał zapowiadający rozpoczęcie przemowy. Wyszliśmy za Beckiem na zewnątrz.

– Panie i panowie – rozpoczął znajomy głos. Na pozłacanej mównicy stała Tarsus. *Ona go zapowiada?* Prędko skryłam się za Northem. Beck spojrział na mnie ze zdumieniem. – W imieniu wszystkich członków rady Gnosis mam zaszczyt przedstawić człowieka, który przedstawiania nie potrzebuje. Wizjonera stojącego za Luxem, architekta pomysłu przełomowego urzędnika, na którego uroczystej premierze wszyscy tu się zebraliśmy. Oto prezes i twarz Gnosis, Griffin Payne.

Gdy Griffin dołączył do niej na mównicy, wybuchły owacje.

– Dziękuję ci, Esperanzo. – Zbliżył się do mikrofonu z uśmiechem wyglądającym bardziej na jakiś grymas. – Dziękuję też wam wszystkim za przybycie tutaj i za to, że pomogliście uczynić Gnosis tym, czym jest dzisiaj.

Przez chwilę patrzył gdzieś w górę, potem podjął przemowę:

– Kiedy tamtego lata, tuż po szkole, zaczynałem w niej staż, uważałem, że trafiła mi się najwspanialsza przepustka do kariery. Znalazłem się w firmie nastawionej na wytyczanie kierunków innowacji technologicznych i mającej na względzie dobro świata. Oto ja, dzieciak ze złamanym sercem, otrzymałem szansę udziału w zaprojektowaniu aplikacji dającej pewność, że nikogo już nie spotka taki dramat.

Wśród słuchaczy zapanowało poruszenie, dały się słyszeć szepty. Czymś takim Griffin nigdy dotąd nie dzielił się publicznie. Człowiek na mównicy nie zważał jednak na reakcję swojej publiczności. Mówił dalej:

– Idea była szczytna: udoskonalić całe społeczeństwo dzięki aplikacji na telefon.

Tu Griffin jakby trochę się zaciął. Wytarł czoło grzbietem dłoni.

– Idea szczytna – podjął. – I nietrafiona.

Umilkł i przytrzymał się mównicy, niespodziewanie pobladył. Znów przetarł czoło i kilkakrotnie zamrugał, jakby miał problemy ze skupieniem wzroku.

– Naprawdę bowiem...

Mówił dalej, nagle jednak zaczął przeinaczać słowa. Niezrozumiale.

– Mówi bez sensu – szepnęła jakaś kobieta koło mnie.

Tarsus jednym susem wpadła na mównicę i zdążyła jeszcze złapać przewracającego się Griffina.

1. Epicka powieść Johna Steinbecka, amerykańskiego pisarza i noblisty z 1962 r., wydana w 1952 r., a jednocześnie swoisty traktat o naturze zła, jego pochodzeniu i miejscu w duszy człowieka, także o zmaganiach z nim, dla których kluczowe było właśnie to „Możesz”. W Polsce wydana w 1958 r. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 22

Rory, musimy iść – ponaglił mnie North.

Sanitariusze pospiesznie mocowali Griffina na noszach, coś tam do siebie pomrukując. Od momentu jego upadku, czyli od dziewiętnastu minut, nawet się nie poruszyłam. Ani się nie odezwałam. Miałam wrażenie, że posadzka pode mną jakoś się rozplynęła i unoszę się w powietrzu, że nic nie ważę. To nie miało prawa się zdarzyć. A przecież nawet jeszcze nie wiedziałam, czym było owo „to”. Czy Griffin umarł?

– Rory – powiedział znowu North.

Zmusiłam się do spojrzenia na niego.

– W porządku – powiedziałam.

Beck zajmował się swoim goldem, śledził, co się mówiło o tym wydarzeniu. Jako że Griffin stracił przytomność podczas wystąpienia na żywo, już całe Forum o tym trąbiło. Nowe posty wysłakiwały takszybko, że ekran Becka wręcz wibrował w ciągłym ruchu.

– Chodź z nami – zwróciłam się nagle do Becka. – Wróć z nami pociągami do Theden. Możesz przenocować u Northa.

Spojrzałam na Northa, szukając potwierdzenia.

– Może?

– Jasne – zapewnił. – Miejsca jest mnóstwo.

Beck już kręcił głową.

– Nie mogę. Mam jutro tę imprezę w muzeum.

– Zdążyś wrócić. Pociągi odchodzą co godzinę.

Widziałam, że Beck się nad tym zastanawia. Nie mógł się zdecydować.

– Pozwól, że zapytam Luxa – powiedział w końcu.

– O to nie wolno ci zapytać Luxa – oświadczyłam kategorycznie. – Mnie nie powinno tutaj być, nie możesz więc pytać, czy masz pojechać ze mną.

W oczach Becka natychmiast pojawił się cień podejrzliwości.

– Co znaczy, że nie powinno cię tu być?

– To dłuższa historia – powiedziałam, desperacko zaciskając pięści, inaczej chyba bym nim potrząsnęła. – Boże, Beck, po prostu pojedź z nami. Na powrót będzie mnóstwo czasu.

– Rory, naprawdę musimy już iść – wtrącił łagodnie North. – Ciężko będzie złapać taksówkę, a nie możemy się spóźnić na pociąg.

Spojrzałam na Becka.

– Idziesz?

Cofnęła się o krok, byle dalej ode mnie.

– Zapomnij – warknęłam, obracając się na pięcie, a lzy złości cisnęły mi się do oczu. – North, idziemy.

– Miło było cię poznać – usłyszałam za sobą głos Northa. – Powodzenia na wystawie.

– Rory! – zawołał Beck. Nie odwróciłam się.

Zanim dotarliśmy do pociągu, kanały informacyjne głównych mediów podjęły temat. Całą drogę powrotną śledziliśmy ich przekaz. Trochę po jedenastej Gnosis wydała oświadczenie. Griffin Payne miał wylew.

– Wylew? – zważęłam. – Ma trzydzieści pięć lat. W zeszłym miesiącu był na okładce „Men's Health”. Jak mógłby mieć wylew?

North mógł tylko potrząsnąć głową.

– Wyjdzie z tego. Ma najlepszych lekarzy na świecie.

Zrozpaczona, złapałam się za głowę.

– No, nie! Mam uczucie, że wykonaliśmy jeden krok w przód i jedenaście wstecz.

I nagle, ni stąd, ni zowąd, rozplakałam się. Tym razem nawet nie próbowałam powstrzymać łez. North przyciągnął mnie do siebie i objął oburącz. Wylałam mu się w marynarkę pachnącą nie tyle Northem, co jakąś wodą o zapachu leśnym.

– To wszystko jest bez sensu – powiedziałam głosem stłumionym przez materiał. – Griffin powiedział, że mama przygotowywała mowę pożegnalną. Czemu miałyby wyjechać na kilka godzin przed ceremonią zakończenia szkoły?

– Może się bała – zasugerował North. – Może wiedziała, że ktoś na nią czyha. Ktoś zdolny do czegoś gorszego niż manipulowanie przy dokumentacji medycznej.

– Ale kto taki? I czemu nie zwróciła się z tym na policję? Albo przynajmniej do Griffina? Łatwo by mu udowodniła, że wyniki testu to fałszywa. – O ile sama mu ich nie podesłała. Tylko czemu miałyby to zrobić?

Niespodziewanie moją uwagę przyciągnęło coś za oknem. Błysk światła w ciemności. Nocne niebo przecinał meteor. Przez chwilę myślałam, że są dwa, jeden wyżej, drugi niżej, zaraz jednak pojęłam, że ten niższy jest tylko odbiciem w wodzie. Przejeżdżaliśmy obok zbiornika wodnego. Byliśmy już prawie na miejscu.

– Theden – zakomunikował mechaniczny głos. – Następna stacja to Theden Central Station.

Wytarłam oczy i siedziałam prosto, aż pociąg wtoczył się na stację.

– Cóż, jak na nasze randki, ta wyjątkowo nie obfitowała w wydarzenia – stwierdził North z absolutną powagą.

– Totalnie nudna – przyznałam mu rację.

– Cieszę się, że miałaś szansę porozmawiać z Griffinem – powiedział ciszej i całkiem szczerze.

– Ja też.

Żadne z nas nie musiało dodawać tego, o czym oboje myśleliśmy. Dawać wyrazu nadziei, że tę szansę miałam nie po raz ostatni.

Pociąg się zatrzymał i oboje zerwaliśmy się na równe nogi. Ja na nogi obolałe za sprawą wysokich obcasów Hershey.

– Spróbujemy jutro wszystko sobie poukładać? – spytał North, gdy wychodziliśmy z pociągu na opustoszały peron.

– Chyba trzeba będzie.

Następnym dniem była sobota, nie czekały mnie więc żadne zajęcia, planowałam jednak poświęcić weekend na nadrobienie zaległych prac domowych. Zakładałam przecież, że rozmowa z Griffinem dostarczy mi odpowiedzi, a nie sto kolejnych pytań. Teraz już zwątpiłam, że do poniedziałku cokolwiek odrobię i że pod tym względem przyszły tydzień będzie się różnić od poprzedniego. Zawalonego lekturami, które do mnie nie docierały, i zadaniami domowymi, do których nie potrafiłam zasiaść.

Dżinsy i trampki czekały na mnie w bagażniku pod siedzeniem zaparkowanego przed dworcem motocykla Northa. North ściągnął swoją marynarkę i przytrzymał ją jak zasłonkę, kierując wzrok w niebo, gdy się przebierałam, z drugiej strony osłonięta jego ciałem. Włożywszy dżinsy, ale jeszcze nie sweter, zbliżyłam się do niego, tuląc się prawie gołą do jego białej koszuli. Spojrzył na mnie zaskoczony.

– Cześć – powiedział.

– Cześć – odpowiedziałam i wspięłam się na palce, żeby go pocałować. Gdy nasze wargi się zetknęły, zamknęłam oczy i myślenie, udając przez chwilę, że jesteśmy jedynie dziewczyną i chłopakiem całującymi się na parkingu. Chłopakiem niebędącym cyberprzestępcą i dziewczyną, która ma całkiem poukładane życie. Poczułam, że opuszcza ręce.

– Do góry, do góry! – wrzasnęłam.

– Sorki – powiedział, znów podnosząc ręce. – Coś mnie rozproszyło.

Roześmiałam się.

– Okej, odwróć teraz głowę, muszę włożyć sweter.

Posłusznie znów odchylił głowę, wypuszczając w zimne nocne niebo kłąb ciepłego powietrza. Wciągnęłam golf przez głowę, czując na piersiach gęsią skórę.

– Już po wszystkim. – Złożyłam sukienkę i podałam Northowi. – Podziękuj Noelle.

North schował pod siedzeniem sukienkę i marynarkę, mnie zaś wręczył kask

– Powinam zadzwonić do taty – stwierdziłam, zapinając pasek – Szaleństwem było myśleć, że to przed nim ukryję. Zasluguje na to, żeby znać prawdę. – Głos jednak nieco mi się załamał.

Wiedziałam, że tak właśnie powinnam postąpić, ale nie potrafiłam wyobrazić sobie, że mówię: *Mama cię okłamała. Nie jestem twoim dzieckiem.*

– Co ja mogę zrobić?

– Ściągnij profil Becla – poleciłam.

– Czego szukamy?

– Wyjaśnienia – stwierdziłam. – Zaczyna korzystać z Luxa i nagle nie dość, że jego zdjęcia stają się główniane, to jeszcze nie odbiera telefonu. To nie może być przywadek

– Zadowolenie zmienia człowieka – odparł North. Przełożył nogę nad motorem i przekrzywił siedzenie tak, bym mogła usiąść za nim. – Wyraźnie otrzymuje wysokie oceny za te zdjęcia. Zresztą, nawiasem mówiąc, one nie są takie główniane...

– Owszem, są.

– I czuje, że życie mu się układa. Z tego samego powodu dziewięćdziesiąt osiem procent ludzi w tym kraju nie podejmuje decyzji bez pomocy Luxa. Korzystanie z niego znacznie ułatwia życie.

Wytrzeszczyłam oczy.

– Ty bronisz Luxa?

– W żadnym razie – odpowiedział. – Wyjaśniam, jak działa.

Potrząsnęłam głową, aż hełm walnął mnie w skroń.

– Nie. Tu chodzi o coś innego.

– O co na przykład? – spytał North, odpalając motor.

– Nie wiem – przyznałam. Wspięłam się na siedzenie i objęłam go w pasie. – Może to jednak mieć związek z czymś, co powiedział dziś Griffin. Przed tym, jak poszedł przemawiać, napomknął, że musi powiedzieć kilka rzeczy, zanim jakaś „sprawa” zajdzie jeszcze dalej.

– Tyle tylko, że stracił przytomność, zanim do nich doszedł.

– Bardzo dziwny zbieg okoliczności, nie uważasz?

Gdy motocykl z rykiem budził się do życia, North odwrócił głowę, by na mnie spojrzeć.

– Czekaj. Myślisz, że to, co przytrafiło się Griffiniowi, to nie był zwykły wypadek? – zawołał, przekrzykując hałas.

Popatrzyłam mu w oczy.

– Myślę, że wiele jeszcze nie wiemy.

Do biblioteki wróciłam dziesięć minut przed zamknięciem, a gemini czekało tam, gdzie je schowałam, pod poduszką w jednej z czytelni na piętrze. Pod naszą nieobecność wysłało dwie aktualizacje statusu, na tyle nieciekawe, że moja wieczorna sesja biblioteczna nie przyciągnęła większej uwagi na Forum, jeśli nie liczyć kilku polubień. Udało się nam. O ile, oczywiście, Tarsus nie dowiedziała się od Griffina, że byłam na bankiecie, albo, co gorsza, sama mnie tam nie

wypatrzyła. O tym jednak nie mogłam się jeszcze przekonać. Pozostawało mi czekać.

Wróciwszy do akademika, zadzwoniłam do taty. W Seattle nie było jeszcze dziewiątej, wiedziałam więc, że są z Kari wciąż na nogach. Odebrał po drugim dzwonku.

– Cześć, tato – powiedziałam łamiącym się głosem.

– Kochanie, co się stało?

Nie powstrzymałam łez. Czy to w ogóle możliwe, że człowiek znający mnie na tyle, by po słowach *Cześć, tato* poznać, że coś jest nie tak, nie był moim prawdziwym ojcem?

– Chodzi o mamę... – zaczęłam.

– W porządku – powiedział tato powoli, czujnie. Usłyszałam odgłos otwierania drzwi. Wyobraziłam sobie, jak wychodzi z kuchni na mały ganek, niewiele większy od grilla na węgiel drzewny, który tam trzymał.

Zaczęłam od najprostszej z nowin.

– Mama była... już wtedy, kiedy się z nią żeniłeś, była w ciąży.

Tato westchnął.

– Wiem o tym, skarbie.

– I to nie ty – nerwowo nabrałam tchu – byłeś ojcem. Nie jesteś... moim ojcem.

Nastąpiło długie milczenie. Przystanąłam i mocno zacisnęłam oczy, przygotowując się na jego reakcję, na ból w jego głosie, który mi przyjdzie usłyszeć.

– O tym też wiem – odpowiedział z większym naciskiem, niż kiedykolwiek słyszałam w jego głosie.

Otworzyłam szeroko oczy.

– Wiesz o tym?

– Zawsze wiedziałem – powiedział ze smutkiem. – Twoja mama i ja, Rory... My... My właściwie nie byliśmy parą. Przynajmniej nie w romantycznym sensie tego słowa. Twoja mama... Ona kochała kogoś innego. To jednak nie zmienia faktu, że bardzo cię, skarbie, kocham. Ani tego, że zawsze będę twoim tatą.

Głos mu się załamał. A mnie do oczu napłynęły łzy.

– Też cię kocham, tato – szepnęłam. – Ogromnie.

– Może powinienem do ciebie przylecieć? – zaproponował zaraz. – Mógłbym...

– Nie, tak jest dobrze – powiedziałam szybko. Bilety lotnicze były drogie, a im się nie przelewało. Poza tym czułam, że zbliżamy się z Northem do ukrytej za tym wszystkim prawdy, jakkolwiek ona była, a przy lot taty tylko by nas spowolnił. – Przy tyłu zajęciach i nawale nauki po godzinach ledwie byśmy się widywali.

– Skoro tak uważasz – odrzekł tato, chyba nie do końca przekonany. – Trudno mi znieść, że jesteś w tym wszystkim zdana na siebie.

Zdana na siebie. Moja mama nie żyła, biologiczny ojciec pozostawał w śpiączce, najlepszy przyjaciel zachowywał się tak, jakby jego ciało przejął jakiś kosmita, moja współlokatorka przepadła, a tatę i przybraną matkę dzieliło ode mnie pięć tysięcy kilometrów. Czułam się jak jedna z tych unoszących się na głębokiej wodzie jasnopomarańczowych boi w oceanie. Tyle tylko, że tamte przytrzymywała lina. Ja byłam zdana na siebie.

Nie jesteś sama, zaszeptano.

Głos miał rację. Był jeszcze North.

– Tato?

– Tak, kochanie?

– Czy wiesz... kto to był? – Nie mogłabym powiedzieć: *kto jest moim ojcem.* Nie do mojego taty. Już postanowiłam, że nie powiem mu o Griffinie, przynajmniej jeszcze nie. O ile tego nie wiedział.

– Nie – odparł tato. – Twoja mama nigdy mi tego nie wyjawiała. Powiedziała, że będzie lepiej, a właściwie bezpieczniej, takiego słowa wtedy użyła, jeśli się tego nie dowiem.

W pokoju było ciepło, mnie jednak nagle zrobiło się zimno.

– Bezpieczniej – powtórzyłam.

– Tak właśnie powiedziała. Nalegała, żebym nie próbował się dowiedzieć i żebym obiecał, że nigdy ci nie powiem, że nie jesteś moim dzieckiem.

– Dlaczego? Czego się obawiała? – Właściwie chodziło mi o to *kogo.*

– To samo pytanie zadałem sobie od tamtej pory przeszło milion razy. Twoja matka nigdy mi tego nie powiedziała. Wyznała jedynie, że sądzi, iż jej życie jest zagrożone, podobnie zresztą jak twoje, i że oczekuje ode mnie, iż się z nią ożenię, a jeśli coś się jej przytrafi, zaopiekuję się tobą. Wymogła na mnie obietnicę, że nigdy ci nie powiem, że nie jestem twoim ojcem, o ile sama do tego nie dojdiesz.

Ciężko było sobie wyobrazić, że mój tato, wtedy osiemnastolatek, wziął na siebie taki ciężar.

– I ty się na to wszystko zgodziłaś?

– To przecież była Aviana. Dla niej zrobiłbym wszystko. – Na chwilę zabrakło mu słów. – Poza tym to, o co prosiła, w pewnym sensie odpowiadało temu, czego zawsze pragnąłem. Żeby być z nią. Myślałem, że razem przeżyjemy resztę życia. Do głowy mi nawet nie przyszło, że mogłaby... – Znow umilkł. Do głowy mu nawet nie przyszło, że mogłaby umrzeć. Ale umarła, niedługo potem.

Sądziła, że jej życie jest zagrożone, a dziewięć miesięcy później już nie żyła.

A jeśli jej śmierć nie była czystym przyпадkiem?

W nocy nie spałam, zbyt wiele miałam do przemyślenia. To wszystko wydawało się nieprawdopodobne, ale przecież nie wiedziałam, z kim mama miała do czynienia. Nawet Griffin

nie wiedział. Brakowało tu kawałka łamigłówek, i to całkiem pokąźnego, a nie miałam najmniejszego pojęcia, gdzie go szukać. O drugiej w nocy zapaliłam światło. Nie mogłam dłużej leżeć w ciemności, ściskając dziecięcy koc, który moja mama uparła się skończyć. Nie mogłam jednak skłupić się też na czekającej mnie górze zadań domowych. Na stoliku nocnym wciąż leżał pożyczony od Northa egzemplarz *Raju utraconego*, gdzie kartą zostawioną mi przez mamę zaznaczyłam stronę, z której pochodził widniejący na niej cytat. Wzięłam do rąk tę książkę i usadowiłam się na łóżku, po czym przesuwając palcami po szwach na kocu, na głos przeczytałam słowa:

We wszystkim bywszy Działaczami,
W tem, co sądzili, i w tem, co obrali sami,
Bom ich wolnemi stworzył i wolni zostaną,
Mimo niewolę grzechu przez siebie obraną,
Inaczej musiałbym ich zmienić w ich przyrodzie
I mieć ów nieodzowny Wyrok na odwodzie,
Co urządził ich wolność wiecznemi prawami,
A oni urządzili własną zgubę sami.

North miał rację. Słowa wymawiane głośno stawały się w jakiś sposób bardziej zrozumiałe. *We wszystkim bywszy Działaczami*. Milton mówił tu, że zawsze mamy możliwość dokonywania właściwych wyborów, choćbyśmy nawet rzadko z niej korzystali. Na myśl zaraz przysły mi skojarzenia Pitagorasa związane z ipsylonem. A także *timshel* z pierścienia Griffina. Cnota lub przywara, możesz lub nie możesz, zawsze miało się wybór.

Położyłam książkę na kolanach i podniosłam gemini, obracając je w rękach. Pierwszy raz wyczułam Zwątpienie, zanim się odezwało, tak jakby mój umysł przygotował się na jego słowa.

Podnosisz je i nosisz, umieszczasz tam, gdzie jego miejsce, i pozostaje tam; poruszyć się nie może.

Jeśli mu się wyplakujesz, nie zdoła odpowiedzieć ani nie wybawi cię od kłopotu.

Te słowa, te dziwne sformułowania – jakbym miała do czynienia z jedną z zagadek stowarzyszenia. Tu jednak nie musiałam się głowić nad odpowiedzią. Trzymałam ją w ręku. Uderzyło mnie nagle jako coś skrajnie absurdałnego, jakim szacunkiem darzyłam ten niewielki prostopadłościan. Zupełnie jakby wewnątrz tych dziesięciu centymetrów metalu i oprogramowania kryły się tajemnice wszechświata.

Odłożyłam gemini na stolik i skierowałam wzrok z powrotem na książkę Northa. Na górnym

marginesie następnej strony widniało imię Kristyn, wypisane ciemnoczerwonym atramentem i pętlastym charakterem pisma, wraz z numerem telefonu. Kierunkowy właściwy dla Bostonu.

– Świetnie – wymamrotałam.

Tyle jeśli chodziło o odprężenie się dzięki poezji. Uporałam się z obsesyjnym myśleniem o mamie tylko po to, żeby rozmyślać o dziewczynie, która wpisała Northowi do książki swój numer telefonu. Była kimś, z kim spotykał się w Bostonie? Kristyn przez y pasowało do gorącej laski. Z tego, co wiedziałam, w życiu Northa roilo się od gorących lasek. Czy z którąś z nich kiedyś sypiał? W dziedzinie podrywów niewątpliwie miał doświadczenie – można to było stwierdzić choćby po tym, jak całował. Na myśl o tym, jak ja całowałam, zapiekły mnie policzki. Czy North potrafił stwierdzić, jak bardzo brak mi było doświadczenia?

Z westchnieniem zamknęłam książkę i odłożyłam z powrotem na stół, wymieniając ją na gemini. Od kilku godzin nie sprawdzałam statusu Griffina, kliknęłam więc Forum i przefiltrowałam moją listę aktualności pod kątem hasztaga #GriffinPayne. Ostatniej oficjalnej aktualizacji dokonano tuż po północy.

@Gnosis: @GriffinPayne przygotowujący do nagłej operacji mózgu. Najaktualniejszych informacji o jego stanie szukaj w @GnosisNews. #GriffinPayne #Gnosis

Operacja mózgu. Jako że wyczerpałam zapas łez, suchymi oczami wpatrywałam się w ekran, aż zasnęłam.

Obudził mnie gwar dobiegający z dziedzińca. Jakieś chłopaki z ogromnym zapałem grali w ultimate frisbee, sądząc z odgłosów, przy wtórce niemałej grupy czirliderek. Nadal ścisnęłam gemini, toteż przed wstaniem z łóżka szybko sprawdziłam status Griffina. Oficjalna aktualizacja, dokonana o siódmej, a więc nieco ponad dwie godziny temu, głosiła, że operacja jeszcze trwa i według zespołu chirurgicznego przebiega pomyślnie.

Podniesiona na duchu tą dobrą nowiną ochlapałam sobie twarz wodą i zajrzałam do szafy Hershey, szukając czegoś do włożenia. W szalonym wirze przygotowań do bankietu znowu przegapiłam termin prania, jeśli więc nie chciałam wyglądać na osobę bezdomną, musiałam ubrać się w coś z jej ciuchów. Dziekanat poprosił mnie o spakowanie rzeczy Hershey – należało je wysłać jej rodzicom – ciągle to jednak odkładałam, głównie dlatego, że tym samym musiałabym się pogodzić z faktem, że już nie wróci. Pokorespondowałam na Forum z kilkoma jej przyjaciółkami z rodzinnych stron i jedna z nich powiadomiła mnie w piątek, że jej rodzice słyszeli od rodziców Hershey, iż przed wejściem na pokład samolotu do Seattle Hershey wypłaciła z bankomatu na bostońskim lotnisku tysiąc sześćset dolarów, a państwo Clements przyjęli, że córka wróci dopiero, gdy skończą się jej te pieniądze. Wierzyć mi się nie chciało, że aż tak bardzo nic ich nie ruszało. Nie wątpiłam, że Hershey potrafi o siebie zadbać, mimo to wciąż

się o nią martwiłam i zakładałam, że jej rodzice też powinni, tym bardziej że od dnia zniknięcia nie dała znaku życia żadnej ze swych przyjaciółek w Seattle.

Poszłam do centrum miasteczka drogą, nie chcąc zabłócić butów Hershey. Idąc, czytałam w Panoptikonie artykuł o Griffynie, na tyle zaktualizowany, że pojawiła się w nim już wzmianka o wylewie, oczywiście jednak niemówiący nic o mojej mamie. W sumie było to nawet dziwne, że nikt nie dotarł do aktu ich małżeństwa. Dziennikarze słynęli z wygrzebywania tego typu spraw. Przeskoczyłam na stronę Gemini Gold. Sprzedaż tego urządzenia, prawie o połowę mniejszego od poprzedniego modelu, za to z dwukrotnie większą pamięcią i baterią o nieskończonej żywotności (po przypięciu do olstra na przegubie zasilaną przez ruchy użytkownika i zdolną utrzymać ten ładunek jeszcze godzinę po wypięciu), miała się rozpocząć w poniedziałek rano, a na tej samej stronie przed niespełną godziną pojawiła się też wypowiedź naczelnego dyrektora finansowego Gnosis, że firma ma nadzieję, iż konsumenci udzielą Griffinowi wsparcia, zamawiając w przedsprzedaży urządzenie, w którego wprowadzenie na rynek włożył tyle trudu. Tak jawny chwyt marketingowy przyprawił mnie o zgaę, tym bardziej że wiedziałam, iż zadziała. A ludzie i tak nie potrzebowali tego rodzaju zachęty: Gnosis oferowała Gemini Gold w cenie o ponad połowę niższej niż starszy model tej marki.

Zajrzałam do Paradiso po dwie kawy.

– Już druga rundka? – spytał facet przy kasie, kiedy złożyłam zamówienie. North kiedyś mi go przedstawił, ale nie mogłam sobie przypomnieć jego imienia. Może Blake? Obdarzyłam go zdziwionym uśmiechem.

– Druga rundka?

– Ledwie dwadzieścia minut temu był tu North – wyjaśnił.

– Hm. W takim razie nie ma sprawy. – Schowałam handheld i ruszyłam do mieszkania Northa, cała uśmiechnięta. Zamówił mi kawę.

Kiedy drzwi się otworzyły, pojęłam, że tamta kawa nie była dla mnie. W osłupieniu przyglądałam się dziewczynie pod framugą. Hershey na mój widok wyszczerzyła się i oparła rękę na biodrze.

– Niezłe wdzianko, suko.

ROZDZIAŁ 23

Hershey! Co tutaj robisz?

Uśmiechnęła się ironicznie.

– Co, miałaś nadzieję, że padłam trupem i możesz zawładnąć moją szafą?

– Skąd! Oczywiście...

– Żartowałam – oznajmiła ze śmiechem i chwyciła mnie w ramiona.

– Tak się cieszę, że nic ci nie jest – wyznałam jej włosom.

Zza Hershey wyłonił się North.

– Zamknijcie drzwi – powiedział, wciągając mnie do środka.

Hershey klapnęła na kozetkę, podciągając nogi i biorąc ze stolika papierowy kubek. Przycupnęłam na skraju tego stolika. Była bledsza niż zwykle, jednak nie chorobliwie, ale raczej z braku pudru brązującego w sprayu, wyglądało też na to, że trochę straciła na wadze.

– Jak wróciłaś? – spytałam.

– Wcale nie wyjechałam – odparła, potrząsając włosami. – Zapłaciłam jednej dziewczynie za to, że skorzystała z mojego biletu w pierwszej klasie i wysyłała z mojego handheldu aktualizacje statusu. – Upiła łyk kawki. – Chyba genialnie to wymyśliłam.

– A co potem?

– Siedziałam w motelu kilka mil stąd, próbując dogrzebać się do jakichś brudów na temat Złej Królowej.

– Tarsus?

– Przykry z niej typ – prychnęła Hershey. – Tamtego ranka poszłam do jej domu powiedzieć, że już nie będę dla niej szpiegować. A trzeba było pójść prosto do dziekana. Spodziewałam się, że będzie się ze mną spierać lub przekonywać, że powinnam to ciągnąć, ale zachowała się tak, jakby nie miała pojęcia, o czym mówię. Jakbym sobie coś uroiła. Powiedziałam jej więc, że sprawa trafi do dziekana. Wtedy wspomniała coś o wysłaniu mnie na badania psychiatryczne, które na pewno wykażą u mnie jakieś załamanie nerwowe. – Zachnęła się ze wstrętem. – To było mocne zagranie. Przyparła mnie do muru. Powiedziałam jej więc, że sama odejdę.

– Tak mi przykro, Hersh. I co od tamtej pory robiłaś?

– Ograłam tę jędzę na jej własnym podwórku – odpowiedziała. Sięgnęła do skórzanej torby, leżącej u jej stóp, i wyjęła czip z danymi. Podała mi go. – To z jej tabletu. Wszystko na twój temat. Twój akt urodzenia, stare artykuły o tym, jak wygrałaś stanową olimpiadę naukową, i podobne bzdety, zrzuty z twojej strony na Forum, kilka fotek. Czymkolwiek jej podpadłaś,

zaczęło się to na długo przed twoimi staraniami o przyjęcie do Theden.

Włos mi się zjeżył.

– Jak to zdobyłaś?

– Bez obaw – ucięła nonszalancko Hershey. – Jestem ci to winna.

– Doceniam to, Hershey, ale gdyby cię przyłapali na włamaniu do jej biura...

– Nie włamywałam się. I nikt mnie nie przyłapał. – Wypiła kolejny łyk – Na twoim miejscu bardziej niż tym, jak go zdobyłam, przejmowałabym się jego zawartością.

Popatrzyłam na czip, leżący teraz na mojej dłoni. Doktor Tarsus miała mnie na oku całe moje życie. Dlaczego?

Raptownie podniosłam wzrok

– Znała moją mamę! – Wyszarpnęłam z tylnej kieszeni handheld i weszłam do moich zdjęć. – Była na jednym roku z mamą. Musiała być. To by też wyjaśniało, skąd zna Griffina.

Zasłużyłam na kopa, że wcześniej na to nie wpadłam. Mijając zrzut z dokumentacji medycznej mamy, dotarłam do fotek, które zrobiłam jej szkolnemu zdjęciu. Gdy się wypatrywało Tarsus, łatwo było ją namierzyć. Stała w ostatnim rzędzie, dokładnie za moją mamą, kilkanaście centymetrów wyższa od chłopaków po obu jej stronach. Nie ulegało wątpliwości, że to ona. Dziewczyna na zdjęciu wyglądała młodziej i jej afro nie było tak dopracowane, nie sposób było jednak nie rozpoznać tej samej urody, tej samej nieskazitelnej cery. Różniło je tylko to, że jej usta rozchylone były w ciepłym, radosnym uśmiechu. Na twarzy doktor Tarsus widywało się jedynie uśmiech lodowaty.

– To ona – powiedziałam prawie bez tchu. – To ona sfalszowała dokumentację medyczną mamy i wysłała Griffinowi fałszywe wyniki testu ciążowego.

– Myślisz? – North nie wyglądał na przekonanego.

– Wspomniała o chorobie mamy – wyjaśniłam, nie zwlekając. – Pewnego dnia, po zajęciach. A jeśli Griffin mówił prawdę, mama nie miała AZP. Przynajmniej nie zdiagnozowano go u niej. Skąd więc Tarsus mogła wiedzieć o tej lewej diagnozie, jeśli sama jej nie sfabrykowała? – Kiedy to mówiłam, przemknęło mi przez myśl, że coś tu nie gra, nie udało mi się jednak tego uchwycić.

– Pogubiłam się – przyznała Hershey zdeorientowana. – Co za Griffin?

– Griffin Payne – powiedziałam. – Mój ojciec.

Rozdziawiła usta.

– Weź przestań. Serio?

– Wyszła za niego za mąż – wyjaśniłam. – Jeszcze w szkole. Nikomu jednak o tym nie mów. Nikomu, Hershey.

– Z kim miałabym o tym gadać? Przecież jestem zbiegiem. – Znów rozparła się na poduszkach. – Griffin Payne to twój ojciec. Łał. Jeśli wykłuje, będziesz miliarderką.

Obrzuciłam ją kosym spojrzeniem.

– To było urocze, Hershey. – Spojrzałam znów na Northa. – Za tym stoi Tarsus. Jestem tego pewna. Pytanie tylko dlaczego.

Właśnie wtedy mój handheld brzęczeniem zaanonsował nową wiadomość. Wysłano ją z dziekanatu.

@dziekanat: *Proszę się niezwłocznie stawić w biurze dziekana.*

– Cholera.

– Co się dzieje? – spytał North.

– Dziekan Atwater zrywa mnie na dywanik – powiedziałam załamana. – Musi wiedzieć wszystko o wczorajszym wieczorze.

– Może powinnaś powiedzieć mu prawdę – zasugerował. – O Tarsus, twojej mamie i Griffinie. Raz o ciebie zawańczył, może powtórzy.

– Racja – przyznałam, choć wielkich nadziei nie miałam. Tak zuchwałe złamanie regulaminu równało się natychmiastowemu skreśleniu z listy. Jeżeli Tarsus mnie widział, dziekan będzie miał związane ręce.

North odprowadził mnie na kampus.

– Żałujesz, że się wybraliśmy na ten bankiet? – zapytał.

Potrząsnęłam głową przecząco.

– Nie. Gdybyśmy tam nie pojechali, nie byłabym pewna co do Griffina.

North się uśmiechnął.

– A on nie dowiedziałyby się o tobie. Widziałem wyraz jego twarzy, gdy mu to powiedziałaś. Szok, który przeszedł w samą radość.

Kilka minut szliśmy w milczeniu.

– Co mam zrobić, jeśli mnie wywalą? – zapytałam cicho, gdy widać już było bramę kampusu. – Theden jest dla mnie wszystkim.

– Bo łączy cię z twoją mamą?

– Nie tylko o to chodzi – odpowiedziałam, czując, jaka jestem bezradna. – Wcześniej nigdy nie czułam się u siebie. W tamtej szkole zawsze byłam tą dziwną dziewczyną. Nie dość wyluzowaną, żeby udawać, że mi to wisi. Tutaj zaczynam czuć się sobą, rozumiesz?

– Są jeszcze podobne miejsca – stwierdził North. – Szkoły, którym ktoś taki się marzy.

– Żadna z nich nie jest Theden – powiedziałam. – Ani trochę jej nie przypominają.

W głębi mojego gardła rosła wielka gula. Chętnie bym ją połknęła. Płacz w niczym by mi nie pomógł. Dziekan będzie oczekiwał po mnie bardziej racjonalnego podejścia.

– Cokolwiek się stanie, masz jeszcze mnie – rzekł North. – Choć wiem, że to marna pociecha.

Splotłam swoje palce z jego.

– Nie. Wcale nie marna. To wiele znaczy.

Zagryzłam wargę. Może to było głupie, ale nie potrafiłam wyprzeć ze swojej głowy pewnego imienia i numeru telefonu. Pętlaste go dziewczęcego pisma. Czerwonego atramentu.

– Mogę cię o coś spytać?

– Pewnie – odpowiedział.

– Kim jest Kristyn? – zapytałam najswobodniej, jak potrafiłam.

North spojrzął na mnie, nie rozumiejąc.

– Jaka Kristyn?

– Imię i numer telefonu, zapisane w *Raju utraconym*. Kristyn przez y. To jakaś była dziewczyna?

Zatrzymał się raptownie.

– Nigdy nie spotykałem się z nikim o imieniu Kristyn i z całą pewnością nie było tego zapisu w książce, kiedy ci ją pożyczałem.

– Ależ musiał być – oświadczyłam. – Ja na pewno go nie umieściłam.

– Mówię ci, Rory, ta książka, kiedy ją kupowałem, była w stanie niemal idealnym. Żadnych podkreśleń, żadnych śladów łez. Na dowód mam certyfikat. I zanim ci ją wręczyłem, ani na chwilę nie opuściła mojego mieszkania.

– To skąd się wziął ten wpis?

– Pojęcia nie mam – stwierdził. – Powiedziałś, że tam było imię i numer telefonu. Pamiętasz może ten numer?

Wyrzuciłam z siebie te cyfry, zawstydzona, że je zapamiętałam.

North wkładał je do swojego handheldu.

– Zobaczą, co się da znaleźć – powiedział. Doszliśmy do bramy kampusu. – Powodzenia u dziekana.

Potrzebne mi było to życzenie, jednak z innego powodu, niż przypuszczałam.

– Co roku mniej więcej z tuzinem naszych najzdolniejszych podopiecznych nawiązuje kontakt grupa uczniów podająca się za tajne stowarzyszenie – znalazł dziekan Atwater ze śmiertelną powagą. Siedziałam w jego gabinecie, naprzeciw niego, na brzegu wielkiego krzesła krytego skórą. – Grupa ta nie reprezentuje żadnej legalnej organizacji studenckiej, nie ma więc prawa urządzać spotkań na terenie kampusu.

Umilkł, jakby czekając, że podskoczę. Zadbłam o obojętny wyraz twarzy,

– Tajne stowarzyszenie?

– Rory, należysz do naszych najbardziej obiecujących uczniów – podjął przerwany wątek –

Nie tylko ze względu na twoje wrodzone zdolności, ale i za sprawą dokonań w naszej akademii. Jeżeli utrzymasz ten kurs, możesz ukończyć naukę jako najlepsza na roku.

Poczułam na górnej wardze krople potu.

– Takim mam cel – powiedziałam, niezbyt chyba przekonująco.

– Jeżeli jednak zwiążesz się z tą tajemniczą grupą, nie pozostanie mi nic innego poza wykreśleniem cię z naszego programu. – Uśmiechnął się życzliwie. – Ale jeśli jeszcze nie ślubowałaś im wierności, można tę kwestię uporządkować.

– Nic nie wiem o żadnym tajnym stowarzyszeniu – zapewniłam, wściekła, że głos mi drży. –

Nikt nie kontaktował się ze mną w tego typu sprawie.

– Wiem, że z czymś takim wiąże się swoiste poczucie prestiżu. Człowiek czuje się wybrany, może nawet powołany na członka elitarnej grupy, rozumiem więc, jak bardzo może się to wydawać kuszące. – W jego oczach rzeczywiście było zrozumienie. I życzliwość. – Musisz jednak mieć na względzie swoją przyszłość, Rory. Swoją zaiste świetlaną przyszłość, którą związanie się z tą grupą mogłoby rychło zaprzepaścić.

Zawahałam się, przez chwilę nawet rozważałam wyjawienie mu prawdy. To stowarzyszenie jednak w szczególności wiązało mnie z mamą.

– Rozumiem – powiedziałam. – Jeżeli się ze mną skontaktują, na pewno pana powiadomię.

– Doskonale – odrzekł, wstając. – Ufam też, że naszą rozmowę zachowasz dla siebie.

Dyskrecja ma tu kluczowe znaczenie, inaczej bowiem moje działania wpędzą ich w jeszcze głębsze podziemie. – Wcisnął guzik osadzony w biurku, otwierając drzwi za mną.

– Oczywiście – potwierdziłam.

Do mieszkania Northa przybiegłam niemal w podskokach.

– Jesteś uśmiechnięta – stwierdził, otwierając drzwi. – Nie wywalili cię.

– Nie – oznajmiłam radośnie. – Nie ma pojęcia o zeszytych wieczorze.

– O co więc mu chodziło?

– Miał tylko kilka pytań o zajęcia pozalekcyjne – odpowiedziałam, unikając wzroku Northa.

Nienawidziłam go okłamywać, uważałam jednak za wątpliwe, by zobowiązania wobec stowarzyszenia dopuszczały ujawnienie jego istnienia chłopakom przyszłych członkiń.

– To świetnie – powiedział. – Ja też mam dobre nowiny. Numer telefonu, który mi podałaś, pasuje do imienia. Należy do Kristyn Hildebrand, psychiatry klinicznego z Harvardu. Taka sama pisownia: Kristyn.

Ramiona pokryła mi gęsia skórka. Znałam to nazwisko.

– Znajdziesz ją w dokumentacji medycznej mojej mamy! Dr K. Hildebrand. Jej podpis widnieje przy każdym z tych fałszywych wpisów.

Chwycałam go za ręce.

– To kto zapisał jej imię w mojej książce?

– Nie wiem. Może ta sama osoba, która włożyła mi pod poduszkę odpis arkusza ocen mamy.

Ktokolwiek to był, z tą kobietą musimy porozmawiać.

Wyciągnęłam gemini i zaczęłam wbijać numer. North złapał mnie za rękę.

– Nie mów jej, kim jesteś – upomniał. – Jeśli jest jedną z osób z twojej listy zagrożeń, ty również jesteś na jej liście. Lux odradzi jej spotkanie z tobą.

Odłożyłam telefon.

– Masz rację. Lepiej będzie, jeśli załatwię to osobiście. Kompletnie ją zaskoczę. Możemy teraz tam jechać?

– Ja nie mogę – odparł North. – Od południa pracuję. Kate dzwoniła, że jest chora.

Spojrzałam na Hershey.

– Na mnie nie patrz – powiedziała. – Ja się ukrywam.

– Słuchaj, wiem, że palisz się do rozmowy z tą kobietą – powiedział łagodnie North – czy jednak nie powinnaś zacząć do poniedziałku, gdy będzie w swoim gabinecie? Jeśli pojawisz się u niej w domu, jej czujność momentalnie wzrośnie. Nie mówiąc o tym, że nie mamy pojęcia, gdzie mieszka.

Miał rację, choć zdawało się, że od poniedziałku dzieli mnie cała wieczność.

– Okej – westchnęłam. – Zaczęłam.

Gdy odkładałam handheld, zabrzączał, bo przyszła wiadomość. Nadawca nieznany. Greckie litery, które zmieniły się w nasz alfabet:

Przeszłaś naszą selekcję, Zeta. Dobra robota. Bądź przy wschodniej bramie cmentarza Garden Grove o 22:25. Nie wcześniej. Nie później.

– Kolejne dobre nowiny? – spytał North. Tak byłam rozpromieniona.

– Oj, tak – potwierdziłam, prędko chowając gemini. – Szkolne sprawy.

Hershey obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem. Nie kupiła tego, ale wolała nie sprawdzać.

– A skoro mowa o sprawach szkoły – dodałam jeszcze – chyba muszę lecieć. Mam górę prac do...

– O, Griffin jest już po operacji – powiedziała Hershey, wskazując ekran telewizora. Dźwięk był wyciszony, ale pasek u dołu informował: *Prezes Gnosis Griffin Payne wkrótce rozpocznie rekonwalescencję po dziewięciogodzinnej operacji mózgu.* Odetchnęłam z ulgą.

– Wyjdzie z tego – powiedziałam już prawie bez tchu. – Hej, a co odkryłeś w sprawie Becka? – zapytałam nagle, znów odwracając się do Northa. Przez to całe poranne szaleństwo zapomniałam, po co do niego przyszłam. – Udało ci się zhakować jego profil?

Hershey natychmiast wbiła w niego wzrok

– Czekaj, jesteś hakerem?

Skrzywiłam się. Zauważyła to.

– No co? Nikomu nie powiem – zapewniła.

– On nie jest hakerem – powiedziałam prędko. – Poprosiłam go, żeby spróbował...

– Rory, wszystko gra – wtrącił North. – Ja jej ufam. Niestety nie, nie udało mi się zdobyć dostępu do profilu Becka. W sumie zdobyłem, ale tam był tylko element zastępczy. Dane przeniesiono na inny serwer.

– To dziwne, prawda?

– Wcale nie. Przyuszczam, że Gnosis buduje dla Golda nową infrastrukturę, a profil Becka przeniesiono do niej, gdy włączył się w test beta. Powinienem móc się tam dostać. Najpierw jednak muszę ją znaleźć.

– Ooch, ten twój chłopak jest całkiem zabójczy, gdy mówi po hakersku – stwierdziła bez ogródek Hershey.

Przewróciłam oczami.

– Weź lepiej nic nie mów, Rory Vaughn – powiedziała, opierając rękę na biodrze. – Przecież się za mną stęskniłaś.

Mogłam się tylko uśmiechnąć. Miała rację. Brakowało mi jej.

Punktualnie o 22:25 stanęłam pod bramą cementarza. Po raz pierwszy od dawna posłużyłam się Luxem, nie chcąc zaryzykować, że coś się pokręci z czasem przybycia.

U bramy czekała już zakapturzona postać, niczym jakiś upiorny, ponury żniwiarz. Pod płaszczem przeszedł mnie dreszcz.

– Hej – powiedziała ta zjawa, gdy do niej podeszłam, a znajomy głos sprawił, że od razu się rozluźniłam. To był Liam. – Gotowa?

– Tak – odpowiedziałam i wysunęłam język.

Powietrze na arenie było zimne i nieruchome. Raz po raz mrugałam, żeby oczy dostosowały się do mroku. Były też inne osoby, słyszałam szelest szat, wokół siebie widziałam jednak tylko smolistą czerń.

Kolejne minuty upływamy w niemal zupełnej ciszy. Czekałam i wytężałam wzrok stopniowo rozróżniając w mroku sylwetki ludzi. Schodzili się dwójkami, jeden prowadził drugiego we właściwe miejsce na kamiennych stopniach. Im więcej osób się schodziło, tym bardziej narastał szum, nikt się jednak nie odzywał.

I nagle z tej ciszy dobiegły słowa:

– Gratulacje! Czas oceny dobiegł końca. Jedenaścioro z was przeszło naszą próbę.

Rozpoznałam głos węża, mechanicznie zniekształcony, jak poprzednio, wolny już za to od aury obrzędowości. Był przyjazny i swojski, pomimo tego zniekształcenia, nawet jakby znajomy.

– Wiem, że macie pytania. Kim jesteśmy? Gdzie teraz jesteśmy? O co chodzi z tymi maskami? – W mroku tu i ówdzie dał się słyszeć nerwowy śmiech. – Obiecuję wam, że na wszystkie pytania już niedługo poznacie odpowiedź. Teraz mogę wyjawić wam jedno: jesteśmy *hoi oligoi sophoi*. Nieliczni Mądrzy. Lub po prostu Nieliczni.

W dole rozbłysło światło, bo scenę otoczył pierścień ognia. Wąż stał na środku, w przesadnie dużej złotej koronie. Przywiódł mi nią na myśl księcia Jana ze starej kreskówki *Robin Hood* ¹ i aż musiałam zagryźć wargi, żeby się nie roześmiać.

– Zostaliście wybrani – obwieścił wąż, podnosząc głos ponad trzask płomieni. – Teraz wy musicie dokonać wyboru. Jeżeli do nas dołączycie, zostaniecie poproszeni o poświęcenie życia służbie innym. O wykorzystanie swych darów dla udoskonalenia ludzkości. Będziecie powołani do większego, daleko znacniejszego celu. Zobaczycie świat nie takim, jaki jest, ale jakim mógłby być.

Zobaczycie świat nie takim, jaki jest, ale jakim mógłby być. Dokładnie tak działało Zwątpienie. Dostarczało oczu pozwalających ujrzeć coś więcej niż bieżącą chwilę. *Do większego, daleko znacniejszego celu.* Tak Tego właśnie pragnęłam. Żyć w imię czegoś więcej niż ja sama.

– Inicjacja nastąpi za dwa dni – dotarł do mnie głos węża. – Do tego czasu podejmijcie decyzję. Wybierzcie mądrze, przyjaciele.

Bolało mnie prawe kolano. Stałam w nogach swojego łóżka, trzymając sakwę z czarnego aksamitu, ciasno zawiązaną złotym sznurem. Na łóżku świeciło się moje gemini. Na ekranie otwarty był notatnik

Przyłóż do kolana lód. – L.

Popatrzyłam na dżinsy Hershey. Na prawym kolanie zdarte i zabłocone. Zrzuciłam kopnięciem buty i szarpiąc za sznur, otworzyłam sakwę. W środku była peleryna ze szkarłatnego aksamitu, z symbolem zety i liczbą trzydzieści wyszytymi złotą nicią na jednej z pól.

– Juhuu! – wrzasnęłam, puszczając się w niezdarny taniec zwycięstwa.

Przyjęli mnie.

1. *Robin Hood* (1973), reż. W. Reitherman. Klasyczny pełnometrażowy film rysunkowy z wytwórni Walta Disneya. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 24

Niedziela upływała pod znakiem niepokoju, ekscytacji i nadziei. Niepokoiłam się o rekonwalescencję Griffina, byłam podekscytowana perspektywą inicjacji i żywiłam nadzieję, że doktor Hildebrand dostarczy mi informacji, których tak desperacko łaknęłam. Cały ten dzień spędziłam u Northa, na koczce, przedzierając się przez zadania domowe, dowiedziawszy się, ku swemu zaskoczeniu, że Hershey też się wzięła za naukę, i to pełną parą. Powiedziała, że nie chce mieć zaległości, kiedy będzie mogła wrócić. Dla Hershey nie istniało „jeżeli”. Postanowiła, że wróci do Theden przed końcowymi zaliczeniami. Trochę dziwne mi się wydawało, że wciąż przebywa u Northa, mimo że narzucała mu się w noc po ich pierwszym spotkaniu, ale skończyły się jej pieniądze i nie miała dokąd pójść, a North, jak to North, zaproponował jej gościnę. Na razie więc stanowiła stały element wystroju jego salonu.

W niedzielę wieczorem zmusiłam się do powrotu na kampus, na kolację. Przy okazji drugiego śniadania wpadłam na Rachel i Izzy, które napomknęły, że mało mnie ostatnio widują. Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, jak wiele czasu spędzam u Northa. Od tygodnia nie jadałam obiadów w stołówce. Stołowanie się na kampusie nie było żadnym obowiązkiem, jednak aplikacja Theden rejestrowała nasze pobyty w stołówce, zakładałam więc, że administracja też może je śledzić. Nie miałam ochoty na tłumaczenie komukolwiek, gdzie spędzam czas. Teraz, gdy już wiedzieliśmy, że Tarsus śledzi każdy mój ruch, robiliśmy z Northem wszystko, by nasze relacje utrzymać poza zasięgiem jej radaru. North nie mógł dopuścić, by ktoś bliżej interesował się jego życiem. Fasada, którą wznosił, była na to za wąta.

Przy stoisku z makaronami tuż za mną znalazł się Liam.

– Hej – powiedział, sięgając po talerz. – Muszę cię o coś spytać.

Przesunęłam tacę, robiąc mu miejsce.

– Okej.

– Ten koc na twoim łóżku – powiedział, zniżając głos. – Ten z różowymi haftami. Skąd go masz?

– Moja mama go dla mnie zrobiła. A co?

– Mama – powtórzył. Przytaknęłam.

– To kocyk z dzieciństwa – dodałam jeszcze.

– Jest na nim spirala Fibonacciego.

– Wiem o tym – stwierdziłam, lekko zaskoczona, że Liam ją rozpoznał.

– Czemu twoja mama wyhaftowała na kocu spiralę Fibonacciego?

– Nie wiem – przyznałam. – Umarła przy moim porodzie. Czemu tak cię to obchodzi?

– Ponieważ wzór na twoim kocu to plan naszego grobowca – odpowiedział jeszcze ciszej.

Przyjrzałam mu się w osłupieniu.

– Co?!

– Siedziby stowarzyszenia. Pod cmentarzem. To dziesięć sal zgodnych z proporcjami Fibonacciego. W układzie identycznym z tym na twoim kocu.

Wypuściłam z ręki szczypcę. Brzęknęły o ladę z nierdzewnej stali.

– Naprawdę?

– Tak. Ze wszystkich dostępnych wzorów wybrała na twój koc akurat ten?

– Moja mama też tu chodziła. Należała do stowarzyszenia.

Liam cofnął się o krok.

– Twoja mama była jedną z Nielicznych?

Potwierdziłam.

– Ipsylon, trzy naście. – Pokazałam mu wisiołek – Należał do niej. Zostawiła go dla mnie. Nie złamała ślubów ani nic takiego – zastrzegłam się prędko.

– Czemu nigdy przedtem o tym nie wspom... – Umilkł, gdyż do patelni z fettuccine podeszła właśnie Izzy.

– Hej – powiedziała, sięgając po szczypcę, które upuściłam. – O czym tak poszeptujecie?

– O niczym – odpowiedzieliśmy jednocześnie oboje. Izzy obrzuciła mnie porozumiewawczym uśmiechem.

– Puszczę ci później tekst – powiedział Liam i sobie poszedł.

– A więc to jest twój sekretny chłopak – pisnęła Izzy.

– Nie. To zdecydowanie nie on.

Izzy wydeła wargi.

– E tam. To kto nim jest?

– Wciąż jeszcze się nie ujawniamy – oświadczyłam, zastanawiając się, jak długo uda mi się to ciągnąć. Izzy usypiała na talerzu górę fettuccine Alfredo. Temu posiłkowi na pewno nie patronował Lux.

– Hej, zamówiłaś sobie golda? – spytałam. Pierwsze dostawy tych handheldów miały dotrzeć na pocztę na kampusie następnego ranka.

– Jak chyba wszyscy? – odpowiedziała. Temu musiałabym zaprzeczyć, bo ja nie zamówiłam. Już go nie chciałam.

Następnego dnia na obiedzie należałam do naprawdę nielicznej mniejszości. Na kampusie nie spotkałam nikogo, kto nie miałby na swoim przegubie golda. Według najnowszych statystyk to urządzonek pobiło wszelkie rekordy, stając się najszybciej sprzedawanym handheldem wszech czasów. Już rozesłano dwieście milionów sztuk, a z szacunków wynikało, że w ciągu dwóch

najbliższych dni sprzedaż się podwoi. To oznaczało, że pod koniec tygodnia z goldów korzyść będzie przeszło pół miliarda ludzi. Griffin po operacji pozostawał w śpiączce, a Gnosis robiła wszystko, by jak najwięcej z tego faktu wydoić. Popularność hasztagu #GoldydlaGriffina na Forum stale rosła, odkąd w piątek wieczorem Gnosis obiecała przeznaczyć jakiś procent z przedsprzedaży na wsparcie programu zapobiegania wylewom.

Wyszłam po historii, żeby spotkać się z Northem. Wybieraliśmy się do Cambridge pociągiem o pierwszej piętnaście, mając nadzieję złapać doktor Hildebrand tuż po obiedzie. Gdy zastukałam do drzwi, otworzyła mi Hershey, w obcisłych czarnych spodniach i rozpinanym sweterku z dekoltem w szpic, przeznaczonym niewątpliwie do noszenia wraz z T-shirtem. Ona jednak postawiła na czarny koronkowy biustonosz.

– Bez obaw – powiedziała, widząc moją minę. – To nie dla twojego chłopaka, tylko dla mojego. – Cofnęła się, żebym mogła wejść. – Twój jest w swoim tajemnym pokoju.

Wyluskałam się ze sfatygowanej niebieskiej kurtki, żałując, że nie mam na sobie czegoś fajniejszego. Hershey pozwoliła mi swobodnie sięgać po jej ciuchy, teraz jednak, skoro wróciła, czułabym się z tym dziwnie. Dlatego trzymałam się swoich rzeczy, i to tych najgorszych, bo wszystkie porządne zajmowały dolne partie mojego kosza w pralni.

– Ten twój to ten sam co przedtem?

Uśmiechnęła się niewinnie.

– Może. Hej, mam dla ciebie prezent.

Odwróciła się i podeszła do kózki, sięgnęła pod poduszkę i wyjęła spod niej dużego formatu książkę w twardej oprawie.

– Co to jest? – spytałam.

– Kronika szkolna Złej Królowej. Rocznik 2013 był ostatnim, dla którego utrwalono ją na papierze.

– Skąd ją masz?

– Pomyślałam, że może podsunąć jakieś tropy – stwierdziła, unikając odpowiedzi na moje pytanie.

– Hershey, to nie jest zabawa. Nie wiemy, do czego jeszcze zdolna jest ta kobieta.

– Nie boję się jej – odparła, sięgając po kurtkę i ciemne okulary. – To tylko wredna baba, której trzeba pokazać, gdzie jej miejsce.

Potrząsnęła włosami i otworzyła drzwi.

– Aha. – Odwróciła się jeszcze. – North czekał na to. – Wskazała leżące na stoliku pudełko oznaczone logo Gnosis. – Przyшло kilka minut temu.

Posłała mi całusa i już jej nie było.

Wzięłam pudełko i zanosłam je do szafy w sypialni. Drzwi do sekretnego pokoju Northa były

uchylone. Widziałam, że siedzi przy biurku, odchylając się na krześle, z zamkniętymi oczami, lekko kołysząc głową, jakby słuchał muzyki. Tyle tylko, że w pokoju panowała cisza.

– Hej – powiedziałam, zaglądając do środka.

North nie zareagował. Zupełnie jakby mnie nie słyszał. Spróbowałam jeszcze raz, głośniej.

– Hej!

Tym razem aż oczy wyszły mu z orbit.

– Chodź tutaj – powiedział, wychylając się, by chwycić mnie za rękę. – Musisz tego posłuchać.

Posadził mnie sobie na kolanach. Ledwie znalazłam się w tym samym położeniu co on, usłyszałam charakterystyczne brzmienie mandoliny Nicka, dochodzące z głośnika nad naszymi głowami. Podniosłam wzrok

– Cały czas tak było?

– Czadersko, nie? To jest tak zwany głośnik punktowy. Tylko osoba siedząca na tym krześle słyszy, co z niego dochodzi. Chociaż właściwie dźwięk dobiega nie z samego głośnika, a z fal ultradźwiękowych przed nim. Ale nie pytaj, jak to działa. Chociaż ze czterdzieści razy przeczytałam instrukcję, dalej tego nie łąpię. – Wyciągnął rękę, żeby przekrócić gałkę w szarej skrzynce stojącej na biurku, przez co muzyka stała się głośniejsza. – Ależ ta piosenka jest niesamowita, co? Chłopaki wypuścili dziś nowy album. To pierwszy kawałek

Była to jedna z piosenek, które nagraliśmy w mauzoleum. Oparłam się o Northa i zamknęłam oczy.

– Wciąż się nie mogę nadziwić, jacy są dobrzy – powiedziałam po jej zakończeniu, zsuwając się z kolan Northa. Uświadomiłam sobie, że cały czas trzymam tamto pudełko. – Hej, coś ci przysłali – powiedziałam, kładąc je na biurku.

– Chyba raczej Norwinowi – sprostował, rozcinając scyzorykiem taśmę klejącą.

W środku było jeszcze mniejsze lśniące czarne pudełeczko, ozdobione jedynie podobizną Golda i słowami POCHYLICIE GŁOWY wydrukowanymi na błyszczącej złotej folii.

– Ciekawe, czy dołączyli ołtarzyk – parsknął, podnosząc wieczko. Zajrzałam do wnętrza. Lśniące urządzonek przypięte było do przezroczystej silikonowej opaski.

North opiął nią przegub i się skrzywił.

– Strasznie jest tandetny.

Zachichotałam.

– Do pary brakuje ci teraz złotego łańcuszka na szyi.

Stuknęła w ekranik, włączając go. Była 12:35.

– Powinniśmy chyba iść – powiedziałam. – Wolę się nie spóźnić na nasz pociąg.

– Chcę ci najpierw coś pokazać – odparł North. – Odnalazłem w Luksie profil Becka.

Z miejsca się ożywiłam.

– I...?

– I powinnaś mu się przyjrzeć – powiedział, podjeżdżając z krzesłem do biurka. – Ty...

Muzyka nagle umilkła, jakby ktoś wyłączył głośnik. A jednak lampka zasilania na panelu kontrolnym nadal się świeciła. North, zdezorientowany, popatrzył na sufit. Przekręcił do końca gałkę głośności i z głośnika zaczęło dobiegać donośne pykanie. Ale nie muzyka.

– Rozwaliliśmy go?

– Nie sądzę – stwierdził, wyraźnie zaintrygowany. – Nawet nie było tak głośno.

Przechylił się w stronę drugiego końca biurka, gdzie znajdowała się wtyczka, i muzyka ryknęła. Dłonie same skoczyły mi do uszu, ale już szybko wracał do gałki głośności. Zanim jej dotknął, muzyka znów ucichła. Przyjrzał się goldowi na swoim przegubie. Powoli wyciągnął rękę. Znow sły chać było muzykę. Zbliżył przegub do piersi. Ucichła.

– Nie rozumiem. Co się dzieje?

– Sądzę, że się wzajemnie neutralizują – powiedział powoli North. – Ale żeby to było możliwe, gmini musiałyby emitować fale dźwiękowe o tej samej częstotliwości, co mój głośnik. Fale o bardzo wysokiej częstotliwości dla nas niesłyszalne. Czy raczej takie, których nie powinniśmy słyszeć.

– W jakim celu miałyby to robić?

North pokręcił głową. Wyglądał na zakłopotanego.

– Pojęcia nie mam. Tym bardziej że nie ma o tym mowy w nowej instrukcji.

Zdjął golda z paska i rzucił na stertę ubrań w szafie. Muzyka znów dała o sobie znać. Jeszcze raz pokręcił głową i przysunął się do biurka.

Jego komputer już się uruchomił. North kliknął zachowany na pulpicie dokument zatytułowany BECK.

– Pokaż mi najpierw zagrożenia – poleciłam.

Powiększył prawą dolną ćwiartkę tabeli. Przeskanowałam wzrokiem listę. *Niespodzianki. Zachody słońca. Burze. Zaćmienia słońca.*

– Nie. Najpierw zagrożenia – przypomniałam.

– To są zagrożenia – odparł.

– Ależ Beck uwielbia zaćmienia – zaoponowałam. – Należą do jego ulubionych zjawisk. A najlepsze koncepcje artystyczne rodzą się u niego o zachodzie słońca.

North przesunął kursor i powiększył ćwiartkę szans. *Przewidywalność, monotonna rutyna, pogoda umiarkowana, ludzie sukcesu, osiedla jednorodne, regularne dochody, stała praca.* Serce mi się ścisnęło.

– Nie. – Potrząsnęłam gwałtownie głową. – Tu nie chodzi o Becka.

Częściowo mi ulżyło. Nie byłam w stanie pogodzić zachowania Becka na bankiecie z chłopakiem, z którym dorastałam, z wolnym duchem, który sam wytyczał sobie ścieżki. Teraz rozumiałam.

– Lux nim manipuluje.

– Oczywiście, że tak – odrzekł North. – Tak właśnie działa Lux. Kieruje ludzi ku życiu, którego w swoim mniemaniu pragną, ku „szczęściu”, na które w swym odczuciu zasługują.

– Jednak to nie takiego życia pragnie Beck – zaprotestowałam. – Nie znasz go tak jak ja.

– W ogóle go nie znam – stwierdził North. – Mimo to, Rory, jeżeli Beck ufa Luxowi, to dlatego, że takiego wyboru dokonał. Nie można winić o to aplikacji.

A jednak ja tę apkę obwiniałam. Beck nigdy nie zdecydowałby się zmienić w całkiem innego człowieka – nawiasem mówiąc, w totalnego dupka – tylko po to, by ułatwić sobie życie. Mój najlepszy przyjaciel nie był aż tak płytki.

Pomóż mi, powiedziałam w duchu, zanosząc tę prośbę do wiadomego głosu. *Pomóż mi to rozpracować*. Czegoś tu wciąż nie widziałam, może nawet nie byłabym w stanie zobaczyć. Jeśli jednak nauczyłam się czegoś o Zwątpieniu, to tego, że ono potrafi widzieć. To, co jest poza moim zasięgiem. Potrzebowałam teraz takiego spojrzenia.

– Wiem, że trudno się z tym pogodzić – mówił dalej North – ale jedyną osobą winną tego stanu rzeczy jest sam Beck. To on podjął decyzję, że będzie słuchał...

Nagle ekran jego komputera znieruchomiał.

– Cholera – mruknął North, szybko pisząc całą serię komend. Ekran ani drgnął.

– Co się stało?

– Nie wiem – odpowiedział, przytrzymując wciśnięty guzik zasilania. Po kilku sekundach ekran zrobił się czarny, potem zapalił się na niebiesko. Taki już pozostał.

– Oj. Źle to wygląda – zauważyłam. Znane mi były opowieści o awariach starych komputerów, o straszliwym niebieskim ekranie. Urządzenia Gnosis rzadko kiedy się psuły.

– Kopie bezpieczeństwa wykonuję co dziesięć minut, afery więc nie ma, gdy się coś usmaży. Wolałbym jednak nie wydawać na sprzęt kolejnych dziesięciu patoli.

– Te komputery są warte dziesięć tysięcy dolarów?

– Pierwotnie nie były. Dziś jednak nie robi się już komputerów z twardymi dyskami. Wszystko jest w chmurze. Ja potrzebuję sprzętu robionego na zamówienie przez gości, którzy zanim zeszli do podziemia, pracowali dla Apple'a. – Zerknęła na zegarek – Mamy jeszcze dwadzieścia pięć minut. Masz coś przeciwko, żebyśmy po drodze na stację podrzucili go do serwisu?

Zobaczyłam za ladą Noelle, weszłam więc z Northem, żeby podziękować jej za pożyczenie sukienki. Tym razem towarzyszył jej starszy pan. Uznałam, że to jej dziadek. Na widok Northa

wchodzącego z laptopem uśmiechnął się.

– Załatwiłeś kolejny? – spytał.

– Mam nadzieję, że trzeba mu tylko dotyka Ivana – stwierdził North, kładąc komputer na ladzie. Wzrok starszego pana powędrował na mnie.

– A kóż to taki? – zapytał.

– Jestem Rory – powiedziałam. – Miło mi pana poznać.

Sięgnął nad ladą po mój wisiorek

– Od lat takiego nie widziałem – oznajmił. – Skąd go masz?

– Należał do mojej matki – wyjaśniłam.

– Co na nim trzymasz?

Skonsternowana, spojrzałam na wisiorek

– Co trzymam na moim naszyjniku? Nie rozumiem...

Chwycił go kciukiem i palcem wskazującym, po czym przesunął kciuk. Przednia część medalika wysunęła się, odsłaniając niewielki interfejs.

– To thumb drive – powiedział. – Nie wiedziałaś?

– Nie wiem nawet, co to jest thumb drive – przyznałam, wciąż przyglądając się wisiorkowi.

– Taki mały twardy dysk – W głosie Northa wyczuwałam chyba zdumienie zbliżone do mojego.

– To więc znaczy...

– Że coś na nim jest – dokończył za mnie North.

ROZDZIAŁ 25

Mieliśmy szczęście, że laptop Northa akurat wtedy zamarł. Po pierwsze, bo zawędrowaliśmy przez to do serwisu, gdy był tam Ivan, po drugie zaś dlatego, że sprzęt zastępczy, który od niego otrzymaliśmy, choć ciężki i powolny, miał coś, czego nie posiadało dziewięć laptopów Northa: port USB.

Z drugiej strony, nie wierzyłam w szczęście. Już nie. Poprosiłam Zwątpienie o pomoc i mi pomogło. Jeżyłam się i wzdrygałam, gdy Hershey sugerowała, że wsłuchiwanie się w jego głos ułatwia życie, ale to ona miała słuszność. Trudne było to całe miotanie się pomiędzy rozumem a wiarą. Gdy raz zdecydowałam się zaufać temu wciąż jeszcze wątlemu głosikowi w głowie, szalejąca we mnie burza ucichła.

– Jak można było się spodziewać, te pliki są zakodowane – rzekł North, wściekle tłukąc w klawiaturę trzymanego na kolanach laptopa. Na stację wpadliśmy na niespełna minutę przed planowym odejściem naszego pociągu i pędem wtargnęliśmy na peron.

– Uda ci się je otworzyć?

– Jeszcze nie wiem. – Przygryzł wargę, a brwi miał ściągnięte w zadumie.

Przycisnęłam czoło do zimnej szyby i wpatrując się w mgłę różnokolorowych liści za oknem pociągu, czekałam.

Gęstwa drzew ustąpiła miejsca wysokiemu podwójnemu płotowi w rodzaju tych, które widuje się wokół więzień. W regularnych odstępach rozmieszczono na nim metalowe tabliczki: UWAGA: OGRODZENIE ELEKTRYCZNE.

– Hej, co tam jest? – spytałam Northa. I właśnie wtedy w polu mojego widzenia znalazła się budka wartownicza, a za nią strzeżony podjazd. W głębi widziałam olbrzymią połącz wodę.

– Aha, to zbiornik wodny – odpowiedziałam sama sobie. – Ale po co płot elektryczny i uzbrojony strażnik?

– Pewnie po to, by chronić zapasy wody. – North nadal zagryzał wargi i wgapił się w ekran. – Cholerka, jeśli to twoja mama napisała ten kod, była dobra.

Uśmiechnęłam się. Pomimo jego frustracji była to cenna pochwała.

Wróciłam do okna. Znajdowaliśmy się teraz na wprost wejścia na teren zbiornika, stojący przy nim kamienny znak widziałam więc już teraz pod innym kątem. Widniał na nim napis: ZBIORNIK WODNY ENFIELD. Obok tych słów wryty był symbol. Drzewo wyrastające z pary dłoni. To drzewo wyglądało dokładnie tak jak na moim znaczku z Theden.

Wyjęłam gemini i zajrzałam do Panoptikonu. Artykuł o Zbiorniku Wodnym Enfield był

zaskakująco skąpy.

Zbiornik Wodny Enfield, akwen śródlądowy, utworzony przez **Zaporę Wodną Enfield** na rzece Connecticut, na wschód od **Theden**, w stanie **Massachusetts**. Pojemność zbiornika wynosi dwa miliony **metrów sześciennych**. Jest jedynym źródłem wody w stanie Massachusetts pozostającym w prywatnym posiadaniu. Tereny, na których obecnie znajduje się zbiornik, zajmowała przed wzniesieniem zapory **Kopalnia Enfield**, głęboka na pół kilometra i tak samo szeroka kopalnia **pirytu**, otoczona pewnym rozgłosem pod koniec lat 80. minionego stulecia, kiedy to w wyniku zawału uwięzionych zostało tam dwunastu górników. W 1998 r. tereny kopalni nabyła **Inicjatywa Theden**, w związku z przygotowaniem do budowy zapory.

Inicjatywa Theden. Nazwa ta nigdy nie obla mi się o uszy, jednak to logo z drzewem w jakiś sposób wiązało ją z moją szkołą. Kliknęłam ten link

Inicjatywa Theden, utworzony w 1805 r. podmiot prywatny zarządzający szacowanym na około dwóch miliardów dolarów funduszem **Akademii Theden**. Pozostałe aktywa firmy obejmują rozległe dzierżawy w zachodnim Massachusetts, **Zbiornik Wodny Enfield** i kontrolny pakiet akcji w spółce **Gnosis**.

Potrzebowałam chwili, żeby to wszystko pozbierać. Kontrolny pakiet akcji Gnosis należał do podmiotu zarządzającego Theden? Jak mogłam tego nie wiedzieć? Wiele to jednak wyjaśniało. Te wszystkie gadzety Gnosis na kampusie. Obecność doktor Tarsus w radzie Gnosis. Nawet to, że nasze symulacje podczas Praktyk działały na zasadzie zbliżonej do Luxa. Sprawa zbiornika wodnego wyglądała bardziej zagadkowo. Była jakby nie z tej bajki.

Coś mnie tu dręczyło. Wróciłam do artykułu o zbiorniku.

Pojemność zbiornika wynosi dwa miliony metrów sześciennych.

W kilometrze sześciennym musiał się mieścić z miliard metrów sześciennych. Nie umiałam tego dokładnie policzyć w pamięci, ale pojemność kopalni musiała wynosić znacznie więcej niż te dwa miliony metrów sześciennych. Czemu więc nie wybudowano większego zbiornika?

Przeszłam do strony Kopalni Enfield i przejrzałam ją w poszukiwaniu jakichś tropów, nic jednak nie znalazłam. Na dłużej zatrzymałam się przy akapicie o zawale w kopalni.

*Przez osiem dni ratownicy kontaktowali się z dwunastoma uwięzionymi górnikami przez **otwór wiertniczy** o średnicy kilkunastu centymetrów, po przewierceniu blisko czterystu metrów skały. Niezbędne zapasy dostarczano im w wąskich, kształtem przypominających pociski*

raketowe paczkach nazywanych „gołębiami”, opuszczając je przez ten skalny tunel. Całą dwunastkę górników udało się w końcu wydobyć, przy pomocy wyciągarłki linowo-bloczkowej, po poszerzeniu do pół metra średnicy szybu ratunkowego prowadzącego do komory, w której zostali uwięzieni. Po tym wypadku kopalnię zamknięto.

Wysłam z Panoptikonu i oparłam głowę o zagłówek, rozmyślając o tych dwunastu górnikach. Nie potrafiłam sobie nawet wyobrazić, co musieli przechodzić uwięzieni pod ziemią. Chyba zasnęłam, bo następną rzezcą, jaką sobie uświadomiłam, było to, że North szarpie mnie za ramię, mówiąc, że już dojeżdżamy.

Gabinet doktor Hildebrand znajdował się w budynku William James Hall, na terenie harwardzkiego kampusu. Przechodząc przez Harvard Yard, czułam się jak intruz, przy bramach kampusu nikt jednak nie sprawdzał studentom kart. Właściwy budynek znaleźliśmy bez trudu.

– Udajesz więc, że godzisz się z tą diagnozą? – szepnął North, gdy wjeżdżaliśmy windą na piąte piętro, gdzie mieścił się gabinet. – Że uznajesz wszystkie wpisy za autentyczne?

– Tak będzie najlepiej. Powiem jej, że choroba mojej mamy rozbudziła we mnie zainteresowanie psychologią i że uznałam, iż szukając informacji, nie znajdę nikogo lepszego od osoby, która ją leczyła. Jeśli to rzeczywiście ona sporządzała te raporty, będzie udawać, że wizyty naprawdę miały miejsce.

– A ja kim jestem? – spytał North.

– Moim chłopakiem – odparłam i uśmiechnęłam się. – Mam szesnaście lat. Nic dziwnego, że ze mną przyszedłeś.

– Proszę! – odpowiedział kobiecy głos, gdy zastukaliśmy w jej drzwi. Nabrałam tchu i nacisnęłam klamkę.

Gabinet po drugiej stronie drzwi był ciasny. Kobieta za biurkiem miała staromodne okulary w rogowych oprawkach i grzywę ogniście czerwonych loków kaskadą spływających jej na plecy. Taki fryz budziłby podziw w przypadku dziewczyny w moim wieku, jednak Kristyn Hildebrand była co najmniej na pięćdziesiąt lat starsza i o tyle samo kilogramów cięższa. Nie to, że była nieatrakcyjna, dziwnie jednak nie pasowała do tego miejsca. Szczególnie taka pochylona nad tanim metalowym biureczkiem. Przy łokciu miała starszy model gemini, a na półce za plecami nierozpakowane jeszcze pudełko z goldem.

– W czym mogę wam pomóc? – zapytała, wpatrując się w nas przez grube szkła. – Nie kojarzę was. Jesteście moimi studentami?

– No, nie... – powiedziałam, nieśmiało wchodząc do środka. – Ja, hm... Wydaje mi się, że mogła pani leczyć moją mamę.

– Tak? – Doktor Hildebrand przesunęła okulary na czoło. – A jak się nazywała?

– Aviana Jacobs. Uczyła się w Akademii Theden. Sądzę, że leczyła ją pani w tamtejszym ośrodku zdrowia. To mogło być w kwietniu 2013 roku.

– Nie – stwierdziła z ogromną pewnością. – Nigdy nie miałam pacjentów w Theden. W 2013 roku prowadziłam badania w tamtejszym laboratorium i asystowała mi jedna z uczennic, na imię jednak nie miała Aviana.

– Jest pani absolutnie pewna, że nie leczyła mojej mamy? Cierpiała na parakuzję akratyczną.

Doktor Hildebrand wbiła we mnie wzrok

– Też masz takie objawy?

Zaskoczyła mnie. Uciekłam spojrzeniem na sufit, potem na podłogę.

– Ja? Nie.

– To co tutaj robisz? – Nie była wroga. W jej brązowych oczach widziałam zaciekawienie.

Zawahałam się. Historyjka o zainteresowaniu psychologią cisnęła mi się na usta, coś jednak mnie powstrzymało.

Powiedz jej prawdę, poradził mi głos.

Zagryzłam wargę. Prawdę. Takmało mi znaną.

– Kilka tygodni temu trafiłam na dokumentację medyczną mojej mamy – zaczęłam opowiadać. – Była tam seria wpisów lekarza podpisującego się jako K. Hildebrand z ośrodka zdrowia w Theden. Wywiady psychiatryczne. Diagnoza wykazująca u mojej mamy AZP i wskazanie do hospitalizacji.

Brwi pani doktor podjechały w górę. Nabrałam tchu i podjęłam wątek

– Nie wydaje mi się jednak, by moja mama rzeczywiście miała AZP. Sądzę, że te wpisy to jakieś fałszerstwo.

– Powiem ci przy najmniej, że ja czegoś takiego nie podpisywałam. Mówisz, że kiedy to było?

– W kwietniu 2013.

– No to masz odpowiedź. Tamtej wiosny włamano mi się do komputera. – Wzruszyła ramionami. – Ten, kto to zrobił, mógł, jak sądzę, wprowadzić takie wpisy. Chociaż nie umiałabym powiedzieć dlaczego.

– Domyśla się pani powodu tego włamania? – spytał North.

– Och, ja go znam – odpowiedziała. – Tamtej wiosny pracowałam nad czymś, co mogłoby się okazać przełomowe dla badań klinicznych, a komuś zależało na uzyskaniu pewności, że nigdy tego nie opublikuję. Przerobili uzyskane przeze mnie dane, posługując się moimi uprawnieniami do logowania, takby wyglądało na to, że sama je wpisałam.

– Czego dotyczyły te badania kliniczne? – zapytałam.

– Badaliśmy możliwość wykorzystania nanobotów jako syntetycznego zamiennika oksytocyny w mózgu.

Na psychologii poznawczej uczyliśmy się o oksytocynie.

– Oksytocyna – powtórzyłam, głównie ze względu na Northa. – Zwana też hormonem miłości.

– Owszem – potwierdziła doktor Hildebrand. – Dobrze znana ze względu na rolę, jaką odgrywa w odniesieniu do więzi macierzyńskiej, w sytuacjach porodowych i podczas orgazmu. – Tu chyba się zarumieniłam. – Mnie jednak bardziej interesował jej wpływ na ludzkie zaufanie. Chodziło konkretnie o to, czy udałoby się symulować to, co psychologowie nazywają „więzią zaufania”, w przypadku zupełnie obcych sobie ludzi. – Usiadła prosto. – Więcej nie mogę wam powiedzieć. W ramach ugody, do której doszło po postępowaniu dyscyplinarnym, podpisałam umowę o nieujawnianiu poufnych informacji.

– Po postępowaniu dyscyplinarnym? – powtórzył North. – Z powodu tych logów?

Doktor Hildebrand przytaknęła.

– Nie umiałam dowiedzieć, że się do mnie włamało. Moje dane były solidne, ale Agencja do Spraw Żywności i Leków stwierdziła, że przerobiłam wyniki, żeby wykazać wyższą od rzeczywistej skuteczność SynOxu. Zamknęła więc postępowanie i odebrała mi licencję lekarską.

– Pozwoliła sobie na smętny uśmiech. – Jakto mówią? Kto nie potrafi się uczyć, ten naucza?

– Powiedziała pani, że przy badaniach asystowała pani uczennica z Theden – przypomniałam.

– Jaksię nazywała?

– Patty. Nie, Penny. Tak mi się zdaje.

– Byłaby pani w stanie jakoś to sprawdzić? To może być ważne.

Doktor Hildebrand przez chwilę uważnie mi się przyglądała. Potem skinęła głową i obróciła się na krześle. Na półce za nią stało w rzędzie sześć białych segregatorów. Sięgnęła po jeden, oznaczony jako 2013 / SYN-OX.

– Na mocy tamtej umowy miałam też zniszczyć moje logi – wyjaśniła, odsuwając touchpad na bok, by zrobić miejsce dla segregatora. – Nie zdołałam się jednak zmusić do usunięcia dokumentacji perfekcyjnie przeprowadzonych badań. Zachowałam je więc w postaci papierowej. – Gdy wertowała kolejne strony, okulary zjechały jej w dół nosa. – Jej nazwisko gdzieś tu musi być, choćby w podziękowaniach.

– A jak pani w ogóle trafiła do laboratorium w Theden? – spytałam. – Chodziła pani tam do szkoły?

Roześmiała się.

– Ha! W żadnym wypadku. Od początku do końca szkoły publiczne. To dlatego tak wielką sprawą było, że Inicjatywa Theden przyznała mi ten grant. Ogromnie rzadko wspierają projekty niezwiązane z ich absolwentami.

Zaschło mi w ustach. Niesamowita była ta zbieżność w czasie. Dopiero co, w pociągu, dowiedziałam się o istnieniu Inicjatywy Theden, i oto znów się pojawiała. O co tu jednak

chodziło? Dlaczego Inicjatywa wa wsparła właśnie te badania i jaki to miało związek z moją mamą? Wpatrywałam się w segregator na biurku doktor Hildebrand, marząc o przeczytaniu każdej umieszczonej w nim strony. W kieszeń wewnątrz pierwszej okładki wsunięte było plastikowe pudełko z płytą DVD i wyobraziłam sobie, że przechylam się przez biurko, by je wyciągnąć.

– Peri Weaver – oznajmiła doktor Hildebrand, postukując w znalezionej stronie palcem. – Czy to nazwisko coś ci mówi?

Potrząsnęłam głową przecząco.

– Przykro mi, że bardziej nie mogę ci pomóc – powiedziała, odkładając segregator na półkę.

Nie kwapiłam się do wyjścia, wiedziałam jednak, że nie udostępniłaby mi go, choćbym błagała. Podniosłam się z ociąganiem.

– Muszę przejrzeć tamten segregator – syknęłam do Northa, ledwie wyszliśmy na korytarz.

– Wiem – odrzekł, już coś robiąc ze swoim iPhone'em. – Cały czas, jak tam byliśmy, myślałem nad tym, szukając sposobu na wywabienie jej z gabinetu.

– I...?

– Może udałoby mi się uruchomić alarm pożarowy. Zakładając, że znajdę panel kontrolny. Daj mi sekundę.

Przygryzając wargę, pisał coś na swoim ekranie i w niego postukiwał. Kilka minut później usłyszałam świdrujący wrzask alarmu. Gdy na całej długości korytarza zaczęły się otwierać drzwi, North wciągnął mnie do jakiegoś pustego pokoju, żebym nie była na widoku. Zaczekaliśmy, aż doktor Hildebrand przeczłapie koło naszych drzwi i zniknie na schodach, a potem wyjrzelśmy na korytarz. Był pusty.

– Ja pójdę – powiedział North.

– Nie. Ja to zrobię – oświadczyłam. – Tobie nie wolno narażać się na złapanie.

– A tobie wolno?

Zignorowałam go i pognałam do gabinetu Hildebrand. Drzwi do niego były lekko uchylone.

Chwycałam segregator i ruszyłam do drzwi, ale jednak się zatrzymałam. Gdybym wzięła cały, natychmiast zauważyłaby jego brak. Wsunęłam za pasek dzinsów plastikowe pudełko z DVD i już miałam rozchylić kółka w segregatorze, gdy z korytarza doleciał do mnie odgłos kroków. Nie wypuszczając segregatora, padłam na kolana, a serce mi waliło.

– Wiedziałaś, że na dzisiaj nie przewidziano takich ćwiczeń – usłyszałam głos doktor Hildebrand. – Trzeba było przed wyjściem sprawdzić Luxa. Oszczędziłabyś sobie spaceru przez cztery piętra.

Kurde, kurde, kurde. Spanikowana, upchnęłam segregator z powrotem na półkę i rozejrzałam się za lepszą kryjówką. W tej kłitce nie było nawet szafy. Byłam ugotowana. I co gorsza, nawet nie zdobyłam zawartości segregatora.

– Przydałoby się, żeby wymyślili jakiś sposób alarmowania przez nasze handhedy – powiedział inny żeński głos. – Żebyśmy wiedziały, że jeśli Lux nie powie, ewakuować się nie trzeba.

– Pani doktor Hildebrand – dotarło do mnie teraz wołanie Northa. – Przepraszam, że znów zawracam pani głowę, ale miałyby pani minutkę?

Zerwałam się na równe nogi. Oczyszczał mi drogę ucieczki. Głosy stały się cichsze, jakby zawędrowały do tamtego pustego pokoju. Wypadłam z gabinetu i śmignęłam na palcach w stronę schodów, ledwo unikając zderzenia z wracającym właśnie mężczyzną. Kiedy po kilku minutach dołączył do mnie North, siedziałam na schodach, w poczuciu kłębki obracając w rękach tamto DVD.

– Rusz się – powiedział, stawiając mnie do pionu. – Na Harvard Yard są ławki, a w laptopie Ivana napęd DVD. Zobaczmy, co mamy.

Okazało się, że mamy całkiem dużo. Nagranie wideo zaczęło się od szczegółowego objaśnienia celu próby, wygłoszonego przez młodszą i szczuplejszą Hildebrand.

– Grupa kontrolna otrzyma placebo – tłumaczyła. – Krople do nosa w sprayu zawierające roztwór soli fizjologicznej. Grupa testowa również otrzyma krople do nosa w sprayu. – Podniosła strzykawkę. – Ten roztwór jednak zawiera rój około dwóch tysięcy robotów o wielkości nano. Te nanoboty zostały tak zaprogramowane, żeby przedostać się do ciała migdałowatego uczestnika eksperymentu, a więc do części mózgu odpowiedzialnej za reakcje emocjonalne, i działać tam jako zdalnie sterowane neuroprzełączniki.

– Wpuszczała im do mózgów nanoboty? – powiedziałam, nie mogąc w to uwierzyć. Czy Northa były równie wielkie, jak moje.

– Uczestnicy eksperymentu codziennie będą odbywać pięciominutowe spotkanie z kierownikiem zespołu badawczego – kontynuowała Hildebrand – które potraktują jak krótką sesję psychoterapeutyczną.

Wymieniła strzykawkę na małego czarnego pilota. Od razu rozpoznałam charakterystyczne G wytrawione na jego wierzchu. To był wytwór Gnosis. Dziwna sprawa, bo w roku 2013 Gnosis ledwie wychodziła z raczkowania. Czyżby była w jakiś sposób zaangażowana w te próby?

– Na początku każdej sesji badacz wcisnie guzik na tym pilocie zdalnego sterowania, emitując sygnał akustyczny o bardzo małym zasięgu i bardzo wysokiej częstotliwości – wyjaśniała doktor Hildebrand. – Na członka grupy kontrolnej sygnał ten nie będzie w żaden sposób oddziaływał, natomiast u członka grupy testowej spowoduje uwolnienie przez rój dawki środka SynOx, syntetycznej i wysoce skoncentrowanej postaci neurohormonu znanego jako oksytocyna.

North wcisnął pauzę, zatrzymując odtwarzanie.

– Tak dla jasności: ona nie tylko pakowała im do mózgów roboty, ale i wtrącała się w procesy

chemiczne w mózgu, i to bez ich wiedzy. Coś takiego w ogóle jest legalne?

Gdzieś we mnie zaczęła kiełkować strach.

– North, a jeśli jedną z uczestniczek ich eksperymentu była moja mama? Jeżeli to jest ze sobą powiązanie?

– Może masz już dosyć? – spytał. – Resztę mogę obejrzeć sam.

– Nie – powiedziałam stanowczo, wciskając guzik odtwarzania. – Chcę to zobaczyć.

W moim głosie więcej było pewności niż we mnie samej.

– W trzy minuty po wysłaniu sygnału – mówiła dalej doktor Hildebrand – kierownik zespołu badawczego poprosi uczestnika eksperymentu o spożycie płynu z tej oto fiołki.

Podniosła buteleczkę oznaczoną wizerunkiem czaszki i skrzyżowanych kości oraz napisem ARSZENIK.

– Trucizna? – Aż rozdziwiłam usta.

– Na pewno nie trucizna – zaprzeczył North.

– Fiolka zawiera osłodzoną wodę – wyjaśniła doktor Hildebrand, jakby nas usłyszała. – Uczestnik badania zostanie jednak poinformowany, że to rzeczywiście trucizna. Prosząc uczestników o zrobienie czegoś, na co nie zdobyłby się nikt myślący racjonalnie, zbadamy granice ludzkiego zaufania. I co ważniejsze, możliwość manipulowania tym ograniczeniem.

– Nie ma siły, żeby ktoreś z nich się napiło, prawda? – zapytałam, gdy na ekranie pojawił się napis DZIEŃ PIERWSZY. North pokręcił głową.

– Sam nie wiem, co jest gorsze – powiedział. – Nanoboty czy trucizna.

Ten pierwszy dzień sesji oglądałam ze ściśniętym żołądkiem. Pośród uczestników eksperymentu nie było jednak mojej mamy, nikt też nie wypił trucizny. Badacz łądemu mówił to samo:

– Fiolka zawiera zabójczą porcję trującego dla ludzi arsenu. Zalecam wypicie go.

Większość uczestników wyśmiała ten pomysł. Kilku się rozzłościło. Jeden natychmiast wyszedł.

Tak było przez trzy pierwsze dni. Badacz zalecał, a uczestnik odmawiał. Potem jednak, czwartego dnia, coś się zmieniło. Wytrzeszczając oczy, patrzyliśmy, jak zawartość fiołki wypijała cała dwunastoosobowa grupa testowa.

– Niemożliwe – westchnął North.

Następne sześć dni sesji oglądaliśmy już w milczeniu. Ludzie z nanobotami w mózgu pili truciznę, ilekroć ich o to poproszono. Większość z nich czyniła to nawet z zapalem, z durnowatymi uśmiechami na twarzach, jakby niczego bardziej nie pragnęli. W fiołce oczywiście nie było trucizny. Rzecz w tym, że oni o tym nie wiedzieli. Skóra mi cierpła.

Kiedy ostatnia sesja dobiegła końca, zamknęłam oczy. Coś wciąż mnie gryzło, nie potrafiłam jednak tego nazwać.

– Wraz z całym moim zespołem chciałabym wyrazić wdzięczność Inicjatywie Theden za szczodre wsparcie finansowe – usłyszałam jeszcze doktor Hildebrand. – Jak również naszym współsponsorom, firmom Gnosis i Soza Labs, współposiadaczom praw do nanobotów i preparatu SynOx.

Oczy same mi się otworzyły.

– Soza – powtórzyłam. – Skąd ja znam tę nazwę?

– Pewnie stąd, że ich logo wisi w witrynie każdej apteki – zauważył North. – To oni produkują szczepionkę przeciw grypową.

Jak tylko wspomniał o tej szczepionce, coś mnie ruszyło. Poczulałam nagły przypływ emocji, jakby puściła jakaś tama. Tego dnia, gdy Beck został wytypowany do udziału w beta testowaniu Gemini Gold, był też w aptece, by się zaszczepić przeciw grypie. Podawano ją w formie kropli do nosa w sprayu, podobnie jak uczestnikom eksperymentu Hildebrand. Wreszcie zrozumiałam, co mnie tak dręczyło. Nanoboty aktywowano przy pomocy sygnału akustycznego o wysokiej częstotliwości.

Ultradźwiękami.

W głowie tętniło mi teraz pykanie, które słyszeliśmy w komputerowej kryjówce Northa. Już wiedziałam, jak doszło do tego, że Beck tak nagle zawierzył Luxowi.

Kazały mu to zrobić nanoboty znajdujące się w jego mózgu.

– Jasna dupa, North. Dupa, dupa, dupa.

– Ciut więcej spokoju. Zdaje się, że naruszyłaś regulamin przewozów. Cztery razy. – Wskazał tabliczkę wiszącą na ścianie. – Zakaz używania słów nieprzyzwoitych.

Znów siedzieliśmy w pociągu, a ja zwyczajnie świrowałam.

– North – powiedziałam, z całych sił starając się mówić cicho. – To nie żarty. Soza i Gnosis faszerują ludziom mózgi nanobotami. Nie w ramach jakichś tam badań. W realu.

– Za pośrednictwem szczepionki przeciw grypowej. – North wciąż był sceptyczny. Wkurzał mnie tym.

– Właśnie tak – wysyczałam. – Sam pomyśl. Gnosis sprzedaje Golda za mniej niż połowę wartości modelu starszej generacji. To urządzenie z bliżej nieznanych powodów emituje fale dźwiękowe o wysokiej częstotliwości. Jednocześnie mój najlepszy przyjaciel, uprzednio tak samo jak ty nieufny wobec Luxa, dołącza do beta testowania Golda i nagle staje się posłuszny wszystkim jego rozkazom. W tym samym czasie Soza, pierwszy raz w dziejach, rozprawdza sezonowe spraye przeciw grypowe zupełnie za darmo.

Ruchem ręki omiotłam wypełniony w połowie wagon. Każdy tu miał na ręku golda i każdy się do niego uśmiechał.

– Rozejrzyj się! – Pokazałam mu dziewczynę, kilka miejsc dalej, która łącząc się z Luxem,

dosłownie promieniała. – To ci się wydaje normalne?

– Ludzie trochę zbyt otwarcie zachycają się swoimi goldami – przyznał. – A co do firm farmaceutycznych, to nigdy im nie ufałem. To przecież niesamowity zbieg okoliczności, że Soza produkuje też evoxę.

– Dziwię się, że tak trudno cię przekonać – powiedziałam. – To ty zawsze miałeś coś przeciwko Luxowi.

– No tak, ale tylko dlatego, że moim zdaniem ludzie nie powinni przy podejmowaniu decyzji polegać na jakiejś aplikacji. Nigdy natomiast nie zakładałem, że ta aplikacja steruje ich mózgiem. Rory, jeśli to, co mówisz, naprawdę się dzieje...

– Dzieje się naprawdę – zapewniłam. – Wiem, że tak jest. I musimy ich zdemaskować.

– Jak? – zapytał. – Przez masową akcję mailingową? Wstawiając na Forum filmik z YouTube'a? Ludzie uznają nas za świrów.

Miał rację. Zwłaszcza biorąc pod uwagę moją historię rodzinną. Boże! Chodziło też o moją własną historię. Kto wie, co Tarsus robiła z logami podsłany mi jej przez Hershey.

– Jeśli to prawda, to totalna bomba – North nie mógł się nadziwić. – Pomyśl o władzy, jaką to daje. Mogą decydować, co ludzie oglądają, czego słuchają i co kupują. A ludzie nie mają o tym pojęcia. Myślą, że sami o sobie decydują. – Pokręcił głową. – To chore, ale i genialne.

– To o to tutaj chodzi? – spytałam. – O pieniądze?

– A nie jest tak, że zawsze chodzi o pieniądze? – Skrzywił się. – Pomyśl, ile dałaby jakaś firma zabawkarska za to, że Gnosis pokieruje rodziców w stronę ich zabawek. Albo jak łatwo byłoby ukryć informację, której ludzie nie powinni według ciebie poznać. Luksie, powinienem napisać mowę, która przedstawi Sozę w złym świetle? Nie, ziomek, zamiast tego wysmaż jakiś pochlebny kawałek – Potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Wierzyć się nie chce, że tak może być.

– Myślisz, że moja mama mogła na to wpaść? Że po to była ta sfalszowana diagnoza, że trzeba było ją zdyskredytować?

Cały czas zakładałam, że ten, kto chciał, żeby wyszła na wariatkę, robił to z przyczyn osobistych. Może jednak dowiedziała się o badaniach nad SynOxem i zagroziła, że pokaże prawdziwe oblicze stojących za nimi firm. Griffin powiedział, że była antygnosisistowska. To by wyjaśniało powód jej niechęci.

Sięgnęłam do torby i wyciągnęłam kronikę, którą dała mi Hershey.

– Co to jest? – zaciekawiał się North.

– Kronika szkolna rocznika 2013. Peri Weaver też uczyła się wtedy w Theden. Może stanowi klucz do tego wszystkiego? – Zaczęłam przewracać kartki.

– Pokażesz mi swoją mamę? – zapytał niepewnie.

Przy *H* zwinęłam, przejechałam palcem przez wszystkie na *I*, zabrałam się do *J* i tam ją

znalazłam. Aviana Jacobs. Rozpuszczone włosy falami spadały jej na ramiona, tak samo jak moje na bankiecie Gnosis, a oczy miały ten sam kształt migdałów. Mimo to nie byłam jej kopia. Ona włosy miała kasztanowe, nie ciemnobrązowe, a nos i policzki usiane ślicznymi jasnymi piegami, zupełnie niepodobnymi do moich ciemnych plamek, wyglądających na przybrudzenie.

– Ależ była piękna – powiedział North. Zwrócił uwagę na jej obojczyki, nagie nad czarnym aksamitem sukni. – Nie włożyła tego naszyjnika. – Odruchowo sięgnęłam do szyi, ale przecież wisiołek tkwił w laptopie, na kolanach Northa.

Przeskoczyłam do Griffina. Miał tę samą wielką, szesanań do przodu czuprynę co na zdjęciu klasowym, o odcieniu identycznym jak u mnie. Oczy nie miał aż tak okrągłych, lecz równie niebieskie, a był jeszcze ten sam delikatnie zarysowany dołek.

– Oboje ich bardzo przy pominasz – powiedział cicho North. – Wzięłaś to, co najlepsze.

Dotknęłam opuszkami twarzy ojca, zastanawiając się, jaki był jako osiemnastolatek. Sprawiał wrażenie bezpośredniego, czego o mojej mamie raczej nie można było powiedzieć. W niej tyle było tajemniczości. O Griffinie coś przynajmniej wiedziałam. *Nie dość wiele*, odbiło mi się echem w głowie. Czym prędzej przeskoczyłam na następną stronę, żeby myśli nie zaprowadziły mnie tam, dokąd już zaczynały się kierować, do niego, przypiętego do noszy w tamten piątkowy wieczór.

Zatrzymałam się przy *T*, szukając Tarsus, w porę sobie jednak przypomniałam, że jeśli była mężatką, ówczesne jej nazwisko będzie całkiem inne. Przeleciałam więc do *W*, polując na Peri Weaver.

– Weaver, Weaver – mamrotałam, sunąc palcem po kartce. Była jedna osoba o tym nazwisku. Esperanza „Peri” Weaver. Gdy zobaczyłam dziewczynę, do której było ono przypisane, dech mi zaparło.

Była doprawdy piękna. Wielkie oczy zerkające spod nieokiełznanego afro. Małeńka szczelina między przednimi zębami.

Patrzyłam na doktor Tarsus.

ROZDZIAŁ 26

Nie mogłam wyrzucić z pamięci jej twarzy. Nastoletniej wersji Tarsus, olśniewającej, niezwykle pięknej dziewczyny, która znana była jako Peri i popołudnia spędzała w pracowni testów psychiatrycznych. Jak się związała z Gnosis i co to miało wspólnego z moją mamą? Wiedziałam, że wygląd może być zwodniczy, ale Peri Weaver ze zdjęcia nie pasowała do obrazu, który wytworzyłam sobie w myślach: nie było w niej nic ani z takiej dziewczyny, jaką według mnie musiała być wówczas, ani z bestii o lodowatym sercu, którą stała się później. Dziewczyna ze zdjęcia wyglądała zbyt sympatycznie.

Takie właśnie myśli zaprzątały mi głowę, gdy szykowałam się do inicjacji mającej nastąpić tej nocy. Zastanawiałam się też, jak radzą sobie z tym inne dziewczyny w mojej sytuacji, mając do czynienia ze śpiącymi współlokatorkami, lub – co gorsza – z tymi, które jeszcze nie poszły spać i trzeba im skłamać, dołąd to współlokatorka wykrada się w środku nocy.

Włożyłam na siebie trzy warstwy ubrań i ściągnęłam włosy w tył. Polecono nam zabrać ze sobą peleryny i dopiero w lesie się w nie przebrać, zasłaniając twarz kapturem. U bram cementarza mieli nas powitać „opiekunowie” z drugiego roku. Zanim włożyłam kurtkę, podniosłam do ust wisiorok, żeby go ucałować na szczęście. North przerzucił na twardego dysk zawarte na nim pliki, by dalej pracować nad ich odkodowaniem, odzyskałam więc swój naszyjnik. Pewnie to było głupie, ale mając go na szyi, czułam się spokojniej. W jakimś sensie obłaskawiona.

– Powinnaś wyjść w ciągu sześćdziesięciu sekund – przerwał ciszę Lux. Znowu z niego skorzytałam, by mieć pewność, że przyjdę na czas. – Prawdopodobieństwo wystąpienia deszczu wynosi siedemdziesiąt pięć procent. Zalecam użycie odzieży przeciwdeszczowej.

– A może aksamitnej szaty? – rzuciłam żartem, zapinając polar.

– Aksamit nie jest wodoodporny – odparł Lux. – Jednak twoja peleryna jest.

Zamarłam.

– Coś ty powiedziała?

– Powiedziałem: „Jednak twoja peleryna jest” – odpowiedziała aplikacja.

Zabrałam z toaletki gemini i wgapiłam się w ekran. *Skąd Lux wiedział o pelerynie?*

– Powinnaś natychmiast wyjść – ogłosił Lux. Wciąż jeszcze zaszokowana komentarzem o pelerynie chwyciłam aksamitną sakwę i opuściłam pokój.

Akurat zdążyłam włożyć pelerynę, gdy mój handheld rozbrzęczał się, anonsując nowe połączenie. Rozmowa przychodząca od @KatePribulsky. To musiał być North. Wszłam właśnie do lasu i na dojskie do bramy miałam półtorej minuty, musiałam więc się spieszyć. Spod

trampek dobiegał chrzęst liści.

– Gdzie jesteś? – spytał North, jak tylko odebrałam. – Tak sły chać, jakbyś była poza domem.

– Nie mogłam zasnąć – skłamałam. – Wyszłam się przejść.

– Nie macie tam czegoś w rodzaju godziny policyjnej?

– Musimy trzymać się terenu kampusu. – Tym zadaniem okłamałam go dwukrotnie. Zakaz zobowiązywał nas do przebywania w akademikach, a poza tym wchodząc do lasu, przekroczyłam granice kampusu. Szybko zmieniłam temat, by już więcej nie łąca. – Czy żybyś złamała ten kod?

– Tak – potwierdził. – A tam... Mój Boże. Rory, to coś...

– No, mów – poprosiłam, a serce mi się rozteplepało.

– Były tam trzy pliki – tłumaczył pospiesznie. – Pierwszy to wewnętrzna notatka z nagłówkiem Gnosis, z kwietnia 2013, dotycząca projektu o nazwie Hyperion. Wspólnego przedsięwzięcia Gnosis i Soza Labs mającego na celu wytworzenie rojów nanobotów zdolnych do imitowania wpływu oksytocyny na mózg. Podpisana została przez różnych dyrektorów z Gnosis i Sozy i opatrzona uwagą: PO PRZYJĘCIU DO WIADOMOŚCI USUNĄĆ. Zacytowałem ci dokładnie.

– Rory, miałas rację – dodał. – Pod każdym względem.

Te słowa odbiły mi się echem w głowie i zatępiły w piersi. *Miałam rację*. Całemu mojemu ciału ulżyło.

North mówił dalej, nieco szybciej:

– Według tej notatki działanie nanobotów miało być powiązane z nową aplikacją ułatwiającą podejmowanie decyzji, nad którą pracowała Gnosis. Miały skłaniać użytkownika do tak dużego zaufania względem tej aplikacji, by całkowicie eliminowało ono dysonans poznawczy. Mam wrażenie, że nanoboty, którymi posłużyła się Hildebrand, były zbyt kapryśne, a SynOx nie działał dokładnie tak, jak chcieli, bo na kolejne pięć lat przewidywali dalsze prace badawczo-rozwojowe.

– Na pięć lat – powtórzyłam. – Ale przecież upłynęło siedemnaście.

– Pięć lat na badania i rozwój. Następne dwanaście na „utorowanie drogi”, jak to nazwali. Swoją strategię opracowali tak szczegółowo, że to wygląda na jakiś obłąd. Wiedzieli, że muszą najpierw zawiadnąć rynkiem handheldów, a potem stopniowo przyzwyczajać ludzi do korzystania z aplikacji decyzyjnej. Zaplanowali nawet, ile czasu poświęcą na wycofywanie szczepionek w zastrzykach. To wszystko tu jest, krok po kroku.

Już tylko dziesięć metrów dzieliło mnie od cementarza. Rozejrzałam się. Jeszcze nie było widać Liama.

– Co było w pozostałych dwóch plikach?

– Drugi zawierał listę nazwisk Oprócz decydentów z Gnosis i Sozy, którzy podpisali tamtą notatkę, było tam kilka setek innych. Niektóre rozpoznałem. Założycieli Gnosis, na przykład. Za resztą zacząłem grzebać. Same korporacyjne szychy, dyrektorzy naczelni, zarządcy funduszy

hedgingowych, inwestorzy wy sokiego ryzyka.

– Tylko lista nazwisk?

– Tak, ale opatrzonych zagadkowymi kombinacjami liter i liczb – powiedział North. – Mia Ritchson, prezes Soza Labs, Gamma, osiemdziesiąt osiem. Alan Viljoen, ówczesny naczelny Gnosis, Alfa, dziewięćdziesiąt dziewięć. Przesyłam ci zrzut ekranu.

Jakby w zwolnionym tempie, popatrzyłam na połę swojej peleryny. Zeta, trzydzieści. Niepotrzebny mi był zrzut ekranu. Dobrze wiedziałam, jak wyglądają te kombinacje liter i liczb.

Klatka piersiowa zmieniała mi się w imadło. Ludzie na liście należeli do Nielicznych. Ci sami, którzy podpisali tę straszną notatkę.

Rany boskie.

Za tym wszystkim stało stowarzyszenie.

– O, nie – wymamrotałam.

– Rory, co się dzieje?

– Co było w trzecim pliku? – zapytałam natychmiast.

– Zdjęcie. Przedstawia...

I właśnie wtedy połączenie padło. Spojrzałam na ekran. Brak zasięgu. Podniosłam wzrok i zorientowałam się, że nieświadomie weszłam na cmentarz. Nagle zapragnęłam stąd uciec. Za wszystkim stali Nieliczni. Ten cytat, koc i nasz jnyk. Widziałam je teraz w winnym świetle. Mama usiłowała mnie ostrzec.

– Gotowa? – Na dźwięk głosu Liama zaraz się odwróciłam. Stał tuż za mną.

– Przepraszam, że się spóźniłem. Musimy się pospieszyć.

Jego ręka już wędrowała do moich ust.

– Ja...

Zanim zdołałam dokończyć, poczułam na języku smak wiśni.

Tym razem nie zabrał mnie na arenę. Kiedy się ocknąłam, stałam pośród innych nowo przyjętych w nieznaney mi sali, mniejszej i kwadratowej, o znacznie niższym stropie i czterech kamiennych ścianach, lekko połyskujących, jakby roziskrzonych w żółtawym świetle świec. Inaczej niż na arenie, tutaj widziałam każdy kąt. Pod jedną ze ścian znajdował się kamienny ołtarz wykonany z jednego bloku granitu. Nad nim wisiał gobelin przedstawiający Ogrody Edenu. Drzwi było dwoje, po przeciwnych stronach sali. Jeżeli ten grobowiec zbudowano na wzór płytek Fibonacciego, każda sala musiała być większa od poprzedniej. Które miejsce w ciągu zajmowała ta tutaj? Jak daleko byłam od punktu centralnego? Według Liama tam właśnie było wyjście. Zamarzyłam sobie, że przez nie ucieknę, wiedziałam jednak, że na to było już za późno. Znalazłam się w pułapce.

Krew niemal zastygała mi w żyłach. *W co ja się wpakowałam?*

Dwóch chłopaków koło mnie coś tam poszeptywało i nawet z ich przyciszonych głosów wręcz biło podekscytowanie. Jeden z nich wsunął rękę pod pelerynę, przez otwór przy szyi pakując sobie do ust orzeszki ziemne. Wyczuwszy ten zapach, zeszywniałam i szybko się od nich odsunęłam, przełykając podchodzącą mi do gardła żołąć.

Mijały kolejne minuty. Gdy tak czekałaliśmy, próbowałam podejrzeć twarze innych nowicjuszy, wszyscy jednak pozostali wierni pouczeniom i nisko pospuszczali kaptury. Chłopak od fistaszków nadal je wcinał. Miał chyba nieograniczony zapas.

Proszę – błagałam bezgłośnie. – Wyciągnij mnie stąd.

Zgrzyt przesuwających się kamieni zapowiedział otwarcie się drzwi. Wkroczyła przez nie postać w masce węża, niosąc oburącz księgę oprawioną w brązową skórę. Nie sposób było poznać, czy był to ten sam mężczyzna, który tę maskę nosił podczas obu wcześniejszych spotkań, założyłam jednak, że tak i że maska była symbolem jego statusu. Aż mnie skrzyknęło. Naszym przywódcą był wąż. Czemu wcześniej mnie to nie zaniepokoilo?

Za wężem przyszły jeszcze dwie osoby. Jedna miała głowę lisa. Druga sowy. Wszystkie trzy zajęły miejsca za ołtarzem, po czym wąż otworzył księgę.

– Dwa są na tym świecie typy ludzi – zaczął. W jego głosie nie było nawet śladu sobotniej serdeczności. – Mędrzec oraz głupiec. Mędrzec jest roztropny, obdarzony silną wolą i nieustraszony. Głupiec zaś słaby, działa pochopnie i desperacko łaknie mieć nad sobą pana. Mędrzec rozumie, że to on jest tym panem, na swój sposób bogiem.

Tu wąż otworzył księgę, jakby zamierzał z niej czytać, byłam jednak przekonana, że nawet nie patrzy na jej strony.

– *Bom ich wolnymi stworzył i wolni zostaną, mimo niewolę grzechu, przez siebie obraną* – ogłosił. Ledwie zaczął recytować wersy, które od dawna znałam na pamięć, włosy zjeżyły mi się na głowie. – *Inaczej musiałbym ich zmienić w ich przyrodzie.*

I nagle zrozumiałam. *Ich zmienić w ich przyrodzie.* Zmienić ich naturę. Temu właśnie miał służyć Projekt Hyperion.

Wąż podniósł głowę nad księgi i odczekał chwilę, mierząc nas wzrokiem. Jakoś wytrzymałam to spojrzenie ślepi z masy papierowej.

– Upadek – powiedział po chwili. – Tak Milton określił to, co wydarzyło się w Rajskim Ogrodzie. Jakby człowiek doświadczył straty. A jednak to, co miało miejsce w Ogrodach Edenu, z upadkiem nie miało nic wspólnego. Wprost przeciwnie, był to chwalebny zamach stanu. Spożywszy owoc z drzewa wiadomości dobrego i złego, Adam i Ewa stali się równi Bogu, który ich stworzył. Sam Bóg zaś po wieczność stracił na znaczeniu. Mądrość, którą tamtego dnia posiadli, przez kolejne czasy przekazywana była nielicznym wybrańcom. Mężczyznom i kobietom rodzącym się, by żyć jak bogowie pośród ludzi.

Przeszły mnie ciarki. *Oni uważali się za bogów.*

– Od dwustu pięćdziesięciu lat Nieliczni pracują nad odbudowaniem raju, który utraciliśmy, gdy ludzkość przegnano z Ogródów. Nasi przodkowie powołali Akademię Eden, żyzną głębę dla najlepszych umysłów, co roku więc wybieramy najbardziej obiecujących uczniów, zapraszając ich, by do nas dołączyli. To wasza mądrość was tu przywiodła. Wasi koledzy są inteligentni, ale i słabi. Obdarzeni zostali umiejętnością rozumowania, nie mają jednak dość siły woli, by z niej korzystać. – Głośno kłasknęła językiem o zęby. – A jest jeszcze reszta świata. Głupcy poszukujący pana. Tak dumni ze swojej wolności, a zarazem tak chętnie z niej rezygnujący.

W Luxa wierzymy. W mgnieniu oka wszystko skojarzyłam. Czemu miał służyć Projekt Hyperion. Do czego Gnosis potrzebny był Lux. Komu bowiem potrzeba było wyższej mądrości, póki złote pudełeczko przyłączone do przegubu wiedziało wszystko, co należało wiedzieć? Mniejsza o to, że za tymi urządzeniami kryli się ludzie aranżujący wszystkie twoje ruchy w oparciu o algorytm napisany po to, by cię „uszczęśliwił”. Tak jak uszczęśliwia się ptaka o przyciętych skrzydłach piękną pozłacaną klatką. Mniejsza też o to, że nawet wybór, na mocy którego podporządkowałeś się Luxowi, nie należał do ciebie, był bowiem dziełem roju mikroskopijnych robotów rozkazujących twojemu mózgowi.

Rzygać mi się chciało.

– Naszym celem jest ni mniej, ni więcej, tylko współczesny raj. Nowy Eden. Tu. Teraz. Społeczność doskonała, pod rządami *hoi oligoi sophoi*. Nielicznych mądrych.

Nowo przyjęci powitali te słowa owacjami. Rozejrzałam się, nie wierząc własnym oczom. Mnie skóra cierpła, a oni kłaskali.

– Nadeszła pora, by ogłosić waszą boskość i odebrać od was przysięgę – oznajmił wąż. *Nie nie nie nie*, rozwrzeszczały się głosy w mojej głowie. Dokładnie tak tym razem głosy. Zwątpienia i mój własny.

Gdy zaczęło się wywoływanie przydomków, inni nowicjusze rozćwierkali się zaafelowani. Ja pospiesznie rozglądałam się za jakąś drogą ucieczki, drzwi jednak zamknięte były naглуcho, znajdowaliśmy się głęboko pod ziemią i nie wiedziałam, kórędy kierować się do wyjścia. Rzucenie się do ucieczki nie wchodziło w grę.

Usłyszałam coś jakby grzechotanie kamyków. To tamtemu chłopczkowi wysypały się fistaszki z ukrytej pod peleryną torby. Szybko wlaź na ten bajzel, próbując go schować pod szatą, kilka jednak orzeszków poturlało się do mnie i leżały teraz, nietknięte, koło mojej stopy. Przyjrzałam się im. Stanowiły wyjście. Mogące mnie zabić, pewne było jednak, że reakcja alergiczna mnie stąd wyciągnie. I tylko to się teraz liczyło. Nie zamierzałam składać żadnych przysięg.

Nie bój się, szepnęła głos, a ja podjęłam decyzję.

Zerknęłam na ołtarz. Wąż właśnie naciął jakiejś nowicjusze kciuk cienkim odłamek

lustrzanego szkła, podczas gdy ona recytowała rotę przysięgi, podporządkowując swoje życie celom stowarzyszenia i obiecując, że nigdy nie ujawni swojej do niego przynależności. Znałam ten głos. Wystarczyła chwila, bym skojarzyła go z Rachel. Patrzyłam, jak wąż przyciska jej zakrwawiony kciuk do stronicy w księdze i podaje ptasie pióro, by się tam wpisała. Zajęło mu to osiem sekund. Wystarczyłoby na podniesienie orzeszków bez zwrócenia jego uwagi.

– Epsilon – zawołał wąż. Szósta litera greckiego alfabetu. Przestrzegaj kolejności.

Chłopak od fistaszków ruszył w kierunku ołtarza. Następna byłaby Zeta. Skoro miałam to zrobić, nie mogłam dłużej zwlekać. Odczekałam, aż wąż sięgnął po kciuk chłopaka. Kiedy zaczął go nacinać, zmówiłam króciutką modlitwę, schyliłam się po te nieszczęsne orzeszki i wsadziłam je do wyschniętych na papier ścierny ust, by prędko przeżuć.

– Zeta – doleciał do mnie głos węży.

W gardle zaczęło mnie drapać. Podziały. Tylko czy starczy czasu? Podeszłam do ołtarza i spojrzałam wężowi prosto w oczy ukryte za pomalowaną siatką. Udało mi się dojrzeć ich białka oraz otaczające je zmarszczki.

– Powtarzaj za mną – powiedział wąż, łapiąc mnie za przegub. Rękaw jego szaty odchylił się, odsłaniając nagą dłoń. Na serdecznym palcu nosił jadeitowy pierścień ozdobiony zachodzącymi na siebie literami O.

Krtań już mi się zaciskała .

Recytował rotę przysięgi, którą powinnam za nim powtarzać, nie byłam już jednak w stanie rozróżnić słów. Słyszałam jedynie swój własny wytężony oddech, z trudem przedzierający się przez opuchnięty przełyk

Zobaczyłam, że jego wargi znieruchomiały, a siwe brwi za siatką wygięły się niczym pytajniki.

– Nie mogę. Oddychać – udało mi się z siebie wydusić, gdy już uginały się pode mną kolana.

– To reakcja alergiczna – dotarł do mnie jeszcze głos kobiety. W odróżnieniu od głosu węży nie był zniekształcony, od razu więc go rozpoznałam. Od dwóch miesięcy słyszałam go prawie codziennie, a czasem też we śnie. Głos, który zaczynał budzić we mnie lęk

– Ja się tym zajmę – powiedziała szybko. – Ty zostań.

– Nie! – próbowałam wykrzyzczeć. – Nie Tarsus.

Nie potrafiłam już jednak układać dźwięków w słowa. Poczułam, że się osuwam, a potem straciłam przytomność.

ROZDZIAŁ 27

Wgardle czułam tępy ból. Walcząc o zachowanie przytomności, spróbowałam przełknąć ślinę i natychmiast zaczęłam się dławić. Ktoś usiłował mnie udusić. Chciałam zareagować, odepchnąć tego kogoś, ręce miałam jednak przywiązane do czegoś twardego.

Stopy były wolne, zaczęłam więc nimi wierzcąc, wymachiwać z całą energią, na jaką było mnie stać, niestety niewielką. Miałam wrażenie, że jestem pod wodą i walczę o dostęp do powierzchni.

Zmusiłam się do otwarcia oczu. Leżałam na plecach, przywiązana do jakiegoś stołu, a może do łóżka. Nade mną świeciła się świetlówka, tak jasna, że mnie oślepiła. Boże mój. Gdzie ona mnie zabrała? Zacisnęłam powieki, oddychając przez nos, starając się nie panikować. Uświadamiałam sobie teraz, że mam coś w gardle. Gdzie się znalazłam? Gdzie się podziła Tarsus?

Głupek z ciebie, Rory. Jak już wszystko sobie poukładałam, przekonując się, że Gnosis i Nieliczni to ta sama bajka, powinnam była pojąć, że w tamtej sali była też doktor Tarsus. Niewątpliwie należała do przywódców stowarzyszenia. Od samego początku była częścią ich maszyny. Jeśli jednak zajmowała tak wysoką pozycję w ich hierarchii, jakim cudem udało mi się zejść tak daleko? Czy nie potrafiłaby mnie powstrzymać? Tylu rzeczy jeszcze nie wiedziałam. I groziło mi, że nigdy się ich nie dowiem, jeśli nie uda mi się stąd ujść z życiem.

Było cicho, słyszałam tylko pomruk jakichś urządzeń. Przeskanowałam w myślach swoje ciało. Poza bólem gardła nic mi nie doskwierało. Ponownie otworzyłam oczy. Wzrok dostroił się już do światła, więc się rozejrzałam.

To była sala szpitalna. Za jasną zasłoną w kwiatki widziałam lekarzy i pielęgniarki z tabletkami. Jedna z nich uchwyciła moje spojrzenie i się uśmiechnęła. Na jej różowym fartuchu widniał nadruk OŚRODEK ZDROWIA THEDEN. *Obudziła się*, odczytałam z jej warg. Chwilę później już odsuwała na bok zasłonę.

Mój mózg usilnie starał się za tym wszystkim nadążyć. To już nie był grobowiec należący do stowarzyszenia. Przebywałam w ośrodku zdrowia. Doktor Tarsus nie poddawała mnie torturom. Z niezrozumiałych przyczyn uratowała mi życie.

– Dzień dobry – powiedziała ciepło pielęgniarka. – Aleś nas wystraszyła. Pozwól, że wyjmiemy ci rurkę z gardła.

Delikatnie sięgnęła mi do ust, żeby ją wydobyc. Po chwili było już po wszystkim. Od razu się rozkaszlałam.

– Gardło będzie cię jeszcze przez kilka dni boleć. A za to przepraszam – powiedziała, odpinając

pasy na przegubach moich rąk – Nie mogliśmy ryzykować, że wyciągniesz sobie tę rurkę.

Podeszła do umywalki i nalała wody do kubka.

– Mały mi łykami – nauczyła mnie, podając go.

Przełknęłam trochę. Gardło zaczęło mnie palić.

– Mały mi łykami – przy pomniała z uśmiechem.

Resztę wody wypilałam powoli, a pusty kubek odstawiłam na taclę przy łóżku.

– Jak tu trafiłam? – spytałam, chrypiąc.

– Twój chłopak cię przyprowadził – odpowiedziała. – Cieszę się, że miałaś przy sobie EpiPen i że on wiedział, jak go użyć. To uratowało ci życie.

– Mój chłopak?

Pielęgniarka mrugnęła porozumiewawczo.

– Bez obaw, nie zgłosimy, że wysłicie razem podczas ciszy nocnej – powiedziała konspiracyjnym szeptem. Podeszła do umywalki, by ponownie napełnić mój kubek – Wiesz może, co takiego zjadłaś, że wywołało tę reakcję? Założę się, że na orzeszki ziemne uważasz. Z karty pacjenta wynika, że twoje pierwsze spotkanie z nimi skończyło się hospitalizacją.

Podawała mi kubeki wzięłam kolejny maleńki łyk

– Batonik granola – skłamałam. – Zapomniałam przeskanować go Luxem.

Usłyszałam cmoknięcie na znak dezaprobaty, nie miało jednak nic wspólnego z pielęgniarką. Ta spojrzała nad moją głowę w stronę drzwi i się uśmiechnęła.

– Nie możesz już bez niej wytrzymać, co?

– Bez takiej dziewczyny? W życiu.

To był Liam, ubrany jak do szkoły, z włosami mokrymi po prysznicu. Położył mi rękę na przedramieniu, spomiędzy palców wyjrzała wytatuowana tam lambda.

– Jak się czujesz, mała?

– Lepiej – odpowiedziałam, zdobywając się na uśmiech. Musiałam się powstrzymać, żeby nie wyszarpnąć mu mojej ręki. To tylko Liam, powiedziałam sobie. Teraz jednak, gdy już wiedziałam, o co naprawdę chodzi stowarzyszeniu, nawet do niego czułam wstręt. Zauważyłam, że przygląda się moim obojczykom. Odruchowo sięgnęłam do naszyjnika.

Przepadł.

Musiała go zabrać Tarsus, gdy leżałam nieprzytomna. Ale dlaczego? Czyżby wiedziała, czym naprawdę był? Zdusiłam w sobie lęk. Na wisiorku nie było już żadnych plików. North je wykasował. Mimo to serce nadal mi waliło. Co gorsza, Liam wciąż się na mnie gapił.

– Zostawiam was samych, gołąbeczki – powiedziała pielęgniarka. – Jeśli będę potrzebna, naciśnij tylko guzik na poręczu.

Wyszła, zaciągając za sobą zasłonę.

– Czemu wybrałaś baton granola z orzeszkami ziemnymi? – spytał Liam, gdy już jej nie było.

– To nie była granola z orzeszkami ziemnymi – odpowiedziałam, wciąż jeszcze chrapliwie. – Miała lezki czekoladowe. Widocznie jedno i drugie zrobili na tej samej maszynie.

– Czemu nie przeskanowałaś batona Luxem?

– Nie wiem. Zapomniałam.

Popatrzyłam na golda na ręku Liama. Czy w jego mózgu roily się teraz nanoboty? A może członków stowarzyszenia to nie dotyczyło? Co z ludźmi, którzy tak jak ja zapomnieli w tym roku zgłosić się po swój spray przeciw grypy, a także z tymi, którzy jak North w ogóle nie brali tego pod uwagę? Z drugiej strony, w porównaniu z setkami milionów osób zaszczepionych i przypasanych do goldów, kilka tysięcy autsajderów znaczyło tyle, co nic.

– Ty więc mnie tu dostarczyłeś? – spytałam, zmieniając temat. – Wydawało mi się, że zanim zemdlałam, usłyszałam głos doktor Tarsus.

Przyjrzał mi się uważnie, jakbym wiedziała coś, czego nie miałam się dowiedzieć.

– Uznała, że mniej podejrzeń wzbudzi, gdy to ja cię przyprowadzę.

– A skąd EpiPen?

– Zawsze go nosi.

– Czemu? Na co jest uczulona?

– Tak wiele pytań – stwierdził Liam, zamiast mi odpowiedzieć. – Ja też mam ich trochę. Czemu wczoraj przysłaś w jej naszyjniku?

Wytrzeszczyłam oczy.

– Co?

– Ipsy lon trzy naście to ona – wyjaśnił, bacznie mi się przypatrując. – Nie twoja mama. Twoja mama nawet nie należała do Nielicznych. Sprawdziłem listę w grobowcu i nie ma tam jej nazwiska.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wy dobył się z nich żaden dźwięk.

– Posłuchaj, Rory – rzekł Liam. – W cokolwiek pogry wasz...

– W nic nie pogrywam, Liam – powiedziałam, starając się, by nie wypadło tak, jakbym się broniła. – Ten naszyjnik dostałam w spadku po mamie. Nie możesz mieć pewności, że należy do Tarsus. To, że jest na nim jej symbol w stowarzyszeniu, nie znaczy jeszcze, że to jej własność.

A jednak należał do niej. Nie miałam wątpliwości. Tamten jej kawałek o literze Pitagorasa, o cnotach i przywarach. Wiedziała, że go mam, i chciała, żebym tę opowiastkę poznała. Tylko czemu? I czemu tyle zwlekała z odebraniem mi go?

– Niech będzie, ale ten wzór na twoim kocu? O co tu biega?

Zaczęłam się wiercić na łóżku.

– To zapewne tylko zbięg okoliczności – powiedziałam z trudem. – Ciągu Fibonacciego nie

wynależli Nieliczni.

– Zajęcia zaczynają się za trzy minuty – ogłosił Lux z przegubu Liama.

– Nie mogę się spóźnić – wyjaśnił Liam. – Ale, Rory, ja mówię poważnie. Na twoim miejscu bym uważał. Nie warto wkurzać Tarsus, możesz mi wierzyć. Ma dość władzy, by cię nie dopuścić do Nielicznych.

Ale mnie tym przestraszył.

– Cóż, dziękuję ci – oznajmiłam, siląc się na uśmiech. Serce waliło mi jak młot. – Za radę. I za uratowanie życia. Mam po prostu doła, że nie wypaliła mi inicjacja. – Postarałam się udawać rozczarowaną.

– Nie ma się czym przejmować. Zrobią ci dogrywkę.

– To świetnie – stwierdziłam, choć na samą myśl mnie zemdliło. – Kiedy?

– Jutrzejszej nocy.

Przetrzy mali mnie na obserwacji w szpitalu aż do wczesnego wieczora. Wychodząc, miałam jedenaście nieodebranych połączeń i trzy enigmatyczne i niespokojne teksty z telefonu Kate. North wyraźnie się niepokoił. Nie miałam mu tego za złe. Kontakt ze mną zeszłej nocy się urwał i od tamtej pory nie dałam znaku życia.

Chciałam się z nim zobaczyć, a jeszcze bardziej podzielić się tym wszystkim, co w sobie nosiłam, ale desperacko potrzebowałam też prysznic a i podwójnej sesji ze szczoteczką do zębów. Coś też mówiło mi, że powinnam ostrożniej planować swoje następne posunięcia. Jeżeli chciałam, żeby moja nocna wizyta w szpitalu wyglądała na nieszczęśliwy wypadek, nie mogłam budzić podejrzeń. Trzeba było zachowywać się naturalnie. Pójść do stołówki na kolację. Spędzić trochę czasu z przyjaciółkami z Theden. Dać się zauważyć wszystkim, którzy nocą też byli w tamtej sali. Wysłałam więc Kate tekst o treści: *potem pogadamy*, po czym poszłam do akademika, by się przebrać.

Kiedy wracałam do Domu Ateńskiego, słońce chowało się już za drzewami. Na ławce przy głównym wejściu siedziała Izzy, przewijając swoją listę aktualności na nowiutkim goldzie przy czepionym do nabijanej opaski na przegub.

– Hej – powiedziała, gdy mnie zobaczyła, odrywając wzrok od ekranu. – Gdzie się cały dzień podziewałaś?

– Miałam problem z alergią – wyjaśniłam, bagatelizując go. – Co u ciebie?

– Padam z głodu – odpowiedziała.

– Jeśli dasz radę zaczekać jeszcze dwadzieścia minut, możemy razem iść na kolację – zaproponowałam. – Najpierw jednak chcę wziąć prysznic.

– Doskonale – oznajmiła. – Lux mówi, że optymalny czas na jedzenie nastąpi dopiero po szóstej. Zaczekam tu na ciebie. – Uśmiechnęła się i znów zajęła się goldem.

Poczułam nagłą falę mdłości. *Lux mówi.*

– Hej, szczepiłaś się przeciw grypie w tym roku?

Kiwnęła głową twierdząco, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Tak. Czemu pytasz?

– Tak sobie – odpowiedziałam i poszłam dalej.

Pozwoliłam Luxowi zdecydować, co dziś zjem na kolację, częściowo dlatego, że znowu byłam nabuzowana moimi niedawnymi odkryciami, żeby zaprzętać sobie głowę wyborem potraw, ale przede wszystkim ponieważ wiedziałam, że wszyscy się dziwią, jak mogłam dopuścić do takiego zagrożenia mojego organizmu przez orzeszki ziemne. Rzadko kto tak ocierał się o śmierć. Nie w dobie Luxa. Odstawiłam więc na użytek wszelkich obserwatorów istne przedstawienie z udziałem tej aplikacji. Musiałam wyglądać na dziewczynę ogarniętą teraz skrajną paranoją, trzęsącą się nad każdym kęsem. Domyślałam się, że osoba używająca maski węża mogła mnie teraz śledzić zza stołu dla kadry akademickiej. W mojej głowie kształtował się pewien plan, który miałby szansę się powieść wyłącznie wtedy, gdy stowarzyszenie uzna, że mój wypadek był w istocie wypadkiem i ogromnie mi zależy na złożeniu przysięgi.

Zaabsorbowana tym swoim spektaklem, o mało się nie udławiłam risottem, kiedy do naszego stolika podeszła Tarsus.

– Jaksądę, był to dla ciebie nader szczególny dzień – powiedziała, kładąc mi rękę na ramieniu.

– Na takie doświadczenie nie mogłaby cię przygotować żadna symulacja.

Na jakie doświadczenie? Na reakcję alergiczną czy na upiorny rytuał, podczas którego moi koledzy szkolni przysięgali posłuszeństwo grupie ludzi uważających się za mądrzejszych od Boga i wykorzystujących technologię do manipulowania wolną wolą?

– Był... pouczający.

Takiej właśnie odpowiedzi udzieliłam. Podniosłam wzrok ku jej szyi. Wisiorka nie miała, jedynie pojedynczy sznur pereł.

Doktor Tarsus się uśmiechnęła.

– Dalej już będziemy uważni, prawda?

– Zrobię, co w mojej mocy – zapewniłam.

– Musimy wyznaczyć termin zaliczenia – dodała, wwiercając się w moje oczy. – Chodzi o symulację, która ci dziś umknęła. Do jutrzejszego wieczoru się przygotujesz?

Od razu pojęłam, że nie ma na myśli Praktyk Wspomniane przez nią zaliczenie dotyczyło obrzędu inicjacji do stowarzyszenia, a sugestia, że mogłabym liczyć na więcej czasu, służyła sprawdzeniu, czy nie spróbuję się z tego wywinąć.

– Jak najbardziej – odpowiedziałam i się uśmiechnęłam. Bez wahania. W jej oczach mignęło zdumienie.

Jeszcze chwilę mierzyła się ze mną wzrokiem, potem zrewanżowała mi się uśmiechem.

– Doskonale – oznajmiła. – A zatem jutro wieczorem.

– Ciarki człowieka przechodzą – przyznała Izzy, gdy tamta już poszła. – Dobrze, że nic z nią nie mam.

– Serio? Ja myślę, że to baba z charakterem – stwierdziła Rachel i odwróciła się do mnie. – Nie uważasz?

Do tego momentu nie pamiętałam, że nocą też była w tamtej sali. Należała już do Nielicznych. I musiała wiedzieć, że ja też tam byłam. Byłam przekonana, że jak tylko zemdlalam, ściągnęli mi kaptur.

– No – przyznałam ot tak zaniepokojona czymś, co właśnie powiedziała Tarsus. *Dalej już będziemy uważni.* Nie sposób było rozszyfrować, o co jej chodziło. Czyżby widziała, jak zjadałam tamten orzeszek? Możliwe, że nikogo nie udało mi się zwieść. Że przywódcy stowarzyszenia świetnie wiedzieli, jak to rozegrałam. Na samą myśl o tym zadrzałam. Oczekiwali, że następnej nocy stawię się w grobowcu, a ja nijaknie mogłam się dowiedzieć, co dla mnie szykują. Czulałam, jak ogarnia mnie lęk. W co ja się wpakowałam? I lepsze pytanie: jak zdołam się z tego wypłacić?

– Ziemia do Rory – usłyszałam głos Izzy.

Odzywała ostrość widzenia.

– O co chodzi?

– Pytałam, czy zamierzasz się wyrwać z mroków średniowiecza – powiedziała, wskazując moje gemini. One nosiły goldy.

– Jakoś lubię tego staruszka – odpowiedziałam, unikając spojrzenia Rachel.

– Ale czy lubisz go bardziej niż Luxa?

– Hę?

– Gnosis rezygnuje ze starszej wersji Luxa – wyjaśniła Izzy. – A nową dostanie się tylko na Goldzie. Jeśli więc chcesz dalej korzystać z Luxa, musisz pożegnać się z tą cegłą.

Cegła. Jeszcze przed dwoma dniami był to najmniejszy handheld na rynku. Teraz uchodził za olbrzyma.

I nagle zadzwonił mój telefon.

KATE – KOMÓRKA.

– Tak, pewnie będę musiała – powiedziałam do Rachel, już wstając. – Hej, złapię was później, dziewczyny.

Połączenie odebrałam, jak tylko odeszłam od stolika, zniżając głos, bo akurat przechodziłam obok grupki członków kadry, stojącej przy automacie z mrożonymi jogurtami.

– Gdzie zniknęłaś? – zapytał North, ledwie połączenie doszło do skutku. – Cały dzień do ciebie

wydzwaniam. Zeszłej nocy, kiedy nas rozłączyło, zaraz znowu zadzwoniłem, ale od razu przerzuciło mnie na skrzyżnię.

– Wiele się wydarzyło – powiedziałam cicho. – To nie jest rozmowa na telefon. Mogę być u ciebie za dziesięć minut?

– Oczywiście. Jestem teraz u siebie. Wszystko w porządku?

– Będzie – zapewniłam i rozłączyłam się. Potem wsunęłam gemini pod serwetkę na tacy i razem z nią wywaliłam do śmieci.

– Uważają się za bogów? – W głosie Northa słyszałam niedowierzanie. – Za współczesne bóstwa?

– Bogowie pośród ludzi, takto określił wąż. W szczególności techniczne się nie wdawał.

– I wydaje im się, że odbudowują Ogrody Edenu?

– Przynajmniej swoją własną wersję raj. Społeczeństwa, w którym to oni będą decydować, co jest najlepsze dla innych. Eden. Jak w nazwie Theden. To nie zaczęło się od SynOxu, North. Siedzą nad tym od stuleci. Hyperion to po prostu etap końcowy.

North przetarł oczy.

– Strasznie to wszystko popaprane, Rory. I twoja mama należała do tego towarzystwa?

Potrząsnęłam głową przecząco.

– Tak myślałam, ale Liam sprawdził ich spisy i jej nazwiska tam nie było.

– To chyba próbowała ich zdemaskować.

Przyznałam mu rację.

– Tylko tak można to rozumieć. Te pliki w naszym jniku trzymała jako dowód. Ktoś jednak ją namierzył i się przeraziła. Przypuszczam, że dlatego opuściła Theden.

– Czemu nie powiedziała Griffinowi? Skoro chciała zniknąć, może by jej towarzyszył.

– Możliwe, że go chroniła. Jeśli Nieliczni mieli taką władzę, o jaką ich podejrzewam, to im mniej wiedział, tym było dla niego lepiej.

– Nieliczni? Tak o sobie mówią?

Potwierdziłam.

– To skrót od „Nieliczni Mądrzy”. Ich oficjalna nazwa pochodzi z greki.

– Bo cała reszta nas to imbecyle – prychnął North. – I aż do zeszłej nocy pragnęłaś do nich dołączyć?

– Sądziłam, że to ci dobrzy – powiedziałam tonem obrony.

North popatrzył na mnie z dezaprobatą.

– Rory, ci dobrzy nie noszą masek i szat z kapturem i nie załatwiają spraw po ciemku.

Spuściłam wzrok. Miała rację. Ale czułam się tak wyróżniona ich wyborem. Dałam się na to złapać. North stuknął w ekran tabletu, na którym widniała lista nazwisk odzyskana przez niego

z thumb drive'a.

– Ci wszyscy ludzie tam należą?

Skinęłam głową na potwierdzenie.

– Można to poznać po zestawieniach greckiej litery z liczbą. Oznaczają ich przydomek w stowarzyszeniu i rokinicjacji.

Odruchowo podniosłam rękę do obojczyków, choć oczywiście wisiorka tam już nie było.

– Gdzie go masz? – spytał North.

– Zabrała go Tarsus – wyjaśniłam. – W nocy, gdy leżałam nieprzytomna. Wydaje mi się, że to do niej należał. Przy najmniej do pewnego czasu. Ipsylon to imię, które nosiła w stowarzyszeniu.

– Mogła go podarować twojej mamie? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

– Nie wiem. Chyba mogło tak być.

Trudno mi było sobie wyobrazić, że Tarsus mogła pomagać mojej mamie. Od kogoś jednak mama dostała te pliki.

– Hej, mówiłeś, że był też trzeci plik – przypomniałam sobie. – Co zawierał?

– Zdjęcie ślubne – powiedział ciepło North. – Twojej mamy i Griffina.

Coś we mnie stwardniało, szykując się na napór emocji, które ledwie udawało mi się tłumić. Nie mogłam sobie pozwolić na te uczucia. W żadnym wypadku, dopóki nie zrobię tego, co zrobić zamierzałam. Zacisnęłam więc usta i kategorycznie pokręciłam głową. Nie chciałam oglądać tego zdjęcia. Po oczach Northa poznałam, że zrozumiał. Znalazłam jego rękę i ją uściśnęłam.

North, delikatnie trzymając moją rękę, przyciągnął mnie do siebie tak, że nasze ciała niemal się zetknęły, a potem ujął moją twarz w dłonie. Pachniały kawą espresso i gałką muszkatolową.

– Tej nocy mogłem cię stracić – powiedział ciepło.

– Wiem. Ale nie straciłeś.

– Tak zaryzykowałeś. – Przejechał mi kciukiem po brodzie.

– Musiałam – oświadczyłam. – Nie mogłabym złożyć tej przysięgi. Zaprzysiąc mojego życia ich wizji. Wyrzec się Zwątpienia. – Lekko potrząsnęłam głową. – Nie mogłabym. Nie mogłam jednak też odmówić. Wiedziałam, że nie pozwoliliby mi odejść, skoro już ty le wiedziałam.

– To co teraz? – spytał. – Wyjaśnisz im, że nie chcesz się z nimi wiązać, licząc na to, że dadzą ci spokój?

– Nie. – Podniosłam głowę z jego rąk i lekko się odsunęłam. – Muszą wierzyć, że wciąż tego chcę. To jedyny sposób, żeby pozwolili mi wrócić do grobowca.

– Wrócić do grobowca? – Northa o mało nie trafił szlag. – Rory, właśnie powiedziałaś, że uważasz tych ludzi za niebezpiecznych. Czemu miałabyś tam wrócić?

Odpowiedź miałam bardzo konkretną.

– Jeżeli chcemy ich zdemaskować, będziemy potrzebowali czegoś więcej niż kilku dokumentów. Konieczny będzie dowód wideo.

Taki był ten mój plan. Mnie samą przerażał, zwłaszcza że nie było szans na bezpośrednią transmisję z inicjacji – grobowiec znajdował się w martwej strefie. Żeby mieć cokolwiek, musiałabym wy dostać się stamtąd z tym nagraniem.

North zaczął już kręcić głową.

– Rory, nie. To zbyt...

– North, sądzę, że ci ludzie zabili moją mamę.

Pierwszy raz powiedziałam to na głos. Co więcej, do tej chwili właściwie tak nie myślałam, nie dopuszczałam do siebie takiej myśli.

– A jak sądzisz, co cię spotka, jeśli odkryją, że ich nagrywasz?

– Nie odkrywają. – Powiedziałam to z pewnością w głosie, choć pewna nie byłam. Gdyby nawet udało mi się ich sfilmować, jak miałabym się wy dostać z grobowca, nie składając ślubów?

– Okej, załóżmy, że ich nakręcisz. Czego to dowiedzie? Mówiłaś, że wszyscy noszą maski, nie będzie więc nawet widać ich twarzy.

– Przynajmniej ludzie się dowiedzą o istnieniu Nielicznych.

– Rory, wyślesz gdzieś taki film i stanie się jedno z dwojga: albo Gnosis usunie go zaraz po rozpoczęciu emisji, albo ktoś przejmie prawa do niego i ogłosi, że to fałszywka. Mówimy o firmie, która praktycznie kontroluje całą technologię, z której korzystamy. Od GoSearch przez Forum po Luxa. Kontrolując media, kontrolują też ich przekaz.

– Zaatakujmy więc technologię – zaproponowałam. – Zapomnijmy o zdemaskowaniu Nielicznych. Rozbrójmy Projekt Hyperion. Zamknijmy Luxa.

– A jak mielibyśmy tego dokonać?

– Nie wiem. Jakimś wirusem czy czymś podobnym.

– Stworzenie takiego wirusa wymagałoby tygodni pracy. A gdybym nawet jakimś cudem zdołał napisać superwirusa w jedną noc, nie byłoby sposobu, żeby się z nim przebić przez firewall Gnosis.

– Okej, to w takim razie wyłączmy nanoboty.

North pokręcił głową.

– Przestudiowałem tę notatkę słowo po słowie. Tylko raz wspomina się w niej, jak zdezaktywować „nanoboty na bazie żelaza”, bo takimi się posłużyli, a można to osiągnąć poprzez rezonans magnetyczny mózgu. Jeśli więc nie wpadniemy na pomysł, jak przekonać pół miliarda ludzi do wystawienia mózgow na impulsy elektromagnetyczne, obawiam się, że na tym polu szczęście nam nie dopisze.

Zrozpaczona, zacisnęłam powieki.

– To wymyślmy coś innego. North, ludzie dosłownie się uzależnili od swoich handheldów. Dopóki na każdym ręku będzie Gold, uwierzą we wszystko, co powiedzą im te pudełeczka. Kto wie, co Nieliczni zamierzają zrobić z ich żyćciem!

– Ja to wszystko rozumiem – powiedział North, wzdychając. – I jestem po twojej stronie. Staram się tylko patrzeć na to realistycznie.

– Och! – Zwaliłam się na kozetkę, a łyzy cisnęły mi się do oczu. – Czuję się taka bezsilna!

– Nie jesteś bezsilna – sprostował North. – Znasz prawdę. Już w samym tym jest siła. A ty masz coś jeszcze.

– Ciebie?

Roześmiał się.

– Też. Chodziło mi jednak o mądrość. Tę prawdziwą. – Pociągnął mnie tak, że wstałam. – Dostrzegasz to, czego inni nie widzą.

– Niczego nie dostrzegam – powiedziałam mu. – To wszystko Zwątpienie.

– To poproś ten głos o pomoc. Wcześniej obdarzał cię dobrą intuicją.

– Potrzeba mi więcej niż intuicji, North. Potrzebny jest konkretny plan.

– Czemu nie poprosić Griffina o pomoc? – zasugerował. – Jest naczelnym firmy, która za tym stoi. Na pewno może coś zrobić.

– Ten człowiek pozostaje w śpiączce farmakologicznej.

– Już nie – odrzekł North. – Dziś po południu go wybudzili.

– Co takiego?

North wziął ze stolika pilota i włączył swój kobylasty telewizor. Reporter lokalnych wiadomości stał właśnie przed Głównym Szpitalem Stanowym Massachusetts. Pasek u dołu ekranu głosił: **NACZELNY GNOSIS GRIFFIN PAYNE SIĘ BUDZI.**

Zabrałam Northowi pilota, żeby podkręcić głośność.

– Pan Payne zostanie wczesnym rankiem przewieziony do nieujawnionej placówki prywatnej, gdzie przejdzie rehabilitację – mówił reporter. – Według oficjalnego oświadczenia zarządu Gnosis, które przed godziną podano do wiadomości publicznej, Griffin Payne zrzekł się stanowiska prezesa, wyrażając wolę „poświęcenia całej uwagi powrotowi do zdrowia” w nadchodzących miesiącach. Nie wiemy jeszcze, kto go zastąpi u steru firmy wycenianej na siedemset pięćdziesiąt miliardów dolarów.

Kamera pożegnała się z reporterem, wracając do redakcji wiadomości.

Prezenterka przeszła do następnej nowiny, a obok jej głowy pojawiło się złowroźnie wyglądające zdjęcie słońca.

– Duża grupa plam słonecznych o nieregularnym kształcie, która zaniepokoiła heliofizyków, może stanowić zapowiedź potężnej burzy magnetycznej. Jeżeli w aktywnym rejonie dojdzie do

wyrzutu masy ...

– Świetnie – wymamrotałam, gasząc telewizor. – Na domiar wszystkiego świat się kończy. – Rzuciłam pilota na kozetkę i sięgnęłam po torbę. – Musisz mnie zabrać na pociąg.

– Rory, jest już po ósmej. W Bostonie będziesz tuż przed jedenastą. Nie ma siły, żeby pozwolili ci się z nim zobaczyć.

– To będę musiała się dowiedzieć, dokąd go zabierają. – Spojrzałam uważnie na Northa. – Możesz to zrobić?

Już zmierzał w stronę szafy.

– W systemie szpitala powinna być decyzja o przeniesieniu – zawołał przez ramię.

– Hej, a gdzie jest Hershey? – spytałam, ruszając za nim.

– Nie wiem. Wyszła może przed godziną. Powiedziała, żebym nie czekał. – Zwinął plakat i otworzył sekretne drzwi.

– Wiesz może, co to za tajemniczy amant?

– Nie – odpowiedział. – Gdybym wiedział, podziękowałbym mu za prywatność.

Z szerokim uśmiechem wciągnął mnie do tamtej kłitki i oburącz objął w talii. Wspięłam się na palce, by go pocałować, i przez dłuższą chwilę myślałam tylko o tym, jak jego wargi dotykają moich.

– Okej – powiedziałam, kładąc dłoń na jego ustach, by się odsunąć. – Dostyc tego dobrego. –

Wskazałam mu komputer. – Zawiadomienie o przeniesieniu.

Wejście do bazy danych pacjentów Głównego Szpitala Stanowego Massachusetts zajęło mu zaledwie kilka minut.

– Griffin Payne – powiedział, wpisując jego nazwisko.

– Proszę, niech to będzie gdzieś blisko – szepnęłam.

– No i jest – rzekł North. – Zobaczmy teraz, dokąd...

Umilkł.

– Nie – jego głos zabrzmiał jakoś dziwnie.

– O co chodzi? Dokąd go zabierają?

– Może to jednak nie... Nie, wtedy właśnie przyjęli go do szpitala. Wiesz może, kiedy ma urodziny?

Na pewno było o tym na stronie o nim, w Panoptikonie, ale nie mogłam sobie przypomnieć daty.

– Chyba w listopadzie? Czemu pytasz? O co chodzi?

Podeszłam o krok bliżej ekranu, niepewna, czego miałabym tam szukać.

North z całym krzesłem obrócił się do mnie. Twarz miał szarą jak popiół.

– Rory, Griffin zmarł w piątek w nocy.

ROZDZIAŁ 28

Latwo było powstrzymać się od płaczu. Zupełnie jakby w chwili, gdy powiedział: *Griffin umarł*, wszystko we mnie zmieniło się w suchy piach i w tym pyłe znikły moje emocje.

– Rory, rozmawiaj ze mną. Dobrze się czujesz?

Wciąż stałam tam, gdzie przedtem, kilkadziesiąt centymetrów od krzesła Northa, ale byłam całe eony dalej. Mój umysł uczeplił się typowego dla niego pragmatyzmu, zdecydowany, by to rozwikłać, pozbierać wszelkie fakty, które pomogą wyjaśnić, jak doszło do tego, że straciłam ojca w niecałą godzinę po tym, jak go odnalazłam.

– Jakumarł? – Mój głos wydał mi się pusty. Jak ja sama.

North wrócił do ekranu.

– Zakrzepica naczyń żylnych mózgu. Ale nie wyjaśniają, co to jest.

– Miał w mózgu skrzep krwi – wyjaśniłam. Na to samo zmarła moja mama, tyle że u niej zakrzep był w płucu. Odzyskałam ostrość widzenia. – Czy nanoboty mogłyby spowodować coś takiego?

– Nie wiem. Nie potrafię nawet... – Splótł dłonie na karku, chowając głowę pomiędzy łokciami. – Rory, to jakiś obłąd. Umarł trzy dni temu, a oni wciąż podają światu, że żyje. Jak długo zamierzają to ciągnąć?

– Dopóki nie przekonają ludzi, że Gnosis sobie bez niego poradzi – powiedziałam bez emocji. – Potem w tej tam „placówce prywatnej”, do której niby go wysłali, dojdzie do nagłego pogorszenia i ku wielkiemu zaskoczeniu wszystkich oraz powszechnej rozpacz umrze. – Spojrzałam Northowi w oczy. – Sam to powiedziałeś. Kontrolując media, kontrolują też ich przekaz.

– Rory, to naprawdę ciężko popieprzona sprawa. Żeby trzydziestosześcioletek miał wylew i umarł?

– Przecież go zabili, North.

Głos miałam nienaturalnie chłodny. Nic nie mogłam na to poradzić. Ciepło wypełniające ten pokój kilka chwil temu, gdy tuliliśmy się do siebie, gdzieś się ulotniło.

– Myślisz, że wywołali ten wylew?

– Nie należał do Nielicznych. Niemal otwarcie zapytałam go o stowarzyszenie i nie zareagował.

– Ale czemu mieliby go zabić?

– Na dwa dni przed premierą Golda zamierzał powiedzieć coś krytycznego o Gnosis, na

antenie telewizji ogólnokrajowej. Widzieliśmy, jak tuż przedtem rozmawiał z doktor Tarsus, pamiętasz? Wiedziała, co postanowił zrobić. Nieliczni nie mogli zaryzykować, że coś, co powie, pokrzyżuje im plany.

– Okej – powiedział North powoli. – Tylko w jaki sposób?

– Jeśli nanoboty potrafią naśladować oksytocynę, czemu nie miałyby być zdolne do takiego skupienia, żeby udać zakrzep? Tarsus razem z nim stała na mównicy. Była dostatecznie blisko. Mogła je uruchomić swoim handheldem. – Wskazałam ekran komputera. – Jest tam link do raportu z sekcji?

North przejrzał całą stronę, potem kliknął ekran.

– Nie wyrażono zgody na sekcję. Mam tutaj odpowiedni dokument, podpisany przez jego ojca.

Przez jego ojca. Przez mojego dziadka. Czemu miałyby nie chcieć przeprowadzenia sekcji?

Ponieważ i tak wiedział, jaki będzie jej wynik. W głowie znów usłyszałam Griffina: *Moi rodzice nie lubili Aviany. Ojczym jej nienawidził.*

– Raczej przez jego ojczyzna – dotarł do mnie głos Northa. – Nazwisko jest inne. – Zmrużył oczy, wgapiając się w ekran. – Ciężko odczytać podpis, ale nazywa się chyba Robert Atwater.

Moją klatkę piersiową ścisnęła jakaś żelazna obręcz. Nie mogłam oddychać.

– Ojcem Griffina Payne'a jest Robert Atwater. – O mało się nie uduławiłam tymi słowami.

North obejrzał się na mnie.

– Znasz go?

Zanim zebrało mi się na wymioty, zdążyłam jeszcze odpowiedzieć:

– To mój dziadek.

Leżałam na kocu Northa, w głowie mi wirowało, a żołądek się skręcał i marzyłam o przewinięciu wstecz mojego życia. Gdybym nie wybrała jako tematu swojej pracy parakuzji akratycznej. Gdybym – przede wszystkim – nie ubiegała się o przyjęcie do Theden. Byłabym nadal w Seattle, uszczęśliwiona uzależnieniem od handheldu, przekonana, podobnie jak Beck teraz, że lepiej żyć nie sposób. Tyle tylko, że byłam tutaj. Przytłoczona świadomością tego, jak źle się naprawdę dzieje.

Strasznie łatwo dałam się podejść. To wezwanie do dziekana Atwatera dzień po bankiecie Gnosis. Naciskanie, żebym wyjawiała mu wszystko, co wiedziałam. To była gra, część zaplanowanego przez stowarzyszenie procesu oceny, służąca przetestowaniu mojej lojalności. Teraz to rozumiałam. Nie dążył do odkrycia korzeni stowarzyszenia. Dbał o wykoszenie tych, którzy nie byliby w stanie sprostać jego oczekiwaniom.

Uświadomiłam sobie teraz, co mnie gryzło. To, czego nie mogłam przyszpilić. Pierwszego dnia szkoły dziekan napomknął o tym, że dawne dzieje mnie nie zniechęciły. Rzecz w tym, że w ich

prawdziwej wersji nie było niczego zniechęcającego. Byłam córką uczennicy wybranej do wygłoszenia mowy pożegnalnej, a nie wyrzuconej ze szkoły. On o tym wiedział. I zakładał, że ja nigdy się nie dowiem. Bo to on sfałszował dokumentację mojej mamy.

Korzystając z tabletu Northa, otworzyłam w Panoptikonie stronę o Griffinie. Z rozdziału „Wczesne życie” wynikało, że wychowywali go matka i ojczym, którego nazwiska nie podano. Biologiczny ojciec zginął w katastrofie łodzi nieopodal Cape Cod dwa tygodnie przed narodzinami Griffina.

– Hej, jak się czujesz?

Z szafy wyszedł North z plastikowym koszem na śmieci. Jęknęłam, chowając twarz w dłoniach.

– Zawstydzona – wyznałam zza nich. – Sprzątnęłaś po mnie rzygi.

– Chyba naprawdę cię kocham – odpowiedział.

Zagryzłam wargi, jeszcze nie odsłaniając twarzy. Kocha? Rzeczywiście o to chodziło? Chciałabym mieć w mózgu dość miejsca, by o tym pomyśleć, ale wszystkie moje szare komórki skupione były na Nielicznych i na tym, jak ich pokonać. Opuściłam ręce i lekko skinęłam głową, a kąciuki ust trochę podjechały mi w górę. Trudno byłoby to uznać za odpowiedź, ale North chyba jej nie oczekiwał.

– A tak naprawdę, jak się czujesz? – zapytał.

– Sama nie wiem – przyznałam. – Nic tu nie wydaje się prawdą. Nawet to, że moim ojcem jest Griffin Payne. Zupełnie jakbym żyła z kimś innym. Ale i tamto życie, które przedtem miałam, nie wydawało mi się tak do końca moje.

– Wiem, jak to jest – powiedział. – Człowiek ma wrażenie, że we własnym życiu nie jest u siebie. Tak było ze mną, kiedy dorastałam. Tato był moim rodzonym tatą, ale równie dobrze moglibyśmy być sobie obcy. – Przez chwilę się wahał. – Czemu więc nie odejdziesz? Pytam o to, co cię jeszcze trzyma w Theden, gdy już wiesz o Nielicznych. Jeśli sięga to nawet dziekana, mają w garści całą szkołę.

– Nie tylko mają ją w garści – sprostowałam. – Bez stowarzyszenia tej szkoły by nie było. Theden to taka ich hodowla.

– To po co tu siedzieć? – Ukłękła i nasze oczy były teraz na jednym poziomie. – Mam mieszkanie w Nowym Jorku. Opłacane gotówką. Ty i ja moglibyśmy...

– Nie mogę wyjechać – oświadczyłam. – Dopóki ich nie powstrzymam. Nie po tym, co zrobili. Jeśli mam rację, North, ci ludzie zabili oboje moich rodziców. I wyprali mózg mojemu najlepszemu przyjacielowi. Nie mówiąc o setkach milionów innych ludzi. – Potrząsnęłam głową. – Nie mogę tak po prostu uciec.

North westchnął.

– Wiedziałem, że to powiesz. Nie mogę ci jednak pozwolić, żebyś sama wróciła do tego ich przekłętą grobowca.

Wiedziałałam, że lepiej się z nim nie spierać. Mimo to zamierzałam wrócić. Niezależnie od tego, czy będę miała drogę ucieczki.

Mieszkanie Northa opuściłam niedługo potem. Nasza rozmowa utknęła w martwym punkcie. On czuł to, co czuła, a ja się uparłam. Nie było o czym mówić.

Kiedy wróciłam, na dziedzińcu panowała cisza, niewątpliwie z powodu ochłodzenia. Od zeszłej nocy temperatura spadła o dziesięć stopni, zerwał się też wiatr. Świślał teraz pośród suchych liści klonów okalających alejkę kampusu, zrywając je z gałęzi i ciskając w powietrze. Podniosłam głowę i spojrzałam w nasze okno. W pokoju paliło się światło. Byłam prawie pewna, że je zgasiłam.

Drzwi wejściowe przyblokowano kamieniem, żeby się nie zamknęły, wbiegłam więc do środka, chroniąc się przed wiatrem. Na schodach przeskakiwałam dwa stopnie na raz, grzebiąc w torbie w poszukiwaniu mojego gemini. Nie było go tam jednak. Spoczywał w czeluściach kosza na śmieci w stolówce.

Kurde blade. Straciłam dostęp do swojego pokoju.

– Niechący go wyrzuciłaś? – Izzy wpatrywała się we mnie, jakbym mówiła w jakimś obcym języku.

– Podczas kolacji leżał na mojej tacy – odpowiedziałam, nie zamierzając się bronić. – Musiałam wywalić z resztkami po jedzeniu.

– I dopiero teraz sobie to uświadomiłaś?

– Byłam w bibliotece – skłamałam. – Myślałam, że zostawiłam go w torbie. Mogę więc pożyczyc twój? Muszę zadzwonić do obsługi technicznej.

– Pewnie – powiedziała, odpinając golda od opaski na przegubie.

– Odblokuj się – poleciła telefonowi, zanim mi go podała. Spojrzałam na nią zdziwiona.

– Jest sprzężony z głosem użytkownika – wyjaśniła. – Żeby mógł z niego skorzystać ktoś inny, trzeba najpierw samemu odblokować.

Doskonale, pomyślałam. Więc twój telefon nie uaktywni nanobotów w mózgu kogoś innego.

Nie miałam ochoty brać tego czegoś do ręki, a tym bardziej przykładac do ucha. Mimo to wzięłam go od Izzy i szybko wystukałam numer kampusowej pomocy. Pięć minut później pod moimi drzwiami był już konserwator z kartą-kluczem. Jego też raczej zdziwiło, że ktoś mógł zgubić handheld i przez kilka godzin tego nie zauważyć.

– Kiedy przyślą ci nowy? – zapytał.

– Jutro – skłamałam i podziękowałam za pomoc.

Ledwie przeszłam przez drzwi, zamarłam. Na biurku zostawiłam kronikę szkolną doktor Tarsus,

otwartą na jej zdjęciu. Teraz księgi nie było. Zniknięcie kroniki przypomniało mi, że nie pierwszy raz ktoś zakradał się do mojego pokoju. Sprawdziłam pod poduszką, potem chwyciłam książkę Northa i zaczęłam przewracać strony w poszukiwaniu kolejnego wpisanego tam tropu. Niczego nie znalazłam.

Westchnęłam i skopałam buty, by wskoczyć do łóżka bez mycia twarzy i szorowania zębów. Ciężko byłoby teraz bać się pryszczycy i ubytków.

– Daleko zabrnęłam – wymamrotałam, podciągając koc pod brodę.

Jak tylko moje palce natrafiły na pomarańczowy krzyżyk wyhaftowany w jego prawym górnym rogu, natychmiast siadłam prosto. Były takie dwa, pierwszy właśnie tu, w prawym górnym rogu, oddzielony od reszty złożonego z kwadratów wzoru, a drugi na środku najmniejszego z tych kwadratów. Liam powiedział mi wcześniej, że wejście do grobowca znajdowało się w najmniejszej z wewnętrznych sal, dokładnie więc tam, gdzie moja mama wyhaftowała pomarańczowy X.

X oznaczający wyjście.

Przeskoczyłam wzrokiem od tego iksa do poprzedniego, po raz pierwszy dostrzegając to, co zostawiła mi mama.

Mapę.

Odrzuciwszy przykrycie, wyskoczyłam z łóżka, potem rozprostowałam na nim koc. Liam twierdził, że sale w grobowcu mają ten sam układ co kwadraty na moim kocu, gdybym więc się zorientowała, gdzie jest wejście, udałoby mi się też zlokalizować miejsce oznaczone przez drugi X. I może miałyby drogę wyjścia.

Porwałam z biurka tablet i odpałam mapę. Zaczęłam od mojego aktualnego położenia, a potem przewinęłam ku skrajowi lasu i w stronę cmentarza. Gdy w polu widzenia pojawił się płot, przeszłam na widok z satelity i zmniejszyłam skalę. Niemal od razu dech mi zaparło. Miałam wszystko jak na tacy. Tyle tylko, że z poziomu ziemi nie było tego widać.

Kamienne alejki cmentarza wyznaczały ten sam wzór co kwadraty na moim kocu. Poszukałam kwadratu znajdującego się w samym środku. Obejmował trawnik, na którym widziałam jabłoń, dokładnie naprzeciw mauzoleum, w którym North urządził sobie kryjówkę. Samo mauzoleum też ze wszystkich czterech stron otaczał kamień alejek. Stanowiło drugi kwadrat w ciągu Fibonacciego. Ten, w którym moja mama umieściła pierwszy pomarańczowy X.

Z sercem walącym tak, że każde nowe uderzenie zlewało się z poprzednim, przypatrywałam się obrazowi z lotu ptaka na moim ekranie. Mauzoleum kryło w sobie wejście do grobowca. Innej możliwości nie było. To wyjaśniało, czemu w sarkofagu nie było trumny, czemu jego wieko było tak lekkie i czemu co tydzień tam zamiatano. Tłumaczyło także, czemu na wewnętrznym kwadracie rośnie samotna jabłonka. Ikoniczny symbol drzewa wiadomości dobrego i złego.

– Tylko jak się dostanę do środka? – zapytałam na głos, dwukrotnie stukając w ekran, by zobaczyć mauzoleum z poziomu alejki, jakby to mogło podsunąć mi jakiś trop. Powinnam jednak oczywiście, obejrzeć je od środka. Sarkofag, tego byłam już pewna, krył w sobie schody wiodące pod ziemię. Oglądanie budynku z zewnątrz prowadziło donikąd.

Zwiększyłam więc skalę. Umieszczenie drugiego iksa było trudniejsze, gdyż kamienne kwadraty kończyły się u bram cmentarza. Gdziekolwiek się więc znajdował, kampus mogłam wykluczyć. Był znacznie dalej. Żeby określić jak daleko, musiałabym odwołać się do matematyki. Dałabym jednak radę to zrobić, trzymając się wzoru.

Liczby Fibonacciego podlegały dość szczególnemu porządkowi. Na początku były zero i jeden, a każda następna była sumą dwóch ją poprzedzających. Wzór na moim końcu łączył kwadraty, których boki długością odpowiadały kolejnym liczbom Fibonacciego, z seriami łuków łączących ich rogi tak, że tworzyły złotą spiralę. Wiedziałam, że dwa najmniejsze kwadraty miały boki długości jednego milimetra, a największy liczył sobie pięćdziesiąt pięć na pięćdziesiąt pięć. Zmierzyłam je kiedyś jako dziecko. Drugi pomarańczowy krzyżyk znajdował się z dala od kwadratów, kończył najszerszy łuk spirali. Musiałam odpowiedzieć sobie na dwa pytania, ile milimetrów dzieliło ten mały X od kwadratu znajdującego się w samym środku i ile to wynosiło w metrach.

Dzięki użyciu funkcji pomiarów mapy przekonałam się, że długość boku kwadratu, na którym stoi mauzoleum, wynosi trzy metry sześćdziesiąt sześć centymetrów. Takiej więc odległości na mapie odpowiadał milimetr na moim końcu. Załadowałam natychmiast aplikację z linijką i zaczęłam odmierzać miejsca, w których na moim końcu powinno się znaleźć kilka następnych kwadratów, których mama nie wyszyła. Dlaczego poprzestała na dziesiątym kwadracie? Do głowy przyszło mi jedynie, że właśnie tam kończył się grobowiec Nielicznych, zapewne tą wielką areną, na którą nas zabierali i która według mojej mapy znajdowała się dokładnie pod parkiem miejskim Theden Green. Ten pomarańczowy krzyżyk wskazywał więc na coś poza grobowcem, na coś, co leżało na końcu łuku przy czternastym kwadracie.

Wróciłam do mapy i zaczęłam przy pomocy pióra kreślić na ekranie kwadraty. Funkcja rysowania pozwalała mi na automatyczne wyznaczanie długości ich boków, musiałam więc tylko ustawiać je w określonym porządku. Precyzja, z jaką zbudowano ten grobowiec, była wręcz szokująca. Nie tylko grobowiec, również cmentarz, kampus i górujące nad nimi miasteczko podporządkowano ściśle przestrzeganemu ciągowi matematycznemu.

Kiedy doszłam do czternastego kwadratu, zatrzymałam się i aż przetarłam oczy. W pobliżu północno-wschodniego narożnika, dokładnie tam, gdzie powinien się znajdować drugi pomarańczowy krzyżyk, widniał Zbiornik Wodny Enfield. Własność Inicjatywy Theden, tego samego podmiotu, który kontrolował Gnosis i moją szkołę, zajmująca zaledwie cząstkę kryjącej

się pod nią kopalni. Wyobraziłam sobie uzbrojonych strażników tego zbiornika, elektroniczne czujniki i ogrodzenie pod wysokim napięciem.

Pod tą wodą coś się kryło.

ROZDZIAŁ 29

Cóś jest pod Zbiornikiem Wodnym Enfield – powiedziałam do Northa następnego ranka o ósmej.

Zadzwoiłam do niego na numer Kate, z godła Izzy, czemu nie była przeciwna, choć niechętnie rozstała się z nim w porze śniadania. Spotkałam ją pod Domem Hamiltona, wyliczywszy to tak, by na Praktyki trafić pod koniec pierwszej przerwy, gdy nie będzie już czasu na zetknięcie sam na sam z doktor Tarsus.

– Jakiego rodzaju coś? – spytał North z towarzyszeniem niewielkiego pogłosu. Odrobinę prywatności w Paradiso zapewniała bowiem tylko ciasna łazienka.

– Nie wiem – przyznałam. – Ale cokolwiek tam jest, mama uważała to za ważne.

Czym prędzej opowiedziałam mu, co odkryłam na moim kocu i jak to współgrało z terenami wokół cmentarza.

– To prostokąt Fibonacciego – wyjaśniłam. – W praktyce oznacza to, że mamy do czynienia z ciągiem coraz większych kwadratów z przechodzącą przez nie spiralą. Wzór na moim kocu kończy się po dziesięciu kwadratach, czyli według mnie tam, gdzie kończy się ich grobowiec, natomiast spirala nadal się rozwija, sięgając do miejsca, gdzie powinien się znajdować czternasty kwadrat i gdzie moja mama wyhaftowała drugi X – mówiłam coraz szybciej, by zdążyć wszystko przekazać. – A jeśli jeszcze dalej poprowadzić tę spiralę, w miejscu, gdzie powinien się znajdować dwudziesty pierwszy kwadrat, trafia się na główną siedzibę Gnosis. W sam środek ich gmachu. Sądzę więc, że te trzy miejsca – grobowiec, to coś pod zbiornikiem wodnym i budynek Gnosis – są pod ziemią połączone.

– Łał – zawołał North. – To zupełnie jak motyw z pewnego kiepskiego filmu z Nicolasem Cage’em z początków wieku ¹.

– Nie wiem, o kim mowa.

– Nie znasz Nicolasa Cage’a? – Northowi chyba trudno było w to uwierzyć. – Musisz natychmiast obejrzeć *Skarb narodów*. Jest wprawdzie okropny, ale skoro tak tym żyjesz, powinnaś przynajmniej zobaczyć, o co chodzi.

– Skup się, proszę. Zbiornik Wodny Enfield. Co umieściliby pod nim Nieliczni i dlaczego?

Podczas naszej rozmowy zauważyłam po drugiej stronie dziedzińca dziekana Atwatera i aż się wzdrygnęłam. Teraz, gdy dziedziniec zaczął pustoszeć, przejście pomiędzy Hamiltonem i Jay było w pełni w zasięgu jego wzroku. Skoczyłam za budynki, schodząc mu z oczu.

– Poddaję się – rzekł North. – Chcesz tam pojechać po południu i sprawdzić? O czwartej

kończę.

– Zdecydowanie – potwierdziłam, odsuwając golda od ucha.

8:44. Doktor Tarsus miała zamknąć drzwi klasy za sześćdziesiąt sekund.

– Muszę lecieć – poinformowałam Northa. – Przyjdę do Paradiso po zajęciach.

Na Praktyki dotarłam dokładnie o 8:45, akurat gdy doktor Tarsus zamykała. Przytrzymałam drzwi.

– Lepiej się dziś czujesz? – spytała na mój widok

– O wiele – oznajmiłam, błyskając najbardziej promiennym z moich uśmiechów. – Nie moge się doczekać sesji poprawkowej.

– Miło to słyszeć – odparła, sięgając do kieszeni sweterka. – Będziesz tego potrzebowała.

Opuściłam wzroki zobaczyłam w jej palcach niedużą kopertę. Podała mi ją na wysokości talii, jakby wołała ten gest ukryć. Prędko wsunęłam kopertę do torby.

– Zaczynajmy – powiedziała potem, już głośniej, do całej grupy.

Weszłam do swojej kapsuły i wsadziłam torbę do kosza przy siedzeniu, wyjąwszy z niej przedtem kopertę. Podnosząc ją, usłyszałam, że w środku coś się przesuwają, a dolny jej koniec nagle stał się cięższy.

– Naszym dzisiejszym celem będzie ucieczka – usłyszałam głos Tarsus. – Ocenie poddana zostanie wasza zdolność do logicznego myślenia przy niemożności polegania na percepcji zmysłowej. Na ile potraficie podejmować decyzje po omacku?

Rozdarłam kopertę i przyjrzałam się jej zawartości. W ten dolny róg zsunął się wisiorek na srebrnym łańcuszku. Oddała mi naszyjnik?

Ekran się włączył, ale scena na nim tonęła w półmroku. Nie potrafiłabym określić, na co patrzę. Przez chwilę myślałam, że mój ekran nawalił, ale ponownie usłyszałam głos doktor Tarsus.

– Oczekujemy od naszych zmysłów, że nas poprowadzą. Jeśli jednak znajdziesz się w sytuacji, z którą nie zdołają sobie poradzić? W jakim stopniu twój umysł wyrówna szansę?

Znów popatrzyłam na naszyjnik Powiedziała: *Będziesz tego potrzebowała*. W jakim celu?

– Znajdujesz się na najwyższym piętrze budynku ogarniętego pożarem – mówiła doktor Tarsus. – Wszystkie piętra łączy jedna winda, poszczególne piętra łączą też schody, ale te ciągi komunikacyjne są niespójne, co oznacza, że każda z klatek schodowych znajduje się w innym miejscu.

To były ważne szczegóły, do mnie jednak docierały najwyżej w połowie. Kopertę z naszyjnikiem wepchnęłam z powrotem do torby i postarałam się słuchać. *Budynek ogarnięty pożarem. Klatki schodowe w różnych miejscach. Ucieczka.*

– Pożar wybuchł na twoim piętrze – kontynuowała Tarsus – i szybko się rozprzestrzeni. Twoim

zadaniem będzie ująć z tego budynku z życiem. Licznik u dołu ekranu wskaże, ile dymu się nawdychałaś. Jeżeli stracisz przytomność, symulacja dobiegnie końca, a twój wynik wyniesie zero. Powodzenia.

Światła w sali przygasły i rozpoczęła się symulacja. Kilkakrotnie zamrugałam, jakby miało mi to pomóc wyraźniej widzieć, ale nic to oczywiście nie dało, gdyż na ekranie nie było światła. Rozejrzałam się w poszukiwaniu dymu, o którym wspomniała Tarsus, żadnego jednak nie wyczułam. Ani innych oznak pożaru. *Znajdź schody*, powiedziałam sobie, idąc powoli z wyciągniętymi przed sobą rękami. Chwilę później dłonie dotknęły jakiejś powierzchni. Zimnej, prawie wilgotnej, przy pominającej kamień.

W myśli wkraść mi się zamęt. Jeśli ten budynek się palił, ściany nie powinny być zimne, a już na pewno nie wilgotne. Czyżby umknęło mi coś, co powiedziała?

Teraz, gdy moje oczy oswoiły się już z mrokiem, wyróżniłam jakiś kształt sterczący ze ściany nad moją głową. Sięgnęłam tam i wyczułam gładki cylinder umocowany na małej platformie. Moje palce wspięły się wzdłuż jego zaokrąglonego boku, a gdy przesuwałam je nad wierzchołkiem tego cylindra, odrobinę się zapadły. Środkowy palec skruszył coś sztywnego i nagle skojarzyłam. To była świeca z wypalonym knotem, osadzona w kamiennym murze.

Znajdowałam się w grobowcu Nielicznych.

Postarałam się nie dręczyć pytaniem *dłaczego* – dlaczego Tarsus mnie w nim umieściła, domagając się, bym uciekła? – a skupić się na *jak* – jak się dostać do tego czegoś pod zbiornikiem wodnym? Zegar u dołu ekranu już tykał.

Teraz, gdy wiedziałam, gdzie jestem, w kilka sekund zorientowałam się, że znajduję się w sali, w której odbyła się inicjacja. Dojrzałam zarys ołtarza pod odleglejszą ścianą. Zobaczyłam jedne i drugie drzwi. Przeszłam przez te bliżej mnie. Pomieszczenie, w którym się znalazłam, okazało się mniejsze od poprzedniego, co oznaczało, że zmierzam w kierunku środka. Do wyjścia. Nie wyjścia jednak szukałam.

Odwróciłam się i pognałam przez salę z ołtarzem do drugich drzwi. Uznałam, że jestem w trzecim lub czwartym pomieszczeniu tego ciągu, po sześciu lub siedmiu powinnam zatem dotrzeć do areny, a następnie cztery doprowadzą mnie pod zbiornik wodny.

Wiedząc już, gdzie ulokowane są drzwi – w przeciwnych rogach przeciwnych ścian – mogłam te sale przebywać pędem, zwalniając jedynie przy przeciskaniu się przez wąskie drzwi. Gdy wbiegłam na arenę, na moment przystanąłam, żeby z zapartym tchem raz jeszcze, w całkowitym bezruchu, by nie zgubić kierunku, podziwiać ogrom tego miejsca. Panował tu taki mrok, że gdybym obróciła się choć odrobinę, przyszłoby mi biegać w koło w poszukiwaniu przeciwległej ściany.

Jaktylko mój oddech się uspokoił, ruszyłam dalej, pędząc na drugi kraniec tej rozległej kolistej

sceń i modląc się o kolejne drzwi. Serce zabiło mi radośniej, bo dojrzałam szczelinę w skale. Wejście do tunelu.

Licznik u dołu ekranu pokazał 10:00:00. Na odnalezienie czegoś pod zbiornikiem wodnym miałam dziesięć minut. Trzymając się ściany po prawej, z jedną ręką na jej kamiennej powierzchni, a drugą wyciągniętą w przód, przeszłam w równomierny trucht wzdłuż korytarza zawijającego się na kształt spirali. Choć oczywiście biegłam w miejscu, w swojej kapsule, decydując się na sprint, nie pokonałabym całej trasy.

Oceeniłam, że przebiegnięcie tej odległości zajmie mi co najmniej siedem minut, jednak tuż poniżej sześcioro wpadłam na ścianę. Po ciemku nie widziałam jej przed sobą. Była z kamienia, tak samo jak bieżące po bokach, i obmacywałam ją teraz w poszukiwaniu przejścia, nie przyjmując do wiadomości, że to ślepy zaułek. Trafiałam dłonią na kamień wystający bardziej niż inne. Gdy go wcisnęłam, ściana ustąpiła.

Była za nią kolejna, tym razem ze szkła, z tyłu podświetlona. Zamrugałam raptownie, oślepiąca tym blaskiem. Po drugiej stronie szklanej tafli widziałam ścianę z gładkiej stali i na jej środku wejście jak do bankowego skarbcza, ozdobione wielkim G. Logiem Gnosis. Obok wejścia zamontowano mikrofon z czerwonym guzikiem i prostokątnym ekranem. Na prawo od domofonu widoczna była tablica kontrolna z rzędami zielonych światełek.

Dotknęłam szkła, chcąc się przekonać, jak może być grube, ono zaś zmieniło się w ekran dotykowy z klawiaturą. Pojawiło się na nim dwanaście kwadratów, w tym cztery pierwsze oznaczone liczbami.



To była zagadka matematyczna. Mój mózg z miejsca zaczął szukać schematu. Dwa plus trzy równało się pięć, a pięć plus trzy – osiem, ale po dodaniu trzech do ośmiu nie uzyskałoby się wyniku cztery. Kurde. Przeniosłam wzrok na dół ekranu. Zostało 2:59:45. Czułam, jak opuszcza mnie zapał. Czas leciał, a ja wciąż tu sterczałam.

Myśl, Rory, upomniałam się. Moja mama pomyślała o wszystkim. Musiała więc zostawić mi odpowiedź i w tej sprawie. Przerzuciłam w myślach wszystko, co postanowiła mi zostawić. Naszyjnik, cytat, koc.

Koc. Widniejący na nim schemat matematyczny.

W mgnieniu oka, pojęłam. To nie były liczby 2, 5, 8 i 4. To było 2584, dwudziesta liczba w ciągu Fibonacciego. Powtarzałam go sobie zeszłej nocy. Jaka byłaby następna liczba w tym ciągu? Chyba mózg mi się zawiesił. Nie mogłam sobie przypomnieć. Musiałam zacząć od początku. Dwoma pierwszymi liczbami były zero i jeden, a każda następna stanowiła sumę

dwóch ją poprzedzających. Z obliczeń wynikało, że po 2584 nastąpi 4181. Szybko wpisałam do kolejnych kwadratów cztery, jeden, osiem i jeden. Teraz ostatnia czwórka: $2584 + 4181 = 6765$. Wpisałam i te cztery liczby, wstrzymałam oddech i wcisnęłam enter.

Brzęk.

Aż podskoczyłam, tak głośny był ten dźwięk, szczęknięcie metalu o metal. Przesunął się jakiś bolec w zamku. Chwilę później doszedł do mnie odgłos potężnego podmuchu i wreszcie świst towarzyszący przesuwaniu szklanej tafli. Rzuciłam okiem na licznik zostało 1:45:00.

Weszłam do tej komory. Ledwie to zrobiłam, szyba za mną się zasunęła. Towarzyszący temu odgłos olbrzymiej ssawki świadczył, że zostałam uwięziona między szkłem a stalą. Co teraz? Przeskanowałam wzrokiem to niewielkie pomieszczenie. Czerwony guzik pod mikrofonem migotał, jakby trwało nagrywanie. Należało coś powiedzieć? Jeśli w grę wchodziło hasło, na pewno go nie znałam. Zobaczyłam, że na ekranie nad mikrofonem pojawia się ruchomy zapis fal głosowych, jakby coś mówiła.

Rozległ się sygnał dźwiękowy, lampki na tablicy kontrolnej zmieniły kolor z zielonego na czerwony, potem nastąpiło głośne metaliczne szczęknięcie zamka w drzwiach sejfu.

Wpuszczono mnie.

Sięgając do tych drzwi, by je otworzyć, pierwszy raz zauważyłam, że skórę na rękach mam ciemną. Przyjrzałam się reszcie swojej postaci i zrozumiałam, czemu system mnie wpuścił. Wziął mnie za nią. Od początku tej symulacji byłam doktor Tarsus i nie miałam o tym pojęcia. Nic dziwnego, że tak szybko się poruszałam. Miałam dwa razy dłuższe nogi.

Gdy na liczniku zostało już tylko dziesięć sekund, wpadłam przez siedmiokątne wejście do największego pomieszczenia, w jakim w życiu byłam.

Nie przypominało niczego, co kiedykolwiek widziałam. Było oświetlone niesamowitą błękitną poświatą. Od podłogi po sufit wypełnione rzędami identycznych maszyn. Panował tu chłód jak w zamrażarce.

Podłogę stanowiła krata umocowana co najmniej metr nad podłożem sprawiającym wrażenie wyciętego w migotliwej skale. Spojrzałam na strop oddalony ode mnie chyba o długość boiska piłkarskiego. Byłam w serwerowni Gnosis. Z całą pewnością.

Spójrz w prawo!

Te słowa były jak grzmot, jak wybuch, ogłuszyły mnie przestraszeniem i ulgą. Głos był tu ze mną, pomagał mi i przemawiał się tym wszystkim nie mniej ode mnie. Prędko obróciłam się w prawo i ujrzałam maszynę różniącą się od innych. Potrójny ekran zawieszony nad szklanym biurkiem, wewnątrz kratki koloru miedzi. Wykonałam krok w jej kierunku i mój ekran pociemniał.

– Nie – wrzasnęłam. – Jeszcze nie.

Licznik jednak się wyzerował i symulacja dobiegła końca. Chwilę później na ekranie zapłonęła

lista członków naszej grupy, uszeregowana według czasu ucieczki. Moje nazwisko widniało gdzieś w połowie tego rankingu. Na miejscu niebudzącym podejrzeń. Wydawać się mogło, że przeszłam tę samą symulację co inni. Tylko Tarsus i ja znałyśmy prawdę: że z wciąż niepojętego dla mnie powodu postarała się mi pomóc. Nie tylko pozwoliła mi na swobodne poruszanie się wewnątrz grobowca, ale i pokazała dostęp do serwerów Gnosis.

Resztę zajęć poświęciła na wytykanie rozmaitych błędów, jakie moi koledzy popełnili w swoich symulacjach. Do mnie nic z tego nie dotarło. Siedziałam wpatrzona w wisiołek.

Czy to ona zostawiła mi pod poduszką odpis arkusza ocen mamy? Wpisała do książki Northa imię doktor Hildebrand? Usłyszałam głos, głośno i wyraźnie, już nie tak grzmiący jak przedtem, bardziej przypominający echo. Dwa słowa objijające mi się wewnątrz głowy.

Zaufaj jej.

1. *Skarb narodów* (2004), reż. J. Turteltaub. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 30

Ciesząc się, że jestem w trampkach, pognałam z Domu Hamiltona do Paradiso, a gdy przeskakiwałam przez płot cmentarza, wisiołek z ipsylonem obił mi się o obojczyk. Pędząc przez trawę, rozejrzałam się szybko, by się upewnić, że jestem tu sama. Ledwie mój wzrok dotarł do posągu archanioła, zamarłam w pół kroku. Wskazywał ręką wejście na cmentarz, co miało dla mnie sens, odkąd poznałam ilustrację z *Raju utraczonego*. Wypędzał Adama i Ewę z Ogrodów Edenu. Byłam jednak pewna, że tamtej nocy, gdy Nieliczni wezwali mnie pod skrzydło anioła, ta sama ręka kierowała się ku niebu.

Podbiegłam tam. Prawie nie było tego widać, ale na jego lewym ramieniu była szczelina w kamieniu, zupełnie jakby ramię stanowiło dźwignię. Złapałam anioła za przegub i pchnęłam rękę do góry. Ani drgnęła. Zacisnęłam zęby i pchnęłam ponownie, zapierając się o ziemię. Ramię podjechało do góry, a z lewej strony dobiegł mnie rumor. Zgrzyt przesuwających się kamieni.

Dochodził z mauzoleum.

Rzuciłam się do tego budynku i pozwoliłam sobie wejść do środka. Jeszcze zanim odsunęłam wielki sarkofagu, wiedziałam, co zrobiłam. Otworzyłam wejście do grobowca.

Marmurowe dno sarkofagu przesunęło się nieco, ukazując spiralne schody wiodące w smolistą czerń. Wychyliłam się przez jego krawędź, usiłując wypatrzeć dno, niestety, mój wzrok nie sięgał dalej niż na trzy metry w głąb.

Wyprostowałam się, czując nagły lęk. A jeśli uruchomiłam jakiś cichy alarm? Nie wspominając o tym, że w biały dzień wejście do mauzoleum pozostawiłam otwarte. Zamknęłam sarkofag i równie szybko, jak weszłam, pożegnałam się z mauzoleum, po czym, przystając tylko na chwilę, jakiej wymagało opuszczenie ręki anioła do poprzedniej pozycji, popędziłam w kierunku płotu.

Gdy wpadłam w drzwi kawiarni, za kasą stała Kate.

– Hej, Rory – zawołała. – Northa tu nie ma.

– Co znaczy, że go nie ma? – oburzyłam się. – Musi być.

Kate mi się przyjrzała.

– Dobrze się czujesz?

– Po prostu muszę się zobaczyć z Northem – wyjaśniłam. – Wiesz może, gdzie jest?

Potrząsnęła głową przecząco.

– Za pięć minut zaczyna zmianę. Zrobić coś do picia, żeby lepiej się cze...

– Nie, dzięki – powiedziałam i wybiegłam.

Ogromnie mi ulżyło, gdy zobaczyłam go przez szklane drzwi serwisu Ivana. Na ladzie leżał otwarty laptop Northa, a Ivan dłużył przy czymś, co chłopak trzymał w ręku. Otworzyłam szeroko drzwi i dzwoneczek się rozkołysał. North się poderwał, zaciskając palce na tym, co miał w dłoni. Szybko zatrzasnęła laptop.

– Rory – powiedział, widząc, że to tylko ja, ale po chwili odprężenia znów zmarszczył brew. – Co tutaj robisz?

– Muszę się dowiedzieć, co jest na moim naszyjniku – powiedziałam pośpiesznie. – Sądzę, że coś tam umieściła. Chyba właśnie po to go zabrała.

Ivan już otwierał swój zastępczy sprzęt.

– Co masz w ręku? – spytałam Northa. Wciąż zaciskał palce.

Zawahał się, potem zerknął na Ivana. Staruszek kiwnął głową.

– Jest już gotowy.

North rozchylił palce. Na jego dłoni leżał medalion w kształcie gołębia, który zobaczyłam w szklanej gablocie podczas naszego pierwszego wieczornego wypadu. Z bliska wydawał się wykonany jeszcze kunsztowniej. Złoto pokrywał misterny wzór, a skrzydło lekko odstawało od reszty.

– Kupiłem go dla ciebie – powiedział North, zerkając kątem oka na Ivana. – Żeby zastąpił tamten naszyjnik – Zająknął się. – Wiem. Nic ci go nie zastąpi, ale myślałem...

– Uwielbiam go – oznajmiłam, unosząc oburącz włosy. – Zapniesz mi go? I zdejmiesz tamten, żebyśmy mogli sprawdzić pliki?

Gdy palce Northa dotknęły mojego karku, poczułam dreszcze. Znów zamarzyłam o tym, żebyśmy byli tylko parą zwyczajnych nastolatków, która nie musi demaskować biotechnologicznego spisku.

Gołąb zawisł kilka centymetrów nad wisiorkiem, wpasowując się między obojczyki.

– Co jest w środku? – spytałam nagle, przypominając sobie, że to medalion. Zawias był na górze, wsunęłam więc paznokiec w dziób gołębia, najbardziej oczywiste miejsce otwarcia.

– Nie otwiera się – powiedział szybko North. Odpiął naszyjnik z ipsisyonem i trzymał teraz w ręku.

– To nie jest medalion?

– Kimkolwiek był poprzedni posiadacz, zamknął go na glucho – wyjaśnił Ivan.

– Aha – odpowiedziałam, kryjąc rozczarowanie. Wsunęłam pod niego grzbiet dłoni, unosząc tak by mu się przyjrzeć. Zapamiętałam, że za oczko gołębiowi służył turkusik, musiałam się jednak mylić, bo nie było niebieskie, tylko czarne i połyskiwe niczym z lustrzanego szkła.

– I tak go uwielbiam – stwierdziłam, odwracając się do Northa z uśmiechem. – Dziękuję ci.

Rozpromienił się.

– Nie ma za co.

Odsłonił w moim wisiorku wtyczkę USB i włożył w wejście w laptopie Ivana.

– Jak go odzyskałaś? – spytał.

– Od doktor Tarsus – powiedziałam. – Dziś rano mi go zwróciła. To zabrmi jak wariactwo, ale nie wykluczam, że przez cały ten czas próbowała mi pomagać.

– Pomagać w czym? – chciał wiedzieć.

– Sama nie wiem. Dziś rano, podczas Praktyk, pokazała mi wnętrze grobowca i pozwoliła użyć jej uprawnień, by dostać się do czegoś, co wyglądało mi na serwerownię Gnosis lub jakoś podobnie. To jest właśnie to miejsce pod zbiornikiem wodnym.

North coś odpowiedział, nie usłyszałam jednak co, gdyż zbyt zajęta byłam dwoma plikami, które właśnie wyskoczyły mi na ekran. Jeden stanowił jakiś JPEG, drugi nagranie audio, siedem minut i czterdzieści pięć sekund. Oderwałam od nich oczy i napotkałam wzrok Ivana.

– Znajdą się tu słuchawki, które mogłabym pożyczyć?

Nie to, żebym nie chciała, by nagranie usłyszał też North czy na przykład Ivan, pragnęłam jednak za pierwszym razem wysłuchać go sama.

– Oczywiście – odparł starszek. Wrócił do szafki ze sprzętem zastępczym i wyjął parę przestarzałych słuchawek z tych, co to nosiło się na uszach.

– Jeżeli potrzeba ci odrobiny prywatności, możesz posłuchać tego w moim biurze na zapleczu – powiedział serdecznie i gestem zaprosił mnie za ladę. Wskazał drzwi za jedwabną zasłonką, oddzielające sklep od jego tyłów.

– Dzięki – odpowiedziałam, zerkając jeszcze na Northa, gdy brałam z lady laptop. – Wrócę za kilka minut.

Biuro było ciasne, ale czyste. Na biurku stało stare radio tranzystorowe, oparte o ścianę. Nastawione było prawdopodobnie na kanał informacyjny. Grało zbyt cicho, by można było od razu rozróżnić słowa. Wychwyciłam frazę „rozbyłsk słoneczny” i podkręciłam głośność. Trafiłam na końcówkę jakiejś relacji.

– ...wiatr pchnie w naszym kierunku burzę elektromagnetyczną – mówił reporter. – Wędrując z prędkością niemal trzynastu milionów kilometrów na godzinę, ta chmura plazmy słonecznej i cząstek pola magnetycznego uderzy w atmosferę ziemską w przeciągu doby, stwarzając poważne zagrożenie dla naszej sieci energetycznej.

Burza słoneczna. Na punkcie czegoś takiego dawny Beck by oszalał. Nowy Beck najpewniej wcale jej nie zobaczy. Lux już o to zadba. Zjawiska atmosferyczne znajdowały się przecież na liście zagrożeń.

Ta myśl sprowadziła mnie znów do chwili obecnej. Zaczęłam od kliknięcia JPEG-a.

Na ekranie otworzyło się czarno-białe zdjęcie. To była fotografia z kroniki szkolnej, zdjęcie migawkowe z rozdziału o sporcie. Koszykarz w koszulce Theden wykonał rzut za trzy, jak wynikało ze wskazań zegara, na cztery sekundy przed końcem. Tłum na trybunach za nim poderwał się z miejsc. Niemal od razu wypatrzyłam mamę, z ustami otwartymi w okrzyku radości, ściskającą dziewczynę stojącą obok niej. Dziewczynę o fryzurze afro i oczach barwy czarnego tuszu, które i po siedemnastu latach wyglądały tak samo.

Były przyjaciółkami.

Wepchnęłam wtyczkę od słuchawek w gniazdko i kliknęłam drugi plik.

– Masz niewątpliwie wiele pytań – dobiegł ze słuchawek głos doktor Tarsus. – Ja znam odpowiedzi, choć nie wszystkie. Nie wiem, czemu twoja mama wtedy opuściła Theden ani czy jej śmierć była przypadkowa, choć w to akurat raczej bym wątpiła. Wiem, że twoim prawdziwym ojcem jest Griffin Payne i że on i Aviana bardzo się kochali, jak również, że ona miała pewność, iż zostałeś poczęta w noc poślubną.

Tu doktor Tarsus nabrała tchu. Poczułam, że cała sztywnieję, przygotowując się na to, co zaraz usłyszę.

– Ostatni raz z twoją mamą rozmawiałam w dniu twoich narodzin. Od czerwca, gdy uciekła, nie miałam z nią kontaktu. Zadzwoniła z telefonu pielęgniarki, żeby powiedzieć, że rodzi i że sądzi, iż Nieliczni ją namierzili. Nie wyjaśniła, co skłoniło ją do ucieczki, powiedziała tylko, że było to coś strasznego i że z tego powodu nie możesz dorastać jako dziecko Griffina. Powiedziała, że zadbała, by Griffin nie uważał cię za swoją córkę i że dorastać będziesz w przekonaniu, że twoim ojcem jest niejaki Duke Vaughn.

Wzmianka o tacie sprawiła, że oczy mi zwilgotniały. Jakże odległe wydawało się nasze wspólne życie.

– Powiedziała, że dzwoni, żeby się pożegnać – mówiła dalej doktor Tarsus. – I prosić, żebym zadbała o twoje bezpieczeństwo. Obiecałam jej, że to zrobię.

Wiesz już, że nasz ypsilon był mój. Twoja mama nigdy nie należała do Nielicznych. Twój ojciec zresztą też nie. Jego kandydatury, pomimo błagań ojczyzna, nigdy nawet nie brano pod uwagę – nie miał dostatecznie wysokiego IQ. Twoja matka otrzymała zaproszenie i przeszła cały proces oceny, ale kiedy doszło do złożenia przysięgi, odmówiła. Nigdy nie zapomnę jej słów. Zrzuciła z głowy kaptur i oświadczyła: „Tylko bezsilni kryją się pod maskami i szatami”. Cała nasza reszta dała się złapać na prestiż i elitarność, na pochlebstwa o przeznaczeniu do wielkości. Wiesz, jak trudno to odrzucić? Łatwo natomiast samego siebie do tego przekonać, nazwać powołaniem, wmówić sobie, że to ważne, a nawet dobre. Wydaje się, że tak zostaliśmy ukształtowani. Jak to ujął Milton? *Jam go stworzył niewinnym, prawym nienadaremnie, mogącym się utrzymać w dostojności snadnie, choć mogącym i upaść, lecz wolny upadnie.* Wybór należał

do nas i sami go dokonaliśmy. Ale nie Aviana. Ona była mądrzejsza.

Nie wiedziałam, czy w tym ją przypominasz. Gdy dorastałaś, wydawało się, że nie, przynajmniej patrząc z daleka. Kiedy postanowiłaś wstąpić do Theden, musiałam mieć pewność. To dlatego poprosiłam Hershey, żeby miała na ciebie oko. Gdy zapowiedziała, że pójdzie do dziekana, pojęłam, że muszę się jej pozbyć ze szkoły jakimkolwiek sposobem. Z perspektywy czasu patrząc, wolałabym jej nigdy w to nie wciągać. Okazało się, że te cotygodniowe raporty do niczego mi nie są potrzebne. Już na pierwszych zajęciach zorientowałam się, że słyszysz Zwątpienie, bo rzuciłaś się pod tamten tramwaj. Tak właśnie postąpiłaby Aviana.

Tu doktor Tarsus na chwilę umilkła, a ja wyobraziłam sobie, że się uśmiecha.

– Nie dostrzegałam tego, co ona widziała. Wtedy jeszcze nie. Tamtej nocy złożyłam więc przysięgę, nie mając pojęcia, jak głęboko sięga władza stowarzyszenia. Dziś wiem to aż za dobrze. Nielicznych może i nie jest wielu, ale są wszędzie. W każdym mieście, w każdej branży, na czele wszystkich największych firm. Gnosis i Soza to zaledwie wierzchołek góry lodowej, Powoli i konsekwentnie tworzyli struktury dla swej dominacji.

Struktury dla swej dominacji. Przeszedł mnie dreszcz. To zabrzmiało jak sformułowanie z niepokojącego thrillera spiskowego. Niestety, tu było z życia wzięte.

– Nielicznym jednak stoi na drodze przeciwnik, z którym się jeszcze nie uporali – odezwała się znów doktor Tarsus. – Zwątpienie. Taką etykietkę przykleili wewnętrznemu głosowi, żeby wydawał się niegodny zaufania. Irracjonalny. Nie było trudno ją sprzedać. Przecież ludzie, którzy słyszą ten głos, robią rzeczy, które światu wydają się nonsensowne – rozdają to, co zarobili, pomagają tym, którzy na to nie zasługują, wyrzekają się swoich pragnień. Nie wypychają się na czoło. A ponieważ ludźmi bezinteresownymi nie sposób pokierować, Nieliczni zaczęli rozwijać przekonanie, że Zwątpieniu nie wolno ufać. Stworzyli nieistniejące zaburzenie psychiczne, jakby obecność głosu można było wytłumaczyć w sposób naukowy, choć w istocie to najbardziej złożony aspekt naszego istnienia. To niewytłumaczalny impuls opatrności, który wiedzie ducha ludzkiego od zarania czasu. Jestem przekonana, że to właśnie on czyni nas ludźmi. Czy pochodzi od Boga, czy z naszej zbiorowej świadomości, czy też stanowi niezbadaną cząstkę natury każdego z nas – tego głosu nie sposób zbadać w laboratorium ani zamknąć w pudełku. Jest na to zbyt wielki.

Nieliczni pomogli ludziom o tym zapomnieć. Przystąpili do stopniowego, metodycznego przeinaczania tej prawdy. Głos, któremu wcześniej ufano, ogłosili wrogiem szczęścia. Czymś, czego należało się bać. Wiedząc, że ten głos nigdy nie zmieni się w słyszalny wszędzie krzyk, zadbali, by świat ogłuszył się muzyką, filmami, całodobowymi wiadomościami siedem dni w tygodniu i nieustającymi pogawędkami na czacie. Nie mogąc wyciszyć szeptu, bombardowali ludzi innymi głosami. W nieskończonym wyborze.

Posłukiwało, choć nie idealnie. Wciąż byli tacy, którzy wybierali ten głos. Niepodatni na

odwracanie uwagi. Niedający się zwodzić. Dlatego zrodził się Projekt Hyperion. Nieliczni mieli powołać do życia nową firmę technologiczną. Ta firma miała stworzyć aplikację decyzyjną, bez której nie sposób będzie się obejść. Dobrze znali nasz świat. I byli cierpliwi.

Latem, u progu mojego ostatniego roku, stowarzyszenie załatwiło mi staż w Gnosis. Dlatego tamtej wiosny asystowałam doktor Hildebrand przy badaniach. Szczęśliwym trafem ktoś umieścił moje nazwisko na liście adresatów tej wewnętrznej notatki, którą znalazłaś w moim wisiorku. Jak tylko się z nią zapoznałam, poszłam prosto do twojej mamy. Nie bałam się śmierci, jeszcze nie. Jedynie utraty statusu. Byłam dziewczyną z Bronxu, której całkiem odmieniono życie. I tego życia nie chciałam stracić. – Wstyd tak jej ciążył, że głos się nieco zachwiał. Odchrząknęła i podjęła wątek

– Twoja mama, gdy tylko się o wszystkim dowiedziała, nie wahała się ani chwili. Postanowiła ich zdemaskować. Dysponując tą notatką i sporządzoną przeze mnie listą członków stowarzyszenia, miała potrzebne jej dowody. Zamierzała je rozesłać do wszystkich ważniejszych gazet w kraju. Każda złapałaby się na taki temat. Wtedy jeszcze dziennikarze sami dokonywali wyboru. Powiedziała też, że najpierw chce się skonfrontować z ojczymem Griffina. Atwater był wówczas Boskim Drugim. Numerem dwa w stowarzyszeniu. Aviana czuła, że potrzebuje jego wyznań, choćby dla Griffina.

Głos doktor Tarsus zabrzmiał teraz ponuro.

– Żadna z nas nie przypuszczała, do czego zdolni są Nieliczni. Wiedzieliśmy, że są potężni i bezwzględni, nie wyobrażaliśmy sobie jednak, że posuną się do morderstwa. Nie mam pewności, czy uśmiercili twoją matkę, wiem za to, że zabili ci ojca. – Głos jej się łamał. – To okropne, że dowiadujesz się w ten sposób, Rory, ale Griffin nie żyje.

Oczy wypełniły mi się łzami, choć przecież już o tym wiedziałam. Poruszyła mnie empatia w głosie Tarsus, jej nieklamane współczucie.

– Zmarł tuż po bankiecie, tej samej nocy – powiedziała cicho. – Zakrzep w mózgu. Wchodząc na mównicę, nie pojmował, z czym się mierzy. Wiedział, że wersja Luxa wykorzystana w Goldzie opiera się na nowym algorytmie, tak zaprojektowanym, by odciągać ludzi od Zwątpienia, nie miał jednak pojęcia, że w zaufanie do Luxa ludzie zostali wmanipulowani przy pomocy chemii, nie wiedział też, że szczepionka przeciw grypie, którą podano mu we wrześniu, była naszpikowana nanobotami. – Jej głos znów stwardniał. – Ani że jego ochroniarz, Jason, przyjmował rozkazy od kogoś innego.

Zastanawiałam się, kto wcisnął guzik powodujący ów skrzep. Ile z naszej rozmowy podsłuchał Jason? Czy Griffin umarł przeze mnie?

– Jestem pewna, że uważasz mnie za tchórze – powiedziała jeszcze Tarsus, znów się zacinając. – Z moją pozycją, przy moim dostępie, powinnam była coś zrobić dawno temu, nim sprawy

zaszły tak daleko. Masz rację. Ale nie mogłabym jednocześnie i z nimi walczyć, i dotrzymać obietnicy danej twojej mamie. Troszczyłam się więc o to, byś była bezpieczna, mając nadzieję, że przyjdzie taki dzień, gdy już nie będzie to konieczne. Chciałabym, żeby ten dzień mógł nastąpić dzisiaj. O niczym bardziej nie marzyłam niż o tym, że opuścisz Theden i znikniesz, jak usiłowała to zrobić twoja mama. Ale choć nie jestem tak mądra, jak ona lub ty sama, nie jestem też głupia. Widziałam wyraz twoich oczu, gdy tej nocy zbliżałaś się do ołtarza. To samo widziałam u niej, wówczas gdy zrzuciła kaptur. Jeśli więc zdecydujesz się wrócić do grobowca, zrobię, co w mojej mocy, żebyś uszła stamtąd z życiem. – Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale chyba zmieniła zdanie. Dało się słyszeć jakieś szuranie i nagranie dobiegło końca.

Łzy spływały mi po twarzy, kapały na biurko. Nie powiedziała nic, czego bym już nie wiedziała lub nie podejrzewała. Mimo to jej słowa coś we mnie umocniły. Nie ucieknę. Nie mogłabym uciec. Nie po tym, co ci ludzie zrobili moim rodzicom. Beckowi. Milionom innych osób.

– Rory? – Słuchawki stłumiły głos Northa. Ściągnęłam je z uszu tak, że spadły na biurko. – Co powiedziała?

Tylko potrząsnęłam głową.

– Naprawdę jest po naszej stronie?

– To mało powiedziane – wychrypiałam spłakana. – Wszystko, co robiła, robiła dla mnie.

Obiecała mojej mamie, że zadba o moje bezpieczeństwo. – Wyciągnęłam wisiorok z laptopa i podałam Northowi. – Mógłbyś to przegrać na swój telefon? Będę chciała jeszcze tego posłuchać.

Skinął głową.

– Oczywiście. – Usiadł na skraju biurka Ivana. – Chcesz o tym porozmawiać?

Otarłam łzy.

– Porozmawiamy, jak już załatwimy tych sukinsynów.

– Okej, powiedziałaś, że w swojej symulacji widziałaś serwerownię Gnosis – przypomniał. –

Jak wyglądała?

Opisałam mu ją najbardziej szczegółowo, jak potrafiłam.

– A jakie zabezpieczenia?

– Hasło numeryczne i rozpoznanie głosu przez mikrofon.

– Identyfikacja głosu. Niech to! Jak to przeszłaś podczas symulacji?

– Byłam nią. Tarsus. Nie słyszałam, co mówiła, ale to jej głos przeprowadził mnie przez drzwi.

North zagryzł wargę.

– Powiedziałas, że będzie przy twojej inicjacji, tak? Gdybyśmy dostali się niepostrzeżenie do tamtego pomieszczenia, wpuściłaby nas?

Nadzieja, z którą już prawie się pożegnałam, napływała z nową siłą.

– Masz plan – powiedziałam, skacząc na równe nogi i przy okazji waląc kolanami w blat biurka.

– Technicznie rzecz biorąc to twój plan – odparł North, a kąciaki ust lekko podjechały mu do góry. – Ja tylko mam hopla na punkcie wyzwania. Co więcej, zgranie w czasie jest aż nazbyt wyjątkowe. To jakby dar.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Służby publiczne jutro po południu wyłączą sieć energetyczną, żeby uchronić transformatory przed burzą słoneczną. Gnosis twierdzi, że ich systemy mogą działać niezależnie od tej sieci, i dziś o północy odłącza od niej swoje serwery.

– Dlaczego?

– Pewnie żeby mogły działać podczas przerwy w dostawie prądu. Służby publiczne mówią, że może go nie być nawet cały dzień.

– Boże, miej w opiece ludzi na tak długo odciętych od Luxa – powiedziałam z przekąsem.

– Dobra dla nas nowina jest taka, że od północy do drugiej nad ranem z powodu konserwacji cały system Gnosis będzie odłączony od Sieci.

– Łącznie z Luxem – zasugerowałam. Puls mi przyspieszył.

North to potwierdził.

– To oznacza, że jeśli zdołamy wykorzystać czas, gdy serwery będą odłączone, możemy dostać się tam niezauważeni.

– A czy w serwerowni nie będzie wtedy ludzi? Choćby tych, co będą tam pracować?

– Wątpię. W serwerowniach panuje lodowa i jest supergłośno. Zresztą, pracownicy Gnosis i tak mają zdalny dostęp do serwerów – mogą się do nich dostać przez wewnętrzną firmową sieć.

Serce waliło mi na dobre.

– O, rany. To może nam się udać.

– Wiele jeszcze trzeba dopracować – upomniał mnie North. – Przy założeniu, że Tarsus przeprowadzi nas przez zabezpieczenia, będziemy jeszcze musieli znaleźć terminal, a potem ja...

– Terminal? Co to takiego?

– Wejście do całego systemu. Maszyna z klawiaturą i ekranem. To przez nią...

Znów weszłam mu w słowo.

– Widziałam go. Trzy ekrany, szklane biurko, przypominające ogromny touchpad. Wszystko otoczone miedzianą siatką.

– Okęj, to znaleźliśmy terminal – przyznał North. – Nadal jednak nie wiemy, jak bardzo zabezpieczona jest sama maszyna. I nie dowiemy się tego, póki się tam nie dostaniemy.

– Nie my – sprostowałam. – Ja. Zrobię to sama.

– I co jeszcze? – zadrwił North. – Po pierwsze, beze mnie nie dasz rady załatwić tej sprawy.

Rozmawiamy o czymś typu „na miejscu się zobaczy, co się da”. Gdybym nawet chciał, nie potrafiłbym ci powiedzieć, co trzeba zrobić. Dopóki wszytkiego nie obejrzę. Po drugie, za bardzo cię kocham, żeby pozwolić pójść ci tam samej.

Z bólem uświadomiłam sobie, że to może być moja ostatnia szansa na zrewanżowanie mu się tym samym. Chociaż zmuszałam się do zignorowania świadomości, jak niebezpieczny plan ułożyliśmy, nie mogłam się od niej uwolnić.

– Też cię kocham – powiedziałam cicho. – Tylko jak cię tam wprowadzimy?

– Ciebie zawsze wprowadza Liam, tak? W szacie z kapturem? – North wzruszył ramionami. – Ja będę Liamem.

– Jeśli cię nakryją...

– Nie nakryją. A nawet jeśli, to co? Powiedziałas, że będą tam wąż, sowa i lis, tak? To skoro Tarsus jest po naszej stronie, będzie troje na dwóch.

Supeł w żołądka nieco się rozluźnił. Pewność siebie bijąca od Northa była zaraźliwa.

– Pozostaje pytanie, jak wyłączyć Liama na te kilka godzin – stwierdził.

– Rohypnolem – oznajmiłam bez wahania. – Obezwładni go, nie zabijając, a do tego namieszka we wspomnieniach.

– No, dobra. Nie wolno mi więc zapomnieć buteleczki z pigułkami gwałtu, którą na wypadek randektrzymam w apteczce.

– Żadne tam pigułki – zaprzeczyłam. – To musi być zastrzyk. Nie możemy mieć pewności, że wypije to coś, w czym je rozpuścimy.

North przyjrzał mi się z niedowierzaniem.

– Mówisz poważnie?

– O co chodzi? Uzyskamy dokładnie to, co chcemy.

Potargał sobie irokeza.

– Wiem, że nie pora teraz na omawianie tego, ale kurczę, Rory, to świństwo jest solidnie popaprane.

– Masz rację. Nie pora. Musimy iść kupić rohypnol.

– Gdzie, w aptecce? Jasne, znajdziemy go na półce, obok aspiryny.

Założyłam ręce na piersi, zirytowana jego sarkazmem.

– Jesteś gościem z irokezem i tatuażami. Nie znasz takich ludzi?

– Ludzi z rohypnolem?

– Nie znasz więc nikogo, kto może go załatwić?

Zaczął już kręcić głową, ale coś sobie przypomniał.

– Jeden z moich klientów ma w Greenfield aptekę. Prawdopodobnie wydębę od niego receptę na środek nasenny. Coś mocnego, ale legalnego. Prześlę mu wiadomość z mieszkania.

– Tak czy inaczej, musimy wtajemniczyć Hershey – powiedziałam, łapiąc za laptop i słuchawkę.

Podziękowaliśmy Ivanowi i wylecieliśmy stamtąd. Po krótkiej wizycie w Paradiso, żeby powiadomić Kate, iż North już dziś nie pracuje, poszliśmy do jego mieszkania, z kawą i pojedynczymi egzemplarzami wszystkich ciastek z kawiarnianej gabloty.

– Hershey? – zawałałam, gdy weszliśmy. W salonie jednak panowała cisza.

– Jest ze swoim sekretnym chłopakiem – wyjaśnił North. – Przyszła rano po swoją torbę. Powiedziała, że na kilka dni zatrzyma się u niego. – *U niego*. Na pewno więc nie mieszkał na kampusie. Ani z rodzicami.

Przygryzłam wargę. Mój chłopak nie chodził do Theden i też nie mieszkał z rodzicami. I nie czyniło to z niego psychopatycznego mordercy. Hershey zresztą spotykała się z tym facetem, kimkolwiek był, już od jakiegoś czasu. Nie był dla niej kimś obcym. A ona była Hershey. Umiała sobie poradzić.

North zniknął w szafie. Gdy go tam znalazłam, miał już na ekranie coś, co wyglądało na okno czatu.

– Tak się kontaktuję z klientami – wyjaśnił. – To program do prywatnego czatu. Zadzwoni na jego handheld i puści trzy sygnały oznaczające, że powinien się zalogować.

Chwilę później facet to zrobił, a North zabrał się do pisania.

– Załatwi to – powiedział i się uśmiechnął. – Jest teraz w aptece. Będzie gotowe za piętnaście minut. – Obrócił się na krześle i spojrzał na mnie.

– Naprawdę to robimy – powiedziałam.

Zmarszczył brew.

– Tego właśnie chcesz, prawda?

– Bezwzględnie. I tylko... – Głos mi się załamał. – Nie chciałabym, żeby coś ci się stało.

– Ja nie chciałabym, żeby tobie się coś stało.

– Tyle tylko, że ja sama się w to wplątałam. Ty nie. Zostałeś wciągnięty przeze mnie.

– Widocznie nie znasz mnie tak dobrze, jak myślałem – powiedział. – Mnie się nie da w nic wciągnąć, Rory. Robię to, ponieważ tego chcę. Ponieważ to, co robią ci ludzie, jest złe. I ponieważ głos w mojej głowie mówi teraz to co twój.

– Nie bój się – szepnęłam. North spojrzał mi w oczy i potwierdził:

– Nie bój się.

North pojechał motorem do Greenfield, do tej apteki, a ja zostałam, czekając na Hershey. Zdecydowaliśmy, że jak tylko wydostaniemy się z grobowca, przeniesiemy się do mieszkania Northa na Manhattanie, więc może była to ostatnia okazja, żeby się pożegnać. Jeśli ta sprawa nam wypali, będziemy musieli zniknąć.

Plan mieliśmy pięknie prosty. Postanowiliśmy wywołać chaos, przeprogramowując Luxa tak, by kierował użytkowników Golda ku ich zagrożeniom i słabym stronom, zamiast od nich odciągać, a tym samym by umożliwił ludziom doświadczanie chwil, przed którymi Nieliczni tak zawzięcie ich bronili, wbijając zarazem potężny klin w ich codzienne schematy działania. Nie chodziło o rozbicie kajdan, może jednak wystarczyłoby rozkołysać ludziom grunt pod nogami, żeby oderwali wzrok od swoich ekranów. Może poszukaliby przewodników innych niż lśniąca złote aparaciki na ich przegubach. Tyle właśnie mogliśmy zrobić. Położyć podwaliny. Wyboru będą musieli dokonać sami ludzie.

Bom ich wolnemi stworzył, i wolni zostanę. Całkiem inaczej widziałam teraz to zdanie z *Raju utraconego*. Nieliczni nie zmieniali natury ludzkiej. Nie odbierali wolnej woli – takiej mocy nie mieli. Owszem, nanoboty w ludzkich mózgach wytwarzały coś na kształt poczucia ufności, skłaniając do ślepego zawierzenia Luxowi, ale te miniaturowe maszynki nikomu nie dyktowały wyborów. Nikt ich nie dyktował. Nawet Bóg. Tak brzmiało przesłanie z pierścienia Griffina. Steinbeckowe *timshel*. Możesz. Zdając się na Luxa, ludzie po prostu rezygnowali z dokonywania wyborów. Musieliśmy im przypomnieć, że jeszcze potrafią to robić.

Podchodziliśmy do tego optymistycznie. Mając w pamięci profil Becka w Luksie i moją reakcję na niego, North zaczął wertować na wrywkę profile innych użytkowników, przypatrując się ich zagrożeniom i słabym stronom. Gdy się okazało, że część z nich powtarza się niemal za każdym razem, zaczął katalogować te powtórki. Do pospolitych zagrożeń należały na przykład: synchroniczność, skłonność do przypadkowych odkryć i zachody słońca. Podobnie jak niespełnione oczekiwania i nieprzewidziane opóźnienia. Słabe strony użytkowników to niemal powszechnie występujące pięć cech: cierpliwość, współczucie, pokora, wdzięczność i miłosierdzie. Ich przeciwieństwa – potrzeba natychmiastowego zaspokojenia, samozadowolenie, zadufanie, poczucie wyższości i obojętność – zajmowały czołowe miejsca niemal na wszystkich listach mocnych stron. Nasz plan zakładał zachowanie istniejącego algorytmu aplikacji przy przedstawieniu zmiennych. O ile North dobrze rozpracował kod, nasza zmodyfikowana wersja Luxa uruchomi scenariusze, których zgodnie z dotychczasowym programem aplikacja miała

unikać. Nie do końca wiedziałam, czego się spodziewać w razie powodzenia naszych planów, byłam jednak przekonana, że skoro Nieliczni utrzymują ludzi z dala od pewnych doznań – chwil współczucia, miłosierdzia, wdzięczności lub pokory – noszą one w sobie niemałą moc. Wspomniałam, jak zachowała się Hershey, gdy pomogłam jej w przygotowaniach do testów śródsestralnych. Okazałam jej wówczas serdeczność, i to ją zmieniło.

Wsadziłam w uszy słuchawki i puściłam sobie nagranie Tarsus. North, tak jak prosiłam, przełopiował je na iphone'a, a od jego wyjazdu już trzykrotnie przesłuchałam całość. Gdy Tarsus przemówiła, podwinęłam nogi pod siebie i zamknęłam oczy. Skupiając się na oddechu, spróbowałam oczyścić umysł z wirujących, bezwocnych niepokojów. Wdech... Wydech... Wdech. Mój oddech zdawał się szumieć jak ocean czy może jak wiatr.

Wiatr wieje tam, gdzie chce, i szum jego słyszysz, lecz nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd podąża ¹.

Uświadomiłam sobie, że tak właśnie jest z tamtym głosem. Podobnie jak wiatru, nie sposób było go przewidzieć ani uwięzić. Pozostałam przy tych słowach, powtarzając je sobie, póki nie uspokoiłam oddechu. Nie miałam władzy ani nad tym, do kogo przemawia, ani też nad tym, kiedy postanowi przemówić do mnie. Za to ilekroć się odezwał, mogłam zdecydować, czy go wysłucham.

Gdy tak siedziałam, moim sercem owaładnął spokój, a jego obecność przepełniła mnie pewnością, że nasz plan ma sens i że jesteśmy w stanie go zrealizować. Przypomniałam sobie, co powiedział mi głos w dniu przyjazdu do Theden, tę obietnicę, której jeszcze przed chwilą nie pamiętałam. Szepnęła: *Nie zawiedziesz*. Czekałam jeszcze na zapewnienie, że nic złego się nam dziś nie przytrafi, ale nie nadeszło.

– Rory?

Poczułam dotyk dłoni na ramieniu i delikatne szarpnięcie. Jeszcze rozespana, otworzyłam oczy. W pokoju zrobiło się ciemniej, przez szczeliny w żaluzjach wchodził do wnętrza ciepły bursztyń słonecznej poświaty. W uszach wciąż miałam słuchawki, choć nagranie dawno się skończyło. Na kozetce obok mnie siedział North, z torbą z apteki na kolanach. Odgarnęła mi włosy z twarzy.

– Myślałem, że medytujesz – powiedział z uśmiechem. – Dopóki nie usłyszałem chrapania.

Walnęłam go pięścią w ramię.

– Czyżbyś już to miał?

Wyjął z torby małą fiolkę i paczkę igieł.

– Jedna dawka dożylnego triazolamu. Powinna uśpić go w kilka minut i utrzymać w tym stanie co najmniej przez osiem godzin. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będziemy na Manhattanie, zanim się obudzi.

Bez słowa skłoniłam głowę. *Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem*. Wciąż było wielkie jeśli.

North zerknął na zegarek

– Dochodzi szósta – powiedział. – Muszę zanieść cały mój sprzęt na przechowanie, zanim zamkną. Ty zapewne powinnaś spakować, co tam chcesz zabrać, i przynieść tutaj, zanim pójdziesz do Liama.

Zgodnie z planem miałam zastukać do pokoju Liama na kilka minut przed zamknięciem drzwi akademika pod pretekstem, że denerwuję się inicjacją. Jego współlokator polecił rano do Birmingham na pogrzeb babci i miał wrócić dopiero następnego dnia, Liam powinien więc być sam. Jako że szatę niewątpliwie miał gdzieś schowaną, przed zastrzykiem zamierzałam go jakoś przekonać, żeby mi ją pokazał. Rozważaliśmy też możliwość zaciekania, aż wyjdzie na cmentarz, uznaliśmy jednak, że pozostawienie go potem na otwartej przestrzeni byłoby nazbyt ryzykowne, zarówno dla niego, jak i dla nas. Bezpieczniej byłoby dla wszystkich, gdyby tę noc spędził w łóżku. Gdy już go uspię, miałam zabrać jego szatę i spotkać się z Northem na cmentarzu, by jako Liam zaprowadził mnie do Nielicznych. North chciał pójść do akademika Liama razem ze mną, nie mogliśmy jednak ryzykować, że ktoś go zobaczy, tym bardziej że załaz zbliżania się do Theden pozostawał jeszcze w mocy.

– Jeszcze nie – powiedziałam do Northa, osuwając się na kozetkę i ściągając go na siebie. Cały zeszywniał, zaskoczony. Mocno do niego przywarłam, wyginając plecy, by lepiej się wtulić. Otoczył moją twarz rękoma i pocałował, najpierw delikatnie, potem mocniej. Drżący mi dłońmi dobrałam się do guzika jego dżinsów.

– Hola – zawołał, odsuwając się ode mnie. Spojrzałam mu w oczy i znów zajęłam się guzikiem, odpinając go szarpnięciem. – Rory...

– Możliwe, że dziś umrzemy – powiedziałam cicho.

– Nie damy się...

Wesłam mu w słowo.

– Jeśli jednak tak to nie chcę żałować, że tego nie zrobiłam.

Rozsunęłam zamek błyskawiczny i przez niebieską kratę bokserek wyczułam jego podniecenie. Złapał mnie za rękę i nie wypuszczał.

– Rory – powiedział już bardziej czule. – Pragnę tego. Pragnę cię. Tak bardzo, że czasem na samą myśl o tym nie mogę oddychać. – Splótł palce z moimi. – Ale nie w ten sposób. Nie dlatego, że się boisz. Nie bój się, pamiętasz?

– Nie bój się – szepnęłam, czując, że w oczach zbierają mi się łzy. North nachylił się, by raz jeszcze mnie pocałować, z taką czułością, że dech mi odebrało. Przez chwilę czas zdawał się tak rozszerzać i nieruchomieć, że niemal skłonna byłam uwierzyć, że ten pocałunek nigdy się nie skończy. Aż bolało mnie w piersiach, gdy North się w końcu podniósł.

– Ciąg dalszy nastąpi – obiecał, przysiadając na piętach.

Zdobyłam się na cień uśmiechu. North wstał i pomógł mi się podnieść.

– Spotkamy się więc tu za jakąś godzinę, żeby zapakować motocykl?

Przytaknęłam i przed wyjściem jeszcze raz wpiłam wargi w jego usta. Teraz cenny wydawał się każdy pocałunek.

Kiedy wróciłam na kampus, słońce chowało się już za drzewami. Podwójne drzwi stołówki były szeroko otwarte i zimne powietrze niesło odgłosy i zapachy pory kolacyjnej. Zaburczało mi w brzuchu, ale nie miałam czasu na jedzenie. Musiałam spać rzeczy i zanieść je do Northa, żeby mógł obładować motor, a potem raz jeszcze wrócić na kampus, żeby wziąć prysznic i przebrać się przed wizytą u Liama.

Zamrugalam i pod powiekami poczułam łzy. Kampus był najpiękniejszy właśnie o zmierzchu, gdy zapalały się kule lamp ulicznych, ale jeszcze nie zapadła ciemność, a niebo spowijał najgłębszy i najszlachetniejszy ciemny błękit. Pomimo wszystkiego, co wiedziałam o ludziach, którzy zbudowali tę uczelnię, i zarządzających nią obecnie maniakach, nie byłam gotowa stąd odejść. Uwielbiałam to miejsce. Ten status, poczucie przynależności, wrażenie, że pisane mi jest coś wielkiego. O tym samym mówiła w swoim nagraniu doktor Tarsus. Theden obdarzyło mnie całkiem nowym życiem. Życiem, którego nie chciałam tracić.

A jednak, w pewnym sensie, już je straciłam, szereg dni wcześniej, gdy postanowiłam ufać Zwiątpieniu, dołądkółwiek mnie poprowadzi. Dziedzicem byłby pusty, gdyby nie liczyć samotnej sylwetki na ławce w pobliżu Domu Ateńskiego. Gdy podeszłam bliżej, zorientowałam się, że to Liam.

– Rory – powiedział na mój widok, prostując się. – Gdzie się podziewałaś?

– Miałam swoje sprawy – powiedziałam zdawkowo. – Na mieście. O co chodzi?

– Rudd cię szukał – Liam był spięty, jakby zdenerwowany.

– Pan Rudman? Czemu?

– Powiedział, że przyspieszają twoją inicjację. – Zauważył moje zaskoczenie. – Rory, on jest Boskim Trzecim. Tym w masce sowy.

Rudd należał do Nielicznych? Mało tego, był trzeci w hierarchii? Boski Trzeci. Sam tytuł sprawiał, że skóra mi cierpła. Od tej arogancji.

– A dziekan Atwater to Boski Pierwszy?

Wcześniej już doszłam do wniosku, że to on kryje się pod maską węża. Ruch głowy Liama tylko to potwierdził.

– On, Rudd i Tarsus czekają na ciebie w grobowcu – powiedział, rozglądając się. Ostrożność była najzupełniej zbędna. Jakokiem sięgnąć nie widziałam żywej duszy. Wszyscy byli na kolacji.

– Miałem tu na ciebie czekać i zabrać do nich.

– To już teraz?

Ze strachu nogi się pode mną ugięły. Strzykawka została u Northa. To nie mogła być pora inicjacji. Jeszcze nawet nie zrobiło się ciemno.

– Tak powiedział Rudd. – Liam sprawiał wrażenie zakłopotanego.

– O co chodzi, Liam?

– No, bo... skoro chodzi o inicjację, czemu nie kazał mi zabrać naszy ch szat?

Lęk przeszył mi kręgosłup. *Wiedzą wszystko.*

– Kurde – szepnęłam.

– Rory, o co chodzi? Co ty zrobiłaś?

– Odkryłam kilka spraw na temat stowarzyszenia – powiedziałam ostrożnie. Wpatrywałam reakcji Liama. Żadnej się nie doszukałam. – Nie jest tym, za co je uważasz, Liam. Oni są...

Jego dłoń skoczyła w przód, łapiąc mnie mocno za przegub.

– To nie są „oni”, Rory. Nie dla mnie.

Wyrwałam mu rękę jak oparzona. Wpatrywał się we mnie wzrokiem nagle zimnym i twardym jak kamienne mury grobowca. Z miejsca zrozumiałam. W języku Liama Nielicznych rzeczywiście określało się zaimkiem „my”, a nie „oni”. Obiecali mu dożywotnią akceptację, pewność, że zawsze będzie do nich przynależał, a jemu więcej nie było trzeba.

– Posłuchaj – powiedział. – Jeśli chcesz się zmyć, nie będę cię gonił. Ale spodziewają się nas w grobowcu i nie narażę ich na czekanie.

Podniósł się.

Przez chwilę, może dwie, wierzyłam, że mogłabym uciec. Do Northa, w bezpieczne miejsce, ku czekającej mnie przyszłości. Mimo to stałam jak wryta. Dla mnie nie było ucieczki. Odrzuciłam tę opcję, decydując się na stawienie czoła Nielicznym. W oddali wieża kampusu wybiła pełną godzinę. Była siódma. North spodziewa się mnie dopiero za godzinę. Niepokoić się zacznie dopiero po ósmej, a droga na cmentarz zajmie mu kwadrans. Na myśl, że może już nigdy go nie zobaczę, wszystko zaczęło mnie boleć. Gdybym jednak zdecydowała się teraz do niego wrócić, stracilibyśmy wszelkie szanse na dostanie się do serwerowni. Jedyne, co mogłam zrobić, to wszystko przeciągać.

Przez godzinę z kawałkiem.

Nie dam rady, zaskowyczało coś we mnie. Czekałam, aż głos powie mi, że się mylę, ale odpowiadała mi tylko cisza.

Liam odwrócił się i ruszył w kierunku lasu.

– Zaczekaj – zawołałam. – Idę z tobą.

Dopiero wtedy, gdy już dokonałam wyboru, głos w końcu przemówił.

Nie bój się, bo jestem z tobą.

– Nie boję się – odpowiedziałam szeptem i w tamtej chwili było to prawdą.

1. J 3, 8. Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Poznań – Warszawa 1971, Wydawnictwo Pallotinum. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 32

Kiedy doszliśmy na środek cementarza, niebo było prawie ciemne, a nad horyzontem szybko gasły ostatnie ślady światła. Ramię anioła już kierowało się ku niebu. Zostawili nam otwarty sarkofag. Nie umknęła mi zawarta w tym ironia. Przygotowali dla mnie grób.

– Czemu to robisz? – spytał Liam, gdy wchodziliśmy do mauzoleum. Jakże inaczej wyglądało ono teraz, w tej właśnie sytuacji, przy tym chłopaku. Marmurowe płaskorzeźby nie były piękne, tylko groźne, a wewnątrz nie tyle kameralne, co przyprawiające o klaustrofobię.

– Mam do czynienia z Nielicznymi – odpowiedziałam. – Co dałoby mi ucieczka? – I jeszcze zmusiłam się do śmiechu. – No i chyba nie zabiją mnie, jeśli nie zechcę dołączyć?

W rzeczy wistoci byłam prawie pewna, że to właśnie zamierzają zrobić. Po twarzy Liama widać było, że i on ma pewne podejrzenia co do mojego losu. Powiedziałabym, że miał problem z rolą, którą przyszło mu odegrać. Wyraźnie jednak nie na tyle wielki, by od nich odejść.

– Naprawdę cię lubiłem, Rory. – *Lubiłem*. Czas przeszły. Jakby już mnie nie było między żywy mi. Skinął głową w stronę sarkofagu. – Wchodzisz pierwsza. Zaczekaj na mnie na dole.

– Bez zasłaniania oczu?

Nie spojrzął mi w oczy.

– Rudd powiedział, że to nieistotne.

Przełknęłam tę gorzką pigułkę ze świadomością, iż nie liczyło się, że poznam wejście, skoro nie miałam stamtąd wyjść.

Schodząc spiralnymi schodami do ciemnej sali na dole, mocno trzymałam się poręczy. Liam szedł tuż za mną. Sięgnął pod najniższy stopień i wyjął metalowy walec. Myślałam, że to latarka, kiedy jednak wcisnął kciukiem guziku jej podstawy, zapłonęła prawdziwym ogniem.

– Sala z ołtarzem jest trzecia z kolei – szepnął prawie niesłyszalnie. – Tam właśnie będą.

Wziął mnie pod łokieć i przeprowadził przez jedyne drzwi, pod wąskim łukiem, do następnej sali. Kwadratowej, oczywiście, tak jak poprzednia, tyle że większej i odróżniającej się sofami krytymi szkarłatnym pluszem i niskimi mahoniowymi stolikami stojącymi wzdłuż wąskiego chodnika, który ciągnął się łukiem od jednych drzwi do drugich. Prosta skośna linia byłaby bardziej ekonomiczna, ale Nieliczni przedłożyli nad to matematyczną elegancję. Nawet nie widząc całej reszty, wiedziałam, że ta krzywa przejdzie w złotą spiralę wijącą się ku wejściu do tunelu.

W połowie drogi usłyszałam głosy dochodzące z następnej sali.

– Powinieneś mi dziękować. – To był Rudd.

– Dziękować ci? – Dziekan Atwater.

– Tak – potwierdził Rudd, mniej jednak pewnie niż przedtem. – Rozwiązałem nasz problem.

Doszlismy pod łukowate wejście. Liam przystanął i spojrział na mnie. Podniosłam palec. Minutkę. Lekko skinął głową. Widziałam, że był nie mniej zaciękwiony niż ja.

– A jak konkretnie to osiągnąłeś? – spytał lodowato dziekan. – Sypiając z szesnastolatką?

Wzrok Liama skoczył ku mnie, a jego brwi wygięły się jak pytajniki. Prędko potrząsnęłam głową. Nie chodziło o mnie.

– Myślałeś, że nie wiem? – zapytał dziekan, gdy Rudd nie odpowiedział. Nie usłyszałam jeszcze głosu Tarsus. Czy w ogóle tam była? Na samą myśl, że mogłoby jej nie być, ścisnęło mnie w żołądku. Była moją jedyną nadzieją.

– To był z mojej strony błąd w ocenie – przyznał wreszcie Rudd bezradnie.

– Owszem. I to właśnie, jak rozumiesz, stanowi problem. Sugeruje bowiem, że i mnie się przytrafił błąd w ocenie.

Co niepojęte, zrobiło mi się żal Rudda. Przeliczył się.

Za jedną z sof po mojej lewej coś zaszeleściło. Ale jak tylko zwróciłam głowę w kierunku tego hałasu, dłoń Liama ścisnęła mój łokieć. Domyśliłam się, że wzmianka dziekana o błędzie w ocenie przypomniła mu, po czyjej stronie stoi. Szarpnąwszy, przeciągnął mnie pod łukiem drzwi.

– A jednak gdyby nie moje kontakty z nią, nie wiedzielibyśmy o Rory – mówił Rudd, gdy wchodziliśmy do sali. Przeszedł do obrony. Dowodził swoich racji. Od razu pojęłam, z kim sypiał. Sekretny chłopak Hershey nie był już sekretnym chłopakiem.

– A co z tym, co ona wie?

– Ona nic nie wie. Zresztą, nie ma to żadnego znaczenia. Po tym, jak zostanie zobowiązana...

Odrobinę się zatoczyłam i wszystkie trzy głowy zwróciły się w moją stronę. Doktor Tarsus też jednaktam była.

W odróżnieniu od pierwszych dwóch sal tę oświetlały osadzone w ścianach pochodnie rzucające złowieszczy poblask na trzy postacie na jej środku. Stały z dala od siebie, tworząc trójkąt o niejasnych powiązaniach. Liam chyba nie był pewien, do kogo podejść. Polecenia otrzymał od Rudda, czy wiste jednakbyło, kto tu rządzi.

– Liam – powiedział Rudd, przywołując go gestem.

Liam zawahał się, potem ruszył w kierunku dziekana. Ten patrzył jednak na mnie, nie na moją eskortę.

– Dziękuję ci, Liam – rzekł, nie spuszczać ze mnie wzroku. – Możesz wracać do akademika.

Ręka Liama nadal spoczywała na mojej, wyczułam więc jego zaskoczenie. Puścił mój łokieć, jakby go parzył.

– Tak proszę pana,

Nawet nie spojrzawszy w moją stronę, odwrócił się i wyszedł.

Dziekan wciąż się we mnie wpatrywał. Dzielił nas niewiele więcej niż metr i jego spojrzenie zdawało się palić jak reflektor. Na wargach i pod linią włosów poczułam krople potu.

– Witaj, Auroro – powiedział dziekan Atwater. Ledwie wymówił moje imię, przepełniła mnie odraza. Gardziłam nim w tej chwili z taką mocą, że niewiele brakowało, bym buchnęła ogniem. Zmusiłam się do uśmiechu zakłopotania.

– O co chodzi? – spytałam.

– To właśnie chcielibyśmy wiedzieć – stwierdził dziekan. Jego ręka w kieszeni marynarki sprawiała takie wrażenie, jakby coś tam trzymał. Na przykład pistolet. Zimny pot zaczął spływać mi na czoło.

Lekko potrząsnęłam głową. Więcej zakłopotania. Kolejny uśmiech. Zerknęłam na doktor Tarsus. W tym migotliwym świetle jej hebanowe tęczówki zdawały się smolście czarne, matowe i całkowicie nieprzeniknione.

– Nie rozumiem. Myślałam... Liam powiedział mi, że postanowiliście przyspieszyć moją inicjację.

– Gotowa jesteś więc złożyć przysięgę? – spytał dziekan.

– Oczywiście – zapewniłam go gładko. – Mam jeszcze tylko kilka pytań.

Dziekan sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Ty masz pytania. – Wyjął rękę z kieszeni. Coś, co w niej trzymał, wyglądało na rewolwer, niepodobny jednak do żadnego, jakie zdarzyło mi się widzieć. Lufę zastąpiła w nim fiolka z niebieską cieczą. – Sądzę, Auroro, że troszkę się pogubiłaś w kwestii tego, kto tu winien jest wyjaśnienia. – Wzmocnił nacisk na spust tej broni.

– Odpowiem na wszelkie pana pytania – oświadczyłam, grając na czas. – Chciałabym tylko wiedzieć, co spotkało moją mamę.

– O ile mi wiadomo, twoja matka zmarła na skutek zakrzepu – powiedział zimno dziekan Atwater. – Częste powikłanie po cesarskim cięciu.

Wezbrała we mnie furia.

– Akt zgonu widziałam – wyпалиłam, zbyt rozeźlona, żeby się bać. – Chcę znać prawdę. Czy to były nanoboty? Zabiliście ją w ten sam sposób co Griffina?

Brwi dziekana podjechały do góry.

– Tak, wiem o Griffinie – powiedziałam tak gładko, jak tylko potrafiłam. – Powód jego śmierci rozumiem. Był naczelnym Gnosis. Nie mogliście pozwolić, by zniszczył to, co zbudowali Nieliczni. Ale moja mama była uczennicą. Jak mogła wam zagrazać?

– Nie zagrażała – prychnął dziekan Atwater, jakby pluł lodem. – Gdyby nawet ogłosiła

publicznie to, co jej się wydawało, że wie, nikt by jej nie uwierzył. – Jego usta wykrzywiły się w uśmiechu. – Nie przy takiej historii choroby.

– To po co było ją zabijać?

Westchnął.

– Ponieważ przy sparzała kłopotów, Auroro. Ponieważ weszła nam w drogę.

Łzy same cisnęły mi się do oczu. Spróbowałam powstrzymać je mruganiem, ale było już na to za późno. Wiedziałam, że je zauważył. Walczyłam, by się trzymać w ryzach. To również widział.

– Tak, to nanoboty załatwiły sprawę – przyznał, wyraźnie mnie podpuszczając. – Do żył dostały się z kroplówką, przez co bardzo trudno było przewidzieć, którędy przez jej organizm powędruje skrzep. To prawdziwe szczęście, że akurat tak wyszło.

Shczęście. Miałam ochotę wydrapać mu oczy. Wiedziałam jednak, że właśnie taką reakcję chciał wywołać. Nie zamierzałam dać mu tej satysfakcji. Nie spuszczałam zeń oczu.

Mówił dalej:

– Obecnie stawiamy na bardziej eleganckie rozwiązania. – Podniósł swój rewolwer. – Używamy kaftanów bezpieczeństwa i wyściełanych cel.

Dreszcz przeszedł mi po kręgosłupie, mimo to nawet nie drgnęłam.

– A zatem to coś w tej strzałce... zrobi ze mnie wariatkę?

– Nie, to sprawi, że twój mózg zacznie robić wszystko na własną rękę – odparł dziekan Atwater z chorym uśmiechem na twarzy. – Jak tylko nanoboty dotrą do twojego płata skroniowego i rozpętają kakofonię. Ryki. Eksplozje. Wrzaski. Ich dzieło dokończy niedobór snu, zadbamy jednak o to, żebyś w zakładzie zamkniętym znalazła się znacznie wcześniej.

– Tak się zachowujesz, jakbyśmy już podjęli decyzję – dotarł do mnie głos doktor Tarsus. Usłyszałam ostry stukot jej obcasów na kamieniu, potem wyczułam jej obecność u swego boku. – Wydaje mi się, Robercie, że powinniśmy dać naszej nowicjusze przywilej wątpliwości.

– Przywilej wątpliwości – powtórzył dziekan. – Czym dokładnie jest ten przywilej wątpliwości, Esperanzo? Zwątpieniu, o którym teraz tu rozmawiamy, nie przysługują przecież żadne przywileje, nie uważasz?

– Mamy słowo Kyle'a przeciw jej słowu – odpowiedziała Tarsus. Zrobiła krok w przód i znajdowała się teraz o kilkanaście centymetrów bliżej niego niż ja. Zauważyłam, że stoi na palcach jak kot prężyący się do ataku. – Nie mamy dowodów, że jest skażona.

Skażona. Jakby Zwątpienie było zarazą.

– Kpisz sobie ze mnie? – doszedł do mnie z tyłu głos Rudda. – To przecież oczywiste. Mam nadzieję, że żadne z was nie kupuje tego jej teatryku.

– To żaden teatryk – oświadczyłam jaknajbardziej przekonująco. – Nie jestem moją matką.

– Czy żyje? – spytał dziekan.

– Nie daj robić z siebie głupca, Robercie – upomniał go Rudd tonem drwiny.

Wzrok dziekana oderwał się ode mnie i przeskoczył na niego.

– Wyjdź. Natychmiast.

– Ale ja...

– Natychmiast! – ryknął. Rudd pognał do drzwi.

– A więc go nie słyszysz? – zapytał mnie dziekan, gdy już nie było Rudda, napierając palcem na spust. – Nie słyszysz Zwątpienia?

Chodziło o jedno słowo. *Nie*. Nie potrafiłam go jednak wymówić. Wahałam się.

W odróżnieniu od niego. Nacisnął spust.

Usłyszałam kliknięcie, a potem trzask i nagle wylądowałam na kolanach, a tam, gdzie jeszcze przed chwilą stałam, była doktor Tarsus, ze strzałką tkwiącą w lewym barku.

– Esperanzo! – To był stłumiony krzyk dziekana Atwatera. Popatrzył na trzymany w rękę rewolwer, potem na nią, z otwartymi ustami.

– Rory – powiedziała spokojnie doktor Tarsus. – Musisz mnie wysłuchać.

Z miejsca odwróciłam głowę w jej kierunku. Drugą ręką chwyciłam strzałkę i wyszarpnęła.

– Mam uczulenie na żelatynę, główny składnik zawiesziny zastosowanej w tym pocisku. To tylko kwestia czasu, kiedy krtań zacznie mi odmawiać posłuszeństwa. – Mówiła tonem do bólu rzeczowym. – Nie wiem, co planujesz, ale...

– To, co ona planuje – powiedział zimno dziekan, obracając bębenek rewolweru, by włożyć kolejną strzałkę – nie ma teraz najmniejszego znaczenia.

Już się pozbierał, szok i konsternacja, widoczne jeszcze przed chwilą na jego twarzy, gdzieś znikły. W cieniu za nim coś się poruszyło. Ktoś. Miał na głowie czarną kominiarkę, a w rękę naszą strzykawkę. Oddech uwiązał mi w gardle, gdy pojęłam, że to North. Jak mnie tu znalazł?

– Rory – usłyszałam doktor Tarsus. – Zostało mi niewiele czasu.

Coś we mnie pękło.

– Jesteś potworem! – krzyknęłam do dziekana, zrywając się na równe nogi. Roześmiał się.

– A ty głupiotką dziewczynką – powiedział, celując mi w szyję. – Zupełnie jak twoja...

North złapał go za rękę i wykręcił za plecy. Dziekan Atwater wrzasnął i usłyszałam trzask kości. North, zgrzytając zębami niczym jakieś zwierzę, wbił mu strzykawkę głęboko w szyję. Wydało mi się, że cała znikła pod skórą. Usłyszałam też szybkie kroki i do sali wpadł Rudd. Wystarczyła mu chwila, by skojarzył, co się stało. O tę chwilę jednak za długo. Rozległ się trzask, potem jego jęk i zwałił się bezwładnie na posadzkę.

Za nim stała Hershey z niezapaloną pochodnią, obłądem w oczach i przypominającymi barwy wojenne czarnymi smugami maskary na twarzy.

– Dupek – wyrzuciła z siebie i upuściła pochodnię.

Rudd jeszcze oddy chał, ale był nieprzytomny. Ze złością wymierzyła mu kopniaka.

– Hershey! – zawołałam, pędząc ku niej. – Wszystko okej?

– Już tak. Co mu jest? – Spiorunowała wzrokiem dziekana, którego North przycisnął do posadzki.

Stary mrugał bez przerwy, walcząc o zachowanie przytomności.

– Zasypia – poinformowałam ją.

– Darujecie mu życie?

– Nie możemy go zabić, Hersh.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Dlaczego nie?

– Dlatego – odpowiedział North, podnosząc się. – Jeśli go zabijemy, on wygra.

Wzrok Hershey przeniósł się na doktor Tarsus, klęczącą teraz u nóg dziekana Atwatera i rozsznurowującą mu granatowe oksfordy.

– A co z nią? Czemu jeszcze jest przytomna?

– Ona jest po naszej stronie – wyjaśniłam. – Zawsze była po naszej stronie. Wyłumaczę ci, kiedy stąd wyjdziemy. – *Kiedy*. Pół minuty temu byłoby to *jesli*.

Ukłękałam przy doktor Tarsus. Ciasno wiązała dziekanowi nogi w kostkach tymi sznurówkami.

– Pani EpiPen. Gdzie jest? – spytałam.

Dotknęła dłonią mojego policzka i uśmiechnęła się. Skóra wokół jej oczu już zaczynała puchnąć.

– Zużyłam go tamtej nocy.

Łzy napłynęły mi do oczu. Zużyła go, żeby mi pomóc.

– Nie czas teraz na to – stwierdziła kategorycznie, chwytając dziekana za przeguby i wykręcając mu ręce na plecy. Gdy podciągała mu rękawy, suchy jak papier naskórek zlaził mu z rąk jak skóra u węża. – Mamy sporo roboty.

Podbiegłam do leżącego Rudda. North już przelęcił go na brzuch i właśnie wiązał mu nogi. Podał mi jedno sznurowadło, żebym zajęła się rękami. Rudd trochę jęknął, bo zacisnęłam je tak mocno, że wpiło się w skórę aż do krwi.

– Boże, tak się cieszę, że nic ci się nie stało – powiedział North bez tchu.

– Jak mnie znalazłeś?

– Przez twój naszyjnik – Ruchem głowy wskazał gołębia. – Umieściłem w środku urządzenie naprowadzające. I kamerę. – Pozwolił sobie na uśmiech. – Nie chciałem, żebyś zrobiła coś szalonego bez mojej wiedzy.

Przez chwilę trwałam bez tchu z wdzięczności. Do niego, do doktor Tarsus, za ten niewytłumaczalny fakt, że nadal nic mi nie jest.

– Zabrałeś więc ze sobą Hershey?

– Nie, ona...

– Przyniesłam tu za Kyle'em – powiedziała cicho Hershey. Po jej brawurze sprzed chwili nie było już śladu. Wpatrywała się w znieruchomiałego Rudda ze łzami w oczach, już nie palających nienawiścią i zuchwałością, a po prostu smutnych. Wydała mi się nagle taka malutka. Jak zagubione dziecko. Wstałam i wzięłam ją w ramiona.

– Co się stało? – spytałam.

– Używałam jego klucza uniwersalnego – wyznała żałośnie. – Kiedy spał. Dzięki temu mogłam ci to wszystko znieść. Myślałam, że cała kadra ma takie. Nie wiedziałam, że on... – Głos jej się łamał. – Dziś rano nakrył mnie z nim i powiedziałam mu prawdę... że staramy się dopaść drani, którzy zabili twoją mamę. Myślałam, że nam pomoże. Myślałam... – Zalała się łzami. – Rory, on chciał napuścić na mnie pieprzony psychiatryk. Powiedział, że wzywa dla mnie taryfę, ale podpatrzyłam, jaki numer wybiera... ten sam, który podali nam pierwszego dnia szkoły. – Uwolniła się z moich objęć i z pasją otarła sobie oczy. – Jaka ze mnie idiotka. Mówił, że mnie kocha. A ja, popieprzona, mu wierzyłam.

– Bierzemy się do roboty? – zawołała doktor Tarsus. Oddech miała już trochę świszczący i trzymała się za prawe ramię, jakby ją bolało. Nie czekając na odpowiedź, zdjęła swoje zamszowe czółenka i ruszyła w mrok wiodący do tunelu.

– Do jakiej roboty? – spytała Hershey.

– Im mniej będziesz wiedziała, tym lepiej – powiedziałam jej. – Powinnaś wrócić tak jak przyszałaś. Zaczekaj na nas u Northa.

Spodziewałam się, że zacznie się ze mną spierać lub zażąda szczegółów sprawy, ale tylko kiwnęła głową. North wręczył jej swoje klucze.

– Uważajcie na siebie – szepnęła, a wargi jej nieco drżały.

– Za kilka godzin wrócimy – zapewniłam ją, gdy North poszedł po jedną z pochodni.

Modliłam się, żeby tak właśnie było.

ROZDZIAŁ 33

Doktor Tarsus umarła niespełna dziesięć metrów od centrum przetwarzania danych Gnosis. Ramię szybko jej spuchło, i to tak bardzo, że wydawało się dwa razy grubsze. Widać było, że bardzo ją boli, mimo to ani razu się nie żaliła, nawet gdy skóra zaczęła szarzeć. Gdy chwycił ją kaszel, rozplakałam się. Czułam, że to nie w porządku, iż zalewam się łzami, kiedy to ona umiera, ale dosłownie czułam, że serce mi pęka. Kiedy słuchałam jej nagrania, nie w pełni jeszcze do mnie docierało, że w jakiś pokręcony sposób zastąpiła w mych myślach matkę, której nigdy nie znałam. Owszem, odkąd się z nią zetknęłam, niemal do końca jej nienawidziłam, jednak wszystko, co robiła, robiła dla mnie. Nie znałam się zbyt na macierzyństwie, ale to właśnie wydawało mi się jego sednem.

Minęliśmy właśnie ostatni łuk spirali, kiedy zatoczyła się na ścianę. Spojrzała najpierw na Northa.

– Nie dam rady tam dojść – powiedziała. Mówiła z wysiłkiem, jej ton jednak pozostał rzeczowy. – Będziecie musieli posłużyć się nagraniem. Nie wiem, czy to zadziała, ale warto spróbować.

Zsuwała się po ścianie, aż usiadła, tak koślawo, jakby była małym dzieckiem. Ukłękłam obok i wzięłam ją za rękę, podczas gdy North gmerał w poszukiwaniu iPhone'a.

Odwróciła się do mnie z uśmiechem.

– Twoja mama byłaby z ciebie taka dumna, Auroro – mówiła powoli, ciężko dysząc. – Obiecay mi tylko... Obiecay mi, że kiedy już będziesz stąd wychodzić, nie obejrzyś się za siebie.

– Kocham cię. – Tak mi wyszło, zamiast „Obiecuję”. Położywszy rękę na moim kolanie, zdobyła się na wąty uśmiech.

– Ja też cię kocham.

– Proszę dać znać – powiedział łagodnie North, trzymając kciuk nad guzikiem nagrywania. Jego głos zabrzmiał tak jakś zabawnie, jakby ścisnęło go w gardle nie mniej niż mnie. Doktor Tarsus skinęła głową. North włączył nagrywanie.

– Lecz wolny upadnie – powiedziała chrapliwie, przerywając te słowa płytkimi oddechami.

Powieki jej zatrzepotały, oczy zaczęły się zamykać, ale potrząsnęła głową.

– Spróbuję jeszcze raz – wychrypiała i postarała się nabrać tchu. – Lecz. Wolny. Upadnie.

Zaczynałam tracić nadzieję. Z programami rozpoznającymi głos niewiele miałam do czynienia, podejrzewałam jednak, że aby go rozpoznały, musiałyby choć trochę przypominać głos osoby, z którą go skojarzono. *Spróbuj jeszcze raz*, błagałam ją w myślach. Minęła dłuższa chwila.

W jej piersi grzechotały resztki oddechu.

Wzięłam ją za rękę i lekko uściśnęłam. Jej wargi ułożyły się w słowo *idź*. Bezgłośnie, ale równie kategoryczne, jak wszystkie wydawane przez nią polecenia. Obie wiedziałyśmy, że nie miałam innego wyboru. Kiedy ułękłam i pocałowałam ją w policzek, łyzy, które powstrzymywałam, popłynęły ciurkiem, rosząc jej twarz.

– Dziękuję – szepnęłam. – Za wszystko.

Uśmiechnęła się, a pot na jej twarzy rozbłysł w świetle pochodni Northa. Potem ta twarz zwiotczała i to było nasze pożegnanie.

Aż do kamiennego muru ani North, ani ja nie powiedzieliśmy słowa.

– Nie dotykaj palcami – ostrzegł mnie, gdy kamienna ściana przesunęła się, zalewając nas blaskiem świetlówek – Odciski.

Kiwnęłam głową i dotknęłam szkła knykiem kciuka. Na ekranie znów rozbłysło dwanaście ókienek ale pierwsze cztery cyfry były tym razem inne.



Przygotowując się na tę chwilę, wypisałam sobie po wewnętrznej stronie przedramienia pierwsze pięćdziesiąt liczb ciągu Fibonacciego – zgodnie z pomysłem Northa – i okazało się, że dwudziesty trzeci numer na tej liście to 10946, co oznaczało, że następne osiem cyfr, to 6, 1, 7, 7, 1, 1, 2, 8. Wpisałam je najszybciej, jak potrafiłam.

Jak tylko knykiec uderzył w ósemkę, szklane drzwi odsunęły się przy wtórze szumu ciepłego powietrza, zupełnie jak w mojej symulacji. Weszłam za Northem do tej niewielkiej komory. Chwilę później szklana tafla się zasunęła, a kamienna ściana wróciła na miejsce, zasłaniając nas. Wyjął telefon i podszedł do mikrofonu.

– My śłisz, że to zadziała? – spytałam.

– Może – odpowiedział, jednak bez przekonania. Spróbował pierwszego nagrania. Jeszcze zanim usłyszeliśmy słowa *odmowa dostępu*, wiedziałam, że leżymy. Nawet ja nie rozpoznałabym jej głosu, gdy bym nie była przy tym, jak go nagrywała. Drugie nagranie wypadło jeszcze gorzej.

– Cholera – szepnęłam i mocno zacisnęłam powieki. Liczyłam na to, że Zwątpienie udzieli mi jakiejś wskazówki, ale zamiast tego usłyszałam głos doktor Tarsus:

Jam go stworzył niewinnym, prawym nienadaremnie, mogącym się utrzymać w dostojęństwie snadnie, choć mogącym i upaść, lecz wolny upadnie.

Oczy natychmiast mi się otworzyły.

– North – powiedziałam prędko. – Masz jeszcze w swoim telefonie tamto nagranie? Zrobione

dla mnie przez Tarsus?

– Tak, a czemu?

– Powiedziała: lecz wolny upadnie. Nagrała te słowa. Zdaje mi się, że jakoś pod koniec.

North już otwierał ten plik. Przepchnął pasek ścieżek na prawo i wcisnął odtwarzanie. Głos doktor Tarsus – typowy dla niej, pełen życia – wypełnił tę niewielką komorę.

– Będzie tuż po tym – powiedziałam i odrobinę przewinałam do przodu.

– Wydaje się, że tak zostaliśmy ukształtowani – dobiegło z małego głośnika. – Jak to ujął Milton? *Jam go stworzył niewinnym, prawym nienadaremnie, mogącym się utrzymać w dostojności snadnie, choć mogącym i upaść, lecz wolny upadnie.* Wybór należał do nas i sami go dokonaliśmy.

North cofnął ten fragment i znów podniósł telefon do mikrofonu. Gdy wcisnął klawisz odtwarzania, wstrzymałam dech. To brzmiało jak jej głos, tylko czy intonacja była właściwa?

Proszę, niech to zadziała.

– Spójrz – powiedział nagle North, wskazując tablicę kontrolną, którą oglądałam już w symulacji. Zielone lampki, jedna za drugą, zmieniały się w czerwone. – To panel bezpieczeństwa. Każde z tych światełek połączone jest z kamerą. Myślę, że przechodzą w tryb odłączenia od systemu.

Po chwili rozległ się głośny szcęk, jakby ścierały się dwa bloki stali, i drzwi do sejfu ustąpiły.

Weszliśmy.

Trochę spodziewałam się zobaczyć tam pracowników robiących, co do nich należało, ale North miał rację. W tej potężnej hali skłapanej w niebieskawym świetle nie było żywej duszy. Było za to głośno. I mroźnie. Zamknęłam za nami drzwi, jednak nie do końca. Nie miałabym pojęcia, jak je otworzyć od wewnątrz, o ile było to w ogóle możliwe.

North wciągał rękawiczki. Były cienkie, z gumowymi poduszczkami na opuszkach.

– Ręce hakera – wyjaśnił, przekrzykując szum maszyn. – Zero odcisków palców.

Widok tych rękawiczek przypomniał mi, że ta chwila, a przynajmniej jakaś jej wersja, zawsze wpisana była w nasz plan. A jednak zamiast dodać mi otuchy, jeszcze uwydatniła to, jak bardzo zboczyliśmy z kursu. Zmuszona byłam szybko mrugać, lękając się, co ujrzę pod powiekami, jeśli oczy zbyt długo pozostaną zamknięte.

– Myślałam, że serwery nie będą odłączone od sieci przed północą – powiedziałam, idąc za Northem między ich rzędami w kierunku terminalu. Podłoga pod nami zrobiona została z jakiejś metalowej siatki. Jakis metr pod nią dojrzałam gładki szary beton.

– I nie są – odpowiedział North, dotykając klawiatury przed terminalem, by zapalić te trzy ekrany. – Co utrudnia ukrycie naszych śladów, choć tego nie uniemożliwia.

Ekrany były zablokowane, a na środku każdego z nich widniało okno logowania.

– Co teraz? – zaczęłam pytać, ale North już obszedł logowanie. Pisał z szybkością światła, nie patrząc na palce, a na ekranie pojawiały się coraz to nowe wiersze kodu komputerowego. Co chwilę przeskakując wzrokiem z ekranu na ekran, otworzył i zamknął z tysiąc różnych okien. Polował na kod programu rządzącego Luxem. A gdyby go nie znalazł?

Nie mogłam ustać w miejscu.

– Rory – odezwał się North.

– Co takiego?

– Przestań chodzić. To mnie stresuje.

Usiadłam za nim na podłodze z metalowej kratki.

– Czuję się beużyteczna. Jak mogę ci pomóc?

Nie odrywając oczu od ekranów przed nim, sięgnął do tylnej kieszeni i podał mi swój iPhone.

– Znajdź nam jakąś dobrą muzykę.

Przy muzyce upływały godziny. North wciąż pracował, trochę sobie nucąc. Ja siedziałam cicho, obserwując jego plecy, w oczekiwaniu, aż umilknie klikanie palców na klawiszach. Doczekałam się. Trochę po jedenastej.

– Rory – powiedział z naciskiem. Błądziłam palcami po metalowej kratce pode mną. – Wszedłem do tego algorytmu. Chcę, żebyś sprawdziła to, co robię, żeby mieć pewność, że dobrze wprowadzam zmiany.

Podniosłam się. W oknie na środkowym ekranie widziałam łańcuch słów i symboli.

– Ej, nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy.

– Wiem o tym – przyznał North, trochę chyba zirytowany. Przyjrzałam mu się i zobaczyłam, jaki jest zmęczony.

– Co mam robić? – spytałam.

– Przeczytaj to na głos – polecił, zamykając oczy. – Mnie wszystko lata przed oczami. Już nawet nie widzę, co tam jest napisane. Przeczytaj dokładnie to, co widzisz.

Przez cały czas, gdy czytałam, oczy miał zamknięte, a brwi zmarszczone w skupieniu. Kiedy doszłam do końca, mięśnie jego twarzy się rozluźniły.

– North?

Minęła dłuższa chwila. Byłam bliska załamania. Znów go zawołałam, znacznie ciszej, prawie szeptem.

– Godzinę temu, przez jakiś kwadrans, byłem pewien, że tego się nie da zrobić – powiedział, jeszcze nie otwierając oczu. – Algorytm był zbyt złożony, by poprzestać na prostej zamianie danych wejściowych, nie ryzykując serii katastrof samochodowych lub masowych samobójstw.

Masowe samobójstwa. Przez jakiś kaprys tego algorytmu. Przypomniałam sobie głupawy uśmiech Becka towarzyszący jego interakcjom z Luxem i przeszły mnie ciarki.

– Nie umiałem tego obejść – dodał North. – Gotów byłem się poddać. – Otworzył wreszcie oczy i spojrzał na mnie.

– Ale?

– Ale wtedy usłyszałem głos: „To tam jest”. Tyle tylko powiedział. – Potrząsnął głową w zdumieniu. – I w jednej chwili zobaczyłem, co trzeba. Prawie niezauważalną różnicę w odniesieniu tego algorytmu do pewnych kategorii zagrożeń. I pojąłem, że jeśli zdołam wyodrębnić te kategorie i znaleźć sposób na potraktowanie ich jako czegoś w rodzaju preferowanych okazji, swoistych kart atutowych, uda mi się wyłączyć cały schemat, zamiast go odwracać. Musiałem więc stworzyć wewnątrz tego algorytmu dodatkowy ciąg poleceń i tym samym utrudnić sobie zadanie takz dziewięć tysięcy razy, ale uważam, że to zadziała.

Objęłam go za szyję i wspierałam się na jego krzesło tak, że moje kolana znalazły się tuż przy jego biodrach. Położył mi dłonie na udach, przyprawiając mnie o dreszcze.

– Jesteś genialny – powiedziałam.

Dał mi się pocałować, potem jednak odchylił się i pokręcił głową.

– Nie. Sobie tego nie mogę przypisać. Gdybym miał polegać na sobie, poddałbym się.

Gotowa byłam się z nim spierać, ale dałam spokój. To Nieliczni domagali się pokłasku dla swoich dokonań. Chłopakowi, którego pokochałam, nie zależało na tym. I za to go kochałam.

– Możemy się więc stąd zabierać? – zapytałam.

– Prawie – odpowiedział. – Muszę tylko przekopiować wszystkie te zmiany do systemu kontroli wersji i wdrożyć ten kod na serwerach, a potem zacząć, aż Gnosis rozpocznie ponowne załadowanie.

Spojrzałam na zegarek Była 23:53.

– Siedem minut wystarczy na to, co musisz zrobić?

– Powinno. Potem, jak tylko system się ponownie załaduje, uruchomię skrypt, który ukryje moją obecność, i załaduję robaka. Wtedy będziemy mogli stąd spadać.

– Robaka?

– Taka nasza dywersja – wyjaśnił. – Na wypadek, gdyby ktoś w Gnosis się zorientował, że weszliśmy w ich sieć. Zobaczą robaka i pomyślą, że nas mają.

– Spryciarskie. To też ci głos podpowiedzia?

North się uśmiechnął i pocałował mnie w czubek nosa.

– Nie. Tym razem to bardziej ja sam.

Wychylił się zza mnie, by móc pisać na touchpadzie. Nie spuszczałam oczu z jego twarzy, chcąc widzieć ją podczas pracy. Całe jego zmęczenie, które wcześniej zauważyłam, gdzieś znikło.

Musnęłam nosem jego ucho.

– Niesamowity jesteś – szepnęłam, szylkując się, by pocałować go w policzek

– Kurwa – powiedział, cały napięty.

Aż mnie rzuciło.

– Co jest?

– Uruchomiłem alarm – powiedział, klnąc pod nosem. Wściekle coś pisał.

– Co za alarm? – spytałam, usiłując zejść mu z kolan, nie dotykając jego rąk. Serce mi waliło, a nogi miałam jakz galarety. W co znów się wpakowaliśmy?

– Nie wiem.

Spojrzałam na środkowy ekran. W pierwszej chwili pomyślałam, że widzę łańcuchy kodu komputerowego, potem uświadomiłam sobie, że to rzędy liter alfabetu greckiego.

– Czekał – powiedziałam do Northa, dotykając jego ramienia. – Wydaje mi się, że to zagadka.

– Zagadka?

– Tak – potwierdziłam, wcale nie taka znów pewna. – Na sekundę zostaw ją w spokoju.

Jak tylko oderwał palce od touchpadu, te siedem wersów na środku ekranu zmieniło się w alfabet łaciński.

*Bom ich wolnemi stworzył i wolni zostaną,
Mimo niewolę grzechu przez siebie obraną,
Inaczej musiałbym ich zmienić w ich przyrodzie
I mieć ów nieodzowny Wyrok na odwodzie,
Co urządził ich wolność wiecznemi prawami,
A oni urządzili własną zgubę sami.*

WCISŃNIJ KLAWISZ UMOŻLIWIAJĄCY PRZEJŚCIE DALEJ.

Kątem oka zobaczyłam, że North ze zdziwienia wybałusza oczy.

– To wersy z *Raju utraczonego*. Te same, które zostawiła ci mama. – Przyjrzał mi się. – To przez tę grekę wiedziałaś, co zrobić?

Przytaknęłam.

– Treści nie znałam, poznałam jedynie, że to zagadka. Te, które trzeba było rozwiązywać w ramach procesu oceny, zawsze pojawiały się jako czerwony tekst zapisany greką. Tyle tylko, że tamte były...

Chciałam powiedzieć: *na czas*, ale akurat zauważyłam mały zegar w prawym dolnym rogu ekranu, odliczający czas od sześćdziesięciu. Minuta. Tyle tylko mieliśmy.

– Pospieszmy się – powiedziałam prędko. – Mamy sześćdziesiąt sekund.

– Rory, tak szybko nie złamię klucza.

– No to musimy ją rozwiązać. *Wcisnij klawisz umożliwiający przejście dalej*. Odpowiedź musi

się kryć w tym cytacie. Dlatego go podali.

Przez kilka sekund wpatrywaliśmy się w ekran w milczeniu.

– Rory, na tej klawiaturze jest sto jeden klawiszy – powiedział wreszcie North, ze zdenerwowania szarpiąc się za irokeza. – A nam zostały trzydzieści dwie sekundy. Nie sądzę...

– Może chodzi o literę W? – zasugerowałam. – W słowie Wyrok Chociaż w środku zdania, jednak jest duża. W jak Wejście?

North potrząsnął głową.

– Nie wydaje mi się, że o to chodzi. Tak by było w oryginale. Skojarzenie byłoby zbyt dalekie.

– Okej, zatem musi chodzić o sens. Co może...?

North nagle siadł prosto.

– Milton mówi tu o zniewoleniu człowieka – powiedział podekscytowany. – Klawiszem „umożliwiającym” jest więc „escape”. Ucieczka.

Zastanowiłam się. Coś w tym było. I to coś na tyle pomysłowego, że mogłam przyjąć taką odpowiedź. Palec Northa zawisł nad klawiszem z literami Esc, czekając na mój sygnał. Zostało zaledwie dwadzieścia sekund. Serce mi waliło. Zaciśnęłam powieki. Czas było decydować.

I wolni zostaną. Przypomniałam sobie nagle słowa, które wąż wypowiedział podczas inicjacji. *Głupiec desperacko łaknie mieć nad sobą pana.*

– Nie – powiedziałam raptownie, szeroko otwierając oczy. – Nie ma przed czym uciekać. O to przecież chodziło Miltonowi, nie? *Niewolę grzechu przez siebie obraną.* Pułapka powstanie, gdy przyjmiemy, że ona istnieje. Żeby przejść dalej, wystarczy wcisnąć „enter”.

North się nie wahał ani nie zadawał pytań. Uderzył w klawisz „enter” i wszystkie słowa momentalnie zniknęły. Poza jednym.

DALEJ.

Niemal natychmiast otwarło się nowe okno i na ekranie pojawiło się: **POLECENIE_WYKONANE.**

– Dziękuję – wymamrotał North, opadając bezwładnie na krzesło. Popatrzył na mnie. – Myślałem, że jesteśmy ugotowani.

– Ale nie jesteśmy? – spytałam, chcąc się upewnić.

– Na razie nie – przyznał, opierając czoło o mój brzuch. – Teraz czekamy.

Patrzyłam, jak zegar u dołu ekranu przeskakiwał z 23:58 na 23:59, a potem na 00:00. Gdy nic więcej się nie zmieniło, pacnęłam Northa w głowę.

– Jest północ – poinformowałam go. – Nic się nie dzieje.

– To może zająć kilka minut – oznajmił głosem słumionym przez mój dres. – Ktoś w Gnosis musi uruchomić ponowne załadowanie, a zanim to zrobi, będzie chciał się upewnić, że wszyscy wylogowali się z wewnętrznej sieci.

– A nowy algorytm zadziała wraz z podłączeniem serwerów? – spytałam.

– Powinien. – Znów usiadł prosto. – Chociaż nie jestem pewien wpływu burzy słonecznej na Luxa. Jeśli jednak aplikacja będzie działać, to algorytm też powinien.

– A co z nami? Nic nam nie będzie?

– Och, będzie nam świetnie – powiedział, z powrotem sadzając mnie sobie na kolanach. – Zaszycemy się u mnie, będziemy grać w gry elektroniczne na baterię i wcinać zimne spaghetti z puszki.

Dwie minuty po północy dała się słyszeć fala sapnięć, bo zaczęły gasnąć otaczające nas rzędy maszyn. Ostatni miał się wyłączyć terminal, a kiedy to nastąpiło, w hali zapanowała całkowita cisza. Światła awaryjne oblały jej wnętrze niesamowitą zieloną poświatą.

– Co się stanie, jeśli ktoś tu wejdzie? – szepnęłam.

North nawet nie podniósł wzroku.

– Uciekniemy.

Nikt się jednak nie zjawił. Po kilku minutach serwery włączyły się przy wtórze pisków i poszumów. Po takiej ciszy hałas działał mi na nerwy. Byłam niespokojna.

Głośne szcęknięcie za naszymi plecami gwałtownie mną szarpnęło. North spojrział w tył.

– Co to było? – spytałam szeptem.

– Nie wiem – odpowiedział, sprawiając wrażenie nie mniej zaniepokojonego ode mnie. Przekręcił krzesło i oboje zobaczyliśmy odpowiedź. Ścianę w miejscu, gdzie uprzednio były drzwi wiodące do siedziby stowarzyszenia.

– Widocznie zaprogramowano je tak, żeby się po zrestartowaniu zamykały – stwierdził North z niesmakiem.

Ja się nie odzywałam. *Jesteśmy w pułapce*, powiedziałam sobie, bo najwyraźniej do mojego umysłu to nie docierało. Gdyby dotarło, wariowałabym ze strachu, a tymczasem po prostu sobie siedziałam, absolutnie bez ruchu, wpatrując się w tę ścianę. Nikt by nie powiedział, że tam było wejście.

– Rory? – usłyszałam głos Northa.

– Musi być inne wyjście – powiedziałam spokojnie. Tak spokojnie, że mnie samą to zaskoczyło. Ale moja mama, która pomyślała o wszystkim, wyhaftowała na kocu dwa pomarańczowe iksy. Ten z cmentarza oznaczał i wejście, i wyjście. W przypadku tego ze zbiornika wodnego nie mogło być inaczej.

– Widzę tu tylko dwie windy – odparł North. – Dwie windy Gnosis, do których dostęp wymaga karty-kłucza. Ale te drzwi, którymi tu weszliśmy, otwierają się od środka, tak? – W jego głosie czuło się napięcie. Pokrewne panice.

– Nie wiem – przyznałam szczerze. – Mam wątpliwości, czy Nieliczni zaryzykowałiby, że ktoś

odkryje, jak je otworzyć. Mimo to nie sądzę, że utknęliśmy. Uważam, że z tej sali można się wy dostać. – Wskazałam ekrany terminala. – Skończ, co musisz. Ja nas stąd wyprowadzę.

North nie wyglądał na przekonanego, mimo to skinął głową i skupił się na ekranie, który znów się zaświecił, ukazując okno logowania Gnosis.

Najpierw obiegałam całą halę. Jedyne widoczne wyjścia stanowiły dwie windy, które wypatrzył North, oraz zaopatrzone w alarm drzwi oznaczone jako DROGA EWAKUACYJNA. Tu na dole nie było nawet łazienki. Przyjrzałam się stropowi, znajdował się jednak tak absurdalnie wysoko, że gdyby nawet było tam wyjście, nigdy byśmy go nie dosięgnęli. Jeśli więc takie wyjście istniało, musiało być dostępne z poziomu podłogi. Zaczynając od przeciwległego krańca hali, oddalonego od miejsca, w którym siedział North, co najmniej o długość boiska piłkarskiego, przemierzałam ją teraz, rząd za rzędem, przy patrząc się podłozu pod kratką. Wszędzie widziałam tylko gładki beton. Zaczynało mnie ścisnąć w dołku. Czyżbym się myliła?

Czekałam na słowa pocieszenia, na jakieś zapewnienie ze strony głosu, że jest tu wyjście. Nie doczekałam się. Nie doczekałam się go zresztą ani razu, odkąd zaczęliśmy kreślić ten plan. Ani razu głos mnie nie zapewnił, że się wykaraskamy.

Boże! Kamery bezpieczeństwa. Skoro ponowne załadowanie systemu zresetowało drzwi, zapewne też uruchomiło na nowo kamery. Już otworzyłam usta, żeby zawołać Northa, natychmiast jednak je zamknęłam i zamiast tego pognałam do niego z pochyloną głową.

Byłam w połowie drogi, gdy zahaczyłam czubkiem buta o kratkę i poleciałam. Najpierw walnęłam w podłogę rękami, mocno, aż metal wbił mi się w ciało, tuż potem łupnęłam kolanami. Z bólu w oczach stanęły mi świece, zaraz jednak o nim zapomniałam, gdy zobaczyłam, co znajduje się pode mną. Widziałam pokrywę okrągłej studzienki, ozdobioną literami ΕΞΟΔΟΣ ¹. Nie miałam pojęcie, co oznaczają, nie ulegało jednak dla mnie wątpliwości, że pokrywa włazów kanalizacyjnych zazwyczaj nie opisuje się greką. Przyjrzałam się podłodze, szukając sposobu na wejście pod kratę. Wypatrzyłam coś niemal tak dobrze zlewającego się z dolną krawędzią najbliższego rzędu serwerów, że bym to przeoczyła. Zasuwkę.

Pozbierałam się i pobiegłam do Northa. Bez słowa naciągnęłam mu na głowę kaptur. Dopiero wtedy szepnęłam mu wprost do ucha:

– Kamery.

Cały zeszywniał. W tej samej chwili głośniki nad nami i wokół nas zaniosły się przenikliwym, świdrującym piskiem. Zobaczyli nas.

– Znalazłam wyjście – powiedziałam, przy ciskając wargi do jego ucha i ciągnąc za rękę.

– Czekał – odparł. – Mogę usunąć to nagranie. Muszę usunąć to nagranie.

Wpiłam mu paznokcie w przedramię.

– Nie ma czasu.

– Do siedziby Gnosis jest stąd prawie dziesięć kilometrów – powiedział, już coś wpisując. Śmigał przez sieć, otwierając i zamykając niepojętą liczbę okienek – Jeśli nawet łączy ją z tym miejscem podziemna kolej, pojawienie się tutaj zajmie im przynajmniej pięć minut. Ja swoje załatwię w sześćdziesiąt sekund. Widziałem już te dane. Wiem, gdzie ich szukać.

Choć pot znów wystąpił mu na czoło, North nie zamierzał ustąpić. Wpatrywałam się w drzwi windy, a serce takmi waliło, że aż żebra bolały.

– Gotowe – oznajmił wreszcie North, odpychając krzesło tak, że się przewróciło.

Ruszyłam w stronę wjazdu, a North tuż za mną. Zasuwka sprawdziła się dokładnie tak, jak oczekiwałam, umożliwiając podniesienie części kraty niczym kłapy nad piwnicą. Wsunąwszy się pod nią, z powrotem opuściliśmy kratę i na czworakach przystąpiliśmy do obrócenia pokrywy, wsadziwszy palce w przeznaczone do tego otwory. Przekręciła się łatwo. Trudniejsze okazało się jej przesunięcie. Ważyła ze dwadzieścia pięć kilo i na czworakach ciężko było uzyskać dość przeciwwagi, by ją podnieść, zwłaszcza że w uszy wciąż wwiercał się nam alarm.

Właśnie przesunęliśmy ją na bok, gdy usłyszeliśmy wizg towarzyszący otwieraniu drzwi windy. *Schodź*, powiedział bezgłośnie North i wskazał wjazd. Wbiłam wzrok w tę czerń. Nie sposób było stwierdzić, jak głęboko sięgała, z braku drabinki wносиłam jednak, że było tu stosunkowo płytko. Spuściłam więc nogi w otwór, potem przekręciłam się na brzuch i zsunęłam resztę ciała, aż zawisłam wyłącznie na rękach. Gdy moja twarz znalazła się poniżej poziomu podłogi, uderzył mnie zarówno smród, jaki straszliwy lęk, że popełniłam błąd.

– Proszę – wymamrotałam, zsuwając sobie prawą stopą lewy but. *Proszę, nie pozwól, bym skręciła kark; proszę, niech to się uda; nie pozwól, proszę, żeby nas znaleźli*. Kiedy w sekundę później poczułam, że mój trampek dotknął skały, rozluźniłam palce.

Kolana miałam przygięte, kiedy więc stopy dotknęły podłoża, ten wstrząs pchnął mnie do przodu, na ręce. Grunt podę mną był nierówny i kłujący jak chropawy kamień. Opuściłam się najwyżej pięć metrów, jednakże światło z góry w niewielkim stopniu rozjaśniało tę zatęchłą dziurę. Nade mną słychać było krzyki i bieganie, a także zgrzyt, gdyż North, zwlekając z zeskokiem, starał się zasunąć za sobą pokrywę wjazdu. Palce miał w otworach tej metalowej tarczy i mocował się z nią, wisząc nad moją głową. Z okropnym szczękiem wskoczyła wreszcie na swoje miejsce, pozostawiając nas w całkowitej ciemności. North z głuchym stukiem wyładował tuż obok mnie.

– My ślisz, że cię zauważyli? – spytałam.

– Nie czekajmy, żeby to sprawdzić – odpowiedział.

Twaz mu rozbłysła, bo włączył latarkę w telefonie. Obrócił się powoli, z wyciągniętą ręką, a wąty promień ujawnił ciasnotę miejsca, w którym się znaleźliśmy. Kamienne ściany w tym świetle lśniły jak polzaczane i byłoby tu nawet pięknie, gdyby ich widok nie oznaczał, że jednak

znaleźliśmy się w pułapce. Czuałam napierający na mnie duszący ciężar. Właz, przez który tu weszliśmy, zamykała teraz ciężka metalowa płyta. Nie dosięgłabym jej, nawet stojąc na barkach Northa, nie mówiąc już o tym, że gdyby było to możliwe, i taknie zdołałabym jej unieść na tyle, by dała się przesunąć.

– Rory – usłyszałam głos Northa – tam jest wyjście. Wprawdzie wąskie, ale wydaje się, że zrobiono je nieprzy padkowo.

Skierowałam głowę w ślad za jego światłem i dojrzałam szparę wyciętą w skale za moimi plecami, niemal nikałą w cieniu.

– Chodźmy – powiedział i wziął mnie za rękę.

Po drugiej stronie szczeliny grunt się obniżał, wiodąc nas w głąb ziemi, nie zaś ku jej powierzchni. Przejście było tak wąskie, że gdy szliśmy, North szorował barkami po ścianach, a niski strop uniemożliwiał poruszanie się w postawie wyprostowanej. Gdy wolno posuwaliśmy się w dół skalnego chodnika, wciąż skuleni, żeby w nic nie walić głowami, koncentrowałam się na swoim oddechu, ponownie zwalczając narastającą panikę. Gdybyśmy rzeczywiście mieli tu na dobre utknąć, na wariowanie byłoby jeszcze mnóstwo czasu po potwierdzeniu tego faktu. W miarę jakschodziliśmy, jajeczny smród siarki stawał się coraz gorszy.

– Z czego to? – spytałam, naciągając koszulkę na nos.

– Nie wiem – przyznał North. – Ale naprawdę się cieszę, że dawno nie jedliśmy.

Po kilku minutach znów znaleźliśmy się na płaskim podłożu. W komorze większej od poprzedniej, za to z niższym stropem. North wprawdzie stał wyprostowany, ale ledwie, ledwie. Ściany wokół nas były nierówne i chropawe, a gdy North je oświetlił, przypominały brąz. W przód wiodła tylko jedna droga, kolejny chodnik, o ścianach mocniej zaokrąglonych, ale i bardziej wyboistej, jakby dłużej komuś służył. Gdy do niego podchodziliśmy, latarka Northa wychwyciła jakiś znak na wiodącej do niego ścianie. Właściwie był to rysunek, topornie wykonany i przedstawiający wagonik górniczy jadący w stronę chodnika. Ten obraz sprawił, że zajrzałam. Znajdowaliśmy się w dawnej kopalni pirytu. Błasku ścianom dodawało nie złoto, ale jego tania imitacja. Nie byłam pewna, czy w fakcie, że Nieliczni uczynili to miejsce ważną częścią swego imperium, należało doszukiwać się ironii, czy też przyjąć, że miało się do czynienia z właściwymi ludźmi na właściwym miejscu. Wzniesli swój zamek na złocie głupców.

Weszłam za Northem w głąb tego chodnika. Biegł pod górę, był za to jeszcze bardziej śliski i kamienie nie trzymały się podłoża. Niejeden raz traciłam równowagę i padałam, podpierając się rękoma. Korciło mnie, żeby zdjąć buty. Boso chodziłoby się lepiej niż w wyslizganych tomsach. Nie zrezygnowałam z nich jednak, nie sposób bowiem było przewidzieć, czy na nic nie nadepnę. Gdy zrobiło się stromo, North puścił mnie przodem i jakoś łatwiej było mi potem łapać równowagę, wiedząc, że schwy ci mnie, jeśli będę spadać.

Wspinaliśmy się tak już od dłuższego czasu, kiedy telefon Northa wydał dźwięk, którego się obawiałam. Poskarżył się na niski poziom naładowania baterii. Nie skomentowaliśmy tego. Pięliśmy się dalej, a ciszę zakłócało tylko szorowanie naszych butów i rąk o skałę. Nie było sensu mówić tego, o czym oboje myśleliśmy. Że jeśli to ślepy zaułek, będziemy załatwieni.

Znów się pośliznęłam, jak się okazało, na mokrej skałe.

– Na kamieniach jest woda – zawołałam przez ramię, do Northa. Czuję, że prawie następuje mi na pięty. – Musi spływać tutaj skądś z góry, prawda?

– Na to by wyglądało – przyznał North z nadzieją, którą zaraz wyczułam. Pięliśmy się dalej.

Gdy podłoże znów się wyrównało, North chwycił mnie za rękę.

– Zaczekaj – polecił. – Tam może być urwisko.

Oświetlił grunt i nasze otoczenie. Załamalam się, widząc lite skały. Chodnik, którym przyszliśmy, był tu jedynym wyjściem.

Miałam ochotę wrzeszczeć. Składę głos, który apelował, bym się nie bała, choć wiedział, gdzie skończymy. Ten gniew wyparła jednak świadomość, że głos starał się mnie przygotować na tę chwilę. *Nie bój się, bo jestem z tobą.* Nie jako coś w rodzaju amuletu mającego mnie chronić przed wszelką niedolą, ale jako ostoja, gdy już nie będzie dokąd się zwrócić.

Dokonałaś tego, po co przysłałaś – szepnął głos. A ja zamiast złości, zamiast lęku czułam spokój.

North stał przy ścianie, przeczesując ją promieniem latarki.

– Hej, przyjrzyj się temu! – zawołał.

To był kłojny rysunek odcinający się czernią od połyskliwego kamienia. Prosty, złożony z kółka i trzech linii, wyraźnie jednak przedstawiał gołębia. Wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć, tak poruszona jego widokiem, że nie znajdowałam słów. *Skąd się tu wziął? Dlaczego gołąb?* Miało się wrażenie, że to jakiś znak. Rodzaj daru.

Kiedy przesuwalam palcem po jego tak umownych kształtach, telefon Northa w końcu padł. Nie ruszyło nas to. Spodziewaliśmy się przecież, że tak będzie. Co do mnie, to nawet mi ulżyło, że już nie musiałam na to czekać, bać się chwili, w której światło zgaśnie. Teraz, gdy to wreszcie nastąpiło, pozostawało się z tym pogodzić.

North poszukał mnie w tej ciemności, przyciągnął do siebie. Jego dłonie przesunęły się po moich ramionach, w kierunku twarzy, i choć nie mogłam go widzieć, w jakiś przedziwny sposób widziałam. Nie oczyma, ale dzięki pamięci, która wydawała się teraz prawdziwsza. Bardziej wiarygodna. Kiedy mnie pocałował, zapomniałam o wszystkim. O ciemności i zaduchu, o tym, że chce mi się pić. Czuję jedynie jego wargi na moich i napór jego ciała na moje. Z zapachów docierała do mnie tylko woń jego skóry i jego szamponu cytrusowego. Słyszałam jedynie nasze oddechy, gorące i przyspieszone, gdy wtulaliśmy się w siebie, pragnąc więcej i więcej.

Nagle, ni stąd, ni zowąd, doleciał nas z góry trzask tak potężny, że pomyślałam, iż ziemia się

rozpada. Znieruchomielismy.

– Co to...?

– Grzmot – wyjaśnił North.

Moja ręka powędrowała ku miejscu, w którym widziałam gołębia. Teraz pojęłam, czemu się tam znalazł.

– Górnicy – powiedziałam bez tchu. – Ci uwięzieni w tej kopalni. Byli właśnie tutaj.

– Co takiego? Skąd wiesz?

– Widziałam w Panoptikonie. Gołębiami nazywano paczki z zapasami, które ratownicy spuszczali górnikom. Otwór, który do tego służył, poszerzono, by ich wydobyć.

Znów rozległ się grzmot, tym razem jeszcze głośniejszy.

– Wyjście jest nad nami – oznajmiłam. – Nie widzieliśmy go, bo nie patrzyliśmy w górę. –

Zadarłam głowę.

Na policzek spadła mi kropla deszczu.

Nie zareagowałam, nie od razu. Zaczekałam na kolejną, potem na następną, a gdy deszcz zaczął zalewać mi twarz, wybuchnęłam śmiechem.

– Co się dzieje? – spytał North.

– Pada – wyjaśniłam, wciągając go pod ten lodowaty prysznic.

– Pada – przyznał zaskoczony. I też się roześmiał.

Udało mi się stanąć na jego ramionach dopiero po kilku próbach, ale gdy już sobie z tym poradziłam, z łatwością znalazłam otwór w skale. Idealny, gładki krąg, równie szeroki, jak właz, przez który zesłaliśmy. A kilkanaście centymetrów powyżej jego krawędzi natrafiłam na postrzępioną końcówkę liny.

1. *Exodos* (gr.) – wyjście. Skojarzenie z biblijną Księgą Wyjścia jest tu najzupełniej na miejscu. [\[wróć\]](#)

ROZDZIAŁ 34

Niesamowicie to wszystko, prawda?

Siedziałam na balkonie tego mieszkania – naszego mieszkania, poprawiłby mnie zaraz North – już całe godziny, wpatrując się w las ciemnych budynków. Służby miejskie wyłączyły sieć energetyczną o trzeciej w nocy, jak tylko coś określanego jako „koronalny wyrzut masy” oderwało się od Słońca, lecąc w naszym kierunku. Potwierdzono, że czeka nas burza geomagnetyczna. Spodziewano się, że potężna masa plazmy słonecznej uderzy w atmosferę ziemską niedługo po pierwszej. Aktualnie była 00:30.

Minione dwadzieścia cztery godziny pamiętałam jak przez mgłę. Wyjście, które znaleźliśmy w kopalni, pozwoliło nam się wydostać przez kamienną studnię do lasu, ze dwadzieścia metrów od elektrycznego ogrodzenia okalającego Zbiornik Wodny Enfield. Gdybym nie знаła prawdy, uznałabym tę studnię za tak starą, za jaką miała wyglądać. Nie znalazłoby się tam ani tablicy upamiętniającej związane z tym miejscem uratowanie górników, ani nic innego, co mogłoby sugerować, że ten otwór dołądkółwiek wiedzie. I o to, jak przypuszczałam, chodziło. To była przecież droga ewakuacyjna Nielicznych. Sekretne wyjście z ich siedziby.

Hershey czekała na nas w mieszkaniu Northa, roztrzęsiona, ale poza tym miała się nieźle. Próbowaliśmy ją przekonać, żeby zabrała się z nami do Nowego Jorku, z dala od Rudda i Theden, wołała jednak zostać.

Pożegnać się z nią było znacznie trudniej, niż myślałam. Nasze relacje zawsze układały się dość szczególnie, ale w jakiś sposób stanowiła część mnie samej. Część tego, kim się stałam. Długi czas obejmowałyśmy się w zaufku za domem Northa. Kiedy się w końcu rozstałyśmy, obie miałyśmy ramiona mokre od łez.

Most Roberta Kennedy’ego przejechaliśmy z Northem niedługo po szóstej, akurat gdy nad East River wschodziło słońce. Jego mieszkanie znajdowało się przy Czerdziestej Siódmej, prawie na Times Square. Po tłustym śniadaniu w restauracyjce za rogiem poszliśmy na górę, spać. North tak przytulił się do moich pleców, że wyglądaliśmy jak dwa przecinki. Słońce już zachodziło, kiedy się obudziliśmy, wciąż jeszcze w ubraniach. North wyciągnął rękę i bawił się moimi włosami. Patrząc na niego i czując nasadę jego dłoni na moim policzku, miałam wrażenie, że pustka, którą w sobie czułam, zaczęła ustępować. Wysliśmy z tego cało. Lepiej niż cało. Wysliśmy wolni.

Zgodnie z obietnicą na kolację zjedliśmy spaghetti, prosto z puszką, a teraz siedziałam na balkonie, przyglądając się ciemnemu miastu. Na rozsuwanych przesłonych drzwiach za mną

wisiały żaluzje, skutecznie odcinające blask neonów, tej nocy jednak ich nie potrzebowaliśmy. Nie palił się ani jeden billboard. Księżyc też właściwie nie było, jedynie jego blade żółty skrawek. Widziało się za to gwiazdy, dość gęsty baldachim na bezchmurnym, czarnym niebie. Zastanawiałam się, jak często mieszkańcy Manhattanu widują gwiazdy. Wyobrażałam sobie, że nie częściej niż ludzie w Seattle, czyli prawie nigdy. Zbyt wiele zanieczyszczenia świetlnego. Dziś w nocy nie było z nim problemu. Całe Wschodnie Wybrzeże zgasało.

Na ulicy pode mną ludzie wpatrywali się w gwiazdy. Po tym, że często konsultowali się z prostokącikami jasnego światła na swoich przegubach, poznawałam, że to Lux wyprowadził ich z domów. Gwiazdziste noce. Kosmos. Doznania, od jakich Lux miał ich odciągać. Przedtem.

Okazało się, że nasz algorytm robił dokładnie to, czego od niego oczekiwaliśmy. Wiódł ludzi ku zagrożeniom, zamiast przed nimi chronić. Nieobliczalne zachowanie Luxa było dziś na ustach wszystkich. My to przespaliśmy, ale aplikacja przez cały dzień pracowicie siała chaos. Korki uliczne, długie kolejki, ludzie opuszczający pracę w środku dnia. Porzucający ją całymi grupami. Gnosis zapewniała, że te problemy spowodowało zakłócenie systemu GPS przez wiatr słoneczny, i apelowała do wszystkich o powstrzymanie się od używania aplikacji do czasu zrestartowania satelitów po burzy. Użytkownicy Luxa ochoczo ignorowali te zalecenia. Nanoboty w ich mózgach sprawiały, że większym zaufaniem niż twórców aplikacji darzyli ją samą, i to nawet wtedy, gdy kazała im zbaczać z wybranej trasy o całe kilometry lub wychodzić w trakcie ważnych zebrań. Można byłoby to nawet uznać za zabawne, gdyby nie było aż tak smutne.

Nie wszyscy jednak słuchali Luxa. North opowiadał, że na czacie mówiło się o „deluksowaniu” – czyli usuwaniu tej aplikacji z telefonów – a ludzie, którzy to robili, używali takich hasztagów jak „sterowany” lub „prowadzony”. Nie zasługiwało to jeszcze na miano ruchu, ale na Forum zapanowała moda na #delux, a wszyscy ważniejsi dostawcy informacji punktowali błędy Luxa. Nie sposób było określić, ile potrwa wykrycie przez Gnosis zmian, które wprowadziliśmy w ich algorytm. Miałam nadzieję, że wystarczająco długo, by wyrwać Becka z otępienia narzuconego przez nanoboty. Ilu zachodów słońca trzeba będzie, żeby mu przypomnieć, co jest prawdą?

W mieszkaniu grało radio. Docierał do mnie głos nowego naczelnego Gnosis, człowieka, któremu fatalnie wychodziły próby naśladowania jego poprzednika. Ludzie wciąż jeszcze nie wiedzieli, że Griffin nie żyje. Według najświeższego oświadczenia Gnosis „aklimatyzował się” w ośrodku rehabilitacyjno-terapeutycznym w bliżej nieokreślonym miejscu. Liczyliśmy jednak na to, że tuż po włączeniu prądu prawda wyjdzie na jaw. Kopie historii choroby Griffina wysłaliśmy do wszystkich znanych nam serwisów informacyjnych, dołączając do nich ową wewnętrzną notatkę Gnosis na temat Projektu Hyperion, w nadziei, że choć jeden z nich nagłośni tę historię, zanim Gnosis upora się z naszymi zmianami w algorytmie.

Nagranie wideo z mojego naszyjnika powędrowało tylko do dwóch osób – do dziekana

Atwatera i Rudda. Towarzyszący mu mail wyjaśniał, że jeśli cokolwiek przytrafi się mnie lub Hershey albo jeśli wyczuję, że Nieliczni próbują mnie znaleźć, zostanie upublicznione. Nie ulegało wątpliwości, że kupiłam tym sobie ich milczenie. Obaj mieli zbyt wiele do stracenia.

– W naszych innowacyjnych technologiach wykorzystujemy zamiast metalu światło oraz światłowody – wyjaśniał nowy naczelny Gnosis – uodparniające nasze urządzenia na zakłócenia elektromagnetyczne i pozwalające użytkownikom goldów czy g-tabletów na korzystanie z nich także podczas przerw w dostawie prądu. System GPS opiera się jednak oczywiście, na satelitach, tych zaś, niestety, nie jesteśmy w stanie zabezpieczyć. Zapewniamy jednak, że jak tylko burza słoneczna przejdzie, Lux znów będzie funkcjonował bezbłędnie.

Wzdrygnęłam się. *Bezbłędnie.*

– Dopóki to nie nastąpi – mówił dalej – zalecamy wszystkim wstrzymanie się z korzystania z aplikacji i pozostanie w domach aż do końca burzy.

Żadnej wzmianki o robaku, którego North wpuścił im do sieci. Na szczęście dla nas wyglądało na to, że Gnosis woli zamieść sprawę pod dywan, niż przyznać się, że padła ofiarą udanego ataku hakerskiego.

– Co oni wszyscy robią? – spytał nagle North. Zapomniałam, że jest obok. Za jego przykładem wychyliłam się przez poręcz balkonu. Na dole była teraz co najmniej setka ludzi wpatrzonych w niebo.

– Wykorzystują szansę – powiedziałam z przełaskiem. Bo taka właśnie była prawda: gwiazdzista noc stanowiła szansę. Na podziw i zauroczenie niepojętą nieskończonością. Na otarcie się o transcendencję. Nieliczni mieli tego świadomość i dlatego tak pieczołowicie chronili przed nią ludzi. Transcendencja sprzyjała przemianom wewnętrznym. I to właśnie uważali za ryzykowne.

– Rory, coś się dzieje – oznajmił North, wstając. – Na ulicy są dosłownie tysiące ludzi.

Mówił prawdę. Pod nami działo się coś, co wyglądało na imprezę sylwestrową na otwartym powietrzu, ludzie na placu stali w ścisku, jeden przy drugim. Ponieważ wraz z wyłączeniem sieci energetycznej stanęły także stacje ładowania samochodów elektrycznych, widziało się jedynie nieliczne pojazdy napędzane benzyną, co akurat wychodziło wszystkim na dobre, gdyż tłum wylewał się już na ulicę.

Ścisnęło mnie w dołku. To przez nas tam stali. A jeśli wydarzyło się coś złego? Czy szykowały się jakieś zamieszki? Nieprzewidziany skutek burzy słonecznej? Wyglądało na to, że na zewnątrz są już setki tysięcy ludzi. I to nie tylko na Times Square. Jak okiem sięgnąć, widziałam ludzi na całym Broadwayu, również na balkonach i dachach. To wszystko z powodu gwiazd? Niebo, owszem, było piękne, ale niczym wyjątkowym nie zaskakiwało. Żadnych komet, zero meteorytów, księżyc nie wisiał też szczególnie nisko. Czemu więc zajęło pierwsze miejsce na listach szans wszystkich użytkowników? Poprzedzający tę noc zachód słońca o wiele bardziej

zapiała dech w piersiach, a Lux wywabiał wtedy z domów znacznie mniej ludzi.

Przyglądałam się z góry tłumowi, masom wchodzącym w interakcje ze swymi ekranami. Ci ludzie najwyraźniej – podobnie jak ja – nie rozumieli, czemu w środku nocy opuścili domy. Większość z nich już nawet nie patrzyła w niebo. Stukali w ekrany, czekając, aż Lux odpowie, czemu wyróżnił tę noc.

Patrzyłam z góry na tłum, pragnąc, by rozszedł się do domów, gdy nagle poczułam mrowienie, coś w rodzaju prądu, głęboko w kościach. Trwało zaledwie sekundę, potem znikło. Stojący obok North też się wzdrygnął. Również to poczuł. Sądząc z westchnień i pomruków dobiegających z dołu, z ulicy, poczuł je wszyscy.

– Co to było? – spytał North.

– Nie wiem – odparłam z roztelepanym sercem. Włoski na ramionach stawały mi dęba, a na języku czułam posmak miedzi. – To przez tę burzę? – Wychyliłam się przez balkon. Po ciemku trudno było mieć pewność, ale chyba z nikim nie działo się nic złego.

Właśnie wtedy North gwałtownie nabrał tchu.

– Och – westchnął. – Aurora.

Dziwnie było słyszeć, jak zwraca się do mnie pełnym imieniem, lecz jeszcze dziwniejszy był ton, którym to powiedział. Ale już z dołu dobiegło zbiorowe westchnienie rozpoczynające całą falę dalszych, w miarę jak wzrok ludzi kierował się ku niebu.

Zrozumiałam już wszystko, każdą komórka swego ciała. Podniosłam głowę. W tej samej chwili, gdy mój wzrok sięgnął widnokregu, znów usłyszałam swoje imię, tym razem w sobie.

Aurora... Zorza.

Ten widok, ten niezwykle pokaz neonowych poblasków, przyprawił mnie o drżenie. Bajeczny i niesamowity, elektryzujący kolorami, zajął mój umysł na dłuższą chwilę. Schodzące ukośnie zielone smugi, biegnące w górę purpurowe, balet barw tam, gdzie oba pasma się spotkały. Zapierająca dech w piersiach zorza układająca się w niezdarny zarys gołębia z rozpostartymi skrzydłami. Oszołomiona z podziwu, odetchnęłam głęboko, wypełniłam płuca chłodnym nocnym powietrzem. Przestrzeń wokół nas wydawała się ustępować, podnosząc mnie ku nieskończoności.

North wziął mnie za rękę i jej nie puszczał, wraz ze mną wpatrując się w niebo, równie oniemiały.

– To dla ciebie – szepnął.

Z dołu zaczął dobiegać stłumiony gwar rozmów. Oderwałam oczy od nieba i przyjrzałam się ulicy. Tam w dole zaczynały kolejno migotać małe prostokątne światełka świadczące o tym, że handheldy przechodzą w stan czuwania. Nikt jednak chyba nie zwracał na to uwagi. Oczy i myśli ludzi były gdzie indziej. Bliżej nieba. Bliżej siebie nawzajem. Po raz pierwszy od długiego czasu miejsce łączności zajęła więź. Nigdy czegoś takiego nie widziałam, nie na tę skalę.

Kontakty między ludzkie w całej swej okazałości. Ludzie patrzący sobie w twarze, nie w ekrany. Zjawisko niemające sobie równych.

Wszystko we mnie wypełniło się nadzieją, a uśmiech na mojej twarzy pochodził z najtajniejszego zakątka duszy.

Dobra robota, szepnął głos. Dobra robota.

EPILOG

Szczęśliwego przesilenia letniego – mówi, stawiając na stoliku pudełko. Poznają, że sam je opakował.

– Czuję się, jakbym miała urodziny – droczę się, bo rzeczywiście mam. Kończę dziś siedemnaście lat.

– Mam nadzieję, że ci się spodoba – słyszę głos Northa, podnosząc pokrywkę. – Bo zwrócić nie mogę.

W pudełku widzę złożoną kartkę. To wydruk maila adresowanego do mnie, zskomponowanym w tekst purpurowym logiem NYU. *Szanowna Pani Aurora Vaughn – napisali. – Gratulacje! Z przyjemnością informujemy, że została Pani przyjęta na pierwszy rok studiów na Uniwersytecie Nowojorskim, w ramach rocznika 2035.*

– Przyszło dziś rano – mówi North. Widzę w jego oczach iskiereki.

– To zabawne. Bo nie składałam tam papierów.

– Ależ złożyłaś – odpowiada North i przechyla się przez stół, by chwycić mnie za rękę. – I twoje podanie było bardzo przekonujące. Zwłaszcza list motywacyjny. Napisałaś w nim o osobie najbardziej cię inspirującej. – Podnosi moją dłoń do ust i całuje. – Ten facet musi być niesamowity.

Zniża teraz głos, choć to niepotrzebne. Stoliki obok nas są puste, a kelner utknął przy sześciorgu gościach po drugiej stronie sali, odpowiadając na pytania o menu. Odkąd nie można zdawać się na Luxa, jedzenie poza domem stało się sprawą bardziej czasochłonną. Wymaga podejmowania tak wielu decyzji.

– Wiem, że to nie to samo co wywalczenie tego sobie – mówi cicho North. – Ale jak już tam będziesz, cała reszta zależeć będzie od ciebie. I żaden Atwater nie wmówi im, że nie ukończyłaś w tym roku Theden. Nie żebym naciskał: decyzja należy do ciebie. Jeśli nie chcesz...

– Kocham cię – mówię, opierając się na łokciach, żeby go pocałować.

Uśmiecha się szeroko.

– To pójdiesz tam?

– Cóż, któreś z nas musi mieć zawód godny szacunku – drażnię go i znów całuję.

Kiedy kelner przynosi rachunek, płacimy gotówką. Pół roku temu wytrzeszczyłyby oczy ze zdziwienia, dzisiaj już nie. Ludzie przestali ufać elektronice, wolą to, co dotykalne. Banknoty. Papierowe mapy. Metalowe klucze. Nie jest jednak już tak źle, jak było tuż po tamtej burzy, gdy większość nawet nie dotykała telefonów. Panowała wtedy powszechna paranoja. Efekt

odstawienia, mówili potem niektórzy lekarze, gdy prawda wyszła na jaw. Po wyłączeniu nanobotów, mózgi zaczęły świrować z braku tak oczekiwanego zaufania, a wyrównanie naturalnego poziomu oksytocyny zajęło im kilka tygodni. Wtedy zaś cała sprawa nabrała rozgłosu i już nie paranoja skłaniała ludzi do pozbywania się telefonów, a nagie fakty.

Naukowcy zapewniali, że sensacje, jakie odczuliśmy tuż przed pojawieniem się zorzy, nie wyrządziły nam żadnej szkody. Ludzki organizm byłby w stanie znieść nawet znacznie silniejszy impuls elektromagnetyczny. *To tak, jakbyśmy poddali się rezonansowi magnetycznemu* – wyjaśnił pewien geofizyk podczas jednej z konferencji prasowych NASA, w które obfitowały owe dni po burzy. – *Nasze organizmy ledwie go zauważyły.*

Co innego nanoboty w tych organizmach, skonstruowane na bazie tlenku żelaza, składnika wysoce podatnego na magnetyzm, i specyficznie zabezpieczone na wypadek awarii. Ich wyłączenie w takim przypadku miało gwarantować rezonans magnetyczny. Lub – jak się potem okazało – impuls elektromagnetyczny wywołany przez burzę słoneczną. Pomimo niemal dwudziestu lat planowania, czegoś takiego Nieliczni nie przewidzieli.

Mnóstwo w tym wszystkim ironii. Boskim patronem swego projektu Nieliczni uczynili greckiego boga Hyperiona. Hyperiona, który władał Słońcem. I to właśnie Słońce jednym ognistym rozbłyskiem ostatecznie zniszczyło Nielicznymi ich Hyperiona. Sądzę, że przecenili jego boską moc, taksamo jak swoją własną.

Tamy pęły kilka dni później. Gdy zabrakło presji nanobotów, stu jedenastu dziennikarzy, którym wysłaliśmy notatkę Gnosis, musiało o własnych siłach podjąć decyzję, czy opublikują tę historię.

Opublikowali wszyscy.

Agencja ds. Żywności i Leków natychmiast wycofała z rynku spray przeciw grypowy Sozy, a Departament Sprawiedliwości wszczął postępowanie w sprawie Gnosis, Luxa i Golda. Na tydzień przed Bożym Narodzeniem ława przysięgłych sądu federalnego w Bostonie uznała winę siedemdziesięciu siedmiu osób. Gdy oglądałam w telewizji te aresztowania, było mi żal tych managerów w kajdanach. Iluż z nich, podobnie jak Griffin, nie miało pojęcia, co się tak naprawdę dzieje. Prawdziwi winowajcy nie figurowali na listach płac tych firm, a ich nazwiska nawet nie pojawiły się w serwisach informacyjnych.

Co do Nielicznych – ich nie udało się pokonać. Ani nam, ani burzy. Nie są bogami, za to bardzo sprytnymi ludźmi. I jak powiedziała doktor Tarsus – są cierpliwi. Z czasem znów się czegoś podejmą. Ale przy najmniej zesłałam im z oczu. Na tę chwilę to wystarczy.

Według Hershey moje zniknięcie z kampusu na jakiś dzień dostarczyło pożywki różnym spekulacjom. Potem Theden opuścił Rudd, a jako że poszła fama o jego romansie z uczennicą, wszyscy uznali, że chodziło o mnie. Szkoła nie wniosła przeciwko niemu oskarżenia, Hershey też

nie, plotka więc pozostała plotką, a Rudd nie trafił do więzienia. Wkurza mnie, że wciąż jest na wolności, Hershey jednak zapewnia, że tak jest lepiej.

– Chcesz wpaść do biblioteki? – pyta North, gdy wychodzimy na ulicę.

To głupie pytanie. Odwiedzamy ją prawie co wieczór, a teraz główna filia przy Piątej Alei pozostaje otwarta do północy. Wszystkie biblioteki tak robią, żeby sprostać zapotrzebowaniu. W głównej filii jest ponad pięćset ogólnodostępnych terminali komputerowych, mimo to kolejka ludzi czekających na możliwość skorzystania z nich – dziś, tak jak zresztą zawsze – kończy się przed głównym wejściem, na sławnych schodach. Ta kolejka wiele o nas mówi. Uświadamia, że bardzo nieufnie podchodzimy do naszych handheldów i że na tyle chronimy naszą prywatność, by nie logować się z domu. Ale mówi też, że nie chcemy palić mostów. Może i nosimy po kieszeniach zwitki banknotów, a w samochodach wozimy papierowe mapy, ale do monitorów wciąż ciągnie nas jak muchy do miodu.

Gdy przychodzi moja kolej, siadam przy terminalu i zaczynam swój wieczorny rytuał. Posługując się fikcyjnym profilem, loguję się na Festiwalu, który zastąpił zamknięte decyzją władz Forum, i sprawdzam, co sły chać u ludzi, których kocham.

W skrzynce jest wiadomość od mojego taty, życzenia urodzinowe. Nie rozumie, czemu używam tego fikcyjnego profilu ani czemu nie podałam mu tradycyjnego adresu pocztowego, lecz wydaje się godzić na to, że przez jakiś czas to się nie zmieni. Nie ukrywam się – nie pozwoliłabym sobie na to – ale jestem ostrożna. Zbyt wiele mi się przytrafiło, bym igrała ze swoją wolnością.

Kolej na Becka. Mój najlepszy przyjaciel otrząsnął się z wywołanego przez Luxa otępienia, jak tylko wyłączyły się nanoboty, i walnął swojego golda w odmęty Kolumbii, jeszcze zanim z nieba znikła zorza. Posługuje się w zamian starym galaxy swojej mamy i zaczął robić zdjęcia analogowe. Teraz jest wielki popyt na takie stare gadzety. Ivan niewątpliwie robi na tym niezły interes.

Dzisiaj dowiaduję się, że jedno ze zdjęć Becka – wykonane w dniu, gdy sprawa wyszła na jaw, a tysiące mieszkańców Seattle zebrały się na Pioneer Square, by spalić swoje goldy na prowizorycznym stosie, przy całkowicie biernej postawie policji – zostanie pokazane na wystawie w Międzynarodowym Centrum Fotografii, kilka przecznic od Times Square, i że w czerwcu on sam przyjedzie tu na wernisaż. Uśmiecham się na myśl o tym, jak go zaskoczę. Jak uściskam tę jego chudą szyję i całym i godzinami będziemy nadrabiać zaległości.

Dochodzi północ i przez głośniki przypomina się nam, że pora udać się do wyjścia. Biblioteka zostanie zamknięta.

– Sekundkę – mówię do Northa, biorąc go za rękę i szybko wykonując jeszcze jedno, ostatnie kliknięcie.

Profil Hershey najtrudniej mi oglądać, dlatego zawsze zostawiam go na koniec. Nadal siedzi w Theden, o czym zawsze marzyła, ale pogodnie aktualizacje statusu i uśmiechnięte ślit focie już mnie nie zwodzą. Za dobrze ją znam. Mimo to nie wydaje mi się, bym kiedyś zrozumiała, a tym bardziej wybaczyła jej decyzję, którą podjęła. To, że wiedząc tak wiele, postanowiła tam pozostać. Z drugiej strony jednak chyba o to właśnie stoczyliśmy tę całą walkę. O straszliwe, ale i chlubne prawo do woli tak wolnej, by pozwalała na błąd.

PODZIĘKOWANIA

Przed wszystkim i najgoręcej dziękuję Temu, który podsunął mi pomysł na tę książkę, prawdziwemu parakietowi. Mam nadzieję, że zbytnio nie zarznięłam tego pomysłu jego wykonaniem.

Dziękuję niezrównanej Kristyn Keene, agentce, której entuzjazm dla tej opowieści nigdy nie przygasł i której wrażliwość kształtowała ją i doskonaliła na każdym etapie. A także Kyle'owi Kallmanowi, najlepszemu stażyście w dziejach ICM, któremu na tyle spodobał się mój szalony pomysł, że informował mnie o jego losie, choć nie musiał. Przepraszam, że Twoim imieniem nazwałam jednego z tych złych.

Dziękuję też mojej redaktorce, Sarah Landis z HarperTeen, której wnikliwość i troska o te strony nie jeden raz zasłużyła na ogrom wdzięczności, jak również całemu zespołowi HarperTeen, a zwłaszcza Jen Klonsky, Mary Ann Zissimos, Christinie Colangelo, Sarah Kaufman (która jak dwa razy dwa zna się na mocnych ołładkach), Jonowi Howardowi, Kaitlin Severini i Alice Jerman, za ich ciężką pracę i za to, że w ogóle są niesamowici.

Za zadziwiającą wiedzę o wszystkim, co dotyczyło nanobotów (a zwłaszcza za podpowiedź w sprawie oksytocyny) tysiączne dzięki należą się genialnej Katrinie Siffred. Scenki hakerskie zawdzięczam Mike'owi Sileyowi, który hakerem nie jest, ale potrafi wczuć się w takiego skurczybyka. Przenieś się, proszę, do L.A. A przecież jest jeszcze Alex Young z NASA, najbardziej czadowy fizyk solarny świata, który potrafił tak wyjaśnić kwestię burz słonecznych, że zrozumiał to mój niezbyt biegły w naukach ścisłych umysł. Bez Twojej pomocy być może nigdy nie skończyłabym tej książki, a już na pewno nie tak efektywną zielonką poświęciłą.

Dziękuję również Ryanowi Dobsonowi za podsuniecie nazwy „Zwątpienie” (rany, czy coś w tej książce sama wymyśliłam?), Brentowi Robidzie, za nieustającą i niełatwą przyjaźń, ale też za przeczytanie pierwszej iteracji tej opowieści (zapomnianego scenariusza, którego nie chciała telewizja AMC) i za podesłanie mi Wendella Berry'ego, gdy utknęłam, Bobbi Shiflett za przeczytanie w trzy dni pierwszego szkicu tej książki i wybawienie mnie tym z czarnej dziury wątpliwości, a także Jordannie Fraiberg i Natalie Krinsky za motywowanie mnie i inspirowanie za stołu, na którym pisałam te strony, a zarazem za przypomnienie, że nasze pisanie nie musi być dziełem samotników.

Te podziękowania nie byłyby kompletne bez wielkiego, wypisanego kapitalikami DZIĘKUJĘ zaadresowanego do bajecznej Niki Castle, która przeczytała tę książkę jeszcze szybciej niż Bobbi i mówiła tak miłe rzeczy, że nie byłam pewna, czy mogę jej ufać. Gdyby komuś miało się udać

przekonanie mnie do przejechania na drugi koniec kraju, to tylko Tobie, moja pani. O ile obiecasz zaopatrzyć mnie w ciasteczka dyniowe i różowe vinho verde.

Na koniec, choć nie mniej to ważne, dziękuję mojej rodzinie za nieustające wsparcie i miłość, a zwłaszcza mojemu mężowi, córce i będącemu obecnie w drodze orzeszkowi, który gdy ta książka trafi na półkę, będzie już nie orzeszkiem, a pełnowymiarową osobą. Choć ta książka mnie ekscytuje, to jednak nie tak bardzo, jak ty, Mniejsze Millerzátko. Obyście Ty i Twoja siostra zawsze ufali temu wewnętrznemu szepcowi.